


RAYMOND KHOURY

# OSTATNI TEMPLARIUSZ



Skrywana od wieków tajemnica  
ostatniego rycerza zakonu templariuszy

**Raymond Khoury**

# **Ostatni Templariusz**

*(The Last Templar)*

*Przełożył Krzysztof Mazurek*

Dla moich rodziców, dla moich córek, których imiona brzmią: Mia, Gracie i Suellen  
dla mojego serdecznego przyjaciela Adama B. Wachtela (1959-2005).

Miałeś z tego taką frajdę.

Cieszę się, że Victoria i Elizabeth podzieliły się Tobą z nami.

Będziemy za Tobą tęsknić.

Bardzo.

Wielu przyjaciół dzieliło się ze mną wiedzą, pomagało w dokumentacji faktów i podtrzymywało mnie na duchu w czasie pisania tej książki. Wszystkim im jestem niezmiernie zobowiązany i gorąco dziękuję. I tak mój wielki przyjaciel Carlos Heneine wprowadził mnie w historię i legendę związaną z zakonem templariuszy oraz podrzucił mi wspaniałe pomysły, zanim przystąpiłem do pisania i w trakcie; Bruce Crowther pomagał mi poruszać się w tym nowym dla mnie gatunku twórczości, a Franc Roddam dyscyplinował mnie i dodawał skrzydeł.

Chcę także wymienić nazwiska osób, którym tak wiele zawdzięcza książka, że muszą się w niej znaleźć. Są to: Olivier Granier, Simon Oakes, Dotti Irving i Ruth Cairns z Colman Getty, Samantha Hill z Ziji, Eric Fellner, Ed Yictor, Bob Bookman, Leon Friedman, Maitre Francois Serres, Kevin i Linda Adeson (wybaczcie mi, że dałem Wasze nazwisko Mitchowi), Chris i Roberta Hanley, dr Philip Saba, Matt Filosa, Carolyn Whitaker, dr Amin Milki, Bashar Chalabi, Patty Fanouraki i Barbara Roddam. Gorąco dziękuję także wszystkim współpracownikom z Duckworth i z Turnaround.

Za fenomenalny projekt okładki i układu typograficznego na moją specjalną wdzięczność zasłużył Cephas Howard, a także cały budapeszteński zespół Mid-Atlantic Films, który uporał się z tą okładką w rekordowym czasie: Howard Ellis, Adam Goodman, Peter Seres, Gabby Csoma, Csaba Bagossy i nasi szczerzy przyjaciele z [www.middleages.hu](http://www.middleages.hu). Jestem Wam wszystkim naprawdę ogromnie wdzięczny.

Gdyby nie moja agentka Eugenie Furniss z jej pasją, wielkim oddaniem i zrozumieniem dla kaprysów świeżo upieczonego pisarza, ta książka na pewno nigdy by nie powstała. Stephanie Cabot, Rowan Lawton i pozostali członkowie zespołu William Morris Agency też mają w tym wielki udział.

I w końcu, choć wcale nie ostatniej z tej listy, dziękuję mojej żonie Suellen, która przez wiele lat żyła wraz ze mną tym projektem; nie potrafię wyrazić słowami, ile zawdzięczam jej przyjaźni i duchowemu wsparciu.

Dobrze nam się przysłużył ten mit o Chrystusie. Papież Leon X (XVI wiek)

## PROLOG

AKKA, ŁACIŃSKIE KRÓLESTWO JEROZOLIMY.

1251 ROK

Ziemia Święta jest bezpowrotnie stracona.

Ta myśl nie dawała spokoju Martinowi de Carmaux; naga prawda była bardziej przerażająca niż hordy niewiernych wynurzające się z wyłomów w murze.

Próbował nie dopuścić jej do siebie, wyrzucając za wszelką cenę ze świadomości.

Teraz nie czas na lamenty. Trzeba działać.

Trzeba zabijać wrogów.

Z obosiecznym mieczem uniesionym wysoko w górę ruszył do ataku przez tumany duszącego dymu i kurzu, niczym ostrze wdzierające się w ciało nieprzyjaciela. A ten był wszędzie; szable i topory Saracenów wbijały się w ciała, okrzyki i zawołania wojenne mieszały się z wszechobecnym rytmicznym biciem w tarabany stojące pod murami fortecy.

Ciął mieczem ze wszystkich sił; rozłupał czaszkę arabskiego wojownika aż do oczu, uniósł ostrze w górę, szarżując na kolejnego. Rzucił spojrzenie przez ramię w prawo i zobaczył Aimarda de Yilliers, jak wbija miecz w pierś wroga, a potem rusza do starcia z następnym. Oszołomiony jękami bólu, wrzawą i wściekłymi wrzaskami wokół siebie, Martin poczuł, że ktoś się uczeplił jego lewego ramienia, i natychmiast uderzył atakującego rękojeścią miecza, a potem straszliwym cięciem wdarł się w mięśnie i w kości.

Kątem oka zobaczył coś złowieszczonego z prawej i instynktownie ciął mieczem w tamtą stronę – odrąbał bark kolejnemu Saracenowi, a potem jednym zamachem otworzył mu policzek i uciął język.

Już od wielu godzin on i jego współtowarzysze nie mieli chwili odpoczynku. Atak muzulmański nie tylko trwał nieprzerwanie, ale był znacznie gorszy, niż oczekiwano. Grad płonących strzał i pocisków nasyconych smołą od wielu dni spadał na miasto. Pożary szalały; było ich więcej, niż dało się ugasić. W tym czasie ludzie sułtana robili podkopy pod szerokimi murami – wpychali do nich gałęzie, a następnie podpalali. W wielu miejscach te naprędce wyżłobione w ziemi piece powodowały pęknięcia w murze, który kruszył się teraz pod gradem

kamieni wyrzucanych z katapult. Templariusze i szpitalnicy siłą woli odpierali ataki przy bramie św. Antoniego, po czym ją podpalili i uciekli. „Przeklęta Wieża”, bo tak ją nazywano, w końcu zasłużyła na swoje imię – wpuściła do miasta rozszalałych Saracenów, podkładających ogień w każdą dziurę, i przypieczętowała jego los.

Charczenie i jęki utonęły w ryku tysięcy gardeł. Martin schował miecz i rozejrzał się wokół zdesperowany, szukając chociaż cienia nadziei, ale nie znalazł. Ziemia Święta została rzeczywiście nieodwracalnie stracona. Z rosnącym przerażeniem pojął, że zanim ta noc się skończy i wszędzie słońce, wszyscy będą martwi. Mieli przed sobą największą armię, jaką kiedykolwiek widział świat; mimo furii i pasji, mimo wojennej gorączki, która przyspieszała krążenie krwi w jego żyłach, mimo wysiłków własnych i współbraci – ponieśli niewątpliwie klęskę.

Po niedługim czasie dowódcy też zdali sobie z tego sprawę. Czuł, że mu pęka serce, kiedy usłyszał dźwięk rogu wzywający tych rycerzy, którzy jeszcze żyli, do opuszczenia murów miasta. Rzucił nerwowe spojrzenia w lewo i w prawo, oszołomiony i rozgorączkowany. I nagle napotkał wzrok Aimarda de Yilliers. Zobaczył w jego oczach ten sam ból, bezbrzeżny wstyd, który i jego przenikał do samych kości. Ramię w ramię przedzierali się teraz przez zastępy wroga i w końcu jakoś im się udało dotrzeć do względnie bezpiecznego terenu, nad którym jeszcze panowali templariusze... Martin szedł za starszym rycerzem, a ten parł naprzód jak burza przez tłum przerażonych cywili, którzy chronili się za potężnymi murami otaczającymi miasto. Widok zastany w Wielkiej Sali zszokował go jeszcze bardziej niż rzeź kamratów, której był świadkiem za murami. Na grubo ciosanym stole w refektarzu leżał William de Beaujeu, wielki mistrz zakonu templariuszy. Peter de Sevrey, marszałek zakonu, stał obok wraz z dwoma mnichami. Ich twarze pełne smutku nie pozostawiały żadnej nadziei. Kiedy obaj rycerze stanęli u jego boku, Beaujeu otworzył oczy i uniósł lekko głowę, ale że ten drobny ruch przyprawił go o ból, wydał z siebie jęk. Martin wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Skóra starego człowieka była blada, jakby odpłynęła z niej wszystka krew, oczy natomiast miał nabrzmiałe czerwienią. Martin ogarnął wzrokiem sylwetkę Beaujeu. Próbował odgadnąć przyczynę jego stanu. Ujrzał pierzasty grot strzały tkwiący pomiędzy żebrami wielkiego mistrza, który trzymał drzewce w półzamkniętej dłoni. Drugą skinął na Aimarda; ten podszedł do niego, ukląkł u wezglowia i ujął wyciągniętą dłoń w swoje ręce.

– Już czas – powiedział z trudem Beaujeu. Głos miał słaby i pełen bólu, ale mówił wyraźnie.

– Jedźcie. I niech Bóg ma was w opiece.

Te słowa przemknęły jak podmuch wiatru obok uszu Martina. Jego uwagę przyciągało co innego, coś, co zauważył, jak tylko Beaujeu otworzył usta. Nie mógł oderwać wzroku od jego języka, który zupełnie szerniał. Wściekłość i nienawiść omal nie zadusiła młodego rycerza, bo rozpoznał działanie trucizny, którą nasączony musiał być grot strzały. Ten przywódca zakonu, osobowość górująca nad pozostałymi, który zdominował każdy aspekt życia młodego rycerza – ten potężny człowiek właściwie był już martwy.

Zauważył, że Beaujeu podnosi wzrok na Sevreya i niemal niezauważalnie kiwa głową. Marszałek podszedł do końca stołu i uniósł satynową narzutę, spod której wyłoniła się niewielka, bogato zdobiona szkatuła. Nie była szersza niż trzy dłonie. Martin nigdy wcześniej jej nie widział. Zapanowała pełna napięcia cisza; Aimard stał jak wryty i patrzył na skrzynkę z nabożeństwem. Potem odwrócił twarz i spojrzał na Beaujeu. Stary człowiek wytrzymał jego spojrzenie, a następnie zaniknął oczy; jego oddech stał się niepokojąco szybki i zduszony. Aimard podszedł do Sevreya i objął go ramionami, potem podniósł skrzynkę i nie oglądając się za siebie, wyszedł. Kiedy przechodził obok Martina, rzucił tylko jedno słowo:

– Chodź.

Martin wahał się przez chwilę; spojrzał na Beaujeu i marszałka, który skinął głową w geście przyzwolenia. Wybiegł za Aimardem i od razu zrozumiał, że nie kierują się ku szeregom wroga.

Zmierzali w stronę portu.

– Dokąd idziemy? – krzyknął.

– Czeka na nas „Świątynia Sokoła” – Aimard przyspieszył kroku.

Martin zatrzymał się nagle, nie mogąc opanować wzburzenia.

– Odpływamy? – spytał zdumiony.

Poznał Aimarda de Yilliers po śmierci swego ojca, który też był rycerzem; odszedł z tego świata przed piętnastu laty, kiedy Martin był zaledwie pięciolatkiem. Od tej chwili Aimard był jego opiekunem i mentorem. Bohaterem. Walczyli ramię w ramię w wielu bitwach i Martin wierzył, że teraz też będą walczyć i zginą razem, kiedy przyjdzie pora. Nie tak to sobie wyobrażał. To, co robią, jest chore. To jest... dezercja.

Aimard również się zatrzymał, ale tylko po to, by mocno chwycić Martina za ramię i pociągnąć go do przodu.

– Pospiesz się – rozkazał.

– Nie – krzyknął Martin, strącając z ramienia jego rękę.

– Tak – starszy rycerz powtórzył surowo. Martin czuł, że coś go dusi; twarz mu stężała, zanim zdobył się na to, by powiedzieć:

– Nie opuszczę naszych braci – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie teraz. Nigdy!

Aimard westchnął ciężko i z nostalgią obejrzał się za siebie, na oblężone miasto. Płonące pociski przelatywały łukiem nad murami, wytyczając świetlisty szlak przez ciemne niebo i bombardując twierdzę ze wszystkich stron. Trzymając mocno przy piersiach szkatułę, odwrócił się i zrobił krok w kierunku młodszego rycerza, krok groźny – ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów. Martin zobaczył, że w oczach przyjaciela błyszczą łzy.

– Myślisz, że chcę ich opuścić? – wysyczał. Jego głos przeciął powietrze. – Że porzucam naszego mistrza w ostatniej godzinie życia? Przecież znasz mnie nie od dziś.

– W takim razie... dlaczego? – W głowie Martina myśli kotłowały się.

– To, co mamy do zrobienia, jest ważniejsze niż zabicie jeszcze tych kilku parszywych psów – powiedział Aimard ze smutkiem. – Nasze zadanie jest istotniejsze dla przetrwania zakonu. Jest najważniejsze, jeżeli mamy dokończyć dzieła i sprawić, by wszystko, nad czym pracowaliśmy, również tutaj nie umarło. A teraz się pospiesz.

Martin otworzył usta, by zaprotestować. Ale Aimard miał zacięty wyraz twarzy, nie dopuszczał sprzeciwu. Martin, acz niechętnie, poddał się rozkazowi starszego rycerza i poszedł za nim.

„Świątynia Sokoła” była jedyną jednostką pływającą, która pozostała w porcie; inne odpłynęły tydzień wcześniej, zanim atak Saracenów odciął port od miasta. Galera była już nisko zanurzona i niewolnicy wnosili na pokład kolejne ładunki; pomagali im w tym bracia zakonni i rycerze. Po głowie Martina tłukły się myśli, ale nie znalazł czasu na sformułowanie nawet najprostszego pytania. Kiedy podeszli do nabrzeża, ujrzał kapitana statku – wiedział tylko, że na imię ma Hugh oraz że wielki mistrz darzył go niezwykłym szacunkiem. Hugh z mostka kapitańskiego przyglądał się gorączkowym przygotowaniom. Martin przesunął wzrokiem po statku od rufy do dziobu, spojrzął na wysoki maszt i bukszpryt, pod którym widniała niezwykle realistycznie wyrzeźbiona sylwetka drapieżnego ptaka.

Nie przerywając marszu, Aimard zawołał głośno w kierunku mostka, na którym stał kapitan:

– Czy prowiant i woda załadowane?

– Tak.



– Mniejsza więc o resztę. Natychmiast podnosimy kotwicę. Nie minęło parę minut, a już wciągnięto trap, rzucono cumy i „Świątynia Sokoła” zaczęła odpływać od nabrzeża, ciągnięta przez szalupę z wiosłarzami. Chwilę potem bosman donośnym głosem wydał rozkaz i rzędy galerników zanurzyły wiosła w ciemnej wodzie. Martin patrzył, jak wiosłarze wdrapują się z szalupy na pokład i wciągają ją na górę, a następnie zabezpieczają linami. Rytmiczne, głębokie uderzenia dzwonu i postękiwanie ponad stu pięćdziesięciu przykutych do wiosł galerników słychać było na całym pokładzie; statek nabierał prędkości i zostawiał za sobą potężne mury twierdzy templariuszy.

Kiedy wypłynęli na otwarte wody, na statek spadał coraz gęstszy grad strzał, a wokół wybuchały wielkie syczące eksplozje piany – to katapulty i kusze armii sultana wymierzono w uciekającą galerę. Jednak niebawem znalazła się poza ich zasięgiem. Martin stał przy relingu, patrząc na oddalającą się linię brzegową. Na brzeg wylegli już poganie wyjący jak wilki i śmiejący się dziko; pomstując odpływającym, przypominali rozwścieczone zwierzęta w klatce. Za nimi szalało istne piekło: słychać było krzyki mężczyzn, przerażone głosy kobiet i dzieci, upiorne jęki. A wszystko to na tle niemilkających odgłosów wojennych tarabanów.

Statek powoli nabierał prędkości. Wiatr od lądu był coraz silniejszy i rzędy wiosł podnosiły się i opadały jak skrzydła ptaka, który w locie ociera się o ciemną powierzchnię wody. Daleko na horyzoncie niebo było czarne, ciężkie od burzowych chmur.

To był koniec.

Dłonie wciąż mu drżały i serce ciążyło jak kamień, gdy Martin de Carmaux powoli i niechętnie odwrócił się plecami do krainy swojej młodości. Skierował wzrok przed siebie – patrzył na wielkie chmury, które zwiastowały nadchodzącą burzę.

## Rozdział 1

Z początku nikt nie zauważył czterech jeźdźców, którzy wyłonili się z ciemnego masywu Central Parku.

Wszystkie oczy były skierowane w inne miejsce – cztery ulice dalej w rozbłyskach fleszy i reflektorów stacji telewizyjnych limuzyny płynęły strumieniem wzdłuż krawężnika przed głównym wejściem do Metropolitan Museum, raz po raz wypływając elegancko ubranych gwiazdorów i zwykłych śmiertelników.

Było to jedno z owych gigantycznych przedsięwzięć, którego żadne miasto nie potrafiło zorganizować tak dobrze i z takim rozmachem jak Nowy Jork. Tym bardziej, że odbywało się nie gdzie indziej, tylko właśnie w Metropolitan. Budynek błyszczał odświętnie, nocne niebo przesywały światła szperaczy. Zabudowania w samym sercu miasta przypominały błyskającą latarnię morską, która zewsząd przywoływała przechodniów, by przeszli między wyniosłymi kolumnami neoklasycystycznej fasady, nad którą olbrzymi transparent głosił:

### SKARBY WATYKANU

Mówiło się o przełożeniu terminu tego wydarzenia, a nawet o tym, by zupełnie je odwołać. Ostatnie doniesienia wywiadu raz jeszcze skłoniły rząd do ustalenia alarmu antyterrorystycznego na poziomie pomarańczowym. W całym kraju stanowe i lokalne władze zaostrzyły środki bezpieczeństwa i chociaż Nowy Jork obowiązywał poziom pomarańczowy od 11 września, podjęto dodatkowe środki ostrożności. Oddziały gwardii narodowej patrolowały stacje metra i mosty, a policjanci pełnili dwunastogodzinne dyżury.

Ta wystawa, biorąc pod uwagę jej temat, stanowiła szczególne zagrożenie. Przeważała jednak determinacja organizatorów i rady nadzorczej muzeum – głosowano za realizacją pierwotnych planów. Wystawa miała zostać otwarta zgodnie z zamierzeniami jako kolejny dowód na to, że nieulęklego ducha Nowego Jorku naprawdę nie da się złamać.

Młoda kobieta z nienaganną fryzurą i olśniewającym hollywoodzkim uśmiechem stała odwrócona tyłem do frontonu, próbując po raz trzeci wejść na antenę. Nie bardzo jej wychodziła wystudiowana poza wszędobylskiej i zblazowanej, a zatem reporterka, wpatrując się w obiektyw kamery, promieniała entuzjazmem i energią:

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz Metropolitan gościło tyle gwiazd. Na pewno nie widziano

tu tak wielu znanych twarzy od czasu ekspozycji zabytków kultury Majów, a minęło przecież parę lat – oznajmiła telewidzom w chwili, gdy z limuzyny wysiadał okrągłutki mężczyzna w średnim wieku. Tuż za nim wynurzyła się wysoka kobieta o sterczących ramionach w błękitnej wieczorowej sukience o jeden rozmiar za małej i (jak na nią) o jedno pokolenie zbyt awangardowej. – A oto burmistrz i jego uroczą żonę – mówiła dalej podekscytowana reporterka. – Nasza nowojorska rodzina królewska, jak każda obyczaj, cokolwiek spóźniona. – Przeszła na poważniejszy ton, spojrzała prosto w kamerę i dodała: – Wielu przedmiotów wystawionych tu dziś wieczorem nie oglądały oczy zwykłych śmiertelników nigdy i nigdzie. Spoczywały w sejfach Watykanu przez setki lat i...

Przerwała jej fala gwizdów i radosnych okrzyków. Głos reporterki utonął w ogólnym harmidrze; odwróciła się od kamery i powędrowała wzrokiem w tamtym kierunku, szukając przyczyny tego rosnącego poruszenia.

Zobaczyła czterech jeźdźców.

Wierzchowce były isticie królewskie: siwki i kasztany miały płynące falą ciemne ogony i grzywy. Ale to jeźdźcy wzbudzali sensację.

Czterej mężczyźni jechali ramię przy ramieniu ubrani w średniowieczne zbroje. Mieli na głowach hełmy, lekkie kolczugi nałożone na czarne kaftany, nakolanniki z kawałków stalowej blachy na grubych pończochach. Wyglądali, jakby właśnie przemknęli przez wrota podróży w czasie. Efektu dopełniały ogromne obosieczne miecze wiszące w pochwach u ich boków. Największe wrażenie jednak robiły długie białe płaszcze narzucone na zbroje, na których widniały czerwone jak krew krzyże.

Konie przeszły teraz w łagodny trucht.

Tłum szalał z radości, a rycerze zbliżali się powolutku, patrząc wprost przed siebie, nie zwracając uwagi na rwetes i szaleńczy ruch wokół schodów muzeum.

– Proszę państwa, co my tu mamy? Wygląda na to, że Metropolitan Museum i Watykan dziś wieczorem wspólnie postanowiły podnieść kurtynę... Czy to nie wspaniałe? – mówiła z wystudiowanym entuzjazmem reporterka, teraz już tonem zarezerwowanym wyłącznie dla show-biznesu. – Posłuchajcie tylko państwo tych okrzyków!

Konie dotarły do krawężnika przed muzeum, a potem stało się coś nieoczekiwanego.

Nie zatrzymały się.

Obróciły się powoli przodem do wejścia.

Jak jeden mąż jeźdźcy delikatnie spięli konie ostrogami i poprowadzili je na chodnik. Posuwając się powoli dalej, czterej rycerze skierowali wierzchowce na wybrukowany plac.

Jeden przy drugim, równiutko i uroczyście konie wspinały się po szerokich schodach, sunąc bez wątpienia ku wejściu do muzeum.

## Rozdział 2

– Mamo, ja naprawdę muszę – powiedziała płacząco Kim.

Tessa Chaykin poirytowana spojrzała na córkę spod zmarszczonych brwi. Cała trójka – Tessa, jej matka Eileen i Kim – dopiero weszły do muzeum i Tessa miała nadzieję, że rozejrzy się szybko po wystawionych wszędzie eksponatach, zanim zaczną się przemowy i nieuniknione w takich sytuacjach ceremonie i formalności. Ale to będzie musiało poczekać. Kim, jak każda dziewięcioletka, zawsze wybierała najmniej odpowiedni moment, by oznajmić, że strasznie jej się chce siusiu.

– Kim, naprawdę... – Sala Wielka była wypełniona ludźmi aż po brzegi. Perspektywa nawigacji przez ten tłum po to, by zaprowadzić córkę do damskiej toalety, nie wydawała się Tessie w tej chwili zbyt kusząca.

Jej matka nie potrafiła ukryć uśmiechu tryumfu – jak zwykle jest niezastąpiona. Teraz wkroczyła zdecydowanie.

– Ja ją zaprowadzę. Ty już idź. – A potem dodała z kwaśną miną: – Chciałabym zobaczyć chociaż cień wdzięczności w twoich oczach.

Tessa przywołała na twarz grymas udający uśmiech, ale gdy spojrzała na córkę, uśmiechnęła się serdecznie i pokręciła głową. Ta mała buzia i błyszczące zielone oczy w każdej sytuacji potrafiły ją rozbroić.

– Czekam na was w Sali Wielkiej. – Uniosła palec i pogroziła nim Kim. – Trzymaj się babci. Nie chcę, żebyś się zgubiła w tym cyrku.

Kim jęknęła i przewróciła oczami. Tessa patrzyła, jak znikają w morzu ludzi; potem odwróciła się i ruszyła do środka.

Olbrzymi hol muzeum, Sala Wielka, był po brzegi wypełniony szpakowatymi mężczyznami i oszalałymi pięknymi kobietami. Czarne muszki i wieczorowe suknie były strojem obowiązującym, a jednak to Tessa przyciągała spojrzenia wszystkich obecnych. Odczuwała to jako podwójny dyskomfort, ponieważ odstawała od standardu obowiązującej tu elegancji oraz z powodu przebywania w tak doborowym „towarzystwie” – tłum wytwornych nowojorczyków zdecydowanie nie był jej bliski. To, z czego Tessa nie zdawała sobie sprawy, a co istotnie przyciągało uwagę ludzi, nie miało nic wspólnego z dyskretną elegancją „małej czarnej”, która

kończyła się kilka centymetrów nad jej kolanami, ani z jej nieprzystosowaniem do sytuacji takich jak ta, kiedy trzeba wszystkim okazywać sympatię. Po prostu ludzie ją zauważali i kropka. Zawsze. Czy kogokolwiek należało za to winić? Burza loków, spod których rzucała ciepłe spojrzenie promieniejących inteligencją zielonych oczu, oraz ona sama zawsze wzbudzały zainteresowanie. Wysportowana sylwetka trzydziestosześcioletniej kobiety, która stawiała swobodnie długie kroki, całkowicie nieświadoma swojego czaru, wystarczająco rozgrzeszała gapiów. Szkoda, że miała pecha – zawsze zakochiwała się w niewłaściwym facecie. Zdarzyło się jej nawet wyjść za ostatniego z tej niegodnej wzmianki bandy – ten błąd dopiero niedawno naprawiła.

Ruszyła wzdłuż sali wystawowej. Szmer rozmów odbijał się echem od ścian; docierał do niej tylko głuchy pomruk, nie sposób było odróżnić słów. Akustyka chyba nie była priorytetem dla projektanta muzeum. Dobiegły ją odległe dźwięki kameralnej muzyki; spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła żeński kwartet smyczkowy w narożniku. Dziewczyny niemal przecinały smyczkami struny, ale w panującym gwarze ledwo było je słyhać. Dyskretnie odpowiadając skinieniem głowy na kierowane w jej stronę z tłumu uśmiechy, przeszła obok stałej ekspozycji, autorstwa Lili Wallace, ciągle świeżych kwiatów i niszy, w której Madonna i Dzieciątko z terakoty w subtelnych błękitach i bielach, dzieło Andrei della Robbia, omiatały łagodnymi oczami tłumy zaproszonych gości. Dziś jednak Madonna i Dzieciątko miały doborową kompanię, ponieważ ściany muzeum zdobiły liczne wizerunki Chrystusa i Maryi.

Niemal wszystkie eksponaty umieszczono w szklanych gablotach; Tessie wystarczyło zaledwie przelotne spojrzenie, by stwierdzić, jak są cenne. Nawet na kimś takim jak ona, osoba z gruntu niereligijna, eksponaty wywierały niezwykle wrażenie. Kiedy wchodziła z naturalną gracją po szerokich schodach do Sali Wielkiej, serce waliło jej w piersiach – nie mogła się doczekać tego, co tu zobaczy.

Były tam między innymi bogato zdobione alabastrowe fragmenty ołtarzy z Burgundii, przedstawiające sceny z życia świętego Marcina. Krucyfiksy, większość z litego złota, bogato zdobione drogocennymi kamieniami. Na jednym z krzyży z XII wieku, wykonanym z kła morsa, artysta uwiecznił w płaskorzeźbie ponad sto postaci. Wystawiono również wymyślne marmurowe statuetki i rzeźbione drewniane relikwiarze, które nawet pozbawione oryginalnej zawartości stanowiły oczywisty dowód mrówczej pracy średniowiecznych rzemieślników. Obok niezwykle ołtarz w postaci skrzydeł mosiężnego orła, a tuż przy nim zupełnie nieprawdopodobna, ręcznie

malowana hiszpańska świeca paschalna wysokości metr osiemdziesiąt, przeniesiona na czas wystawy z apartamentów papieskich.

Kiedy Tessa podziwiała przepych tej ekspozycji, poczuła się rozczarowana swoim dotychczasowym życiem. Wystawione przedmioty były z pewnością bezcenne – przez wszystkie lata pracy zawodowej podobnych nie zdarzyło się jej oglądać. To prawda, miała za sobą dobre lata; osiągnięcia do pewnego stopnia rekompensowały jej trud. Życie dało jej okazję podróżowania po całym świecie i zanurzania się w różnorodnych i fantastycznych kulturach. Wygrzebała spod ziemi sporo ciekawostek, które wystawiono w kilku muzeach świata, ale nie znalazła nic godnego umieszczenia, powiedzmy, w zbiorach Sacklera, poświęconych sztuce egipskiej, ani w zbiorach sztuki prymitywnej Rockefellera. Może... może gdybym wytrzymała odrobinę dłużej... – pomyślała. Otrząsnęła się z tych myśli. Wiedziała, że tamto życie już nie wróci, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości. Musi pogodzić się z tym, że najpiękniejsze chwile z przeszłości pozostaną tylko szczęśliwym wspomnieniem; teraz musi się zadowolić obserwowaniem zdarzeń, w których już nie będzie uczestniczyć.

Istotnie, to, co teraz miała przed oczami, było wspaniałe. Metropolitan prezentowało zupełnie niezwykłą kolekcję, a ponadto prawie żaden z przedmiotów, które sprowadzono z Rzymu, nie był jeszcze nigdy eksponowany.

Nie tylko dlatego, że każdy z nich aż ociekał złotem i błyszczał drogocennymi kamieniami.

W gablotce, przed którą właśnie się zatrzymała, znajdował się na przykład jakiś niepozorny przyrząd mechaniczny; wielkości mniej więcej starej maszyny do pisania, przypominał kształtem skrzynkę i wykonany był z miedzi. Z przodu znajdował się rząd przycisków, a z boków wystawały dźwignie i zahaczające o siebie kółka zębate. Wśród tego przepychu urządzenie wydawało się zupełnie nie z tej bajki.

Tessa dłonią odgarnęła włosy, które przesłoniły jej widok, gdy pochyliła się, by przyjrzeć się przyrządowi z bliska. Sięgała właśnie po katalog, kiedy nad swoim niewyraźnym własnym odbiciem w szklanej tafli gabloty zobaczyła, że ktoś się do niej zbliża.

– Jeżeli ciągle szukasz świętego Graala, będę musiał cię rozczarować. Tu go nie ma – usłyszała za sobą nieco zdarty głos. I chociaż nie rozmawiała z nim od lat, wiedziała, kto to jest, zanim się jeszcze odwróciła.

– Clive – ogarnęła spojrzeniem dawnego kolegę. – Co u ciebie, stary? Świetnie wyglądasz.

Nie była to do końca prawda; chociaż miał zaledwie pięćdziesiąt parę lat, Clive Edmondson

wyglądał jak matuzalem.

– Dziękuję. A co u ciebie?

– Wszystko w porządku – skinęła głową. – Co nowego w biznesie okradania grobów?

– Nie wyrabiam na rachunki od manikiurzystki – Edmondson pokazał jej wierzch dłoni. – Oprócz tego wszystko jak dawniej. Dosłownie – zachichotał. – Doszły mnie słuchy, że jesteś teraz w ekipie Manoukiana’a

– Tak.

– No i?

– Jest świetnie – powiedziała Tessa. To też nie była prawda. Wstępując w szeregi pracowników prestiżowego Instytutu Manoukiana, teoretycznie postawiła ogromny krok do przodu, ale sprawy zawodowe w tej szacownej placówce nie układały się całkiem po jej myśli. Takie rzeczy jednak człowiek trzyma dla siebie, zwłaszcza obracając się w środowisku uwielbiającym plotki i podszytym fałszem, czyli wśród archeologów. Szukając niezobowiązującej odpowiedzi, rzekła:

– Ale tak naprawdę najchętniej pojechałabym znów z wami w jakieś dzikie ostępy.

Jego uśmiešek świadczył aż nadto wyraźnie, że tego nie kupił.

– Nie ma za czym tęsknić. Jeszcze nie piszą o nas na pierwszych stronach gazet.

– Nie o to chodzi, tylko... – odwróciła się, rzucając spojrzenie na morze eksponatów rozciągające się wokół nich. – Każdy z tych eksponatów był dla odkrywcy wielkim osiągnięciem. Dosłownie każdy. – Nagle spojrzała na niego melancholijnie. – Dlaczego nam nigdy nie udało się niczego takiego znaleźć?

– No wiesz, ja wciąż mam nadzieję, że taki dzień kiedyś nadejdzie. To ty przehandlowałaś grzbiet wielbłąda za biurko – odparował. – Nie wspomnę już o muchach, piasku, upale, żarcie, którego nie da się zjeść...

– Boże, tak, żarcie – zaśmiała się Tessa. – Kiedy o nim pomyślę, już nie jestem pewna, czy za tym wszystkim tęsknię.

– Zawsze możesz wrócić, przecież wiesz. – Puściła do niego oko. Bardzo często o tym myślała.

– Chyba jednak nie. W każdym razie jeszcze nie przez jakiś czas. Edmondson zmusił się do uśmiechu, choć widać było, że wcale nie żartuje.

– Ciągle wozimy ze sobą łopatę z twoim nazwiskiem, przecież wiesz – powiedział, chociaż



w jego głosie nie było nadziei. Zapadła niezręczna cisza. – Posłuchaj – dodał. – Mają w sali egipskiej bar i na pierwszy rzut oka wydawało mi się, że barman umie mieszać drinki. Może masz na coś ochotę?

– Idź sam. Później do ciebie dołączę – powiedziała. – Czekam na Kim i mamę.

– Są tutaj?

– Tak.

Uniósł obie dłonie, odwróciwszy je przed siebie.

– Mój Boże, aż trzy pokolenia Chaykinów – to musi być interesujące.

– Tylko nie mów, że nie zostałeś uprzedzony.

– Odnotowano do protokołu – skinął głową Edmondson i zaczął przeciskać się przez tłum. – Czekam na was. Tylko mnie nie wystaw.

Powietrze na placu przed muzeum było naładowane elektrycznością. Operator kamery przepychał się do przodu, żeby złapać jak najlepsze ujęcie, a komentarz podążającej za nim reporterki tonął w oklaskach i okrzykach rozentuzjasmowanego tłumu. Zrobiło się jeszcze głośniejsze, gdy zgromadzeni zauważyli niewysokiego, nieco przysadzistego mężczyznę w brązowym uniformie, który zszedł ze stanowiska i ruszył w kierunku nadjeżdżających rycerzy.

Widząc go kątem oka, kamerzysta od razu zrozumiał, że nie wszystko przebiega zgodnie z planem. Energiczny służbowy krok i to, co strażnik wyrażał całą postawą, wskazywały, że zanoszą się na jakąś awanturę.

Strażnik uniósł dłonie, usiłując tym gestem powstrzymać dalszy przejazd przybyszów na koniach. Rycerze ściągnęli wodze, zwierzęta prychnęły i uderzały kopytami o kamienne schody; niepokoiły się, zatrzymane na schodach w pół kroku.

Wyglądało na to, że coś jest kwestią sporną, chyba jednostronnie, bo jeźdźcy w żaden sposób nie reagowali na gniewne okrzyki strażnika.

W pewnym momencie jeden z nich wykonał ruch.

Powoli, rozciągając czynność w czasie, by spotęgować efekt, rycerz siedzący na koniu na wprost strażnika, mężczyzna potężny jak niedźwiedź, wyciągnął z pochwy obosieczny miecz i uniósł go wysoko nad głowę. Sprowokował tym kolejną kaskadę błysków fleszy, westchnień i oklasków tłumu.

Trzymał miecz oburącz nad głową, patrząc wciąż przed siebie. Siedział w siodle w całkowitym bezruchu.

Kamerzysta miał jedno oko przyklejone do okularu kamery, ale drugim obserwował cały spektakl. I nagle zdał sobie sprawę, że chodzi o coś zupełnie innego. Pospieszenie przeniósł obiektyw na twarz ochroniarza. Co się na niej malowało? Zakłopotanie? Konsternacja?

Nagle go oświeciło... Strach!

Tłum dosłownie oszalał, wydając dzikie okrzyki i klaszcząc w dłonie. Kamerzysta instynktownie trochę odjechał z obrazem, rozszerzając ujęcie o rycerza z podniesionym mieczem.

Właśnie wtedy rycerz zamachnął się szeroko mieczem i wykonał potężne, błyskawiczne cięcie. Miecz, odbijając sztuczne światło fleszy, opadł półkolistym ruchem tuż pod uchem strażnika, a siła i prędkość uderzenia były tak ogromne, że gdy ostrze znalazło się po drugiej stronie, nadal lśniło czystością, choć przeszło przez mięśnie, ścięgna i kości.

Z gardeł setek gapiów wydobył się olbrzymi zbiorowy jęk, przeradzający się w okrzyki strachu, we wrzask, który wypełnił ciemności. Najgłośniej krzyczała reporterka, która uczepiła się teraz kurczowo ramienia operatora; obraz w kamerze zaczął drżeć, mężczyzna odepchnął ją więc i kręcił dalej.

Głowa ochroniarza spadła u jego stóp, a następnie zaczęła groteskowo podskakiwać, tocząc się po stopniach muzeum. Zostawiała za sobą czerwone ślady krwi, aż wylądowała u podnóża schodów. Wydawało się, że trwało to wieczność, ale wreszcie i pozbawione głowy ciało osunęło się na kamienie, a z miejsca, w którym przed chwilą była głowa, tryskał gejzer krwi.

Wrzeszczące nastolatki potykały się i padały ogarnięte paniką, chcąc jak najszybciej uciec, a ci, którzy stali dalej i nie byli świadomi, co się właściwie zdarzyło, choć wiedzieli, że to coś niesamowitego, napierali w stronę gmachu muzeum. W kilka sekund ciała zmieszały się i splątały, wszędzie było słychać jęki bólu, wrzaski, okrzyki strachu.

Trzy pozostałe konie przestępowały teraz z nogi na nogę, uderzając dźwięcznie kopytami o kamienne schody. Wtedy jeden z rycerzy krzyknął:

– Naprzód!

Jeździec, który dokonał egzekucji, spiął ostrogami wierzchowca i ruszył wprost w otwarte drzwi muzeum. Pozostali, nie ociągając się, uderzyli o końskie boki i ruszyli za nim.

## Rozdział 3

W Sali Wielkiej Tessa usłyszała wrzaski dobiegające z zewnątrz i natychmiast zrozumiała, że dzieje się coś bardzo, bardzo niedobrego. Spojrzała ku wejściu w momencie, gdy pierwszy koń pędem pokonał drzwi, roztrzaskując szkło i rozbijając w drzazgi drewno. W muzeum niczym wulkan wybuchła panika. Eleganckie, wyrafinowane i wytworne towarzystwo gdzieś zniknęło, zamieniając się w jednej chwili w rozwrzeszczaną hordę prymitywnych kobiet i mężczyzn, którzy rozpychając się łokciami i krzycząc wniebogłosy, pierzchali przed szarżującym koniem.

Trzech jeźdźców runęło przez tłum, miecze uderzały raz za razem w szklane gabloty; konie tratowały szkło i odłamki drewna, ich kopyta miażdżyły eksponaty.

Tessę odrzuciło na bok kilkudziesięciu naraz zdesperowanych gości, którzy próbowali wymknąć się na ulicę. Wodziła niespokojnie oczami po sali. Kim, mama – gdzie one są? Rozglądała się dookoła, ale nigdzie ich nie widziała. Gdzieś dalej po jej prawej stronie konie zatrzymały się i odwróciły, niszcząc kolejne eksponaty, które znalazły się na ich drodze. Goście, uciekając w panice, wpadali na gabloty i uderzali o ściany; jęki, westchnienia i paniczne wrzaski odbijały się echem w przestronnym pomieszczeniu. Tessa zobaczyła Clive'a Edmondsona, który został gwałtownie popchnięty – jeden z koni, cofając się, natarł na niego zadem.

Konie prychały, ich nozdrza były rozszerzone, piana z pysków ściekała po wędzidłach. Jeźdźcy, nie zsiadając z koni, sięgali po błyszczące przedmioty z roztrzaskanych gablot i pakowali je do przytroczonych do siodła worków. W drzwiach tłum, który próbował za wszelką cenę wyjść, blokował przejście policji, bezradnej wobec naporu spanikowanych ludzi.

Jeden z koni obrócił się i zepchnął zadem statuetkę Najświętszej Maryi Panny, a ta rozbiła się, spadając na kamienną podłogę. Rozgniotły ją dodatkowo końskie kopyta, także dłonie Madonny uniesione w błagalnym modlitewnym geście. Drogocenny gobelin, rozdarty i zerwany ze ściany przez uciekających gości, znalazł się pod stopami ludzi i końskimi kopytami. Tysiące ściągów, efekt długiej żmudnej pracy, rozerwano na strzępy w ciągu paru zaledwie sekund. Spadła na ziemię szklana witryna, a biało-złoty mitr, który wyleciał przez pękniętą szybę, został skopany i zgnieciony przez ogarnięty paniką tłum. Przez chwilę nad głowami ludzi niczym latający dywan unosiła się biało-złota szata, ale po chwili i ona została stratowana.

Klucząc, by zejść z drogi koniom, Tessa zerknęła w boczny korytarz, w którym ujrziała

czwartego jeźdźca, a z tyłu za nim, w dalszej części muzeum, jeszcze większy tłum ludzi uciekających i kryjących się po salach muzealnych. Przeszukiwała wzrokiem ciżbę, starając się dostrzec matkę i córkę. Gdzie one są, do cholery? Nic im się nie stało? Wytężała wzrok, próbując wśród tłumu odnaleźć ich twarze, ale nie zobaczyła żadnej z nich.

Słyszając komendy, Tessa obróciła się na pięcie i ujrzała policjantów, którzy w końcu przedarli się przez uciekające masy. Z pistoletami w dłoniach usiłowali przekrzyczeć ogarnięty paniką tłum. Zbliźali się, okrążając jednego z trzech jeźdźców, który spod szaty wyciągnął niewielki, lecz groźnie wyglądający pistolet maszynowy. Tessa instynktownie rzuciła się na podłogę i przykryła dłońmi głowę, ale kątem oka widziała, jak jeździec tnie wokół siebie serią pocisków, obracając się z prawej na lewą i strzelając, gdzie popadnie. Chyba sześciu ludzi, łącznie z policjantami, zważyło się na posadzkę, a na roztrzaskanych gablotach pojawiły się plamy krwi.

Tessa nie podnosiła się z podłogi. Serce jej waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Próbowwała nie ruszać się z miejsca, chociaż jakiś głos w jej głowie wrzeszczał, żeby się podniosła i uciekała co sił w nogach. Zobaczyła, że dwóch kolejnych jeźdźców również wyciąga pistolety maszynowe, takie jak ich siejący śmierć współtowarzysz. Kule odbijały się rykoszetem od ścian muzeum, krzyk i panika potęgniały. Jeden z koni nagle wierzgnął kopytami i pistolet w dłoniach jeźdźca podskoczył, posyłając grad kul w ścianę i w sufit. Utkwiły w ozdobnych sztukateriach, a gips niczym grad spadał na głowy czołgających się po podłodze gości, którzy wrzeszczeli jak opętani.

Tessa ostrożnie wyjrzała zza gabloty, próbując opanować panikę i ocenić ewentualne szanse ucieczki. Widząc trzy rzędy gablot po prawej stronie, koło wejścia do innej galerii, całym wysiłkiem woli zmusiła się, by wstać i pobiec w tamtym kierunku.

Dobiegała już do drugiego rzędu, kiedy zobaczyła zmierzającego prosto na nią czwartego rycerza. Pochyliła się, schowała za gablotę, rzucając nerwowe spojrzenia na lewo i prawo. Widziała, jak prowadzi wierzchowca między rzędami szklanych stołów, wciąż całych i niezniszczonych. Odniosła wrażenie, że nie obchodzi go piekło i panika, które rozpętali jego trzej współtowarzysze.

Niemal fizycznie czuła oddech prychającego konia; nagle rycerz osadził go w miejscu zaledwie dwa metry od niej. Tessa przykucnęła najniżej, jak mogła, obejmując dłońmi podstawę szklanej gabloty. Błagała rozszalałe serce, żeby się uspokoiło. Spojrzała w górę i zobaczyła postać rycerza odbitą wielokrotnie w szklanych gablotach wokół niej – wyglądał władczo

i królewsko w stalowej misiurze i białym płaszczu. Z wysokości końskiego siodła patrzył na jedną tylko gablotę.

Tę właśnie, którą oglądała Tessa, gdy podszedł do niej Clive Edmondson.

Patrzyła oniemiała, jak rycerz wyciąga miecz, unosi go jednym ruchem w górę, a potem opuszcza na gablotę, roztrzaskując ją w drobne kawałki. Odpryski szkła potoczyły się po podłodze. Jeździec wsadził miecz z powrotem do pochwy i sięgnął z siodła ku gablocie, po czym uniósł dziwną skrzynkę z przyciskami, zapadkami i lewarkami. Trzymał ją przez chwilę przed oczami.

Tessa ledwo mogła złapać oddech, ale wbrew instynktowi samozachowawczemu, którego – jak sądziła – jej nie brakuje, za wszelką cenę pragnęła zobaczyć, co się teraz stanie. Nie mogąc się oprzeć pokusie, wychyliła się zza gabloty, zerkając jednym okiem.

Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w urządzenie z nabożną czcią, a potem wymruczał do siebie:

– Veritas vos libera...

Tessa nie mogła oderwać od niego wzroku; jak w transie patrzyła na coś, co wydawało się jakimś osobliwym rytuałem. I wtedy kolejna seria wystrzałów wyrwała zarówno ją, jak i jeźdźca z chwilowej zadumy.

Zawrócił konia i przez chwilę jego oczy, błyszczące w cieniu pod hełmem, napotkały spojrzenie Tessy. Poczula, że serce jej przestało bić; przykucnęła znów za gablotą, całkowicie bezbronna i sztywna ze strachu. Koń ruszył w jej kierunku, prosto na nią... Po chwili przejechał obok, a ona usłyszała, jak mężczyzna woła do trzech kompanów:

– Jedziemy!

Tessa zerwała się na równe nogi i zobaczyła, że trzech olbrzymi jeźdźcy, którzy rozpoczęli strzelaninę, zagonili kilkoro ludzi jak stado owiec do głównych schodów. Rozpoznała arcybiskupa Nowego Jorku, burmistrza i jego żonę. Dowódca rycerzy skinął głową i olbrzym skierował konia wprost na grupkę przestraszonych gości. Chwycił broniącą się kobietę i uniósł ją, a potem przełożył ją sobie przez siodło. Przystawił jej lufę pistoletu do skroni i kobieta zamarła z szeroko otwartymi ustami.

Bezradna, wściekła i przerażona Tessa przyglądała się czterem jeźdźcom kierującym się ku wyjściu. Rycerz, który dowodził grupą, jedyny bez broni automatycznej, nie miał również wypchanego worka przytroczonego do siodła jak pozostali. A kiedy jeźdźcy znaleźli się na

schodach przed wejściem do muzeum, Tessa ruszyła na poszukiwania matki i córeczki pośród ruin wystawy.

Rycerze i konie wjechali wprost w ocean świateł i przed obiektywy kamer telewizyjnych. Oprócz szlochów przerażonych i jęków rannych nagle wszystko inne umilkło i z za pleców ludzi można było usłyszeć komendy policjantów:

– Wstrzymać ogień... Zakładniczka... Nie strzelać!

Jak na dany sygnał czterej jeźdźcy ruszyli w dół po stopniach muzeum, potem aleją. Olbrzym z zakładniczką przełożoną przez siodło tworzył tylną straż. Jechali szybko, ale nie uciekali w panice; mieli w pogardzie zbliżające się syreny policyjne, których dźwięk przeszywał noc. Chwilę później zniknęli między drzewami w ciemnym o tej porze Central Parku.

## Rozdział 4

Sean Reilly ustawił się na granicy obszaru wyznaczonego przez żółto-czarną taśmę policyjną, na szczycie schodów prowadzących do muzeum. Przeczesał dłonią krótkie kasztanowe włosy i spojrzał na kredowy obrys ciała pozbawionego głowy, które jeszcze niedawno tam leżało. Przesuwał oczami w dół po krwawych śladach aż do miejsca, w którym owal wielkości piłki do koszykówki wskazywał położenie głowy.

Podszedł do niego Nick Aparo i zajrzał partnerowi przez ramię. Okrągła twarz, przerzedzona czupryna – był co najmniej dziesięć lat starszy niż trzydziestoosmioletni Reilly, średniego wzrostu, przeciętnej budowy i niczym specjalnym się nie wyróżniał. Jeszcze w trakcie rozmowy z nim można było zapomnieć, jak wygląda; to cecha bardzo użyteczna w pracy agenta. Aparo z powodzeniem i często ją wykorzystywał, odkąd pracował z Reillym. Obydwaj mieli ciemnogrnatowe kurtki na garniturach, a każda z nich miała na plecach wielkie białe litery: FBI. Teraz powiedział z niesmakiem:

– Przypuszczam, że koroner nie będzie miał specjalnych problemów z ustaleniem przyczyny śmierci.

Reilly skinął głową. Nie mógł oderwać wzroku od miejsca, w którym przed chwilą jeszcze leżała odrąbana głowa; teraz stała tam kałuża krwi. Dlaczego nigdy, zastanawiał się, gdy widział kogoś, kto został zastrzelony lub zadźgany nożem, śmierć tej osoby nie wydawała mu się tak brutalna jak ścięcie głowy? Przyszło mu na myśl, że w niektórych krajach do dziś wyroki śmierci wykonuje się oficjalnie za pomocą gilotyny. W krajach nieustannie zagrażających Ameryce, z których pochodzi wielu terrorystów. Tropił tych ludzi od pierwszego dnia swojej pracy w FBI. Zwrócił się do Aparo.

– Wiadomo, co z żoną burmistrza? – Usłyszał w przelocie, że zrzuciono ją bezceremonialnie z konia w środku parku i zostawiono razem z wierzchowcami.

– Jest tylko w szoku – odparł Aparo. – Ma więcej siniaków na swoim ego niż na tyłku.

– Dobrze się składa, że niedługo wybory. Żał byłoby, gdyby takie piękne sińce poszły na marne. – Reilly rozejrzał się wokół siebie. Wciąż próbował dojść do ładu z sobą samym po szoku, który przeżył po przybyciu na miejsce. – A jak blokady dróg? Nic jeszcze nie słyhać?

Blokady ustawiono w promieniu dziesięciu przecznic na wszystkich mostach i tunelach

prowadzących na Manhattan.

– Nic. Ci goście wiedzieli dokładnie, co robią. Nie wzięli taksówki.

Reilly skinął głową. Zawodowcy. Dobrze zorganizowani.

Wspaniale.

Jakby amatorzy nie potrafili w dzisiejszych czasach narobić gorszego bajzlu. Wystarczyło kilka lekcji latania samolotem albo ciężarówka pełna nawozów sztucznych w połączeniu z psychotyczną lub skłoną do samodestrukcji osobowością – tego w Ameryce nie brakowało.

Przyglądał się scenerii pogromu w milczeniu. Poczuł, że podchodzi mu do gardła fala gniewu. Takie spektakularne zbrodnie irytowały tym bardziej, że wszyscy czuli się zupełnie zbici z tropu. I z tego powodu jeszcze bardziej się irytowali. On nie był wyjątkiem. A jednak było coś szczególnego w tej zbrodni oprócz tego, że bulwersowała – coś, co odwracało od niej uwagę. Nie przejmował się szczególnie dewastacją sal muzealnych. Ale to wszystko wydawało mu się zbyt niezwykle i niewiarygodne; nie przypominało w niczym serii ponurych i katastroficznych scenariuszy, które on i jego współpracownicy próbowali zrekonstruować albo przewidzieć w ciągu ostatnich kilku lat. Czuł, jakby został zaproszony do namiotu cyrkowego, by odwrócić myśli od tego, co się dzieje naprawdę, dzięki jakiemuś dziwacznemu widowisku. Niepokoił go i niepomernie irytował fakt, że nie wiadomo dlaczego odczuwał z tego powodu coś w rodzaju wdzięczności.

Jako agent specjalny stał na czele nowojorskiego oddziału do spraw terroryzmu krajowego. Od chwili, kiedy przyjął meldunek, podejrzewał, że sprawa tego bezczelnego rozboju trafi na jego biurko. Nie chodziło o to, że boi się skomplikowanych zadań, koordynowania pracy dziesiątków agentów, policjantów, analityków, techników laboratoryjnych, psychologów, fotografów i niezliczonych rzesz innych specjalistów. Przecież od początku właśnie to chciał robić.

Zawsze czuł, że może zmieniać wszystko.

Nie. Że naprawdę zmieni. Zrobi to.

To uczucie skryształizowało się podczas studiów prawniczych w Notre Dame. Reilly czuł, że jego życie potoczyło się nie tak, jak powinno – śmierć ojca, kiedy miał zaledwie dziesięć lat, była dla niego bardzo bolesnym ciosem. Chciał, żeby świat był lepszy, przynajmniej dla innych, jeżeli już nie dla niego. Ten zamiar powziął w dniu, kiedy przygotowując esej na temat przestępstw na



tle rasowym, uczestniczył w wiecu białych nacjonalistów w Terre Haute. To wydarzenie bardzo poruszyło wyobraźnię Reilly'ego. Czuł wtedy obecność zła w czystej postaci – za wszelką cenę chciał zrozumieć istotę zła, by z nim walczyć.

Jego pierwotny plan w zasadzie nie wypalił. Na fali młodzieńczego entuzjazmu postanowił zostać pilotem myśliwca w marynarce wojennej. Pomysł, by walczyć ze złem z kokpitu srebrnego tomcata wydawał mu się znakomity. Miał szczęście – okazał się rekrutem, jakiego potrzebuje marynarka wojenna. Niestety, dowództwo miało w stosunku do niego inne plany. W koszarach roiło się od chętnych zostać asami powietrznych przestrzeni, a marynarka wojenna potrzebowała prawników. Komisja rekrutacyjna robiła, co mogła, żeby zgłosił się do korpusu prawnego. Reilly przez jakiś czas walczył z myślami, ale w końcu postanowił wrócić do cywila i skupić się na aplikacji adwokackiej w stanie Indiana.

Przypadkowe spotkanie w antykwariacie zmieniło bieg jego życia, tym razem, jak się wydaje, na dobre. Tam właśnie poznał emerytowanego agenta FBI, który z entuzjazmem opowiadał mu o tej pracy i zachęcał go do złożenia papierów. Reilly uczynił to, gdy tylko zdał egzaminy adwokackie. Jego matka nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona do tego pomysłu. Uważała, że nie po to spędził siedem lat na uniwersytecie, by skończyć jako „gliniarz z wyższej półki”, jak o nim mówiła. Ale Reilly był przekonany, że dokonał właściwego wyboru.

Po roku pracy w Chicago, kiedy był jeszcze całkiem zielony, bo zlecano mu drobne włamania i handel narkotykami na ulicach, dwudziestego szóstego lutego 1993 roku wszystko się nagle zmieniło. Tego dnia wybuchła bomba na parkingu Centrum Handlu Światowego, zabijając sześć osób i raniąc przeszło tysiąc. Konspiratorzy mieli zamiar wysadzić i przewrócić jedną z wież na drugą, jednocześnie wypuszczając w powietrze chmurę cyjanku. Brak pieniędzy uniemożliwił im wtedy osiągnięcie ostatecznego celu. Nie mieli dość pojemników z gazem, żeby zdetonować bombę, a jeden z niższych rangą członków organizacji terrorystycznej umieścił ją w niewłaściwym miejscu.

Ten atak, chociaż się nie powiódł, był poważnym sygnałem ostrzegawczym. Wykazał, że niewielka grupka niezbyt przebiegłych fanatyków, mając bardzo ograniczone fundusze, może spowodować ogromne zniszczenia. Agencje wywiadowcze się prześcigały, by właściwie i skutecznie przeciwdziałać nowym zagrożeniom w nowej rzeczywistości.

Nie minął rok, odkąd Reilly rozpoczął karierę w FBI, a już znalazł się w nowojorskim biurze agencji. Zasłużyło ono na reputację najgorszego ze wszystkich możliwych miejsc pracy z uwagi

na wysokie koszty życia w Nowym Jorku i problemy z dojazdami, związane z koniecznością mieszkania na peryferiach, jeżeli człowiek chciał, by mieszkanie było większe niż schowek na miotły. Zważywszy jednak, że w tym mieście zawsze się działo więcej niż gdziekolwiek w kraju, dla większości młodych niedoświadczonych agentów specjalnych była to posada wręcz wymarzona. Reilly był właśnie takim agentem, kiedy oddelegowywano go do pełnienia obowiązków w Nowym Jorku.

Teraz już nie był w tym mieście ani nowy, ani niedoświadczony.

Rozglądając się wokół siebie, Reilly wiedział, że uporządkowanie chaosu, który widział na każdym kroku, pochłonie większość jego czasu i wokół tego kręcić się będzie jego życie w najbliższej przyszłości. Postanowił nie zapomnieć rano o telefonie do ojca Bragga. Musi mu dać znać, że nie przyjdzie na trening piłki nożnej. Źle się czuł, gdy sprawiał zawód dzieciakom. Jeżeli było coś, co czasem stawiał ponad obowiązki zawodowe, to właśnie te niedziele w parku. I tak pewnie spędzi niedzielę w Central Parku, ale z innych, mniej przyjemnych powodów.

– Zajrzymy do środka? – zagadnął go Aparó.

– Czemu nie? – Reilly wzruszył ramionami, rzucając ostatnie spojrzenie na scenę surrealistycznego zabójstwa.

## Rozdział 5

Reilly i Aparo, stąpając ostrożnie między porozrzucanymi wszędzie resztkami eksponatów i śmieci, ogarniali wzrokiem zniszczenia w muzeum.

Wszędzie walały się bezcenne relikwie, przeważnie do tego stopnia zniszczone, że nie udało się ich odtworzyć. Nigdzie nie było żółto-czarnej taśmy policyjnej. Cały gmach uznano za miejsce przestępstwa. Podłoga Sali Wielkiej przypominała martwą naturę z odrażającą kwintesencją zniszczenia: odpryski marmuru, okruchy szkła, rozlane szeroko plamy krwi. To materiał dla techników. Może naprowadzi ich na jakiś trop, ale w tym powszechnym bałaganie może też doprowadzić donikąd.

Spojrzał w przelocie na kilkunastu techników ubranych w białe fartuchy, którzy od jakiegoś czasu systematycznie przedzierali się przez góry śmieci, a teraz pracowali ramię w ramię z zespołem szybkiego reagowania FBI. Reilly próbował zebrać punkt po punkcie, co wiedzą. Czterech jeźdźców. Pięciu zabitych. Trzech gliniarzy, jeden strażnik i jeden cywil. Kolejnych czterech gliniarzy i dwanaścioro cywilów rannych, dwoje w stanie krytycznym. Kilkanaście osób z ranami ciętymi od spadających fragmentów szkła i ponad dwa razy tyle poobijanych i posiniaczonych. I wystarczająco wiele przypadków szoku, żeby stada psychoterapeutów przez kilka miesięcy na okrągło miały co robić.

Po drugiej stronie korytarza zastępca dyrektora FBI, Tom Jansson, rozmawiał z chudym jak szczapa kapitanem wydziału śledczego z dziewiętnastego posterunku. Spierali się o kwalifikację prawną, ale spierać się właściwie nie było o co. Udział Watykanu i spore prawdopodobieństwo, że to, co się stało, było aktem terroru, oznaczały, że dowództwo nad śledztwem policja nowojorska szybko przekaże oficerom FBI. Ośladzał im tę sytuację fakt, że kilka lat wcześniej osiągnięto porozumienie między tymi dwoma instytucjami. Kiedy trzeba kogoś aresztować, cała gloria i chwała spada na policję nowojorską, niezależnie od tego, kto naprawdę schwyta przestępcę. Funkcjonariusze FBI wystawiali piersi do orderów tylko wtedy, gdy sprawa znalazła się w sądzie, oficjalnie pomagając w skazaniu. A jednak rozdmuchane ego wysokich rangą oficerów często stawało na drodze zdroworozsądkowej współpracy – na to chyba zanosilo się i w tym przypadku.

Aparo przywołał gestem mężczyznę, którego Reilly nie rozpoznał. Niezależnie od tego, kto

to był, zbyt ciasna sportowa marynarka i pomięte spodnie świadczyły, że jest kumplem jego partnera. Pod granatową kurtką FBI Aparo nosił brązowy garnitur kupiony byle gdzie; odcinał się od szytych na miarę szarych garniturów, w które – podobnie jak większość agentów specjalnych – ubierał się Reilly. Aparo przedstawił mu teraz detektywa Steve’a Buchińskiego i mężczyźni podali sobie ręce.

– Steve chętnie nam pomoże, jak już się skończy przepychanka o to, kto ma większego fiuta – powiedział Aparo, wskazując głową ciągnącą się w nieskończoność debatę między ich przełożonymi.

– Powiedźcie mi tylko, czego wam trzeba – powiedział Buchiński. – Równie chętnie jak wy przyskrzynię tych skurwysynów.

To dobry początek, pomyślał Reilly, uśmiechając się z wdzięcznością do gliniarza o surowym spojrzeniu.

– Oczy i uszy na ulicy. Tego nam teraz najbardziej potrzeba – odparł. – Wy w policji macie odpowiednich ludzi i sieć informatorów.

– Już nad tym pracujemy. Kilku „pistoletów” wypożyczę z komisariatu w Central Parku, to nie powinien być problem – obiecał Buchiński. Komisariat dziewiętnasty graniczył z komisariatem nadzorującym park; konne patrole to dla policjantów chleb z masłem. Reilly’emu przemknęło przez myśl, czy nie tam należałoby szukać jakiegoś związku ze sprawą, i postanowił później do tego wrócić.

– Moglibyście nam pomóc w prowadzeniu przesłuchań w dalszej części śledztwa – powiedział Reilly do policjanta.

– To fakt, toniemy po uszy w świadkach – przyznał Aparo, wskazując na potężne schody prowadzące na piętro. Większość pomieszczeń biurowych na górze służyła teraz za tymczasowe pokoje przesłuchań.

Reilly odwrócił się w tamtą stronę i zobaczył agentkę Amelię Gaines schodzącą po schodach. Jansson przekazał tej zadziwiająco pięknej rudowłosej kobiecie dowodzenie grupą przesłuchującą świadków. A to, oczywiście, miało sens, bo ludzie bardzo chętnie rozmawiali z Amelią Gaines. Tuż za nią szła blondynka, która trzymała w ramionach własną maleńką replikę. Córeczka, domyślił się Reilly. Dziewczynka wyglądała na głęboko uśpioną.

Reilly raz jeszcze przyjrzał się twarzy blondynki. Zazwyczaj w obecności Amelii wszystkie inne kobiety wypadały blado i przestawało się je zauważać.

Ale nie ta.

Nawet po przeżytych szoku było w tej kobiecie coś, co po prostu nie pozwalało oderwać od niej wzroku. Spotkali się na moment wzrokiem, potem ona rozejrzała się po resztkach eksponatów rozsianych na podłodze. Kimkolwiek jest, wygląda na poważnie wstrząśniętą.

Reilly przyglądał się, jak idzie w kierunku drzwi, zręcznie nawigując pośród szczątków wystawy. Inna kobieta, starsza, ale przypominająca ją nieco z wyglądu, podążała tuż za nią. Wszystkie trzy wyszły na zewnątrz.

Reilly wrócił do rzeczywistości i powiedział:

– Pierwsze przesłuchanie świadków przez sito przesłuchań to zazwyczaj olbrzymia strata czasu, ale musimy trzymać się procedur i rozmawiać ze wszystkimi. Nie stać nas na to, żeby ten etap pominąć.

– Prawdopodobnie w tym przypadku będzie to podwójna strata czasu. Bo cała rzecz jest nagrana na taśmie. – Buchinski wskazał palcem jedną kamerę wideo, a potem kolejną: część systemu ochrony muzeum. – Nie mówiąc już o materiale, który nakręcili operatorzy ekip telewizyjnych na zewnątrz.

Reilly wiedział z doświadczenia, że szczególne środki bezpieczeństwa były ważne podczas śledztwa w sprawie przestępstw dokonywanych z użyciem wysokich technologii, ale w żadnej z procedur śledczych nie wzięto pod uwagę pojawienia się jeźdźców na koniach z mieczami, stosujących tak prymitywną technikę zabijania.

– Cudnie – skinął głową. – Przyniosę popcorn.

## Rozdział 6

Zza potężnego mahoniowego stołu kardynał Mauro Burgnone rozglądał się po ścianach wysokiej komnaty położonej w samym sercu Watykanu i po twarzach siedzących przy stole pozostałych kardynałów. Chociaż jako jedyny kardynał biskup Burgnone przewyższał pozostałych rangą piastowanego urzędu, celowo nie zasiadł u szczytu stołu. Lubił atmosferę demokracji nawet tutaj, chociaż wiedział, że wszyscy będą mu się nisko kłaniać. Wiedział o tym i akceptował ten zwyczaj nie z dumą, ale z czystego pragmatyzmu. Z posiedzeń komitetów, którym nikt nie przewodniczył, nigdy nic konkretnego nie wynika.

Ta nieszczęsna sytuacja nie wymagała jednak ani komitetu, ani przywódcy. Było to coś, z czym Burgnone będzie musiał sobie poradzić sam. To wiedział na pewno od momentu, kiedy obejrzał w telewizji transmitowane na cały świat relacje reporterów.

Jego wzrok spoczął w końcu na kardynale Pasquale Rienzi. Chociaż był kardynałem diakonem, z nich wszystkich najmłodszym rangą, Rienzi był zaufanym współpracownikiem Burgnone. Podobnie jak inni siedzący za stołem Rienzi z osłupieniem wpatrywał się w leżące przed nim na stole sprawozdanie. Podniósł głowę i napotkał wzrok Burgnone. Jak zwykle błady i przejęty, natychmiast delikatnie odkaszlnął.

– Jak mogło do tego dojść? – spytał jeden z kardynałów. – W samym sercu Nowego Jorku? W Metropolitan Museum... – pokręcił głową z niedowierzaniem.

Co za bezdenna głupota, myślał Burgnone. Wszystko się może zdarzyć w Nowym Jorku. Czy zniszczenie budynków World Trade Center nie było tego najlepszym dowodem?

– Przynajmniej arcybiskupowi nic się nie stało – stwierdził ponuro inny kardynał.

– Wynika z tego, że sprawcy zbiegli. Czy policja jeszcze nie wie, kto stoi za tym... okropieństwem? – spytał kolejny głos.

– To kraj kryminalistów. Wariatów zapatrzonych w amoralne programy telewizyjne i w sadystyczne gry wideo – dorzucił inny. – Amerykańskie więzienia od dawna pękają w szwach.

– Ale dlaczego tak się ubrali? Czerwone krzyże na białych płaszczach... Udawali templariuszy? – spytał kardynał, który rozpoczął dyskusję.

Tak, właśnie tak, pomyślał Burgnone. Z tego powodu w jego głowie rozbrzmiewał

najgłośniejszy dzwonek alarmowy. Dlaczego sprawcy przebrali się za templariuszy? Czy po prostu chcieli odwrócić uwagę sprytnym przebraniem, by pochwycić wszystko, co im wpadnie w ręce? Czy też strój czterech jeźdźców trzeba uznać za coś głębszego, znacznie bardziej niepokojącego?

– Co to jest wielozębatkowe urządzenie kodujące? Burgnone podniósł gwałtownie głowę. Pytanie zadał najstarszy z obecnych w sali kardynałów.

– Wielo... co? – wykrztusił.

– Eksponat numer 129 – odczytał starszek. Trzymał dokument tuż przy oczach, był krótkowidzem. – Szesnasty wiek. Wielozębatkowe urządzenie kodujące. Numer katalogowy VNS 1098. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co to jest?

Burgnone udawał, że ogląda badawczo kopię e-maila, którą trzyma w dłoniach, z listą przedmiotów skradzionych podczas napadu. Znowu poczuł dreszcz – ten sam dreszcz, który wstrząsnął nim, kiedy pierwszy raz ujrzał to urządzenie na liście. Starał się zachować twarz pokerzysty. Nie unosząc głowy, spojrzał przelotnie na pozostałych siedzących przy stole. Nikt inny nie zareagował.

A dlaczegóż mieliby reagować? Była to wiedza zastrzeżona dla wybranych.

Odsunął od siebie kartkę papieru i rozparł się wygodnie w fotelu.

– Cokolwiek by to było – powiedział z kamienną twarzą – ci gangsterzy nam to zabrali. – Spojrzał na Rieniego. – Może Wasza Eminencja podejmie się informowania nas na bieżąco. Proszę skontaktować się z policją i zażądać, żeby nas dokładnie informowano, jak przebiega śledztwo.

– Z FBI, nie z policją – poprawił Rienzi. Burgnone uniósł brwi. – Rząd amerykański traktuje tę sprawę bardzo poważnie – dodał.

– Tak być powinno – burknął najstarszy kardynał z drugiej strony stołu. Burgnone był zadowolony, że starszek zapomniał o urządzeniu, o które dopiero co pytał.

– Oczywiście – mówił dalej Rienzi – zapewniono mnie, że wszystko, co w ludzkiej mocy, zostanie zrobione.

Burgnone skinął głową, a potem wymownie spojrzał na Rieniego. Wyraźnie dawał mu do zrozumienia, że powoli czas kończyć.

Ludzie zawsze z szacunkiem odnosili się do Maura Burgnone. Przypuszczał, że jego wygląd kojarzy im się z imponującą siłą fizyczną. Gdyby pominąć księżą sutannę, wiedział, że

przypomina niedźwiedziowatego Kalabryjczyka – ramiona miał potężne jak rolnik, którym byłby do tej pory, gdyby Kościół nie powołał go do służby Bogu ponad pół wieku temu. Surowy wyraz twarzy i dbałość o maniery, które nabywał przez wszystkie lata, od początku wprowadzały rozmówcę w błąd – dochodził szybko do wniosku, że ma do czynienia z prostaczkiem, świętym idiotą wybranym przez Boga. Był rzeczywiście człowiekiem Kościoła, ale osiągnął tak wysoką pozycję w hierarchii, że wielu bystrzejszych dochodziło do kolejnego błędnego wniosku – że jest manipulatorem i intrygantem. Nie miał inklinacji do takich zabiegów, ale nigdy nie starał się tego prostować. Czasami opłacało się pozostawić ich w niepewności, chociaż był to również rodzaj manipulacji. Dziesięć minut później Rieni zrobił to, o co został poproszony.

Kiedy kardynałowie rzędkiem wyszli z sali obrad, Burgnone opuścił ją innymi drzwiami i ruszył korytarzem w kierunku klatki schodowej, która prowadziła z budynku na zakryty sklepieniem podwórzec. Poszedł dalej wyłożoną ceglami ścieżką przez plac zwany Belwederem i obok posągu Apollina do budynku, w którym znajdowała się olbrzymia biblioteka watykańska, sławne Archivio Segreto Vaticano – tajne archiwa watykańskie.

Archiwa nie były właściwie szczególnie tajne. Większą część zbiorów oficjalnie udostępniono w 1998 roku pracownikom naukowym z zewnątrz, którzy przynajmniej teoretycznie mieli dostęp do ściśle chronionych tajemnic. Pośród cennych dokumentów złożonych na półkach (łączniej długości sześćdziesięciu kilometrów), znajdowały się odręczne zapiski z procesu Galileusza i petycja od Henryka VIII starającego się o unieważnienia małżeństwa.

Nikogo z zewnątrz jednak nie wpuszczono by tam, gdzie udawał się teraz Burgnone.

Nie zaprzatając sobie głowy powiadamianiem personelu ani naukowców pracujących w zakurzonych korytarzach archiwum, cicho udawał się głębiej – do obszernych, mrocznych magazynów. Zszedł po wąskich krętych schodach aż do małego przedpokoju, w którym stał żołnierz Gwardii Szwajcarskiej przed wymyślnie rzeźbionymi drzwiami. Lekkie skinienie głowy kardynała wystarczyło, by strażnik wystukał kombinację cyfr na małej klawiaturze przy framudze, otwierając zamek. Zasuwa wydała metaliczny dźwięk, a jego echo odbiło się od nagich stopni schodów z piaskowca. Burgnone wszedł do krypty o beczkowatym kształcie, a drzwi zaskrzypiały i zamknęły się za nim głucho.

By sprawdzić, czy jest sam w przypominającej jaskinię komnacie, musiał poczekać, aż oczy przywykną do półmroku. Wtedy dopiero podszedł do katalogów. Jak zwykle wydawało mu się,



że cisza w krypcie aż dźwięczy. Kiedyś nawet go to niepokoiło, dopóki się nie dowiedział, że tuż poza granicą słyszalności rzeczywiście wydobywa się szum z bardzo skomplikowanej klimatyzacji, utrzymującej w pomieszczeniu odpowiednią temperaturę i wilgotność. Teraz wysunął szufladę katalogu i poczuł, jak żyły mu nabrzmiały mimo wysuszonego powietrza w tej kontrolowanej komputerowo aurze. Tak naprawdę wcale nie lubił tu przychodzić, ale tej wizyty nie mógł uniknąć. Palce mu drżały, kiedy przeglądał rzędy kart katalogowych. To, czego szukał Burgnone, nie było umieszczone w żadnym ze znanych indeksów i katalogów kolekcji archiwalnych, nie było tego nawet w Schedario Garampi, monumentalnym katalogu zawierającym niemal milion pozycji, w którym można było znaleźć właściwie wszystko, co mieściło archiwum, aż do XVIII wieku. Burgnone jednak wiedział, gdzie tego szukać. Postarał się o to jego mentor tuż przed śmiercią.

Jego wzrok spoczął na karcie, której szukał, i Burgnone wyciągnął ją spośród innych spoczywających w szufladzie.

Przekonany, że znajdzie to na miejscu, Burgnone przedzierał się przez stopy foliałów i ksiąg. Końcówki czerwonej wstążki, którą owinięte były oficjalne dokumenty, zwisały smętnie z każdej półki. Poczul drętwienie w palcach, gdy w końcu dotknął dzieła, którego szukał.

Z wysiłkiem sięgnął na półkę i zdjął spory, bardzo stary, oprawiony w skórę tom. Położył go na prostym drewnianym stole.

Burgnone usiadł i zaczął przerzucać grube, bogato ilustrowane stronicę, które szeleściły głośno w ciszy podziemi. Nawet w tym kontrolowanym elektronicznie środowisku upływ czasu pozostawił na księdze wyraźne ślady. Papier welinowy był podniszczony, a związki żelaza obecne w atramencie przeżerały na wylot strony, tworząc maleńkie przecięcia, które powoli zastępowały kunsztowne pociągnięcia piórem kopisty.

Burgnone poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Wiedział, że jest już blisko. Odwracając kartkę, na której przed jego oczami pojawiła się informacja, której szukał, miał wrażenie, że coś go chwyta za gardło i dusi.

Spojrzał na ilustrację. Opisywała skomplikowany układ wzajemnie zazębiających się kółeczek i dźwigienek. Spojrzał na kserokopię wiadomości elektronicznej i pokiwał głową. Burgnone poczuł, że gdzieś z tyłu głowy, za oczami, nadchodzi potężna migrena. Przetarł oczy i skronie, a potem raz jeszcze spojrzał na rysunek. Wzbierała w nim cicha furia.

Jakim sposobem i dzięki jakim intrygom w ogóle do tego doszło? Wiedział, że urządzenie

nie powinno opuszczać murów Watykanu; był straszliwie wściekły na siebie samego. Rzadko tracił czas na głośne stwierdzanie lub myślenie o oczywistościach; to, że teraz właśnie to czynił, było oznaką wielkiego niepokoju. Niepokój to nie jest właściwe słowo. To odkrycie nim wstrząsnęło, przeżył głęboki szok. Każdy byłby zszokowany, gdyby znał przeznaczenie tego historycznego urządzenia. Na szczęście osób znających legendę związaną ze skonstruowaniem tej szczególnej maszyny było niewiele nawet tutaj, w Watykanie.

Sami ściągnęliśmy sobie kłopot na głowę. Doszło do tego, ponieważ odwróciliśmy oczy i przestaliśmy być ostrożni, pomyślał.

Czując, że opada z sił, Burgnone zmusił się, żeby wstać. Zanim podszedł do półki i odłożył książkę na miejsce, wsadził kartę katalogową między jej stronicę. Było mało prawdopodobne, by ktoś przypadkiem się na to natknął.

Burgnone westchnął, czując na karku każde ze swoich siedemdziesięciu lat. Wiedział, że zagrożeniem nie jest ani żaden wścibski naukowiec, ani bezwzględny i zdeterminowany kolekcjoner. Ten, kto za tym stoi, wie dokładnie, czego potrzebuje. I należy go powstrzymać, zanim wykradziona wiedza doprowadzi do ujawnienia głęboko skrywanej tajemnicy.

## Rozdział 7

Sześć tysięcy kilometrów dalej inny mężczyzna rozmyślał o czymś zupełnie innym.

Zamknął za sobą drzwi na zamek, po czym podniósł skomplikowaną maszynę ze szczytu schodów, z miejsca, na którym ją postawił. Następnie powoli ruszył w dół, do piwnicy, uważając, by jej nie upuścić. Maszyna nie była zbyt ciężka, ale nie chciał jej uszkodzić.

Na pewno nie teraz.

Nie teraz, kiedy los zrządził, że ma ją wreszcie w rękach, i na pewno nie teraz, kiedy włożył tyle wysiłku, żeby wejść w jej posiadanie.

Piwnica, choć pełgało po niej światło kilkunastu świec, była zbyt przestronna, żeby żółte płomienie oświetliły każdy zakamarek. Było tu nie tylko ponuro, ale zimno i wilgotno. Nie zauważał tego. Spędzał w piwnicy tyle czasu, że zdołał się przyzwycząić i nie odczuwał już dyskomfortu. To miejsce było jego domem, jeżeli cokolwiek mógł teraz nazwać domem.

Odległe wspomnienia. Inne życie.

Postawił maszynę na zapadniętym nieco drewnianym stole i poszedł do narożnika piwnicy, w którym znajdowała się sterta tekturowych pudeł i starych szuflad katalogowych. Znalazł tę, którą była mu potrzebna; położył ją na blacie, otworzył i ostrożnie wyjął z niej papierową teczkę. Z teczki wyciągnął kilka kartek grubego papieru, które ułożył starannie obok maszyny. Następnie usiadł i przeniósł wzrok z dokumentów na maszynę złożoną ze skomplikowanych zębatek, potem znów spojrzął na papiery, napawając się tą chwilą.

– Nareszcie – mruknął pod nosem. Głos miał cichy, ale ochrypli, bo rzadko się odzywał.

Chwycił w dłoń ołówek i skupił się na pierwszym z leżących przed nim dokumentów. Spojrzął na pierwszą linijkę wyblakłego tekstu, potem sięgnął dłonią do guzików na przednim panelu maszyny i pomyślał, że oto rozpoczyna kolejny, najważniejszy etap osobistej odysei.

Odysei, której ostatni dzień wstrząśnie światem.

## Rozdział 8

Tessie udało się w końcu parę godzin temu zasnąć, a teraz znów leżała z otwartymi szeroko oczami. Nie mogła się doczekać, kiedy zabierze się za to, co nie dawało jej spokoju, a co zobaczyła tuż przed rozmową z Clive'em Edmondsonem w Metropolitan, zanim rozpętało się to piekło. Weźmie się do tego, jak tylko Kim i matka wyjdą z domu.

Matka Tessy, Eileen, wprowadziła się do ich piętrowego domu stojącego przy spokojnej ulicy ocienionej drzewami w Mamaroneck tuż po tym, jak ojciec Tessy, archeolog Oliver Chaykin, trzy lata temu zmarł. Choć Tessa sama jej to zaproponowała, nie do końca uważała ten pomysł za najszcześniejszy. W domu były jednak trzy oddzielne sypialnie i sporo miejsca, żeby sobie w trójkę nie musiały deptać po piętach, a obecność matki znacznie ułatwiła Tessie życie. W końcu wszystko ułożyło się bardzo dobrze i Tessa musiała przyznać z lekkim poczuciem winy, że skorzystała na tym najwięcej. Eileen opiekowała się dzieckiem wieczorami, gdy Tessa chciała gdzieś wyjść, albo zawoziła Kim do szkoły, gdy było trzeba.

– Idziemy – zawołała Eileen.

Tessa weszła do hollu, żeby się z nimi pożegnać. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Eileen spojrzała pytająco na Tessę.

– Odbierasz?

– Niech się nagra na sekretarce.

– Będziesz musiała z nim wcześniej czy później porozmawiać.

– Tak, ale w przypadku Douga zawsze lepiej, żeby to było później – skrzywiła się Tessa.

Domyślała się, dlaczego jej były mąż dzwoni i z uporem maniaka nagrywa się na automatycznej sekretarce. Doug Merritt, prezenter wiadomości wieczornych w stacji telewizyjnej z Los Angeles, był całkowicie zaabsorbowany pracą. Jego umysł zawsze działał jednokierunkowo. Bez trudu się domyślił, że Tessa była wczoraj wieczorem w Metropolitan i wobec tego będzie coś wiedziała o wczorajszym napadzie. Albo wskaże mu jakiś kontakt, który on wykorzysta, by dowiedzieć się czegoś, czego nie wiedzą inni, i zrobić z tego największą sensację roku. Ostatnią rzeczą, którą chciała mu powiedzieć, było to, że nie tylko była w muzeum, ale i że wzięła ze sobą Kim. Dałaby mu w ten sposób amunicję, której bez wahania użyłby przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Kim.

Tessa zdawała sobie sprawę, że jej córka bardzo przeżyła wczorajszy wieczór, nawet w miarę bezpieczna w muzealnej toalecie. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała z nią o tym porozmawiać. Opóźniona reakcja – a ta nastąpi na pewno – dawała jej czas, żeby się lepiej przygotować do rozmowy. Wcale się na nią nie cieszyła. Nie mogła znieść myśli, że zaciągnęła tam córkę, mimo że obciążanie się winą było po prostu bezsensowne.

Spojrzała na Kim raz jeszcze z rozczuleniem i wdzięcznością, że oto mała stoi przed nią i że nic jej się nie stało. Kim wykrzywiła buzię, uważając zainteresowanie matki jej osobą za nadmierne.

– Mamo, przestań już.

– O co chodzi?

– Przestań na mnie tak dziwnie patrzeć. Wszystko w porządku, rozumiesz? Nic się nie stało. To przecież ty podglądasz horrory przez palce albo zamykasz oczy.

Tessa skinęła głową.

– Dobrze. To na razie.

Patrzyła, jak odjeżdżają, a potem poszła do kuchni. Na blacie migotało światelko automatycznej sekretarki; miała cztery wiadomości. Spojrzała na światelko z głęboką odrazą. Bezczelny gnojek. Sześć miesięcy temu Doug ożenił się po raz drugi. Jego nowa żona miała dwadzieścia parę lat, była poprawioną chirurgicznie szefową jakiejś tam stacji telewizyjnej. Ta zmiana stanu cywilnego doprowadzi do tego – Tessa była o tym przekonana – że wystąpi do sądu o zmianę częstotliwości wizyt córki. Nie chodziło o to, że za nią tęsknił albo ją kochał, lub że w ogóle go obchodziła – była to po prostu kwestia jego nadętego ego i czysta złośliwość. Ten mężczyzna był złośliwą gnidą i Tessa wiedziała, że będzie musiała walczyć z jego napadami ojcowskiej troski, dopóki prześliczna nowa żonka nie zajdzie w ciążę. Wtedy, przy odrobinie szczęścia, straci zainteresowanie i zostawi je w spokoju.

Tessa naląła sobie kubek czarnej kawy, a potem przeszła do swojego gabinetu.

Włączyła laptop i chwyciła za słuchawkę telefonu. Udało jej się dowiedzieć, że Clive Edmondson leży w nowojorskim Szpitalu Prezbiteriańskim przy Sześćdziesiątej Ósmej Wschodniej. Dodzwoniła się do szpitala i powiedziano jej, że Clive wprawdzie nie jest w ciężkim stanie, ale będzie musiał jeszcze parę dni poleżeć.

Biedny Clive. Zanotowała godziny odwiedzin w szpitalu.

Otworzyła katalog nieszczęsnej wystawy, przewracała strony, aż znalazła opis urządzenia, które zabrał czwarty jeździec.

Figurowało tam pod nazwą wielozębatkowego urządzenia kodującego.

Z opisu wynikało, że jest to urządzenie kryptograficzne, datowane na szesnasty wiek. Stare i interesujące, być może, ale na pewno nie coś, co kwalifikowałyby je jako „skarb” Watykanu.

Komputer odpalał poszczególne programy, a ona po chwili otworzyła akademicką bazę danych i wpisała hasło „kryptografia” i „kryptologia”. Linki odsyłały głównie do stron internetowych o charakterze technicznym i opisywały współczesną kryptografię w związku z kodami komputerowymi i zaszyfrowanymi elektronicznie pakietami danych. Tessa próbowała się przebić przez hasła, które podsuwał jej komputer, i w końcu trafiła na stronę traktującą o historii kryptografii.

Szperając po witrynach, znalazła też stronę prezentującą kilka wczesnych urządzeń kodujących. Pierwsze, na które się natknęła, to urządzenie szyfrujące Wheatstone’a z XIX wieku. Składało się z dwóch koncentrycznych pierścieni, na zewnętrznym było dwadzieścia sześć liter alfabetu i jedno puste miejsce, a na wewnętrznym tylko alfabet. Dwie tarcze, takie jak w zegarze, służyły do podstawiania liter z zewnętrznego pierścienia pod kodowane litery z pierścienia wewnętrznego. Osoba otrzymująca kodowaną wiadomość musiała mieć identyczne urządzenie i wiedzieć, jak ustawić oba pierścienie. Maszyna Wheatstone’a była używana przez kilka lat, zanim Francuzi wymyślili kryptograf cylindryczny, który miał dwadzieścia dysków z literami na zewnętrznych pierścieniach; wszystkie były ustawione na środkowym wałku, komplikując jeszcze bardziej rozszyfrowanie zakodowanej wiadomości.

Tessa przesuwiała strony w dół, kiedy jej wzrok padł na rysunek urządzenia, które wyglądało na pierwszy rzut oka dość podobnie do tego zapamiętanego z muzeum.

Przeczytała podpis i zamarła.

Nazywano je „konwerterem”. Był to wczesny model urządzenia kodującego opartego na koncepcji wirnika i używano go w armii amerykańskiej w latach czterdziestych XX wieku.

Przez chwilę miała wrażenie, że stanęło jej serce. Wpatrywała się z niedowierzaniem w te słowa. Lata czterdzieste – i to miało być „wczesne”?

Zaintrygowana przeczytała artykuł. Urządzenie kodujące oparte na ruchu wirnika to wynalazek dwudziestowieczny. Tessa oparła się mocno plecami o fotel, potarła dłońmi czoło i wróciła do pierwszej ilustracji na ekranie, po czym ponownie przeczytała opis. Na pewno nie to

samo, ale bardzo, bardzo podobne. I znacznie bardziej zaawansowane technologicznie niż urządzenia do szyfrowania oparte na jednym dysku.

Jeżeli rząd amerykański uważa, że wymyślona przez jego specjalistów maszyna to wczesny wynalazek, to trudno się dziwić, że Watykan chętnie się pochwalił jednym z urządzeń, które wyprzedzało wynalazek armii amerykańskiej o co najmniej sześćset lat!

Ta sprawa nie dawała jednak Tessie spokoju.

Ze wszystkich błyszczących złotem i drogimi kamieniami przedmiotów, które mógł zabrać, czwarty jeździec wybrał właśnie tę skomplikowaną maszynę. Dlaczego? Wiedziała, że ludzie kolekcjonują najdziwniejsze przedmioty, ale dziwactwo tego człowieka nie mieściło jej się w głowie. Zastanawiała się, czy przypadkiem się nie pomylił. Ale zaraz odsunęła od siebie tę myśl. Wyglądało na to, że ów mężczyzna dokładnie wiedział, po co tam wtargnął.

Co więcej, wziął tylko to, nie zabrał nic innego. Zależało mu wyłącznie na tej maszynie.

Pomyślała o Amelii Gaines, kobiecie, która wyglądała bardziej jak modelka z telewizyjnej reklamy szamponu niż jak agentka FBI. Tessa była przekonana, że śledczy chcą faktów, a nie spekulacji, ale po krótkim namyśle wróciła do sypialni, znalazła wieczorową torebkę, którą miała na sobie ubiegłej nocy w Metropolitan, i wyciągnęła z niej wizytówkę Gaines.

Położyła wizytówkę na biurku i przypomniała sobie chwilę, w której czwarty jeździec podniósł maszynę kodującą. Ten sposób, w jaki ją podnosił i jak trzymał ją z nabożeństwem, coś szepcząc pod nosem.

Tak to właśnie wyglądało – trzymał ją... z nabożeństwem.

Co takiego mówił? Tessa była wczoraj w muzeum zanadto wzburzona, żeby się nad tym w ogóle zastanawiać, ale teraz nagle nie potrafiła myśleć o niczym innym. Skoncentrowała się na tamtej chwili, wypychając ze świadomości wszystko inne; ponownie przeżywała widok rycerza podnoszącego urządzenie kodujące. I mówiącego... Co? Myśl, kobieto.

No tak, powiedziała to przecież Amelii Gaines, była prawie pewna, że pierwszym słowem, jakie usłyszała, było *veritas*... Ale co potem? *Veritas! Veritas...* i co dalej?

*Veritas vos!* To brzmiało jakoś znajomo. Przeczesała pamięć, usiłując wydobyć z niej jakieś zdanie, ale wszystko na nic. Słowa jeźdźca zagłuszył dźwięk wystrzałów gdzieś za jego plecami.

Tessa postanowiła, że musi jej wystarczyć to, co ma. Wróciła do ekranu komputera i z paska skrótów wybrała link do najszybszej wyszukiwarki. Wpisała *Veritas vos* i uzyskała około

dwudziestu dwóch tysięcy rezultatów. Ale to tak naprawdę nie było ważne, pierwszy bowiem okazał się wystarczający.

Miała je przed oczami. Słowa krzyczały do niej z ekranu: Veritas vos liberabit.

Prawda was wyzwoli.

Gapiała się w te słowa z niedowierzaniem. Prawda was wyzwoli.

Wspaniale. Jej skomplikowana akcja detektywistyczna skończyła się odkryciem najbardziej trywialnego i wyświechtanego sloganu pod słońcem.



## Rozdział 9

Gus Waldron wyłonił się z podziemi metra przy Dwudziestej Trzeciej Zachodniej i ruszył na południe.

Nie znosił tej części miasta. Nie był zwolennikiem dorabiania sobie rodowodu przez nowojorczyków. On sam był od tego jak najdalszy. Na własnym terenie Gus, który rozmiarami przypominał niewielki budynek, wiedział, że nikt mu nie podskoczy. Tutaj postura wyróżniała go negatywnie na tle modnisiów i całego tego pedalstwa przelewającego się chodnikami Bóg wie gdzie, w swoich szytych na miarę garniturkach i fryzurach za dwieście dolców od głowy.

Skulił ramiona i udało mu się zbić ze dwa, może trzy centymetry wzrostu. Ale nawet wtedy był olbrzymim mężczyzną, a podkreślał to dodatkowo luźny i długi czarny płaszcz, który włożył. Nie mógł jednak ubrać się inaczej – płaszcz był mu potrzebny, by ukryć to, co niesie.

Skręcił w ulicę Dwudziestą Drugą, kierując się na zachód. Miał zamiar dojść do miejsca oddalonego o przecnicę od restauracji „Empire Diner”, zlokalizowanego w samym środku niewielkiego rzędu galerii sztuki.

Kiedy koło nich przechodził, zauważył, że na wystawach większości galerii stoi jeden, najwyżej dwa obrazy. Niektóre nie miały nawet ram, a metki z ceną nie widział przy żadnym.

Jak człowiek ma wiedzieć, do cholery, czy to jest coś warte, jeżeli nie wiadomo, ile kosztuje?

Od celu dzieliło go już tylko dwoje drzwi. Z zewnątrz można by pomyśleć, że galeria Luciena Boussarda wygląda jak jedna z wielu modnych galerii antyków. W rzeczywistości była czymś znacznie więcej. Podróbki i dzieła co najmniej dwuznacznego pochodzenia zarażały fałszem kilka autentycznie starych przedmiotów. Ale żaden z jego sąsiadów niczego nie podejrzewał, bo Lucien miał styl, akcent i maniery, które były kamuflażem dla niezbyt czystych interesów.

Teraz bardzo ostrożnie, uważnie rozglądając się w lewo i w prawo, by nie przeoczyć czegoś, co mogłoby być podejrzane, Gus przeszedł obok galerii, odliczył dwadzieścia pięć kroków, potem zatrzymał się i zawrócił. Udawał, że chce przejść przez ulicę, i wciąż nie widział niczego, co wzbudzałoby jego niepokój; potem wrócił i chwilę później znalazł się wewnątrz galerii. Poruszał się szybko i lekko, jak na mężczyznę tych gabarytów. A dlaczego nie? Podczas trzydziestu zawodowych walk nikt nigdy nie wyprowadził tak silnego ciosu, żeby go

znokautować. Padał na deski tylko wtedy, kiedy mu za to zapłacono.

Będąc już w środku, w galerii, jednej ręki nie wyjął z kieszeni, palcami dotykając beretty 92FS. Nie była to broń, którą takie misie jak on lubią najbardziej, ale ACP 45 już kilka razy przypadkowo mu wystrzelił – po sobotniej nocy noszenie ze sobą cobraya uznał więc za niemądre. Rozejrzał się szybko wokół siebie. Żadnych turystów, w ogóle żadnych klientów. Tylko właściciel galerii.

Niewielu było ludzi, których Gus lubił, ale nawet gdyby lubił wszystkich pozostałych, na pewno nie dotyczyłoby to Luciena Boussarda. Był to cwany mały gnojek. Wąska twarz, wąskie ramiona, długie włosy związane w kucyk.

Cholerny francuski pedzio.

Kiedy Gus wszedł do środka, Lucien podniósł na niego wzrok znad małego stolika o powyginanych nóżkach, przy którym siedział. Na twarzy wykwitł mu przyklejony radosny uśmiech, którym usiłował pokryć nagle zdenerwowanie, przyprawiające go o siódme poty. To była chyba jedyna cecha, którą Gus lubił w Lucieniu. Zawsze był potwornie zdenerwowany, tak jakby myślał, że Gus w każdej chwili może wyrządzić mu krzywdę. Mały, przylizany skurwiel – co do tego akurat się nie mylił.

– Gus! – z ust wydobył coś na kształt „Giss”, co Gusa jeszcze serdeczniej rozwścieczyło; zawsze zalewała go fala niechęci, kiedy słyszał wymawiane przez niego swoje imię.

Gus odwrócił się doń plecami i zamknął drzwi na zasuwę. Potem podszedł do stołu.

– Jest ktoś na zapleczu? – warknął. Lucien gwałtownie pokręcił głową.

– Mais non, mais non, voyons, nikogo nie ma, jestem sam. – Miał w dodatku irytujący zwyczaj powtarzania parokrotnie tych pedalskich francuskich wyrażonek. Może oni wszyscy tak robią.

– Nie spodziewałem się, że przyjdiesz, nie uprzedzałeś mnie...

– Morda w kubeł – warknął Gus. – Mam coś dla ciebie. – Wyszczrzył zęby. – Coś specjalnego.

Gus wyciągnął spod płaszcza papierową torbę i położył ją na stole. Jeszcze raz spojrzął w kierunku drzwi, żeby się upewnić, że żaden przechodzień nie zapuszcza żurawia do sklepu, po czym wyciągnął coś z torby. Przedmiot był owinięty w gazetę. Zaczął go odwijać, podnosząc głowę na Luciena.

Lucien obserwował go z otwartymi ustami, a kiedy Gus w końcu odwinął ów przedmiot,

oczy mu nagle rozbłysły i rozszerzyły się ze zdumienia. Był to misternej roboty złoty krzyż wysadzany drogimi kamieniami, długości około czterdziestu pięciu centymetrów, zapierający dech w piersiach dbałością o detale.

Gus położył go na rozwiniętej gazecie. Usłyszał syk; to Lucien wciągał powietrze w płuca.

– Mon Dieu, mon Dieu! – Francuz podniósł oczy na Gusa, a na jego wąskim czole pojawiły się krople potu. – Jezus, Gus.

Tu znowu miał rację.

Spojrzał na gazetę, zanim Gus zauważył, że jest otwarta na reportażu z napadu w muzeum.

– To jest z...

– Tak – uśmiechnął się chytrze Gus. – Niezła rzecz, co? Jedyna w swoim rodzaju.

– Mais non, U est completement tare, c'est marecage – Lucien poruszał nerwowo wargami. – Przecież wiesz, Gus, że nie dotknę tego nawet palcem.

Gusowi nie chodziło o to, żeby Lucien tego dotykał; chciał tylko, by to sprzedał. I nie miał czasu na rozpętanie wojny wśród oferentów. Przez ostatnie sześć miesięcy Gusowi bardzo marnie wiodło się na wyścigach. Nieraz już był w tarapatkach, ale nigdy nie siedział po uszy w gównie, a zwłaszcza nie był winien forsy ludziom, którzy tylko czekali, aż mu się noga powinie. Mieli go na widelcu. Od dnia, kiedy Gus zrobił się wyższy i cięższy niż jego stary i sprął pijaka na kwaśne jabłko, czyli przez większość życia, ludzie bali się Gusa. Ale teraz, po raz pierwszy od czasu, gdy skończył czternaście lat, on sam poczuł, co to strach. Ludzie, którzy przejęli jego długi z toru wyścigowego, grali w zupełnie innej lidze niż ci wszyscy, z którymi Gus dotychczas robił interesy. Bez zmruczenia oka gotowi są go zabić. Tak łatwo, jak on rozdeptywał karalucha.

Ironia losu polegała na tym, że właśnie na torze wyścigowym znalazł rozwiązanie. Tam bowiem spotkał faceta, który nadał mu robotę w muzeum. A teraz był tu, u Luciena, chociaż otrzymał jasne instrukcje, żeby nie próbował niczego sprzedawać przed upływem co najmniej sześciu miesięcy.

Do diabła z tym! Potrzebował kasy, i to zaraz.

– Posłuchaj, nie przejmuj się tym, skąd to jest, dobra? – instruował Gus Luciena. – Policz, ile to jest warte, i zastanów się, do kogo pójdzie.

– Mais non... – Lucien wyglądał, jakby za chwilę miał zejść na zawał. – Uwierz mi, Gus. To niemożliwe. To jest absolutnie niemożliwe. Ten towar jest za gorący, żeby go teraz dotykać. To byłoby szaleństwo...

Gus chwycił Luciena za gardło i przeciągnął go przez pół stołu, który niebezpiecznie się zachwiało. Zbliżył swoją twarz do twarzy Luciena na pięć centymetrów:

– Nie obchodzi mnie to. Dla mnie ten towar, kurwa, może nawet promieniować – zasyczał. – Są ludzie, którzy zbierają takie fanty, a ty wiesz, gdzie ich szukać.

– Jeszcze za wcześnie – głos Luciena był cienki z powodu ucisku krtani. Gus puścił Francuza i siadł z powrotem na krzesło.

– Nie gadaj do mnie, jakbym był jakimś debilem – warknął. – Na ten towar zawsze będzie za wcześnie, nigdy nie nadejdzie właściwy moment. Więc równie dobrze możesz to sprzedać teraz. Oprócz tego wiesz, że są ludzie, którzy to kupią choćby dlatego, że będą wiedzieli, co to jest i skąd pochodzi. Niektóre chore skurwiele, choćby się sfajdały, zapłacą fortunę, żeby włożyć to do własnego sejfu. A ty musisz tylko znaleźć jednego z nich, i to szybko. Nie próbuj mnie wykiwać na szmalu. Dostaniesz dziesięć procent, a dziesięć procent od czegoś, co jest bezcenne, to propozycja, której się nie olewa, nie?

Lucien przełknął ślinę, rozmasował dłonią szyję, potem wyciągnął jedwabną chusteczkę i otarł twarz. Oczami nerwowo przebiegał po pomieszczeniu, najwyraźniej marzył, by być teraz zupełnie gdzie indziej. Spojrzał na Gusa i powiedział:

– Dwadzieścia.

– Lucien – Gus zawsze wymawiał to jak „Luszin” tylko po to, żeby go wkurzyć. Spojrzał na niego rozbawiony. – Czy nagle zrobiłeś się facetem z jajami?

– Mówię poważnie. Za takie coś musi być dwadzieścia procent. Pas moins. To dla mnie cholernie ryzykowne.

Gus jeszcze raz sięgnął ręką, ale tym razem Lucien był szybszy, odsunął krzesło tak, że jego szyja znalazła się poza zasięgiem dłoni Gusa. Gus wobec tego spokojnie wyciągnął beretkę i podszedł bliżej, wciskając lufę w krocze Luciena.

– Nie wiem, koleś, co brałeś, ale nie jestem dzisiaj w nastroju do żartów. Zaproponowałem ci hojne wynagrodzenie, a ty próbujesz wykorzystać sytuację. Jestem rozczarowany, przyjacielu.

– Nie, Gus, posłuchaj... Gus podniósł rękę w geście bezradności.

– Nie wiem, czy oglądałeś w telewizji najlepszy kawałek. Na zewnątrz. Z tym strażnikiem. To naprawdę było coś. Wciąż mam ten miecz, wiesz? I przyznam ci, że świetnie się czuję w roli Conana Barbarzyńcy... Wiesz, o czym mówię? Dał Lucienowi chwilę, aby to przemyślał, bo i on sam ciężko kombinował. Wiedział, że gdyby miał więcej czasu, strach Luciena przemawiałby na

jego korzyść. Ale nie miał zbyt wiele czasu. Krzyż był wart fortunę, może nawet dostałby kilkanaście milionów, ale musi wziąć tyle, ile może dostać, i na tym poprzestać. Za forszę, którą dostał z góry za skok w muzeum, kupił sobie trochę czasu – ale czym prędzej musiał strącić te pijawki ze swoich pleców.

– Coś ci powiem – oznajmił Lucienowi. – Niech będzie moja strata, zejść do piętnastu.

Zobaczył błysk w lisich oczach Luciena. Połknął haczyk.

Lucien otworzył szufladę i wyciągnął mały aparat cyfrowy. Spojrzał na Gusa.

– Muszę...

Gus skinął głową.

– Nie krępuj się.

Lucien zrobił kilka zdjęć krzyża, widać było, że już w głowie sporządza listę potencjalnych klientów.

– Muszę podzwonić – powiedział Lucien. – Daj mi kilka dni.

Nic z tego. Gus potrzebował pieniędzy i wolności, którą sobie za nie kupi. Potrzebował też wyjechać na jakiś czas z miasta, aż opadnie pył i ludzie przestaną gadać o tym skoku. A wszystko to musiał zrobić bez zwłoki.

– Akurat. Musisz to załatwić szybko. Najwyżej dwa dni.

Raz jeszcze oczami wyobraźni zobaczył trybiki pracujące w głowie Luciena. Prawdopodobnie myślał, jak dogada się z kupcem, jaką wynegocjuje prowizję za obniżenie ceny, chociaż sprzedający pozostawia cenę w jego rękach. Nędzny krętacz. Gus postanowił, że za kilka miesięcy, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, z przyjemnością odwiedzi Luciena ponownie.

– Przyjdź jutro o szóstej. Nic nie obiecuję, ale zrobię, co w mojej mocy.

– Wiem, że się postarasz – Gus wziął do ręki krzyż, sięgnął po szmatkę, którą Lucien coś przedtem czyścił, owinął nią inkrustowany drogimi kamieniami krzyż i umieścił ostrożnie w kieszeni płaszcza. Potem do drugiej kieszeni włożył pistolet. – Do jutra – powiedział Lucienowi i uśmiechnął się złowrogo, zanim wyszedł na ulicę.

Lucien wciąż drżał, odprowadzając gościa oczami, dopóki ogromny mężczyzna nie doszedł do rogu ulicy i nie zniknął z pola widzenia.

## Rozdział 10

– Wiesz, jak mi to teraz jest potrzebne – Jansson dosłownie warczał, patrząc na Reilly’ego, który siedział na wprost szefa. Na odprawę w biurze zastępcy dyrektora FBI przy Federal Plaza przyszli wszyscy: Aparo i Amelia Gaines, a także Roger Blackburn, który stał na czele grupy zadaniowej do walki z przestępstwami dokonywanymi ze szczególnym okrucieństwem i zbrodniami dużego kalibru; towarzyszyło mu dwóch asystentów.

Kompleks czterech budynków rządowych na dolnym Manhattanie znajdował się tylko kilka przecznic od miejsca, w którym kiedyś stały wieże World Trade Center. Pracowało tu dwadzieścia pięć tysięcy osób oraz mieściło się nowojorskie biuro FBI. Siedząc w tym budynku, Reilly odczuwał przynajmniej ulgę, że nie dochodzi tu nieustanny hałas z olbrzymiego placu budowy. W rzeczywistości ten względny brak hałasu w prywatnym gabinecie szefa był jedyną rzeczą, której można było pozazdrościć agentom Janssona.

Jako zastępca dyrektora biura nowojorskiego Jansson przez ostatnie pięć lat dźwigał na barkach olbrzymi ciężar. Jego ludzie byli odpowiedzialni za pięć głównych obszarów działalności agencji: narkotyki i przestępczość zorganizowana, przestępstwa dokonywane ze szczególnym okrucieństwem i na wielką skalę, przestępstwa finansowe, kontrwywiad, a w końcu „czarna owca” w tym przedziwnym stadzie – terroryzm na terenie całego kraju. Pracowali na pełnych obrotach. Jansson robił wrażenie człowieka urodzonego do takich zadań: imponująca sylwetka byłego zawodnika drużyny amerykańskiego futbolu, grubo ciosana twarz pod szopą siwych włosów; patrzył jakby z oddalenia i w zamyśleniu. Ludzi z nim pracujących długo nie potrafił oszukać ani tą twarzą, ani refleksyjnym spojrzeniem; szybko uczyli się, że oprócz przysłowiowych śmierci i podatków, jeszcze jedno jest pewne: jeżeli Jansson jest po twojej stronie, możesz liczyć, że niczym czołg pokona wszelkie przeszkody na twojej drodze; jeżeli jednak popełnisz błąd i podpadniesz mu, zdecydowanie rozważ wyjazd z kraju.

Janssonowi pozostało już niewiele do emerytury. Reilly doskonale rozumiał, dlaczego szef nie jest szczęśliwy z faktu, że ostatnie kilka miesięcy pracy zawodowej komplikuje się przez coś tak ogromnie trudnego i ważnego, jak napad na Metropolitan – sprawa otrzymała kryptonim METRAID. Wszystkie media, co było zrozumiałe, nieustannie babrały się w tej historii. Nie był to tuzinkowy napad z bronią w ręku. Była to sphywająca krwią napaść. Strzały z broni

maszynowej zajmują miejsce na samym szczycie listy przestępstw nowojorskich. Jako zakładniczkę wzięto żonę burmistrza. Dokonano egzekucji człowieka na oczach tłumów; nie został zastrzelony, lecz ścięto mu głowę mieczem, i nie na jakimś otoczonym murami podwórku w kraju rządzonym przez bliskowschodniego dyktatora, ale w samym centrum Manhattanu, przy Piątej Alei.

W dodatku transmitowano to na żywo w telewizji.

Reilly przeniósł wzrok z Janssona na flagę i insygnia FBI wiszące na ścianie za jego plecami, a potem znów spojrzął na zastępcę dyrektora, który oparty na łokciach o własne biurko wciągnął w płuca dwa wiadra powietrza.

– Jak tylko przyszpilimy tych skurwieli, zrozumieją, że popełnili poważny błąd. Już ja tego dopilnuję – wszedł do licytacji Reilly.

– Dopilnuj tego, chłopcze – powiedział Jansson, pochylając się do przodu i obrzucając uważnym spojrzeniem twarz zgromadzonego w gabinecie zespołu. – Nie muszę wam mówić, ile odebrałem telefonów i z jak wysokiego szczebla. Powiedzcie mi, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Reilly spojrzął na pozostałych i zaczął mówić:

– Wstępne ustalenia koronera nie wskazują żadnego konkretnego kierunku śledztwa. Ci faceci nie zostawili zbyt wiele, tylko łuski po pociskach i ślady kopyt końskich. Chłopcy z zespołu szybkiego reagowania stają na głowie, żeby coś jednak wycisnąć.

– Chociaż raz – wtrącił Aparo.

– Tak czy owak, łuski pochodzą z cobrayów M1 1/9 i z uzi. Roger, twoi ludzie się tym zajmują, prawda?

Blackburn odchrząknął. Ten człowiek przywodził na myśl siły natury w czystej postaci. Ostatnio udało mu się rozwalić w drobny mak największą sieć dystrybucyjną heroiny w Harlemie. W wyniku akcji aresztowano ponad dwieście osób.

– To bardzo popularna broń, na pewno. Niby coś robimy, ale nie wstrzymywałbym na razie oddechu. Nie przy czymś takim. Nie wyobrażam sobie, żeby ci chłopcy kupili sobie pukawki w Internecie.

Jansson skinął głową.

– A co z końmi?

– Na razie nic. Siwki i kasztany, nic szczególnego. Sprawdzamy je w archiwach koni

zaginionych i skradzionych, próbujemy dojść, skąd pochodzą siodła, ale to znów...

– Żadnych oznakowań, żadnych chipów?

W całym kraju ginęło rocznie przeszło pięćdziesiąt tysięcy koni i używanie identyfikatorów stawało się coraz bardziej powszechne. Najpopularniejszą metodą było znakowanie zwierząt na zimno, polegające na przykładaniu bardzo schłodzonego żelaznego kawałka z godłem czy marką właściciela, co powodowało zmiany w komórkach produkujących pigment, a w efekcie wybielało sierść w tym miejscu, niezależnie od maści. Inna, mniej powszechna metoda polegała na wprowadzeniu maleńkiego mikroskopijnego chipa z numerem identyfikacyjnym za pomocą strzykawki. Chip umieszczano zwierzętom pod skórą.

– Żadnych chipów – odparł Reilly – ale jeszcze raz kazaliśmy przebadać konie. Te chipy są tak mikroskopijne, że trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie jest to maleństwo, żeby je znaleźć. Oprócz tego ukrywa się je zazwyczaj w miejscach trudnych do odkrycia, tak żeby konia, który zostanie skradziony, można było odzyskać. Niestety, mamy górkę, bo konie były wcześniej znakowane na zimno, a na starych piętnach zrobiono nowe. I teraz te stare są nieczytelne. Chłopcy z laboratorium liczą, że coś znajdą, jeśli uda się im odczytać pierwotne oznakowania.

– A co ze strojami i średniowiecznym sprzętem? – Jansson zwrócił się do Amelii Gaines, która zajmowała się tą częścią śledztwa.

– To zabierze więcej czasu. Tego typu akcesoria sprzedają niewielkie warsztaty rozproszone po całym kraju, zwłaszcza te miecze obosieczne. Były prawdziwe, to nie żadne rekwizyty. Sądzę, że coś znajdziemy.

– Więc ci goście po prostu rozplynęli się w ciemnościach, tak? – Jansson zaczął tracić cierpliwość.

– Musieli mieć w pobliżu samochody. Z miejsca, w którym porzucili konie parku, można wyjść dwoma bramami. Przesłuchujemy świadków, ale to na razie nic nie dało – potwierdził Aparo. – Czterech facetów, którzy się rozdzielają, wychodzi z parku wieczorem. Niełatwo ich zauważyć.

Jansson rozparł się wygodniej w fotelu, w milczeniu kiwał głową, zbierając poszczególne części łamigłówki i porządkując myśli.

– To co, mamy jakichś faworytów? Ktoś wam przychodzi do głowy?

– To jest bardziej skomplikowane – zanim się odezwał, Reilly rozejrzał się po siedzących przy stole. – Pierwsza rzecz, która przychodzi do głowy, to lista zakupów.



Złodzieje dzieł sztuki, zwłaszcza kiedy skradzione przedmioty są dobrze znane, zwykle działają albo na zlecenie pośredników, albo kradną dzieła sztuki dla kolekcjonerów, którzy płacą z góry, chcąc mieć te rzeczy na własność, nawet jeżeli nigdy i nikomu nie będą mogli ich pokazać. Od momentu, kiedy Reilly wszedł do muzeum, rozmyślał o tym aspekcie napadu. Listy zakupów najczęściej trafiały w ręce złodziei bardzo bystrych. Jazda na końskim grzbiecie po Piątej Alei zanadto rzucała się w oczy i jako taka nie była specjalnie błyskotliwym pomysłem. Nieprzemysłany wydawał się też chaos, panika wśród tłumu, a najgłupsza chyba była egzekucja strażnika.

– Sądzę, że co do tego wszyscy się zgadzamy. I do tego też pasują wstępne profile sprawców. Im nie o to chodziło, żeby wejść i skraść bezcenne relikwie. W tym kryje się coś więcej. Jeżeli ktoś chce skutecznie ograbić muzeum, wybiera spokojny środowy poranek, najlepiej w czasie deszczu, wchodzi przed zwiedzającymi, wyciąga uzi i bierze, co chce. Im mniej ostentacji, tym mniejsze ryzyko. A ci faceci wybrali moment, w którym muzeum było najpilniej strzeżone i kiedy przyszło tam mnóstwo ludzi. To tak, jakby chcieli nam zagrać na nosie, jakby chcieli nas ośmieszyć. Pewnie, że dostali to, po co przyszli, ale moim zdaniem zamierzali nam w ten sposób coś oświadczyć.

– Co mianowicie? – spytał Jansson.

– Pracujemy nad tym – wzruszył ramionami Reilly.

– Twoi chłopcy zgadzają się z tym? – zastępca dyrektora zwrócił się do Blackburna. Blackburn skinął głową i dodał:

– Powiedzmy może tak: nieważne, kim są ci faceci, dla ulicy są bohaterami. Zgarnęli wszystko to, o czym marzą naćpani maniacy przyspawani do swoich Playstation. A oni naprawdę się na to poważyli, pokazali, że mają jaja, i udało im się. Mam nadzieję, że to nie będzie początek nowej mody. Ale jeśli chodzi o tych facetów, na pewno chodziło im o coś więcej niż tylko skuteczne działanie.

– Więc wygląda na to – Jansson spojrzał znów na Reilly’ego – że jednak ty będziesz musiał się zaopiekować tym podrzutkiem. Reilly skinął w milczeniu głową. Opieka nad podrzutkiem nie była tym, co przychodziło mu na myśl w związku z tą sprawą. Wyobrażał sobie raczej ważącego tonę goryla, na którego będzie musiał zarzucić sieć.

Spotkanie zostało przerwane, bo do sali wszedł wysmukły, skromny mężczyzna w brązowym tweedowym garniturze i w księżej koloratce. Jansson wstał z krzesła i wyciągnął swoją wielką

jak łopata dłoń na powitanie gościa.

– Wielebny, cieszę się, że ojciec do nas dotarł. Proszę usiąść. Przedstawiam wam: wielebny De Angelis. Przyrzekłem arcybiskupowi, że pozwolimy ojcu uczestniczyć we wszystkich spotkaniach, i liczymy na to, że ojca pomoc okaże się nieoceniona.

Jansson po kolei przedstawiał De Angelisowi zebranych przy stole agentów. Zapraszanie ludzi z zewnątrz na tak szczególne spotkanie nie było przyjęte. Ale nuncjusz papieski, ambasador Watykanu w Stanach Zjednoczonych, wykonał odpowiednio wiele telefonów do osób wysoko postawionych, by do tego doszło.

Reilly ocenił wiek mężczyzny na dobrze po czterdziestce. Miał starannie przystrzyżone ciemne włosy, które idealnymi łukami tworzyły zakola na skroniach. Nad uszami widoczne były pasma siwizny. Okulary w stalowej oprawie były nieco zamazane. Wydawał się bardzo przyjazny i skromny; witając się z agentami, powtarzał ku pamięci ich nazwiska i stanowiska służbowe.

– Proszę, nie przeszkadzajcie sobie państwo – powiedział, siadając.

Jansson lekko pokręcił głową, odrzucając sugestię o przeszkadzaniu:

– Dowody nie naprowadziły nas jeszcze na żaden trop, proszę ojca. Nie chcemy zbyt pochopnie wyciągać wniosków. To spotkanie ma na celu przegląd pewnych koncepcji i pomysłów oraz odczuć, które wszyscy mamy na tym wstępnym etapie śledztwa. Przerzucamy się pomysłami, gdzie szukać ewentualnych kandydatów na sprawców tego napadu.

– Rozumiem – powiedział De Angelis.

Jansson przekazał pałeczkę Reilly'emu, który – chociaż wcale nie było mu to w smak – prowadził dalej spotkanie. Wiedział, że musi poinformować wielebnego o dotychczasowych ustaleniach.

– Wydaje się nam wszystkim, że jest to w sposób oczywisty coś więcej niż napad z bronią w rękę w celu ograbienia muzeum. Sposób, w jaki dokonano napadu, wybór momentu, niemal wszystko wskazuje na to, że nie chodziło tylko o zwykły napad rabunkowy.

– Rozumiem – powiedział De Angelis i wydał wargi, myśląc o implikacjach wynikających z tego, co usłyszał.

– Pierwszym pomysłem, odruchowym jak uderzenie młoteczkiem w kolano podczas wizyty u neurologa – mówił dalej Reilly – jest oskarżenie fundamentalistów muzułmańskich, ale w tym przypadku wydaje się bardziej niż pewne, że to diagnoza niewłaściwa.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał De Angelis. – Tak się nieszczęśliwie składa, że oni nas po prostu nienawidzą. Jestem pewien, że pamięta pan, jaki zgielk się podniósł po ograbieniu muzeum w Bagdadzie. Mówiło się o podwójnej moralności, mówiło się o winie i o słusznym gniewie... I nikt nie zagłębiał się w inne przyczyny tego, co się stało.

– Proszę mi wierzyć, że ta hipoteza nie pasuje do profilu sprawców. Mówiąc szczerze, jest bardzo odległa. Ataki fundamentalistów islamskich są zazwyczaj otwarte. Muzułmanie lubią się pochwalić tym, czego dokonali, i zazwyczaj działają tak, jak niegdyś japońscy kamikaze. Oprócz tego muzułmanin naraziłby się Allahowi, zakładając płaszcz z krzyżem na piersiach. – Reilly spojrział uważnie na wysłannika Kościoła, by sprawdzić, że przynajmniej co do tego są zgodni. – Oczywiście, będziemy i ten trop badać, bo to nasz obowiązek. Ale ja postawiłbym wszystkie pieniądze na kogoś innego.

– To jakieś buraki – Jansson posłużył się politycznie niepoprawnym określeniem terrorystów wywodzących się z amerykańskiej prowincji.

– Według mnie jest to znacznie bardziej prawdopodobne – poparł go Reilly, wiedząc, kogo ten ma na myśli. Jednostki zdeterminowane, działające jak samotne wilki i radykałów wyrosłych w jakichś peryferyjnych hrabstwach lub w górach. To był jego chleb powszedni, podobnie jak terroryści spoza Ameryki.

– Buraki...? – wielebny wydawał się skonsternowany.

– To terroryści naszego chowu, proszę ojca. Grupy, które skupiają się wokół wzniosłych idei, na przykład Zakonnicy Bractwa Cichego, i działają głównie z nienawiści nazywanej szumnie tożsamością chrześcijańską... Wiem, że to termin bardzo pokrętny...

De Angelis zaczął się niespokojnie wiercić na krześle.

– Sądziłem, że wszyscy ci ludzie są fanatykami chrześcijańskimi.

– Tak. Nie zapominajmy jednak, że rozmawiamy o Watykanie – o Kościele katolickim. A ci faceci, proszę ojca, nie są zwolennikami Rzymu. Ich pokręcone Kościoły, z których żaden nie jest nawet w przybliżeniu katolicki, to wspólnoty, których Watykan nie uznaje. Hierarchia rzymska dość jasno określiła swoje stanowisko: nie chce mieć z nimi nic wspólnego. I to z całkiem rozsądnych powodów. Tym, co tych ludzi łączy oprócz tego, że o swoje problemy życiowe obwiniają żydów, murzynów i homoseksualistów, jest nienawiść do wszelkich przedstawicieli władzy, zwłaszcza do naszego rządu, a przez analogię do rządu watykańskiego. Uważają, że Ameryka jest wielkim szatanem... Tego określenia używał Chomeini w odniesieniu

do Amerykanów, w świecie muzułmańskim zresztą wciąż jest ono w powszechnym użyciu. Proszę pamiętać, że ludzie, którzy podłożyli bombę w budynku służb federalnych w Oklahoma City, to byli chrześcijanie i Amerykanie. Jest ich sporo. Właśnie zatrzymaliśmy faceta z Filadelfii, którego od dłuższego czasu szukaliśmy. Należał do sekty Narodów Aryjskich, która jest częścią Kościoła Synów Jahwe. Okazuje się, że ten mężczyzna był wcześniej duchownym tego Kościoła i odpowiadał za stosunki z wyznawcami islamu. Przyznał, że pełniąc swoją funkcję, dążył do porozumienia z ekstremistami muzułmańskimi, którzy nienawidzą Ameryki. I to już po atakach z jedenastego września.

– Wróg mojego wroga... – powiedział w zamyśleniu De Angelis.

– Właśnie – przytaknął Reilly. – Ci faceci mają naprawdę pokręcone w głowach, proszę ojca. Musimy zrozumieć, jaką chorą misję wypełniali uczestnicy napadu i co chcieli nam przekazać.

Kiedy Reilly skończył mówić, zapadła cisza. Jansson postanowił przejąć prowadzenie spotkania.

– Dobrze, więc się tym zajmij.

– Tak jest – przyjął polecenie Reilly, choć bez entuzjazmu.

– Rog – Jansson zwrócił się teraz do Blackburna – przyjrzyj się mimo wszystko hipotezie normalnego napadu.

– Oczywiście. Musimy pracować nad obydwoma wątkami, dopóki nie wydarzy się coś, co wskaże nam właściwą drogę.

– A więc w porządku. Wielebny – Jansson zwrócił się do De Angelisa – bardzo by nam pomogła lista przedmiotów skradzionych, możliwie jak najbardziej szczegółowa. Kolorowe zdjęcia, waga, rozmiary, wszystko, co się da uzyskać. Musimy tu i ówdzie pewnych ludzi postawić na baczność.

– Oczywiście.

– A propos, proszę ojca – wtrącił Reilly. – Jeden z jeźdźców był chyba szczególnie zainteresowany pewnym przedmiotem. – Wrzucił na ekran klatkę filmu skopiowaną z jednej z kamer przemysłowych w muzeum. Widać było na niej czwartego jeźdźcę trzymającego urządzenie kodujące. Reilly podał duchownemu wydruk zdjęcia. – W katalogu wystawy jest to opisane jako wielozębatkowe urządzenie kodujące – powiedział. – Czy przychodzi księdzu do głowy jakiś powód, dlaczego zabrał właśnie to, skoro wokół było tyle przedmiotów ze złota, inkrustowanych szlachetnymi kamieniami?

De Angelis poprawił okulary na nosie i wlepił oczy w fotografię, a następnie pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie wiem zbyt wiele o tej... maszynie. Wyobrażam sobie, że dla kolekcjonera wynalazków mechanicznych mógł to być wartościowy zabytek. Każdy lubi się od czasu do czasu popisać przenikliwością i bystrością, nawet moi współpracownicy, którzy wysłali ten eksponat na wystawę.

– Czy mógłby ojciec sprawdzić to w Rzymie? Księża, którzy przecież dokonywali wyboru eksponatów, podsuną nam może trop, no nie wiem... Może na przykład jakiś kolekcjoner próbował kiedyś to od nich kupić?

– Zajmę się tym.

– Dobrze, kochani – powiedział Jansson, składając dokumenty przed sobą. Rozejrzał się po obecnych. Wszystko zostało ustalone. – A teraz dobierzcie się do tyłków tym świrusom.

Kiedy pozostali wychodzili z pokoju, De Angelis podszedł do Reilly'ego i potrząsnął jego dłoń.

– Dziękuję panu, agencie Reilly. Jestem pewien, że los naszych skarbów spoczął w dobrych rękach.

– Złapiemy ich, proszę ojca. Złoczyńcy zawsze coś przeoczą.

Wielebny długo patrzył mu prosto w oczy.

– Może pan do mnie mówić Michael.

– Wolę „proszę ojca”, jeśli to nie sprawi ojcu różnicy. To przyzwyczajenie, które trudno byłoby mi pokonać.

– Jest pan katolikiem! – De Angelis wyglądał na zdumionego. Reilly tylko skinął głową. – Praktykuje pan? – Teraz zawstydzony spuścił oczy. – Proszę mi wybaczyć, nie powinienem być wścibski. Moje przyzwyczajenia są również silniejsze ode mnie.

– Nic nie szkodzi. Odpowiadam: tak, chodzę do kościoła. De Angelis nie ukrywał satysfakcji.

– Wie pan, pod wieloma względami pańska i moja praca są podobne. Obaj pomagamy ludziom dojść do ładu ze swoimi grzechami.

– Może, ale... – uśmiechnął się Reilly – nie wiem, czy ksiądz ma do czynienia z grzesznikami tego samego kalibru, co my wszyscy, a głównie my w Nowym Jorku.

– Tak, to niepokojące... Tutaj sprawy nie układają się najpomyślniej... – De Angelis przerwał, a potem raz jeszcze zajrzał w oczy Reilly'emu. – Tutaj nasza praca jest jeszcze

pożyteczniejsza.

Wielebny spostrzegł, że Jansson patrzy na niego ponagląco; jakby go przywoływał.

– Mam do pana pełne zaufanie, agencie Reilly. Jestem pewien, że pan ich znajdzie – powiedział mężczyzna w koloratce na pożegnanie.

Reilly odprowadził go wzrokiem, a potem podniósł leżące na stole zdjęcie z kamery przemysłowej. Wkładając je z powrotem do teczki, jeszcze raz mu się przyjrzał. W rogu zdjęcia, niewyraźnego z powodu niskiej rozdzielczości kamer przemysłowych w muzeum, dojrzał przykucniętą za gablotą postać, spoglądającą z przerażeniem na jeźdźca i na urządzenie. Wiedział, bo przeglądał wcześniej taśmę, że jest to blondynka, która tamtego wieczoru wychodziła z muzeum ze śpiącą córką w objęciach. Pomyślał, ile musiała przejść i jak bardzo była przerażona... I poczuł nagle, że intryguje go ta kobieta. Miał nadzieję, że wyszła z tego bez szwanku.

Włożył fotografię do teczki. Wychodząc z pomieszczenia, nie mógł przestać myśleć o określeniu, którego użył Jansson.

Świrusy.

To go wcale nie podniosło na duchu.

Odgadywanie pobudek kierujących ludźmi zdrowymi psychicznie, którzy popełniają przestępstwa, jest wystarczająco trudne. Wejście w skórę świra i myślenie jego kategoriami bywa w większości przypadków niemożliwe.

## Rozdział 11

Clive Edmondson był blady, ale na pierwszy rzut oka niezbyt cierpiący, co zdumiało Tessę siedzącą przy jego łóżku szpitalnym.

Widziała przecież, jak jeden z koni natarł na niego i powalił na podłogę. Wskutek powstałej paniki Edmondson doznał złamania trzech żeber, i to na tyle blisko płuc, że trudno mu było oddychać. Zważywszy przy tym wiek Clive'a, jego ogólny stan zdrowia i upodobanie do ciężkiego wysiłku fizycznego, lekarze ze Szpitala Prezbiteriańskiego w Nowym Jorku postanowili przetrzymać go kilka dni na obserwacji.

– Dają mi tu niezły koktajl – powiedział, wskazując oczami woreczek z kroplówką na stojaku. – Nic nie czuję.

– Całkiem inny koktajl niż ten, który mieliśmy razem wypić w barze, prawda? – wtrąciła.

– Tamten by mi lepiej smakował.

Zachichotał, a ona spojrzała na niego, zastanawiając się, czy może wyjawić prawdziwy powód swojej wizyty.

– Czujesz się dość dobrze, żeby o czymś ze mną porozmawiać?

– Pewnie. Nie chcę tylko gadać w kółko o tym, co się zdarzyło tamtego wieczoru. Wszyscy tylko o to pytają – westchnął. – To zrozumiałe, owszem...

– Cóż, jest to w pewnym sensie... związane z tamtymi wydarzeniami – przyznała niechętnie Tessa.

– Co ci spędza sen z oczu, dziecino? – spojrzał na nią Clive z uśmiechem.

Tessa zawahała się, a potem postanowiła przejść do rzeczy.

– Pamiętasz, czemu się przyglądałam, gdy podszedłeś do mnie w muzeum?

– Nie – pokręcił głową.

– To była maszyna, taka skrzynka z guzikami i dźwigienkami po bokach. W katalogu piszą, że to wielozębatkowe urządzenie kodujące.

Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tym przez chwilę.

– Nie, nie przypominam sobie tej maszyny.

– Oczywiście, że jej nie zauważył. Nie wtedy, kiedy ona stała przy jego boku.

– A dlaczego pytasz?

– Zabrał ją jeden z tych jeźdźców. Nie ruszył nic innego.

– No i?

– Nie sądzisz, że to dziwne? Ze wszystkich drogocennych przedmiotów, które się tam znajdowały, wybrał właśnie tę maszynę. To nie koniec. Kiedy już ją trzymał w rękach, wyglądało, że odprawia nad nią jakiś rytuał; miałam wrażenie, że jest tym całkowicie pochłonięty.

– Cóż ci mogę powiedzieć? To na pewno jakiś pasjonat albo kolekcjoner przedpotopowych urządzeń kodujących. Niech się tym zajmie Interpol. Następna na jego liście będzie prawdopodobnie Enigma. – Spojrzał na nią wyrozumiale. – Żebyś wiedziała, jakie obrzydliwe rzeczy zbierają ludzie!

– Mówię poważnie – zaprotestowała. – Nawet wypowiedział coś w rodzaju zaklęcia. Kiedy podniósł tę maszynę, wymamrotał: „Veritas vos liberabit”.

– Veritas vos liberabit! – powtórzył Clive.

– Chyba tak. Nie wszystko słyszałam, ale jestem prawie pewna, że to właśnie powiedział.

– No dobrze – Clive pomyślał przez chwilę, a potem się uśmiechnął. – Mamy więc nie tylko zatwardziałego kolekcjonera urządzeń kodujących. Mamy kogoś, kto skończył dobrą uczelnię, a mianowicie Johns Hopkins University. To zawęży krąg podejrzanych.

– Johns Hopkins?

– Tak.

– Mówisz poważnie? – Była całkiem zbita z pantałyku.

– To dewiza tego uniwersytetu: Veritas vos liberabit. Prawda was wyzwoli. Wiem to najlepiej, bo tam studiowałem. Te słowa padają nawet w kretyńskim hymnie uniwersyteckim. Oda Johnsa Hopkinsa. „Niech wiedza nasza się pogłębia, uczmy się pilnie całe dnie...” – Clive zaczął śpiewać.

Przyglądał się Tessie, ciesząc się wrażeniem, jakie na niej wywarł.

– A więc myślisz... – dopiero teraz zauważyła jego filuterne spojrzenie. Wiedziała, że lubi sobie pokpić. – Robisz mnie w konia, prawda? Clive pokiwał głową z poczuciem winy.

– A może to były agent CIA z wybujałym ego? To pierwsza rzecz, którą się zauważa, wchodząc do budynku w Langley. – I uprzedzając jej pytanie, dodał: – Tom Clancy. Czytuję go z wypiekami na twarzy, przyznaję się bez bicia.

Tessa pokręciła głową. Była poirytowana, że dała się wpuścić w maliny. Clive miał jednak



w zanadrzu niespodziankę.

– Strzeliłaś w dziesiątkę, przyznaję. To się zgadza.

– Jak mam to rozumieć? – Tym razem wydawało się jej, że Clive mówi poważnie.

– Co ci rycerze mieli na sobie?

– Jak to, co mieli na sobie?

– Ja spytałem pierwszy. Tessa nie bardzo chwyciła.

– Byli w średniowiecznych strojach. Misiurki, płaszcze, hełmy, – drażnił się z nią. – Coś bardziej konkretnego?

Wiedziała, że Clive zarzuca sieć. Próbowała sobie przypomnieć straszne sceny, w których bandyci niszczyli muzeum niczym rycerze Apokalipsy.

– Nie pamiętam.

– Białe szaty z czerwonymi krzyżami. W kolorze krwi.

– Krzyżowcy – uśmiechnęła się, wciąż nie do końca rozumiejąc.

– Ciepłej, Tesso – Clive nie zamierzał jej ułatwiać zadania. – A co ci mówią te krzyże? Czerwony krzyż na lewym ramieniu i drugi na piersi. Czy z niczym ci się to nie kojarzy?

– Templariusze! – wykrzyknęła wreszcie.

– To twoja odpowiedź?!

Nie była pewna. Wciąż nie dostrzegała związku.

– Masz rację, byli ubrani jak templariusze. Ale to przecież nie musi nic znaczyć. Templariusz kojarzy się z krzyżowcami. Można się tylko domyślać, że ubrali się jak uczestnicy wypraw krzyżowych. Na rycinę natknęli się w pierwszej książce, do której zajrzeli, a był to właśnie jakiś templariusz, bo oni wzbudzają największe zainteresowanie.

– Z początku też tak myślałem. Doszedłem do wniosku, że to bez znaczenia. Templariusze są najśłynniejszymi, a raczej okrytymi największą niesławą rycerzami, którzy kojarzą się z wyprawami krzyżowymi. Ale kiedy przytoczyłaś to łacińskie hasło, zmieniłem zdanie.

Tessa wpatrywała się w Clive'a i nie mogła się doczekać, co za chwilę powie. On jednak milczał. Myślała, że oszaleje.

– No?!

– Veritas vos liberabit, pamiętasz? Tak brzmi inskrypcja na zamku w Langwedocji na południu Francji... – przerwał. – Zamku templariuszy.

## Rozdział 12

– O jakim zamku mówisz? – Tessa nie mogła złapać oddechu.

– O zamku Blanchefortów w Langwedocji. Ta inskrypcja rzuca się w oczy, jest wyryta na gzymsie nad wejściem do zamku. – *Veritas vos liberabit*. Prawda was wyzwoli.

Tessa miała wrażenie, że to zdanie u Edmondsona przywołuje całą rzekę wspomnień.

Zmarszczyła czoło. Coś nie dawało jej spokoju.

– Czy zakonu templariuszy nie rozwiązano – potem sama się zgaśniła za użycie złego słowa – nie przestał istnieć w czternastym wieku?

– W tysiąc trzysta czternastym roku.

– W takim razie nie bardzo rozumiem. W katalogu jest napisane, że to urządzenie kodyjące pochodzi z szesnastego wieku. Edmondson myślał przez chwilę.

– Cóż, możliwe, że się pomylili. Czternasty wiek to okres, którego Watykan nie wspomina z dumą.

Istotnie, Kościół nie miał powodów do dumy z tego okresu w swoich dziejach. W 1305 roku papież Klemens V – marionetka w rękach bezwzględnego króla Francji Filipa Pięknego – został zmuszony do opuszczenia Watykanu. Stolicę Piotrową przeniesiono do Avignon we Francji. To wtedy papież spiskował z królem, by doprowadzić do pozbycia się templariuszy. Przeprowadzka do Avignon nie była tymczasowa. Przez siedemdziesiąt lat – w okresie, który przeszedł do historii jako „niewola awiniońska” – papiestwo było pod całkowitą kontrolą Francuzów, aż wreszcie papież Grzegorz XI wrócił do Rzymu sprowadzony głosem mistyczki Katarzyny Sieneńskiej.

– Jeżeli to twoje urządzenie szyfrujące rzeczywiście jest z czternastego wieku, to założę się, że maszyna nawet nie powstała w Rzymie.

– Zwłaszcza gdyby była własnością templariuszy.

– Właśnie.

Tessa się zawahała.

– Sądzisz, że trafiłam na jakiś ślad? Może niepotrzebnie się do tego przyczepiłam?

– Nie, uważam, że naprawdę coś jest na rzeczy. Ale... templariusze to nie jest twój rejon badań, prawda?

– To odległość czasu tysięcy lat i mniej więcej kontynentu – uśmiechnęła się szeroko. Tessa była ekspertem w zakresie historii Asyrii. Jej zawodowy radar nie wychwytywał templariuszy.

– Musisz porozmawiać z jakimś wielbicielem templariuszy. Spośród tych, których znam i którzy zechcieliby ci pomóc, przychodzą mi na myśl Marty Falkner, William Vance i Jeb Simmons. Falkner musi mieć teraz osiemdziesiąt parę lat i podejrzewam, że nie uda ci się z nim dogadać. Vance’a nie widziałem od wieków, ale chyba Simmons jest gdzieś niedaleko...

– Bili Vance?

– Tak. Znasz go?

William Vance odwiedził kiedyś ojca Tessy podczas wykopalisk, w czasie gdy i ona tam była. To zdarzyło się jakieś dziesięć lat temu. Pracowała razem z ojcem w południowo-wschodniej Turcji, jak najbliżej góry Ararat, na ile pozwalało wojsko. Przypominała sobie teraz, że Oliver Chaykin traktował Vance’a jak równego sobie – bardzo rzadko mu się to zdarzało. Dość wyraźnie go zapamiętała: wysoki, przystojny mężczyzna, jakieś piętnaście lat starszy od niej.

Vance był czarujący, nigdy nie odmawiał jej pomocy i zawsze znajdował dobre słowo. A czuła się wtedy fatalnie. Straszne warunki na wykopaliskach. Była w ciąży i nie dawała sobie ze wszystkim rady. A Vance, który prawie wcale jej nie znał, szóstym zmysłem wyczuł stan jej ducha i fatalne samopoczucie. Był dla niej tak miły, że w jego towarzystwie zapomniała, że wygląda fatalnie – znów czuła się atrakcyjna. Nie pozwalał sobie na żadne zaloty. Teraz zrobiło jej się trochę głupio na myśl o tym, że była z lekka rozczarowana jego brakiem adoracji, bo on się jej zdecydowanie podobał. A pod koniec krótkiego pobytu w obozie archeologów miała wrażenie, że może, ale tylko może, i ona jemu się podobała, ale jak tu emablować niewiastę w siódmym miesiącu ciąży? Atrakcyjność kobiety w tym stanie wydawała się jej wysoce problematyczna.

– Spotkałam go kiedyś, gdy pracowałam z tatą – odparła. – Ale sądziłam, że on się specjalizuje w historii Fenicjan.

– Tak, ale wiesz, jak to jest z templariuszami. To taka archeologiczna pornografia. Zainteresowanie templariuszami równa się akademickiemu samobójstwu. Dlatego nikt nie chce się przyznać, że ten temat naprawdę go zajmuje. Krąży po świecie zbyt wielu wariatów, którzy mają obsesję na temat spisków i konspiracji, a tych w historii zakonu było pełno. Wiesz, co twierdzi Umberto Eco?

– Nie.

– Że niezawodnym objawem choroby psychicznej jest to, że wariat – prędzej czy później – zaczyna pasjonować się historią templariuszy.

– Rozumiem, że pijesz do mnie.

– Nie, jestem po twojej stronie. Ten zakon jak nic innego w historii wart jest badań naukowych – Edmondson wzruszył ramionami. – Ale jak powiedziałem, Vance’a nie widziałem od kilku lat. Z tego, co wiem, był gdzieś w Kolumbii... Na twoim miejscu zwróciłbym się do Simmons’a. Z nim mogę cię umówić choćby dziś.

– To wspaniale – ucieszyła się Tessa.

Pielęgniarka wsunęła głowę w drzwi.

– Badanie za pięć minut.

– Cudownie – jęknął Clive.

– Dasz mi znać? – spytała Tessa.

– Na pewno. A kiedy stąd wyjdę, zaproszę cię na kolację i wszystko mi zrelacjonujesz.

Przypomniała sobie ostatnią kolację z Edmondsonem. Było to w Egipcie; wcześniej razem nurkowali, badając fenicki wrak u wybrzeży Aleksandrii. Spił się arakiem, usiłował ją podrywać, ale nie był do końca przekonany, że może sobie na to pozwolić; ona łagodnie go odtrąciła i zasnęła na krześle w restauracji.

– No pewnie – powiedziała. Stwierdziła, że ma sporo czasu, by wymyślić jakiś wykręt, i zaraz poczuła się winna, że przyszła jej do głowy taka podła myśl.

## Rozdział 13

Lucien Boussard chodził po swojej galerii tam i z powrotem – od ściany do ściany. Doszedł do okna i wyrzwał na ulicę zza podrobki złożonego zegara. Przez kilkanaście minut nie ruszał się z miejsca i ciężko nad czymś myślał. Zauważył przy okazji, że zegar wymaga wyczyszczenia, przeniósł go więc na stół i postawił na gazecie.

Na tej gazecie ze zdjęciami z kradzieży z muzeum Metropolitan, które wczoraj od razu rzuciły mu się w oczy.

Powiódł palcami po fotografiach, by wygładzić papier.

Absolutnie nie mogę się w to wdawać, pomyślał.

Nie mógł jednak po prostu nic nie zrobić. Gus zabije go za to, że nic nie zrobi, podobnie jak za to, że zrobi coś nie tak.

Było tylko jedno wyjście. Lucien już o tym pomyślał, kiedy Gus groził mu w jego własnej galerii. Doniesienie na Gusa policji – zwłaszcza, że wiedział, co zrobił w muzeum – wydawało mu się zbyt niebezpieczne. Zważywszy jednak, co Gus wyczyniał z tym mieczem na schodach przed muzeum, Lucienowi mogło ująć bezkarnie doniesienie. Nie było sposobu, żeby ten olbrzym pewnego dnia wyszedł z więzienia i zemścił się na nim. Jeżeli nawet nie zmieni się obowiązujące prawo i Gus nie dostanie wyroku śmierci, na pewno czeka go dożywocie bez szans na wcześniejsze zwolnienie. Na pewno.

Co jednak najważniejsze, Lucien też miał problemy. Siedział mu na plecach pewien gliniarz. Ten sukinsyn mu nie odpuści. Czuł jego oddech na karku od kilku lat i ani myślał go zostawić. A wszystko z powodu tej cholernej statuetki Dogona z Mali, która była znacznie młodsza, niż zapewniał Lucien, i w związku z tym znacznie tańsza, niż Lucien sobie zażyczył. Jego niefortunny kupiec na szczęście (dla Luciena) zmarł na atak serca, zanim prawnicy zdążyli usiąść do papierów. Lucienowi jakoś udało się wymigać, chociaż było bardzo ciężko, ale detektyw Steve Buchinski ani myślał mu odpuścić. To było coś w rodzaju osobistej świętej wojny. Lucien kilka razy wciskał gliniarzowi forszę, ale to było za mało. Nigdy się go nie przestanie czepiać.

Ta sprawa była jednak wyjątkowa. Gdyby dał mu Gusa Waldrona, może... może jest jakaś szansa, że ta pijawka od niego odpadnie.

Lucien spojrzwał na zegarek. Było wpół do drugiej.

Otworzył szufladę, przejrzał pudełko z wizytówkami, aż znalazł tę, której szukał. Potem sięgnął po telefon i wykręcił numer.

## Rozdział 14

Przyczajony za litymi drewnianymi drzwiami mieszkania na piątym piętrze przy Central Park West dowódca grupy operacyjnej FBI wyciągnął w górę dłoń, rozprostował pięć palców i spojrzał na swoich ludzi. Jego zastępca uniósł rękę w takim samym geście i czekał. Po drugiej stronie holu inny mężczyzna podniósł do ramienia powtarzalną strzelbę. Czwarty z ekipy wyciągnął zawleczkę z granatu ogłuszającego. Pozostała dwójka powolutku i ostrożnie przygotowała do strzału pistolety maszynowe firmy Heckler & Koch MP5.

– Idziemy!

Agent stojący najbliżej drzwi uderzył w nie mocno pięścią.

– FBI. Otwierać! – krzyknął.

Reakcja była natychmiastowa. Ze środka posypały się strzały rozrywające skrzydło drzwi, a odpryski lękowego drewna rozleciały się po korytarzu.

Agent FBI ze strzelbą nie pozostał dłużny; strzelał i przeładowywał w błyskawicznym tempie, dopóki nie wyrąbał w drzwiach kilku dziur wielkości ludzkiej głowy. Amelia Gaines słyszała huk nawet przez zatyczki w uszach i czuła jedną za drugą fale uderzeniowe w niewielkiej przestrzeni, w której się znajdowali.

Ze środka nadal strzelano, dokumentnie rozprawiając się z drzwiami i dziurawiąc gipsową sztukaterię na klatce schodowej. Czwarty członek zespołu ruszył do ataku i wrzucił granat przez jeden z otworów w drzwiach. Potem ten ze strzelbą uporał się błyskawicznie z pozostałością po drzwiach i po kilku sekundach dwóch agentów z MP5 było już w środku.

Przez chwilę nic się nie działo. Cisza odbijała się echem od ścian. Jeden strzał. I znów przerwa. Ze środka usłyszeli głos:

– Czysto!

Potem jeszcze kilka razy usłyszeli to słowo, a następnie ktoś rozluźnionym głosem powiedział:

– W porządku, po herbacie.

Amelia weszła za pozostałymi członkami ekipy do mieszkania. Szukała słowa na określenie tego wnętrza. Wszystko w nim ociekało pieniędzmi. A jednak kiedy ona i dowódca zespołu przeszukiwali mieszkanie, okazało się, że tonęło raczej w narkotykach.

Czterej Kolumbijczycy, których zastali wewnątrz, byli handlarzami narkotyków. Jeden z nich krwawił. W całym mieszkaniu znaleźli pełno narkotyków, także stopy banknotów i tyle śladów, że wydział antynarkotykowy będzie zajęty przez kilka najbliższych miesięcy.

Dostali cynk; ktoś wykonał anonimowy telefon o wielkich pieniądzach, składzie broni i kilku mężczyznach mówiących obcym językiem. Wszystko się zgadzało. Ale było to zupełnie bez związku z napadem na muzeum.

Kolejne rozczarowanie.

Zapewne nie ostatnie.

Amelia czuła się zawiedziona. Rozglądała się po pokojach, podczas gdy jej koledzy skuwali i wyprowadzali Kolumbijczyków. Porównała mieszkanie ze swoim własnym i wydało jej się bardzo ładne, Gustowne, urządzone z klasą – taka była jej osobista opinia. To po prostu zadziwiające. Kolumbijczycy mieli wszystko, łącznie z widokiem na park. Rozglądając się po meblach i wystroju, doszła jednak do wniosku, że takie wysublimowane bogactwo nie jest w jej stylu, i przestała im zazdrościć. Żal jej było tylko widoku z okna.

Podziwiała go przez chwilę, obserwując z góry park. Zobaczyła dwóch jeźdźców na koniach przemierzających ścieżkę. Nawet z tej odległości widziała, że to kobiety, amazonki. Jedna z nich miała wielki problemy z wierzchowcem – był narowisty, a może przestraszył się dwóch chłopców, którzy z dużą prędkością przemknęli obok nich na rolkach.

Amelia raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem mieszkanie, a resztę zostawiła dowódcy jednostki operacyjnej i ruszyła do biura, by zdać Reilly'emu smutną relację z wyników tej akcji.

Reilly był zajęty planowaniem kolejnych kilku dyskretnych wizyt w meczetach i innych miejscach, w których gromadzili się nowojorscy muzułmanie. Po krótkim wstępnym omówieniu z Janssonem tej części śledztwa postanowił, że te wizyty będą całkiem zwyczajne, nie więcej niż dwóch agentów lub gliniarzy, z których jeden musi być, co jest przecież możliwe, muzułmaninem. Nic nie powinno wskazywać, że to przeszukanie albo poważna akcja policyjna. Chcieli współpracować i w większości wypadków tej współpracy im nie odmawiano.

Komputery biura FBI przy Federal Plaza wypływały nieustannie dane, które tworzyły olbrzymią falę informacji, powiększaną jeszcze o dane z komendy policji nowojorskiej, wydziału imigracyjnego i ministerstwa spraw wewnętrznych. Bazy danych wyrastały jak grzyby po deszczu po zamachach w Oklahoma City: nazwiska radykałów i ekstremistów domowego chowu, dane personalne osób, które zanotowano po 11 września, pełne nazwisk muzułmanów różnych



narodowości. Reilly wiedział, że większość z nich jest na tych listach nie z powodu podejrzenia o akty terrorystyczne czy przestępstwa, albo nawet o takie skłonności, ale po prostu z uwagi na wyznanie. Ta świadomość wyprowadzała go z równowagi, bo przysparzała im mnóstwo niepotrzebnej pracy – musieli wylawiać z tej potężnej ławicy kilka rybek, zastanawiając się nad motywami ludzi, którzy byli Bogu ducha winni, tyle że nie był to ten Bóg, co trzeba.

Wciąż czuł, że trop wiedzie gdzieś na prowincję, jednej rzeczy jednak mu brakowało. Potrzebował mianowicie jakiegoś konkretnego powiązania między uzbrojonymi fanatykami a Kościołem katolickim w Rzymie. By znaleźć to brakujące ogniwo, grupa agentów na jego zlecenie myszkowała w manifestach i bazach danych tych prowincjonalnych radykałów.

Ogarnął spojrzeniem antresolę, zadowolony z krzątania agentów, którzy z telefonami przy uchu zerkali w komputery, a potem dopiero usiadł za swoim biurkiem. W tej samej chwili zauważył, że Amelia Gaines zmierza w jego kierunku z drugiego końca pomieszczenia.

– Masz chwilę? Każdy znajdzie chwilę dla Amelii Gaines.

– O co chodzi?

– Wiesz o tym mieszkaniu, na które uderzyliśmy dzisiaj rano?

– Tak, słyszałem – powiedział ponuro. – Udało się wam mimo wszystko uzyskać kilka sprawności zuchowych w wydziale antynarkotykowym, a to wcale nie najgorzej.

Amelia wzruszyła ramionami i zignorowała jego sugestię.

– Kiedy byłam tam na górze, wyglądałam przez okno na park. Widziałam dwie kobiety na koniach na ścieżce. Jedna z amazoнок miała jakieś problemy z koniem... i wtedy coś mi przyszło do głowy.

Reilly przysunął jej krzesło i Amelia usiadła. Była jak powiew świeżego powietrza w wydziale zdominowanym przez mężczyzn; odsetek pracownic dopiero niedawno wzrósł do niewyobrażalnego poziomu dziesięciu. Osoby zajmujące się naborem nie kryły, że chętnie przyjęłyby do pracy więcej kobiet, ale te nie garnęły się specjalnie do FBI. Prawdę mówiąc, tylko jedna agentka objęła kiedyś stanowisko dowódcy, zyskując przedtem przezwisko Królowej Pszczół.

Reilly w ciągu ostatnich kilku miesięcy często współpracował z Amelią. Miała szczególny talent do rozpracowywania podejrzanych z Bliskiego Wschodu. Uwielbiali jej długie rude loki i piegi na buzi, kochali jej uśmiech, którym obdarzała podejrzanych we właściwym momencie, a odsłonięcie niechący kolana czy głębiej wycięty dekolt często przynosiły znacznie lepsze

rezultaty niż tygodnie żmudnego śledztwa. Choć żaden z pracowników biura nie ukrywał, że Amelia mu się podoba, nigdy nie wszczęła awantury, że jest molestowana seksualnie. Trudno zresztą sobie wyobrazić, że komuś udałoby się zrobić z niej ofiarę seksizmu. Miała czterech braci i była córką wojskowego; zdobyła czarny pas w karate, mając szesnaście lat, strzelała jak zawodowy snajper. Umiała sobie poradzić w każdej sytuacji i nie dopuszczała do poufałości.

Niespełna rok temu spotkali się w kafejce i Reilly był bliski zaproponowania jej wspólnej kolacji. Zdecydował jednak, że tego nie robi. Obawiał się, że z dużym prawdopodobieństwem, w każdym razie z jego punktu widzenia, nie skończy się to tylko kolacją. Relacje bardziej osobiste ze współpracownikami nigdy nie są łatwe, a w FBI nie mieli żadnych szans jako para.

– Mów dalej – zwrócił się teraz do niej.

– Ci jeźdźcy w muzeum... Jak oglądałam taśmy wideo, od razu zauważyłam, że ci faceci nie tylko potrafili się utrzymać w siodle, ale z ogromną wprawą kontrolowali wierzchowce. Na przykład, gdy prowadzili je w górę po schodach. To wydaje się łatwe, jak się jest kaskaderem w Hollywood, ale w prawdziwym życiu nie jest wcale takie proste.

Wyglądało na to, że coś na ten temat wie. Reilly miał wrażenie, że nie chce tego powiedzieć wprost.

Amelia spostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnęła się nerwowo.

– Jeżdżę konno – wyznała.

Natychmiast zdał sobie sprawę, do czego zmierza. W tym aspekcie sprawa jeźdźców i koni wydawała się oczywista. Przypomniawszy sobie, że w ciągu pierwszych godzin po rabunku przemknęła mu przez głowę myśl, że policjanci z oddziału konnego w Central Parku na pewno potrafią okiełznać swoje wierzchowce. Ale nie podążył tym tropem. Gdyby to uczynił, wpadłby na ten pomysł wcześniej.

– Chcesz przejrzeć akta kaskaderów?

– To na początek. Nie chodzi mi tylko o jeźdźców. Chodzi także o konie. – Amelia pochyliła się w jego stronę. – Z tego, co słyszeliśmy i co zobaczyliśmy na taśmach wideo, ludzie wrzeszczeli i krzyczeli, wszędzie słychać było dźwięki wystrzałów. A jednak konie nie wpadły w panikę.

Amelia zamilkła, patrząc na Aparo, który po drugiej stronie pomieszczenia rozmawiał z kimś przez telefon; wyglądała, jakby nie chciała kontynuować myśli.

Reilly znów wiedział, do czego zmierza. Powiedział więc za nią:

– Konie policyjne.

– Na przykład.

Cholera jasna. Ten pomysł śmierdział mu równie mocno jak jej. Konie policyjne, czyli mogli za tym stać policjanci. A nikomu się nie spodobają rozważania o ewentualnym uczestnictwie w tej sprawie reprezentantów władzy.

– Masz wolną rękę – powiedział. – Ale bądź ostrożna. Nie zdążyła odpowiedzieć. Pędził do nich Aparo.

– Telefonował Steve. Mamy coś. Tym razem wreszcie chyba coś mamy.

## Rozdział 15

Skręcając w ulicę Dwudziestą Drugą, Gus Waldron czuł dziwne drżenie. W porządku, od sobotniej nocy wykazywał lekką nerwowość. Ale teraz było jakoś inaczej. Rozpoznawał te oznaki. Często zdawał się na własny instynkt. Między innymi tak grał na wyścigach konnych. A wyniki? Były beznadziejne. Jednakże inne rzeczy, które robił instynktownie, czasem wychodziły mu na dobre, zawsze więc był posłuszny tym wewnętrznym podszeptom.

Wreszcie zauważył powód tej nerwowości. Samochód – zwyczajny, nierzucający się w oczy. Za bardzo zwyczajny i za bardzo nierzucający się w oczy. W nim dwóch facetów, którzy nie wyróżniali się niczym szczególnym i nic szczególnego wydawało się nie wzbudzać ich zainteresowania. Gliny! A któżby?

Odliczył kilka kroków i zatrzymał się przed witryną sklepową. W niej zobaczył, że za rogiem stoi inny samochód. Też zwyczajny, nierzucający się w oczy; kiedy zaryzykował szybkie spojrzenie w tamtym kierunku, zobaczył w nim również dwóch mężczyzn.

Zapędzili go do narożnika.

GUS natychmiast pomyślał o Francuziku. Stały mu przed oczami liczne krwawe i ohydne sposoby, jakimi może pozbawić życia tego nędznego szczura.

Doszedł do galerii i nagle jak pływak do wody rzucił się do drzwi, wpadł do środka niczym oddział szturmowy i dopadł do Luciena, który podnosił się właśnie z krzesła. Gus jednym kopnięciem odsunął stół, zrzucając wielki ohydny zegar i puszkę z płynem do czyszczenia na podłogę; jednocześnie przyłożył Lucienowi prosto w twarz.

– Sypnąłeś mnie policji, prawda?

– Nie, Gus...

Kiedy Gus podniósł dłoń, żeby go ponownie uderzyć, zobaczył, że Lucienowi oczy omal nie wyszły z orbit, gdy usiłował nimi wskazać zaplecze galerii. A więc tam też są gliniarze – w tym momencie Gus uświadomił sobie, że czuje coś, co przypomina mu benzynę. To z puszek, którą zrzucił ze stołu, wylewała się na podłogę zawartość.

Gus chwycił puszkę, drugą ręką podniósł Luciena z podłogi i pchnął go w kierunku drzwi; tam kopniakiem podciął mu kolana i znów posłał cherlaka na deski. Przycisnął go do podłogi buciorem, wylewając zawartość puszek na jego głowę.

– Wiesz, że ze mną nie oplaca się w kulki grać, ty mały skurczybyku – warknął, nie przerywając wylewania płynu.

– Proszę... – wykrztusił z siebie Francuz. Oczy wypalał mu żrący płyn. Wszystko działo się zbyt szybko, był zaskoczony i przerażony, nie mógł się opierać. A Gus otworzył drzwi jednym kopnięciem, podniósł Luciena za kołnierz, wyciągnął zapalniczkę, podpałił płyn do czyszczenia i jednym ruchem wyrzucił właściciela galerii na ulicę.

Płomienie rozbłysły na niebiesko i żółto wokół głowy i ramion Luciena, kiedy zatoczył się na chodnik. Jego wrzaski mieszały się z okrzykami zszokowanych przechodniów i dźwiękiem klaksonów samochodowych. Gus wyłonił się z drzwi tuż za nim, oczami przebiegał ulicę to w prawo, to znów w lewo. Niczym polujący sokół wpatrywał się w czterech mężczyzn, po dwóch na każdym krańcu ulicy. Wyszli już z samochodów z bronią gotową do strzału; bardziej jednak niż on sam interesował ich płonący żywcem człowiek.

Tego właśnie było mu trzeba.

Reilly wiedział, że zostali zdemaskowani, kiedy zobaczył, że mężczyzna nagłym ruchem ciała wpada z ulicy do galerii. Krzyknął:

– Zauważył nas. Musimy ruszać, powtarzam, musimy ruszać – mówił do mikrofonu w rękawie, przeładowując browninga hipower i wysiadając z samochodu. Tymczasem Aparo wynurzył się od strony pasażera.

Wciąż skryty za drzwiami samochodu Reilly zobaczył jakiegoś mężczyznę potykającego się na chodniku przed drzwiami galerii. Nie był pewien, czy dobrze widzi. Głowa tego człowieka płonęła jak pochodnia.

Kiedy Lucien stanął na chodniku z płonącymi włosami i koszulą, Gus trzymał się za nim tak blisko, by gliniarze nie zaryzykowali strzału.

Na to liczył.

Żeby nie podeszli bliżej, sam oddał po dwa strzały w każdym kierunku. Beretta była do niczego w takiej sytuacji, ale czterej faceci ukryli się za samochodami, żeby przypadkiem nie oberwać.

Rozległ się dźwięk potłuczonych szyb samochodowych i wrzaski ludzi, którzy w panice chowali się po bramach.

Reilly zobaczył, że mężczyzna unosi rękę, i zdążył schować się za otwartymi drzwiami samochodu. Echo wystrzałów niesło się po ulicy niczym grzmoty; dwie kule trafiły w ceglana

ścianę tuż za Reillym, trzecia utkwiała w lewym reflektorze chryslera, powodując eksplozję chromu i szkła. Spojrzał szybko w lewo i zobaczył czterech przechodniów, którzy przytrażeni przykucnęli za zaparkowanym mercedesem. Wiedział, że za chwilę się podniosą i będą próbowali uciekać, ale to nie był dobry pomysł. Bezpieczniejsi byli za autem. Jeden z nich spojrzał w jego stronę. Reilly zrobił gest otwartą dłonią, prowadząc ją z góry na dół, i krzyknął:

– Padnij! Nie ruszajcie się!

Mężczyzna nerwowo skinął głową; był w szoku, ale usłuchał rozkazu i skrył się za samochodem. Reilly się odwrócił. Wyjrzał zza drzwi swojego wozu i podjął próbę ostrzału, ale mężczyzna, o którym wiedział, że ma na imię Gus, schował się za plecami właściciela galerii. Był za blisko. Reilly nie miał pewnej ręki. A co ważniejsze, nie mógł zrobić nic, żeby pomóc właścicielowi galerii, który teraz padł na kolana. Jego okrzyki bólu i rozpacz odbijały się echem po opustoszałej już ulicy.

W tym momencie Gus odsunął się od płonącego mężczyzny, strzelając kilkakrotnie w kierunku pozostałych agentów. Reilly’emu się wydawało, że taśma filmu przesuwana się w zwolnionym tempie – dostrzegł szansę dla siebie. Wziął głęboki oddech i trzymając w obu dłoniach pistolet, wychylił się zza drzwi samochodu, ustawił w pozycji strzeleckiej, w ułamku sekundy wycelował i pociągnął za spust spokojnym zdecydowanym ruchem, napierając palcem z coraz większą siłą. Kula ze świstem wyleciała z lufy browninga. Na udzie Gusa pojawiła się czerwona plama.

Reilly wstał, żeby ruszyć w kierunku płonącego mężczyzny. Jednakże jego samarytańskie zapędy przekreśliła jakaś furgonetka, która właśnie w tym momencie wtoczyła się na ulicę.

Lucien zataczał się to w lewo, to w prawo, machając ramionami i desperacko usiłując ugasić płomień. Gus wiedział, że teraz musi uciekać. I nagle poczuł silne uderzenie w lewe udo, które nim zachwiało. Dotknął rany i zobaczył, że dłoń ma całą we krwi.

Pieprzone gnojki! Poszczyło się im!

Wtedy zobaczył furgonetkę i strzelając raz w jedną, raz w drugą stronę do agentów FBI, schował się za nią. Kuśtykając, obszedł narożnik ulicy; teraz on miał szczęście. Przy krawężniku zatrzymała się jakaś taksówka. Wsiadał z niej pasażer, japoński biznesmen w jasnym garniturze. Gus gwałtownie odepchnął mężczyznę, otworzył drzwi i jedną ręką wywłókł kierowcę na chodnik. Wgramolił się za kierownicę, włączył bieg i w tym momencie poczuł uderzenie w skroń. To taksówkarz chciał odzyskać swój samochód, wrzeszcząc w jakimś niezrozumiałym

języku. Co za kretyn! Gus wystawił lufę beretty za okno, pociągnął za spust i strzelił prosto w purpurową z gniewu twarz mężczyzny. I już go nie było – pędził przed siebie jak oszalały.

## Rozdział 16

Przyciskając gaz do dechy w chryslerze należącym do floty nowojorskiej policji, Reilly wjechał dwoma kołami na chodnik i ominął furgonetkę, kątem oka zauważając grupkę ludzi pochylonych nad zastrzelonym taksówkarzem.

Aparo z kimś rozmawiał i jednocześnie słuchał radia policyjnego, a Buchinski organizował wsparcie i blokadę dróg. Niedobrze, zanadto się pospieszyli z tym wszystkim. Powinni byli całkowicie odciąć tę ulicę, ale jak powiedział Buchinski, wystraszyliby tym wielkoluda, zanim dotrze do galerii. Ulica, zazwyczaj ruchliwa, na pewno wydałaby się mu nienaturalnie spokojna. Wrócił myślą do płonącej żywcem postaci, która kilka minut temu, potykając się, wyłoniła się z galerii, i o taksówkarzu, który padł na plecy po strzale w głowę. Może byłoby lepiej tylko wystraszyć mężczyznę, którego śledzili?

Spojrzał w lusterko wsteczne, zastanawiając się, czy Buchinski jedzie za nimi.

Byli sami.

– Patrz na drogę!

Okrzyk Aparo sprawił, że Reilly skoncentrował się znów na prowadzeniu i wcisnął chryslera między dwa rzędy niemal stojących samochodów i ciężarówek. Większość z nich zwolniła z powodu taksówki, która przemknęła tędy chwilę wcześniej. Teraz taksówka skręcała na pełnym gazie w alejkę. Reilly pędził za nią, najeżdżając na wirujące śmieci, które wypadły z pojemnika.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy?! – wrzasnął Reilly.

– Jedziemy w kierunku rzeki.

To musiało mu wystarczyć.

Taksówka wypadła z alejki i z piskiem opon skręciła gwałtownie w prawo; chwilę później Reilly zrobił to samo.

Wokół nich pędziły samochody; wydawało się, że jadą we wszystkich kierunkach. Po taksówce nie było ani śladu.

Reilly rozejrzał się błyskawicznie w lewo i w prawo, próbując jednocześnie uniknąć zderzenia z najeżdżającymi ze wszystkich stron pojazdami.

– Tam! – krzyknął Aparo, wskazując palcem.

Reilly zwrócił głowę w tamtą stronę, pociągnął za hamulec ręczny i paląc gumy, skręcił



w lewo w alejkę, w której zniknęła taksówka. Przycisnął gaz do dechy; turkoczając kołami, jechali wąską uliczką, obijali się o metalowe kontenery ze śmieciami, które iskrzyły w gwałtownym zetknięciu z karoserią samochodu.

Tym razem, kiedy wyjechali na ulicę, okazało się, że jest po prostu zakorkowana. Reilly usłyszał dźwięk metalu trącego o metal – taksówka zrywała zderzaki i błotniki z innych samochodów, jechała coraz wolniej, ale się nie zatrzymała.

Kolejny skręt w prawo i tym razem Reilly zobaczył oznakowania prowadzące do tunelu Lincolna. Co ważniejsze, byli coraz bliżej taksówki. Kątem oka zauważył, że Aparo kładzie pistolet na kolanach.

– Nie ryzykuj – powiedział Reilly. – Może uda ci się go trafić.

Gdyby taksówka, jadąc z tą prędkością, uderzyła w coś na zatłoczonej ulicy, nieszczęście gotowe.

Ale taksówka jeszcze raz skręciła, roztrzającą pieszych, którzy przechodzili po pasach przez ulicę.

Reilly zobaczył, że z okna po stronie kierowcy coś się wyłania. To niemożliwe, to nie może być broń. Byłby idiotą, prowadząc auto i jednocześnie strzelając. Idiotą albo szaleńcem.

Chyba jednak był, bo chwilę potem Reilly ujrzał nagły rozbłysk ognia i dym.

– Trzymaj się! – krzyknął do Aparo.

Skręcając gwałtownie kierownicę, uderzył błotnikiem chryslera w marudera, który jechał wolniutko tuż przed nim. Zobaczył nagle wyrwę między murami, wyburzono jakiś dom – wjechał prosto w nią, rozwalając żelazny łańcuch ogrodzenia i wzbijając tuman kurzu.

Kilka sekund później chrysler wynurzył się z pustej parceli i znów siedział na ogonie taksówce. Reilly wypatrywał ramienia albo broni wystającej przez okno od strony kierowcy, ale niczego nie dostrzegł.

– Uważaj! – krzyknął Aparo.

Jakaś kobieta z czarnym terierem na smyczy potknęła się i wpadła na dostawcę, który pchał przed sobą wózek wypełniony skrzynkami z piwem. Wózek znalazł się tuż przed maską chryslera. Reilly skręcił gwałtownie, ledwo udało mu się ominąć ludzi, ale trafił w skrzynki, z których jedna wyskoczyła w górę nad maską i uderzyła w przednią szybę. Szyba wytrzymała, ale przypominała teraz pajęczą sieć.

– Nic nie widzę! – krzyknął Reilly. Aparo zaczął walić kolbą pistoletu w szybę i za trzecim

uderzeniem udało mu się ją wyrzucić z pędzącego samochodu; spadła na dach jakiegoś zaparkowanego auta.

Reilly mrużył oczy, bo podmuch powietrza walił mu teraz wprost w twarz. Zobaczył zakaz wjazdu w miejscu, w którym ulica gwałtownie się zwężała. Czy ten facet zaryzykował? Jeśli się na coś nadział, już jest martwy! Wypatrzył wjazd po prawej, jakieś pięćdziesiąt metrów od znaku zakazu. Reilly zgadywał, że właśnie tamtędy musiała pojechać taksówka. Próbował wycisnąć jeszcze więcej mocy z samochodu, chciał koniecznie zagonić uciekającego kierowcę w jakiś za ciasny zakręt. Chrysler zbliżał się coraz bardziej do taksówki.

Niemal mu się udało. Taksówka z piskiem wpadła w otwartą przestrzeń, a jej tył zarzuciło szeroko na lewo. Błysnęła oponami, uderzając w narożnik budynku.

Reilly ruszył za taksówką, a wtedy Aparo mruknął pod nosem:

– O, cholera! – Obaj w tej chwili zobaczyli chłopaka na deskorolce sunącego po jezdni przed taksówką. Chłopiec miał w uszach słuchawki i nie był świadom, że tuż za nim nadchodzi nawałnica.

Reilly instynktownie zwolnił, ale w taksówce nie zaświeciły się lampki hamulców – facet walił prosto na chłopaka.

Wjedzie w niego. Przejedzie się po nim.

Reilly nacisnął na klakson, chcąc wedrzeć się ostrym dźwiękiem w koncert, którego słuchał chłopak. Taksówka była coraz bliżej. Chłopiec rzucił nonszalanckie spojrzenie w lewo, zobaczył maskę pół metra za sobą i zeskoczył dosłownie o ułamek sekundy wcześniej, nim taksówka jak buldożer rozgniotła oponami deskorolkę.

Kiedy mijali oszołomionego chłopca, Reilly zdał sobie sprawę, że ulica przed nimi jest w miarę spokojna. Żadnych pojazdów. Żadnych pieszych. Jeżeli ma próbować, to właśnie teraz. Zanim sytuacja zrobi się naprawdę obrzydliwa.

Znów wcisnął gaz do dechy i przybliżył się do taksówki. Zobaczył dym wydobywający się gdzieś z lewego tylnego koła; domyślał się, że to uderzenie w ścianę zgięło karoserię, która wciniała się w oponę.

Aparo zauważył, że zbliżają się do ściganego samochodu.

– Co zamierzasz?

Reilly walnął zderzakiem chryslera w tył taksówki; siłę uderzenia odczuł boleśnie w ramionach i w szyi.

Znów przywalił. Raz.

I znowu.

Został trochę w tyle, wcisnął pedał gazu do dechy i uderzył, niczym byk rogami, po raz trzeci.

Tym razem taksówka wpadła w poślizg. Jej kierowca był bez szans – wjechała kołami na chodnik, przewróciła się na bok i jak wystrzelona z katapulty wpadła na witrynę sklepową. Reilly z całych sił wdepnął hamulec i chrysler zwalniał gwałtownie z piskiem opon. Obejrzał się i zobaczył tył taksówki wystający z wystawy sklepu z instrumentami muzycznymi; leżała na boku.

Chrysler wreszcie się zatrzymał. Reilly i Aparo wygramolili się na zewnątrz. Aparo z bronią w rękę, a Reilly już miał sięgnąć po swoją, gdy uświadomił sobie, że to nie będzie potrzebne.

Kierowca wyleciał przez przednią szybę i teraz leżał twarzą w dół wśród rozbitego szkła oraz pogniętych i rozwalonych instrumentów muzycznych. Arkusze papieru nutowego opadały powoli, jak jesienne liście, na jego nieruchome ciało.

Reilly ostrożnie wsadził czubek buta pod ciało kierowcy, a potem przetoczył go na plecy. Był nieprzytomny, ale oddychał; twarz miał pociętą czerwonymi nitkami. Poruszenie ciała sprawiło, że ramiona rozrzucił na boki. Z dłoni wysliznęła się pistolet. Kiedy Reilly odsuwał broń stopą, zobaczył coś jeszcze.

Z kieszeni płaszcza mężczyzny wystawał złoty krzyż wysadzany drogocennymi kamieniami.

## Rozdział 17

Tylko kilka wiadomości czekało na Tessę, kiedy weszła do swojego pokoju w Instytucie Manoukiana na skrzyżowaniu Lexington i Siedemdziesiątej Dziewiątej, i jak przewidywała, przeważnie od byłego męża Douga; reszta, czego również się spodziewała, od dyrektora Leo Guiragossiana. Ten nigdy nie ukrywał, że Tessę znosi w instytucie tylko dlatego, że jej ojcem był znakomity archeolog Oliver Chaykin; jej nazwisko ułatwiało mu gromadzenie funduszy na działalność. Nie lubiła tego łysiejącego głupka, ale potrzebowała pracy, a w sytuacji obecnych ograniczeń budżetowych krążące tu i ówdzie plotki o redukcji etatów kazały jej obchodzić się z nim jak z jajkiem.

Wyrzuciła wszystkie wiadomości do kosza, nie zwracając uwagi na wzniesione do góry oczy Lizzie Harding, surowej w obejściu, ale jednocześnie bardzo opiekuńczej sekretarki, która prowadziła biuro nie tylko jej, ale też trzem innym pracownikom naukowym. Zarówno Leo, jak i Doug chcieli od niej tego samego – ociekających krwią szczegółów wydarzeń sobotniej nocy. Szef kierował się wyłącznie niezdrową i chorobliwą ciekawością; jego motywy interesowały ją jeszcze mniej niż motywy Douga, który troszczył się przynajmniej o własne interesy.

Tessa ustawiła telefon i komputer na biurku w ten sposób, by wystarczyło tylko lekko skrócić głowę i popatrzeć na wyłożony kocimi łbami ogród ukryty za budynkiem z czerwonej cegły. Cały dom z wielką pieczołowitością odrestaurował wiele lat temu, zanim zaczęła tu pracować, założyciel instytutu, magnat przemysłu stoczniowego, z pochodzenia Ormianin. Rozłożysta płacząca wierzba ocieniała konarami cały ogród, jej równomiernie ułożone liście spływały kaskadą w dół; pod drzewem stała ławeczka.

Tessa przeniosła spojrzenie na biurko, wyłowiła z torebki numer telefonu Jeba Simmonsa, który dostała od Clive'a Edmondsona, i zadzwoniła. Po chwili odezwała się automatyczna sekretarka. Odłożyła słuchawkę i spróbowała wykręcić drugi numer, który podał jej Clive. Sekretarka w Instytucie Historii na Brown University poinformowała ją, że Simmons prowadzi wykopaliska na pustyni Negew i wróci za trzy miesiące, ale można się z nim porozumieć, jeśli to coś bardzo ważnego. Tessa podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Wróciła myślami do rozmowy z Edmondsonem. Postanowiła spróbować czego innego. Zajrzała do żółtej książki telefonicznej w Internecie, kliknęła ikonkę „Wybierz numer”

i połączyła się z centralą Columbia University.

– Z profesorem Williamem Vance’em – powiedziała, kiedy w słuchawce usłyszała głos telefonistki.

– Chwilę, już łączę – odpowiedziała kobieta. Po dłuższej przerwie Tessa usłyszała: – Przykro mi, ale nie mam pana profesora na liście pracowników uniwersytetu.

Tego się właśnie spodziewała.

– A czy może mnie pani połączyć z Instytutem Historii? Kilka trzasków i dzwonek później Tessa rozmawiała z inną kobietą, która sprawiała wrażenie, że wie, o kim mowa.

– Oczywiście, pamiętam Billa Vance’a. Zrezygnował z pracy... pewnie już pięć albo sześć lat temu. Tessa poczuła przypływ nadziei.

– Wie pani, jak się z nim skontaktować?

– Niestety nie, chyba jest na emeryturze. Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc.

Tessa nie traciła nadziei.

– Czy mogę panią prosić o przysługę? – nalegała. – Naprawdę zależy mi na rozmowie z nim. Dzwonię z Instytutu Manoukiana, spotkaliśmy się dobrych kilka lat temu podczas wykopalisk. Może mogłaby pani popytać na wydziale i zorientować się, czy ktoś z jego byłych współpracowników nie wie, jak można się z nim skontaktować?

Kobieta wykazała sporo entuzjazmu. Tessa podała jej swoje nazwisko i numery kontaktowe, podziękowała i odłożyła słuchawkę. Chwilę o tym myślała, potem znów weszła do sieci i znalazła w książce telefonicznej prywatnych abonentów nazywających się William Vance. Zaczęła w okolicach Nowego Jorku, ale się nie powiodło. Jedną z wad rozrastającego się systemu telefonii komórkowej jest to, że większości numerów nie można znaleźć w książce telefonicznej. Spróbowała w Connecticut. Znów zero. Poszerzyła obszar poszukiwań na całe Stany Zjednoczone i tym razem na ekranie pokazało się aż za wiele odpowiedzi. Wprowadziła jego nazwisko do wyszukiwarki i znalazła około stu witryn, w których się pojawiało, ale kiedy je pospiesznie przejrzała, nie znalazła żadnej wzmianki o jego nowym miejscu pracy, żadna z tych firm na pewno nim też nie była. Siedziała przez chwilę przy biurku, intensywnie myśląc. Gołębie odfrunęły z ogrodu, pojawiło się za to dwa razy tyle wróbli, które rozćwierkały się jak szalone. Odwróciła głowę i przebiegła oczami po półkach z książkami. Nagle wpadła na pomysł: zadzwoniła jeszcze raz do Columbia University, tym razem prosząc o połączenie z biblioteką. Przedstawiła się pracownikowi, który odebrał telefon i powiedziała, że szuka artykułów

naukowych i publikacji autorstwa Vance'a. Przeliterowała jego nazwisko, zasugerowała, że najbardziej interesują ją te, które dotyczą w jakimś stopniu wypraw krzyżowych, przypuszczając, że Vance nie napisałby prawdopodobnie nic wprost o templariuszach.

– Oczywiście, niech pani poczeka chwilę przy telefonie – powiedział jej bibliotekarz. Po kilku minutach wrócił. – Właśnie zebrałem wszystko pióra Williama Vance'a, co mamy. – Odczytał jej listę tytułów artykułów naukowych, które napisał, co wydawało się mu życzeniem Tessy.

– Czy mógłby pan przesłać mi ich kserokopie?

– To żaden problem. Tylko będziemy musieli panią obciążyć kosztami.

Tessa podała mu adres Instytutu Manoukiana i poprosiła o obciążenie jej osobiście. W tych czasach irytowanie księgowych byłoby przejawem lekkomyślności. Odłożyła słuchawkę i poczuła dziwne podniecenie. Pamiętała ten rodzaj ekscytacji z wyjazdów na wykopaliska, zwłaszcza na początku, kiedy wszystko wydawało się możliwe.

Ale to przecież nie są wykopaliska.

Co ty, kobieto, robisz? – skarciła się w myślach. Jesteś archeologiem. To nie czasy detektywów amatorów. Zadzwoń do FBI, powiedz im, co ci chodzi po głowie, niech oni się tym zajmą. Tessa zastanawiała się, czy to, że nie powiedziała wszystkiego FBI, może opóźnić śledztwo. Ale odsunęła od siebie tę myśl. Uśmieliby się pewnie do rozpuku. A jednak... Detektywi i archeolodzy. Czy dzieli ich rzeczywiście aż tak wielka przepaść? I jedni, i drudzy odkrywają coś, co wydarzyło się w czasie przeszłym. No dobrze, dwa dni temu to nie są ramy czasowe dla archeologa, ale co z tego?

To nie miało znaczenia.

Nie mogła się powstrzymać. Była zbyt podekscytowana. W końcu jest tu, w Nowym Jorku, a nie na antypodach. Została w to wmieszana i wolno jej połączyć obie sprawy. A przede wszystkim znowu poczuła napływ adrenaliny, której jej w życiu ostatnio brakowało. Weszła z powrotem do sieci i zanurkowała w informacje na temat templariuszy. Spojrzała przed siebie i zauważyła, że sekretarka patrzy na nią zdumiona. Tessa uśmiechnęła się do niej. Lubiała Lizzie, czasami zwierzała jej się z różnych spraw osobistych. Ale po rozmowie z Edmondsonem nie miała zamiaru się zwierzać. Na pewno nie z tego.

I nikomu.

## Rozdział 18

Ani Reilly, ani Aparo nie odnieśli większych obrażeń; kilka siniaków od pasów bezpieczeństwa i niewielkie zadraśnięcia na skórze od szkła z przedniej szyby samochodu. Trzymali się tuż za karetką pogotowia wiozącą Gusa Waldrona do Szpitala Prezbiteriańskiego. Kiedy Waldron znalazł się na sali operacyjnej, bardzo energiczna i stanowcza czarnoskóra pielęgniarka zaczęła ich przekonywać, by się dali opatrzyć. W końcu ustąpili. Oczyszczyła i zabandażowała im rozcięcia, ale była bardzo opryskliwa i niedelikatna; z pewnością lepiej by się z nimi obeszła, gdyby okazali więcej pokory. Uszli jednak z życiem z jej rąk.

Lekarze na oddziale intensywnej terapii twierdzili, że ranny prawdopodobnie przez kilka dni, a może i dłużej nie będzie mógł rozmawiać. Miał rozległe obrażenia. Musieli poczekać z przesłuchaniem, aż wydobrzeje, z nadzieją, że agenci i śledczy, którzy już szperają w życiorysie niewątpliwego uczestnika napadu na muzeum, dowiedzą się przynajmniej, gdzie się ukrył owej feralnej nocy.

Aparo oświadczył Reilly'emu, że na dzisiaj dość, i pojechał do domu, do żony, której sporo po czterdziestce przytrafiło się zajść w ciążę. Niebawem spodziewała się trzeciego dziecka. Reilly postanowił zostać i poczekać, aż przestępcę wywiozą z sali operacyjnej; dopiero potem zamierzał pojechać do domu. Chociaż wydarzeniami tego dnia był wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie, specjalnie mu się nie spieszyło do pustego mieszkania. Rytm życia wielkiego miasta lepiej wpływał na psychikę samotnego mężczyzny.

Krążąc po szpitalu w poszukiwaniu filiżanki gorącej kawy, Reilly wszedł do windy i zobaczył znajomą twarz. Trudno było nie poznać tych intensywnie zielonych oczu. Skinęła głową, jakby go poznając, a potem odwróciła się i wpatrywała w przyciski. Widział, że jest czymś zaprzątnięta, i przyglądał się drzwiom windy. Ze zdumieniem jednak stwierdził, że w niewielkim wnętrzu windy jej obecność nie daje mu spokoju. Kiedy winda z szumem zjeżdżała w dół, spojrzął w jej stronę i zobaczył, że ona znów patrzy na niego tak, jakby go poznawała. Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu zaledwie półuśmiech; był zdziwiony, gdy się okazało, że istotnie go kojarzy.

– Był pan tam, prawda? W muzeum... tego wieczoru, kiedy... – pierwsza zdobyła się na odwagę.

– Tak, w pewnym sensie. Zjawiłem się później. – Zamilkł, bo zdał sobie sprawę, że jest niepotrzebnie tajemniczy. – Pracuję w FBI. – To musiało zabrzmieć okropnie, chociaż trudno byłoby to wyrazić bardziej bezpośrednio.

– Aha.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, po czym oboje odezwali się w tym samym momencie – jej „A jak tam...”, zderzyło się z jego „Więc jest pani...?” Oboje przerwali i roześmiali się.

– Przepraszam – powiedział Reilly. – O co chciała pani zapytać?

– Chciałam zapytać, jak tam śledztwo, ale chyba nie jest to temat, który można omawiać z nieznaną z windy.

– Tak, rzeczywiście. – Obawiał się, że uzna go za jakiegoś mitomana, szybko więc dorzucił:

– Tak czy inaczej, na razie nie mam specjalnie wiele do opowiadania. A co pani robi w szpitalu?

– Odwiedzałam znajomego. Tamtego wieczoru w muzeum został ranny.

– Dobrze się czuje?

– Tak, nic mu nie będzie.

Winda wydała z siebie dźwięczny odgłos, dojechawszy na parter. Patrzył, jak wychodzi; w pewnym momencie odwróciła się i odniósł wrażenie, że właśnie podjęła jakąś decyzję.

– Zamierzałam skontaktować się z waszym biurem. Agentka Gaines dała mi tamtej nocy swoją wizytówkę.

– Amelia. Pracujemy razem. Nazywam się Reilly. Sean Reilly. – Wyciągnął do niej rękę. Tessa uściśnęła jego dłoń i też się przedstawiła.

– Może ja mógłbym pani pomóc? – spytał.

– Cóż, chodzi o to, że... Amelia zachęcała, żebym do niej zadzwoniła, jeżeli coś mi się nasunie lub przypomni, a ja... jakby to powiedzieć... Jest coś, o czym ostatnio wiele myślę. Właśnie ten znajomy podsunął mi tę myśl. Ale z pewnością wy już się przyglądacie sprawie z tego punktu widzenia.

– Niekoniecznie. Proszę mi wierzyć, jesteśmy otwarci na nowe wątki. A co to takiego?

– Ta cała historia z templariuszami.

Widać było, że Reilly nie ma zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

– Historia z templariuszami?

– No wie pan, to, co mieli na sobie, ta maszyna, którą zabrali. I łacińska sentencja, którą jeden z jeźdźców wypowiedział głośno, kiedy wyciągał to urządzenie z gabloty. – Reilly



przyglądał się jej niepomiernie zaintrygowany. – Miałaby pani czas na filiżankę kawy?

## Rozdział 19

Kafejka na parterze szpitala była prawie pusta. Sami przynieśli sobie kawę do stolika. Tessa była zdumiona, ponieważ Reilly przede wszystkim zapytał, czy wtedy w muzeum widział ją z córką.

– Tak, to była moja córka – uśmiechnęła się. – Ma na imię Kim.

– Jest do pani podobna.

Tessa była zaskoczona. Chociaż tylko przelotnie widziała go w Metropolitan i rozmawiali zaledwie kilka minut, poczuła do niego sympatię. Boże, muszę koniecznie przekalibrować z powrotem moje czujniki na facetów, pomyślała. Sądziła, że pytał, by sprawić jej przyjemność i że jak zwykle usłyszy jakiś wyświechtany komplement. Coś w rodzaju, że nie wygląda na matkę takiej dziewczynki; myślałem, że to siostra... A teraz ponownie ją zaskoczył, bo spytał:

– Gdzie była mała, kiedy to wszystko się działo?

– Kim? Moja mama zabrała ją do damskiej toalety. Kiedy były w środku, usłyszała krzyki i hałas, więc postanowiła stamtąd nie wychodzić.

– Na szczęście ominęło je najgorsze.

– Żadna z nich niczego nie widziała – potwierdziła Tessa, zastanawiając się, dlaczego go to interesuje.

– A co było potem?

– Znalazłam je i przeczekałyśmy gdzieś z boku do momentu, kiedy odjechały karetki pogotowia – powiedziała wciąż niepewna, do czego on zmierza.

– Więc mała nie widziała rannych ani...

– Nie, tylko zniszczenia w sali głównej muzeum. Skinął głową.

– To dobrze. Ale oczywiście wie, co się wydarzyło.

– Ona ma dziewięć lat, agencie Reilly. Jest teraz najlepszą koleżanką wszystkich dzieci w szkole. Wszyscy chcą usłyszeć, jak to było.

– Domyślam się. Powinna pani jednak na nią bardzo uważać. Chociaż niczego nie widziała na własne oczy, takie przeżycia pozostają w pamięci długo, zwłaszcza w młodym wieku. Czasami kończy się ciągiem nocnych koszmarów, czasami czymś więcej. Musi pani bardzo na nią uważać, i tyle. Z takimi historiami nigdy nic nie wiadomo.

Tessa była oszołomiona jego zainteresowaniem. Skinęła głową i powiedziała:

– No tak, oczywiście.

Reilly usiadł wygodniej na krześle.

– A pani? Była pani przecież w samym środku tego zamętu. Tessa była zaintrygowana.

– A skąd pan wie, gdzie byłam?

– Kamery przemysłowe. Oglądałem panią na filmie. – Nie był pewien, czy to, co powiedział, nie zabrzmiało trochę dwuznacznie. Miał nadzieję, że nie, ale nie potrafił nic wywnioskować z jej spojrzenia. – Poradziła sobie pani z tym?

– Tak. – Tessa przypomniała sobie moment, w którym jeźdźcy zamieniali muzeum w rumowisko i strzelali z pistoletów maszynowych; przypomniała sobie czwartego jeźdźca, który nie schodząc z siodła, podniósł urządzenie dosłownie kilka centymetrów od niej. Oddech jego konia czuła na swojej szyi. Nie było to przeżycie, które łatwo zapomnieć. Trudno też zapomnieć o strachu. Próbowała tego nie okazać. – To całe zdarzenie przeżywałam dosyć intensywnie... Ale w pewnym sensie było tak nierealne, że miałam wrażenie, jakbym oglądała film. Schowałam je głęboko i nie chcę pamiętać.

– I bardzo dobrze. – Zawahał się. – Niech się pani nie gniewa, że jestem taki wścibski, ale nieraz uczestniczyłem w takich zdarzeniach i wiem, że nie zawsze łatwo sobie z nimi poradzić.

– Rozumiem i doceniam pańską troskę – powiedziała. Spojrzała na niego z uśmiechem, sama zdumiona, że chociaż zazwyczaj osłania się tarczą obronną, kiedy ktoś wtrąca się do spraw związanych z wychowaniem Kim, temu mężczyźnie na to pozwoliła. Jego troska o Kim wydała się szczerą.

– No tak – powiedział. – To może teraz pani mi opowie o tych templariuszach?

Przysunęła się bliżej do stołu, nieco zdziwiona.

– Nie rozpatrujecie sprawy pod tym kątem?

– Z tego, co mi wiadomo, jeszcze nie.

Tessa poczuła się jak balon, z którego ktoś spuścił powietrze.

– No widzi pan, wiedziałam, że to guzik warte.

– Niech mi pani tylko opowie, co pani wymyśliła.

– Co pan wie o templariuszach?

– Niewiele – wyznał.

– Dobra wiadomość jest taka, że wobec tego nie jest pan szaleńcem. – Uśmiechnęła się

i natychmiast pożałowała tych słów, których on po prostu nie rozumiał. – No, dobrze. Przejdźmy do rzeczy... Rok tysiąc sto osiemnasty. Skończyła się pierwsza wyprawa krzyżowa i Ziemia Święta jest znowu w rękach chrześcijan. Baldwin II jest królem Jerozolimy, ludy Europy świętują, a pielgrzymi napływają tłumnie, żeby zobaczyć, o co w ogóle poszło. Wielu z nich nie zdawało sobie sprawy z tego, że zapuszczają się na niebezpieczne terytorium. Kiedy krzyżowcy „wyzwolili” Ziemię Świętą, uznali swoją misję za wypełnioną i powrócili do domów w Europie, zabierając ze sobą splądrowane skarby i zostawiając ten rejon otoczony wrogimi państwami islamskimi. Turcy i muzułmanie, którzy utracili ziemię na rzecz armii chrześcijańskich, nie zamierzali ani zapomnieć, ani wybaczyć; wielu pielgrzymów zmierzających do Jerozolimy nigdy tam nie dotarło. Byli atakowani i okradani, często ich zabijano. Arabskie hordy nieustannie nękały podróżujących, niweczając główny cel krucjaty.

Tessa opowiedziała Reilly’emu o niektórych wydarzeniach tamtego okresu, na przykład o tym, jak saraceńscy rabusie zastawili pułapkę i wymordowali około trzystu pielgrzymów między portem w Jaffie, do którego ich statki przybijały na wybrzeżu Palestyny, a Jerozolimą, świętym miastem. Bandy wojowników stały się nieodłącznym elementem krajobrazu poza jego murami. Wtedy właśnie pojawili się templariusze. Dziewięciu niebywale dzielnych i bogobożnych rycerzy dowodzonych przez Hughes de Payensa, stawiło się w pałacu Baldwina w Jerozolimie i pokornie ofiarowało królowi usługi. Ślubowali czystość, ubóstwo i posłuszeństwo, ale dołączyli do tego przysięgę, że będą chronić pielgrzymów w drodze z wybrzeża do świętego miasta. Ich usługi były bardzo pożądane w tamtej sytuacji. W kraju krzyżowców brakowało ludzi parających się rycerskim rzemiosłem.

Król Baldwin był pod wielkim wrażeniem: oddanie rycerzy i ich bogobożność sprawiły, że zaoferował im wschodnią część pałacu; jej fundamenty stały w miejscu, w którym kiedyś wznosiła się świątynia króla Salomona. Rycerzy zwano odtąd Zakonem Ubogich Rycerzy Chrystusowych Świątyni Salomona lub krócej – templariuszami.

Tessa pochyliła się ku niemu nad stołem. – Religijnej symboliki miejsca, które Baldwin przeznaczył na kwaterę rodzącemu się zakonowi, nie można nie docenić. Salomon zbudował tu pierwszą świątynię dziewięćset pięćdziesiąt lat przed Chrystusem. Jego ojciec, Dawid, ponoć rozpoczął prace na wyraźne polecenie samego Boga, wznosząc świątynię, w której miała być przechowywana Arka Przymierza, czyli przenośny dotychczas obiekt kultu, zawierający kamienne tablice z wygrawerowanymi przykazaniami; te, które Bóg dał Mojżeszowi. Pełne

chwały rządy Salomona skończyły się wraz z jego śmiercią. Jego terytoria zalewały kolejne narody ze Wschodu, które podbijały ziemie żydowskie. Świątynia została zniszczona w roku pięćset osiemdziesiątym szóstym przed Chrystusem przez najeźdźców z Chaldei, którzy wywozili Żydów do Babilonu jako niewolników. Pięćset lat później świątynię odbudował Herod, próbując tym pozyskać żydowskich poddanych i pokazać im, że król, choć arabskiego pochodzenia, jest gorącym wyznawcą nowej religii, że się nawrócił. To będzie ukoronowanie jego osiągnięć – nowa świątynia górująca nad doliną Kidron była budowlą imponującą i wymyślną, wzniesioną z o wiele większym rozmachem niż ta, na której fundamentach ją postawiono. Jej sanktuarium, do którego prowadziło dwoje ogromnych złotych drzwi, skrywało Miejsce Najświętsze. Tu dostęp miał tylko arcykapłan żydowski.

Po śmierci Heroda znów wzniecano powstania żydowskie i około sześćdziesiątego szóstego roku po Chrystusie powstańcy raz jeszcze przejęli kontrolę nad Palestyną. Cesarz rzymski Wespazjan wysłał swojego syna Tytusa, by zdławił rebelię. Po trwających sześć miesięcy krwawych walkach Jerozolima w końcu padła, a u jej bram w 70 roku naszej ery stanęły rzymskie legiony. Tytus wydał rozkaz zrównania z ziemią miasta, a ludność została teraz ostatecznie wytępiona. I tak „najpiękniejsza budowla, jaką kiedykolwiek widziało ludzkie oko i o jakiej słyszało ludzkie ucho”, jak ją opisywał ówczesny historyk Josephus, znów legła w gruzach.

Druga rebelia żydowska po niecałych stu latach została również stłumiona przez Rzymian. Tym razem zabroniono im wstępu do Jerozolimy, a na wzgórzu świątynnym zbudowano świątynie Zeusa i boskiego cesarza Hadriana. Sześćset lat później w tym samym miejscu wzniesiono kolejną świątynię – islam obrastał w siłę, Jerozolima przeszła w ręce Arabów. Najświętsze miejsce judaizmu, na którym Abraham składał ofiarę, zostało jednocześnie zdefiniowane jako miejsce, z którego koń proroka Mahometa wzniósł się do nieba. A zatem w sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku naszej ery kalif Abd el-Malik zbudował Kopułę na Skale. Od tego momentu jest ona najświętszym miejscem islamu, na krótko przeszła w ręce krzyżowców i w okresie, kiedy panowali na Ziemi Świętej, Kopułę na Skale przemieniono na kościół katolicki zwany Templum Domini, czyli Świątynią Pana. Wtedy też meczet Al-Aksa, zbudowany w tych samych granicach, zamieniono na główną kwaterę rozkwitającego zakonu templariuszy.

Heroiczny obraz dziewięciu dzielnych mnichów osłaniających własną pierśią bezbronnymi

pielgrzymów szybko poruszył wyobraźnię mieszkańców Europy. Otoczony romantycznym nimbem zakon przyciągał rycerzy, którzy chcieli tłumnie wstępować w jego szeregi. Szlachta i możnowładcy z całej Europy hojnie łożyli na jego utrzymanie, składając im daniny z pieniędzy i włości. Znacznie temu pomogło błogosławieństwo papieskie, wówczas rzecz bardzo rzadka, a więc mająca olbrzymie znaczenie w epoce, w której wszyscy królowie i narody uważały Stolicę Piotrową za najwyższy autorytet chrześcijaństwa. I tak zakon rósł w siłę, początkowo powoli, później coraz bardziej zdecydowanie. Zakonnicy byli mistrzami w sztuce rycerskiej, a w miarę jak ich sukcesy na polu walki stawały się coraz głośniejsze, rozszerzała się sfera działalności templariuszy. Zaczęli od misji ochraniać pielgrzymów i z czasem stali się wojownikami broniącymi Ziemi Świętej.

Przed upływem stu lat templariusze stali się jedną z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych organizacji w Europie, zaraz po papieżu; byli właścicielami olbrzymich włości w Anglii, Szkocji, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Niemczech i Austrii. Dysponując siecią zamków na tak rozległej przestrzeni, kontrolując ogromne terytoria, wkrótce stali się w średniowieczu pierwszymi międzynarodowymi bankierami. Oferowali pożyczki bankrutującym rodzinom królewskim w całej Europie i chronili fundusze pielgrzymów; w efekcie przyczynili się do powstania czegoś w rodzaju czeku podróznego. W tamtych czasach pieniądze były monetami ze srebra i złota, wartymi tyle, ile ważyły. Zamiast je wozić ze sobą i narażać się na rozbój, pielgrzymi deponowali pieniądze w siedzibie lub zamku templariuszy gdziekolwiek w Europie i dostawali w zamian zakodowany kwit, stanowiący ich równowartość. Kiedy docierali do miejsca przeznaczenia, udawali się do miejscowej siedziby templariuszy, przedstawiali kwit, który był odkodowywany za pomocą ściśle strzeżonych systemów szyfrujących, i wypłacano im należną kwotę.

Tessa spojrzała na Reilly'ego, żeby się upewnić, czy wciąż jej słucha.

– To, co się zaczęło od małej grupy dziewięciu rycerzy o szlachetnych intencjach, którzy ofiarowali swe życie w obronie Ziemi Świętej przed Saracenami, rozrosło się bardzo szybko i stało najpotężniejszą i otoczoną głęboką tajemnicą potęgą tamtych czasów, rywalizującą z Watykanem o bogactwo i wpływy.

– I wtedy ich los się odwrócił, czy tak? – spytał Reilly.

– Tak. Nagle i niespodziewanie. Armie muzułmańskie w końcu trzynastego wieku przejęły

kontrolę nad Ziemią Świętą i podziękowały krzyżowcom, tym razem na dobre. Nie było już więcej krucjat. Templariusze wyjeżdżali jako ostatni po klęsce pod Akką w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Kiedy wrócili do Europy, właściwie straciło sens istnienie zakonu. Nie było już pielgrzymów, którzy wymagali eskorty; nie było Ziemi Świętej, której trzeba bronić. Pozbawieni zostali domu, wroga i sprawy, za którą walczyli. Nie mieli również zbyt wielu przyjaciół. Władza i bogactwo uderzyły im do głowy. Ubodzy rycerze Chrystusa przestali być ubodzy, za to zrobili się arogancy i chciwi. A wielu europejskich monarchów, szczególnie król Francji, było im winnych dużo pieniędzy.

– I zrównano ich z ziemią.

– Zrównano z ziemią i spalono – skinęła głową Tessa. – W dosłownym znaczeniu tego słowa. – Tessa upiła łyk kawy i opowiedziała Reilly’emu, jak rozpoczęto kampanię oszczerstw na temat templariuszy, której z pewnością przysłużyły się ich rytuały i tajemnica spowijająca zakon. Chodziło o rytuały związane z inicjacją i pasowaniem na rycerzy. Bardzo szybko przedstawiono im długą listę zarzutów, oskarżając o herezję.

– Co było potem?

– Piątek trzynastego – odparła Tessa krótko. – Ten pierwszy.

## Rozdział 20

PARYŻ, MARZEC 1314 ROKU

Jakub de Molay powoli odzyskiwał przytomność.

Jak długo był nieobecny tym razem? Godzinę? Dwie? Wielki mistrz wiedział, że na pewno nie dłużej. Kilka godzin bez przytomności to luksus, na który mu nigdy nie pozwalają.

Kiedy z jego świadomości uniosły się wreszcie mgły, przyszłe uczucie bólu, które jak co dzień odesłał precz. Umysł to tajemnicze i potężne narzędzie, a on po latach więzienia i tortur nauczył się nim posługiwać jak bronią. Wprawdzie to broń defensywna, niemniej skuteczna – mógł odparować przynajmniej niektóre ciosy zadawane mu przez wrogów. Potrafili złamać jego ciało i robili to; ale jego duch i umysł, choć poharatane, wciąż należały do niego.

Podobnie jak przekonania.

Otworzył oczy i zobaczył, że wszystko jest, jak było; a jedna zaszła jakaś osobliwa zmiana, której wcześniej nie zauważył. Ściany piwnicy były wciąż pokryte zielonym śluzem, który kapał na kamienną podłogę. Ta była niemal idealnie równa od kurzu, zeschniętej krwi i ekskrementów. Ile tego paskudztwa pochodziło z jego własnego ciała? Obawiał się, że wiele. W końcu jest tu już... Spróbował się skoncentrować. Sześć lat? Siedem? Wystarczająco długo, by go fizycznie zniszczyć. Łamano mu kości, pozwalano, żeby się same byle jak zrastały, i znów łamano. Stawy rozgniatano, zrywano ścięgna. Wiedział, że żadnego sensownego ruchu nie wykona ani dłońmi, ani ramionami, nie mógł też chodzić. Ale nie udało im się zatrzymać biegu jego myśli. W umyśle nie był więźniem; mógł wędrować, opuszczać te ciemne, pełne nieszczęścia lochy pod ulicami Paryża i podróżować... gdzie tylko mu się podobało.

Dokąd więc wybierze się dzisiaj? W żyzne tereny rolnicze środkowej Francji? Do podnóża Alp? Na wybrzeże albo jeszcze dalej – z powrotem do ukochanego Outremer? Zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, czy jest szalony. Prawdopodobnie tak – wniosek wydawał się mu oczywisty. Aby przetrzymać tortury, którym poddawali go kaci w tych zapomnianych przez Boga i ludzi lochach, musiał postradać zmysły. Nie było innej możliwości.

Skupił się, by ostatecznie wyliczyć, ile właściwie czasu tu spędził. Znalazł w końcu odpowiedź. Minęło sześć i pół roku od tej nocy, gdy ludzie króla zdobyli Świątynię Paryską.



Jego Świątynię Paryską.

To było w piątek, przypomina sobie. 13 października 1307 roku, piątek. Spał, podobnie jak większość rycerzy, kiedy dziesiątki żołnierzy szturmem uderzyły na zgromadzenie o świcie. Templariusze powinni być bardziej czujni. Od miesięcy wiedział, że król i jego sługusy udają przyjaźń i tylko czekają na odpowiednią okazję, by pozbawić templariuszy władzy. Tego ranka w końcu zebrał się na odwagę i znaleźli pretekst. Wykrzesali z siebie również wolę walki; chociaż rycerze nie poddali się łatwo, to na rzecz ludzi króla pracowało zaskoczenie i przewaga liczebna. Templariusze zostali pokonani. Bezradni przyglądali się, jak napastnicy plądrują ich świątynię. Wielki mistrz mógł tylko żywić nadzieję, że król i jego siepacze nie docenią wartości łupów, które wynoszą, albo że zre ich chciwość i chęć posiadania złota i drogich kamieni do tego stopnia, że nie zauważą tych pozornie bezwartościowych przedmiotów, które naprawdę były bezcennym skarbem. Potem wszystko ucichło, a de Molay i jego rycerze z niezwykleymi honorami zostali załadowani na wozy i wywiezieni, by stanąć twarzą w twarz ze swoim losem.

Kiedy de Molay przypomniał sobie teraz tę ponurą ciszę, zrozumiał, co właściwie dziś jest inaczej.

Było cicho. Zazwyczaj w lochach panował harmider – dzwoniły łańcuchy, skrzypiały koła, syczało rozpalone żelazo, słysząc było niekończące się wrzaski i jęki katowanych.

Ale nie dzisiaj.

Wielki mistrz usłyszał coś wreszcie. To były kroki, wyraźnie się zbliżały. Na początku sądził, że to Gaspard Chaix, główny oprawca, ale kroki tego potwora były ciężkie i budziły strach. To nie było też żadne z jego bezdusznych zwierząt. Nie, szło wielu ludzi, poruszali się w tunelu szybko i po chwili pojawili się w komnacie, w której de Molay wisiał skuty łańcuchami. Rozchylił opuchnięte powieki i przekrwionymi oczami zobaczył sześciu lub siedmiu stojących przed nim kolorowo ubranych mężczyzn. A w samym środku stał król, najważniejszy z ludzi na Ziemi.

Szczupły i silny król Filip IV przewyższał o głowę grupę uśmiechniętych dworaków, którzy tłoczyli się wokół niego. Mimo swego stanu de Molay był jak zawsze pełen podziwu dla powierzchowności króla Francji. Jak człowiek obdarzony takim fizycznym pięknem, z tak anielskim wyglądem, mógł być do szpiku kości przesiąknięty złem? W dodatku człowiek młody, który nie przekroczył jeszcze trzydziestki?

Filip Piękny miał jasną skórę i długie blond włosy. Wyglądał jak ucieleśnienie niewinności,

a jednak przez prawie dziesięć lat pod wpływem niepohamowanej chciwości i żądzy władzy, z którymi szły w parze wyuzdanie i rozwiązłość, siał śmierć i zniszczenie, zadawał cierpienie wszystkim, którzy poważyli się stanąć mu na drodze albo choćby zepsuć humor.

Templariusze uczynili znacznie więcej. Nie tylko psuli mu humor.

De Molay usłyszał znów kroki w tunelu. Niepewne i nerwowe. Zapowiadały przybycie do komnaty tortur niewysokiej postaci odzianej w szarą szatę z kapturem. Mężczyzna był niezgrabny – pośliznął się i potknął na nierównej podłodze. Kaptur opadł i de Molay rozpoznał papieża. Długo nie widział Klemensa; w tym czasie twarz hierarchy się postarzała. Głębokie bruzdy schodziły się w kącikach ust, świadcząc o tym, że dręczył go jakiś przewlekły wewnętrzny niepokój. Oczy miał głęboko zapadnięte i otoczone ciemnymi obwódkami.

Król i papież. Razem.

To nie wróżyło nic dobrego.

Król wlepił wzrok w de Molaya, ale torturowany więzień z połamanymi kośćmi wyjątkowo nie zwracał na niego uwagi. Obserwował niewysokiego mężczyznę w białym nakryciu głowy, który stał w grupie, nerwowo przestępując z nogi na nogę i unikając jego wzroku. De Molay zastanawiał się, dlaczego papież nie chce mu spojrzeć w oczy. Czyżby to jego oszustwa i intrygi z królem zepchnęły templariuszy w niebyt? Czy po prostu nie mógł znieść widoku jego powykęcanych stawów, połamanych kości, otwartych ran i smrodu gnijących członków?

Król podszedł bliżej.

– Nic? – warknął w kierunku mężczyzny, który stał w służalczej postawie na skraju grupy. Mężczyzna zrobił krok naprzód i de Molay zobaczył, że to jednak jest Gaspard Chaix, naczelnik katów. Teraz spuścił oczy i pokręcił głową.

– Nic – odparł mężczyzna z ciemną szczeciną na policzkach.

– Niech go piekło pochłonie – wybuchnął król. W jego głosie słychać było wściekłą furję.

Staraleś się, jak mogłeś, czując na sobie wzrok Gasparda, pomyślał de Molay i odpowiedział mu spojrzeniem. Pod krzaczastymi brwiami oczy kata były martwe jak kamienie, które tworzyły podłogę. Król postąpił krok do przodu, przyglądając się z bliska ofierze. Trzymał przy nosie jedwabną chusteczkę, żeby nie wdychać smrodu. Wielki mistrz wiedział, że ten smród musi być okropny, ale jemu dawno już przestał przeszkadzać.

Szept króla przeciął jak ostrze miecza zgniłe powietrze.

– Gadaj, do pioruna. Gdzie jest skarb?

– Nie ma skarbu – odparł po prostu de Molay. Sam ledwo słyszał swój głos.

– Dlaczego się upierasz? – wycharczał król. – Po co ci to? Twoi bracia wszystko wyśpiewali – o tych waszych pogańskich ceremoniach inicjacyjnych, o pluciu na krzyż, nawet oddawaniu moczu...

I to pokorni rycerze krzyżowi, którzy odmawiali Chrystusowi prawa do boskości! Przyznali się... do wszystkiego.

De Molay powoli oblizwał spękane wargi opuchniętym językiem.

– Na torturach takich jak te – udało mu się wyszeptać – przyznaliby się do zabicia samego Pana Boga.

Filip zbliżył się do niego jeszcze o parę centymetrów.

– Święta Inkwizycja zwycięży – powiedział pogardliwie. – To powinno być jasne dla człowieka z twoim intelektem. Daj mi tylko to, czego chcę, a daruję ci życie.

– Skarbu nie ma – powtórzył de Molay tonem człowieka, który dawno zrezygnował z prób przekonania tych, którzy go słuchają. Od dłuższego czasu de Molay czuł, że Gaspard Chaix mu wierzy, a jednak ręka nawet mu nie zadrżała, gdy brutalnie torturował ofiarę. Wiedział również, że wierzy mu papież, ale najwyższy dostojnik Kościoła nie miał zamiaru dzielić się z królem tym przekonaniem. Król z kolei potrzebował bogactw, które według niego zgromadzili templariusze przez dwieście lat; ta potrzeba była silniejsza niż wniosek, który każdy człowiek przy zdrowych zmysłach wysnułby na widok wiszącego przed sobą, przykutego do ściany strzępu człowieka.

– To na nic. – Król odwrócił się, wciąż wściekły, ale równie zrezygnowany jak jego ofiara. – Skarb musiał zostać wywieziony tej pierwszej nocy.

De Molay patrzył na twarz papieża, który wciąż unikał jego oczu. Hierarcha zachwycająco inteligentnie przeanalizował wszystkie ruchy, jak szachista, pomyślał. Wielki mistrz odczuwał przewrotną satysfakcję. I to uczucie jeszcze umocniło go w uporze i determinacji, bo czyny tego niepozornego człowieczka potwierdzały jedynie słuszność idei templariuszy.

Król spojrzał chłodno na potężnie zbudowanego kata.

– Ilu w tych lochach jeszcze żyje? – Ciało de Molaya zeszywniało. Po raz pierwszy miał okazję dowiedzieć się czegoś o losie swoich braci ze Świątyni Paryskiej. Gaspard Chaix odparł królowi, że oprócz wielkiego mistrza przeżył tylko Geoffroi de Charnay, jego zastępca.

De Molay zamknął oczy. Jego umysł zalała fala potwornych obrazów. Wszyscy starci w pył. A jednak byliśmy tak blisko. Gdyby tylko... Gdyby lata temu nadeszła wieść ze „Świątyni

Sokoła”, od Aimarda i jego ludzi.

Nie było nic, ani słowa.

„Świątynia Sokoła” i jej bezcenny ładunek po prostu przepadły.

Król odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na złamanego fizycznie mężczyznę.

– Skończcie już z tym – rozkazał.

– Kiedy, wasza wysokość? – spytał kat, podchodząc bliżej.

– Jutro rano – odparł król; ta decyzja wyraźnie poprawiła mu humor.

Słyszając te słowa, de Molay poczuł, jak rozplywa się po nim jakaś fala, której na początku nie rozpoznał. Było to uczucie, którego nie doświadczał od wielu lat.

Ulga.

Przez półprzymknięte powieki spojrzął na papieża i zobaczył, że i on nie ukrywał radości.

– A co z ich rzeczami? – spytał natychmiast papież drżącym głosem. De Molay wiedział, że pozostało tylko to, czego nie dało się spieniężyć, by spłacić długi króla. – Mam na myśli książki, dokumenty, dzieła sztuki. Są własnością Kościoła.

– Więc je sobie zabierz – król machnął lekceważąco dłonią, a potem rzucił ostatnie ulotne spojrzenie na wielkiego mistrza. Odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z podziemnej komnaty; świta czym prędzej podreptała za nim.

Przez ułamek sekundy oczy papieża i de Molaya spotkały się, ale Klemens zaraz się odwrócił i opuścił pomieszczenie. W tym ułamku sekundy de Molay odczytał wszystkie myśli papieża, które potwierdzały jego zdanie o tym niepozornym małym człowieczku: był intrygantem i oportunistą, ale jego manipulowanie królem doprowadziło do tego, czego chciał. Zaspokoił własne interesy. Interesy Kościoła.

Manipulator i intrygant, któremu udało się zwyciężyć.

A jednak de Molay nie dał mu satysfakcji. Nie dał poznać po sobie, że wie o przegranej. Skorzystał z nadarzającej się sposobności i zmobilizował resztki sił i energii, by rzucić swojemu wrogowi spojrzenie pewne siebie i pogardliwe. Przez ten ułamek sekundy strach przemknął przez pooraną wskutek upływu czasu twarz papieża, który po chwili się opanował, uspokoił wzrok i z powrotem założył kaptur.

Wielki mistrz ułożył spękane usta tak jak niegdyś, gdy chciał się uśmiechnąć. Wiedział, że udało mu się zasiać ziarno niepokoju w umyśle tego niepozornego człowieczka.

To było jego zwycięstwo.

Papież dziś w nocy nie zaśnie spokojnie.

Być może wygrałeś tę bitwę, pomyślał de Molay, ale nasza wojna jeszcze się nie skończyła.  
I zamknął oczy; czekał na śmierć, która była wybawieniem.

## Rozdział 21

Reilly robił, co w jego mocy, żeby Tessa się nie zorientowała, jak wielką odczuwa ambiwalencję. Wprawdzie był zadowolony z tego, że siedzą sobie i rozmawiają, ale nie widział związku między tym, co mu opowiedziała, a śledztwem. Grupa szlachetnych rycerzy wyrasta na średniowieczną superpotęgę, a po dwustu latach ktoś im podcina skrzydła i wyrzuca na śmietnik historii. Co to wszystko ma wspólnego z gangiem uzbrojonych rabusiów, którzy siedemset lat później roznieśli w pył muzeum w Nowym Jorku?

– Uważa pani, że ci faceci w muzeum mieli na sobie stroje templariuszy? – spytał.

– Tak. Templariusze nosili proste, skromne ubiory, bardzo odbiegające od przepychu strojów innych rycerzy w tamtych czasach. Niech pan pamięta, że to byli mnisi, którzy ślubowali ubóstwo. Białe płaszcze symbolizowały ich proste życie i czystość, a czerwone krzyże w kolorze krwi wskazywały na szczególny związek z Kościołem.

– Rozumiem, ale jeśli ktoś poprosiłby mnie, żebym narysował rycerza, prawdopodobnie mój rysunek bardzo przypominałby templariusza, choć nie zastanawiałbym się nad tym ani nie działał świadomie. To taki symbol, prawda?

– Tak, oczywiście, zgadzam się – Tessa skinęła głową – że to niczego nie dowodzi. Ale przecież jest jeszcze to urządzenie kodujące.

– Przedmiot, który zabrał czwarty jeździec. Ten, którego pani widziała z bliska.

Tessa przysunęła się jeszcze trochę do stołu i wydawało mu się, że jest tym bardzo przejęta.

– Tak, sprawdziłam to. Jest to urządzenie znacznie bardziej zaawansowane technologicznie niż cokolwiek, co pojawiło się przez czterysta następnych lat. Proszę zrozumieć, to konstrukcja wręcz rewolucyjna. A wiadomo, że templariusze byli mistrzami kodowania. Kody stanowiły kręgosłup ich systemu bankowego. Pielgrzymi podróżujący do Ziemi Świętej zostawiali im pieniądze w depozycie, a kwity, które dostawali w zamian, były zaszyfrowane. Kod znali wyłącznie templariusze. W ten sposób nikt nie mógł podrobić kwitu depozytowego i oszukać zakonników. Byli na tym polu pionierami i wydaje mi się, że to urządzenie kodujące było charakterystyczne dla wyrafinowanych i tajnych metod ich działania.

– Ale dlaczego urządzenie kodujące znalazło się w skarbcu Watykanu?

– Bo Watykan i król Francji konspirowali przeciw zakonowi i razem postanowili go

zniszczyć. Zarówno Watykan, jak i Filip Piękny pragnęli przejąć skarby zakonu. Łatwo sobie wyobrazić, że to, co templariusze trzymali w swoich skarbcach, trafiło albo do Luwru, albo do Watykanu.

Reilly miał niepewną minę.

– Wspominała pani coś o łacińskiej sentencji?

– Tak, to właśnie najbardziej mnie nakręciło – Tessa była coraz bardziej podekscytowana. – Chodzi znów o czwartego jeźdźca, tego, który zabrał urządzenie kodujące. Gdy już je trzymał w rękach, wyglądał, jakby odprawiał jakieś misterium. Jakby był w transie. Powiedział coś po łacinie. Wydaje mi się, że powiedział: Veritas vos liberabit. – Poczekała, żeby się zorientować, czy Reilly rozumie, co to znaczy. Jego zdziwione spojrzenie świadczyło, że nie. – Prawda was wyzwoli. Sprawdziłam dokładnie i wiem, że ta maksyma, chociaż dość powszechnie znana i przytaczana, jest wyryta nad wejściem do zamku templariuszy na południu Francji. Tessa zdawała sobie sprawę, że Reilly zastanawia się nad tym, co właśnie mu powiedziała, ale nie była pewna, co o tym myśli. Bawiła się filiżanką, wypila ostatni łyk kawy, już zimnej, a potem postanowiła kontynuować:

– Wiem, że dla pana brzmi to dość mało prawdopodobnie, ale dopiero w połączeniu z zainteresowaniem, które wzbudzali templariusze w innych ludziach, zaczyna się to wszystko układać. Ich pochodzenie, działalność i przekonania, a potem gwałtowny upadek; to wszystko otoczone jest tajemnicą. Interesuje się nimi wielu ludzi. Nie uwierzyłby pan, ile materiałów i książek o nich znalazłam, a skrobałam tylko po wierzchu. To wprost niesamowite! I jeszcze jedno. Najczęściej porusza umysły fakt, że ich legendarnych skarbów nikt jeszcze nie odnalazł.

– Sądziłem, że to właśnie dlatego król Francji zastawił na nich sieci – zauważył Reilly.

– Tak, po to je zastawiał. Ale nigdy nie odnalazł skarbu. Nikt go nie odnalazł. Ani złota, ani drogich kamieni. Niczego. A jednak wiadano, że templariusze są w posiadaniu bezcennych przedmiotów. Jeden z historyków twierdzi, że zakon w samej Jerozolimie i wokół miasta ukrył sto czterdzieści osiem ton złota i srebra, kiedy po raz pierwszy rycerze tam dotarli, a potem zaczęło do nich płynąć bogactwo z całej Europy.

– I nikt nie wie, co się z tym stało?

– Dość powszechnie przyjmuje się hipotezę, że w noc przed atakiem na zakon templariuszy dwudziestu czterech rycerzy wywiozło z Paryża na kilkunastu wozach wypełnione po brzegi skrzynie w kierunku atlantyckiego portu La Rochelle. Ponoć popłynęli osiemnastoma galeonami,

na których ślad do tej pory nikt nie natrafił.

Reilly zastanawiał się przez chwilę.

– Więc przypuszcza pani, że ci, którzy obrabowali muzeum, tak naprawdę przyszli po urządzenie kodujące, chcąc je wykorzystać do odnalezienia skarbu templariuszy?

– Być może. Pozostaje jednak pytanie, co to za skarb? Czy chodziło o złote monety i biżuterię, czy o coś innego, coś bardziej ezoterycznego, coś, co... – zawahała się przez chwilę – wymagało znacznie bardziej zachowania w ścisłej tajemnicy. – Odczekała chwilę, żeby zobaczyć, jak Reilly zareaguje.

– Jeszcze się nie pogubiłem, proszę mi wierzyć – Reilly uśmiechnął się do niej ciepło.

Pochyliła się do przodu i nieświadomie ściszyła głos.

– Wielu naukowców przypuszcza, że templariusze byli w posiadaniu starożytnej wiedzy, którą utrzymywali w najgłębszej tajemnicy. A to mogło oznaczać różne rzeczy. Ponoć trzymali pieczę nad mnóstwem świętych relikwii; pewien francuski historyk uważa nawet, że mieli zabalsamowaną głowę Jezusa... Ale jest teoria, która wciąż powraca i wytycza kierunek poszukiwań. Ta teoria wydaje się bardziej prawdopodobna niż inne. Chodzi o świętego Graala. Pewnie pan słyszał, że jest to kielich, z którego Jezus rzekomo pił podczas ostatniej wieczerzy. Ale może to być metafora odnosząca się do jakiegoś sekretu, który dotyczy wydarzeń związanych z jego śmiercią i z tym, że jego potomkowie przeżyli do czasów średniowiecznych.

– Potomkowie Jezusa?

– To faktycznie brzmi jak herezja i są tacy, którzy jak herezję to traktują, ale niech mi pan wierzy: to nie jest wykluczone. Powiedzmy, że Jezus i Maria Magdalena mieli dziecko, a może nawet dzieci, których przyjście na świat i wychowanie utrzymywano w tajemnicy przed Rzymianami. Idąc tym tropem, można przypuścić, że istnienie potomków Jezusa to sekret chroniony ściśle od blisko dwóch tysięcy lat przez różne stowarzyszenia działające niejawnie i przekazywany tylko wybranym „iluminatom”. I tak się to ciągnęło przez wieki. Da Vinci, Izaak Newton, Victor Hugo, w zasadzie mogłoby to być każde znane nazwisko. O nich się mówi, że dostąpili wtajemniczenia i uczestniczyli w konspiracji, chroniąc potomków Chrystusa. – Tessa przerwała i przyglądała się uważnie Reilly’emu. – Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale jest to hipoteza dość powszechnie przyjmowana. Wielu ludzi ją badało. I nie mam na myśli też bestsellerowych powieści, mówię o prawdziwych uczonych i wykładowcach akademickich. Przyglądała się bacznie Reilly’emu, zastanawiając się, co on o tym myśli. Jeżeli nawet udało mi



się go złapać na przynętę skarbu, to chyba wszystko schrząniłam, pomyślała. Odsunęła się od stołu, oparła o krzesło i w duchu przyznawała, że gdyby była na jego miejscu i nagle usłyszała wszystkie te rewelacje, też wydałyby się jej niewiarygodne.

Reilly milczał dłuższą chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

– Potomkowie Jezusa, mówi pani? Gdyby miał dziecko albo dzieci i gdyby jego dzieci również miały dzieci i tak dalej... Po dwóch tysiącach lat... to pewnie jakieś siedemdziesiąt do osiemdziesięciu pokoleń... ich liczba rośnie wykładniczo, więc powinny ich być tysiące, na całej Ziemi setki tysięcy jego potomków, prawda? – Roześmiał się. – Czy ktoś rzeczywiście podchodzi do tego poważnie?

– Jak najbardziej. Zaginiony skarb templariuszy to jedna z największych nierozwiązanych zagadek wszech czasów. Łatwo zrozumieć, że tak ludzi ekscytuje. Łapią się na haczyk, który znajdują u podstaw tej zagadki: dziewięciu rycerzy przybywa do Jerozolimy, by bronić setki pielgrzymów. Zaledwie dziewięciu. Na pierwszy rzut oka zadanie wydaje się zbyt ambitne, jakkolwiek miarą by je mierzyć, może prócz standardu siedmiu wspaniałych, prawda? Słyszac to, król Baldwin wyznacza im najlepszą kwaterę w Jerozolimie, na wzgórzu świątynnym, w miejscu, w którym wcześniej stała Świątynia Salomona zniszczona przez legiony Tytusa w siedemdziesiątym roku naszej ery. Po jej splądrowaniu skarby wywieziono do Rzymu. I tu zaczynają się domysły: a gdyby kapłani świątyni coś w niej ukryli, spodziewając się ataku Rzymian? Coś, czego legionistom nie udało się odnaleźć?

– I odnaleźli to templariusze. Skinęła głową.

– Idealny punkt wyjścia do stworzenia legendy. Skarb, przez tysiąc lat ukryty, zostaje odnaleziony, wyrwany ziemi. W Qumran znaleziono na przykład Zwój Miedziany.

– Czy zwoje znad Morza Martwego również są elementem tej łamigłówki?

Zwolnij, Tesso, zwolnij, powtarzała sobie. Nie mogła się jednak powstrzymać i parła naprzód:

– Z jednego ze zwojów bardzo wyraźnie wynika, że pod świątynią ukryto ogromne ilości złota i drogocennych przedmiotów; ponoć zakopywano je przez dwadzieścia cztery godziny. Wspomniano w nim również o skarbie, który nie jest do końca określony. Co to było? Nie wiemy. To mogło być cokolwiek.

– Dobrze, to gdzie w tym wszystkim jest miejsce Całunu Turyńskiego? – bąknął pod nosem Reilly.

Przez krótką chwilę na jej twarzy pojawiła się irytacja, ale w końcu uśmiechnęła się do niego łagodnie.

– Nie kupuje pan tego, prawda?

– Mówiąc szczerze, nie. – Reilly podniósł obie dłonie i wyglądał, jakby nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. – Proszę mi wybaczyć. Ale niech pani mówi dalej.

Tessa zebrała myśli.

– Tych dziewięciu zwykłych rycerzy otrzymuje zabudowania pałacowe ze stajniami, które przeznaczone były podobno dla dwóch tysięcy wierzchowców. Dlaczego król Baldwin okazał im tyle hojności?

– Nie mam pojęcia. Może myślał perspektywicznie. A może był pod wrażeniem ich poświęcenia.

– Jest jeszcze jedna rzecz, nad którą warto się zastanowić – argumentowała, nie dając się zbić z tropu. – Rycerze niczego na razie nie dokonali. Dostają jednak potężne wsparcie. I cóż wtedy robi dziewięciu wspaniałych? Czy siadają na koń i dokonują bohaterskich czynów, pilnując, żeby pielgrzymi bezpiecznie dotarli do miejsca przeznaczenia? Nie. Przez dziewięć lat nie opuszczają świątyni. Ani na krok. Nie wychodzą, nie powiększają swoich szeregów o nowych braci zakonnych. Zamykają się w środku. Na dziewięć lat.

– No to albo dostali agorafobii, albo...

– Albo to jeden wielki przekręt. Hipoteza, która wydaje się wszystkim najbardziej prawdopodobna, zresztą dla mnie też jest dość sensowna, głosi, że rycerze kopią. Szukają czegoś, co zostało schowane głęboko pod ziemią. – Tego, co kapłani ukryli przed legionistami Tytusa tysiąc lat wcześniej.

Tessa czuła, że w końcu do niego zaczyna docierać; jej oczy rozbłysły, wierzyła, że ma słusność.

– Właśnie. To fakt historyczny: przez dziewięć lat nie pokazują się światu, a potem nagle wpadają na scenę i zaczynają rosnać w siłę i opływać w bogactwa. Ich znaczenie wzrasta niewiarygodnie szybko, a Watykan z całego serca ich popiera. Może więc znaleźli coś, co zakopano pod gruzami świątyni, i to coś spowodowało cud. Kazało się Watykanowi uśmiechać i robić wszystko, żeby templariusze byli zadowoleni. Czy nie mógł to być na przykład dowód, że Jezus był ojcem jednego albo dwojga dzieci?

Reilly zachmurzył się.

– Chwileczkę, uważa pani, że trzymali Watykan w szachu? Myślałem, że byli rycerzami Chrystusa. Czy nie byłaby sensowniejsza hipoteza, że znaleźli coś, co uszczęśliwiło Watykan, i dlatego papież postanowił ich wynagrodzić za to odkrycie?

– Gdyby tak było istotnie, to czy nie ogłosiliby tego całemu światu? – Tessa się zamyśliła. Odchyliła się na oparcie krzesła; wydawała się również trochę zagubiona. – Wiem, że wciąż mi w tej układance brakuje niejednego kawałka. Przecież przez dwieście lat walczyli w imię Kościoła i chrześcijaństwa. Musi pan jednak przyznać, że to wszystko jest dosyć intrygujące. – Przerwała, przyglądając mu się uważnie. – Więc jak pan sądzi, czy coś w tym jest?

Reilly rozważał informacje, którymi się z nim podzieliła z takim zaangażowaniem. Choć mogło się to wydawać śmieszne, takich rzeczy nie da się, ot, tak sobie, ignorować. Zbrojny napad na Metropolitan był bezsprzecznie pomysłem straszliwie pokręconym; to z pewnością nie był zwykły rabunek, kryło się za tą potworną inscenizacją coś więcej – co do tego wszyscy byli zgodni. Wiedział, że radykałowie i ekstremiści czepiają się swoich ideologii jak rzep psiego ogona, kurczowo podtrzymują mity. Wiedział, jak takie mity zawłaszczają wyobraźnię; stopniowo mitologia zniekształca obraz rzeczywistości, którą dopasowuje się do potrzeb mitu; w końcu wyznawcy określonej ideologii zupełnie zrywają kontakt z rzeczywistością i stają się nieprzewidywalni. Czy to mógł być element spajający różne wątki; ten, którego potrzebuje? Legendy o templariuszach wydają się z pewnością mocno zniekształcone. Czy gdzieś w świecie żyje ktoś tak mocno opętany ideą pomśzczenia templariuszy? Ktoś, kto identyfikuje się z nimi do tego stopnia by ubierać się jak oni, mścić na Watykanie w ich imieniu, a może nawet próbować odzyskać ich legendarny skarb? Reilly spojrział Tessie prosto w oczy.

– Pyta pani, czy uważam, że templariusze są strażnikami jakiejś nieodgadnionej tajemnicy, nieważne, dobrej czy złej, która ma związek z początkami Kościoła? Nie mam pojęcia.

Tessa odwróciła twarz, próbując ukryć rozczarowanie, a Reilly pochylił się do przodu i mówił dalej:

– Pyta pani, czy uważam, że istnieje jakieś powiązanie między templariuszami a tym, co stało się w muzeum? – Zawiesił głos, niemal niezauważalnie skinął głową, a potem przelotnie się uśmiechnął. – Uważam, że tę sprawę trzeba dokładnie zbadać.

## Rozdział 22

Gus Waldron miał w życiu lepsze dni.

Pamiętał, jak się obudził. Jak dawno, tego nie mógłby powiedzieć. Minuty czy godziny temu – nie wiedział. A potem znów zapadł w sen. Teraz miał otwarte oczy i był trochę bardziej przytomny.

Zdawał sobie sprawę, że jest w kiepskim stanie. Aż zmrużył oczy, kiedy sobie przypomniał kraksę. Miał uczucie, że wszystkie mięśnie, całe ciało ma mocniej potłuczone niż kotlet cielęcy w restauracji Ciprianiego. A do tego te denerwujące nieustanne piski urządzeń monitorujących ogromnie go wkurzały.

Wiedział, że jest w szpitalu – odgłosy z oddali i te wokół niego nie pozostawiały cienia wątpliwości. Musiał zawierzyć słuchowi, bo nic nie widział. Oczy szczypały go jak cholera. Starał się poruszyć, ale nie dał rady. Spętano mu czymś tors. Do diabła, przywiązali go do łóżka. Ale nie za mocno. A więc nie policjanci kazali go przywiązać, tylko tak zdecydowali lekarze. Dobrze. Dłońmi dotknął twarzy – poczuł pod palcami bandażę i jakieś inne rzeczy. Powtykali mu wszędzie pełno rurek.

Teraz nie ma sensu z tym walczyć. Musi się dowiedzieć, jak bardzo z nim źle. Potrzebuje oczu, żeby się stąd wydostać. A więc zanim się zorientuje, jakie ma szansę, spróbuje wejść w układ z gliniarzami. Tylko co ma im teraz do zaoferowania? To musi być coś wielkiego, bo nie spodoba im się fakt, że odrąbał głowę temu durnemu strażnikowi. W gruncie rzeczy nie musiał tego robić. Ale to się stało tak po prostu – jechał na koniu ubrany jak jakiś pieprzony rycerz z bajki i zastanawiał się, co by było, gdyby tak ciachnął kogoś mieczem. Zamachnął się więc i naprawdę poczuł się świetnie, nie da się ukryć.

Co może zrobić? Może im nadać Branka Petrovica. Branko miał u niego przechlapane, bo nie chciał mu powiedzieć, kto ich najął do tej roboty. W kółko tylko gadał, że robota jest w porządku, że chodzi o zachowanie pełnej konspiracji. Gus teraz już wiedział, dlaczego. Jego skaptował Petrovic, a Petrovica ktoś inny; tego znowu wynajął jeszcze jakiś inny dupek. Skąd mógł wiedzieć, ile w tym wszystkim jeszcze konspiracji, ile kroków trzeba przejść, zanim dojdzie się do faceta, którego gliny chcą przyskrzynić?

Przez chwilę odgłosy szpitala stały się trochę głośniejsze. Potem znów ucichły. Pewnie ktoś

otworzył i zaraz zamknął drzwi. Usłyszał kroki, skrzypienie podłogi i ktoś stanął przy jego łóżku. Teraz uniósł dłoń Gusa, opuszkami palców dotknął wewnętrznej strony jego przegubu. Ktoś, pewnie lekarz albo pielęgniarka, badał mu puls. Lekarz. Palce były dość szorstkie i silniejsze niż miewają pielęgniarki. Przynajmniej takie pielęgniarki, o których mógł pomarzyć z zamkniętymi oczami.

Musiał wiedzieć, co mu jest i w jakim naprawdę jest stanie.

– Kto to? Pan doktor?

Ten, kto był przy nim, nie odpowiedział. Teraz palce przesuwaly bandaż wokół jego głowy i na uszach.

Gus otworzył usta, chcąc zadać pytanie, ale w tym samym momencie poczuł silną dłoń, która mu zamknęła usta, i jednocześnie przesywając bolesne ukłucie w szyję. Całe ciało Gusa wygięło się konwulsyjnie w pasach, którymi był przywiązany do łóżka.

Dłoń przykrywała mu usta bardzo mocno, krzyki Gusa brzmiały jak stłumiony jęk. Potem poczuł, że po karku rozplywa mu się gorąca fala i zmierza w kierunku gardła. Po chwili dłoń, która zamykała mu usta, zwolniła ucisk.

Mężczyzna, bardzo cicho, szeptał coś tuż przy jego uchu. Czuł jego gorący oddech.

– Lekarze jeszcze nie pozwalają, żeby ci zadawano pytania. Ale ja nie mogę czekać. Muszę wiedzieć, kto cię wynajął.

– Co jest, do cholery?...

Gus chciał usiąść, ale był przymocowany pasami do łóżka, a dłoń przyciskała mu głowę do poduszki, żeby się nie ruszał.

– Odpowiedz na pytanie – powiedział głos.

Kto to jest? Na pewno nie gliniarz. Czyżby jakiś gnojek próbował wyrwać coś dla siebie z tego, co Gus zabrał z muzeum? Ale dlaczego wobec tego pyta, kto go wynajął?

– Odpowiedz – głos był teraz ostrzejszy, chociaż wciąż bardzo cichy.

– Pierdol się – odparł Gus.

Ale właściwie tego nie powiedział. Tak naprawdę nie wy dobył z siebie głosu. Usta ułożyły się tak, jakby wypowiadał te słowa, słyszał je gdzieś głęboko w głowie. Ale nie wy dobył z siebie głosu.

Gdzie, do cholery, jest jego głos?

– Aha – usłyszał szept. – To działa lidokaina. Małeńka dawka. Ale wystarczy, żeby

unieruchomić struny głosowe. Denerwujące jest to, że nie możesz mówić. Ale tym samym nie możesz też krzyczeć.

Krzyczeć?

Dłonie, które tak delikatnie badały puls na nadgarstku, dotknęły teraz jego lewego biodra, dokładnie tam, gdzie oberwał kulką z pistoletu gliniarza. Przez chwilę były spokojne, a potem nagle wstąpiła w nie siła i zaczęły ugniatać. Mocno. Ból rozchodził się po całym ciele, jakby ktoś od środka przypalał go gorącym żelazem. Gus wrzasnął.

Cichuteńko.

Zanim ból ustąpił, przez chwilę myślał, że jego umysł pograży się w ciemnościach na zawsze; w gardle czuł wzbierającą ślinę. Przypuszczał, że zaraz zwymiotuje. Wtedy ręce mężczyzny znów go dotknęły, a on aż podskoczył; tym razem dotknięcie było znów delikatne.

– Jesteś praworęczny czy leworęczny? – zapytał cicho głos.

Gus pocił się obficie. Lewo – czy praworęczny? Co to, do cholery, za różnica? Uniósł nieznacznie prawą dłoń i za chwilę poczuł, że ma coś między palcami. Ołówek.

– Napisz tylko nazwiska – powiedział mu głos, prowadząc ołówek w kierunku czegoś, co okazało się notesem.

Oczy miał zabandażowane, głos mu odebrano – Gus czuł się kompletnie pozbawiony kontaktu ze światem i samotny bardziej niż kiedykolwiek. Gdzie są wszyscy? Gdzie są lekarze, pielęgniarki, ci pieprzeni gliniarze? Gdzie oni są, do cholery?

Palce chwyciły mięśnie wokół rany i znów ścisnęły, tym razem mocniej i dłużej. Przez całe ciało przeszła fala niewyobrażalnego bólu. Miał wrażenie, że każdy nerw pod skórą stanął w ogniu. Wyprężył się w pasach, krzycząc bezgłośnie.

– To nie musi trwać cały wieczór – powiedział spokojnie mężczyzna. – Podaj mi tylko nazwiska.

Mógł napisać tylko jedno nazwisko. I napisał je.

– Branko... Petrovic? – spytał cicho mężczyzna. Gus pospiesznie kiwnął głową.

– A pozostali?

Bardzo energicznie potrząsnął głową. Nic więcej nie wie, do jasnej cholery!

Znowu te palce.

Ściskają go mocniej i głębiej. Jak imadło... Ten ból.

Nieme wrzaski.

Jezus Maria, on zwariował. Gus stracił poczucie czasu. Udało mu się jeszcze napisać adres miejsca pracy Branka. Później pisał tylko jedno słowo: nie.

I jeszcze raz, i jeszcze raz.

W końcu, Bogu dzięki, poczuł, że nie ma w palcach ołówka. Mężczyzna uwierzył, że Gus mówi prawdę.

Usłyszał jakieś niewyraźne dźwięki, których nie rozpoznawał; potem poczuł, że palce mężczyzny unoszą bandaż w tym samym miejscu. Wykręcił szyję, ale tym razem prawie nie poczuł igły.

– Wstrzykuję ci teraz środek przeciwbólowy – szepnął mężczyzna. – Złagodzi ból i pozwoli zasnąć.

Gus poczuł unoszącą się powoli falę mrocznego zmęczenia, która przepłynęła przez jego głowę i ruszyła w dół, ogarniając całe ciało. Przyniosła mu ulgę po cierpieniu, które musiał znosić, a sen, w który zapadał – czy tego chciał czy nie – był snem, z którego miał się nigdy nie obudzić.

Był teraz zrozpaczony, walczył, próbował się poruszyć, ale po chwili doszedł do wniosku, że wcale nie chce mu się ruszać. Odprężył się. Nie wiedział, dokąd odchodzi, ale na pewno w lepsze miejsce niż ten ściek, w którym spędził całe swoje żalosne życie.

## Rozdział 23

Reilly wygramolił się z łóżka, włożył podkoszulek i wyjrzał przez okno swojego mieszkania na trzecim piętrze. Na ulicach panowała martwa cisza. Powiedzenie, że Nowy Jork nigdy nie zasypia, wydawało się dotyczyć wyłącznie jego.

Często, z bardzo różnych powodów, zdarzało mu się nie spać najlepiej. Jednym z nich było to, że nigdy nie odpuszczał. W ciągu ostatnich paru lat ten problem się nasilił; męczyło go nieustanne drażnienie i międlenie informacji, śladów związanych ze sprawą, nad którą pracował. Z zasypianiem nie miał kłopotów przede wszystkim dlatego, że był po prostu fizycznie wyczerpany. Ale kiedy nadchodziła ta najgorsza ze wszystkich godzin, czwarta nad ranem, nagle otwierał szeroko oczy, a w mózgu kręciły się setki kółeczek, które zaczynał rozkładać i analizować, szukając brakującego elementu, by ocalić komuś życie.

Czasem zadanie przytłaczało go do tego stopnia, że o niczym innym nie potrafił myśleć, tylko o tym, co robi w danej chwili. Niekiedy jednak myślał o sprawach bardziej osobistych, zagłębiał się w ciemne obszary, ciemniejsze niż półświatek, którego dotyczyło śledztwo, i nieprzyjemne ataki lęku przebijały się na powierzchnię, nie wypuszczając go ze swoich szponów.

Powracał wtedy myślami do tego, co się stało jego ojcu, że stary postanowił palnąć sobie w łeb, gdy Reilly miał zaledwie dziesięć lat. Przypominał sobie ten dzień. Po powrocie ze szkoły wszedł do jego gabinetu. Ojciec siedział jak zwykle w ulubionym fotelu, lecz tym razem z wielką dziurą w głowie.

Tak czy owak, o czwartej nad ranem przeżywał męki. Próbował wstać i zrobić coś pożytecznego, ale zwykle był zbyt zmęczony i zbyt podminowany. I leżał tak w ciemnościach, a wyobraźnia wiodła go w różne opuszczone przez Boga i ludzi regiony. I czekał. Sen nadchodził łaskawie około szóstej, ale to nie załatwiało sprawy, bo godzinę później musiał wstać i iść do pracy.

Tej nocy pobudkę o czwartej zafundował mu oficer dyżurny. Okazało się, że zmarł mężczyzna, którego Reilly ścigał ulicami dolnego Manhattanu. Oficer dyżurny mówił o krwotoku wewnętrznym i zatrzymaniu akcji serca, o tym, że próbowano mężczyznę reanimować, ale bez skutku. Reilly spędził następne dwie godziny nad sprawą, która była teraz



uboższa o jedyny prawdziwy ślad. Nie sądził bowiem, by Lucien Boussard miał mu coś więcej do powiedzenia, jeżeli w ogóle będzie mógł mówić. Te myśli po chwili wymieszały się z innymi, które jak motyle trzepotały mu pod czaszką, kiedy wyjeżdżał wieczorem ze szpitala. Czyli z myślami, które dotyczyły Tessy Chaykin.

Wyglądał przez okno i przyszło mu do głowy, że pierwsze, co zauważył u tej kobiety w szpitalnej kafejce, to brak obrączki na palcu. W ogóle wszelkich pierścionków. Spostrzegawczość odgrywała w jego pracy zawodowej bardzo ważną rolę, dlatego zwracał uwagę na takie rzeczy. Instynktowne przywiązywanie wagi do szczegółów wynikało z jego doświadczenia zawodowego.

Tylko tym razem nie było to profesjonalne podejście, bo Tessa nie była o nic podejrzana.

– Nazywał się Gus Waldron.

Reilly słuchał uważnie, obejmując palcami kubek gorącej kawy. Aparo omiatał wzrokiem kolejne strony raportu policyjnego. Był to wzrok człowieka, który robi to od lat. Zatrzymał się w miejscu, w którym opisano pościg, żeby wszystkiego mogli posłuchać zebrani wokół stołu agenci federalni. – Gus. Filar lokalnej społeczności, będzie nam go bardzo brakowało – mówił dalej Aparo. – Zawodowy bokser, walczył w trzeciorzędnych ligach. Dziki i nieopanowany zarówno na ringu, jak i poza nim. Zabroniono mu wstępu na ring w trzech stanach. Cztery oskarżenia o napad z bronią w ręku, zarówno tu, jak i w Jersey. Kilka odsiadek w Rikers... – Spojrzał na zebranych wokół stołu. – A także rejs na pokładzie „Vernon Bain”.

Vernon C. Bain, słynny strażnik więzienny, zginął w wypadku samochodowym; jego imieniem ochrzczono barkę, na której przetrzymywano do ośmiuset więźniów pod specjalnym nadzorem.

– Podejrzany o dwa zabójstwa, oba w wyniku pobicia. Wywinął się bez wyroku. Nałogowy gracz i hazardzista. Przegrywał nieustannie, a grał przez połowę życia. – Aparo podniósł wzrok znad akt. – To by było mniej więcej wszystko.

– Wygląda mi na misia, który zawsze potrzebuje szybkiego dopływu gotówki – skomentował Jansson. – Z kim się zadawał?

Aparo odwrócił stronę i przeglądał listę znajomych Waldrona, o których wiedziała policja.

– Josh Billig, zmarł w zeszłym roku... Reza Fardousi, stu pięćdziesięciokilogramowy worek sadła... Wątpię, czy jakiś koń w tym kraju dałby radę go unieść – przesuwając wzrokiem po innych nazwiskach, wykreślając tych, którzy nie pasowali. – Lonnie Morris, drobny oszust, zwolniony

warunkowo; mieszka i pracuje, no nie, nie uwierzycie!, z babcią, właścicielką kwiaciarni w Queens. – Aparo znów podniósł oczy, ale tym razem jego twarz nie była obojętna. – Branko Petrovic, były gliniarz – powiedział niechętnie i z powrotem wrócił do dokumentu. – Słuchajcie, służył w oddziale konnym nowojorskiej policji – spojrzał po wszystkich twarzach. – Na emeryturze. Bynajmniej nie z wyboru, jak się domyślacie.

Amelia Gaines rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Reilly’emu, który odważył się zapytać:

– Za co?

– Kradzież. Wsadził łapę do słoika z ciasteczkami w swoim komisariacie po aresztowaniu dealerów narkotykowych – odparł Aparo. – Wygląda na to, że go nie przymknęli. Wywalili go ze służby i stracił prawo do emerytury.

Reilly zmarszczył brwi, bo niezbyt mu się podobała ta perspektywa.

– Pogadajmy z nim. Trzeba sprawdzić, z czego facet żyje.

## Rozdział 24

Branko Petrovic nie mógł się skupić na pracy. Na szczęście robota w stajni nie wymagała od niego niepodzielnej uwagi. Większość czasu spędzał na pojeniu i karmieniu koni oraz przegarnianiu szuflą łąjna. Pracował jak automat, po prostu żeby nie wyjść z formy; był dobrze zbudowany i umięśniony. Nie musiał się o nic troszczyć i mógł rozmyślać o różnych rzeczach, kalkulować zyski i straty, kombinować i robić plany. Przynajmniej zazwyczaj. Dzisiaj było inaczej.

To on wpadł na pomysł wynajęcia Gusa Waldrona do tej roboty. Proszono go, żeby rozejrzał się za jakimś dużym twardzielem, który potrafi jeździć konno, pomyślał więc o Gusie. Zgoda, wiedział przecież, że od czasu do czasu Gus wpada w furję, ale nie spodziewał się, że jak mu odbije, to odetnie facetowi głowę mieczem. Cholera, nawet Kolumbijczycy nie robią takich debilnych numerów. W każdym razie nie publicznie. Coś było nie tak.

Rano próbował bez rezultatu dodzwonić się do Gusa. Pomacał starą bliznę na czole, czując ból – jak zawsze, gdy coś szło nie tak. Przykazano mu, a wręcz rozkazano, żeby nie robił nic, czym mógłby zwrócić na siebie uwagę, i to samo powtórzył Gusowi. I co z tego? Teraz niewychodzenie przed szereg było jego najmniejszym zmartwieniem. Nagle ogarnęła go panika. Dopóki może, czas zwiajać żagle i wynosić się stąd w cholerę.

Ruszył szybkim krokiem przez stajnię i otworzył boks, w którym stał narowisty dwulatek. Koń machnął ogonem. Wyszczerbione metalowe koryto wypełnione było w narożniku suchą karmą. Otworzył je, wsadził dłonie do środka, odgarnął karmę i wyciągnął worek. Przez chwilę ważył go w dłoniach. Potem sięgnął do środka i wyciągnął błyszczącą złotą statuetkę wierzgającego konia, inkrustowaną bogato diamentami i rubinami. Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem znów sięgnął ręką do worka i wyłowił wisiorek ze szmaragdami osadzonymi w srebrze. Zawartość tego worka na sto procent zmieni jego życie. Jeżeli będzie ostrożnie sprzedawał fanty, jeżeli nie będzie się spieszył i uważnie rozglądał, to na pewno ta biżuteria wystarczy, żeby sobie kupić wygodne mieszkanie nad zatoką – obiecywał to sobie od momentu, kiedy go wyrzucono z policji. I na pewno jeszcze sporo zostanie.

Zamknął drzwi boksu, ruszył korytarzem między końmi i był już prawie przy drzwiach, kiedy usłyszał, że jeden z koni parska i niespokojnie przebiera nogami. Potem dołączył do niego

drugi, i następny. Odwrócił się i ruszył z powrotem, ale niczego podejrzanego nie zauważył. Ale w stajni zapanował nagle tumult – wszystkie konie zaczęły się zachowywać niespokojnie.

I wtedy to zobaczył.

Smuzka dymu powoli snuła się nad pustym boksem w odległym końcu stajni.

Najbliższa gaśnica była w połowie przejścia między boksami. Kiedy do niej dobiegł, rzucił worek, wyrwał czerwony cylinder z uchwytu i ruszył w kierunku pustego boksu. Teraz już widział więcej smug dymu. Otworzył wrota; w samym narożniku płonął snopek siana. Wyciągnął zawleczkę i nacisnął rączkę, gasił płomienie. Nagle sobie przypomniał, że skończył robotę w tym boksie zaledwie godzinę wcześniej. Nie było tam żadnego stogu, tylko zgrabiona równo ściółka. Własnoręcznie ją zgrał i wyrównał.

Branko szybko wyszedł i rozejrzał się uważnie dokoła. Nie było Sensu nasłuchiwać. Nerwowe parskanie i rzenie koni dochodziło ze wszystkich stron, niektóre zwierzęta próbowały się uwolnić, objijając się bokami o ściany boksów.

Odwrócił się i ruszył z powrotem między rzędami boksów; wtedy zobaczył jeszcze gęstszy dym po drugiej stronie stajni. Boże! Tutaj ktoś jest. Wtedy przypomniał sobie o worku. Musi koniecznie go zabrać. Wszystkie jego plany życiowe związane są z tym workiem.

Puścił gaśnicę i rzucił się biegiem w jego kierunku. Podniósł go z ziemi i nagle zatrzymał się w pół kroku.

Konie.

Nie mógł tak po prostu stąd uciec; musiał coś z nimi zrobić.

Przesunął z impetem zasuwę w najbliższym boksie i o mały włos nie oberwał, bo koń wyskoczył przez bramkę jak wypuszczony z procy. Potem następna zasuwę. Kolejny koń wystrzelił jak kula armatnia; dźwięk jego kopyt dudnił w całej stajni. Gdy zostały do otworzenia jeszcze tylko trzy boksy, poczuł, że czyjeś przedramię zamyka mu się na szyi żelaznym uściskiem.

– Nie broń się – usłyszał cichy głos tuż przy uchu. – Nie chcę zrobić z ciebie kaleki.

Branko zeszytniał ze strachu. Uchwyt był mocny, nieustępliwy i profesjonalny. Ani przez chwilę nie wątpił, że mężczyzna mówi śmiertelnie poważnie.

Został szybko zaciągnięty w kierunku wrót do stajni; tam poczuł drugą rękę mężczyzny na swoim nadgarstku, potem chłód metalu na skórze i ruchem szybszym, niż jemu samemu się to udawało w najlepszych dniach pracy w policji, został przykuty do wielkich drzwi stajni, które

przesuwały się na małych kółkach. Mężczyzna chwycił go drugim ramieniem za szyję, powtórzył te same ruchy i teraz Branko wisiał rozpostarty na wrotach.

Pozostałe trzy konie wciąż wierzgały w boksach i rżały dziko, zamknięte w pułapce; waliły kopytami w drewniane ścianki, bo płomienie, liżąc drewno, zbliżały się do nich nieuchronnie.

Mężczyzna jednym ruchem przemknął pod prawym ramieniem Branka, a kiedy się wyprostował, wziął jego dłoń w swoje ręce, po czym szybko i bez wyraźnego wysiłku złamał mu kciuk.

Branko wrzasnął z bólu, jak koń wierzgając nogami, ale mężczyzna momentalnie uskoczył na bok.

– Czego chcesz? – wrzasnął Branko.

– Nazwisk – odparł mężczyzna; jego głosu prawie nie było słyhać wśród tumultu, który robiły konie. – I pospiesz się. Nie mamy za dużo czasu.

– Jakich nazwisk?

Branko zobaczył na twarzy mężczyzny nagłą wściekłość, kiedy sięgnął po jego lewą rękę. Tym razem nie chodziło mu o kciuk. Ujął przedramię Branka i nagłym skrzętem z olbrzymią siłą złamał mu nadgarstek. Branko poczuł niewypowiedziany ból, który jak iskra przeszył całe ciało. Na chwilę stracił przytomność; jego wycie wtórowało teraz rumorowi czynionemu przez oszalałe konie.

Podniósł głowę i zobaczył, że mężczyzna stoi obok, obojętnie przyglądając mu się przez gęstniejący dym.

– Nazwiska kumpli. Kumpli, z którymi byłeś w muzeum.

Branko kaszlnął, zerkając nad ramieniem mężczyzny tam, gdzie teraz płomienie trzaskały, kiedy zajmowały się drewniane belki. Nic z tego nie rozumiał.

– Gus – rzucił pospiesznie. – Gus i Mitch. Nic więcej nie wiem.

– Co za Mitch? Branko nie miał czasu.

– Adeson. Mitch Adeson. To wszystko, co wiem, klnę się na Boga.

– Mitch Adeson.

– Tak. Właśnie on. To jest jak w łańcuchu dowodzenia: jeden człowiek zna tylko dwóch, nikogo więcej. Rozumiesz?

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie, a potem skinął głową.

– Rozumiem.

Dzięki Bogu, że ten chory zboczeniec mu wierzy.

– A teraz rozkuj mnie – błagał. – Proszę!

– Gdzie znajdę tego Mitcha Adesona? – spytał mężczyzna. Przysłuchiwał się uważnie, a Branko mówił wszystko, co wiedział.

– Był z wami jeszcze czwarty mężczyzna – jego prześladowca jeszcze nie skończył. – Opisz mi go.

– Nie widziałem jego twarzy. Miał cały czas kominiarkę pod hełmem, nie zdjął jej ani na chwilę. Nie widziałem nic oprócz zbroi. Mężczyzna skinął jeszcze raz głową.

– W porządku – mruknął. Potem odwrócił się i zaczął odchodzić spacerkiem.

– Hej! Hej!! – krzyczał za nim Branko. Ale mężczyzna się nie odwrócił. Szedł prosto między boksami i zatrzymał się tylko po to, by podnieść worek zawierający ukradzione z muzeum przedmioty.

– Nie możesz mnie tu tak zostawić – błagał Branko. Potem zauważył, że ten facet wypuszcza ostatnie zamknięte w boksach konie.

Branko wrzasnął, kiedy spanikowana nakrapiana klacz wyprowadzała dwa pozostałe konie ze stajni. A potem wszystkie, bijąc kopytami o ziemię, ruszyły w jego kierunku galopem, na oślep, z dziko błyszczącymi oczami, rozszerzonymi chrapami. Buchające za nimi płomienie sprawiły, że konie wyglądały, jakby wyskoczyły na niego prosto z piekła.

Branko był przykuty za nadgarstki do wrót do stajni – na samym środku drogi, którą uciekały rozszalałe konie.

## Rozdział 25

– No, opowiedz mi o tej lasce.

Reilly aż jęknął, kiedy usłyszał tę prośbę. Od chwili, kiedy wspomniał partnerowi o rozmowie z Tessą, wiedział, że będzie go torturował pytaniami.

– Jakiej lasce? – udawał, że nie wie, o co chodzi.

Razem z Aparo jechali przez zakorkowaną dzielnicę Queens. Ich pontiac był bliźniakiem chryslera, którego rozwalili, goniąc Gusa Waldrona. Miał tylko trochę inny kolor. Aparo ostrożnie objeżdżał stojącą ciężarówkę – z jej chłodnicy buchała para, a kierowca wściekle kopał w przednią oponę.

– Przepraszam – powiedział. – O pannie Chaykin. Reilly robił, co mógł, żeby nie pokazać, co czuje.

– Nie ma co opowiadać.

– No powiedz, nie wstydz się. – Aparo znał swojego partnera lepiej niż ktokolwiek. Prawdę mówiąc, nie miał zbyt wielkiej konkurencji. Reilly właściwie z nikim nie utrzymywał bliskich kontaktów.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Zgłosiła się do ciebie. Pojawiła się nagle i znikąd. Ot, tak po prostu; przypomniała sobie, że widziała cię w muzeum, kiedy rzuciła spojrzenie przez zatłoczoną salę, tak? Po tym wszystkim, co przeszła tamtej nocy?

– Co ci mogę odpowiedzieć? – Reilly nie spuszczał oczu z drogi. – Może ma fotograficzną pamięć.

– Akurat, fotograficzną – mruknął Aparo. – To pantera na polowaniu.

Reilly podniósł oczy do góry.

– Ona na nikogo nie poluje. Jest tylko... ciekawa.

– A więc ma pamięć fotograficzną i dociekliwy umysł. Kobieta, że drugiej takiej ze świecą szukać! Ale ty, oczywiście, tego nie zauważasz. Nie, nie. Interesowało cię tylko śledztwo.

Reilly wzruszył ramionami.

– W porządku, może coś tam zauważyłem.

– Dzięki Bogu! Oddycha! On żyje! – Aparo szydził, naśladując głos doktora ze starego filmu

o Frankensteinie. – Wiesz, że jest niezamężna, prawda?

– Tak, to też zauważyłem. – Reilly próbował to zbagatelizować. Tego samego dnia rano przeczytał protokół Amelii Gaines z zeznania, które Tessa złożyła w muzeum, a potem poprosił analityka FBI, żeby poszukał jakichś związków z templariuszami w pęczniejących archiwach na temat grup ekstremistycznych w całym kraju.

Aparo spojrzął na niego z ukosa. Znał go na wylot, potrafił czytać jego myśli z odległości pięćdziesięciu kroków. Uwielbiał mu docinać.

– Nie wiem, jak ty, ale mnie by wystarczyło, żeby taka laska tylko spojrzała, a już leciałbym w podskokach, byłbym u jej boku w trzy sekundy.

– Jesteś żonaty.

– No cóż, ale przecież mogę pomarzyć, nie?

Byli teraz na drodze numer 405 i niebawem mieli opuścić Queens. Adres w aktach Petrovica był stary, ale stróż w dawnym miejscu zamieszkania powiedział im, gdzie Branko teraz pracuje. Stajnie były gdzieś niedaleko; Reilly sprawdził na mapie miasta, podał Aparo namiary, a potem wiedząc, że jego partner tak łatwo nie odpuści, niechętnie podjął rozmowę.

– Przede wszystkim ona wcale na mnie nie leci – zaprotestował.

– Oczywiście, że nie. To tylko obywatelka zaniepokojona losem lokalnej społeczności. – Pokręcił głową. – Nie rozumiem, facet, jesteś sam. Nie jesteś brzydki jak kupa. Nie śmierdzisz, w każdym razie ja nie czuję. A jednak... Wiesz co, my, żonaci, potrzebujemy kumpli takich jak ty, odrobiny szaleństwa w wykonaniu samotnego kolegi. Reilly, sprawiasz mi zawód.

Reilly nie mógł się z tym nie zgodzić. Już od dawna nie miał kobiety, z którą byłby dłużej; wprawdzie nie zamierzał się tą wiadomością dzielić z kumplem z pracy, ale niezaprzeczalnie Tessa go pociągała. Wiedział, że podobnie jak Amelia Gaines nie jest kobietą, którą można potraktować lekko; może to i dobrze, bo on też nie przepadał za przelotnymi romansami. I w tym właśnie tkwiła tajemnica jego samotności. Jeżeli jakaś kobieta nie zawładnęła nim całkowicie, Reilly szybko przestawał być zainteresowany utrzymywaniem z nią kontaktów. A jeżeli miała w sobie coś, co go rzeczywiście ruszało, równie szybko wypływała na wierzch historia, która przydarzyła się jego ojcu; prędzej czy później wspomnienia dawały o sobie znać i nie pozwalały mu kontynuować związku.

Musi wyluzować. Przecież wcale nie jest powiedziane, że i jemu się to przydarzy.

Reilly dojrzał na wprost siebie smugę dymu, a zaraz potem migające światła dwóch wozów



strażackich. Spojrzał na Aparo. Jego partner sięgnął pod siedzenie po koguta, umieścił go na dachu, włączył syrenę i nacisnął gaz do dechy. Chwilę potem wymijali samochody jadące w tym samym kierunku, wyplątywali się z korka ciężarówek i taksówek.

Kiedy skręcali na parking stajni, Reilly zobaczył, że oprócz strażaków na miejscu są już dwa samochody policyjne i karetka. Zaparkowali z daleka od wjazdu, zamknęli samochód i pobiegli w kierunku miejsca zdarzenia, po drodze wyciągając odznaki. Jeden z policjantów ruszył w ich kierunku z rozpostartymi ramionami, zobaczył jednak odznaki i przepuścił ich.

Chociaż ogień był prawie ugaszony, w powietrzu unosił się odór spalonego drewna. Kilka osób wyglądających na pracowników stajni kręciło się w smugach unoszącego się wszędzie dymu, próbując uspokoić przerażone konie płaczące się w rozciągniętych na ziemi węzłach strażackich. Mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym z ponurym wyrazem twarzy przyglądał się, jak podchodzą. Reilly przedstawił siebie i Aparo. Policjant, sierżant Milligan, nie wyglądał na podekscytowanego.

– Nie mówcie mi – powiedział z sardonycznym uśmiechem – że akurat przejeżdżaliście w pobliżu.

Reilly skinął głową w kierunku osmalonych ogniem stajni.

– Branko Petrovic – powiedział po prostu.

Milligan wzruszył ramionami i poprowadził ich do stajni, w której dwóch sanitariuszy pochylało się nad ciałem. Obok oparli o ścianę lekkie nosze.

Reilly spojrział na ciało, potem na Milligana, który zrozumiał w lot: to jest miejsce zbrodni, śmierć nastąpiła wskutek zabójstwa.

– Co wiemy? – spytał Reilly.

Milligan pochylił się nad ciałem, które leżało szerniałe i skurczone między odpryskami opalonego drewna.

– Wy mi powiedzcie. Ja myślałem, że to przypadkowe podpalenie.

Reilly zerknął ponad ramieniem Milligana. Trudno było powiedzieć, co jest skórą opaloną przez płomień, a co krwią zmieszaną z sadzą i wodą z węży strażackich. Kolejny szczegół był jeszcze bardziej makabryczny – lewe ramię mężczyzny leżało obok ciała oderwane od tułowia. Reilly zmarszczył brwi. Cokolwiek się stało, ten potworny bałagan, który kiedyś nazywał się Branko Petrovic, z trudem można było nazwać ciałem denata.

– Czy wiemy na pewno, że to on? – spytał.

Milligan sięgnął w dół, wskazując palcem na skroń nieboszczyka. Reilly zobaczył wgłębienie – pośród licznych urazów ono na pewno nie było nowe.

– Wiele lat temu kopnął go koń. Jeszcze pracował wtedy w policji. Kiedyś był z tego dumny i chętnie opowiadał, że przeżył kopnięcie w głowę.

Reilly przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć, i zauważył mniej więcej dwudziestoletnią, ciemnowłosą dziewczynę w stroju sanitariuszki.

Wydawało mu się, że coś powie. Napotkał jej wzrok.

– Ma pani coś dla nas?

Uśmiechnęła się i uniosła lewy nadgarstek Petrovica.

– Niech pan nie mówi tego lekarzowi sądowemu, bo może się pospieszyłam, ale uważam, że ktoś bardzo nie lubił tego faceta. Jego drugi nadgarstek jest cały opalony, ale widzi pan to tutaj? – pokazywała na ramię leżące obok ciała. – Jeszcze widać obrzęki. Był związany. – Wskazała na wrota do stajni. – Według mnie przymocowano go do tych wrót i miał ręce rozstawione szeroko po bokach. Jakby ktoś chciał go ukrzyżować.

– Myśli pani, że ktoś wypuścił konie, które nad nim przeskakiwały? – Aparo zmarszczył czoło.

– Albo biegły wprost na niego – dodał Reilly. Kiwnęła głową. Reilly podziękował jej i drugiemu sanitariuszowi, po czym oddalił się wraz z Milliganem i Aparo.

– Dlaczego was interesował Petrovic? – spytał Milligan. Reilly przyglądał się uważnie koniom.

– Zanim do tego dojdziemy, zapytam, czy według pana ktoś miał powody, by go zlikwidować, sierzancie?

– Nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy. – Milligan obrócił się w stronę dymiącej stajni. – Ale wie pan, jak jest w takich miejscach. Chłopcy z miasta lubią sobie pojeździć na koniu, a zważywszy na przeszłość Petrovica... Ale nie, nic konkretnego nie mam na myśli. A jaki wy macie ślad?

Słuchał w skupieniu, kiedy Reilly opowiadał mu o powiązaniach między Gusem Waldronem a Branko Petrovicem i o ich związku z napadem na Metropolitan.

– Nadam tej sprawie priorytet – obiecał Reilly'emu Milligan. – Ściągnę techników, poproszę dowódcę straży, żeby dzisiaj wykonali testy, położę akta autopsji na samym wierzchu.

Kiedy Reilly i Aparo otwierali drzwi samochodu, zaczął kropić drobny kapuśniaczek.

– Ktoś tu próbuje powiązać sznurki i dokończyć to, czego wcześniej nie zrobił – skomentował Aparo.

– Na to wygląda. Musimy poprosić lekarza sądowego, żeby uważnie obejrzał Waldrona.

– Jeżeli już o tym mowa, musimy też znaleźć pozostałych dwóch jeźdźców, zanim ten, co się na nich uwziął, ich dopadnie.

Reilly spojrział na zaciągnięte niebo, a potem zwrócił się do swojego partnera.

– Dwóch albo tylko jednego – stwierdził – jeśli to czwarty jeździec zabija.

## Rozdział 26

Oczy go szczypały z przemęczenia; siedział wiele godzin nad starymi manuskryptami. Teraz zdjął okulary i delikatnie przyłożył do oczu wilgotny ręcznik.

Jak długo już pracuje? Czy to dzień, czy noc? Stracił poczucie czasu, odkąd tu wrócił z konnej wyprawy do nowojorskiego muzeum.

Oczywiście, ta banda odmóżdżonych, niedouczonej ćwierćinteligentów, czyli media, uzna to, co się stało, za zuchwały napad rabunkowy. Żaden z nich, nawet ci wyżej postawieni, nie zrozumie nigdy, że to były praktyczne ćwiczenia w celach naukowych. Właśnie tak. Już niedługo cały świat się dowie, czym naprawdę były zdarzenia sobotniego wieczoru – to pierwszy ruch z całej serii posunięć, które nieodwołalnie odmienia ogląd rzeczywistości. Już niedługo ludziom spadną łuski z oczu i zmuszeni będą otworzyć swoje małe umysły na coś, co przekracza ich zdolność pojmowania.

Czasu zostało mu niewiele.

Odwrócił się i spojrzął na ścianę za sobą, na której wisiał kalendarz. Chociaż pora dnia była dla niego nieistotna, daty zawsze miały znaczenie.

Jedna z nich była zakreślona czerwonym kółkiem.

Raz jeszcze spojrzął na wyniki swojej pracy z wielozębatkowym urządzeniem kodującym, raz jeszcze przeczytał fragment, który nie dawał mu spokoju od momentu, kiedy go odszyfrował.

To bardzo zagadkowe, pomyślał. Potem się uśmiechnął, bo podświadomie użył właściwego słowa. Ten manuskrypt nie tylko był zaszyfrowany; wcześniej został sformułowany w postaci zagadki.

Poczuł podziw dla człowieka, który był autorem dokumentu.

Potem zmarszczył brwi. Musiał to szybko rozwiązać. Dotąd zacierał za sobą wszystkie ślady, ale nie może być tak głupi, żeby nie doceniać przeciwnika. Niestety, rozwiązanie zagadki wymagało pójścia do biblioteki. A to oznaczało, że musi opuścić bezpieczny port, który teraz był jego domem, i wejść na poziom zero.

Myślał o tym przez chwilę, a potem postanowił, że najrozsądniej będzie zrobić to wieczorem. Wtedy pójdzie do biblioteki. Będzie ostrożny. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś jednak połączył fakty i kazał pracownikom biblioteki zgłaszać przypadki ludzi żądających pewnych szczególnych

materiałów.

Potem uśmiechnął się do siebie. To dopiero jest paranoja. Nie są tacy sprytni.

Z biblioteki wróci tutaj, miał nadzieję, z rozwiązaniem, a potem dokończy rozszyfrowywanie pozostałych fragmentów.

Spojrzał raz jeszcze na kalendarz z zakreśloną na czerwono datą.

Z datą, która wryła się w jego pamięć.

Z datą, której nigdy nie zapomni.

To mała rzecz, ale ważna, choć bolesna. Potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeżeli do końca rozszyfruje manuskrypt, wypełni się przeznaczenie, które jego samego tak niesprawiedliwie wcześniej dotknęło.

## Rozdział 27

Wielebny De Angelis usiadł na twardym rattanowym krześle w sypialni na najwyższym piętrze hoteliku przy Oliver Street, urządzonej surowo i funkcjonalnie. Jego diecezja zarezerwowała mu pokój na czas pobytu w Nowym Jorku. Nie było najgorzej. Hotel miał bardzo wygodną lokalizację, tylko kilka przecznic od Federal Plaza. A widok na Most Brooklyński z najwyższych pięter nakłaniał ludzi o czystych sercach, którzy zazwyczaj zajmują te pomieszczenia, do snucia romantycznych wizji miasta. Na nim ten widok nie robił żadnego wrażenia.

Jego umysł był zresztą daleki od czystych myśli.

Sprawdził, która godzina, potem sięgnął po telefon komórkowy i wystukał numer w Rzymie. Odebrał kardynał Rienzi. Trochę protestował przeciwko niepokojeniu kardynała Brugnone, ale w końcu się zgodził. De Angelis wiedział, że tak będzie.

– Powiedz mi, że masz dobre wieści, Michael – powitał go Brugnone, odchrząkując.

– FBI robi postępy. Odzyskano niektóre ze skradzionych przedmiotów.

– To pokrzepiające.

– Tak, rzeczywiście. Zarówno FBI, jak i policja nowojorska dotrzymują słowa i skierowały do tej sprawy olbrzymie siły.

– A co ze złodziejami? Czy jeszcze kogoś aresztowano?

– Nie, wasza eminencjo – odparł De Angelis. – Człowiek, którego zatrzymano, zmarł, zanim policja zdążyła go przesłuchać. Nie żyje również drugi uczestnik napadu, zginął w pożarze. Zaledwie dziś rano rozmawiałem z agentem, który prowadzi sprawę. Wciąż czekają na wyniki sekcji, ale on uważa, że ten człowiek mógł zostać zamordowany.

– Zamordowany. To straszne – westchnął Brugnone. – I tragiczne. Wszystko dla zysku. Biją się o łupy.

Wielebny wzruszył ramionami.

– Chyba właśnie tak... – Brugnone zamilkł na chwilę.

– Oczywiście, istnieje jeszcze inna możliwość, Michael.

– I mnie to przyszło do głowy.

– Nasz człowiek może robić porządki na własnym podwórku.

– Podejrzewam, że o to chodzi.

– To niedobrze. Jeżeli zostanie tylko on, będzie go jeszcze trudniej znaleźć.

– Wszyscy robimy błędy, wasza eminencjo. Kiedy on popełni błąd, ja dopilnuję, żeby nam to nie umknęło.

De Angelis słyszał, że kardynał wierci się nerwowo na krześle.

– Niepokoi mnie to ślimacze tempo. Czy można zrobić coś, żeby tę sprawę przyspieszyć?

– Jeżeli spróbujemy, FBI powie, że wtrącamy się do nie swoich spraw.

Brugnone przez chwilę się zastanawiał, po czym stwierdził:

– Cóż, na razie ich nie rozdrażnijmy. Ale musisz być pewien, że informują nas o wszystkim, co się dzieje w śledztwie.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Rozumiesz, jakie to dla nas ważne, Michael – głos Brugnone brzmiał teraz bardziej oficjalnie. – Musimy koniecznie odzyskać wszystko, zanim stanie się coś nieodwracalnego.

– Oczywiście, wasza eminencjo – odparł De Angelis. Wiedział dokładnie, co oznacza słowo „wszystko”. – Rozumiem doskonale.

De Angelis odłożył słuchawkę i siedział kilka minut nieruchomo, nad czymś się zastanawiając. Potem uklęknął przy łóżku, by się pomodlić. Nie prosił o Boską interwencję, ale o to, żeby jego własne słabości nie przeszkodziły mu w wykonaniu misji. Stawka była zbyt wysoka.

## Rozdział 28

Tessa poczuła się rozczerowana, kiedy zobaczyła na biurku wydruki nadesłane z Columbia University. Były zniechęcająco cienkie. Pospiesznie je przejrzała. Z tego, co opowiadał jej Clive Edmondson, nie spodziewała się znaleźć w nich niczego na temat templariuszy. Teraz jej przypuszczenia się potwierdziły. To nie był oficjalny obszar zainteresowań naukowych Williama Vance'a. W badaniach skupiał się głównie na historii Fenicjan aż do trzeciego wieku przed Chrystusem. A jednak związek był naturalny i obiecujący – potężne fenickie porty Sydon i Tyr stały się tysiąc lat później najwspanialszymi twierdzami templariuszy. Trzeba było się przedrzeć przez warstwy historii krzyżowców i templariuszy, by pod nimi ujrzeć ślady życia Fenicjan.

Ponadto nigdzie w opublikowanych przezeń artykułach naukowych, które otrzymała, nie znalazła wzmianki o kryptografii lub kryptologii.

Poczuła się naprawdę zniechęcona. Jakby niczym z balonu uszło z niej powietrze. Cała ta lektura, myszkowanie po bibliotece, a teraz artykuły Vance'a nie przybliżały jej ani o krok do rozwiązania zagadki.

Postanowiła podjąć ostatnie poszukiwania w Internecie. Na monitorze pojawiła się informacja o kilkuset odnalezionych witrynach, kiedy wprowadziła nazwisko Vance'a do wyszukiwarki. Tym razem postanowiła się nie spieszyć.

Przejrzała już kilkadziesiąt witryn, kiedy na jednej znalazła wzmiankę na temat Vance'a, przelotną i bezwstydnie kpiącą. Ten artykuł, zapis francuskiego wykładu na uniwersytecie w Nantes sprzed ponad dziesięciu lat, był krytycznym przeglądem tego, co autor uważał za idee i myśli niewarte badania z jego punktu widzenia. Twierdził, że tylko mąciły poważne dociekania akademickie.

Podobną wzmiankę na temat Vance'a znalazła w dwóch trzecich publikacji tego historyka. W jednej wspomniał przelotnie, że kiedyś słyszał śmieszna opinię Vance'a, że Hughes de Payens prawdopodobnie był katarzem, ponieważ jego drzewo genealogiczne wskazywało, że rodzina pochodzi z Langwedocji.

Tessa przeczytała raz jeszcze ten fragment. Założyciel zakonu templariuszy katarzem? To absurdalne. Idee templariuszy i katarów są po prostu sprzeczne. Przez dwieście lat templariusze nieugięcie bronili Kościoła. A katarowie byli przecież gnostykami.



A jednak zaczęła się zastanawiać nad tą sugestią.

Ruch katarów zrodził się w połowie X wieku. Jego nazwa pochodzi od greckiego słowa katharos – czystości. Opierał się na idei, że świat jest zły i że nieustanna reinkarnacja pozwala się duszom wcielać nawet w zwierzęta (dlatego katarowie byli wegetarianami), aż wywędrują ze świata materialnego i dotrą do nieba.

Wszystko to, w co wierzyli katarowie, sprzeciwiało się doktrynie kościelnej. Jako dualiści wierzyli, że oprócz Boga pełnego miłości i dobra istnieje równie potężny zły Bóg, co wyjaśniało wszelkie plagi i nieszczęścia nawiedzające świat. Bóg łagodny i dobry jest stwórcą niebios i duszy ludzkiej; Bóg zła pochwycił tę duszę w pułapkę ludzkiego ciała. W opinii Watykanu katarowie dopuszczali się świętokradztwa, stawiając Szatana na równi z Bogiem. Katarowie uważali bowiem wszystkie dobra materialne za wcielenie zła, odrzucali bogactwa i władzę, która w sposób oczywisty i widoczny psuła średniowieczny Kościół katolicki.

Co jeszcze bardziej niepokojące dla Kościoła, katarowie byli również gnostykami. Gnostycyzm wywodzi się od innego słowa greckiego, gnosis, czyli wiedza wyższa lub wgląd; jest poglądem, zgodnie z którym człowiek może wejść w bliski i bezpośredni kontakt z Bogiem bez pośrednictwa Kościoła i kapłana. Wierząc w możliwość osobistego kontaktu z Bogiem, katarowie uwolnili się od wszelkich nakazów moralnych i obowiązków wobec Kościoła. Kapiące złotem świątynie i przewlekłe ceremonie były dla nich pozbawione znaczenia; nie potrzebowali ich, nie potrzebowali też kapłanów. Ich modlitwy i rytuały odbywały się w domach lub na polach. A jakby i tego było mało, kobiety miały równe prawa z mężczyznami i dostępowyły zaszczytu bycia Doskonałymi, co u katarów było odpowiednikiem funkcji kapłana – ponieważ postać fizyczna była nieistotna, dusza mogła równie dobrze przybrać ciało kobiety, jak i mężczyzny; to było bez znaczenia.

W miarę jak te wierzenia zyskiwały popularność i rozprzestrzeniały się na południu Francji i w północnych Włoszech, Watykan niepokoił się coraz bardziej. W końcu postanowiono skończyć ostatecznie z tą herezją. Nie tylko zagrażała Kościołowi katolickiemu, ale również mogła wstrząsnąć podstawami systemu feudalnego w Europie. Katarowie uważali wszystkie przysięgi za grzech, ponieważ przysięga dotyczyła świata materialnego, a zatem świata zła. To mogło zachwiać koncepcją feudalnej zależności między lennikami a ich panami. Papież bez kłopotu uzyskał poparcie szlachty francuskiej w walce z katarami. W roku 1209 armia krzyżowców załapała Langwedocję i w ciągu trzydziestu pięciu lat dokonała masakry ponad

trzydziestu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Mówi się, że w kościołach, w których szukali schronienia przerażeni wieśniacy, krew sięgała niekiedy po kostki. Ponoć gdy jeden z rycerzy papieskich się skarżył, że nie wie, czy zabija heretyków, czy dobrych chrześcijan, odpowiedziano mu: „Zabijaj wszystkich; Pan Bóg oddzieli ziarno od plew”.

To po prostu nie miało sensu. Templariusze przybyli do Ziemi Świętej, by eskortować pielgrzymów – pielgrzymów chrześcijańskich. Byli oddziałami szturmowymi Watykanu, najwierniejszymi sprzymierzeńcami papieża. Katarowie z kolei byli wrogami Kościoła.

Tessa była zdziwiona, że ktoś tak śmiały jak Vance mógł wysunąć podobnie szaloną hipotezę, zwłaszcza opierając ją na wątpliwym założeniu dotyczącym pochodzenia jednego człowieka. Zastanawiała się, czy ten ślad nie prowadzi na manowce, ale w głębi duszy wiedziała, że musi o tym porozmawiać z Vance’em osobiście, nie poprzestając na akademickich przytykach. Jeżeli rzeczywiście ten napad miał coś wspólnego z templariuszami, Vance w ułamku sekundy powinien dostrzec związek.

Jeszcze raz zadzwoniła do Columbia University i połączyła się z Wydziałem Historii. Przypomniała sekretarce o wcześniejszej rozmowie i zapytała, czy może udało jej się skontaktować z kimś, kto wie, jak dotrzeć do Williama Vance’a. Kobieta odparła, że pytała kilku wykładowców, ale nikt go nie widział, odkąd odszedł z uczelni.

– Rozumiem – powiedziała Tessa rozczarowana. Nie miała pojęcia, gdzie jeszcze go szukać.

Jej rozmówczyni chyba wyczuła bezradność w jej głosie.

– Wiem, że chce się pani z nim skontaktować, ale nie jest wykluczone, że on nie chce z kimkolwiek rozmawiać. Czasem ludzie wolą odsunąć się w cień po... no wie pani... po bolesnych wydarzeniach.

– Po bolesnych wydarzeniach? – Tessa wyprostowała się na krześle.

– Tak. To, co przeszedł, było takie smutne i tragiczne. Wie pani, jak bardzo ją kochał.

Tessa próbowała sobie teraz rozpaczliwie przypomnieć, o co właściwie chodzi; musiała coś przegapić.

– Niech mi pani daruje, ale nie jestem pewna, czy wiem, o czym pani mówi. Czy profesor Vance stracił kogoś bliskiego?

– Och, myślałam, że pani wie. Chodzi o jego żonę. Zachorowała i zmarła.

To była dla niej nowa wiadomość. Na żadnej z witryn, które przeglądała, o tym nie wspomniano, ale były to strony czysto naukowe, nie dotyczyły spraw osobistych.

– Kiedy to się stało?

– Kilka lat temu, pięć, może sześć. Chwileczkę... Pamiętam, że to było wiosną. Profesor zaraz potem poprosił o urlop naukowy i po wakacjach już nie wrócił.

Tessa podziękowała sekretarce i odłożyła słuchawkę. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zrezygnować z pomocy Vance'a i nie skupić się jednak na kontakcie z Simmonsem. Była jednak zaintrygowana. Raz jeszcze weszła do Internetu na stronę „New York Timesa”. Z ulgą stwierdziła, że archiwa wyszukiwarki sięgają do 1996 roku. Wprowadziła nazwisko „William Vance”, zaznaczyła część dotyczącą nekrologów i natychmiast znalazła.

Krótki artykuł o śmierci jego żony Marthy. W tekście wspomniano jedynie o komplikacjach po krótkiej chorobie, nie było żadnych szczegółów. Jego żona miała być pochowana na cmentarzu Green-Wood na Brooklynie. Pomyślała, że Vance pewnie płaci za opiekę nad mogiłą. Jeżeli tak, to prawdopodobnie zarząd cmentarza ma jego adres.

Przez moment zastanawiała się, czy tam nie zadzwonić, ale zrezygnowała. Najprawdopodobniej i tak nie podadzą jej takiej informacji. Rada, nierada sięgnęła po wizytówkę, którą dał jej Reilly, i zadzwoniła do jego biura. Usłyszała, że jest na jakimś spotkaniu. Tessa pomyślała, żeby zostawić wiadomość agentowi, który z nią rozmawiał, ale w końcu postanowiła poczekać i pogadać z Reillym osobiście. Rzuciła jeszcze raz okiem na ekran monitora, przeczytała klepsydrę. I nagle ogarnęło ją podniecenie.

Sekretarka miała rację, Martha Vance zmarła na wiosnę.

Jutro minie dokładnie pięć lat od dnia jej śmierci.

## Rozdział 29

– Sekcja zwłok wykazała, że Waldrona również zamordowano – stwierdził Reilly, rozglądając się po twarzach zgromadzonych w sali konferencyjnej FBI. Jedynym spoza ich kręgu był wielebny De Angelis. – Znaleźliśmy w jego krwi ślady lidokainy. To środek przeciwbólowy. I na pewno nie podał go Waldronowi nikt z personelu medycznego szpitala. Wysoka dawka leku spowodowała zawał serca. Interesujące, że ślady po igłach znaleziono na szyi. Leku użyto po to, by sparaliżować struny głosowe. Żeby nie mógł wołać pomocy.

Wielebny zeszywniał, słuchając sprawozdania Reilly’ego; robił wrażenie lekko przerażonego. Przy stole siedzieli wszyscy śledczy uczestniczący w operacji METRAID: Jansson, Buchinski, Amelia Gaines, Aparo, Blackburn i trzech jego asystentów oraz młody technik odpowiedzialny za sprzęt audio i wideo używany w akcji. Raport nie napawał zbytnim optymizmem.

– Znaleźliśmy w stajni sprzęt do znakowania zwierząt na zimno – mówił dalej Reilly. – Petrovic mógł się nim posłużyć do zmiany znaku na koniach, na których dokonali napadu. A to wszystko może znaczyć jedno z dwojga: albo ktoś, kto stoi za tym wszystkim, zarządził likwidację swoich żołnierzy, albo jeden z członków gangu postanowił zgarnąć wszystko. Tak czy inaczej, mamy jeszcze jednego jeźdźca albo nawet dwóch, którzy mogą paść ofiarą kolejnych zamachów. Człowiek, który postanowił działać, postępuje szybko i zdecydowanie.

– Nie udało się panom odzyskać żadnych skradzionych przedmiotów w stajni? – De Angelis zwrócił się wprost do Reilly’ego.

– Obawiam się, że nie, ojcze. Ten człowiek zginął z powodu łupów.

De Angelis zdjął okulary i zaczął czyścić szkła rękawem.

– A co z tymi organizacjami ekstremistycznymi, którymi pan się interesował? Czy coś wynikło z tego tropu śledztwa?

– Na razie nie. Przyglądamy się przede wszystkim dwóm grupom, które niedawno wygrażały Kościołowi za ostrą krytykę. Obie działają na Środkowym Zachodzie, więc tym wątkiem śledztwa zajmują się nasi agenci w terenie. Nie mają jeszcze żadnych dowodów świadczących o związku tych grup z napadem, tylko oskarżenia i groźby.

De Angelis założył okulary na nos i zmarszczył czoło. Był wyraźnie poruszony, ale próbował

to jakoś ukryć.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

Reilly rozejrzał się wokół. Wiedział, że postępy śledztwa nie są zadowalające. Na razie FBI musi reagować na wydarzenia, zamiast je inicjować.

– Nie wspomnisz o wątku templariuszy? – spytał Aparó. De Angelis odwrócił się do Aparó, ale ten oczami wskazał Reilly'ego.

– Templariuszy?

Reilly się nie spodziewał, że partner poruszy ten temat. Próbował, jak mógł, zminimalizować jego wagę.

– To tylko ślad, któremu się przypatrujemy. – Nagłe zaciekawienie De Angelisa kazało mu jednak mówić dalej. – Jeden ze świadków w muzeum, archeolog... No cóż, ta pani jest przekonana, że istnieje związek między templariuszami a tym napadem.

– Dlatego że rycerze mieli na płaszczach czerwone krzyże? Ten przynajmniej wie, co jest grane, pomyślał Reilly.

– Tak, chodzi o krzyże i kilka innych szczegółów – powiedział. – Rycerz, który zabrał urządzenie kodujące, powiedział po łacinie coś, co ponoć jest dewizą wyrytą nad wejściem do zamku templariuszy we Francji.

– I ta pani archeolog uważa – De Angelis spoglądał na Reilly'ego z ironicznym uśmiechem – że napad na muzeum jest dziełem zakonu, który nie istnieje od przeszło sześciuset lat?

Reilly poczuł na sobie wzrok siedzących przy stole; wbijali w niego oczy jak małe świderki.

– Nie, to nie tak. Chodzi o to, że historia i legenda związana z templariuszami mogła zainspirować grupę fanatyków religijnych, zwolenników krzyżowców, do ich pomszczenia lub choćby ożywienia wielkiej przeszłości zakonu.

De Angelis pokiwał głową zamyślony. Wstając i zbierając papiery, wydawał się nieco rozczarowany przebiegiem śledztwa.

– Cóż, to brzmi obiecująco. Życzę panu sukcesów na tym polu, agencie Reilly. Panowie, pani Gaines – uklonił się, rzucając wymowne spojrzenie Janssonowi, a potem cichutko wyszedł z sali, pozostawiając Reilly'ego z niezbyt miłym uczuciem, że templariuszowskie znamię szaleństwa odciska się nie tylko na pracownikach naukowych.

## Rozdział 30

Mitch Adeson wiedział, że jeżeli będzie zmuszony dłużej ukrywać się w tej norze, to zwariuje. Ale okazałby się wariatem już teraz, gdyby wrócił do swojego mieszkania; na ulicach zresztą nie byłby chyba też bezpieczny. Tutaj, w mieszkaniu ojca w Queens, przynajmniej nie czuł się zagrożony.

Najpierw Gus, a potem Branko.

Mitch był sprytny, ale nawet gdyby był tak głupi jak Gus Waldron, domyśliłby się, że ktoś gdzieś ma jakąś listę i że on z całą pewnością nie tylko jest na tej liście, ale też że jest następny w kolejce.

Czas się przenieść na bezpieczniejsze pastwiska.

Spojrzał na przeciwległą stronę pokoju, na swego głuchego i robiącego niemal pod siebie ojca, który jak zawsze gapił się w zaśniewany ekran telewizora, nastawionego – też jak zawsze – na płynące nieprzerwanym strumieniem kiczowate programy z udziałem publiczności, których gospodarzy i gości głośno odsądzał od czci i wiary.

Mitch chętnie by się dowiedział, co jest z gościem, który go wynajął do tej roboty. Zastanawiał się, czy nie powinien go odszukać, ale doszedł do wniosku, że nie. Facet dość dobrze trzymał się w siodle, ale nie wyglądał na takiego, który mógłby zabić Branka, a już na pewno nie wykończyłby takiej góry mięsa jak Gus Waldron. To musiał być ktoś stojący wyżej w łańcuchu pokarmowym. Aby jednak zrobić miazgę z tej szychy, Mitch musiałby najpierw skontaktować się z tym, który sprzedał mu ten szalony pomysł. Problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, jak się z nim skontaktować. Nie znał nawet jego nazwiska.

Usłyszał, jak ojciec głośno puszcza bąka. O, Boże, pomyślał, Nie wysiedzę tu dłużej na dupie. Muszę się ruszyć.

Nieważne, dzień czy wieczór, musiał coś zrobić. Powiedział ojcu, że wróci za parę godzin. Stary mężczyzna nie zwrócił uwagi na jego słowa, ale kiedy Mitch wkładał kurtkę i szedł w kierunku drzwi, mruknął:

– Piwo i papierosy.

To zdanie nie było dłuższe od najdłuższego, które wypowiedział na powitanie w niedzielę rano, gdy Mitch przyszedł prosto z Central Parku. Tam, tak jak pozostali, zdjął zbroję i zgodnie

z ustaleniami, każdy poszedł własną drogą. Przedtem jednak schował fanty do furgonetki; ukrył ją w garażu dwie przecznice od własnego mieszkania. Garaż wynajął na rok i opłacił z góry – wcześniej nie zamierzał do niego zaglądać.

Wyszedł z mieszkania i ostrożnie ruszył po schodach, sprawdzając, czy nie widać czegoś podejrzanego. Ciemniejącą ulicą ruszył w kierunku stacji metra.

Rozpadało się na dobre, kiedy Mitch wszedł ostrożnie w zaułek na tyłach zapuszczonego sześciopiętrowego budynku w Astorii, w którym znajdowało się jego mieszkanie. Pod pachą niósł dla staruszka papierową torbę z sześciopakiem piwa Coors i kartonem winstonów. Był przemoknięty do suchej nitki. Nie miał wprawdzie zamiaru zbliżyć się jeszcze przez jakiś czas do swojego mieszkania, ale postanowił zaryzykować. Chciał zabrać trochę rzeczy i rzeczywiście na jakiś czas zniknąć ze sceny.

Przez kilka minut stał bez ruchu w zaułku, potem sięgnął ręką nad głowę i ściągnął na dół najniższe schodki drabiny przeciwpożarowej. Zawsze pamiętał o tym, żeby je naoliwić, tak na wszelki wypadek. Teraz z satysfakcją stwierdził, że rozsunęły się bezszelestnie. Pospieszenie piął się w górę, rzucając nerwowe spojrzenia na boki. Kiedy był już pod oknem swojej sypialni, postawił papierową torbę na drabinie i sięgnął palcami w kierunku przerwy między drabiną przeciwpożarową a ścianą, po czym wyciągnął płaski kawałek metalu, który tam schował – też na wszelki wypadek. W chwilę później podważył okno i wszedł do środka.

Nie zapalał światła, bo pokój znał jak własną kieszeń – potrafił się poruszać po ciemku. Wyciągnął starą kurtkę z szafy na ubrania i posuwając się po omacku, wyjął cztery paczki nabojów. Włożył je do torby. Poszedł do łazienki i ze zbiornika na wodę wyłowił plastikowe zawiniątko sporych rozmiarów. Były to hermetycznie zapakowane kimber 45 i mała bersa dziewiątka. Sprawdził obie sztuki, załadował bersę, wcisnął ją za pasek, a kimbera włożył do torby. Wziął jeszcze trochę ubrań i ulubione buty robocze. To mu na razie wystarczy.

Wyszedł tyłem przez okno w sypialni, zamknął je za sobą, przewiesił kurtkę przez ramię i sięgnął dłonią po papierową torbę.

Torby nie było.

Mitch zeszywniał. Stał chwilę bez ruchu, a potem ostrożnie wyciągnął pistolet. Spojrzał w dół na zaułek. Ani śladu życia. W taką pogodę nawet kotom nie chciało się wychodzić na dwór, a szczurów z tej wysokości nie było widać.

Kto zabrał papierową torbę? Dzieciaki? Na pewno. Gdyby ktoś naprawdę siedział mu na

karku, nie dałby mu wlec się po ulicach z sześciopakiem piwa i kartonem papierosów. Ale Mitch nie był w nastroju, żeby w praktyce sprawdzać swoje hipotezy. Postanowił wspiać się na dach, skąd będzie mógł przeskoczyć na drugi budynek, i zejść na ulicę jakieś sto metrów dalej. Już to kiedyś wykonał, ale wtedy dachy nie były mokre od deszczu.

Zaczął powoli i po cichu wchodzić po drabinie aż na dach. Wokół obudowy szybu wentylacyjnego wymacał stopą część rusztowania, którą ktoś tu zostawił po remoncie. Pośliznął się i upadł twarzą prosto w kałużę. Wstał i ruszył w kierunku obmurówki dachu sięgającej mu do uda. Przełożył jedną nogę, jakby wsiadał na rower, i wtedy poczuł ostry ból – ktoś kopnął go pod kolanem drugiej nogi. Zgiął ją odruchowo, tak że musiał przyklęknąć.

Sięgnął dłonią po pistolet, ale napastnik był szybszy: chwycił go za ramię i natychmiast je wykręcił. Pistolet wypadł Mitchowi z ręki, usłyszał, jak z łoskotem spada po stromym dachu. Ze wszystkich sił próbował się wyrwać z uchwytu; poczuł, że mu się udaje, i przeżył moment uniesienia, ale już w następnej sekundzie przeleciał na drugą stronę kamiennej obmurówki.

Usiłował palcami chwycić się czegokolwiek; udało mu się przytrzymać gzymsu z surowego kamienia. Napastnik chwycił go za ręce tuż powyżej nadgarstków, przytrzymał i uchronił od pewnej śmierci. Mitch popatrzył w górę i zobaczył twarz mężczyzny, którego wcześniej nie widział.

Nie miał pojęcia, czego ten facet chce, ale postanowił, że bardzo chętnie da mu wszystko, czego zażąda.

– Podciągnij mnie – sapał. – Wciągnij mnie do góry.

Mężczyzna powoli zrobił to, o co Mitch prosił. Po chwili Mitch leżał przytulony policzkiem do powierzchni dachu, a połowa jego ciała zwisała z kamiennej obmurówki. Poczuł, że mężczyzna puszcza jego ramię, a potem zobaczył coś odbijającego światło. Mitch pomyślał najpierw, że to nóż, ale szybko zrozumiał pomyłkę – strzykawka. Nie wiedział, co o tym sądzić; próbował się wykręcić i uwolnić, ale zanim zdążył zrobić ruch, poczuł ostry ból w mięśniach karku.

Mężczyzna wbijał mu właśnie igłę u nasady szyi.



## Rozdział 31

Przyglądając się uważnie leżącemu przed nim wydrukowi zdjęcia z kamery przemysłowej, De Angelis wodził jednocześnie palcami po złotej, wysadzonej diamentami i rubinami statuetce wierzgającego przednimi kopytami konia.

Uważał ten antyk za kiczowaty. Wiedział, że to dar dla Ojca Świętego od rosyjskiego Kościoła prawosławnego z okazji audiencji papieskiej pod koniec XIX wieku; wiedział również, że jest uważany za bezcenny. Bezcenny kicz.

Przypatrywał się teraz uważnie zdjęciu. Dał mu je Reilly po ich pierwszym spotkaniu, kiedy pytał, czy wielozębatkowe urządzenie kodujące jest rzeczywiście takie cenne. Ten obraz wciąż przyprowadzał go o bicie serca. Nawet to niewyraźne, zaśniewane zdjęcie go cieszyło. Po raz pierwszy poczuł radość, kiedy ujrzał ten moment na taśmie z kamery przemysłowej w biurze FBI przy Federal Plaza.

Rycerze w lśniących zbrojach rabujący muzeum na Manhattanie w XXI wieku.

Taka bezczelność, pomyślał, to doprawdy coś niebywałego.

Na zdjęciu było widać jeźdźca. De Angelis wiedział już, że to czwarty z nich, trzymający urządzenie szyfrujące. Wpatrywał się w hełm rycerza, próbując myśłą wedrzeć się pod warstwę atramentu i papieru, przeniknąć myśli i uczucia mężczyzny na koniu. Zdjęcie było zrobione z lewej strony od tyłu. Wokół widniały porozbijane witryny i gabloty. A w lewym górnym rogu zza gabloty wyłaniała się twarz kobiety.

Pani archeolog, która usłyszała, jak czwarty jeździec mówi coś po łacinie, pomyślał De Angelis. Musiała być dość blisko, by usłyszeć. Patrząc teraz na zdjęcie, był przekonany, że to ona.

Przyglądał się jej twarzy. Stężała. Przerazona. To na pewno ona.

Położył na łóżku zdjęcie i bezcennego konia i wziął w dłonie leżący obok wisiołek. Był srebrny, wysadzany szmaragdami; dar Nizama z Hyderabadu. Wart fortunę; kiedyś był okupem za życie księcia. Obracał go w palcach i zastanawiał się, czy nie zabrnął w ślepią uliczkę.

Ten, którego ściagał, dobrze zacierał za sobą ślady – De Angelis nie spodziewał się niczego innego po człowieku działającym z taką odwagą i rozmachem. Dowodzona przez niego banda przestępców, te zdesperowane szumowiny, które De Angelis odnalazł, przesłuchał i z którymi

rozstał się z taką łatwością, okazała się zupełnie bezużyteczna.

A ich przywódca wciąż wymykał mu się z rąk.

Potrzebny był jakiś świeży trop. Jakaś boska interwencja.;

A teraz jeszcze to. Irytujące.

Niepotrzebne.

Raz jeszcze spojrzął na jej twarz. Wziął do ręki telefon komórkowy i nacisnął klawisz szybkiego wybierania. Po dwóch sygnałach odezwał się chropawy, szorstki głos.

– Kto mówi?

– A ilu ludziom dałeś ten numer telefonu? – wypalił wielebny bez namysłu.

– Miło pana słyszeć – powiedział mężczyzna z wyraźną ulgą i głośno wypuścił powietrze z płuc.

De Angelis wiedział, że jego rozmówca teraz zgasi papierosa i odruchowo sięgnie po następnego. Zawsze wydawało mu się to obrzydliwe, ale inne talenty rozmówcy to rekompensowały.

– Chciałbym, żebyś mi w czymś pomógł – powiedział i zmarszczył brwi. Miał nadzieję, że nie będzie musiał w to wciągać nikogo innego. Raz jeszcze spojrzął na twarz Tessy. – Chciałbym, żebyś wszedł do bazy danych FBI dotyczących napadu na muzeum Metropolitan. – I natychmiast dodał: – Dyskretnie.

Mężczyzna odparł niemal natychmiast.

– To żaden problem. Jedna z dobrych stron wojny z terroryzmem. Wszyscy jesteśmy w nastroju do dzielenia się z bliźnimi i do pochylania się nad ich problemami. Proszę mi tylko powiedzieć, czego mam szukać.

## Rozdział 32

Skręciwszy z jednej z wielu wijących się zakolami alei cmentarnych, Tessa szła teraz szeroką zwirowaną ścieżką.

Było zaledwie parę minut po ósmej. Wiosenne kwiaty kwitły wokół mogił, a starannie przystrzyżona trawa lśniła po wczorajszym deszczu. Lekka mgła spowodowana niewielkim wzrostem temperatury oplatała nagrobki i drzewa.

Samotna papuga, pewnie jedna z tych, które uciekły z jakiejś klatki, przeleciała nad jej głową, przerywając błogą ciszę upiornym krzykiem. Choć robiło się coraz cieplej, a Tessa była w płaszczu, drżała, zapuszczając się coraz dalej w głąb cmentarza. Spacer po ziemi, w której są pochowani ludzie, zawsze wytrącał ją z równowagi, a fakt, że się tu dziś znalazła, sprawił, że jej myśli popłynęły ku ojcu. Zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatni raz była na jego grobie.

Zatrzymała się i sprawdziła na planie cmentarza, otrzymanym w pawilonie przy potężnym gotyckim łuku bramy cmentarnej, czy nie pobłądziła. Najpierw wydawało się jej, że idzie we właściwym kierunku, ale teraz nie była już tego pewna. Cmentarz zajmował powierzchnię ponad czterystu akrów; zaczęły ją boleć nogi, zwłaszcza że nie przyjechała samochodem. Dojechała metrem na ulicę Dwudziestą Piątą w Brooklynie, przewędrowała przecznicę na wschód i weszła na cmentarz główną bramą.

Rozglądała się dookoła, próbując się zorientować, dokąd iść. Zwątpiła, czy przyjazd tutaj w ogóle był dobrym pomysłem. Znalazła się w głupiej sytuacji. Jeżeli spotka Vance'a, to wejdzie mu w życie z butami, i to w bardzo niezręcznym momencie. A jeżeli go tu nie będzie, cała ta wycieczka okaże się zwykłą stratą czasu.

Odsunęła od siebie te myśli i szła dalej. Znalazła się w wyraźnie starszej części cmentarza. Kiedy przechodziła obok bogato zdobionego grobowca, na którym stał pochylony granitowy anioł, usłyszała w pobliżu jakiś dźwięk. Zaskoczona, wpatrywała się w mgłę. Nie widziała nic prócz ciemnych zarysów drzew. Czuła się bardzo nieswojo, ruszyła więc trochę szybciej, zdając sobie sprawę, że zanurza się coraz głębiej w cmentarne zakamarki.

Sprawdziła raz jeszcze na planie i wiedziała, że musi być blisko. Postanowiła pójść na skróty przez maleńki zagajnik i weszła w mokrą, śliską trawę. Potknęła się o omszały kamień i uchwyciła się kruszejącego murku, żeby nie upaść.

I wtedy go zobaczyła.

W odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów stał sam w uroczystej pozie tuż przed niewielką mogiłą. U jego stóp leżał bukiet czerwonych, białych i kremowych goździków. Mężczyzna stał z pochyloną głową. Na podjeździe tuż obok zobaczyła szare volvo.

Tessa musiała odczekać chwilę, zanim odważyła się podejść. Podeszła powoli i cicho; na nagrobku zobaczyła słowa „Vance” i „Martha”. Wciąż się nie odwracał, choć dzieliły ich zaledwie trzy metry i nikogo oprócz nich nie było, jak okiem sięgnąć.

– Profesorze Vance – odezwała się niepewnie. Stał przez chwilę nieruchomo, a potem odwrócił się w jej stronę.

Wyglądał zupełnie inaczej niż człowiek, którego Tessa zapamiętała.

Miał gęste srebrnosiwe włosy, twarz stężałą. Chociaż wciąż był szczupły i wysoki, nie prezentował się tak okazale jak niegdyś. Wyglądał raczej na przygarbionego. Dłonie trzymał w kieszeniach marynarki, był w czarnym płaszczu z podniesionym kołnierzem. Tessa zauważyła, że rękawy są wystrzępione i poplamione. Głupio jej było to przyznać, nawet przed samą sobą, ale Vance sprawiał wrażenie człowieka zaniedbanego. Czymkolwiek zajmował się dziś zawodowo, na pewno spadł o kilka szczebli na drabinie społecznej. Gdyby zobaczyła go na ulicy po tych dziesięciu latach od ostatniego spotkania, chyba nawet by go nie poznała. Ale w tych okolicznościach nie miała wątpliwości, że to on. Spojrzał na nią niepewnie.

– Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam – powiedziała, czując się niezręcznie. – Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe. Wiem, że dzisiejszy dzień jest dla pana bardzo trudny. Niech mi pan wierzy, gdybym znalazła inny sposób, żeby się z panem skontaktować... – urwała, ponieważ zauważyła, że twarz mu się rozjaśnia. Poznał ją.

– Tessa. Tessa Chaykin. Córka Olivera.

Wzięła głęboki oddech, a potem odetchnęła z ulgą. Jego twarz powoli się rozpozadzała, mroczne spojrzenie szarych oczu stawało się coraz jaśniejsze i przez moment dostrzegła ślady tej charyzmy, która ją zauroczyła, kiedy się spotkali wieki temu. Jego pamięć też funkcjonowała prawidłowo.

– Teraz wiem, dlaczego wyglądasz inaczej – powiedział. – Gdy cię poznałem, byłaś w ciąży. Uważałem wtedy, że dzikie ostępy Turcji to dla ciebie nie najlepsze miejsce w takim stanie.

– Tak – odprężyła się. – Mam córkę. Kim.

– Musi mieć teraz... – zastanawiał się i liczył, jak dawno temu to było.

– Ma dziewięć lat – odpowiedziała, a potem spuściła oczy, naprawdę zażenowana. – Niech pan wybaczy, proszę... Nie powinnam była tu przychodzić.

Poczuła chęć, by się wycofać stąd niepostrzeżenie, bo nagle zauważyła, że uśmiech na jego twarzy zgasł. Rysy mu stężały i spojrzał na mogiłę.

– Moja córeczka Annie miałaby dzisiaj pięć lat – powiedział cichym, ledwo słyszalnym głosem.

Córeczka? Tessa spojrzała na niego i potem na nagrobek. Elegancki w swojej prostocie, biały; w kamieniu wyryto inskrypcję literami wysokości kilku centymetrów:

MARTHAI ANNIE. Niechaj ich uśmiechy rozjaśniają świat lepszy od tego. Nic nie rozumiała. I nagle do niej dotarło.

Jego żona umarła w czasie porodu.

Tessa poczuła, że oblewa się rumieńcem; była jeszcze bardziej zażenowana z powodu swojej niedelikatności. Jak można ścigać kogoś na cmentarzu, szukać go nad grobem córki i żony? Spojrzała na Vance'a. Patrzył na nią, a smutek pogłębił mu zmarszczki na twarzy. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Przepraszam – wymamrotała. – Nie wiedziałam.

– Widzisz, wybraliśmy nawet imiona. Matthew, gdyby to był chłopiec, a Annie, gdyby córka. Wybraliśmy imiona wieczorem tego dnia, kiedyśmy się pobrali.

– Co... Jak to... – nie potrafiła dokończyć zdania.

– To się stało w połowie ciąży. Od samego początku była pod ścisłą kontrolą lekarza. Miała... no cóż, właściwie oboje mieliśmy – za dużo lat na pierwsze dziecko. A wszyscy jej krewni walczyli z nadciśnieniem. Ciąża była zagrożona. Tak czy inaczej, zapadła w stan przedrzucawkowy. Lekarze nie do końca wiedzą, dlaczego się zdarza. Uprzedzono mnie, że to dość powszechne, ale bywa bardzo niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. I tak właśnie było w przypadku Marthy. – Przerwał i wziął głębszy oddech, patrząc w dal. Mówienie o tym sprawiało mu wyraźny ból i Tessa chciała, żeby przestał. Chciała, żeby ziemia pod nią się rozstąpiła i pochłonęła ją, wyzwoliła go od przeżywania tego jeszcze raz w obecności jej, głupiej sensatki. Ale nic takiego się nie stało.

– Lekarze mówili, że już nic się nie da zrobić – ciągnął dalej ponuro. – Powiedzieli nam, że Martha musi poddać się aborcji. Annie była zdecydowanie za mała i nie było nadziei, by przeżyła w inkubatorze, a szansę Marthy na przeżycie z każdym dniem stawały się mniejsze.

– Aborcja nie...

– W normalnych okolicznościach – mówił z oczami zamkniętymi, zagłębiony we wspomnieniach – nie rozważalibyśmy nawet takiej możliwości. Ale to nie były normalne okoliczności. Zagrożone było życie Marthy. Zrobiliśmy więc to, co zawsze. – Otworzył oczy; jego spojrzenie było teraz twarde. – Poszliśmy po radę do naszego księdza, ojca McKay.

Tessa skuliła się w sobie; domyślała się, co zaraz usłyszy.

– Jego stanowisko, to znaczy stanowisko Kościoła, było nieprzejednane. Nazwał to morderstwem. I to nie byle jakim morderstwem, rozumiesz? Najohydniejszym ze wszystkich morderstw! Zbrodnią niewybaczalną. Był bardzo elokwentny i mówił kwieciste, że sprzeciwiamy się woli Boga, który przykazuje: „Nie zabijaj”. Powiedział, że frymarczymy ludzkim życiem. Zabilibyśmy człowieka na samym początku jego życia, zgładzilibyśmy najbardziej niewinną z ofiar. Ofiarę, która nic nie rozumie, nie potrafi się przeciwstawić, nie potrafi błagać o litość. Zapytał, co byśmy zrobili, gdybyśmy usłyszeli jej płacz, gdybyśmy zobaczyli jej łzy. Ale tego było mu mało, przygwoździł nas ostatecznie: „Gdybyście mieli roczne dziecko, czy zabilibyście je, by ratować własne życie? Oczywiście, nie. A gdyby miało miesiąc? A gdyby miało tylko jeden dzień? Kiedy zegar życia zaczyna odliczać czas?” Poszliśmy za jego radą. Żadnej aborcji. Oddaliśmy się w ręce Boga. – Vance przerwał, kręcąc głową z niedowierzaniem. Spojrzał na grób i widać było, że rozżalenie i gniew walczą w nim o lepsze. – Martha trzymała się do momentu, kiedy zaczęły się drgawki. Zmarła wskutek wylewu krwi do mózgu. A Annie, cóż... Jej małe płuca nie miały żadnej szansy, żeby odetchnąć choć raz naszym zepsutym powietrzem.

– Bardzo mi przykro, naprawdę brak mi słów – wydusiła z siebie z trudem Tessa. Ale on i tak nie słuchał. Pograżył się w sobie. Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że furia przeważyła nad smutkiem i narasta, wychodząc gdzieś z jego wnętrza.

– Byliśmy głupi, że oddaliśmy życie ich obu w ręce tych ignorantów, tych aroganckich szarlatanów. To się więcej nie powtórzy. Już nikt nie będzie cierpiał. Dopilnuję tego. – Rozejrzał się po pustym cmentarzu. – Świat bardzo się zmienił przez tysiąc lat. Życie nie zależy już od woli Boga ani od perfidii Szatana. Jest zależne od naukowców. Nadszedł czas, żeby ludzkość to zrozumiała.

I w tym momencie Tessa zrozumiała.

Serce podeszło jej do gardła. Nie miała najmniejszych wątpliwości: to on był mężczyzną

z muzeum. William Vance był czwartym jeźdźcem.

Przez głowę przemknęły jej tamte sceny: rycerze na koniach tratujących gabloty i ludzi, ostrzał z pistoletów maszynowych, panika i wrzaski.

– Veritas vos liberabit – słowa same wyrwały jej się z ust. Spojrzał na nią; wbijał w nią swoje szare oczy z wściekłością.

– Właśnie tak.

Musiała się stąd czym prędzej wynosić, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zesztywniała zupełnie i w panice pomyślała o Reillym.

– Niech pan wybaczy, nie powinnam była tu przychodzić – powtórzyła jak katarynka. Znów przypomniała sobie muzeum, umierających ludzi; zginęli w wyniku tego, co zrobił on i jego najemnicy. Rozejrzała się dookoła, mając nadzieję, że na cmentarz przyjdzie ktoś jeszcze, by odwiedzić groby bliskich, może jakiś turysta albo ornitolog, by badać zwyczaje ptaków, ale było jeszcze wcześniej. Byli sami.

– Jestem zadowolony, że przyszłaś. Cieszę się z towarzystwa a ty ze wszystkich ludzi na świecie powinnaś docenić to, co próbuję zrobić.

– Proszę, ja... Ja tylko próbowałam... – Czuła, że krew znów krąży w jej nogach i zrobiła kilka niepewnych kroków do tyłu rozglądając się nerwowo i desperacko szukając najlepszej drogi ucieczki.

W tym momencie zadzwonił jej telefon komórkowy.

Spojrzała na Vance'a oczami ze strachu wielkimi jak spodki. Wciąż się cofała, potykając się, a on powoli ruszył w jej kierunku. Wyciągnęła przed siebie jedną rękę, a drugą włożyła do torebki, żeby sięgnąć po telefon, który wciąż dzwonił.

– Proszę – błagała...

– Nie – powiedział. I wtedy zobaczyła w jego ręce pistolet. Wyglądał jak dziecinna zabawka, miał żółte paski na krótkiej lufie. Palce zacisnęła na telefonie komórkowym w torbie, ale zanim zdążyła się ruszyć albo krzyknąć, zobaczyła, że naciska spust. Z lufy wyleciały dwie ostre lotki, które ugodziły ją w klatkę piersiową; poczuła falę nieznośnego, piekącego bólu.

Kolana ugięły się pod nią, ciało było miękkie i ciężkie.

Upadła na ziemię, odleciała w niebyt.

Zza drzewa nieopodal przyglądał się temu wszystkiemu wysoki mężczyzna, którego ciemne ubranie cuchnęło dymem papierosowym. Poczł zastrzyk adrenaliny we krwi, kiedy zobaczył, że

trafiona Tessa pada na ziemię. Wypluł na trawę gumę Nicorette, wyciągnął telefon komórkowy i nacisnął przycisk szybkiego wybierania, drugą ręką sięgając po pistolet marki Heckler & Koch w wersji USP compact do kabury z tyłu pod marynarką.

– Co się dzieje? – De Angelis odebrał natychmiast.

– Jestem wciąż na cmentarzu. Ta dziewczyna... – Joe Plunkett przerwał, przyglądając się jej leżącej na mokrej trawie. – Spotkała się z jakimś facetem, a on przed chwilą strzelił do niej z paralizatora.

– Co takiego?

– To, co mówię. Jest nieprzytomna. Co robić? Mam go kropnąć? – W głowie już planował działania. Paralizator nie jest żadnym zagrożeniem. Nie wiedział wprawdzie, czy siwowłosa mężczyzna pochylający się teraz nad dziewczyną nie ma innej broni, ale tak czy inaczej, to nie miało znaczenia. Unieszkodliwi go, zanim tamten zdąży zareagować, zwłaszcza że starszy pan chyba przybył na cmentarz sam.

Plunkett czekał tylko na rozkaz. Już szykował się do akcji, ale w głowie De Angelisa trybiki obracały się powoli. W końcu odezwał się spokojnym, wyważonym tonem:

– Nie. Nic nie rób. Ona teraz się nie liczy. Najważniejszy dla nas jest on. Trzymaj się go. I, na Boga, nie zgub. Już tam jadę.



## Rozdział 33

Reilly, z telefonem przy uchu, czuł coraz większy niepokój.

– Tessa? Tessa! – Nie odpowiadała; najpierw słyszał jakieś odgłosy, a potem nagle telefon się wyłączył.

Natychmiast nacisnął przycisk ponownego wybierania, ale po czterech sygnałach usłyszał nagraną przez nią prośbę o pozostawienie wiadomości. Kolejna próba skończyła się podobnie.

Coś jest nie tak. Coś poszło bardzo niedobrze.

Wiedział, że Tessa do niego dzwoniła, ale nie zostawiła żadnej wiadomości. Kiedy oddzwonił, już jej nie było w instytucie. Nie był pewien, czy podąża dalej tropem templariuszy. Czuł się bardzo nieswojo; żałował, że w ogóle poruszył tę sprawę na spotkaniu z ekipą dochodzeniową i wielebnym. A jednak zadzwonił do instytutu dość wcześnie rano i rozmawiał z Lizzie Harding, jej sekretarką. Powiedziała mu, że Tessa rano dzwoniła, uprzedzając, że przyjdzie później.

– Ale o której? – spytał.

– Tego nie powiedziała.

Kiedy poprosił o numer jej komórki, usłyszał, że instytut nie udziela informacji o pracownikach, postanowił więc się zdekonspirować. Tak jak przypuszczał, sekretarka szybko zmieniła zdanie, kiedy wyjaśnił, że jest agentem FBI.

Po trzech sygnałach telefon się wyłączył, ale Tessa się nie odezwała. Reilly słyszał tylko jakiś szum, jakby ktoś przypadkiem nacisnął przycisk szybkiego wybierania w telefonie schowanym w kieszeni lub w torebce; zaraz potem powiedziała: „Proszę!” W głosie słyhać było przerażenie. Jakby kogoś błagała. Potem usłyszał serię dźwięków, które próbował pospiesznie ułożyć w logiczną całość – ostry trzask, potem kilka stłumionych uderzeń, coś, co brzmiało jak westchnienie, i znacznie głośniejsze uderzenie. Krzyknął jeszcze raz: „Tessa!”, ale nie otrzymał odpowiedzi. A potem nagle telefon się wyłączył.

Reilly wpatrywał się teraz w swoją komórkę z bijącym sercem. Nie podobało mu się to: „Proszę”.

Coś poszło potwornie nie tak.

Myśli kotłowały mu się w głowie, kiedy dzwonił jeszcze raz do instytutu, do Lizzie.

– Ponownie agent Reilly. Muszę wiedzieć, gdzie Tessa... – szybko się poprawił. – Gdzie jest pani Chaykin? To pilne.

– Nie wiem, gdzie jest. Nie powiedziała, dokąd się wybiera. Mówiła tylko, że przyjdzie później.

– Bardzo proszę, żeby zajrzała pani do jej kalendarza, sprawdziła pocztę. Może w komputerze kalendarz elektroniczny, może jakiś program, który jest zsynchronizowany z jej palmtopem? Coś musi być, coś trzeba znaleźć.

– Niech pan poczeka minutę – powiedziała niezbyt chętnie. Reilly zobaczył, że jego partner przygląda mu się z troską.

– Co się dzieje? – spytał wprost Aparó. Reilly położył dłoń na słuchawce i drugą ręką wypisał numer telefonu komórkowego Tessy na kartce.

– Chodzi o Tessę. Coś się stało. Namierzcie jej komórkę.

Po drugiej stronie rzeki East River szare volvo jechało wolno trasą z Brooklynu do Queens w kierunku Mostu Brooklyńskiego.

Trzy samochody dalej, zachowując dystans, jechał ford sedan metalic prowadzony przez mężczyznę, który miał nieprzyjemny zwyczaj wyrzucania tłących się niedopałków przez okno.

Po drugiej stronie rzeki słońce odbijało się od szyb budynków Lower East Side.

Tak jak przypuszczał, volvo skręciło po chwili na most i jechało w stronę Manhattanu.

## Rozdział 34

Zanim Tessa otworzyła oczy, poczuła zapach kadzidła. Kiedy w końcu podniosła powieki, zobaczyła coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak dziesiątki świec, których żółte płomienie rzucały miękkie, migotliwe światło na ściany pomieszczenia, w którym się znajdowała.

Leżała na jakimś dywanie, chyba na starym kilimie. Czowała pod palcami, że jest szorstki i wytarty. Nagle przypomniała sobie spotkanie z Billem Vance'em i przeszedł ją chłodny dreszcz lęku. Ale jego tu nie było. Tessa była sama.

Gdy siadała, zakręciło jej się w głowie, zmusiła się jednak, by wstać. W klatce piersiowej czuła ostry ból, bolało ją także coś w boku. Rozejrzała się i pomacała dłońmi dookoła, próbując sobie przypomnieć, co się wydarzyło.

Strzelił do mnie. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę do mnie strzelił. Ale żyję... Sprawdziła ubranie, szukając dziur po kulach i zastanawiając się, dlaczego wciąż oddycha. Zauważyła dwie dziurki w płaszczu; ich brzegi były troszkę nadpalone, kruche. Przypomniała sobie Vance'a trzymającego broń w ręce. Zrozumiała, że wcale nie miał zamiaru jej zabijać, tylko unieszkodliwić; ta broń, z której do niej strzelał, to jakiś pistolet paralizujący.

Nie pocieszyło jej to szczególnie.

Rozejrzała się dookoła, ale widziała jeszcze wszystko jak przez mgłę. Znajdowała się w jakiejś piwnicy. Nagie ściany, kamienna posadzka, niskie sklepienie podparte rzeźbionymi filarami. Żadnych okien. Żadnych drzwi. W narożniku zobaczyła drewniane schody prowadzące w górę. Tam było ciemno, nie docierało światło świec, z których większość ustawiono na stopionej masie ich poprzedniczek.

Powoli zaczęła dostrzegać, że to coś więcej niż tylko piwnica. Ktoś w tym pomieszczeniu mieszkał. Pod ścianą stało łóżko polowe, a obok niego drewniana skrzynia służąca za stolik nocny. Leżały na niej sterty książek i papierów. Pod przeciwległą ścianą postawiono długi stół. A przed nim, lekko przechylony do tyłu, jak gdyby odsłużył już swoje, wielki obrotowy fotel biurowy. Na stole było jeszcze więcej książek i dokumentów, a na środku, otoczona świecami, stała maszyna szyfrująca, którą widziała w Metropolitan.

Nawet w ciemności komnaty oświetlonej tylko świecami biła od niej luna z innego świata. Tessa odniosła wrażenie, że maszyna jest w znacznie lepszym stanie, niż jej się wydawało

w muzeum.

Zauważyła na stole swoją torbę, obok leżał otwarty portfel. Nagle przypomniała sobie o telefonie komórkowym. Dotarło do niej, że telefon dzwonił, zanim go przestraszona wyłączyła. Pamiętała, że próbowała go wymacać dłońmi, gdy dzwonił, i była prawie pewna, że nacisnęła klawisz i uzyskała połączenie. Zrobiła krok w kierunku torebki, ale zanim do niej dotarła, dobiegł do niej nagły dźwięk; obróciła się na pięcie. Dźwięk zaczynał się na szczycie schodów; jakieś drzwi się otworzyły, a następnie zamknęły z metalicznym szczękiem. Po schodach ktoś schodził. Najpierw zobaczyła parę nóg – nóg mężczyzny. Był w długim płaszczu przeciwdeszczowym.

Tessa szybko cofnęła się o kilka kroków, kiedy wreszcie mężczyzna znalazł się w jej polu widzenia. Vance patrzył na nią i uśmiechał się ciepło; przez ułamek sekundy pomyślała, czy przypadkiem jej się tylko nie śniło, że do niej strzelał.

Szedł w jej kierunku z dużą plastikową butelką z wodą.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Tesso – powiedział tonem usprawiedliwienia. – Ale nie pozostawiłaś mi w zasadzie wyboru.

Wziął w rękę szklankę stojącą między książkami na stole, nalał trochę wody i podał ją Tessie. Szukał czegoś po kieszeniach i wyciągnął opakowanie tabletek.

– Zażyj. To są silne środki przeciwbólowe. Weź tabletkę i wypij tyle wody, ile zdołasz. Przystanie cię boleć głowa.

Spojrzała na opakowanie; знаła ten lek. Opakowanie wydawało się oryginalne.

– To tylko voltarol. Proszę, zażyj tabletkę. Poczujesz się lepiej.

Wahała się przez chwilę, ale ostatecznie wyłuskała małą pigułkę z foliowego listka i przełknęła ją, popijając wodą. Vance napełnił szklankę ponownie, a ona wypila łąpczywie. Wciąż oszołomiona tym, co się wydarzyło, wpatrywała się w Vance'a, próbując skoncentrować wzrok w migotliwym świetle świec.

– Gdzie jesteśmy? Co to za miejsce?

Na jego twarzy pojawiło się zażenowanie pomieszane z rezygnacją.

– Sądzę, że mogę to śmiało nazwać moim domem.

– Dom? Przecież chyba tu nie mieszkasz, prawda? Nie odpowiedział.

– Czego ode mnie chcesz? – Tessa z trudem układała sobie to wszystko w głowie.

– To ty mnie szukałaś. – Vance spojrzał na nią pytająco.

– Chciałam cię znaleźć, bo liczyłam, że pomożesz mi coś wyjaśnić – odparowała gniewnie. –

Nie spodziewałam się, że będziesz do mnie strzelał i że mnie nieprzytomną uprowadzisz.

– Uspokój się, Tesso. Nie zostałam uprowadzona.

– Tak? A zatem mogę sobie iść.

Vance odwrócił twarz, namyślając się nad czymś. Potem spojrzał jej prosto w oczy:

– Mam nadzieję, że nie zechcesz stąd wyjść, kiedy usłyszysz moją wersję tej historii.

– Uwierz mi, że niczego innego nie pragnę, jak tylko jak najszybciej się stąd wydostać.

– Cóż... Może masz rację. – Robił wrażenie zażenowanego, nawet zawstydzonego. – Ale to wszystko jest trochę bardziej skomplikowane, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Tessa pomyślała, że jednak powinna się trzymać na baczności. Co ty robisz, kobieto? Przestań go wkurzać. Nie widzisz, że to szaleniec? Jest nieobliczalny. Odcina ludziom głowy. Nie denerwuj się i myśl rozsądnie. Nie wiedziała, gdzie uciec oczami ani co mówić. Jeszcze raz spojrzała na maszynę szyfrującą i zobaczyła otwór w ścianie, na którym wsparty był stół. Niewielki, kwadratowy, zabity deskami otwór. Pomyślała, że to może być droga ucieczki, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że Vance nie może sobie pozwolić na to, by uciekła. Co do tego nie miała złudzeń. Może ześwirował, ale nie jest głupi.

Jej wzrok znów przykuło urządzenie szyfrujące. To o nie w tym wszystkim chodziło. Chciała dowiedzieć się więcej. Ze wszystkich sił musiała zachować spokój. Po chwili spytała:

– To należało do templariuszy, prawda?

– Tak... I pomyśleć, że tyle razy byłem w bibliotece watykańskiej, a to urządzenie cały czas tkwiło gdzieś w jakimś skarbcu pokryte kurzem. Chyba nawet nie wiedzieli, co mają.

– I po tylu latach wciąż działa?

– Musiałem je wyczyścić i trochę naoliwić, ale tak, wciąż działa. I to doskonale. Oni byli bardzo solidnymi rzemieślnikami.

Tessa przyglądała się uważnie urządzeniu. Na stole obok leżał spory stos kartek. Stare dokumenty wyglądały na stronicę manuskryptu. Spojrzała na Vance'a, który nie spuszczał z niej oczu. Wyglądało, że sprawia mu przyjemność jej zmieszanie.

– Po co to robisz? – spytała w końcu. – Do czego było ci to aż tak potrzebne?

– Wszystko zaczęło się kilka lat temu we Francji – spojrzał z zadumą na dokumenty leżące obok urządzenia kodującego, jakby myślami przeniósł się w inne obszary. – Krótco po tym, jak zmarły Annie i Martha – dodał ponuro. – Rzuciłem uniwersytet i byłem... kompletnie zagubiony i wściekły. Musiałem się uwolnić od tych emocji. Pojechałem na południe Francji, do

Langwedocji. Byłem tam wcześniej z Martha, pracowaliśmy nad jakimiś wykopaliskami. To jeden z najpiękniejszych zakątków świata. Łatwo sobie wyobrazić, jak tam było wtedy. Langwedocja ma bardzo długą historię, przeważnie dosyć krwawą... Tak czy inaczej, kiedy tam byłem, usłyszałem pewną opowieść, która nie dawała mi spokoju. To wydarzyło się ponoć kilkaset lat wcześniej. Pewien młody ksiądz przywołany do umierającego starego człowieka, któremu miał dać ostatnie namaszczenie, wysłuchał przedtem jego spowiedzi. Mówiono, że ów starzec jest jednym z ostatnich żyjących templariuszy. Duchowny wszedł do środka, chociaż umierający wcale nie prosił o spowiednika, a wręcz wzbraniał się przed spowiedzią. W końcu jednak się zgodził. Legenda głosi, że ksiądz wyszedł blady jak świeżo pobielona ściana. Nie tylko na twarzy – także włosy mu posiwiały. Ludzie mówili, że od tego dnia nigdy się już nie uśmiechnął, a wiele lat później, tuż przed śmiercią, zdradził przyczynę swego poruszenia. Okazało się, że templariusz opowiedział mu swoją historię i przekazał jakieś dokumenty. Coś, co w dosłownym tego słowa znaczeniu pozbawiło go energii życiowej. To było to. Nie potrafiłem się otrząsnąć po wysłuchaniu tej opowieści, nie potrafiłem odsunąć od siebie obrazu księdza, któremu krew znika z żył i włosy siwieją zaledwie po paru minutach rozmowy ze starym umierającym człowiekiem. Od tego momentu, dla mnie w każdym razie, chęć, by się dowiedzieć, czego dotyczył ten manuskrypt albo chociaż, gdzie został ukryty, stała się...

Obsesją, dokończyła Tessa w myślach.

– ...swoistą misją – kontynuował Vance, uśmiechając się lekko na wspomnienie godzin spędzonych w odległych, zamkniętych pomieszczeniach bibliotecznych, w klasztorach i w siedzibach zakonów. – Nie wiem, ile zakurzonych archiwów przeorałem w muzeach, kościołach i zakonach w całej Francji, a nawet po drugiej stronie Pirenejów, w Hiszpanii. – Przerwał na chwilę, a potem złożył dłoń na papierach leżących obok urządzenia kodującego. – Wreszcie pewnego dnia znalazłem. W zamku templariuszy.

W ganku, nad którego wejściem wyryto tę inskrypcję, pomyślała Tessa. Czują, że zakręciło jej się w głowie. Myślała o łacińskich słowach, które wypowiedział, o sentencji, która – jak mówił Clive – była wykuta nad wejściem do zamku Blanchefortów. Spojrzała na dokumenty. Widziała, że są bardzo stare, pisane ręcznie.

– Znalazłeś oryginalny manuskrypt? – spytała, z zaskoczeniem stwierdzając, że opowieść Vance'a podnieciła ją nie mniej niż niegdyś jego. I nagle doznała olśnienia. – Ale był zaszyfrowany. Dlatego potrzebna ci była ta maszyna.

– Tak – powoli skinął głową, potwierdzając jej przypuszczenia. – Byłem potwornie sfrustrowany. Przez te wszystkie lata zdawałem sobie sprawę, że siedzę na czymś bardzo ważnym; wiedziałem, że mam właściwe papiery w rękach, ale nie mogłem ich odczytać. Zwykle szyfry na podstawianie czy opuszczanie liter się nie sprawdzały, ale wiedziałem przecież, że templariusze byli bardzo sprytni. Odkrywałem ich nieujawnione nikomu wzmianki o maszynach szyfrujących, ale żadnego z tych urządzeń nie udało mi się odnaleźć. Naprawdę wydawało mi się, że zwariuję w tej beznadziejnej sytuacji. Wszystko, co do nich należało, zostało zniszczone, w trakcie oblawy w 1307 roku. Szczęśliwym dla mnie zrzędzeniem losu ten mały skarb wyłonił się na powierzchnię nieostrożnie wydany z lochów Watykanu, w których chowano go przez tyle lat, że niemal o nim zapomniano.

– A teraz potrafisz to odczytać.

– Jak poranną gazetę – protekcyjnie poklepał otwartą dłońią karty manuskryptu.

Tessa popatrzyła na dokumenty. Zbeształa się w duchu za tę nieopanowaną ekscytację, którą odczuwała we własnym układzie krążenia. Starła się nie zapominać, że ktoś stracił życie i że jej rozmówca jest bez wątpienia maniakiem, człowiekiem szalonym i – o czym świadczą ostatnie wydarzenia – bardzo niebezpiecznym. Pracował nad potencjalnie bardzo ważnym odkryciem, ważniejszym od każdego, nad którym jej zdarzyło się kiedykolwiek ślęczeć, ale wiązało się to z przelewaniem krwi niewinnych ludzi. Nie mogła sobie pozwolić na to, by o tym choć przez chwilę zapomnieć. Było to odkrycie mroczne, głęboko poruszające, ale musiała pamiętać, jakie koszty za sobą pociągnęło.

– Co chciałbyś znaleźć? – spojrzała uważnie na Vance’a, który znów zatopił się we własnych myślach.

– Mam nadzieję, że coś, co zostało na wieki utracone. – Zmrużył oczy, by skoncentrować spojrzenie. – Coś, co wszystko wyprostuje.

„Coś, co jest warte zabijania” – omal się jej nie wyrwało; tylko cudem się powstrzymała. Przypomniała sobie, co przeczytała o hipotezie Vance’a, że założyciel zakonu templariuszy był katarem. Vance powiedział jej przed chwilą, że znalazł ten list w Langwedocji – stamtąd pochodziła rodzina Hughes de Payensa. Jego sugestia została wyszydzona przez francuskiego historyka, na którego artykuł natknęła się Tessa. Chciała się czegoś więcej dowiedzieć na ten temat, ale zanim zdołała się odezwać, usłyszała na górze jakieś szmery, szuranie, jakby ktoś pocierał kamieniem o podłogę...

Vance zerwał się na równe nogi.

– Nie ruszaj się stąd – rozkazał.

– Co to jest? – wskazała głową sufit, skąd dochodziły dźwięki.

– Po prostu nie ruszaj się stąd – powtórzył tylko. Obszedł stół i wyciągnął paralizator, z którego do niej strzelał. W końcu jednak go odłożył. Pogrzebał w jakimś zawiniątku i wyciągnął prawdziwy pistolet; niewprawnymi rękoma wprowadził nabój do lufy i ruszył w górę po schodach.

Wspiął się szybko; kiedy jego nogi zniknęły z pola widzenia Tessy, usłyszała głośny metaliczny dźwięk zatraskiwanej klapy wjazdu.



## Rozdział 35

De Angelis klął pod nosem, popychając stopą osmalony kawałek drewna, który strącił niechcący, naruszając równowagę stosu śmieci i cegieł wokół nadpalonego słupa. Starał się ostrożnie stąpać po spalonym kościele, ale nie było to łatwe – w ciemnościach nadziewał się co chwilę na nadpalone belki i odłamki kamienia. Były śliskie po gaszeniu pożaru.

Początkowo się zdumiał, gdy zobaczył zgliszcza kościoła pod adresem wskazanym przez Plunketta, któremu kazał śledzić siwowłosego porywacza Tessy. Posuwając się chyłkiem w tym upiornym wnętrzu, pośród tego, co pozostało z kościoła Wniebowstąpienia, uświadomił sobie jednak, że to idealna kryjówka dla kogoś, kto chce pracować, nie będąc przez nikogo niepokojonym – dla kogoś pochłoniętego swoją misją do tego stopnia, że zapomina o tak przyziemnych sprawach jak normalne życie. To kolejny dowód – choć wcale go już nie potrzebował – że ten mężczyzna chciał sobie przywłaszczyć to, co wyniósł tamtej nocy z Metropolitan.

De Angelis wszedł do kościoła od strony bocznej nawy w niecałe czterdzieści minut po tym, jak Plunkett zobaczył Tessę Chaykin z opaską na oczach prowadzoną do tego właśnie wejścia przez porywacza. Oboje wysiedli z szarego volvo. Tessa wyglądała na półprzytomną; mężczyzna musiał ją podtrzymywać, by nie upadła, choć od drzwi dzieliło ich zaledwie kilka kroków; przerzucił sobie jej ramię przez bark.

To był maleńki kościółek; stał przy Zachodniej Sto Czternastej wtulony między dwa rzędy domów z czerwonej cegły. Wzdłuż wschodniej ściany biegła wąska dróżka; tam właśnie były teraz zaparkowane volvo i sedan. Kościół najwidoczniej spłonął niedawno i nikt na razie nie planował jego odbudowy. Przed frontonem na dwumetrowej tablicy w kształcie termometru z podziałkami zakreślono, ile zostało dotychczas uzbierane na odbudowę świątyni. Podziałki na skali oznaczały setki tysięcy dolarów, które były potrzebne, żeby przywrócić świątyni poprzednią świetność, ale na termometrze widniała zaledwie jedna trzecia tej sumy.

Duchowny przeszedł wąskim przejściem w kierunku nawy głównej. Rzędy kolumn dzieliły kościół na dwie nawy boczne i środkową, w której leżały zebrane w stosy, na wpół spalone ławki. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że sztukaterie podpadały ze ścian, spod nich wystawały cegły miejscami poczerniałe od sadzy; gdzieniegdzie w ogóle wypadły. Tylko pod sufitem

zachowało się kilka gipsowych łuków prowadzących od zewnętrznych ścian do kolumn, ale i te były ledwo widoczne, bo osmalone i zdeformowane przez płomień. O świetności kościoła świadczyło okrągłe okno, niegdyś zapewne witrażowe, nad głównym wejściem. Teraz zabite było deskami.

Krok za krokiem dotarł do skrajów nawy, przedarł się obok stopionej w ogniu mosiężnej bramki przed ołtarzem i szedł ostrożnie po stopniach w kierunku centralnej części sanktuarium. Po prawej stronie zobaczył osmalone szczątki wysokiej kazalnicy z baldachimem. W kościele panowała cisza, czasem tylko jakiś dźwięk z ulicy wdzierał się przez jeden z wielu otworów w murach. Przypuszczał, że człowiek, który porwał dziewczynę, musiał zaprowadzić ją gdzieś na zaplecze świątyni. Plunkett na zewnątrz obserwował okolicę, a wielebny przemykał się teraz jak najciszej obok szczątków ołtarza do zakrystii, przykręcając tłumik do lufy swojego sigsauera.

I wtedy właśnie potknął się w ciemnościach o jakąś porzuconą cegłę...

Dźwięk odbił się echem od ścian zakrystii. Zamarł, zatrzymał się, nasłuchując. Musiał być czujny, bo dźwięk na pewno zwrócił czyjąś uwagę. Zmrużywszy oczy, dostrzegł zarysy drzwi po drugiej stronie korytarza i usłyszał spoza nich przytłumione uderzenie, potem lekkie kroki. Były coraz bliżej. De Angelis odsunął się, pomacał dłońmi ścianę i podniósł w górę pistolet. Kroki zbliżały się do korytarza; szczęknęła klamka w drzwiach, ale zamiast otworzyć się na zewnątrz, w jego kierunku, drzwi otworzyły się do środka i zobaczył tylko ciemny prostokąt. To on był teraz w pełnym świetle, to jego było doskonale widać.

Było za późno na odwrót i zbyt niebezpiecznie; ponadto i tak nie leżało to w jego charakterze. De Angelis rzucił się naprzód. Prosto w ciemność.

Trzymając pistolet zeszywniałymi palcami, Vance patrzył zza futryny drzwi na mężczyznę, który nieproszony wszedł do jego sanktuarium. Nie rozpoznawał go. W półmroku mignęło coś, co przypominało koloratkę. Na chwilę się zawahał.

Wtedy mężczyzna na niego skoczył. Vance zamierzał użyć broni, ale zanim pociągnął za spust, obcy rzucił się nań i powalił na podłogę, a pistolet wysliznął mu się z rąk. Korytarzyk był wąski i niski; wspierając się o ścianę, Vance próbował wstać, ale mężczyzna był silniejszy. Upadł jeszcze raz. Tym razem ostro wyrzucił nogę w górę i ku swojej radości w tej samej sekundzie usłyszał jęk. Pistolet, tym razem napastnika, z turkotem potoczył się po podłodze. Przeciwnik jednak szybko doszedł do siebie i uderzył go z półobrotu pięścią w skroń.

Vance poczuł ból, ale cios go nie ogłuszył. A co ważniejsze, przyprawił go o potworną furję.

Po raz drugi tego samego dnia ktoś chciał zniweczyć jego wysiłki – najpierw Tessa Chaykin, a teraz ten nieznajomy. Uderzył mocno kolaniem, jeszcze raz pięścią, potem poszła cała seria ciosów. Nigdy nie boksował, ale bił z wściekłością. Nikt nie miał prawa stanąć mu na drodze do celu.

Natomiast napastnik umiał walczyć i bez trudu parował jego uderzenia, ale cofając się, zawadził o leżące na podłodze deski i upadł. Vance, korzystając ze sposobności, z całej siły kopnął go w kolano. Podniósł swój pistolet z podłogi, wymierzył i nacisnął spust. Napastnik był jednak szybki, instynktownie uskoczył w bok. Jego zduszony okrzyk oznaczał chyba, że oberwał, ale Vance nie był tego do końca pewien. Mężczyzna, potykając się, uciekał w głąb kościoła.

Vance zawahał się przez moment.

Czy iść za nim, dowiedzieć się, kim jest, albo go wykończyć? Potem usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z odległej części kościoła. A więc mężczyzna nie był sam.

Postanowił, że lepiej będzie się wycofać. Odwrócił się i pobiegł w kierunku wjazdu do piwnicy.

## Rozdział 36

Tessa usłyszała głośny wystrzał, a potem jakiś okrzyk, chyba wściekłości. Ktoś został ranny. Słyszała kroki zbliżające się do wjazdu. Nie była pewna, czy to Vance, czy ktoś inny, ale nie miała zamiaru czekać.

Rzuciła się do swojej torebki i wyciągnęła telefon komórkowy. W niejasnym blasku świec wyświetlacz zajaśniał jak latarka, ale okazało się, że w piwnicy aparat jest poza zasięgiem sieci. W zasadzie i tak nie miało to znaczenia, bo nie знаła numeru FBI; teoretycznie mogła zadzwonić na alarmowy telefon policji, wiedziała jednak, że nie ma czasu na wyjaśnianie, co się właściwie stało. Oprócz tego nie miała pojęcia, gdzie jest.

„Pomocy, jestem w jakieś piwnicy, gdzieś w środku miasta. Chyba”. To brzmi przekonująco.

Wciąż oszołomiona, czując, że serce jej wali, nerwowo rozglądała się po podziemnej komnacie. W pewnej chwili przypomniała sobie o zabitym deskami otworze w ścianie, pod którą stał stół. Działając pod wpływem impulsu, zepchnęła na podłogę kilka książek i jakieś papiery, stanęła na blacie i zaczęła energicznie odciągać deski, żeby je poluzować. Nie poddawały się. Walila w nie bezradnie, ale trzymały się mocno. Potem usłyszała dźwięk otwieranych drzwi piwnicy. Odwróciła się i zobaczyła nogi, które zaczęły schodzić po schodach. Poznała po butach. To był Vance.

Przebiegła oczami po pomieszczeniu i jej wzrok spoczął na elektrycznym paralizatorze, którego Vance nie wziął ze sobą. Leżał w narożniku stołu blisko niej, za stosem książek. Chwyciła pistolet i wycelowwała w jego stronę. Ręce jej się trzęsły. On zaś, jak stwierdziła, kiedy jego twarz wyłoniła się z ciemności, wzrok miał spokojny i patrzył jej prosto w oczy.

– Nie zbliżaj się do mnie! – wrzasnęła w jego kierunku.

– Proszę cię, Tesso – odparł, wykonując jednocześnie uspokajający gest. – Musimy się stąd wydostać.

– My? O czym ty mówisz? Po prostu nie zbliżaj się do mnie. Wciąż szedł w jej kierunku. – Tesso, odłóż broń.

Spanikowana, pociągnęła za spust, ale nic się nie stało. Dzielili ich teraz niecałe trzy metry. Odwróciła pistolet w dłoniach, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami i próbując zgadnąć, co przeoczyła. On zbliżał się coraz bardziej, za chwilę będzie tuż przy niej. Manipulując

nerwowo bronią, w końcu zobaczyła maleńki przełącznik zabezpieczający i przesunęła go w inną pozycję. Z tyłu pistoletu zapaliło się małe, czerwone światełko. Jeszcze raz podniosła broń i zobaczyła, że udało jej się jakoś aktywować również laser, który świecił teraz maleńką czerwoną kropczką na piersi Vance'a. Kropczka tańczyła, przesuając się w lewo i prawo, odzwierciedlając nerwowe ruchy jej drżących dłoni. Był bardzo blisko. Serce biło jej mocno, zamknęła oczy i pociągnęła za spust. Pod palcem nie czuła chłodnej stali języczka spustowego, jak w prawdziwym pistolecie, tylko powleczony gumą guziczek. Broń ożyła. Tessa usłyszała głośny dźwięk, jakby korka wyciąganego z butelki. Wrzasnęła wniebogłosy, kiedy dwie metalowe lotki ostro zakończone wyleciały z przodu lufy, ciągnąc za sobą cienki stalowy drut.

Pierwsza lotka chybiła, o milimetry mijając jego klatkę piersiową, druga utkwiała w lewym udzie. Przez pięć długich sekund raziło go pięćdziesiąt tysięcy woltów, atakując centralny układ nerwowy i zmuszając mięśnie do niekontrolowanych skurczów. Całe jego ciało wyginało się na wszystkie strony, kiedy przez nerwy przebiegały miliony palących impulsów. Po sekundzie ugięły się pod nim kolana. Osunął się bezwładnie na ziemię z twarzą wykrzywioną bólem.

Tessa patrzyła przez chwilę oszołomiona, bo z łuski wystrzelonej z pistoletu wyleciała chmura maleńkich krążków przypominających konfetti. Ale jęki Vance'a, który wił się z bólu na podłodze, bardzo szybko sprowadziły ją na ziemię i przypomniała sobie, że jest w niebezpieczeństwie. Pomyślała, że postawi nad nim krok i ruszy w kierunku schodów, ale nie podobała jej się myśl, że znajdzie się tak blisko Vance'a. Nie była też pewna, z kim Vance się zmagał na górze, a nie miała odwagi sama tego sprawdzić. Znów odwróciła się ku zabitemu deskami otworowi, kopała i ciągnęła, dopóki nie udało się jej obluzować jakiejś deski. Wyrwała ją, a potem z jej pomocą podważyła wszystkie pozostałe i spojrzała w czerniejący przed nią otwór.

Widziała tylko ciemny tunel.

Nie miała innego wyjścia, zaczęła się więc gramolić do otworu, potem spojrzała wstecz za siebie i zobaczyła, że Vance wciąż wije się z bólu. Spojrzała na koder i kartki papieru. Manuskrypt był niemal w zasięgu ręki.

Kusił ją; nie miała siły oprzeć się pokusie.

Zadziwiła samą siebie, ale wycofała się z powrotem do piwnicy, chwyciła stertę dokumentów i wcisnęła je do torebki. Coś innego zwróciło jej uwagę – jej skórzany portfel leżący na podłodze między książkami, które w pośpiechu wcześniej zmiotła ze stołu. Zrobiła

krok w tym kierunku, ale kątem oka zobaczyła, że Vance się poruszył. Zawahała się przez ułamek sekundy, a potem postanowiła, że już i tak zbyt wiele ryzykuje i że musi jak najszybciej się stąd wydostać. Obróciła się na pięcie, wgramoliła z powrotem do tunelu i ruszyła w ciemną czeluść.

Nisko pochylona, zahaczając włosami o sufit tunelu, przeszła może trzydzieści metrów, kiedy stał się szerszy i wyższy. Nagle przypomniały jej się meksykańskie katakumby, które zwiedzała jako studentka. Tutaj jeszcze bardziej cuchnęło stęchlizną. Spojrzała w dół i zrozumiała, dlaczego. Środkiem tunelu płynął wąski strumyk czarnej mazi. Tessa posuwała się niepewnie wzdłuż strumyka, ślizgając się na wilgotnych, wygładzonych kamieniach. Zimno przenikało ją aż do kości, woda oblewała czubki butów. Strumyk skończył się nagle kaskadą spadającą jakies półtora metra w dół do innego, jeszcze większego tunelu.

Tessa obejrzała się za siebie, nasłuchując. Czy to szum wody, czy coś innego? Potem z ciemności usłyszała odbijający się echem od ścian okrzyk:

– Tessa!

Głos Vance’a gdzieś z tyłu przypominał grzmot. Już się podniósł i szedł za nią.

Głęboko odetchnęła, kucnęła na betonowej półce, przytrzymała się jej i wyprostowała. Zawisała na rękach, a woda wlewała się jej do rękawa płaszcza, mocząc ubranie i ciało. Teraz, dzięki Bogu, dotknęła koniuszkami palców stóp twardej podłogi i opuściła ręce. Odwróciła się; strumień wody był teraz głębszy i szerszy. Na jego powierzchni unosiła się ohydna piana, a z niej bił przeraźliwy smród. Tessa domyśliła się, że jest w kanale ściekowym. Po kilku próbach marszu wzdłuż krawędzi ścieku musiała się poddać, bo było za ślisko i za stromo. Próbując nie myśleć o tym, co niesie z sobą ta woda w gęstej zawieszynie, weszła do środka – ściek sięgał jej niemal do kolan.

Kątem oka nagle ujrzała jakiś błysk i ruch; odwróciła głowę. W ciemności świeciły maleńkie czerwone punkciki, poruszały się, słychać było szelest i popiskiwanie.

Wzdłuż kanału krzątały się szczury.

– Tessa!

W wilgotnym tunelu głos Vance’a dudnił, odbijał się od kamieni sufitu – wydawało się, że jest wszędzie.

Po kilku metrach zdała sobie sprawę, że tuż przed nią robi się nieco mniej ponuro. Potykając się, szła naprzód tak szybko, jak potrafiła, ale nie biegła. Nie mogła ryzykować upadku w to coś,

co miała pod nogami. Kiedy w końcu dotarła do źródła światła, okazało się, że blask bije z góry, z kratki ściekowej na chodniku. Słyszała przechodzących ludzi. Przybliżyła się i już widziała przechodniów, jakieś siedem metrów nad sobą.

Poczuła nagły przypływ nadziei i energii, zaczęła wrzeszczeć:

– Pomocy! Pomóżcie mi! Tutaj, na dole! Pomóżcie! – ale chyba nikt jej nie słyszał albo udawali, że nie słyszą. Oczywiście, że nie zwracają na ciebie uwagi. A czego się spodziewałaś? To jest Nowy Jork. Traktować serio krzyki szaleńca ze ścieków wielkiego miasta to ostatnia rzecz, w którą ktoś tu chciałby się angażować, tłumaczyła sama sobie z goryczą.

Uświadomiła sobie, że jej krzyki rozeszły się po tunelach i przed nią, i za nią. Nasłuchiwała przez chwilę. Coś się do niej zbliżało. Coś przedzierało się przez wodę, chlapiąc. Nie miała zamiaru czekać na to „coś”. Znow ruszyła przed siebie, teraz nie zważając na wodę i na brud, i niemal natychmiast doszła do miejsca, w którym tunel się rozdzielał.

Po jednej stronie było szerzej, ale ciemniej i bardziej śmierdziało stęchlizną. Może łatwiej się tu schowa? Właśnie tę odnogę wybrała. Nie uszła nawet metra i od razu wiedziała, że dokonała złego wyboru. Tuż przed nią wyrosła ściana z cegieł.

Weszła w ślepy zaułek.

## Rozdział 37

Kiedy Vance wykurzył intruza z krypty, miał zamiar tunelami uciec z piwnicy, zabierając ze sobą urządzenie szyfrujące i nie do końca odczytany manuskrypt. Ale teraz trzymał w rękach tylko niezwykłą maszynę szyfrującą. Papierów nie było. Poczul, że ogarnia go zimna wściekłość, na całe gardło wykrzykiwał jej imię, które rozchodziło się echem po wilgotnych ścianach tunelu.

Nie miał nic do Tessy Chaykin. Kiedyś bardzo ją lubił, kiedyś, kiedy jeszcze potrafił lubić ludzi; nie powinna dawać mu powodów, żeby przestał żywić dla niej ciepłe uczucia. Przeszło mu nawet przez myśl, żeby ją zaprosić do uczestniczenia we własnej... krucjacie.

Ale ukradła mu dokumenty, jego bezcenne papiery, a to przyprawiło go o niewypowiedzianą wściekłość.

Uchwycił urządzenie szyfrujące jak najwygodniej i ruszył za Tessą. Jeżeli zaraz jej nie dopadnie, dziewczyna może się natknąć na włącz i wyjdzie z tego ponurego labiryntu.

Do tego za żadne skarby nie mógł dopuścić.

Znów poczul wściekłość, ale próbował ją w sobie stłamsić. Nie może ryzykować nerwowych ruchów.

Nie teraz. A zwłaszcza nie tutaj, w tych kanałach.

Tessa odwróciła się od zamurowanej ściany, chcąc wrócić tą samą drogą, którą przyszła, i zobaczyła w niszy w bocznej ścianie żeliwne drzwi. Chwyciła zardzewiałą klamkę i pociągnęła. Drzwi nie były zamknięte, ale się zakleszczyły. Ciągnęła z całych sił, aż wreszcie otworzyła drzwi na oścież i zobaczyła prowadzące w dół spiralne schody. Wchodzić głębiej? To nie było mądre posunięcie, ale nie miała wielkiego wyboru.

Najpierw sprawdzała jeden po drugim trójkątne i wąskie stopnie, czy wytrzymają, dopiero potem stawiała kolejny krok. Gdy zeszła na dół, okazało się, że to następny tunel. Na Boga, ile tuneli muszę jeszcze przejść?, myślała zdesperowana. Ten przynajmniej był trochę szerszy niż poprzedni i co więcej, całkiem suchy. Na razie. Tak czy inaczej, to nie był kanał ściekowy.

Nie wiedziała, w którą stronę iść. Skręciła w lewo. Przed sobą spostrzegła jakąś poświatę. Przesuwające się żółte światło. Czyżby znowu świece?

Niepewnie ruszyła naprzód. Światło zgasło.

Tessa zamarła. Zdała sobie sprawę, że światło nie zgasło, tylko ktoś je przysłonił.



Za plecami słyszała jakieś odgłosy. Ten, kto za nią szedł, na pewno nie był Billem Vance'em. A może to jednak on? Może Vance wiedział, jak się poruszać w tym labiryncie? Mówił, że mieszka tu od lat. Tessa postanowiła jednak iść przed siebie i wkrótce zobaczyła nie jedną, ale dwie postacie. Żadna z nich nie była Vance'em. Nie wiedziała, czy to mężczyźni, czy kobiety, ale spotkanie kogoś tutaj nie oznaczało nic dobrego.

– Zgubiłaś się, maleńka? – usłyszała czyjś zdarty głos. Zdecydowała, że wahanie na nic się nie zda, i przyspieszyła kroku, chociaż poruszała się w całkowitej niemal ciemności.

– Chyba masz dzisiaj szczęśliwy dzień, kolego – odezwał się drugi głos, znacznie wyższy.

Żaden z nich nie brzmiał sympatycznie.

Tessa szła dalej. Odgłosy za plecami słyszała coraz wyraźniej. Serce waliło jej jak młotem. Była bardzo blisko tych dwóch postaci.

Ich twarze wciąż skrywała ciemność. W pełgającym świetle świecy gdzieś za nimi dojrzała stertę tekturowych pudeł, jakiś wałek, który mógł być zrolowanym dywanem, i stertę szmat. Tessa spróbowała wybiegu:

– Idą tu gliny – rzuciła, kiedy do nich podeszła.

– Czego psy od nas chcą? – odezwał się jeden z nich hardo. Kiedy przechodziła obok dwóch mężczyzn, jeden z nich wyciągnął rękę i chwycił ją za połę płaszcza.

– Chodź tu do mnie, dziecinko...

Tessa instynktownie się odwinęła i przywaliła pięścią w skroń mężczyzny. Odrzuciło go do tyłu i krzyknął zdumiony. Ten drugi, który mówił wyższym głosem, też chciał spróbować szczęścia, ale musiał dojrzeć determinację w błyszczących groźnie w żółtym świetle oczach Tessy i zrezygnował.

Odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem, żeby jak najprędzej oddalić się od dwóch obszarpańców. Biegła, usiłując równo oddychać; wydawało się jej, że ściany w tym podziemnym świecie napierają na nią coraz silniej.

Dotarła do kolejnego rozwidlenia tunelu. Nie miała pojęcia, w którą iść stronę. Tym razem ruszyła w prawo. Potykała się jeszcze kilka metrów, a potem zobaczyła niszę w ścianie, kratownicę, która otworzyła się, gdy ją pchnęła. Kolejna drabinka osłonięta okrągłymi prętami ochronnymi znów prowadziła w dół. Ona jednak musiała uciekać jak najdalej od Vance'a. Postanowiła zejść, mając nadzieję, że jej tutaj nie wyśledzi.

Teraz była w jeszcze szerszym tunelu, tym razem zupełnie suchym, o prostych ścianach. Za

to było w nim znacznie ciemniej. Szła ostrożnie, przesuając dłoń wzdłuż ściany, żeby się nie zgubić. Nie słyszała już ani kroków, ani okrzyków Vance'a. Odetchnęła z ulgą. To świetnie. A co teraz? Po mniej więcej minucie, która wydawała jej się wiecznością, usłyszała za sobą jakiś dźwięk.

Tym razem to nie szczury i nikt jej nie ściga. Usłyszała turkot pociągu.

Była w tunelu metra.

Rozmyte, migotliwe światło odbijało się od ścian, kiedy ze stukotem kół zbliżał się pociąg. Reflektory pierwszego wagonu wyławały z ciemności stalowoszare szyny. Ruszyła biegiem, ze wzrokiem wbitym w środkową szynę, którą płynie prąd, uważając, by na nią nie nadepnąć. Pociąg się zbliżał, rytmiczny stukot stalowych kół odbijał się od ścian tunelu. Był prawie za jej plecami i wtedy w świetle reflektorów zobaczyła wąski otwór w ścianie. Natychmiast się do niego rzuciła. Kuląc się w półokrągłym wgłębieniu, patrzyła na pociąg, który pędził zaledwie kilkanaście centymetrów od niej, trzęsącej się ze strachu i zdenerwowania. Serce waliło jej jak młotem. W obronnym geście zakryła rękami twarz i mocno zacisnęła powieki, ale i tak przenikały przez nie światła przemykających tuż obok okien. Czekwała. Czuła wiatr unoszący gorące, pełne sadzy i kurzu powietrze. Brud, który podmuch podnosił spod szyn, pokrył każdy centymetr jej ciała, wdzierał się do ust i nosa. Przywarła jeszcze mocniej do ściany. Hałas był ogłuszający, napierał, atakował wszystkie jej zmysły. Nie otwierała oczu, a kiedy światła wreszcie się skończyły, usłyszała zawodzący pisk, który przecinał powietrze, i zobaczyła iskry unoszące się spod stalowych kół pociągu. Maszynista nacisnął hamulec. Wciąż słyszała w uszach dudnienie własnego serca, ale poczuła ulgę.

To stacja. Niedaleko jest stacja.

Tessa przywołała resztki energii i potykając się, przeszła kolejne kilka metrów. Gdy pociąg ruszał, weszła w jaskrawe światło i wciągnęła się na rękach na peron. Ostatnich kilku pasażerów zniknęło już na schodach i nawet jeżeli ktoś ją zauważył, nikt nie zareagował. Była sama na końcu peronu; klęczała oparta na dłoniach, serce biło jej ze strachu i z wyczerpania. Chwilę potem, mokra i brudna, kompletnie roztrzęsiona, podniosła się i wyprostowała.

Kolana się pod nią uginały, ale ruszyła za pasażerami metra w górę, w kierunku cywilizacji.

## Rozdział 38

Owinięta w koc, zaciskając palce wokół olbrzymiego kubka z gorącą kawą, dygotała z zimna, siedząc w samochodzie Reilly'ego. Chłód przenikał przez mokre ubranie i skórę aż do kości. Od pasa w dół była kompletnie przemarznięta, reszta też pozostawiała wiele do życzenia. Zaproponował, że ją odwiezie do szpitala albo do domu, ale Tessa upierała się, że nic jej nie jest i że do domu też jeszcze nie musi jechać. Najpierw chciała mu opowiedzieć, co odkryła.

Obserwując policjantów wchodzących i wychodzących z komisariatu, opowiedziała mu o tym, jak szukała Vance'a, gdy Clive zasugerował, by poradziła się profesora, i o tym, że poznała Vance'a wiele lat temu. Mówiła, jak poszła na cmentarz, mając nadzieję, że go tam spotka, a on pomoże jej znaleźć rozwiązanie tego, co stało się w Metropolitan. Zrelacjonowała mu to, co opowiedział jej o żonie, która umarła podczas porodu, za co obwinia księdza. Że on chce teraz „wszystko wyprostować”; tym Reilly poczuł się zaintrygowany. Opowiedziała mu historię o umierającym templariuszu i o księdzu, który nagle osiwił, o tym, że Vance do niej strzelał, że ocknęła się w piwnicy, że ktoś mu przeszkodził, o strzelaninie nad głową i w końcu o tym, jak uciekała kanałami.

Opowiadając mu to wszystko, wyobrażała sobie, że grupy poszukiwawcze kierują się do różnych tuneli, szukają go pośród labiryntu podziemnych kanałów, chociaż wiedziała, że najprawdopodobniej już go tam nie ma. Przypomniała sobie ciemne tunele i znów wstrząsnął ją dreszcz. Nie chciała tam wracać i miała nadzieję, że jej nie każą. Nigdy w życiu nie była tak przerażona. Nawet po tym napadzie na muzeum, który wydarzył się niecały tydzień temu. Wydarzenia potoczyły się jedno za drugim tak szybko, a każde następne było bardziej nieprzyjemne od poprzedniego. Kiedy skończyła, Reilly pokręcił głową.

– Co? – zapytała. Przyglądał się jej bez słowa.

– Czemu pan tak na mnie patrzy? – nie dawała mu spokoju.

– Bo jest pani nieźle zakręcona, wie pani o tym?

– Niby dlaczego? – spytała, ciężko oddychając.

– Niech pani posłucha, Tesso. Nie powinna pani biegać po podziemnych tunelach, badać tropów i rozgryzać tej zagadki na własną rękę. Do diabła, nawet nie powinna pani próbować jej rozwiązywać. To moje zadanie.

– Boi się pan, że po tym, co odkryłam, wszyscy wypadniecie blado, czy tak? – Tessa próbowała się uśmiechnąć.

– Mówię poważnie. – Reilly pominął jej uwagę. – Mogła pani zostać ranna. Albo gorzej. Nie rozumie pani? Z powodu tego urządzenia ludzie giną. To nie żaden dowcip. Boże, musi pani myśleć o córce.

Tessa zeszywniała na wzmiankę o Kim.

– Byłam przekonana, że spotykam się z profesorem historii, żeby porozmawiać z nim o sprawach akademickich przy filiżance kawy. Nie spodziewałam się, że wywali do mnie z tego... – Nie mogła sobie przypomnieć nazwy.

– Paralizatora.

– Właśnie, z paralizatora – powiedziała, a w myślach dodała: „z czegokolwiek”. – Że mnie rzuci na tylne siedzenie samochodu i potem będzie mnie gonił przez pełne szczurów podziemne kanały. Na Boga, jest przecież profesorem historii. Profesor historii powinien mieć dobre maniery, palić fajkę i być introwertykiem, a nie...

– Świrem?

Tessa zmarszczyła czoło i odwróciła twarz. Jakoś jej się wydawało, że to określenie do niego nie pasuje, mimo wszystko. Tak daleko by się nie posunęła, ale... Vance na pewno nie jest całkiem zdrowy na umyśle. Czowała jednak do niego sympatię, do czego sama przed sobą nie chciała się przyznać. Nagle usłyszała słowa, które wypsnęły się jej niekontrolowane:

– On potrzebuje pomocy.

Reilly przyglądał się jej przez chwilę, nic nie mówiąc.

– Dobrze, będziemy musieli to wszystko zaprotokołować. Przesłuchamy panią od A do Z, jak tylko poczuje się pani lepiej. A na razie spróbujmy ustalić, dokąd panią zabrał. Czy ma pani pomysł, w którym miejscu panią przetrzymywał? Jak szukać tej piwnicy?

– Nie, już panu mówiłam – Tessa pokręciła głową. – Kiedy odzyskałam przytomność w samochodzie, miałam opaskę na oczach, a wydostałam się stamtąd przez jakiś ogromny labirynt podziemnych tuneli. Ale to nie może być daleko stąd, bo przecież doszłam do stacji metra piechotą.

– Ile przecznic, potrafi pani ocenić?

– Nie wiem, może... pięć?

– Dobrze. Zorganizuję jakąś mapę i poszukamy tych pani lochów. Reilly miał już wyjść,

kiedy Tessa wyciągnęła rękę i zatrzymała go:

– Jest coś jeszcze, o czym panu nie powiedziałam.

– Jakoś nie jestem zdziwiony – przekomarzał się z nią. – O co chodzi?

Tessa sięgnęła do torebki i wyciągnęła zwój kartek, które zabrała z biurka Vance'a. Rozciągnęła je przed Reillym, żeby mógł je obejrzeć, i sama dopiero teraz, w świetle dnia, zobaczyła je po raz pierwszy dokładnie. Dokumenty, stare zwoje papirusu, były piękne, chociaż nie miały żadnych ilustracji. Były dziwacznie wypełnione literami, od krawędzi do krawędzi, bez podziału na słowa, choć wykaligrafowano je bardzo starannie. Żadnych przerw między słowami i zdaniami.

Reilly wpatrywał się w zwoje papirusu w milczeniu i niepomiarze zdziwiony, a potem odwrócił się do niej. Uśmiech rozjaśnił twarz Tessy usmarowaną błotem z tuneli.

– Należą do Vance'a – powiedziała. – To manuskrypty templariusza z Langwedocji. Ale chodzi o co innego. Rozpoznaję łacinę, ale to tutaj nie ma żadnego sensu. To jakiś bełkot. Dlatego potrzebne mu jest urządzenie szyfrujące. To właśnie dlatego Vance go potrzebował.

– Ale te strony na nic się nikomu nie przydadzą bez urządzenia szyfrującego – zachmurzył się Reilly.

– To prawda, ale... – w oczach Tessy pojawił się błysk satysfakcji. – Maszyna szyfrująca jest również bezużyteczna bez tych papirusów.

Ten moment Tessa miała sobie zawsze przypominać z rozkoszą. Na twarzy Reilly'ego odbijał się huragan myśli i uczuć; on sam nie mógł z siebie wydobyć słowa. Wiedziała, że Reilly będzie zadowolony, ale wiedziała również, że nie może sobie pozwolić na okazanie radości. Nie chciał jej zachęcać do podobnych nieprzemyślanych wyczynów, popatrzył tylko na nią, po czym wyszedł z samochodu i zawołał jednego z pracowników technicznych FBI, prosząc go o natychmiastowe sfotografowanie tych dokumentów. Chwilę później jakiś agent z aparatem fotograficznym podszedł pospiesznie do samochodu i Reilly wręczył mu papirusy.

Tessa przyglądała się fotografowi, który rozłożył je na bagażniku samochodu i zabrał się do pracy. Potem odwróciła głowę ku Reilly'emu, który wziął w rękę małą krótkofalówkę i wypytywał o sytuację w tunelach. Wydał jej się bardzo atrakcyjny podczas pracy. Pewny siebie, a jednocześnie skupiony. Przyglądała się mu, jak mamrocze coś niezrozumiałego do radia, a on spojrzał na nią i Tessa odniosła wrażenie, że lekko się uśmiechnął.

– Muszę tam zejść – powiedział jej, kiedy się odmeldował. – Znaleźli dwóch pani kumpli.

– A co z Vance’em?

– Po nim ani śladu – widać było, że nie jest z tego zadowolony. – Poproszę kogoś, żeby panią odwiózł do domu.

– Nie ma pośpiechu – powiedziała. To nie była prawda. O niczym innym nie marzyła. Chciała jak najprędzej zrzucić z siebie te brudne, mokre ciuchy, wejść pod gorący prysznic, a potem stać godzinami pod strumieniami czystej wody. Ale musi poczekać, aż fotograf skończy pracę. Jeszcze bardziej pragnęła zbadać dokumenty, które były przyczyną rozpętania całej tej afery.

Reilly odszedł kilka kroków, zostawiając ją w swoim samochodzie. Patrzyła, jak rozmawia z dwoma agentami, a potem wszyscy ruszyli w kierunku stacji metra.

Jej rozmyślania nagle przerwał dźwięk telefonu komórkowego. Na wyświetlaczu pokazał się jej numer domowy.

– Tesso, kochanie, to ja – mówiła Eileen.

– Mamo. Nie gniewaj się. Powinnam była do ciebie zadzwonić.

– Zadzwonić? Dlaczego? Czy coś się stało?

Tessa odetchnęła z ulgą. Nie było powodu, żeby niepokoić matkę. Agenci FBI działali ostrożnie i na pewno tego nie zrobili, szukając Tessy.

– Nie, oczywiście, że nie. Co się dzieje?

– Zastanawiałam się tylko, kiedy przyjedziesz do domu. Twój znajomy już jest.

– Mój znajomy? – Tessa poczuła ciarki wzdłuż kręgosłupa.

– Tak – mówiła dalej rozradowanym tonem jej matka. – To taki miły człowiek. Oddam ci słuchawkę, kochanie. I nie spóźnij się. Prosiłam, żeby został na kolacji.

Tessa usłyszała, jak telefon przechodzi w inne ręce, a potem w słuchawce rozległ się głos, który niedawno na nowo zaczęła rozpoznawać.

– Tesso, słoneczko. Mówi Bili. Bili Vance.

## Rozdział 39

Tessa zeszytywniała na siedzeniu pasażera. Czowała, że w gardle rośnie jej gęła wielkości pięści. Vance był w jej domu. Z jej matką i... z Kim!

Odwróciła się od drzwi samochodu, kurczowo trzymając telefon przy uchu.

– Co ty tam...

– Myślałem, że już będziesz w domu – powiedział spokojnie. – Chyba dobrze obliczyłem czas, prawda? Odebrałem twoją wiadomość, że to dość pilne.

Wiadomość? Jej myśli galopowały niczym stado koni. Jest u niej w domu i odgrywa komedię. Czowała, że rośnie w niej wściekłość.

– Jeżeli zrobisz im krzywdę, to przysięgam...

– Nie, nie – przerwał. – To nie wchodzi w grę. Ale naprawdę nie mogę zbyt długo czekać. Bardzo bym chciał zjeść z wami kolację, twoja mama mnie zaprosiła, ale muszę wracać do Connecticut. Mówiłaś, że coś dla mnie masz. Chciałaś, żebym czemuś się przyjrzał.

Oczywiście, chce tylko odzyskać z powrotem swoje papirusy. Vance nie zamierza niepokoić jej matki ani Kim. Udawał znajomego. Tak właśnie się zachowywał. Jej matka nie wie, co się stało. Dobrze. Niech tak zostanie.

– Tessa? – powiedział to tak słodko, że aż nią wstrząsnęło. – Jesteś tam?

– Tak. Chcesz, żebym ci przywiozła dokumenty.

– To byłoby cudownie.

Przypomniała sobie o swoim skórzanym portfelu z dokumentami, leżącym między książkami na podłodze w piwnicy Vance'a i chciała sobie dać po łapach za to, że go nie zabrała. Nerwowo wyglądała przez okno samochodu. Tylko fotograf był niedaleko, wciąż robiąc zdjęcia dokumentów. Czując, że coś ją ściska w piersiach, Tessa wzięła głęboki oddech i odwróciła głowę od fotografa.

– Już jadę. Proszę, nie rób nic...

– Oczywiście, że nie – przerwał jej radośnie. – W takim razie zaczekam na ciebie. Będzie ktoś jeszcze?

– Nie – Tessa zmarszczyła czoło.

– To doskonale... – zawiesił głos. Tessa zastanawiała się, co jeszcze. – Byłbym uradowany,

gdybym mógł spędzić z nimi więcej czasu i lepiej je poznać. Kim to taka słodka dziewczynka.

Więc jednak. Kawał skurwysyna. Sam stracił córkę, a teraz grozi Kim.

– Przyjadę sama, bez obaw – powiedziała Tessa stanowczo.

– Pospiesz się.

Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki i przez chwilę jeszcze trzymała telefon przy uchu, powtarzając sobie w głowie tę rozmowę, by odgadnąć, co się tam naprawdę dzieje.

Miała przed sobą bardzo ciężką decyzję. Powiedzieć Reilly’emu? Znała odpowiedź na to pytanie, brzmiała: tak. Każdy, kto ogląda telewizję, wie, że niezależnie od tego, co mówią kidnaperzy, trzeba dzwonić na policję. Zawsze się dzwoni na policję. Ale to nie była telewizja, tylko prawdziwe życie. Chodziło o jej rodzinę; jej los był teraz w rękach człowieka z chorą psychiką. Bardzo chciała powiedzieć o wszystkim Reilly’emu, ale wolała nie ryzykować. Nie chciała dopuścić do sytuacji, w której Vance będzie wymachiwał pistoletem, a jej córka i matka staną się zakładniczkami. Na pewno nie mogła igrać z człowiekiem w tym stanie psychicznym.

Trzymając się tej myśli jak tonący brzytwy, starała się sama siebie przekonać, że Vance nie zrobi im krzywdy. Przecież jej nie zrobił. Nawet się usprawiedliwiał i przepraszał za to, co się stało.

Ale teraz nadepnęła mu na odcisk, ukradła mu dokumenty, które były najistotniejsze w jego misji. Dokumenty, za które, jak to Reilly zgrabnie ujął, giną ludzie.

Nie wolno jej było podejmować ryzyka. Nie mogła igrać z życiem własnej rodziny.

Raz jeszcze ukradkiem spojrzała na fotografa. Już kończy... Wciąż trzymając telefon komórkowy przy uchu, zbliżyła się do niego.

– Tak – powiedziała do aparatu. – Już je skończył fotografować. – Skinęła do fotografa, siląc się na uśmiech. – Oczywiście, że je przywiozę – mówiła dalej. – Możecie już rozkładać sprzęt. – Zamykając klapkę telefonu, zwróciła się do fotografa. – Jest pan pewien, że dobrze wyjdą?

– Mam nadzieję. Za to mi płacą. – Jej pytanie go zaskoczyło. Zwinęła manuskrypty, jak tylko skończył.

– Muszę je szybko zawieźć do laboratorium. – Zawsze gdzieś było jakieś otwarte laboratorium. Miała nadzieję, że to, co mówi, jest choć trochę wiarygodne. Spojrzała na aparat fotograficzny i powiedziała: – Reilly chce, żeby to szybko wywołać. Może pan to zrobić?

– Oczywiście, to żaden problem. Zwłaszcza, że to aparat cyfrowy – powiedział z udawaną powagą.



Tessa uśmiechnęła się kwaśno, zdając sobie sprawę z błędu, i pewnym krokiem wróciła do samochodu Reilly'ego, walcząc z chęcią puszczenia się biegiem. Kiedy doszła do drzwi po stronie kierowcy, spojrzała do środka i zobaczyła, że kluczyk tkwi w stacyjce. Reilly go tam zostawił. Wsiadła i uruchomiła silnik.

Rozejrzała się po twarzach przed komisariatem, szukając wzrokiem Reilly'ego, by ominąć go w razie czego wielkim łukiem. Nie było ani jego, ani jego partnera. Powoli wyjechała z miejsca parkowania i manewrując między wozami patrolowymi, posuwała się do przodu metr po metrze, uśmiechając się rozkosznie do dwóch policjantów, którzy rękami pokazywali jej, by jechała dalej. Miała nadzieję, że przerażenie, które ogarniało ją coraz silniej, nie maluje się na jej twarzy. Dopiero kiedy była na jezdni, włączyła światła i ruszyła naprzód, spoglądając w lusterko wsteczne, a za chwilę pędziła na łeb, na szyję przez miasto w kierunku Westchester.

## Rozdział 40

Kiedy Tessa wjeżdżała na podjazd przed domem, ze zdenerwowania przywaliła kołami o kamień. Zatrzymała auto z piskiem.

Siedziała przez chwilę w samochodzie. Sparaliżowana strachem bezmyślnie przyglądała się swoim dłoniom. Drżały. Oddychała szybko, jak po biegu. Próbowwała się opanować. Musi być teraz spokojna. Jeśli się jej uda, to może, może i ona, i Vance dostaną każde to, czego chce.

Wyszła na chodnik i nagle zaczęła żałować, że nie powiedziała Reilly'emu, co się stało. Ona mogłaby tu przyjechać sama, a on w tym czasie zorganizowałby... Co? Wezwałby grupę antyterrorystyczną, facetów ze strzelbami i megafonami, którzy wokół jej domu darliby się na całe gardło: „Wyłaż z rękami do góry! Jesteś otoczony!”? Godziny spędzone na negocjacjach z porywaczem, a potem nieunikniony i obciążony wysokim ryzykiem – choć zaplanowany do ostatniego szczegółu – atak? Wyobraźnia brała górę. Tessa wróciła do rzeczywistości. Nie, jednak chyba postąpiła słusznie.

W każdym razie i tak było już za późno.

Już dojechała.

Podeszła i nagle się zatrzymała. Wyobraziła sobie, jak to było. Vance pewnie zadzwonił do furtki i rozmawiał z Eileen. Kilka słów na temat Olivera Chaykina, o Tessie – i Eileen była całkowicie rozbrojona, najprawdopodobniej nawet oczarowana.

Szkoda, że jednak nie powiedziała Reilly'emu. Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i weszła do salonu. Powitała ją scenka, jakiej nie wyobraziłaby sobie w najśmielszych marzeniach. Vance siedział na kanapie tuż obok jej matki. Ucinali sobie przyjacielską pogawędkę, popijając małymi łykami herbatę z filiżanki. Tessa słyszała muzykę z pokoju Kim. Mała była na górze.

Eileen aż otworzyła usta, kiedy zobaczyła, w jakim stanie jest jej córka. Skoczyła na równe nogi.

– Boże, Tesso, co ci się stało?

– Wszystko w porządku? – Vance wstał również, a w jego głosie było słyhać szczere zaniepokojenie.

Bezczelny facet. Tessa wpatrywała się w niego, starając się ze wszystkich sił powstrzymać

wściekłość, która teraz zastąpiła strach i była nawet silniejsza. Udało jej się opanować.

– Wszystko w porządku – gdzieś nawet odnalazła uśmiech. – Była awaria kanalizacji na ulicy przed instytutem i kiedy przechodziłam, prosto w kałużę wjechała ciężarówka, a potem... To idiotyczna historia.

– Musisz się przebrać, kochanie – Eileen wzięła córkę pod ramię – bo się zaziębisz. Poczekasz chwilę, dobrze, Bili? – zwróciła się do Vance'a.

Tessa patrzyła na Vance'a. Stał na środku jej mieszkania i emanowało z niego ciepło i troska.

– Właściwie nie bardzo mam czas – nie odrywał oczu od oczu Tessy. – Jeżeli możesz dać mi te papiery, to najchętniej sobie pójdę. Jestem pewien, że w takim stanie, Tesso, nie bardzo masz ochotę na gości.

Tessa stała na wprost Vance'a, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Cisza aż dźwięczała. Eileen spojrzała na Vance'a, potem na nią. Tessa wiedziała, że jej matka wyczuwa szóstym zmysłem, kiedy dzieje się coś niedobrego. Otrząsnęła się szybko i uśmiechnęła do Vance'a.

– Oczywiście, już ci je daję.

Sięgnęła do torebki i wyjęła rękopisy. Wręczyła je Vance'owi.

Wyciągnął rękę i przez kilka sekund oboje je trzymali, każde z innej strony.

– Dziękuję. Wezmę się do pracy najszybciej, jak będę mógł.

– To wspaniale – Tessa zmusiła się do kolejnego uśmiechu.

Vance odwrócił się do Eileen. Wziął jej dłoń w swoje dwie.

– Dziękuję za uroczę popołudnie.

Eileen odprężyła się i na jej twarzy wykwitł rumieniec. Po prostu miękła pod jego spojrzeniem. Tessa była zadowolona, że Eileen nie musi poznać prawdy na temat Vance'a. Przynajmniej na razie. Spojrzała raz jeszcze na niego. Nie potrafiła odczytać nic z wyrazu jego twarzy. On też bacznie jej się przyglądał.

– Muszę już iść – skinął głową na pożegnanie. – Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co. Zatrzymał się w progu.

– Nie zwracaj sobie tym głowy! – powiedział do Tessy i wyszedł.

Tessa zostawiła na chwilę Eileen i patrzyła, jak odjeżdża. Matka podeszła do niej.

– Co za uroczy człowiek. Dlaczego nigdy mi o nim nie opowiadałaś? Mówił, że pracował z Oliverem.

– Chodźmy, mamó – powiedziała Tessa cicho i ostrożnie zamknęła drzwi. Ciągłe jej się trzęsły ręce.

## Rozdział 41

Tessa w końcu się zobaczyła w wysokim lustrze w swojej łazience. Nigdy w życiu jeszcze nie była taka brudna, obszarpana ani blada. Chociaż w napiętych mięśniach nóg odczuwała skurcze, postanowiła nie siadać. Gdyby po tym wszystkim, co się dziś wydarzyło, usiadła, pewnie długo nie mogłaby wstać. A ten dzień się jeszcze nie skończył. Reilly był w drodze. Zadzwoiła do niego wkrótce potem, jak wyjechał Vance, a on teraz pędził w kierunku jej domu. Chociaż przez telefon rozmawiał z nią spokojnie, wiedziała, że jest wściekły. Będzie mu musiała wiele wyjaśniać.

Znowu. Tylko tym razem to będzie trudniejsze. Będzie musiała powiedzieć Reilly'emu, dlaczego mu nie zaufała i nie poprosiła o pomoc.

Przyjrzała się obcej kobiecie w lustrze. Gdzie się podziała pewna siebie, tryskająca życiem blondynka? Zamiast niej zobaczyła wrak – fizyczny i psychiczny. Głowę miała pełną wątpliwości. Myślała o wydarzeniach tego dnia. Wszystko zrobiła nie tak, jak trzeba, a w dodatku matkę i córkę naraziła na niebezpieczeństwo.

To nie jest gra komputerowa. Musi przestać się w to wtrącać. I to natychmiast.

Czuła łzy pod powiekami. Kiedy poszła uściskać Kim po wyjściu Vance'a, mała odepchnęła ją, mówiąc, że śmierdzi. Ledwie powstrzymała wówczas łzy. Opanowała płacz podczas rozmowy telefonicznej z Reillym, obawiając się, że mama lub Kim usłyszą. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz płakała, ale teraz nie mogła pohamować łez. Czuła się strasznie, trzęsąc się cała z wyczerpania i na myśl o tym, co by było, gdyby... Wyobrażała sobie najgorsze z możliwych scenariuszy.

Zmywając z siebie brud i smród pod prysznicem, przemyślała wszystko jeszcze raz spokojnie. Musi podjąć kilka decyzji. Jedna z nich dotyczy Kim i Eileen. Ich bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Wpadła na pewien pomysł.

W szlafroku i z mokrymi włosami Tessa zeszła na dół i znalazła Eileen w kuchni.

– Myślałam o naszych planach. Miałyśmy pojechać latem do ciotki Hazel – powiedziała Tessa ni z tego, ni z owego. Hazel była siostrą jej matki. Mieszkała sama na małej farmie niedaleko Prescott w Arizonie i miała niewielkie gospodarstwo, kilka zwierząt w obejściu.

– I co wymyśliłaś?

– Sądzę, że powinniśmy pojechać teraz, na Wielkanoc – brnęła dalej Tessa.

– Dziecko, na Boga... – Eileen przerwała, a potem spytała: – Tesso, czy ty coś przede mną ukrywasz?

– Ależ skąd? Co ci przyszło do głowy? – odparła Tessa, przypominając sobie mężczyznę, który szukał Vance'a, strzał z pistoletu i zdławiony krzyk postrzelonego.

– Ale...

– Wszystkim nam potrzebne są wakacje – tym razem Tessa przerwała matce. – Ja przyjadę trochę później, dobrze? Wystarczy mi parę dni, żeby oczyścić kalendarz i załatwić pilne sprawy. Ale chciałabym, żebyście ty i Kim pojechały jutro.

– Jutro?

– A dlaczego nie? Przecież od dawna chciałaś wyjechać, a Kim może zacząć wakacje kilka dni wcześniej. Zarezerwuję wam lot, tak będzie łatwiej, unikniemy świątecznych korków – nalegała Tessa.

– Tesso – w głosie jej matki słychać było gniew i determinację – powiedz mi, o co ci chodzi.

– To nic ważnego, mamó – powiedziała cicho. Uśmiechnęła się nerwowo, widząc rozdrażnienie matki. Wyjaśni jej wszystko i przeprosi później.

Eileen bacznie jej się przyglądała. Zawsze potrafiła dobrze czytać w duszy swojej córki, dzisiaj też nie było inaczej.

– Co się dzieje? Czy czegoś się obawiasz? Żądam od ciebie szczerzej odpowiedzi, i to zaraz. Coś ci grozi?

– Chyba nie – nie umiała kłamać. – Ale wiem, że jeśli wy pojedziecie do Arizony, będę znacznie spokojniejsza.

Eileen zmarszczyła brwi. To nie była odpowiedź, jakiej by sobie życzyła.

– W takim razie jedziesz z nami.

– Nie mogę – powiedziała zdecydowanie.

– Tesso – westchnęła Eileen, przyglądając jej się uważnie.

– Nie mogę, mamó.

– Ale dojedziesz do nas? – Nie była zadowolona, ale zrezygnowała. – Obiecujesz?

– Dojadę. Będę za parę dni. – Natychmiast poczuła ulgę. Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Trzeba było mi powiedzieć. Trzeba było mi powiedzieć, Tesso. – Reilly był wściekły. –

Mogliśmy go zgarnąć zaraz po wyjściu z domu, mogliśmy go śledzić, jest przecież tyle sposobów. – Pokręcił głową. – Zamknęlibyśmy go w końcu i w ten sposób byłoby po wszystkim.

Rozmawiali w ogrodzie za domem, z dala od uszu matki i Kim. Prosiła go o dyskrecję, prosiła, by nie wymachiwał pistoletem, zapewniała, że wszystkie są bezpieczne. Ale i tak zostawił partnera w samochodzie przed domem i niebawem miał przyjechać wóz Patrolowy z pobliskiego komisariatu, a Reilly dyskretnie sprawdził, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku i czy nie grozi im niebezpieczeństwo.

Miała na sobie biały frotowy szlafrok, włosy po prysznicu wydawały się ciemniejsze, poły szlafroka odsłaniały gołe nogi. Siedząc pod rozłożystym krzewem, choć musiała pokornie wysłuchiwać słusznych i gniewnych wyrzutów Reilly'ego, wreszcie poczuła się odprężona. Przy nim była spokojna. Dwukrotnie tego dnia była w śmiertelnym niebezpieczeństwie, jak chyba nigdy w życiu, i dwukrotnie on ją uspokoił.

Odwróciła wzrok, zbierając myśli, pozwalając uspokoić się skołatanemu sercu, a później raz jeszcze na niego spojrzała.

– Przykro mi, naprawdę mi przykro... Po prostu nie wiedziałam, co robić. Nie myślałam logicznie. Wyobrażałam sobie grupę antyterrorystyczną, negocjacje, psychologów, zakładników i...

– I spanikowałaś. Rozumiem, to całkowicie normalne. To znaczy, ten facet zagrażał twojej córce, mamie, ale jednak... – odetchnął głęboko, próbując pozbyć się gniewu, i raz jeszcze pokręcił głową.

– Wiem. Masz rację. Bardzo przepraszam.

Spojrzał na nią. Nie mógł znieść myśli, że znalazłaby się w niebezpieczeństwie, że jej córka również była w niebezpieczeństwie. Wiedział też, że nie można jej za to całkowicie winić. Tessa nie jest agentką FBI, tylko archeologiem i matką. Nie powinien oczekiwać, że będzie myślała tak jak on, że w ekstremalnej sytuacji zareaguje spokojnie i racjonalnie. Nie wtedy, kiedy stawką w grze jest życie córki. I nie po takim dniu, jaki miała za sobą.

– No cóż, zrobiłaś to, co było najlepsze dla rodziny i nie mogę mieć o to pretensji – odezwał się po dłuższej chwili. – Ja prawdopodobnie postąpiłbym tak samo. Najważniejsze, że wszystko skończyło się dobrze. To się naprawdę liczy.

Twarz Tessy nagle pojaśniała. Przypomniała sobie jednak Vance'a i znów poczuła wyrzuty sumienia.

– Ale... oddałam mu rękopis.

– A my mamy kopie.

– O ile wasz fotograf nie zapomniał włożyć filmu do aparatu. Reilly uśmiechnął się z oporem.

– Myślę, że wszystko jest w porządku – powiedział i spojrzał na zegarek.

– Już się zmywam, na pewno jesteś skonana. Kazałem tutejszej policji obserwować dom. Zamknij za mną porządnie drzwi.

– Wszystko będzie dobrze – nagle zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest bezbronna, jak one wszystkie są bezbronne. – Nie mam już nic, czego by Vance potrzebował.

– Na pewno? – żartował, ale nie do końca.

– Słowo harcerki.

Jak on to robi? Umiał z nią postępować; nawet po dzisiejszym dniu poczuła się zrelaksowana.

– Dobrze. Jeżeli jutro będziesz się czuła na siłach – dodał – to przyjedź rano do miasta. Myślę, że przydałoby się wszystko jeszcze raz szczegółowo omówić z resztą zespołu i ustawić wszystkie nasze kacuszki w jednym rzędku.

– Nie ma sprawy. Muszę tylko wsadzić Kim i mamę do samolotu.

– A więc zobaczymy się jutro.

– Tak – popatrzyła mu prosto w oczy. Wstali i ruszyli w kierunku domu...

Po kilku krokach przystanął.

– Jest jedna rzecz, o którą nie miałem okazji cię zapytać.

– Co to takiego?

– Dlaczego je zabrałaś? – spytał szybko. – Te dokumenty. To znaczy, wydawało mi się, że powinnaś jak najprędzej się stamtąd wyrwać... A jednak straciłaś kilkanaście sekund, by wrócić po te papiery.

Sama nie była pewna, co jej wtedy strzeliło do głowy. Teraz też wydawało jej się to idiotyczne.

– Nie wiem – powiedziała bez przekonania. – Po prostu tam leżały.

– Rozumiem... Jestem tylko zdziwiony, nic więcej. Powinno ci zależeć jedynie na tym, żeby stamtąd zwiewać, co sił w nogach. – Tessa odwróciła wzrok. Wiedziała, do czego zmierza. – Czy ty potrafisz odpuścić? – naciskał. – Czy naprawdę nie muszę cię na wszelki wypadek



aresztować? Żeby cię chronić przed tobą samą? – pytał śmiertelnie poważnie. – Czy to wszystko jest dla ciebie naprawdę aż tak ważne, Tesso?

– W tym jest coś... – uśmiechnęła się półgębkiem. – Po prostu w tym jest tajemnica. Manuskrypt, cała ta historia... To mi nie daje spokoju, chciałabym się dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Musisz to zrozumieć – nagle poczuła potrzebę, by mu to wytłumaczyć. – Archeologia to nie jest... nie przynosi satysfakcji równie często jak inne zawody. Nie każdemu zdarza się odkryć grobowiec Tutenchamona albo Troję. Spędziłam na wykopaliskach czternaście lat, machałam łopatą w zapomnianych przez Boga i ludzi zakątkach tej planety, komary cięły mnie bez litości... I cały czas miałam nadzieję, że znajdę nie tylko jakieś skorupy czy fragmenty mozaiki, ale coś wielkiego. Rozumiesz? To marzenie każdego archeologa. Prawdziwe odkrycie, coś, co się znajdzie w podręcznikach historii, coś, co któregoś dnia pokażę Kim w Metropolitan i powiem z dumą, że ja to odkryłam. – Przerwała, obserwując jego reakcję. – Podejrzewam, że i dla ciebie ta sprawa to coś więcej niż rutynowe zadanie, prawda?

– Nie co tydzień mamy do czynienia z wariatami na koniach, którzy dewastują muzeum w Nowym Jorku. Tym, czego najbardziej nie znoszę w swojej robocie, jest rutyna. Ona mnie zabija – uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. – Tylko że ty cały czas o czymś zapominasz. To nie tylko wyzwanie dla naukowca, tu nie chodzi jedynie o ten rękopis i wszystko, co on może oznaczać... To śledztwo w sprawie o zabójstwo. Zginęło już mnóstwo ludzi.

– Wiem.

– Najpierw trzeba wsadzić ich za kratki. Potem możesz się zagłębiać w to, o co im chodziło. Przyjedź jutro, Tesso. Powiesz wszystkim, co ustaliłaś, wskażesz drogę... Ale potem pozwól działać nam. Jeżeli będziemy potrzebowali pomocy, na pewno zwrócimy się przede wszystkim do ciebie. Może chcesz sobie zastrzec wyłączność czy coś w tym guście, nie wiem...

– Nie, to nie tak. Chodzi o to, że... – uświadomiła sobie, że cokolwiek powie, on też nie zmieni zdania.

– Musisz na razie odpuścić, Tesso. Proszę. Proszę cię o to także z przyczyn osobistych. – Poruszyło ją to wyznanie.

– Przyrzekniesz mi? – pytał. – To naprawdę nie jest zabawa ani gra komputerowa.

– Spróbuję – skinęła głową.

Przyglądał jej się bacznie przez chwilę, a w końcu ciężko westchnął i pokręcił głową. Oboje wiedzieli, że to jest silniejsze od niej. Jak okręt – była trafiona i zatopiona.

## Rozdział 42

Moszcząc się wygodnie w fotelu w surowo urządzonej, przeszklonej sali konferencyjnej FBI przy Federal Plaza, De Angelis przyglądał się uważnie Tessie Chaykin. Okazała się bystrzejsza, niż przypuszczał. Bez dwóch zdań. Martwiło go również, że nie wygląda na specjalnie wystraszoną. Obie cechy były intrygujące i potencjalnie niebezpieczne. Jeśli jednak zagra zrećnie, może być również dla niego użyteczna. Sprawiała wrażenie osoby, która umie stawiać właściwe pytania i ma intuicję.

De Angelis obserwował twarze obecnych, gdy słuchali jej relacji o porwaniu i ucieczce. Dyskretnie dotknął miejsca, w którym pocisk z pistoletu Vance'a otarł mu się o skórę. Bolało go i paliło, zwłaszcza kiedy chodził, ale miał nadzieję, że środki przeciwbólowe będą nadal działały i uchronią go przed kompromitacją.

Słuchając jej słów, przypomniał sobie walkę z Vance'em w mrocznej krypcie. Wezbrała w nim wściekłość. Zrugął się w duchu za to, że pozwolił Vance'owi się wymknąć. Słaby, skołatany profesor historii. Niewybaczalny błąd. Drugi raz nie może do tego dopuścić. Pomyślał, że gdy w końcu uda mu się pokonać Vance'a, będzie musiał się zmierzyć z nią; sprawa gmatwała się coraz bardziej. Nic do niej nie miał, przynajmniej na razie. Jeżeli tylko jej poczynania nie zaprzepaszczą jego misji.

Starał się lepiej ją zrozumieć. Po co się w to miesza? Czego naprawdę chce? Będzie musiał poznać historię jej życia, a co ważniejsze, zorientować się w jej poglądach na niektóre bardzo istotne sprawy.

Kiedy skończyła opowiadać, wielebny De Angelis zauważył, w jaki sposób patrzy na nią Reilly. Bez wątpienia coś ich łączyło. To go rozbawiło. Interesujące. Agent czuł do niej zdecydowanie więcej niż sympatię, nie traktował jej jak osoby, która tylko mu pomaga rozwikłać sprawę. Nie ma co się dziwić Reilly'emu, ale co na to ona?

Na pewno trzeba się jej baczniej przyjrzeć.

Kiedy Tessa skończyła, głos zabrał Reilly, transmitując ze swojego laptopa obraz zrujnowanego kościoła na potężny ciekłokrystaliczny ekran zwrócony w stronę stołu konferencyjnego.

– Tam cię przetrzymywał – powiedział. – W kościele Wniebowstąpienia.

– Przecież ten kościół spłonął – zdziwiła się Tessa.

– Tak, wierni zbierają fundusze, żeby go odbudować.

– Ten zapach, wilgoć... To by się zgadzało, ale... – kręciła głową z niedowierzaniem. Vance mieszkał w piwnicy spalonego kościoła... Próbowala dopasować to, co miała teraz przed oczami, do tego, co opowiedział jej sam Vance. Spojrzała na Reilly'ego. – On nienawidzi kościołów i wszystkiego, co z tym związane.

– To nie był byle jaki kościół. Pożar strawił go pięć lat temu. Strażacy ani policja nie znaleźli nic podejrzanego, choć szukali dokładnie, bo w płomieniach zginął wikary.

– Ojciec McKay? – przywołała w pamięci nazwiska księdza, o którym wspominał Vance.

– Tak – Reilly spojrzał na nią i oboje zrozumieli.

– To duchowny, którego Vance obwiniął za śmierć swojej żony. Wyobraźnia w szalonej galopadzie podsuwała jej teraz obrazy po prostu niewiarygodne.

– Daty się zgadzają. Ogień wybuchł trzy tygodnie po śmierci jego żony – powiedział Reilly do Janssona. – Będziemy musieli wznowić to śledztwo.

Jansson skinął głową, a Reilly zwrócił się do pogrążonej w myślach Tessy. O co chodzi?

– Nie wiem – odparła, wychodząc niczym z gęstej mgły. – Tak mi trudno pogodzić dwie strony jego osobowości. Jest przecież czarującym człowiekiem, erudytą, profesorem historii, a jednocześnie stać go na tyle okrucieństwa i bezwzględności.

– Niestety, to dość często spotykana kombinacja – wtrącił Aparo. – Spokojny, życzliwy sąsiad przechowuje w zamrażarce poćwiartowane zwłoki żony. Tacy są przeważnie bardziej niebezpieczni niż faceci wdający się w bójki po barach.

– Musimy zrozumieć, o co mu chodzi – przejął dowodzenie Reilly – albo przewidzieć, co może zrobić. Tessa, przede wszystkim sprawa powiązania Vance'a z templariuszami... Gdybyś mogła nam zrelacjonować to, co dotychczas udało ci się ustalić, może zdołamy przewidzieć jego następny ruch.

– Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku – wzruszył ramionami Reilly.

– To długa historia.

– Więc zaczynaj i nie schodź poniżej trzech tysięcy metrów. Jeśli tobie albo nam coś się wyda interesujące, wyjdziemy na powierzchnię.

Pospiesznie uporządkowała myśli i zaczęła opowiadać.

Opowiedziała im o początkach zakonu templariuszy, o tym, jak dziewięciu rycerzy przyjechało do Jerozolimy, o dziewięciu latach zamknięcia w świątyni, o hipotezach, że ten czas poświęcili na szukanie czegoś pod ziemią. Mówiła o niewyjaśnionych do dziś źródłach ich potęgi i nagłym, też niewytłumaczalnym dojściu do władzy, o zwycięstwach w bitwach i ostatecznej klęsce w Akce. Przybliżyła im powrót templariuszy do Europy, mówiła o ich sile i arogancji, o tym, jak niepomernie irytowali króla Francji i papieża, który był wtedy marionetką, opowiadała o ich ostatecznym upadku.

– Mając poparcie usłużnego papieża Klemensa V, król zainicjował falę prześladowań, aresztował templariuszy i oskarżył ich o herezję. Po kilku latach wszelki słuch o nich zaginął. Większość rycerzy umarła w męczarniach.

– Jak to, o herezję? – Aparo był zdeorientowany. – Jak mógł im udowodnić herezję? Myślałem, że rycerze bronili Kościoła i krzyża, że byli pupilami papieżstwa.

– Mówimy o czasach rozkwitu religijności – wyjaśniła Tessa. – W umysłach ludu, obraz szatana był bardzo żywy – przerwała i rozejrzała się po obecnych. Było cicho jak makiem zasiał, ciągnęła więc dalej. – Zarzucano templariuszom, że ich rytuał inicjacji polegał na pluciu, a nawet oddawaniu moczu na krzyż i wymagał wyrzeczenia się Jezusa Chrystusa. A to nie wszystkie oskarżenia. Twierdzono również, że rycerze czczą dziwnego demona, Bahometa, i że uprawiają sodomie. Oskarżano ich powszechnie o okultyzm i bałwochwalcze oddawanie czci bożkom. Takie działa Watykan wytaczał zawsze, kiedy chciał się pozbyć konkurencji w sprawach wiary.

Spojrzała na De Angelisa. Słuchał uważnie, ale nie odezwał się ani słowem.

– W ostatnich latach istnienia zakonu – ciągnęła Tessa – rycerze przyznawali się do wielu zarzutów, ale w tym wyznaniu winy było tyle prawdy, ile słyszeli potem hiszpańscy inkwizytorzy. Groźba, że za chwilę przyłożą człowiekowi do brzucha rozżarzone do czerwoności żelazo, wystarcza, by każdy się przyznał do czynu, którego nie popełnił. Zwłaszcza gdy widzi, że wokół tę groźbę spełnia się na jego przyjaciółach.

De Angelis zdjął okulary i wytarł szkła o rękaw marynarki. Założył je z powrotem na nos i z poważną miną skinął głową w kierunku Tessy. Nie miał już żadnych wątpliwości, po czyjej stronie są jej sympatie.

Tessa włożyła dokumenty z powrotem do teczki.

– Aresztowano setki templariuszy w całej Francji, nagonka trwała nieustannie. Nikt się nie bronił, nikt się nie mścił, dziesiątki biskupów i opatów przyłączały się do akcji. Nie minęło wiele

czasu i templariusze zaczęli uciekać. Był tylko jeden problem. Wyglądało na to, że ich skarby ulotniły się razem z nimi.

Opowiedziała im historię o skrzyniach złota i drogich kamieni, ukrywanych w jaskiniach i jeziorach w całej Europie. I o tym, że okręty templariuszy uciekły z portu w La Rochelle w noc poprzedzającą ten feralny piątek trzynastego.

– Więc o to chodzi? – Jansson uniósł w dłoni kopię zaszyfrowanego manuskryptu. – O zaginiony skarb?

– Miło powitać powrót starej dobrej chciwości – prychnął Aparó. – To jednak pewna odmiana po świrusach, których zazwyczaj ścigamy.

De Angelis pochylił się do przodu, odchrząknął i spojrzał na Janssona.

– Ich skarbu nigdy nie odzyskano, to fakt powszechnie znany.

– Ten manuskrypt – Jansson postukał palcami w fotokopie dokumentów – może więc być mapą do skarbu, którą Vance zdoła teraz odczytać.

– To nie tak – Tessa czuła się jak na cenzurowanym, bo wszyscy nagle spojrzeli w jej kierunku. Poszukała ratunku u Reilly’ego i zachęcona jego przyjaznym spojrzeniem mówiła dalej: – Gdyby Vance’owi chodziło tylko o pieniądze, mógłby po prostu zabrać z muzeum znacznie więcej.

– To prawda – odparł Aparó. – Ale to, co było wystawione, jest w zasadzie nie do sprzedania. Z tego natomiast, co usłyszeliśmy, wynika, że skarb templariuszy jest wielokrotnie więcej wart niż eksponowany na wystawie. W dodatku można go będzie sprzedać bez obaw o postawienie w stan oskarżenia, bo nie zostanie ukradzony, tylko znaleziony.

Agenci pokiwali głowami, zgadzając się z jego rozumowaniem. Ale uwagi De Angelisa nie uszło, że Tessa nie podziela do końca tego zdania. Nie zwerbalizowała jednak swoich wątpliwości.

– Pani Chaykin nie wydaje się przekonana, prawda? – zaczepił ją. Na jej twarzy pojawił się grymas. Nielatwo jej było o tym mówić.

– Dla mnie jedno jest pewne: Vance potrzebował urządzenia dekodującego. On chciał odczytać odnaleziony manuskrypt.

– Czyli klucz do skarbu? – spytał Jansson niepewnie.

– Być może – odpowiedziała, zwracając się wprost do niego. – Ale to zależy, co rozumiemy przez skarb.

– A cóż innego może oznaczać to słowo? – wielebny postanowił sprawdzić, co jeszcze powiedział jej Vance.

– Nie wiem – pokręciła głową.

To dobrze, pomyślał De Angelis, jeżeli ta kobieta mówi prawdę. Miał nadzieję, że tak właśnie jest.

– Odniosłam wrażenie, że Vance’owi chodzi o coś znacznie bardziej istotnego niż pieniądze – Tessa zdobyła się na odwagę i mówiła dalej z nową energią. – Ten człowiek ma obsesję, on wypełnia jakąś misję.

Opowiedziała im o hipotezach dotyczących niematerialnego skarbu templariuszy, również o tym, że stanowili część organizacji konspiracyjnej strzegącej potomków Jezusa. Mówiąc to, przyglądała się uważnie De Angelisowi. Ten nawet nie mrugnął okiem, prezentując kamienną twarz.

Kiedy skończyła, postanowił zabrać głos:

– Odsuńmy na bok wszystkie te zabawne przypuszczenia – powiedział, uśmiechając się pobłaźliwie. – Mówi pani, że jest to człowiek, który pragnie zemsty, człowiek, który przedsięwziął osobistą krucjatę.

– Tak.

– No cóż – kontynuował wielebny tonem światowca i akademika. – Pieniądze, a zwłaszcza dużo pieniędzy, są narzędziem fenomenalnym do realizacji wszelkich celów. Wszystkie wyprawy krzyżowe, nieważne, czy w XII wieku, czy współcześnie, kosztują, czyż nie? – spojrzał po twarzach obecnych.

Tessa milczała. Pytanie wisiało w powietrzu.

– Nie rozumiem jednego – przerwał w końcu ciszę Reilly. – Vance obwinia księdza, a mówiąc ogólniej, Kościół o śmierć swojej żony.

– Żony i córki – weszła mu w słowo Tessa.

– No właśnie. I ma w rękach manuskrypt, który, jak powiada, był tak wstrząsający, że w ciągu paru minut po jego przeczytaniu jakiś młody ksiądz kompletnie osiwił. I chyba jesteśmy zgodni co do tego, że ten zaszyfrowany manuskrypt był w posiadaniu templariuszy, czy tak?

– O co ci chodzi? – przerwał mu Jansson.

– Zawsze sądziłem, że templariusze i Kościół są po tej samej stronie barykady. Myślałem, że krzyżowcy byli rycerzami Kościoła katolickiego. Walczyli w krwawych bitwach pod sztandarami

Watykanu przez ponad dwieście lat. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ich zasługi Kościół tak po prostu nagle przekreślił. Hipotezy, o których mówisz – powiedział, spoglądając na Tessę – dotyczą czegoś, co ponoć odkryli już dwieście lat przed prześladowaniami. Dlaczego to, co od chwili powstania zakonu mieli w rękach, nagle zaczęło zagrażać Kościołowi?

– To może wyjaśnia, dlaczego spalono ich na stosie – odezwała się Amelia Gaines.

– Dopiero po dwustu latach? Jest jeszcze coś – mówił dalej Reilly, zwracając się teraz bezpośrednio do Tessy. – Rycerze zaczęli od obrony krzyża, a skończyli na jego bezczeszczeniu. Dopuszczali się świętokradztwa. Dlaczego mieliby tak postępować? Ich rytuały inicjacyjne wydają mi się kompletnie bezzasadne.

– No cóż, o to ich oskarżano – mówiła Tessa. – Ale to wcale nie znaczy, że istotnie tak postępowali. W tych czasach podobne oskarżenia były na porządku dziennym. Król posłużył się takimi samymi zarzutami kilka lat wcześniej, żeby się pozbyć papieża Bonifacego VIII.

– Rozumiem, ale ciągle nie widzę w tym sensu – drążył Reilly. – Dlaczego zakon miałby poświęcić tyle wysiłku i czasu, walcząc w imieniu Kościoła, skoro był świadom jakiegoś wstydliwego sekretu, którego Watykan za wszelką cenę nie chciał ujawnić światu?

– Jeśli mogę... – wtrącił swoim świętoszkowatym tonem De Angelis, który postanowił w końcu interweniować. – Jeżeli zaczynamy się zagłębiać w tego typu fantazje, rozważmy również inną możliwość, o której nikt z państwa nie wspomniał.

Wszyscy wpatrywali się teraz w niego. Zrobił teatralną pauzę, pozwalając, by napięcie wzrosło do zenitu, a potem kontynuował spokojnie:

– Hipotezy związane z rzekomym potomstwem Chrystusa wychodzą na światło dzienne co kilka lat i zawsze wzbudzają zainteresowanie, niezależnie od tego, czy pojawiają się w powieściach sensacyjnych, czy też są dyskutowane w aulach uniwersyteckich. Może to święty Graal czy też San Graal albo inaczej Sang Real, nazwijmy go, jak kto chce, zgodnie z tym, co pani Chaykin bardzo zgrabnie nam wyjaśniła – uprzejmie skłonił głowę w jej kierunku. – Wiele z tego, co się przydarzyło templariuszom, można wyjaśnić po prostu ułomnością natury ludzkiej – powiedział, rzucając z kolei wymowne spojrzenie na Aparo. – A mianowicie chęcią zysku i zaborczością. Nie tylko stali się zbyt buńczuczni, mieli zbyt dużo władzy, ale przestali być potrzebni, nie była już konieczna obrona Ziemi Świętej. Wrócili więc do Europy, głównie szukali schronienia we Francji; byli uzbrojeni, mieli władzę i byli bardzo, bardzo bogaci. Król Francji poczuł się zagrożony i miał do tego podstawy. Był bankrutem, ich dłużnikiem i pragnął za

wszelką cenę przejąć ich majątek. To monarcha zasługujący na wzgardę, tak zresztą oceniają go historycy. Ale ja byłbym skłonny zgodzić się z interpretacją pani Chaykin w sprawie nagonki na zakon. Nie przywiązywałbym również wielkiej wagi do oskarżeń. Templariusze, wierni rycerze Kościoła, byli bezsprzecznie niewinni i oddani Chrystusowi aż po grób. Niemniej oskarżenia, które rzucił na nich król, stały się pretekstem, by wyłumaczyć światu, że należy się ich pozbyć. W ten sposób król złapał dwie sroki za ogon. Pozbył się wierzycieli, a w dodatku przejął, a przynajmniej próbował przejąć, ich majątek; pamiętajmy o tym, że nigdy nie odnaleziono ich skarbu.

– Mówimy teraz o fizycznym skarbie, a nie o jakiejś ezoterycznej „wiedzy”? – pragnął ustalić Jansson.

– No cóż, nie jestem człowiekiem skłonny do fantazjowania, chociaż rozumiem, jak atrakcyjna jest spiskowa teoria dziejów. Niemniej to, co fizyczne i co duchowe, da się połączyć inaczej. Widzicie państwo, spora część zainteresowania sprawami templariuszy bierze się stąd, że nikt nie potrafi wyjaśnić, jak doszli do bogactwa i władzy w tak krótkim czasie. Jestem przekonany, że zawdzięczają to szczodrym datkom otrzymywanym za wypełnianą misję, kiedy rozgłoszono ją wszem i wobec. Ale kto wie, może odnaleźli jakiś głęboko pogrzebany sekret, który pozwolił im się w rekordowym czasie wzbogacić? Cóż by to mogło być? I czy miało rzeczywiście związek z rzekomymi potomkami Chrystusa, z dowodem, że Zbawiciel był ojcem dziecka, a może nawet dwojga dzieci, tysiąc lat wcześniej? – wzruszył ramionami. – A może jednak chodziło o coś mniej kontrowersyjnego, za to potencjalnie bardziej lukratywnego.

Odczekał chwilę, upewniając się, że wszyscy podążają za tokiem jego rozumowania.

– Mówię o sekretach alchemii, o wzorze, dzięki któremu zwykle metale można zamieniać w złoto – obwieścił.



## Rozdział 43

Wokół stołu zapadła pełna konsternacji cisza, a De Angelis wygłosił krótki wstęp do historii wiedzy tajemnej.

Dowody naukowe potwierdzały takie przypuszczenia. Alchemia rzeczywiście dotarła do Europy w czasach wypraw krzyżowych. Najwcześniejsze wzmianki o osiągnięciach alchemików pochodziły z Bliskiego Wschodu; zostały spisane po arabsku na długo przedtem, zanim ktoś przełożył je na łacinę.

Eksperymenty alchemików opierały się na arystotelesowskiej teorii czterech elementów: ziemi, powietrza, ognia i wody. Wierzano, że wszystko, co istnieje, składa się z kombinacji tych właśnie elementów. Wierzano również, że właściwie odmierzona ilość substancji i zastosowanie odpowiedniej metody pozwoli przemienić każdy z tych elementów w dowolny z pozostałych. Wodę można przecież łatwo zamienić w powietrze – wystarczy ją doprowadzić do wrzenia dzięki gotowaniu. I tak dalej. A ponieważ wszystko na Ziemi ponoć miało być złożone z wody, powietrza, ognia i ziemi, przynajmniej teoretycznie możliwa była przemiana każdego z elementów wyjściowych w dowolny materiał, który chciało się uzyskać. Na pierwszym miejscu listy pożądanych efektów znalazło się oczywiście złoto.

Wielebny wyjaśnił również, jak alchemia funkcjonowała na poziomie fizjologicznym. Cztery elementy Arystotelesa znajdowały odzwierciedlenie w czterech humorach – flegmie, krwi, żółci i czarnej żółci. Człowiek zdrowy zachowywał w stanie równowagi wszystkie te cztery elementy usposobienia. Wierzano, że choroba to brak lub nadmiar jednego z nich. Alchemia się rozwinęła i przestała być tylko poszukiwaniem recepty czy wzoru, dzięki któremu można by zamieniać ołów w złoto. Przynosiła obietnicę odkrycia sekretów transformacji fizjologicznej, przejścia od choroby do zdrowia lub od starości do młodości. Wielu alchemików nadal szukało wzoru, traktując go jako ideał; uważali, że wszystko, co istnieje w naturze, można uzyskać dzięki sercu i umysłowi. Kamień filozoficzny w aspekcie duchowym miał ponoć moc inicjowania przemian zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Alchemia obiecywała temu, kto odkryje jej sekrety, bogactwo, długowieczność, a nawet nieśmiertelność.

W wieku XII jednak tym, którzy nigdy nie mieli z nią styczności, wydawała się tajemnicza i przerażająca. Alchemicy stosowali dziwaczne przyrzady i magiczne zaklęcia, czerpali

natchnienie ze znaczenia kolorów. W końcu dzieła Arystotelesa trafiły na listę ksiąg wyklętych. W tamtych czasach każda nauka, bo tak ją wtedy nazywano, podważała autorytet Kościoła; nauka, która obiecywała moralne oczyszczenie, była dla Kościoła bezpośrednim zagrożeniem. Co z kolei, sugerował De Angelis, wyjaśnia, dlaczego Watykan patrzył spokojnie na oskarżenia wobec templariuszy.

– Czas, miejsce i geneza pasują – wielebny rozejrzał się po twarzach siedzących przy stole. – Proszę mnie źle nie zrozumieć – uśmiechnął się dobrotliwie. – Nie twierdzę, że taki wzór istnieje; osobiście uważam go za kolejny wytwór wyobraźni, nie bardziej realny niż inne barwne teorie związane z zakonem templariuszy i ich rzekomymi sekretami, o których mówi się w naszym gronie, jak również gdzie indziej. Twierdzę po prostu, że człowiek, który stracił kontakt z rzeczywistością, skłonny był uwierzyć, że taki wzór istnieje.

Tessa spojrzała przelotnie na Reilly’ego. Wahala się przez chwilę, zanim zwróciła się do De Angelisa:

– Sądzi pan, że Vance chce uzyskać złoto?

– Nie zapominajmy, że ten człowiek nie myśli jasno. Pani Chaykin sama to przyznała. Wystarczy sobie przypomnieć, jakiego spustoszenia dokonał w Metropolitan. Ten plan nie był dziełem człowieka przy zdrowych zmysłach. A zatem, skoro zachowuje się irracjonalnie, możemy stwierdzić, że i to jest możliwe. Mógł być to tylko środek prowadzący do celu. Źródło finansowania, dzięki któremu zrealizuje jakiś inny szaleńczy plan. – Wzruszył ramionami. – Ten człowiek, Vance, ma omamy. Dla mnie to oczywiste, że jest owładnięty jakąś nonsensowną ideą, poszukuje jakiegoś skarbu. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z szaleńcem, i niezależnie od tego, czego szuka, prędzej czy później zda sobie sprawę, że goni za cieniem. Nie chcę nawet myśleć, jak zareaguje, kiedy to do niego dotrze.

Wokół stołu zapadła cisza; zgromadzeni analizowali to, co powiedział De Angelis.

– Niezależnie od tego, czego ten facet chce – odezwał się Jansson – idzie po trupach, a my musimy to ukrócić. Wydaje mi się jednak, że pozostaje nam tylko pracować z tymi cholernymi papierzyskami – podniósł w górę kopie manuskryptów. – Gdybyśmy mogli je odczytać, może byśmy się dowiedzieli, co zamierza. – Zwrócił się do Reilly’ego. – Co mówią fachowcy z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego?

– Sprawa nie wygląda dobrze. Zanim się spotkaliśmy, rozmawiałem z Terryem Kendricksem, a to, co mówi, nie napawa zbytym optymizmem.

– Tak?

– Nasi eksperci wiedzą, że jest to szyfr polialfabetyczny na podstawianie. Niespecjalnie skomplikowany. Wojsko posługuje się takimi szyframi od dziesięcioleci, ale złamanie kodu opiera się przede wszystkim na częstotliwości występowania liter i na wzorcach; wyławia się najczęściej powtarzające się słowa, przez dedukcję dochodzi się do ich znaczenia. I to właśnie jest materiał, na którym zaczyna się pracę, by w końcu dojść do mnemonicznego klucza i zacząć wszystko od początku. Fachowcy twierdzą, że po prostu mają zbyt mało materiału. Gdyby dokument był dłuższy albo mielibyśmy inne dokumenty zaszyfrowane tym samym kodem, złamaliby kod bez trudu. Ale sześć stron to materiał niewystarczający.

– Nie chce mi się w to wierzyć – Jansson wyraźnie się skrzywił. – Dostają kilka miliardów dolarów rocznie i nie potrafią złamać kodu wymyślonego przez mnichów siedemset lat temu? – wycodził przez zęby i wzruszył ramionami. – Skoro tak, to zapomnijmy o tym cholernym manuskrypcie i skoncentrujmy się na czymś innym. Musimy jeszcze raz przejrzeć wszystko, co mamy, i odnaleźć jakiś nowy ślad.

De Angelis obserwował Tessę. Nie odezwała się ani słowem, ale popatrywała w jego stronę, a coś w jej oczach mówiło mu, że nie zdołał jej przekonać i że czuje, iż w tej sprawie chodzi o coś więcej niż osobista wendetta.

De Angelis pomyślał, że ta kobieta jest naprawdę niebezpieczna. Ale na razie jej użyteczność przewyższała potencjalne ryzyko.

Jak długo jej na to pozwoli, jeszcze nie wiedział.

## Rozdział 44

– Jaki to program? – spytała Tessa.

Nie odmówiła, kiedy Reilly zaproponował, że ją podwiezie. Siedzieli teraz w samochodzie, słuchając relaksującej muzyki. Zachodzące słońce wyzierało zza grafitowych chmur i malowało horyzont ciemnym różem. Tessa była zadowolona, że przyjęła jego propozycję.

Czuła się odprężona i bezpieczna. Co więcej, ten stan zawdzięczała jemu. Podobało jej się w nim zdecydowanie, cięty dowcip, uczciwość. Nietrudno było je dostrzec. Wiedziała, że może mu ufać, a to więcej, niż mogła powiedzieć o wielu mężczyznach, których wcześniej spotkała. Choćby jej mąż, typowy przykład gatunku podczłowieka. W dodatku w domu nie było teraz nikogo, bo Kim i mama poleciały do Arizony; cieszyła się na myśl o gorącej kąpieli i kieliszku czerwonego wina, a potem pigułka nasenna, żeby zapewnić sobie spokojną noc.

– To nie program. To ostatni utwór z Caliente Willy i Lobo. Pat Metheny. Moja własna składanka – pokręcił lekko głową. – Coś, do czego poważny facet nie powinien się przyznawać.

– A to niby dlaczego?

– Żartujesz chyba! – uśmiechnął się od ucha do ucha. – Własne składanki na płytach CD? Przecież to oznacza, że facet ma za dużo czasu!

– Nie jestem pewna. To może również znaczyć, że jesteś wyjątkowy i dokładnie wiesz, co ci się podoba.

– Podoba mi się ta interpretacja.

– Tak myślałam – uśmiechnęła się i przez chwilę słuchała, rozkoszując się subtelnym połączeniem gitary elektrycznej i aranżacji charakterystycznej dla tej grupy. – To świetne.

– Podoba ci się?

– Naprawdę tak, uspokaja i... inspiruje. Oprócz tego słuchamy od dziesięciu minut, a ja jeszcze nie ogłuchłam, a to bardzo miłe urozmaicenie dla moich uszu. Moja Kim naraża je zwykle na jakiś łomot nie do wytrzymania.

– Kiepsko, co?

– Jak zacznę mówić na ten temat, to w życiu nie skończę. A te teksty, mój Boże... Bardzo chciałabym być nowoczesną mamą, ale niektóre tak zwane piosenki...

– Świat schodzi na psy, co? – uśmiechnął się szeroko Reilly.

– Widzę, że ty też nie jesteś miłośnikiem hip-hopu.

– Czy Steely Dan się liczy?

– Chyba nie.

– Cholera – udawał, że go zmartwiła.

– Mówię ci, to zupełnie nowe granice – powiedziała ze śmiertelną powagą, przyglądając mu się kątem oka; uśmiechnęła się, widząc, że zrozumiał. Już ostrzyła sobie zęby na myśl, że zbije go z pantałyku tytułem singla Donalda Fagena. Zauważył jej uśmiech i popatrzył jej głęboko w oczy. Zrobiło jej się tak jakoś ciepłutko i poczuła, że oblewa się rumieńcem. I nagle odezwał się telefon komórkowy.

Poirytowana, sięgnęła dłonią do torebki, wyciągnęła komórkę i spojrzała na wyświetlacz, na którym widniało: Anonim. Postanowiła odebrać i natychmiast tego pożałowała.

– Cześć. To ja. Doug.

Jeżeli w normalnych okolicznościach niezbyt chętnie rozmawiała ze swoim byłym mężem, to teraz zadzwonił w momencie wyjątkowo nieodpowiednim. Unikając spojrzenia Reilly'ego, zniżyła głos.

– Czego chcesz? – spytała obcesowo.

– Wiem, że byłaś tamtego wieczoru w muzeum i chciałbym się dowiedzieć, czy jest coś...

Tak, było coś. Jeżeli chodzi o Douga, zawsze czegoś mógł się od niej dowiedzieć.

– Nie mogę o tym rozmawiać – ucięła krótko. – Ludzie z FBI prosili, żebym nie rozmawiała z prasą.

– Naprawdę? To fantastycznie – zastanawiała się, co go tak ucieszyło. – Czyli nikt jeszcze o tym nie wie – mówił dalej rozentuzjzmowany. – O co chodzi? Czego nie możesz powiedzieć prasie?

Kłamstwo wróciło do niej rykoszetem.

– Zapomnij o tym, Doug.

– Nie bądź taka – nagle zaczął być przymilny. – To ja, pamiętasz mnie jeszcze?

Tak jakby mogła zapomnieć.

– Nie licz na to – powtórzyła.

– Tessa, kochanie, nie rób mi przykrości.

– Muszę kończyć rozmowę.

– Proszę cię, kochanie...

Z trzaskiem zamknęła klapy telefonu i wrzuciła go do torebki znacznie energiczniej, niż było trzeba; potem westchnęła ciężko i wpatrzyła się przed siebie.

Po kilku minutach mięśnie jej szyi i ramion nieco odpuściły. Nie patrząc na Reilly'ego, powiedziała:

– Przepraszam. To mój były małżonek.

– Domyśliłem się. W Quantico nauczyłem się słuchać.

– Nic nie uchodzi twojej uwagi, prawda? – udało jej się zaśmiać.

– Zazwyczaj nie – spojrzał na nią. – Chyba że rozmawiamy o templariuszach i mam przy boku irytującą panią archeolog, która zawsze jest kilka kroków przed nami, laikami.

– Z przyjemnością dam się dogonić – uśmiechnęła się. Spojrzał na nią i znów napotkał jej oczy. Wytrzymał o sekundę dłużej niż przedtem.

On też był bardzo zadowolony, że dała się podwieźć do domu.

Latarnie uliczne już się rozjarzały, kiedy dotarli do jej domu, a na jego widok powróciło wspomnienie lęków i niepokojów, od których aż kipiało w ciągu ostatnich kilku dni.

Vance tu był, aż ją zatrzęsło na tę myśl. Był w moim domu.

Przejechali obok samochodu patrolowego zaparkowanego nieopodal jej domu i Reilly kiwnął ręką do siedzącego w środku gliniarza, który pozdrowił go gestem, rozpoznając Tessę jako kobietę z fotografii, którą pokazywano im podczas odprawy.

Reilly wjechał na podjazd i zgasił silnik. Tessa spojrzała na pusty dom i poczuła się nieswojo. Zastanawiała się, czy go zaprosić do środka, ale jakoś samo jej się wyrwało:

– Masz ochotę wejść na chwilę?

– Pewnie – odpowiedział. To nie było wcale zaproszenie do flirtu. – Byłoby dobrze, gdybym się trochę rozejrzył.

Kiedy byli przy drzwiach frontowych, wyciągnął rękę po klucz i wszedł pierwszy.

Było nienaturalnie cicho. Tessa szła za nim, po drodze zapalając wszystkie światła; włączyła też i wyciszyła telewizor. Leciał ulubiony program Kim – kreskówki. Tessie nie chciało się zmieniać stacji.

Reilly spojrzał na nią lekko zdziwiony.

– Zawsze tak robię, kiedy jestem sama – wyjaśniła. – Nie czuję się wtedy opuszczona.

– Nie martw się, dojdiesz do siebie – uspokoił ją. – Sprawdzę pokoje – powiedział, ale zawahał się i spytał: – Mogę?

Pewnie chciał też sprawdzić jej sypialnię i dlatego się zawahał, pomyślała. Była mu wdzięczna za troskę i za delikatność.

– Oczywiście.

Wyszedł z pokoju. Tessa opadła na kanapę, przyciągnęła do siebie telefon i wykręciła numer ciotki Hazel w Prescott. Ciotka podniosła słuchawkę po trzech dzwonek. Właśnie przyjechały do domu; odebrała Kim i Eileen z lotniska w Phoenix i były w mieście na kolacji. Obie, jak zapewniła Tessę, czują się dobrze. Tessa porozmawiała chwilę z mamą, tymczasem Hazel poszła po Kim, która w stajni witała się z końmi. Eileen już nie była tak podenerwowana. Tessa domyślała się, że udzielił jej się spokój i opanowanie optymistycznie nastawionej do świata siostry; zmęczenie całodzienną podróżą też pewnie zrobiło swoje. Kiedy słuchawkę wzięła z kolei Kim, była bardzo podekscytowana perspektywą jutrzejszej przejażdżki konnej. Tessa miała wrażenie, że mała wcale nie tęskni za mamą.

Powiedziała im dobranoc i odłożyła słuchawkę. Po chwili Reilly wrócił do pokoju. Wyglądał na równie zmęczonego, co ona.

– Czysto, tak jak przypuszczałem. Chyba naprawdę nie masz się czego obawiać.

– Na pewno masz rację. Ale dzięki, że sprawdziłeś.

– Nie ma sprawy – rozejrzał się jeszcze po salonie, skinął uspokajająco głową i zawahał się przez ułamek sekundy. Tessa to podchwyciła.

– Na pewno chętnie się czegoś napijesz, bo ja z rozkoszą – powiedziała, kierując się do kuchni. – Może piwo albo kieliszek wina?

– Nie – uśmiechnął się. – Ale dziękuję.

– Ach, przepraszam, zapomniałam, że jesteś na służbie. W takim razie może zrobię ci kawę?

– Nie, nie o to chodzi, tylko... – widać było, że nie bardzo chce o tym mówić.

– Co takiego?

– Jest Wielki Post – powiedział po chwili wahania.

– Pościsz? Naprawdę?

– Tak.

– I rozumiem, że nie chodzi o zabicie wagi? Pokręcił głową.

– Czterdzieści dni bez alkoholu, no, no! – Zawstydzila się natychmiast. – Przepraszam. To nie był stosowny żart. Nie myśl o mnie źle. Nie jest tak, że już się zastanawiam, czy nie przystąpić do anonimowych alkoholików albo coś w tym guście.

– Za późno. Moja wyobraźnia już pracuje.

– To świetnie. – Podeszła do lodówki i nalała sobie kieliszek białego wina. – Śmieszne, ale nie przypuszczałam, że dziś ktoś jeszcze przestrzega postu. Zwłaszcza w tym mieście.

– Przeciwnie, to środowisko sprzyja... życiu duchowemu.

– Żartujesz, prawda? Chyba nie mówisz o Nowym Jorku?

– Nie żartuję. To idealne miejsce. Pomyśl tylko. Przecież tu co krok stajesz wobec wyzwania moralnego czy etycznego. Co jest dobre, a co złe, co właściwe, co niewłaściwe... W tym mieście wszystko jest w zasadzie czarno-białe. Trzeba ciągle dokonywać wyboru.

– Jesteś bardzo religijny? – Tessa zastanawiała się nad tym, co przed chwilą powiedział. – To znaczy, przepraszam... Nie powinnam pytać.

– Nie, w porządku.

– Tylko mi nie mów – uśmiechnęła się – że pędzisz na jakieś pastwisko na prowincji, bo pastuszkowi się wydawało, że zobaczył na obłoku Dziewicę Maryję?

– Nie, ostatnio mi się to nie zdarza. Rozumiem, że ty z kolei nie jesteś zbyt religijna.

– Cóż... Powiedzmy, że potrzebowałabym bardziej przekonujących dowodów, zanim ktoś by mnie namówił, żebym ruszyła przez pół świata obejrzeć coś takiego.

– Bardziej przekonujących dowodów... Czyli potrzebujesz znaku. Niezaprzeczalnego i namacalnego?

– Czegoś w tym rodzaju.

Nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się.

– Co?

– Widzisz, jeśli człowiek wierzy, to nie potrzebuje dowodów ani cudów, a jeżeli wątpi, to nawet największy cud go nie przekona.

– Nie zgodzę się z tobą. Mogę ci wymienić parę rzeczy, które by mnie z miejsca przekonały.

– Może masz je w zasięgu wzroku, tylko ich nie dostrzegasz.

– Dobra. Wystarczy – powiedziała lekko poirytowana. – Nosisz odznakę FBI i twierdzisz, że wierzysz w cuda?

– Powiedzmy, że idziesz ulicą i masz wejść na pasy – wzruszył ramionami – i nagle, bez żadnego powodu, zatrzymujesz się w miejscu, przed krawężnikiem. I w momencie, w którym stanęłaś, przelatuje ci przed nosem ciężarówka... zaledwie centymetry od twojej twarzy, gdybyś nagle nie przystanęła, znalazłabyś się na jej drodze. Nie wiesz dlaczego, ale się zatrzymałaś. I to



uratowało ci życie. Wiesz co? Idę o zakład, że chwilę potem powiedziałabyś komuś: „To cud, że jeszcze żyję”. Dla mnie to właśnie jest cud.

– Ty nazywasz to cudem. A ja przypadkiem.

– Łatwo jest wierzyć, gdy człowiek stoi oko w oko z cudem. Prawdziwa próba wiary to sytuacja, kiedy dookoła nie ma żadnych znaków.

Wciąż była zdumiona, bo nie spodziewała się po nim takich poglądów. Nie była pewna, co ma o tym myśleć, ale na pewno nie napawało jej to entuzjazmem.

– Ty mówisz najzupełniej serio.

– Oczywiście.

Przyglądała mu się uważnie i widać było, że przeżuwa jego słowa.

– No dobrze, powiedz mi wobec tego – odezwała się – jak wiara, prawdziwa, szczerza wiara, taka jak twoja, ma się do tego, że jesteś śledczym?

– Co masz na myśli?

Podejrzewała, że rozumiał, o co jej chodzi; musiał sam zadawać sobie takie pytanie.

– Śledczy nie może wierzyć w nic ani nikomu. Nie wolno ci przyjmować niczego na wiarę. Liczą się wyłącznie fakty i dowody. Nie możesz dopuszczać żadnych wątpliwości i tak dalej.

– Tak, to prawda – nie wydawał się zaskoczony.

– Więc jak to godzisz ze swoją wiarą?

– Wierzę w Boga, nie w człowieka.

– No, nie. To nie może być takie proste.

– Mylisz się – powiedział z irytującym spokojem. – Jest. Pokręciła głową; na jej twarzy pokazał się delikatny uśmiech, za który zganiała samą siebie:

– Wiesz, lubię wierzyć, że znam się na ludziach, ale co do ciebie... zupełnie się nie sprawdziłam. Nie sądziłam, że możesz być... no wiesz, człowiekiem religijnym. Tak cię wychowano?

– Nie, moi rodzice nie byli szczególnie religijni. To się właściwie stało później.

Czekała, że zacznie opowiadać. On jednak milczał. Poczuli się znowu zawstydzona.

– Posłuchaj, nie gniewaj się, to jest oczywiście twoja osobista sprawa, a ja bombarduję cię tak nietaktownie pytaniami.

– Nie w tym rzecz, naprawdę. Chodzi o to, że... Mój ojciec zginął, kiedy byłem mały. Było mi bardzo ciężko, a jedyną osobą, która się mną wtedy zajęła, był ksiądz z naszej parafii. Pomógł

mi przez to wszystko przejść i potem po prostu tak zostało. To tyle.

Niezależnie od tego, co powiedział, Tessa wyczuła, że nie chce wdawać się w szczegóły. Uznała to za naturalne.

– Rozumiem.

– A ty? Jak przypuszczam, nie wychowano cię na szczególnie religijnego?

– Właściwie nie. Chyba atmosfera w domu była raczej akademicka, archeologiczna i naukowa. I to wszystko utrudniało pogodzenie tego, co działo się wokół mnie, z koncepcją boskości. Potem się dowiedziałam, że Einstein też był niewierzący i pomyślałam sobie, że... no cóż, jeśli to nie przeszkodziło mu być najmądrzejszym facetem na Ziemi...

– Rozumiem cię – powiedział. – Mam paru świetnych kumpli, którzy są ateistami.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa i zobaczyła, że się śmieje.

– Dobrze wiedzieć – stwierdziła. Chociaż to określenie nie do końca jej się spodobało. Uważała się bardziej za agnostyczkę niż ateistkę. – Większość ludzi, których znam, uważa, że ludzie niewierzący są do szpiku kości zepsuci... Po prostu bankruci moralni.

Przeszli z powrotem do salonu. Reilly zerknął na telewizor. Nadawano odcinek serialu o przygodach nastoletniego Supermana. Przesunął oczami po ekranie, a potem zapytał zupełnie z innej beczki:

– Muszę cię o coś spytać. To ma związek z Vance'em.

– Wał śmiało. Co chcesz wiedzieć?

– Mówisz o tym, co się mu przytrafiło, co się z nim stało, co zobaczyłaś na cmentarzu i w piwnicy, w taki sposób, że... Po prostu nie jestem pewien, co o nim sądzisz.

Tessa się zachmurzyła.

– Kiedy go poznałam, ładnych kilka lat temu, był bardzo miłym facetem, rozumiesz, normalnym. A to, co się stało z jego żoną i nienarodzonym dzieckiem, uważam za naprawdę straszne.

– Współczujesz mu – próbował zgadnąć Reilly.

– Do pewnego stopnia... – przypomniała sobie owo uczucie empatii, do którego sama przed sobą nie chciała się przyznać.

– Nawet po napadzie, po ścięciu głowy strażnikowi, po strzelaniu, po tym, jak zagrażał Kim i twojej mamie?

Tessa poczuła się nieswojo. Pytał o to, co jej samej wydawało się niepokojące, o te sprzeczne

uczucia, które do końca nie potrafiła zdefiniować.

– Wiem, że to głupie z mojej strony. To dziwne, ale w pewnym sensie rzeczywiście tak jest. Gdy mówił, widziałam jego nagłe zmiany nastroju, zachowywał się też bardzo różnie. Temu człowiekowi potrzebny jest szpital, a nie więzienie. On potrzebuje pomocy.

– Najpierw musimy go zatrzymać. Posłuchaj, Tesso, pamiętaj, że niezależnie od tego, przez co on przechodzi, to facet bardzo niebezpieczny.

Tessa przypomniała sobie spokojną twarz Vance'a, który siedział tutaj i gawędził z jej matką. Po prostu on, a może jej stosunek do niego, miał różne oblicza.

– Tak, to dziwne, ale... Nie jestem pewna, czy to nie były tylko groźby.

– Wierz mi, są rzeczy, o których nie masz pojęcia. Spojrzała na niego pytająco. Przecież sam mówił, że jest trzy metry przed peletonem.

– Jakie rzeczy?

– Inne zabójstwa. Ten człowiek jest niebezpieczny i już. Wierzysz mi?

Jego ton pełen emocji nie pozostawiał wątpliwości. Teraz ona była zbita z pantałyku.

– Co to znaczy inne zabójstwa? Kto zginął?

Nie odpowiadał. Nie dlatego, że nie chciał. Coś pochłonęło Jego uwagę, stał się nagle nieobecny, patrzył gdzieś poza nią. Tessa podążyła za jego spojrzeniem. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w telewizor. Na ekranie kilkunastoletni Superman za chwilę miał ocalić świat.

– O co chodzi, nie oglądałeś tego odcinka? – zażartowała Tessa. Ale on już ruszał do drzwi.

– Muszę jechać.

– Jechać? Dokąd?

– Przepraszam, ale po prostu muszę jechać. – Nie minęło pięć sekund, a już go nie było. Zatrzasnął za sobą drzwi z hukiem, a ona jak zamurowana gapiała się na nastolatka, który bez najmniejszego wysiłku przenikał wzrokiem ściany i przeskakiwał nad drapaczami chmur.

Ale to niczego nie wyjaśniało.

## Rozdział 45

Wieczorem na ulicach był wciąż spory ruch. Pontiac Reilly'ego przedzierał się na południe autostradą Van Wyck. Lśniące szeroko-kadłubowe odrzutowce ryczały nad ich głowami, podchodząc do lądowania. Do lotniska mieli niewiele ponad kilometr.

Aparo na siedzeniu pasażera przecierał dłońmi zaspane oczy, licząc, że rześkie, wiosenne powietrze wpadające przez otwartą szybę dokona reszty.

– Jak to się nazywało? – zapytał.

Reilly nie odpowiedział, przeszukując wzrokiem liczne tablice, które atakowały go pod różnymi kątami. W końcu znalazł tę, której szukał. Pokazał ją palcem.

– To ta.

Jego partner też ją zobaczył. Zielony napis po prawej stronie doprowadził ich do budynku cargo numer 7. Pod główną tablicą, zagubione między mniejszymi logo linii lotniczych, widniało to, które interesowało Reilly'ego.

Usługi Transportowe Alkalia.

Wkrótce po atakach terrorystycznych z 11 września Kongres Stanów Zjednoczonych przegłosował Ustawę o Bezpieczeństwie Lotniczym i Transportowym. Zgodnie z nią odpowiedzialność za kontrolę osób i towarów, które przewożą linie lotnicze, spadała na nowo utworzoną agencję, zwaną Administracją Bezpieczeństwa Transportu. Ktokolwiek i cokolwiek wjeżdża obecnie do Stanów Zjednoczonych, podlega znacznie bardziej rygorystycznej kontroli niż kiedyś. W całym kraju rozmieszczono specjalne bramki, tomografy, które sprawdzają bagaż i potrafią wykryć materiały wybuchowe. Podróżujących, niekiedy nawet na krótkich trasach, prześwietlało się kiedyś promieniami rentgenowskimi, ale te praktyki zostały zawieszono po protestach związanych z obawą przed napromieniowaniem. A dzisiaj nic, nawet bardzo prywatnego, nie umknie skanerom Rapiscan – prześwietlają wszystko.

Obszarem, którym agencja zajęła się w szczególności, były ładunki cargo z całego świata; jest to potencjalnie jeszcze większe zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego, choć najmniej pisano o tym w prasie. Dziesiątki tysięcy kontenerów, palet i skrzyń wlewa się codziennie do Stanów Zjednoczonych z najróżniejszych zakątków świata. W epoce zaostzonych środków bezpieczeństwa nowe dyrektywy dotyczące skanowania nie ograniczają się do bagażu

podróżnych. Obejmują również wszystkie ładunki dostarczane drogą powietrzną, lądową i morską, a systemy prześwietlania promieniami rentgenowskimi wielkich obiektów zainstalowano na każdym przejściu granicznym.

Siedząc w biurze włoskich linii lotniczych na terminalu lotniska Kennedy'ego, Reilly odczuwał szczególną wdzięczność dla rządu za to posunięcie.

Technik odpowiedzialny za zbieranie danych szybko i sprawnie przywoływał obrazy na monitor.

– Lepiej się dobrze rozsiądźcie, chłopcy. To była duża przesyłka. Reilly usiadł na wytartym krześle.

– Ta skrzynka, która nas interesuje, będzie się różnić od innych przedmiotów. Przeleć przez wszystko, a ja ci powiem, kiedy się zatrzymać.

– Robi się – mężczyzna skinął głową i zaczął przesuwać przed ich oczami obrazki z bazy danych.

Na ekranie widzieli paczki i skrzynie różnych rozmiarów, z góry i z boku. Wewnątrz obrazy przedmiotów, które kustosze Muzeów Watykańskich wysłali do USA na wystawę w Nowym Jorku. Reilly, który wciąż był na siebie wściekły, że o tym wcześniej nie pomyślał, podobnie jak Aparo nie odrywał oczu od monitora. Serce mu waliło, kiedy kaskadą przelewały się przed ich oczami świetliste duchy bogato zdobionych ram, krucyfiksów i statuetek. Rozdzielczość była zadziwiająco dobra, znacznie lepsza, niż się spodziewał; widać było nawet detale, takie jak oprawione w złoto klejnoty i szczegóły ornamentacji.

I wtedy z zalewu obrazów powodujących zawrót głowy wyłoniło się to, czego szukali.

– Stop! – Reilly był podekscytowany.

Przed ich oczami odarta z osłony prezentowała w bardzo wysokiej rozdzielczości swoje wspaniałe wnętrze maszyna szyfrująca.

## Rozdział 46

Tessa wbiegła do sali konferencyjnej i dopiero wtedy się zatrzymała. Była bardzo zadowolona, kiedy Reilly zadzwonił do niej po trzech dniach frustrującego milczenia. Podczas tych trzech dni z coraz większym trudem zdobywała matkę, która telefonowała z pretensjami i nalegała na jej przyjazd do Arizony. Czuła się nieswojo, bo śledztwo zaczęło się toczyć bez niej; nie mogła znaleźć sobie miejsca, ponieważ niezależnie od tego, co sugerował Reilly, ta sprawa nie dawała jej spokoju.

A teraz, gdy tylko spojrzała na stół konferencyjny, jego serdeczna rada, by zajęła się swoimi sprawami, była równie bezużyteczna jak wczorajsze gazety.

Na stole stała replika wielozębatkowego urządzenia szyfrującego wykonana z twardego, przezroczystego plastiku.

Zdołała wydusić z siebie jedno słowo:

– Jak...

Spojrzała na Reilly'ego ze zdumieniem i podziwem. Najwyraźniej zaplanował sobie niespodziankę – zaprosił ją do biura FBI i powiedział, że jeszcze raz chcą z nią przedyskutować sprawę.

Dopiero teraz przypomniała sobie o obecności innych osób w sali konferencyjnej: Jansson, Aparo, Gaines, kilka osób, których nie знаła, oraz oczywiście De Angelis. Podniosła wzrok na Reilly'ego. Ten skromnie się uśmiechnął.

– Pomyślałem, że będziesz chciała go poznać – wskazał mężczyznę, którego wcześniej nie widziała na spotkaniach. Rozdawał wszystkim jakiś spięty spinaczem wydruk. – To Terry Kendricks. On ją zbudował.

– Nie przesadzaj, zbudowaliśmy ją wspólnie, całym zespołem – sprostował szybko Kendricks, obdarzając Tessę promiennym uśmiechem. – Cieszę się, że mogę panią poznać.

Tessa nie mogła oderwać wzroku od maszyny. Przebiegła wzrokiem po wydruku, który jej podał, co jeszcze zaostrzyło jej apetyt.

– To działa? – zapytała Kendricksa.

– Naturalnie. Wszystko idealnie weszło na swoje miejsce. Oczywiście, po łacinie. Przynajmniej tak twierdzą językoznawcy, którzy to przetłumaczyli.

Tessa wciąż nie rozumiała. Spojrzała błagalnym wzrokiem na Reilly'ego.

– Ale... jak?

– Wszystko, co przechodzi przez cło, jest prześwietlane – wyjaśnił. – Nawet to, co przesyła Watykan.

Tessa musiała usiąść. Nogi miała jak z waty. Lekko drżącymi dłońmi ujęła kartki i przyglądała się dokumentowi, który jej wręczono. Natychmiast zaczęła czytać czysto i precyzyjnie wydrukowane słowa.

Był to list z maja 1291 roku.

– Wtedy padła Akka – powiedziała podekscytowana. – Ostatni bastion krzyżowców.

Skupiła się z powrotem na liście i zaczęła czytać, czując dreszczyk emocji. Te słowa i zdania łączyły ją ponad wiekami z ludźmi, których czyny i dokonania obrosły legendą.

„Z ogromnym smutkiem – zaczynał się list – informuję Cię, że nie możemy już dłużej bronić Akki. Wyjechaliśmy z miasta po zapadnięciu zmroku, z ciężkim sercem patrząc, jak płonie...”

## Rozdział 47

WSCHODNIE REJONY MORZA ŚRÓDZIEMNEGO, MAJ 1291 ROKU.

Całą noc płynęli na północ, wzdłuż wybrzeża, a kiedy nastał świt, galera zrobiła zwrot na zachód i pożeglowała w kierunku Cypru, ku bezpiecznemu portowi, w którym spodziewali się znaleźć schronienie.

Po ostatecznym ciosie, który w Akce zadali im muzułmanie, Martin czuł się nieludzko wyczerpany. Zszedł pod pokład, żeby złapać trochę snu, ale kołysanie statku sprawiało, że nie zasnął do świtu. Nie potrafił wyrzucić z pamięci wspomnienia o umierającym wielkim mistrzu i ich pospiesznej ucieczce. Kiedy o świcie wrócił na pokład, doznał szoku. Ciemne niebo przed nimi przeszywały zygzaki błyskawic nadciągającego sztormu. Głuchy pomruk grzmotów zagłuszał lament wiatru w takielunku. Za nimi, od wschodu, pas gniewnych, sinych chmur skrywał wstające słońce, którego promienie przebijały niebo niczym sztylety, desperacko próbując rozświetlić ponury horyzont.

Jak to możliwe? – pomyślał Martin. Dwa sztormy, jeden przed nami, a drugi nas dogania? Kilka pospiesznie wymienionych słów z Hugh potwierdziło, że kapitan okrętu również nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział.

Byli między młotem a kowadłem.

Wiatr wiał coraz szybciej, niosąc nagle fale zimnego, przenikliwego deszczu. Żagiel łopotał dziko, załoga próbowała utrzymać brasy we właściwym położeniu, maszt jęczał, protestując. Konie w ładowni rżały i wierzgały niespokojnie. Martin przyglądał się kapitanowi, który gorączkowo sprawdzał coś na mapie i wyznaczał pozycję, potem kazał bosmanowi zwiększyć tempo wiosłowania galerników i wykrzyczał do sternika współrzędne nowego kursu. Robił, co mógł, żeby się wyrwać ze szponów dwóch sztormów.

Martin wszedł na forkasztel do Aimarda. Starszy rycerz z niepokojem przyglądał się nadchodzącym z obu stron nawałnicom.

– Wygląda na to, że sam Bóg chce, by morze nas pochłonęło – powiedział do Martina, który głęboko w jego oczach dostrzegł strach.

Wkrótce wokół statku rozszalał się dziki sztorm. Było ciemno, choć oko wykol, dzień zamienił się w noc, a wiatr w huragan. Sfalowana powierzchnia wody nagle zbieleła od



potężnych grzyw piany, które z impetem uderzały w lewą burtę. Błyskawice eksplodowały równocześnie z ogłuszającymi grzmotami, a na pokład spadła ściana wody, odcinając ich od reszty świata.

Hugh kazał jednemu z marynarzy rozglądać się bacznie po horyzoncie i krzyczeć, gdy tylko zobaczy jakiś kawałek lądu. Martin przyglądał się, jak marynarz dzielnie, choć niechętnie zanurza się w ścianę deszczu i wspina do góry na bocianie gniazdo. Okręt walczył nieprzerwanie, kiedy fale waliły w niego z całą mocą. Niektóre przewalały nad rufą, a potem z hukiem uderzały o pokład. Wiosła zaczęły żyć własnym życiem: niektóre roztrzaskiwały się o kadłub, inne uderzały o torsy galerników przykutych do ław, powodując poważne obrażenia. Hugh musiał w końcu wydać rozkaz wciągnięcia wiosel do środka.

Bezradnym statkiem godzinami rzucało po ogromnych falach. Mimo ogłuszającego ryku morza Martin słyszał jęki drewna, gdy pękały włazy na rufie i granatowa woda wlewała się do ładowni. Okręt natychmiast niebezpiecznie się przechylił, a znad rei dał się słyszeć przenikliwy dźwięk trzaskającego drewna. Runął maszt. Martin spojrzał w górę i zobaczył, jak spada na trzech marynarzy, a nieszczęsny obserwator z bocianiego gniazda jak z katapulty wyleciał prosto w kotłujące się morze.

Bez żagla i wiosel galera była teraz zdana na łaskę sztormów i prądów morskich; rozszalałe morze pchało ją i ciągnęło w różne strony. Burza nie ustawała przez trzy dni i trzy noce, ale „Świątynia Sokoła”, choć ulegała woli sztormu, nie tonęła. Czwartego dnia nieustającej zawieruchy nagle jakiś głos krzyknął: „Ziemia! Ziemia!” Martin wyjrzał na pokład i zobaczył marynarza wskazującego coś ręką. On sam nie widział nic oprócz unoszącej się i opadającej wody. Wreszcie zobaczył wąski czarny pasek na horyzoncie.

I wtedy właśnie to się stało.

Cóż za okrucieństwo losu, że gdy w zasięgu ich wzroku pojawił się ląd, okręt zaczął się rozpadać. Poszycie klepkowe, które przez trzy ostatnie dni znosiło bezlitosne ciosy, w końcu nie wytrzymało. Najpierw usłyszeli potworne jęki drewna, potem coś przypominającego wybuchy, kiedy rozpadł się cały kadłub. Pośród przykutych do wiosel galerników wybuchła panika, konie w ładowni rżały i wierzgały z furją.

– Niewolnicy! – ryknął Hugh. – Rozkujcie ich, bo utoną! – Załoga ruszyła, żeby uwolnić wiosłarzy z łańcuchów. Ale niedługo cieszyli się wolnością, bo woda wlewała się potężnymi strumieniami pod pokład i do ładowni, zmywając ich do morza.

Hugh nie mógł już dłużej odwlekać tego, co było nieuniknione.

– Szalupa na wodę i opuścić statek! – Martin rzucił się do pomocy; była to ich jedyna szansa na przeżycie. Zobaczył wylaniającego się z kokpitu Aimarda, który niósł pod pachą owiniętą skórą pękate zawiniątko, kierując się w przeciwną stronę, ku dziobowi. Martin zawołał go, ale w tym samym momencie o burtę uderzyła kolejna potężna fala i porwała Aimarda jak szmacianą lalkę przez mostek, a potem uderzyła nim o pulpit, na którym rozkładano mapy. Narożnik pulpitu wbił mu się w klatkę piersiową. Krzyknął z bólu, ale zacisnął zęby i wstał; jedną rękę przyciskał do boku. Aimard odrzucił pomoc Martina – nie chciał przekazać mu zawiniątka, choć było ciężkie, nieporęczne i w sposób oczywisty przeszkadzało.

Ledwo zdołali wgramolić się do szalupy, choć była teraz na tym samym poziomie, co pokład galery. Martin de Carmaux spojrzął po raz ostatni na „Świątynię Sokoła”, którą pochłaniało rozgniewane morze – taki obraz zapamiętał. Potężna belka, która kończyła się rzeźbionym galionem, pękła jak sucha gałązka pod naporem sztormu; jeśli wydała jakiś odgłos, to zagłuszyło go demoniczne wycie wiatru i przeraźliwe rzenie tonących koni. Martin widział trwogę w oczach pozostałych ośmiu mężczyzn w szalupie – wszyscy patrzyli z przerażeniem, jak ogromny okręt znika pod potężnymi falami.

I fale, i wiatr gnały ich po wodzie, rzucając szalupą jak papierową łódeczką, a kapitan bezzwłocznie rozkazał sześciu z dziewięciu rozbitków siąść do wiosel i opanować ten szalony taniec. Napierając na drzewce, Martin patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Zmęczenie i rozpacz odebrały mu siły. Wygnano ich z Ziemi Świętej, a teraz stracili „Świątynię Sokoła”. Ciekawe, jak długo jeszcze pożyją, jeżeli w ogóle uda im się dotrzeć do stałego lądu. Gdziekolwiek by się znaleźli, będą daleko od domu, na terytorium wroga i nie mają w zasadzie czym się bronić, nawet przed najsłabszym przeciwnikiem.

Szalupa posuwała się naprzód. Wydawało mu się, że to trwa całymi godzinami, ale w końcu fale osłabły i zobaczyli ląd, który wypatrzył marynarz stojący na oku. Po niedługim czasie ciągnęli już szalupę przez fale przyboju, a potem wreszcie wyszli na piaszczystą plażę. Sztorm nadal szalał i smagał ich zimny deszcz, ale przynajmniej mieli stały ląd pod nogami.

Dźgali wszyscy mieczami w dno szalupy, a potem wypchnęli ją z powrotem na morze, które wciąż szalało, mimo że epicentrum burzy przesunęło się gdzieś dalej. Nikt, kto dotrze na tę plażę, nie powinien wiedzieć o ich obecności. Hugh stwierdził, że kiedy rozszalał się sztorm, mieli już kurs na północ; przypuszczał, że „Świątynia Sokoła” pchana wiatrem minęła Cypr, a potem

dryfowała na północ. Wierząc w intuicję i wiedzę kapitana, Aimard powziął decyzję, że należy unikać otwartych terenów na wybrzeżu. Pomaszerowali więc w głąb łądu, a potem zamierzali ruszyć na zachód w poszukiwaniu jakiegoś portu.

Niewysokie wzgórza dały im wkrótce schronienie od wiatru i, co ważniejsze, od oczu ewentualnych mieszkańców. Nie wydawało się wprawdzie, że grozi im bezpośrednie niebezpieczeństwo. Nie widzieli jeszcze nikogo i nie słyszeli nic oprócz wycia wiatru i uderzeń fal o skały. Nie było nawet ptactwa, które z pewnością skryło się przed burzą. Podczas długiego i wyczerpującego marszu Martin zaobserwował, że Aimard powoli opada z sił. Uderzenie w klatkę piersiową było potężne, a obrażenia, które spowodowało, zbierały swoje żniwo. Dzielnie znosząc ból, Aimard szedł naprzód, nie wypuszczając pękatego zawiniątka, choć drugą rękę przyciskał do bolącego boku.

Kiedy doszli wreszcie do jakiegoś miasteczka, w pierwszej chwili obawiali się, że będą musieli walczyć, co w ich obecnym stanie nie skończyłoby się dobrze. Byli zmęczeni, niektórzy ranni, a przede wszystkim brakowało im broni. Ale silniejszy od strachu okazał się głód. Zarówno jednak obawy, jak i nadzieja, że znajdą coś do jedzenia, okazały się płonne. Miasto zastali opuszczone, w domach nie było ludzi. Pośrodku stał zrujnowany kościół. Mury świątyni były nienaruszone, ale z dachu pozostał tylko wypalony szkielet krokwi, które trzymały się jakimś cudem na wysokich kamiennych kolumnach. Trudno było ocenić, kiedy dokonano tego aktu świętokradztwa. Z pewnością minęły od tego czasu tygodnie, miesiące, a może i lata.

Za kościołem olbrzymia stara wierzba zwieszała gałęzie nad studnią.

Rozejrzawszy się uprzednio dokładnie, rozbitkowie usiedli na ziemi i odpoczywali. Aimard de Yilliers był w najgorszym stanie. Martin chciał zaczerpnąć dla niego trochę wody ze studni, gdy rozległ się jakiś dźwięk – łagodne, melodyjne pobrzękiwanie dzwoneczków. Wykończeni rozbitkowie poderwali się i skryli za murami; zza nich obserwowali stadko kóz, które szło wąską uliczką. Chwilę później kozy stłoczyły się przy studni, a potem rozeszły, próżno szukając jakiegoś pożywienia; niektóre żuły listki i skubały małe gałązki wierzby. Pojawił się pasterz, mężczyzna stary, przygarbiony i kaleki; towarzyszył mu młody chłopak.

Martin spojrzał na Aimarda, który skinął nieznacznie głową; dostał jego przyzwolenie na objęcie dowództwa. Sygnalizując rozkazy dłońmi, rozesłał ludzi, żeby trzymali straż, podczas gdy on i Hugh podeszli do starego mężczyzny. Ten natychmiast padł na kolana, błagając, żeby ich nie zabijali, a przynajmniej oszczędzili jego wnuka. Podobnie jak niektórzy z braci

zakonnych, Martin i Aimard mówili trochę po arabsku. Mimo to przez dłuższą chwilę musieli uspokajać starca i zapewniać, że nie nastają na jego życie. Jeszcze dłużej trwało wyjaśnienie, że chcą kupić, a nie po prostu zabrać, kozę. Nie mieli pieniędzy ani kosztowności, ale proponowali w zamian kilka sztuk ubrań. W końcu udało im się dobić targu. Pasterz i jego młody pomocnik czerpali wodę ze studni dla swoich zwierząt, a rycerze rozpalili ognisko, krzesząc płomień krzemieniami, zarznęli kozę i upiekli mięso. Zaprosili pasterza i chłopca do zjedzenia z nimi posiłku.

Ten przyjazny gest prawdopodobnie ocalił im życie.

Od starca, który był szczęśliwy, że żyje, dowiedzieli się, że miasto nazywa się Fonsalis. Po południu ruszył w dalszą drogę ze swoim stadkiem i małym pomocnikiem. Posileni i nakarmieni rycerze i marynarze udali się na spoczynek, zamierzając rano podjąć przerwana podróż.

Długo nie pospali.

Rycerz, który trzymał wartę, usłyszał jakieś odgłosy i zaalarmował Martina. Ktoś biegł. Ktoś zbliżał się w ich kierunku. Był to wnuk pasterza. Nie mogąc złapać tchu, przerażony wyszeptał, że zbliża się oddział mameluków. Jego dziadek ich znał, ponieważ go kiedyś obrabowali; wiedział, że jadą tu po wodę.

Nie mieli wyboru, musieli stawić im czoło.

Przy pomocy Aimarda Martin szybko obmyślił zasadzkę. Jego ludzie, ustawieni w odpowiednio dużych odstępach, mieli utworzyć szyk w kształcie litery V, której otwarte ramiona skierują ku zbliżającemu się wrogowi, a u podstawy będzie studnia.

Ze zrujnowanego kościoła wydobyli kawałki kutego żelaza, żeby wzmocnić nędzne zasoby broni, i rozciągnęli linę z kołowrotu studni. Hugh i jeden z marynarzy zaciągnęli ją na otwarte ramiona litery V. Położyli linę w poprzek ścieżki, którą będą nadjeżdżać konni, przysypali ją ziemią i ukryli się po bokach. Martin rozejrzał się dokoła, upewniając się, że nic nie zdradza ich obecności. Gdy już wszystkiego dopatrzył, przykucnął za studnią i czekał.

Czekać też nie musieli długo. Zanim zobaczyli mameluków, usłyszeli ich konie i śmiech w znieruchomiałym powietrzu. Widać było, że czują się w tej okolicy panami i nie spodziewają się napaści. Mameluków obawiano się nie bez powodu. Jakies pięćdziesiąt lat wcześniej tysiące młodych ludzi z tych okolic sprzedano sułtanowi Egiptu. Władca, nie przewidziawszy skutków tej decyzji, sformował z nich swoją gwardię przyboczną, nazywając ich mamelukami – tak po arabsku mówi się o niewolnikach. Kilka lat później mamelucy wszczęli rewolucję i przejęli

kontrolę nad całym Egiptem. Bano się ich jeszcze bardziej niż tych, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej sprzedali ich w niewolę.

Ubrani w skórzane spodnie pokryte delikatnymi metalowymi łuskami i lekkie zbroje nosili u boków długie, zakrzywione szable, a u pasa sztylety. Do siodeł mieli przytroczone okrągłe, metalowe tarcze. Spod kopyt końskich unosił się kurz, a w powietrzu łopotały kolorowe proporce zdobiące arabskie włócznie.

Martin szybko ich policzył. Chłopak się nie mylił. Rycerzy było dwudziestu jeden. Wiedział, że wszyscy muszą zginąć, bo inaczej los rozbitków będzie przesądzony. Gdyby choć jeden zdołał uciec, wkrótce powróci ich znacznie więcej.

Kiedy ostatni z mameluków przemknął obok pozycji Hugh i jego towarzysza, Martin usłyszał, że dowódca zbrojnych zsiada z konia koło studni. Martin wystrzelił zza cembrowiny jak pocisk armatni i ciął na lewo i na prawo, zabijając dwóch ludzi potwornymi uderzeniami swego obosiecznego miecza. Mamelucy zaczęli zsiadać z koni i wtedy reszta rozbitków wyskoczyła z ukrycia, wydając z siebie okrzyki bitewne i tnąc zdezorientowanych konnych na oślep. Zaskoczenie było całkowite, a jego efekt piorunujący.

Mamelucy, którzy byli jeszcze na koniach, zawrócili wierzchowce i spięli je ostrogami, ruszając galopem z powrotem. Kiedy zrównali się z Hugh, kapitan uniósł linę i naciągnął ją najmocniej, jak potrafił. Pierwsze konie upadły, inne wpadały na leżące, a jeźdźcy katapultowali w powietrze. Rycerze już podbiegali do arabskich wojowników; kilka chwil później i na tym polu bitwy nie pozostał ani jeden żywy mameluk.

Zwycięstwo było okupione stratami. Gdy opadł pył, okazało się, że w zawierusze zginęło dwóch marynarzy i dwóch rycerzy. Zostało ich pięciu wraz z rannym Aimardem.

Ale mieli konie i broń.

Tę noc, pochowawszy swoich zmarłych, ocaleni ze sztormu rycerze przespali w zrujnowanym kościele, pełniąc na zmianę wartę. Tylko Martin nie zmrużył oka. Umysł i serce przepełnione miał obrazami z niedalekiej przeszłości, ale zachowywał najwyższą czujność na wszelkie dźwięki i ruch.

Dobiegł go jakiś szelest z tej części kościoła, w której zrobił legowisko Aimardowi. Wiedział, że przyjaciel ogromnie cierpi; słyszał, jak raz po raz kaszle, widział, że odkrztusza krew. Wstał i przeszedł przez osmalony kościół, ale Aimarda nie było tam, gdzie się spodziewał. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, Martin zobaczył, że stary rycerz siedzi przy małym

ognisku, które na przemian rozpala się i przygasa, gdy podmuchy wiatru wpadają przez zniszczony dach. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że Aimard pisze list. Obok stała dziwna maszyna z zębatkami, której Martin nigdy wcześniej nie widział.

Aimard podniósł głowę i Martin w świetle ogniska spostrzegł, że ucieszył się na jego widok.

– Chciałbym, żebyś mi pomógł – powiedział słabym ochryplym głosem.

Martin podszedł do niego niepewnie, czując napięcie w mięśniach.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Wygląda na to, że opuściły mnie siły – Aimard zakaszłał. – Chodź. – Podniósł się z ziemi i z wysiłkiem unosząc skórzane zawiniątko, poprowadził Martina w głąb kościoła. Podłoga była tam wyłożona kamiennymi płytami, na których gdzieś wypisano nazwiska i daty. Martin uświadomił sobie, że są to grobowce.

– Tu – powiedział Aimard, kiedy zatrzymał się nad płytą, na której wyryte było słowo „Romiti”.

Martin spojrział na niego niepewnie, nie wiedząc, czego stary rycerz od niego oczekuje. Aimardowi udało się uśmiechnąć:

– Chciałbym, żebyś to otworzył.

Bez zastanowienia Martin dobył swój miecz i podważył nim płytę nagrobną.

– Trzymaj – poprosił Aimard. Uklęknął i włożył owinięty w skórę obły przedmiot do ciemnego otworu. Kiedy skończył, skinął głową na młodszego rycerza. – W porządku.

Martin ostrożnie opuścił płytę. Aimard zbadał, czy nie ma żadnej szczeliny, dzięki której ktoś mógłby zauważyć, że grobowiec był otwierany, a potem wstał i noga za nogą dowlókł się do swojego małego ogniska. Z zaciśniętymi z bólu zębami usiadł na ziemi.

Martinowi w ciemności wirowało w głowie od myśli i pytań. Kiedy Aimard de Yilliers całe lata temu zachęcał go do wstąpienia do zakonu, poczuł się zaszczycony i wyróżniony. Przez pierwsze trzy lata miał wiele powodów do dumy – templariusze byli rzeczywiście rycerzami niezwykle odważnymi, oddanymi Bogu, ludzkości i Kościołowi. Ale teraz, kiedy Ziemia Święta przeszła w ręce niewiernych, nie miał pojęcia, co się z nimi stanie. Nie widział już przed sobą jasno określonych celów.

Nie tylko to go niepokoiło. Przez te lata wyczuwał w zakonie niewypowiedziane napięcia. Fragmenty rozmów, które przypadkowo usłyszał, dowodziły, że dochodzi do tarć między zakonem a Kościołem. Tam, gdzie spodziewał się zaufania i współpracy, widział jakiś rozdźwięk

i wzajemną podejrzliwość. Kościół ostatnio w ogóle im nie pomagał, gdy prosili o wsparcie i posiłki wojskowe. Odmowa pomocy przypieczętowała los garnizonu templariuszy w Akce. Czyżby Watykan celowo zostawił świątynię na łasce losu?

Odpędził od siebie tę myśl. Na pewno nie.

Oprócz tego były jeszcze tajne spotkania, na które William de Beaujeu zapraszał tylko nielicznych, najstarszych zakonników. Po tych spotkaniach bracia, na przykład Aimard de Yilliers, którego otwartość i szczerść Martin cenił wysoko, wracali posępni i milczący. Bogato zdobiona skrzynia, tajemnicze słowa, które Aimard wymieniał z wielkim mistrzem tuż przed wejściem na pokład „Świątyni Sokoła”. A teraz to.

Czy nie był godny zaufania?

– Martinie. – Zaskoczony otrząsnął się z myśli i zwrócił oczy na Aimarda; jego twarz wykrzywił ból, głos mu zamierał; mamrotał niezbyt niewyraźnie przez ściśnięte gardło. – Wiem, o czym myślisz. Ale musisz uwierzyć w to, co powiem... Są pewne rzeczy, które musisz wiedzieć, które właśnie ty powinienes wiedzieć, jeżeli nasz zakon ma przetrwać. William powierzył mi tajemnicę i zadanie, ale... – przerwał mu kaszel; otarł usta i po chwili znów zaczął mówić: – Moja ziemską podróż tu się kończy, obaj o tym wiemy. – Uniósł dłoń, uprzedzając protesty Martina. – Muszę ci powierzyć tę wiedzę. Dokończysz za mnie zadanie, które ja ledwo zacząłem wypełniać.

Martin poczuł wyrzuty sumienia z powodu swoich bezpodstawnych podejrzeń i wątpliwości.

– Usiądź przy mnie – powiedział Aimard. Chwilę trwało, zanim złapał oddech i rozpoczął swoją opowieść. – Przez wiele lat ten sekret znała tylko garstka naszych braci. Na początku było ich dziewięciu. Nigdy liczba wtajemniczonych nie była wyższa. Ta wiedza jest fundamentem naszego zakonu, a jednocześnie źródłem lęku i zawiści Kościoła.

Aimard snuł opowieść przez całą noc. Z początku Martin nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Czuł się coraz bardziej sfrustrowany, nawet rozgniewany, ale ponieważ opowiadał mu o tym Aimard, któremu ufał, wiedział, że ta historia nie może być wyssana z palca. To wszystko prawda.

W miarę jak Aimard mówił, głosem coraz słabszym i coraz bardziej urywanym, do Martina zaczęło docierać to, co słyszy. Gniew przerodził się w lęk, potem zrozumiał szlachetność celu. Aimard był dla niego jak ojciec, a oddanie sprawie ze strony starego rycerza było dla Martina wzorem. Powoli, lecz z niesłabnącą pewnością zasiewał we własnym sercu ziarno prawdy,

w duszy jak w kamieniu wykuwał każde słowo Aimarda.

Aimard wciąż mówił, choć wstało już słońce. Gdy skończył, Martin przez chwilę milczał.

– Powiedz mi, co mam robić – spytał. – Czego ode mnie oczekujesz?

– Napisałem list – powiedział mu Aimard. – List musi dotrzeć do wielkiego mistrza Świątyni Paryskiej. Jest przeznaczony wyłącznie dla niego, nikt inny nie może go zobaczyć. – Pokazał list Martinowi, który nie potrafił go odczytać. Aimard wskazał gestem głowy na pełną zębatek i lewarków maszynę, która stała u jego boku. – Jest zaszyfrowany... Na wypadek, gdyby wpadł w niepowołane ręce.

Aimard przerwał i spojrział w kierunku pozostałych rycerzy z ich drużyny.

– Jesteśmy na terytorium wroga, a zostało was tylko czterech – powiedział. – Trzymajcie się razem tylko tak długo, dopóki będzie to konieczne, a potem podzielcie się na dwie pary. Jedźcie do Paryża dwiema różnymi drogami. Sporządziłem kopię tego listu. Po jednej dla każdej pary. Wyłumacz pozostałym, jak ważna jest to misja, ale błagam cię, nie przekazuj im tego, co ci ujawniłem. Wolno ci to zrobić dopiero wtedy, gdy poczujesz nadchodzącą śmierć.

Martin bacznie przyjrzał się swojemu staremu przyjacielowi, zanim spytał:

– Co będzie, jeżeli zginiemy w drodze? Co stanie się z naszym zakonem?

– Są inni – powiedział mu Aimard. – Niektórzy w Paryżu, niektórzy gdzie indziej. Prawda nigdy nie zaginie – przerwał, by złapać oddech. – Część faktów, które znajdują się w tych listach, znana jest tylko mnie, chociaż sądzę, że Hugh musiał też coś odgadnąć. Ale on nie będzie zadawał pytań. Nie jest naszym bratem zakonnym, ale to człowiek nieugięty i lojalny. Możesz mu zaufać. Tak jak ja ufam tobie.

Aimard sięgnął do kieszeni kaftana i wyciągnął dwa pakunki, każdy zawinięty w garbowaną skórę.

– Weź je teraz. Każda dwójka niech zabierze jeden.

– Mam dać drugi list Hugh?

Aimard pokręcił głową.

– Nie. Nie jest członkiem naszego zakonu, a może przyjdzie chwila, kiedy wielki mistrz w Świątyni Paryskiej zechce wysłuchać tylko jednego z naszych braci. Uważam, że Hugh powinien być w parze z tobą. Martin skinął głową, a potem spytał:

– A co stanie się z tobą, Aimardzie?

De Yilliers kaszlnął i otarł dłonią usta. Martin znów zobaczył krew na jego brodzie.



– Jak na razie dopisywało nam szczęście, ale nie wątpię, że na twojej drodze stanie jeszcze dużo niebezpieczeństw – rzekł Aimard. – Tej podróży nie wolno opóźniać, taszcząc ze sobą chorych i rannych. W przyszłości też, a już na pewno nie teraz. Jak powiedziałem, moja wędrówka kończy się tutaj.

– Nie możemy cię zostawić w tym stanie – zaprotestował Martin. Krzywiąc się z bólu, Aimard dotknął palcami żeber.

– Po tym wypadku na okręcie – powiedział – mogę się mienić człowiekiem szczęśliwym, że dotarłem aż tak daleko. Weź list i jedź. Nie wiem jak, ale jakoś musisz dotrzeć do Paryża. Na twoich barkach spoczywa olbrzymia odpowiedzialność.

Martin de Carmaux skinął głową, a potem mocno otoczył ramionami swego starego przyjaciela i mentora. Wreszcie wstał i odszedł w kierunku pozostałych rycerzy, którzy szykowali wierzchowce. Powiedział im coś; wszyscy zwrócili się w stronę Aimarda de Yilliers, który przez chwilę wytrzymał ich wzrok, a potem z trudem wstał i niepewnym krokiem skierował się do studni. W rękach miał urządzenie do szyfrowania. Martin przyglądał mu się w pełnej napięcia ciszy. Jego stary przyjaciel roztrzaskał mechaniczne urządzenie o cembrowinę i kawałek po kawałku wrzucał na dno studni.

– Bóg z tobą – powiedział Martin cicho. – I z nami wszystkimi.

Chwyć w dłonie wędzidło wierzchowca i wskoczył na arabskie siodło. Po chwili czterej konni jechali gęsiego przez ruiny miasteczka, prowadząc luzaki. Kierowali się na północny zachód, niepewni swego losu, nieświadomi niebezpieczeństw, które czyhają na nich podczas długiej podróży do Francji.

## Rozdział 48

Tessa wciąż błądziła myślami po azjatyckich pustkowiach rabowanych przez mameluków; głos Janssona przerwał jej średniowieczną wyprawę, ściągając ją z powrotem do współczesności.

– Musimy przyjąć, że Vance zdołał to już przetłumaczyć – stwierdził niechętnie.

– Oczywiście – potwierdził bez wahania Reilly.

Przypomniała sobie, gdzie jest, i nie wypuszczając z rąk wydruku, rozglądała się po obecnych. Nie byli pod tak silnym wrażeniem jak ona. Dla niej wszystko to znaczyło coś więcej. Ten nieoczekiwany i bardzo intymny wgląd w życie, działania, myśli i śmierć legendarnych zakonników głęboko ją poruszył. Ponadto potwierdzał to wszystko, co podpowiadał jej instynkt od chwili napadu na muzeum. Czuła, że wszystkie nerwy i mięśnie jej ciała są napięte do ostateczności w oczekiwaniu tego, co nastąpi. To może być Troja, to może być i Tutenchamon. Zastanawiała się, czy ktokolwiek z siedzących przy stole jest w równej mierze zafascynowany dokumentem, który każdy z nich trzymał w rękach, i jego implikacjami, czy też interesuje ich ten list wyłącznie dlatego, że dzięki niemu uda się rozwiązać szczególnie trudną sprawę.

Z wyrazu twarzy Janssona wynikało jednoznacznie, co o tym myśli:

– Dobrze, tak naprawdę dokładnie i do końca nie wiemy, o czym tu mowa – powiedział – oprócz tego, że coś, czego szukamy, jest tak małe, że da się to trzymać pod pachą; ale przynajmniej wiemy, dokąd Vance zmierza. Fonsalis. – Jansson rzucił pytające spojrzenie Kendrickowski.

– Przykro mi – powiedział ponuro Kendrick. – Nie potrafię wam pomóc. Moi ludzie nad tym pracują, ale na razie poruszamy się po omacku. Nie znaleźliśmy żadnych zapisków na temat tego miasteczka.

– Naprawdę nic nie macie? – Jansson zmarszczył brwi; widać było, że jest poirytowany.

– Nie. W każdym razie jeszcze nie. Mówimy tu o trzynastowiecznej Europie. Nie mieli tak dokładnych map jak my teraz. Kartografia była prymitywna i niedokładna, a jako że zostało ich z tamtych czasów bardzo niewiele, trudno na ich podstawie cokolwiek ustalić. Niewiele więcej informacji przynoszą źródła pisane. Przedzieramy się przez wszystkie dokumenty od tamtych czasów aż do dzisiaj, przez listy, relacje z podróży, dzienniki i tak dalej. To musi potrwać.

Tessa patrzyła, jak Jansson ciężko opada na fotel i przeczesuje dłonią włosy. Twarz miał

chmurną. Widać niezbyt dobrze znosił fakt, że materia nie zawsze poddaje się współczesnej technologii, że po prostu brakuje im danych, które dałoby się wprowadzić do komputera.

– Może Vance też jeszcze do tego nie doszedł – zasugerował Aparo.

– Nie liczyłabym na to – po chwili wahania Tessa postanowiła zabrać głos. – On się w tym specjalizuje. Odniesienia do czegoś takiego mogą się nie pojawiać w ogłoszonych pracach, które wasi eksperci mają w swojej bazie danych. Łatwiej byłoby je znaleźć w jakimś nieopublikowanym manuskrypcie z tamtych czasów, jakiejś zapomnianej książce, którą Vance z pewnością odnajdzie łatwiej niż ktokolwiek.

Jansson przyglądał się jej i wyglądało na to, że się zastanawia. Obok niego siedział De Angelis, nie spuszczać wzroku z Tessy. Ona jednak niewłaściwie oceniała jego intencje. Sądziła, że ze wszystkich obecnych na sali on jeden doceniał wagę zdarzenia, w którym przyszło im przed chwilą uczestniczyć. Nie wyglądał jednak na zdziwionego ani w żaden inny sposób nie dał po sobie poznać, co myśli – nie odezwał się słowem w ciągu całego spotkania.

– W porządku, musimy się zatem jak najszybciej dowiedzieć, gdzie to jest, jeżeli mamy złapać tego faceta – powiedział bez entuzjazmu Jansson. Zwrócił się do De Angelisa: – Liczę w tej sprawie na pomoc wielebnego i jego ludzi.

– Ależ oczywiście. Zaangażuję do tego naszych najlepszych naukowców. Mamy olbrzymią bibliotekę. To tylko kwestia czasu.

– Czasu, którego może nam zabraknąć – Jansson mówił teraz do Reilly’ego. – Ten misio nie lubi siedzieć na tyłku, pewnie już wyjechał z kraju.

– Urząd Celny i Ochrony Granic z pewnością nada tej sprawie najwyższy priorytet – powiedział Reilly. Ten urząd zajmował się śledzeniem ruchu ludzi i obiektów wjeżdżających i wyjeżdżających z kraju. – Fonsalis musi się znajdować we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, czy tak? – zwrócił się do Tessy. – Czy moglibyśmy zawęzić ten obszar i powiedzieć, dokąd mniej więcej Vance może się udać?

– To może być wszędzie – Tessa lekko odchrząknęła; pytanie było trudne. – Na pewno ostro zesłi z kursu... Czy mamy mapy tego obszaru?

– Oczywiście. – Kendrick pochylił się nad klawiaturą komputera i wystukał coś na klawiszach. Po chwili na ogromnym ekranie plazmowym na wprost nich pojawiła się mapa świata. Znów nacisnął kilka klawiszy i obraz na ekranie się przesunął, potem kilkakrotnie go powiększył i ukazało się wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego.

– Jak wynika z listu – Tessa podeszła do mapy – wypłynęli z Akki, którą mamy tutaj; to dziś w Izraelu na północ od Hajfy. Żeglowali w stronę Cypru. Płynęli najpierw na zachód, mając przed sobą i za sobą sztorm, a więc czym prędzej skierowali się na północ; mogli być już w pobliżu Cypru... – zastanowiła się chwilę, studiując mapę; przed oczyma stanęły jej obrazy tej niebezpiecznej podróży. Próbowała sobie wyobrazić, że naprawdę była tam z nimi.

Otrząsnęła się z tych myśli, skupiając się na tym, czego od niej oczekiwano. – Dryfowali, więc wszystko zależy od tego, dokąd zagnał ich sztorm. Jeśli na wschód od wyspy, to mogli wylądować gdziekolwiek wzdłuż wybrzeża Syrii lub południowo-wschodniej Turcji, gdzieś tutaj – wskazywała palcem. – Albo mogli przejść na zachód od Cypru, a w takim wypadku musielibyśmy się skupić na tym małym obszarze południowo-zachodniego wybrzeża Turcji, między zatoką Antalyi a wyspą Rodos.

– To dość spory obszar – burknął poirytowany Jansson.

– Linia brzegowa i krajobraz całego tego wybrzeża jest dosyć jednorodny – powiedziała Tessa. – Nie ma w liście nic, co mogłoby sugerować jakieś konkretne miejsce. Ale nie wyobrażam sobie, by w czasie potężnego sztormu wypatrzyli brzeg, gdyby byli od niego daleko.

– Możemy zacząć – zgodził się Reilly, przyglądając się mapie – od postawienia na baczność naszych ludzi w Turcji i w Syrii.

– Jak ten Vance kombinuje? – Jansson nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. – Uważa, że to, co zakopali kilkadziesiąt lat temu, wciąż na niego czeka? Wygląda na to, że list w końcu dotarł do Francji. Dlaczego przypuszcza, że templariusze nie posłali nikogo, żeby to odzyskać?

Tessa przypomniała sobie historię, którą opowiadał jej Vance i jego stwierdzenie: „Ludzie mówili, że od tego dnia nigdy się już nie uśmiechną”.

– Czas jest kluczem do tej zagadki. Nie zapominajmy, że według Vance’a starzec, który pokazał rękopis księdzu – temu, który osiwił w ciągu paru godzin po wysłuchaniu opowieści – był jednym z ostatnich żyjących templariuszy. De Molay i inni zostali spaleni na stosie w tysiąc trzysta czternastym roku. Ostatni templariusz wyznał coś na łożu śmierci, a to z pewnością było znacznie później, musiało minąć jakieś dwadzieścia lat od zatonięcia okrętu. Myślę, że Vance liczy na to, że jeżeli w tym czasie nie odzyskali tego, co zostało tam zakopane, to nikt inny nie zrobił tego później.

Na sali konferencyjnej zapadła cisza. Mieli sporo do przemyślenia, zwłaszcza że siedzący przy stole nie byli zbyt biegli w pojmowaniu odległej przeszłości. Kendricks, który

najprawdopodobniej zdawał sobie sprawę z doniosłości tego, co było przedmiotem dyskusji, w aspekcie historycznym, zabrał głos zaraz po niej:

– Przeprowadzimy symulację możliwych tras okrętu. Weźmiemy pod uwagę takie czynniki, jak kierunek wiatrów o tej porze roku, prądy morskie i tym podobne rzeczy. Zobaczymy, czy jakieś szczegóły w tekście odpowiadają klimatologii ewentualnych regionów, i spróbujemy zbudować kładkę, po której można by wejść na ląd w określonym miejscu.

– Dobrze byłoby sprawdzić wraki okrętów znalezionych w tym regionie. Kto wie, może jeden z nich był właśnie „Świątynią Sokoła”. – Ze sposobu, w jaki Jansson się podniósł, wynikało jasno, że zebranie uważa za skończone. Zwrócił się do De Angelisa: – Będziemy w kontakcie, wielebny?

– Jak tylko się czegoś dowiem, natychmiast poinformuję. – De Angelis był spokojny i opanowany jak zawsze.

Reilly odprowadził Tessę do windy. Już miał nacisnąć przycisk, gdy zwróciła się do niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Byłam trochę zaskoczona, kiedy mnie poprosiłeś, żebym przyjechała na to zebranie. Po twojej przemowie pod hasłem: „Musisz o tym zapomnieć” sprzed kilku dni...

– Tak – uśmiechnął się Reilly i zażenowany potarł czoło. Miał za sobą długie popołudnie. – Prawdopodobnie sam powinienem się bić po łapach za to, że znów cię w to wciągam. – Teraz zrobił się poważniejszy. – Mówiąc całkiem szczerze, nie do końca wiedziałem, czy dobrze robię.

– No cóż, jestem ci wdzięczna, że zwyciężył w tobie... ryzykant.

Naprawdę polubił ten jej szelmowski uśmieszek. Wszystko w niej go pociągało. Przypomnił sobie radość na jej twarzy, gdy zobaczyła replikę maszyny szyfrującej na stole w sali konferencyjnej. To był jej narkotyk; ta kobieta lubiła żyć intensywnie, znajdowała szczerą radość w tym, co umykało większości ludzi, a już na pewno jemu – nie przypominał sobie, by kiedykolwiek coś go tak bardzo ucieszyło.

– Posłuchaj, Tesso, ja wiem, że to dla ciebie wiele znaczy, ale...

– A dla ciebie? – przerwała mu, podczas gdy on usiłował zebrać myśli. – Co to oznacza dla ciebie?

Aż podskoczył, bo rzadko kto ważył się pytać go o motywy jego postępowania. A już na pewno nie w pracy. To było oczywiste, zrozumiałe samo przez się.

– Co masz na myśli?

– Pytam, czy aresztowanie Vance’a to absolutnie wszystko, czego po tej sprawie oczekujesz?

– Na razie nie wybiegam myślą poza ten cel – uznał, że to przynajmniej jest jasne.

Ale w Tessie wszystko się gotowało.

– Ani przez chwilę w to nie uwierzę. Przyznaj się, Sean – naciskała. – I nie wmawiaj mi, że nie jesteś tym wszystkim zaintrygowany. Na Boga, przecież odczytaliśmy zaszyfowaną wiadomość. Na temat czegoś, od czego zależała ich przyszłość. Spalono ich za to na stosie, zmieciono z powierzchni ziemi, wykorzeniono. Nie jesteś ciekaw, co zostało ukryte w tym grobowcu?

– Najpierw go złapmy – Reilly z trudem opierał się jej entuzjazmowi. – Zbyt wielu ludzi z tego powodu już zginęło.

– Więcej niż myślisz. Dolicz też tych templariuszy, którzy położyli wtedy głowy.

Mówiąc to, jakoś spięła wszystko, nad czym się wcześniej zastanawiał, klamrą. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, z czym właściwie próbowali się uporać. Wiedział, że drugie dno odkryje znacznie później. Teraz musiał zamknąć sprawę napadu rabunkowego na muzeum.

– Chyba rozumiesz, dlaczego nie chciałem cię w to angażować. Widzę jednak, że nie potrafisz się od tego uwolnić. I to mnie bardzo martwi.

– A jednak zadzwoniłeś.

Masz babo placek, znów ten szelmowski uśmieszek.

– No tak, cóż mam powiedzieć... Wygląda na to, że znów muszę skorzystać z twojej pomocy. Może z odrobiną szczęścia złapiemy go na jakimś przejściu granicznym, ale marzę o tym, że nasi ludzie będą na niego czekać w Fonsalis, chociaż na razie nie wiemy, co to za miasto.

– Wracam do domu i zaczynam myśleć. – Tessa wcisnęła guzik.

Patrzył na nią bez słowa; kąciki ust miała lekko podciągnięte do góry, w oczach przewrotne błyski. Nieznacznie pokręcił głową i nie mógł się powstrzymać od lekkiego chichotu:

– Nie zauważyłem, żebyś chociaż na chwilę odpuściła.

– To się zdarza – spojrzała na niego z miną niewiniątka. – Ale niezbyt często.

Kiedy otwierały się drzwi windy, usłyszeli dwa dyskretne dzwonki. Kabina była pusta. Patrzył, jak Tessa wchodzi do środka.

– Będziesz ostrożna? Przyrzekasz?

– Niczego ci nie przyrzekam – odwróciła się, przytrzymując drzwi. – Mam zamiar być całkowicie, beznadziejnie i niewybaczalnie nieostrożna.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi windy cicho się zamknęły i zniknęła mu z oczu. Stał jeszcze przez chwilę, mając wciąż przed oczami jej rozpromienioną twarz. W końcu dźwięk nadjeżdżającej windy obudził go z zamyślenia.

Szelmowski uśmiezek towarzyszył jej, kiedy wychodziła z budynku. Wiedziała, że ona i Reilly zaczynają flirtować; podobało jej się to. Tego kontredansa nie tańczyła już bardzo długo, a na wczesnym etapie romansu, tak jak w jej pracy, było zawsze najprzyjemniej – przynajmniej we wspomnieniach. Dostrzegła związek między archeologią a mężczyznami. Podobnie jak w archeologii, na wczesnym etapie związku następuje przyływ oczekiwań wobec tego, co się może zdarzyć – wiąże się z nim tajemnica, optymizm i nadzieja, które nigdy do końca nie spełniają obietnic.

Może tym razem będzie inaczej? Na obu frontach?

Akurat.

Wyszła wprost na rześkie wiosenne powietrze i zdała sobie sprawę, że jest coś, co według niej nie pasuje do układanki, choćby nie wiem jak się starała – to sugestia De Angelisa, że tak skrętnie ukrywany sekret ma coś wspólnego z alchemią. Prześladowało ją to coraz silniej. Im dłużej o tym myślała, tym mniej w to wierzyła. A jednak wysłannik Watykanu mówił to z taką pewnością, jakby był o tym przekonany. Wzór chemiczny opisujący przemianę ołowiu w złoto? Kto nie zrobiłby wszystkiego, co możliwe, by ukryć taką tajemnicę przed oczami świata? A jednak coś jej tutaj nie grało, coś się nie składało.

Najbardziej intrygująca ze wszystkiego była myśl Aimarda, że ten sztorm jest przejawem woli Bożej. Że Bóg chciał, by morze połknęło to, co wieźli pod żaglami, i by tajemnica spoczęła na dnie. Dlaczego miałby tak myśleć? Intrygujące były także rozmiary ukrytego skarbu. Jakiś relikwiarz. Niewielka skrzynka. Cóż takiego było w niej ukryte, że tylu ludzi straciło przez to życie i gotowi byli zabijać?

Fonsalis.

Musi znaleźć to miejsce i rozwiązać zagadkę, jeżeli ma pozostać w grze.

Postanowiła, że nic się nie stanie, jeżeli nie prześpi paru nocy. Musi też sprawdzić, czy paszport jest w porządku.

Wiedziała, że czeka ją nieprzyjemna rozmowa telefoniczna z matką; musi jej powiedzieć, że minie jeszcze kilka dobrych dni, nim spotkają się wszystkie w Arizonie.

De Angelis wrócił do swojego pokoju w hotelu. Pogrążony w myślach o problemach, które

mogą za chwilę stanąć na jego drodze, usiadł na krawędzi twardego łóżka i zadzwonił do Rzymu. Rozmawiał z duchownym, który był daleko od kręgu kardynała Mauro. Chwila nie była odpowiednia, by stawać twarzą w twarz z pytaniami bez odpowiedzi.

Wiedząc, że przewaga, którą miał, gdy wyśledził i upolował czterech jeźdźców, ulotniła się jak sen, był również świadom, że trzymanie się blisko śledztwa niczemu już nie służyło. Wiedział, że będzie musiał niedługo rozpocząć własną wojnę. Wydał kilka rozkazów, by zapewnić sobie odwrót; kiedy w końcu postanowi ruszyć, będzie mógł wyjechać bez zwłoki.

Załatwiwszy najważniejsze, wyciągnął plik fotografii z teczki, rozłożył je na łóżku i przyjrzał się jednej po drugiej. Tessa wychodząca i wchodząca do budynku FBI. Wychodząca i wchodząca do domu w Mamaroneck. Jej pokój w Instytucie Manoukiana. Zdjęcia z oddali i zbliżenia. Nawet na bardzo niewyraźnych fotografiach biła z niej wiara w siebie i determinacja, która nie odstępowała jej w prawdziwym życiu. Udowodniła, że potrafi być nieprzejeđnana i ma sporo wyobraźni. W przeciwieństwie do agentów FBI od razu wyzwoliła się z pułapki koncepcji, że to była zwykła kradzież.

Jej wiedza historyczna, znajomość z Vance'em jeszcze przed atakiem – wszystko to razem czyniło z niej ważnego sprzymierzeńca i niebezpiecznego przeciwnika.

Dotknął jednej z fotografii, stukając palcem w jej czoło. Bystra dziewczynka. Bardzo bystra dziewczynka. Jeśli ktoś z nich rozwiąże tę zagadkę, to na pewno ona. Wiedział jednak, że nie będzie się chciała z nikim dzielić odkryciem.

Trzeba będzie je z niej wyciągnąć.



## Rozdział 49

Tessa straciła poczucie czasu, ale sądząc ze stosu kubków po kawie na biurku i po ilości kofeiny, która krążyła w jej żyłach, zgadywała, że minęło już wiele godzin, odkąd zalogowała się na komputerze w Instytucie Manoukiana.

Budynek był pusty. Gołębie i wróble za oknem spały, a ogród tonął w ciemnościach. Czekala ją kolejna długa, pełna niepokoju i frustracji noc.

Kilka ostatnich dni przypominała sobie jak przez mgłę. Przesiadywała w bibliotece Columbia University tak długo, że o jedenastej dosłownie ją wyrzucano. Docierała do domu krótko po północy, taszcząc ze sobą stos książek; wertowała jedną po drugiej, w końcu znużona zasypiała, kiedy wschodziło słońce, a po upływie pół godziny wyrwał ją ze snu przenikliwy sygnał budzika.

Teraz siedziała przy biurku, ledwo widząc na oczy; wciąż przedzierała się przez stosy książek – niektóre przyniosła ze sobą, inne pochodziły z olbrzymiej kolekcji instytutu. Od czasu do czasu coś na tych stronicach przykuwało jej uwagę i Tessa podekscytowana wchodziła do Internetu, błogosławiąc Google za setki godzin, których jej zaoszczędziła, i przeklinając, kiedy nie dostarczała tego, czego się spodziewała.

Jak na razie, więcej razy zasłużyła na przekleństwo.

Odwróciła się od biurka i wyjrzała przez okno, trąc palcami zmęczone oczy. Cienie w ogrodzie nakładały się jeden na drugi. Stwierdziła, że nie potrafi się skupić, oczy też odmawiały jej posłuszeństwa. To nic. Przerwa jej dobrze zrobi. Nie pamiętała, kiedy ostatnio przeczytała tak dużo w tak krótkim czasie. Jedno słowo miała wypisane pod powiekami, niemal wypalone, ale nie natrafiła na nie nigdzie.

Fonsalis.

W ciemnościach za oknem gapiała się na dużą wierzbę w ogrodzie, która ocieniała go za dnia jak półkolista markiza. Delikatne gałązki kołysały się w podmuchach lekkiego wiatru, a sylwetka rzucała cień na ceglana ścianę oświetloną odległymi lampami ulicznymi.

Spojrzała na pustą ławkę pod drzewem. Ławeczka wydawała się z zupełnie innej bajki, jakby to nie było centrum wielkiego miasta – po prostu idylla. Tessa miała ochotę wyjść na dwór, zwinąć się na niej w kłębek i spać, spać, spać.

I wtedy wyobraźnia podsunęła jej obraz.

Bardzo niepokojący obraz, który zburzył jej olimpijski spokój.

Pomyślała o mosiężnej tabliczce umocowanej na maleńkiej drewnianej tablicy stojącej u podnóża wierzby. O tabliczce, którą czytała chyba ze sto razy.

Drzewo przywieziono z wielką pompą z zagranicy mniej więcej pięćdziesiąt lat temu. Ormiański sponsor instytutu sprowadził je z wioski, w której się urodził, by uczcić pamięć ojca, który razem z dwustu innymi Ormianami, intelektualistami i przywódcami lokalnej społeczności, został zamordowany w pierwszych dniach rzezi Ormian w 1915 roku. Turecki minister spraw wewnętrznych w owych czasach przechwalał się publicznie, że zada Ormianom cios druzgocący, po którym naród nie podniesie się przez pięćdziesiąt lat. Jego słowa okazały się prorocze: Ormianie przeżywali tragedię po tragedii, nadeszła dla nich epoka mroku, z którego dopiero niedawno zaczęli wychodzić.

Drzewo zostało wybrane z uwagi na swoją tragiczną symbolikę. Płaczące wierzby powszechnie spotyka się na cmentarzach od Europy do Chin. Tradycja sięga Starego Testamentu, w którym wygnani Izraelici zawieszali harfy i cytry na gałęziach wierzby, nie chcąc na obcej ziemi śpiewać swoich pieśni. Znacznie później u arabskich autorów czytamy, że gdy Dawid poślubił Batszebę, ukazali się mu dwaj aniołowie i przekonali go, że jest grzesznikiem. Dawid, ogarnięty żalem, rzucił się na ziemię i płakał gorzkimi łzami przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Ponoć w ciągu tych czterdziestu dni wypłakał tyle łez, co cała ludzkość oplakująca swoje grzechy od tamtego dnia aż do dnia sądu. Dwa strumienie łez spłynęły do ogrodu, a tam, gdzie wsiąkły, wyrosły z czasem dwa drzewa – balsamowe, które toczy łzy smutku, i wierzba płacząca, której gałęzie pochylają się z żalu aż do ziemi.

Tessa gorączkowo przypominała sobie inskrypcję na mosiężnej tabliczce. Widziała ją oczami wyobraźni. Przypomniała sobie adnotację, że drzewo należy do gatunku *Vitisalix*.

Przypomniała sobie również, że plakietka podaje bardziej szczegółową klasyfikację gatunkową wierzby płaczącej.

*Salix Babylonica*.

Miała to tuż pod ręką.

## Rozdział 50

Następnego dnia rano Reilly i Aparo ze słuchawkami telefonicznymi na uszach siedzieli każdy przy swoim biurku w budynku FBI. Reilly rozmawiał z Kendricksem. Wiadomości nie były dobre. Jajogłowi z NSA wciąż nie mogli znaleźć Fonsalis. Kendricks uprzedzał, że nie ma co liczyć na szybkie postępy. Próbowali pytać zaprzyjaźnionych ekspertów na całym świecie, ale to nic nie dało; przeszukiwanie elektronicznych baz danych też nie przyniosło rezultatu. Analitycy przedzierali się przez tony literatury, w sposób tradycyjny przeglądając książki, które leżały przed nimi na biurkach, by znaleźć jakiś odnośnik do lokalizacji grobu.

Reilly nie czekał na wyniki z zapartym tchem.

Siedzący naprzeciw niego przy swoim biurku Aparo ponuro pokręcił głową, jeszcze zanim skończył rozmowę. Reilly się zorientował, że chociaż jego partner ma też nie najlepsze wiadomości, to przynajmniej pilne. Aparo wkrótce to potwierdził. Dzwonił Buchinski. Rano odnaleziono ciało mężczyzny w zaułku na tyłach budynku mieszkalnego niedaleko Astorii w Queens. To było ważne, bo we krwi denata znaleziono lidokainę. Miał również ślady po ukłuciach igły na szyi. Nazywał się Mitch Adeson.

– Jak zginął? – Reilly czuł, że sprawa wymyka im się coraz bardziej z rąk.

– Spadł z dachu. Spadł, zeskoczył, ktoś go zepchnął; wybieraj.

– Trzech z czterech – Reilly rozparł się wygodnie w fotelu i pocierał zmęczone oczy. – Został jeszcze jeden. Pytanie tylko, czy wypłynie nagle w jakimś zaułku ze śladami po igłach na szyi, czy może już jest w połowie drogi do Europy?

Rozejrzał się po pokoju i zauważył De Angelisa wyłaniającego się z podwójnych drzwi, za którymi były windy. Fakt, że fatygował się osobiście, mógł znaczyć tylko tyle, że nie ma nic ważnego do obwieszczenia.

Wyraz jego twarzy, kiedy zasiadł naprzeciw Reilly'ego, potwierdził te przypuszczenia.

– Niestety, moi współpracownicy w Rzymie też na nic nie natrafili. Wciąż szukają, ale... – nie wyglądał na człowieka emanującego optymizmem. – Rozumiem, że wy... – nie musiał kończyć.

– Tak, wciąż wyciągamy puste losy, proszę ojca.

– No cóż – udało mu się przywołać na twarz uśmiech, w którym było nieco nadziei. – Jeżeli

ani nasi akademicy, ani wasi eksperci dotąd niczego nie znaleźli, to może i on ma kłopoty. Może też jeszcze do niczego nie doszedł.

W głębi serca Reilly wiedział, że to myślenie życzeniowe. We wszystkich bibliotekach od Waszyngtonu do Bostonu krążą zdjęcia Vance'a, a nikt z bibliotekarzy jeszcze go nie widział. Vance albo już wiedział, dokąd zmierza, albo miał własne źródła, do których FBI nie ma dostępu. Tak czy inaczej, nie wróżyło to dobrze.

– A pani Chaykin? – spytał wielebny po chwili milczenia. – Wydaje się osobą bardzo... przedsiębiorczą.

– Tak – Reilly nie mógł powstrzymać uśmiechu. – Jestem pewien, że nie odpuszcza i też szuka.

– Odzywała się? – spytał De Angelis, utwierdzony w swoich domysłach.

– Jeszcze nie.

De Angelis skinął w milczeniu głową. Reilly wiedział, że coś mu chodzi po głowie, że jeszcze nie powiedział wszystkiego.

– O co chodzi, ojcze?

– Nie jestem pewien – wielebny miał z lekka zakłopotaną minę. – Po prostu się niepokoję, to wszystko.

– Ale czym?

– Jest pan pewien, że zadzwoni? – wyduł wargi. – Jeżeli coś odkryje?

Te słowa z ust De Angelisa były zaskakujące. Czyżby jej nie ufał?

– Dlaczego ojciec o to pyta? – Reilly pochylił się w jego stronę.

– Cóż, mam wrażenie, że to jest osoba ogarnięta pasją. W końcu to jej dziedzina. A odkrycie tego kalibru... Archeolodzy robili wielkie kariery, dokonując o wiele mniej istotnych odkryć. Gdybym był na jej miejscu, to nie wiem, co byłoby dla mnie ważniejsze: złapanie tego Vance'a... czy raczej sięgnięcie po coś, za co każdy archeolog dałby sobie rękę uciąć? Czy na jej miejscu poinformowałbym władze i zaryzykował pożegnanie z glorią i chwałą... A może sam bym w to wszedł? – mówił cicho i przekonująco, zadziwiając pewny tego, co myśli. – Mam wrażenie, że to osoba bardzo ambitna, a ambicja... często skłania nas do wyboru ścieżki... powiedzmy biegnącej w półcieniu.

Reilly nie mógł zapomnieć słów De Angelisa jeszcze przez dłuższą chwilę po jego wyjściu.

Czy zadzwoni? Nawet mu przez myśl nie przeszło, że mogłaby nie zadzwonić. Ale jeżeli

wysłannik Watykanu ma rację? Dlaczego! W końcu miałaby chwycić za słuchawkę? Jeżeli rzeczywiście się dowie, gdzie jest Fonsalis, i powiadomi o tym FBI, zostaną tam wysłani agenci, którzy spróbują przechwycić Vance'a. Miejscowa policja będzie o wszystkim poinformowana i zdobycz szybko wymknie się jej z rąk; zostałyby bardzo mało miejsca na jej wyprawę archeologiczną i nikt by się nad tym nawet przez chwilę nie zastanawiał. Jeżeli chodzi o władze, to dla nich priorytetem było zatrzymanie złoczyńcy. Odkrycie archeologiczne w ogóle się nie liczyło.

A jednak, czy byłaby aż tak nieostrożna... Czy byłaby? A cóż innego zrobi, jak nie poleci tam osobiście?

Poczuł falę niepokoju. Nie, to czyste szaleństwo.

Sięgnął po telefon i wykręcił jej numer domowy. Nikt nie odpowiadał. Telefon dzwonił i dzwonił, wreszcie odezwała się automatyczna sekretarka. Reilly odłożył słuchawkę, nie zostawiając wiadomości. Teraz spróbował na komórkę. Usłyszał pięć sygnałów, a potem komunikat.

Z rosnącym niepokojem Reilly zadzwonił do dyżurnego. W ciągu paru sekund połączono go z policjantem siedzącym w samochodzie przed domem Tessy.

– Widzieliście ją dzisiaj?

– Nie, nie widziałem jej od wczoraj w nocy, kiedy wróciła do domu – odpowiedział policjant bez wahania.

Reilly czuł, że jego wewnętrzny czujnik rozdzwonił się na dobre. Coś znowu było bardzo, bardzo nie tak.

– Chciałbym, żebyś podszedł do drzwi i zobaczył, czy wszystko w porządku. Czekam przy telefonie.

– Robi się. – Reilly słyszał, jak policjant wychodzi z samochodu.

Czekał zaniepokojony, a sekundy i minuty wlokły się w nieskończoność. Wyobrażał sobie, jak policjant przechodzi przez ulicę, idzie ścieżką prowadzącą do schodów, wchodzi po schodach i sięga ręką do dzwonka. Jeszcze kilka sekund, zanim zejdzie, jeśli jest na górze. Pewnie teraz otwiera drzwi.

Nic.

Czuł, jak narasta w nim wewnętrzny dygot. Usłyszał głos policjanta, który podniósł mikrofon w samochodzie patrolowym:

– Nie otwiera drzwi. Zajrzałem do tyłu, żeby zobaczyć, czy ktoś tam czegoś nie poprzestawiał, ale nie ma śladów włamania. Chyba jej nie ma w domu.

– W porządku, posłuchaj – Reilly już zrywał się do biegu, gestem mobilizując Aparo. – Musisz wejść tam natychmiast i sprawdzić, czy dom jest rzeczywiście pusty. Jeżeli będziesz musiał, to się włam. I daj mi znać.

– Co się dzieje? – spytał Aparo, podnosząc się z fotela.

– Dzwon do straży granicznej. – Reilly już sięgał po następny telefon. Zakrywając dłonią mikrofon, patrzył na partnera wściekły i sfrustrowany. – Wygląda na to, że Tessa dała nogę.

## Rozdział 51

Czekając na odprawę bagażu przy stanowisku tureckich linii na lotnisku Kennedy'ego, Tessa patrzyła na wyświetlacz w telefonie komórkowym. Nie zdążyła przeczytać, kto dzwoni, ale i tak postanowiła nie odbierać. Prawdopodobnie łączyli ją przez jakąś centralę, ale żadnego z dzwoniących nie chciała teraz usłyszeć. Ani Leon z instytutu, któremu Lizzie na pewno już przekazała jej tajemnicze i nietrzymające się kupy wyjaśnienia, dlaczego nie będzie jej w pracy. Ani Doug telefonujący z Los Angeles – wobec niego nie ma w ogóle żadnych wyrzutów sumienia. Ale Reilly... Poczowała uścisk w gardle. Nie mogła sobie wybaczyć, że mu to robi. Była to jedna z najtrudniejszych jej decyzji ostatnio, ale teraz, kiedy już ją podjęła, nie może sobie pozwolić na rozmowę z nim. Jeszcze nie.

Dopóki nie wyjedzie z kraju.

Wsadziła telefon do kieszeni kurtki, w końcu doszła do stanowiska odpraw i zagłębiła się w skomplikowaną procedurę paszportowo-celną. Kiedy już było po wszystkim, ruszyła za strażkami do sali odlotów, potem wypła kawę, w kiosku kupiła jakieś dwie książki w miękkich oprawkach, gdyby przyszła jej ochota coś przeczytać... Nie wiadomo jednak, czy zdoła powstrzymać wyobraźnię i skupić się na najlżejszej choćby powieści.

Przeszła przez punkt, w którym sprawdzano pasażerów i dotarła do hali odlotów; z rozkoszą zagłębiła się w fotelu.

Nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Siedzi sobie w fotelu i nie ma nic do roboty oprócz czekania na to, aż ogłoszą odlot; nareszcie może się trochę odprężyć, zrobić krok wstecz i zastanowić nad ostatnimi wydarzeniami. Aż tak nie było się z czego cieszyć. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny od momentu, kiedy wpadła wreszcie na trop, aż do chwili, kiedy dokonała ostatecznego odkrycia, pogrążona była w oparach adrenaliny. Teraz, czekając na to, by odlecieć w ciemniejące niebo, poczuła się bezbronna; powtarzała sobie litanię strachów i pechów, które wychynęły nagle z głębin jej wyobraźni.

Co ty sobie w ogóle myślisz, dziewczyno? Sama na jakimś tureckim odludziu? A co będzie, jak natkniesz się tam na Vance'a? Albo spotkasz innych świrusów? Przecież to nie jest najbezpieczniejszy kraj na świecie. Amerykanka sama na jakimś tureckim zadupiu? Zwariowałaś?

Atak paniki dotyczący własnego bezpieczeństwa wkrótce ustąpił przed czymś, co znacznie bardziej ją niepokoiło.

Reilly.

Nie powiedziała mu prawdy. Znowu skłamała. Mogła się usprawiedliwiać sama przed sobą, że po prostu nie powiedziała nic, ale tak czy inaczej go oszukała. To co innego niż zniknięcie z manuskrytem i niezaalarmowanie, że Vance czeka na nią w domu. Wiedziała, że coś ich zaczyna łączyć, coś, co jej się bardzo podobało, na co powinna chuchać i dmuchać. Intuicja jej podpowiadała, że on pierwszy nie postawi kroku i nie wyciągnie ręki, chociaż jeszcze dokładnie nie wiedziała, w którą stronę. Zastanawiała się, czy nie zaprzepaszcza w ten sposób szansy na to, by się zeszli. Wcześniej wszystko uszło jej płazem, Reilly znajdował okoliczności łagodzące, wydawał się bardzo wyrozumiały – tak, naprawdę zachował się wspaniale. Teraz znowu wszystko popsuje.

Ile to dla ciebie znaczy, Tesso? – zapytała samą siebie.

Nagle wyrwała ją ze świata wyobraźni czyjaś obecność; ktoś stanął między nią a ostrym światłem jarzeniówek. Bardziej to poczuła niż zobaczyła. Dopiero teraz otworzyła oczy.

To Reilly. Spoglądał na nią z góry i nie wyglądał na rozradowanego.

Najlepszymi słowami na określenie jego stanu wydały jej się dwa słowa: nieprawdopodobnie wkurzony.

– Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? – Reilly przerwał pełną napięcia ciszę.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W tej właśnie chwili nosowym głosem przez megafon ktoś oznajmił, że pasażerowie proszeni są do wyjścia. Wszyscy wokół nich wstawali z foteli i ustawiali się w zamieszaniu w kolejkach prowadzących do dwóch bramek; dzięki temu zyskała trochę czasu.

Reilly spojrział na pasażerów i widać było, że zmusza się do zachowania spokoju, a potem zwałił się na fotel obok niej.

– Kiedy chciałaś mi powiedzieć?

– Jak już tam dotrę – odparła bez przekonania. Wzięła głęboki oddech.

– I co, wysłałabyś mi pocztówkę? Do jasnej cholery, Tesso. Mam wrażenie, że nic, co mówię, do ciebie nie dociera.

– Posłuchaj, ja...

Pokręcił głową, podniósł dłonie do góry i przerwał jej w pół słowa:



– Wiem, że ci przykro, że to dla ciebie bardzo ważne, że to się zdarza raz w życiu, że twoja kariera od tej chwili może się potoczyć inaczej... Już o tym mówiliśmy, Tesso. A jednak mam wrażenie, że pchasz się w ramiona śmierci.

– Nie potrafię po prostu – westchnęła ciężko, przeżuważając jego słowa w myśli – siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak to ucieka mi sprzed nosa. Oprócz tego dopóki to wszystko się nie wyjaśni, nie będę się czuła bezpiecznie... On był u nas w domu, Sean. Tkwią w tym po uszy, czy mi się to podoba, czy nie. – Zawiesiła głos, jakby się bała zadać pytanie. – Mówiłeś, że są rzeczy, o których nie mam pojęcia. Że zginęli jeszcze inni ludzie.

– Ci trzej jeźdźcy, którzy byli w muzeum tamtej nocy – Reilly zniżył głos i rozglądał się wokół siebie – nie żyją, wiesz o tym? I nie umarli pięknie. Nie umarli we śnie.

– Myślisz, że to Vance ich zabił? – Tessa pochyliła się w jego stronę.

– Albo on, albo ktoś, kto jest z nim w znowie. Tak czy inaczej, ta osoba wciąż gdzieś czyha za rogiem; zabija bez mrugnięcia powieką. Rozumiesz, o czym mówię?

Tessa potarła oczy palcami i zauważyła, że ręce jej się trzęsą.

– A jeżeli jeszcze nie wpadł na trop, jeżeli błędzi w ciemności?

– Uważam, że poprosiłby o pomoc ciebie, gdyby rzeczywiście tak było. Jestem przekonany, że on wie.

– Więc co teraz zrobimy? – westchnęła ciężko.

– Jesteś pewna, że znalazłaś? – Reilly spojrzał na nią uważnie i widać było, że on też się nad tym zastanawia.

– Tak – kiwnęła głową.

– Ale nie powiesz mi, gdzie to jest?

– Wolałabym nie – pokręciła głową. – I liczę na to, że mnie do tego nie zmusisz, czy mam rację? – Głos z megafonów ponownie zapraszał pasażerów na pokład samolotu.

– To mój lot – powiedziała Tessa.

Przyglądał się pasażerom przechodzącym przez bramkę.

– Na pewno chcesz lecieć?

– Na pewno – nerwowo skinęła głową.

– Pozwól nam to załatwić. To, co tam znajdziesz, uznane zostanie za twoje odkrycie. Obiecuję ci to. Pozwól nam tylko zmieść go ze ścieżki.

– Nie chodzi tylko o uznanie – spojrzała mu głęboko w oczy. – Chodzi o... o coś... co jest

moim życiem. Coś, co muszę zrobić – wpatrywała się w niego intensywnie, szukając zrozumienia, próbując wy badać, co myśli. – A wy możecie w ogóle nie mieć na to wpływu. Znaleziska za granicami kraju... To się może wszystko bardzo skomplikować, bo w każdym państwie obowiązują inne prawa. – Spróbowała się lekko uśmiechnąć. – To co, mogę iść czy mnie aresztujesz?

– Zastanawiam się właśnie. – Miał zaciśnięte szczęki. Z jego twarzy nie można było odczytać, czy żartuje, czy mówi poważnie. Mina pokerzysty.

– Pod jakim zarzutem?

– Nie wiem, coś się wymyśli. Może podrzucę ci do torebki paczuszkę z kokainą. – Udawał, że sięga do kieszeni. – Gdzieś tu kilka miałem.

Uśmiechnęła się i odprężyła.

– Co mam powiedzieć, żebyś zmieniła zdanie? – Znów był całkowicie poważny.

Bardzo jej się spodobało uczucie, które ją ogarnęło, kiedy o to zapytał. Może jeszcze nie całkiem to spała. Wstała.

– Nic mi się nie stanie – powiedziała, choć sama nie do końca w to wierzyła.

Podniósł się i przez chwilę stali obok siebie. Czekala, że coś powie, ale milczał. Trochę się bała, że ją chwyci, przytrzyma i nie pozwoli lecieć. Ale tego też nie zrobił. Spojrzała w stronę bramki, a potem odwróciła się do niego.

– To do zobaczenia.

Nie odpowiedział.

Zrobiła kilka kroków i dotarła do rozanielonej kobiety odbierającej karty pokładowe. Tessa wyciągnęła swoją i podała kobiecie, a potem spojrzała na Reilly'ego. Stał jak zamurowany i przyglądał się, jak odchodzi. Posłała mu uśmiech, zanim zniknęła w białym rękawie.

Ożyły cztery silniki turbośmigłowe, a stewardesy chodziły między fotelami, sprawdzając zapięcia pasów i przygotowując pasażerów do startu. Tessę usadzono przy oknie i poczuła ulgę, że w czasie dziesięciogodzinnego lotu nie będzie miała towarzystwa. Fotel obok niej był pusty. Patrzyła przez okno, jak ekipa techniczna uprzęta teren wokół samolotu i czuła dziwną mieszankę radości i niepokoju. Była bardzo podekscytowana tą podróżą, ale to, co jej powiedział Reilly o zamordowanych jeźdźcach, też wywarło na niej spore wrażenie. Nie dopuszczała do siebie niepokojących obrazów, które podsuwała jej wyobraźnia. Próbowała sobie samej

wyperswadować, że jeżeli będzie w miarę ostrożna, to przecież nic jej nie grozi. Taką miała nadzieję.

Sięgając po kolorową broszurę linii lotniczych, zauważyła jakieś poruszenie z przodu samolotu. Zesztywniała cała, zdała sobie bowiem sprawę, że spowodował je Reilly, który teraz przeciskał się między fotelami w jej kierunku.

Niech to szlag trafi. Jednak zmienił zdanie. Zamierza mnie siłą wyprowadzić z samolotu.

Wpatrywała się w niego najpierw zdumiona, a po chwili gniewnie. Kiedy doszedł do jej rzędu, odwróciła się i oparła twarz o okno.

– Nawet nie myśl o tym. Nie wyciągaj mnie z samolotu. Nie masz prawa. Nic mi nie będzie, przecież masz tam ludzi, prawda? Mogą mnie pilotować. Dam sobie radę.

– Wiem – powiedział krótko Reilly. Zajął pusty fotel obok niej i zapiął pasy.

Tessa przyglądała mu się oszołomiona. Po prostu zabrakło jej słów.

– To co, mają tu jakieś dobre filmy? – spytał. Jak własną wyjął jej kolorową broszurę z rąk.

## Rozdział 52

Mężczyźnie siedzącemu sześć rzędów za Tessą nie było wygodnie. Nie znosił latania. I nie chodziło o jakieś irracjonalne lęki, to nie była klaustrofobia. Nie mógł znieść myśli, że przez tyle godzin będzie zamknięty w blaszanej puszcze bez papierosa. Dziesięć godzin. Nie licząc czasu, który musiał spędzić na lotnisku – tam również nie wolno palić.

Po prostu pustynia Nicorette.

Miał i tak szczęście. Zlecono mu nie spuszczać Tessy z oka i musiał się pogodzić z tym, że jego punkt obserwacyjny jest bardzo niewygodny. Od frontu pilnowała jej domu policja. Gdyby jednak był na ich miejscu, prawdopodobnie nie zauważyłby, jak wymyka się od tyłu, przecina dwa ogrody na tyłach sąsiadujących domów, a potem ukradkiem wsiada na ulicy do taksówki, która czekała na nią dosłownie parę metrów od miejsca, gdzie zaparkował swój samochód.

Dał znać De Angelisowi i przyjechał za nią na lotnisko. Z miejsca, w którym siedział w hali odlotów, widział wszystko; obserwował Tessę i Reilly'ego bez trudu i bez ryzyka, że go zauważą. Żadne z nich nie miało pojęcia o jego istnieniu. Dwa razy dzwonił do De Angelisa na komórkę. Za pierwszym razem, żeby dać mu znać, że Tessie pozwolono wejść na pokład samolotu. Za drugim razem wkrótce potem, już ze swojego miejsca w samolocie – ledwie zdążył poinformować wielebnego o pojawieniu się Reilly'ego na pokładzie, gdy rozmowę dość obcesowo przerwała im stewardesa, stojąc mu nad głową, dopóki nie wyłączył telefonu.

Pochylił się, żeby wyrzucić w kierunku przejścia między fotelami, i przyglądał się dwojgu śledzonych, bawiąc się i przesuwając między palcami mały krążek wielkości ćwierćdolarówki. Zauważył, że Reilly nie ma bagażu; wsiada do samolotu z pustymi rękami. To w gruncie rzeczy nie miało żadnego znaczenia. Tessa wiozła ze sobą małą torbę podróżną, którą wcisnęła na półkę nad głową; to ona była jego najważniejszym celem. Obserwując ich, wiedział, że nie ma potrzeby niczego przyspieszać. To będzie długi lot, a większość pasażerów w kabinie, łącznie z dwójką, którą obserwował, w pewnym momencie zaśnie. Musi uzbroić się w cierpliwość i poczekać na właściwy moment, żeby delikatnie podłożyć pluskwę. Rozbawiony pomyślał, że przynajmniej to urozmaici mu długi lot.

Przesuwał się i wiercił w fotelu; zmarszczył brwi, kiedy stewardesa minęła go, sprawdzając, czy wszyscy zapięli pasy. Nienawidził tych idiotycznych procedur linii lotniczych. Czuł się tak,

jakby był z powrotem w podstawówce. Nie wolno zapalić, nie wolno zadzwonić. Nie wolno ich nazywać stewardesami. I co dalej? Będą wydawać pozwolenie na korzystanie z toalety?

Wyjrzał z nienawiścią przez okno i włożył do ust kolejne dwa płatki gumy Nicorette.

De Angelis dojeżdżał do lotniska Terboro w New Jersey, kiedy zadzwonił do niego Plunkett. Małe lotnisko było spokojniejsze i stosowniejsze do jego naprędce zorganizowanej podróży; leżało zaledwie siedem mil od Manhattanu i szczególnie upodobały je sobie gwiazdy show-biznesu i przedsiębiorcy, którzy trzymali tu swoje prywatne odrzutowce.

Na tylnym siedzeniu wynajętej limuzyny duchowny wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Porzucił swój skromny strój i koloratkę na rzecz Gustownego, eleganckiego garnituru Zegny, w którym czuł się swobodniej. I chociaż ilekroć zdejmował koloratkę, miał wyrzuty sumienia, teraz przed wyjściem zrobił to bez wahania. Włożył błękitną koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Pozbył się też gamoniowatych, wiecznie pomazanych okularów, które specjalnie zakładał, udając się na Manhattan; teraz na nosie miał okulary w delikatnej drucianej oprawce. Nie wziął ze sobą podniszczonej skórzanej aktówki – obok na siedzeniu leżała cienka teczka aluminiowa. Limuzyna z przyciemnianymi szybami miała go zawieźć pod same drzwi samolotu.

Kiedy wchodził na pokład gulfstreama IV, raz jeszcze spojrzął na zegarek i szybko sobie wszystko przekalkulował. Wiedział, że ma przewagę. W Rzymie prawdopodobnie wyląduje, zanim Tessa i Reilly dotrą do Stambułu. Jego samolot był jednym z niewielu prywatnych odrzutowców, które mogły dolecieć do Rzymu bez tankowania; był również szybszy niż masywny czterosilnikowy Airbus, którym lecieli tamci. Będzie miał trochę czasu, żeby zabrać sprzęt potrzebny do zakończenia misji i poczeka na nich tam, dokąd polecą.

Sadowiąc się w fotelu, zastanawiał się raz jeszcze nad zagadkową postacią Tessy Chaykin. FBI chodziło jedynie o zamknięcie Vance'a za kratkami za zorganizowanie napadu z bronią na Metropolitan. Jej zależało na czymś zupełnie innym; wiedział, że nawet gdy Vance znajdzie się za kratkami, ona dalej będzie szukać, nieustannie zaglądać pod stare omszałe kamienie, nie spocznie, dopóki tego nie znajdzie. To leżało w jej charakterze.

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wiedział, że nadejdzie moment, w którym Tessa okaże się mu niepotrzebna, i wtedy prawdopodobnie będzie musiał rozstrzygnąć dylemat. A ten dylemat stał się jeszcze trudniejszy z powodu Reilly'ego i jego nieodpowiedzialnej decyzji, by jej towarzyszyć.

Zamknął oczy i oparł się o miękkie zagłówek wyściełanego pluszem fotela. Niespecjalnie się

tym przejmował. Był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, komplikacja, z którą po prostu musi sobie poradzić.

## Rozdział 53

Byli już w powietrzu, kiedy Tessa zaczęła Reilly'emu objaśniać, do czego doszła:

– Szukaliśmy miejsca, które nie istnieje, mówiąc krótko.

Udało im się dojrzeć przez szyby zarysy miejskiego krajobrazu Manhattanu, przeszkłone wieżowce, od których obijało się oślepiające złoto-błękitne niebo, którego nie przesłaniały dwie wieże; ich brak z tej perspektywy bardziej rzucał się w oczy, a rozmiary katastrofy były też wyraźniejsze z lotu ptaka. Samolot z czerwonym ogonem przechylił się na skrzydło i zadarł nos do góry, przebijając się przez cienką warstwę chmur do wysokości jedenastu tysięcy metrów; tam niebo było czyste i bezchmurne. Niedługo zapadnie zmrok, a oni lecieli w zbliżającą się z każdą chwilą ciemność.

– Aimard de Yilliers był bystry i wiedział, że człowiek, do którego pisze list, wielki mistrz loży paryskiej, jest równie bystry jak on. – Widać było, że Tessa jest podekscytowana tym odkryciem. – Nie ma żadnego Fonsalis. I nigdy nie było żadnego Fonsalis. Ale fons po łacinie oznacza studnię – źródło, z którego czerpie się wodę, a salis to wierzba.

– Studnia pod wierzbą?

– Właśnie – skinęła głową Tessa. – A potem przypomniałam sobie, że kiedy Aimard pisał ten list, terytorium należało do wroga. Miasteczko opanowali muzułmanie. I wtedy zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Aimard wymienia łacińską nazwę miasteczka? Skąd ją znał? Było bardziej prawdopodobne, że usłyszał arabską nazwę osady, której używali mamelucy. Taką nazwę podał im pasterz kóz. Ale Aimard chciał utrudnić znalezienie miejsca na wypadek, gdyby list wpadł w niepożądane ręce i gdyby w końcu go rozszyfrowano.

– Więc miasteczko nazywało się „studnia pod wierzbą”?

– Dokładnie tak. Wtedy dość powszechnie nazywano osady i miasta według takich wyznaczników terenu.

– Ale musiałby przecież znać ich język – powiedział z niedowierzaniem. Coś go niepokoiło w jej rozumowaniu.

– Z pewnością znał ich język, a jeżeli nie on, to znali go ci, którzy mu towarzyszyli. A pod koniec epoki wypraw krzyżowych wielu rycerzy pochodziło z Ziemi Świętej. Nazywano ich poulains. Templariusze byli w przedziwny sposób związani z muzułmanami. Czytałam, że

wymieniali między sobą wiedzę naukową, poglądy dotyczące religii i przedmioty kultu; mówi się nawet, że niekiedy wynajmowali hashasheen, niezwykle skutecznych zawodowych zabójców muzułmańskich, palaczy haszyszu.

– Wynajmowali zawodowych zabójców ze strony wroga? – zdziwiony uniósł brwi. – Myślałem, że celem rycerzy było z nimi walczyć.

– Jeżeli spędza się dwieście lat na tyłach czyjś domu – Tessa wzruszyła ramionami – prędzej czy później nawiązuje się stosunki dobrosąsiedzkie.

– Dobra – Reilly skinął potakująco głową – w takim razie jak to brzmi po arabsku?

– Beer el Sifsaaf.

– A znalazłaś to w...?

– W dziennikach Al-Idrissiego – Tessa nie potrafiła ukryć satysfakcji. – Był słynnym arabskim podróżnikiem, jednym z największych kartografów tamtego okresu; prowadził szczegółowe i dokładne dzienniki podróży przez Afrykę i świat muzułmański, z których wiele przetrwało do dzisiaj.

– Po angielsku?

– Po francusku, ale to mi akurat nie sprawiło kłopotu. – Tessa sięgnęła do torby podróźnej i wyciągnęła z niej mapę oraz kilka kserokopii starej książki. – Wspominał o tej miejscowości i o jej spalonym kościele w jednym ze swoich dzienników. – Otworzyła mapę, na której były jakieś znaczki i notatki. – Przejeżdżał tamtędy w drodze z Antalii przez Myrrę, kierując się ku wybrzeżu, do Izmiru. Obszary nadmorskie obfitują w miasta powstałe w okresie bizantyjskim z czasów wcześniejszych. Tak czy owak, jego dzienniki są dosyć szczegółowe. Musimy tylko przemierzyć trasę jego podróży, a potem znajdziemy miasteczko i kościół.

– Dotarłaś więc do tego... – Reilly przyglądał się mapie. – Jak myślisz, jakie są szanse, że Vance się też domyślił?

Zmarszczyła brwi, a potem powiedziała głosem, w którym była niezachwiana pewność:

– Byłabym zaskoczona, gdyby go tam już nie było.

– Muszę skorzystać z radia – Reilly najwyraźniej podzielał jej zdanie.

Wstał i ruszył do kabiny pilotów.

Nie było go dłuższą chwilę, a kiedy wrócił, Tessa umieszczona wygodnie w fotelu dopijała ostatnie łyki pikantnego soku pomidorowego. Dla niego też zamówiła. Patrzyła, jak pije, i czuła dziwny dreszcz na myśl, że oto lecą sobie razem do jakiejś egzotycznej dalekiej krainy, by



przeżyć niezwykłą przygodę. Gdyby ktoś mi powiedział dwa tygodnie temu, że tak będzie... – uśmiechnęła się do własnych myśli.

Reilly zauważył ten uśmiech.

– O co chodzi? – zapytał.

– O nic. Tylko... nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

– Mój szef jest jeszcze bardziej zaskoczony niż ty, mogę cię zapewnić. Szczęka jej opadła.

– Ale nie porzuciłeś pracy, prawda?

– Ujmijmy to w ten sposób: mój szef nie jest z tego powodu uszczęśliwiony. Ale przecież nie wiedziałaś dokładnie, gdzie to jest, i dlatego, żeby znaleźć to miejsce, musimy tam pojechać...

– Ale o tym nie wiedziałaś, gdy wsiadałaś do samolotu.

– Zawsze tak się czepiasz szczegółów? – uśmiechnął się do niej półgębkiem.

Pokręciła głową rozbawiona. A więc oboje dali dyla. On równie mocno jak ona chciał się znaleźć w tym samolocie. Była mile zaskoczona.

Patrząc na niego, zdała sobie sprawę, że wciąż niewiele więcej wie o tym mężczyźnie oprócz tego, że nosi odznakę FBI. Wtedy wieczorem, gdy odwiózł ją do domu, trochę się odkrył. Powiedział, jaką lubi muzykę, przyznał się do tego, że jest religijny – uchylił rąbka tajemnicy, a przy okazji pokazał, że ma poczucie humoru, choć cała sytuacja była trochę niezręczna. Chciała wiedzieć o nim więcej. Dziesięć godzin to sporo czasu, będzie miała wyśmienitą sposobność – jeżeli uda się jej nie zasnąć. Czują bowiem, że powieki same jej opadają. Kilka dni intensywnej i wyczerpującej pracy dało jej w kość. Umościła się w fotelu przy oknie jeszcze wygodniej, zwracając ku niemu twarz.

– Powiedz mi, jak to się robi: udało ci się wskoczyć do samolotu w ostatniej sekundzie – jej usta ułożyły się w półuśmiešek. – Czy w domu ktoś nie czeka, jakaś żona albo kobieta? Odniosłam takie wrażenie, kiedy rozmawiałeś ze mną o Kim.

– Przykro mi – rzucił kpiąco Reilly. Wiedział, o co chciała spytać. – Nie jestem żonaty.

– Rozwiedziony?

– Nie – pod jej spojrzeniem poczuł się zmuszony do dalszych wyjaśnień. – Mając taką pracę jak moja, trudno liczyć na wyrozumiałość kobiety.

– Oczywiście. Ta praca pozwala ci wskakiwać na pokład samolotu z dziewczyną, którą dopiero co poznałeś... Ja na pewno nie zniosłabym, żeby mój mąż tak postępował.

Reilly był zadowolony; pytając, niejako upoważniła go do zadawania podobnych pytań.

– A skoro już o tym mówimy, to jak wygląda twoja sytuacja? Co się stało z Dougiem?

– To był błąd. Byłam młoda – jęknęła. Jej twarz nagle spochmurniała, w oczach pojawił się żal i gniew, którego jeszcze się nie pozbyła. – Młodsza – poprawiła się. – I pracowałam wtedy z ojcem, perspektywy miałam takie sobie. Archeologia jest dziedziną dosyć hermetyczną. Kiedy spotkałam Douga, zrobił na mnie wrażenie: pewny siebie i pełen radości życia facet z show-biznesu. Ten skurwiel ma wdzięk, tego nie można mu odmówić, a ja dałam się oszukać. Mój ojciec był postacią powszechnie znaną i cenioną w swoim zawodzie, ale był facetem dosyć poważnym, nawet trochę ponurym, rozumiesz mnie? Doug wydał mi się idealnym remedium. Mówił wprost, obracał się w interesującym towarzystwie i dostawał od życia wszystko, czego chciał.

– A ty lubisz się obracać w ciekawym towarzystwie, czy tak?

– Nie – odwróciła twarz. – Może kiedyś. Trochę. Tak czy owak, kiedy ze sobą chodziliśmy, jemu strasznie się podobało to, że jestem również zainteresowana swoją pracą zawodową. Był bardzo ciekaw, co robię, i wspierał mnie, jak mógł. Potem, po ślubie... zmienił się nie do poznania. Chciał mi rozkazywać, rządził mną jeszcze bardziej niż mój ojciec. Wydawało mu się, że kupił mnie na własność, traktował mnie jak jakiś eksponat, który chciał położyć w domu na półce. A jak tylko mnie kupił... zaszłam w ciążę, zanim zdałam sobie sprawę, jaki popełniłam błąd. Niechętnie, ale przyjąłam propozycję ojca, żeby przyjechać do niego na wykopaliska do Turcji...

– ...i wtedy właśnie poznałaś Vance'a?

– Tak – potwierdziła. – Tak czy siak, pojechałam, chcąc spędzić trochę czasu z dala od niego i wszystko sobie przemyśleć... A kiedy wróciłam, okazało się, że on ma romans, jakbym była najgorszą wiedźmą pod słońcem.

– Z sekretarką czy z dziewczyną zapowiadającą pogodę?

– Prawie. – Tessa się roześmiała, ale widać było, że sprawia jej to ból. – Ze swoją producentką. W każdym razie ułatwił mi decyzję. Wyprowadziłam się w jednej sekundzie.

– ... i wróciłaś do panińskiego nazwiska.

– W pracy to mi nie zaszkodziło, wręcz przeciwnie. Oprócz tego nie chciałam nosić nazwiska tej gnidy dłużej, niż było to konieczne.

Nie przeszkodziło jej to w pracy, to mało powiedziane. Nawet pomogło dostać posadę w Instytucie Manoukiana. I właśnie dlatego ewentualne odkrycie tego kalibru, gdyby dokonała

go bez pomocy Olivera Chaykina, zamknęłyby usta tym, którzy ciągle wypominają, że jako jego córka może liczyć na względy i potrzebne wsparcie. I ona, i inni przekonają się wtedy, że może osiągnąć coś wyłącznie dzięki własnej pracy.

Pod warunkiem oczywiście, że to ona dokona tego odkrycia.

Oczy jej się zamykały. Była zmęczona i potrzebowała snu. Oboje musieli odpocząć.

– Dziękuję – powiedziała krótko po chwili milczenia i spojrzała na niego ciepło.

– Za co?

– Za wszystko.

Przysunęła się, pocałowała go delikatnie w policzek i opadła z powrotem na fotel. Za oknem gwiazdy były tak blisko, szybowwały po ciemniejszym niebie; wydawało się, że można ich dosięgnąć. I Opuściła żaluzje i odwracając się na bok, zamknęła oczy. Po chwili ogarnął ją sen.

## Rozdział 54

Kiedy Tessa i Reilly schodzili stalowymi schodkami na płytę lotniska w Dalaman, było późne popołudnie i oboje czuli się wybitci z rytmu. Kilka godzin snu podczas lotu przez Atlantyk na pewno im się przydało, ale obojgu potrzebny był porządny odpoczynek przed dalszą podróżą. Na to jednak nie mieli czasu. Ich zmęczenie było tym większe, że w Stambule musieli czekać trzy godziny na lotnisku, zanim polecieci na południowe wybrzeże, skąd zamierzali wyruszyć w głąb lądu.

Reilly wykorzystał część czasu oczekiwania w Stambule na rozmowy telefoniczne, relacjonując partnerowi sytuację; potem odbył dość gwałtowną rozmowę z Janssonem, który wciąż nie był przekonany, że jego pochopna decyzja, by towarzyszyć Tessie zamiast wyciągnąć ją z samolotu, skuć i doprowadzić do budynku FBI, była słuszna. Resztę czasu spędził na rozmowie z oficerem łącznikowym FBI. Pucółowaty Yedat Ertugrul przyjechał na lotnisko i pomógł mu dostać się do kraju bez paszportu. Ertugrul kilka dni wcześniej został poinformowany, że Vance może się pojawić w Turcji. Potwierdził w rozmowie z Reillym, że na razie z żadnego z wchodzących w grę punktów granicznych nie doniesiono, by profesor wjechał do kraju. Potem omówili kwestie logistyczne i ewentualne wsparcie. FBI nie miało agentów stacjonujących na terenie Turcji. Najbliżsi znajdowali się w Atenach, pomagali miejscowej policji w śledztwie związanym z niedawnymi zamachami bombowymi. Relacje z rządem tureckim były i tak dosyć napięte z uwagi na niejasną sytuację w Iraku. Ertugrul zapewnił jednak Reilly'ego, że jeżeli to będzie konieczne, załatwi im eskortę policyjną w Dalamanie. Reilly uprzejmie odmówił; wolał się nie zmagać z barierami językowymi i z miejscowymi biurokratami. Poprosił tylko Ertugrula o powiadomienie władz o ich obecności. Uznał, że lepiej uprzedzić policję – w końcu to ich teren. Reilly chciał zapewnić sobie pomoc, jeśli zajdzie potrzeba, chociaż raczej podejrzewał, że sobie sam poradzi.

W czasie przerwy w podróży kupił sobie bardziej odpowiednie ubranie. Do małego plecaka schował garnitur, w którym wyszedł z pracy i dokumenty, które dostał zamiast paszportu od Ertugrula. Ten dał mu również telefon satelitarny Iridium, który przez bramkę EMSS na Hawajach dzięki uprzejmości ministerstwa obrony pozwoli Reilly'emu na kontakt ze światem z każdego punktu na Ziemi.

W plecaczku miał również browninga hipower, do którego Ertugrul dorzucił hojnie kilka magazynków i naboje.

Tessa skorzystała ze sposobności, by zadzwonić do ciotki i porozmawiać z Kim oraz z Eileen. Była to trudna rozmowa. Tęskniła za Kim, a teraz poczuła tęsknotę tym większą, że usłyszała jej głos. Na szczęście wyglądało na to, że mała świetnie się bawi, i trochę Tessie ulżyło. Powiedziała Eileen, co planuje, a to było znacznie trudniejsze zadanie. Tessa mocno się napracowała, żeby ją uspokoić; zdesperowana przyznała nawet, że jest z nią Reilly – a to przyprawiło jej matkę o tym większe zdenerwowanie. Co agent FBI robiłby u jej boku, gdyby ta wyprawa nie była niebezpieczna, pytała. Tessa mamrotała coś bez sensu, że towarzyszy jej ekspert, którego FBI ściągnęło na wszelki wypadek. Wyzwolił ją komunikat z lotniskowych megafonów, że pasażerowie są proszeni na pokład samolotu; ucięła rozmowę niemal w pół zdania. Odłożyła słuchawkę i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Wiedziała, że nie może powiedzieć matce nic oprócz tego, że wyjeżdża, bo wprowadziłyby ją tylko w stan jeszcze większego zdenerwowania.

Tessa niemal nie zwróciła uwagi na mężczyznę o pergaminowo-białej cerze, który przypadkiem na nią wpadł, kiedy przechodziła do damskiej toalety przez zatłoczony terminal; jeszcze przeżywała trudną rozmowę z matką. Zawadził o jej torbę podróżną, która wypadła jej z ręki, ale zaraz usłużnie ją podniósł. Upewnił się, że wszystko jest w porządku, a dopiero potem się oddalił.

Zauważyła tylko, że mężczyzna cuchnie dymem papierosowym, ale z tego, co pamiętała, większość mężczyzn w tym kraju pali. Nie zauważyła za to czarnego guziczka wielkości niewielkiej monety, który udało mu się przykleić na spodzie jej torby.

Teraz w Dalaman Tessa i Reilly przeciskali się przez zatłoczony i duszny terminal do punktu wynajmu samochodów. Ertugrul załatwił im jakieś zapasy, między innymi skrzynkę wody mineralnej, dwa śpiwory i nylonowy namiot. Niedługo potem wsiedli do nieco podniszczonego mitsubishi pajero z napędem na cztery koła i ruszyli śladem rycerzy rozbitków, którzy tę drogę przemierzyli kilkaset lat wcześniej.

Reilly prowadził, natomiast Tessa przejęła obowiązki pilota. Korzystała z kilku map i własnych notatek, próbując odwzorować trasę, o której wspominał Al-Idrissi w swoich dziennikach, i połączyć ją z danymi zawartymi w liście Aimarda.

W miarę jak oddalali się od wybrzeża, gęsta zabudowa i apartamentowce ustępowały

spokojniejszym krajobrazom. Olbrzymie plaże objęte statusem parku narodowego na wiele lat przed otwarciem lotniska w Dalaman, chroniąc ten malowniczy zakątek przed typowo merkantylną zabudową przemysłu turystycznego. Tessa i Reilly znaleźli się wkrótce w sielskiej atmosferze, wśród starych willi otoczonych ogrodzeniami z kamienia, pordzewiałych żeliwnych płotów i wysokich, rzucających długi cień pinii. Ziemia po obu stronach drogi wyglądała na urodzajną; było sporo krzewów, od czasu do czasu mijali kępę drzew. Na wzgórzach po prawej stronie zarośla gęstniały.

W niespełną godzinę dotarli do Koycegiz, małego miasteczka na skraju ogromnego tajemniczego jeziora, które kiedyś było naturalnym portem. Wyłaniały się przed nimi ponure karyjskie groby skalne, misternie wykute w zboczach otaczających jezioro i zadziwiająco dobrze zachowane – pamiątka po jednej z licznych cywilizacji, które wyrosły w tym regionie.

Jakieś trzy kilometry za miastem Tessa skierowała Reilly'ego w boczną drogę. Asfalt był dziurawy i popękany; z pewnością zwolnił tempo, ale na razie wzmocnione zawieszenie pajero dawało sobie radę.

Jechali, mijając po drodze gaje oliwne i cytrynowe, plantacje pomidorów i pola kukurydzy, drogami, wzdłuż których rosły drzewa balsamowe, a kolory, zapachy i aromaty rozbudzały ich zmysły przytępione wyziewami wielkiego miasta i otumanione po długiej podróży samolotem. Potem wjeżdżali na gęsto porośnięte lasami wzgórze, mijając od czasu do czasu jakąś senną wioskę. Krajobrazy roztaczające się wokół nich były niczym wspomnienie z przeszłości – życia prymitywnego, zgodnego z porami roku, a jednak bardzo barwnego; tutaj nic się nie zmieniało od tysiąca lat. Na każdym kroku ludzie żyli jak za niepamiętnych czasów – takich miejsc ze świecą dziś szukać na bogatym Zachodzie. Zupełnie bez zapowiedzi przed ich oczami wyłaniały się urokliwe obrazy: pilnująca owiec dziewczyna przędła wełnę na kołowrotku; starzec niósł chrust, spod którego ledwo było go widać; za dwoma wołami w drewnianym jarzmie podążał oracz, który pługiem odwracał skibę za skibą w świetle zachodzącego słońca.

Tessa była poruszona, odnajdując zbieżność tego, co widziała, z fragmentami dziennika podróży Al-Idrissiego. Nie rozmyślała jednak o podróży arabskiego odkrywcy, ale o rycerzach, którzy setki lat temu przemierzali tę krainę, zdążając do Paryża.

Zrobiło się już ciemno i okolicę rozświetlały tylko reflektory ich dżipa. Droga się zwężyła; była to wąska ścieżyna usiana kamieniami.

– Może na dzisiaj wystarczy – zaproponował Reilly.

– To nie może być daleko – powiedziała prosząco Tessa, spoglądając na mapę. – Najwyżej jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt kilometrów.

– Jeśli nawet, to zważ, że się ściemnia. Nie chciałbym przywalić w jakąś skałę albo najechać na coś i złamać osi na tym odludziu.

Tessie bardzo zależało na dotarciu do celu, ale gdy Reilly, ostrożnie manewrując pajero, wjechał na kawałek płaskiego gruntu, w duchu przyznała mu rację. Nawet gdyby złapali tylko gumę, po ciemku trudno by było sobie z tym poradzić.

Wysiedli z samochodu i rozejrzeli się dookoła. Ostatnie odblaski zachodzącego słońca oświetlały strzępy różowo-szarych chmur na niebie. Sierp księżycy wisiał tuż nad ich głowami, wydawało się, że mogą go dotknąć ręką. Góry, nieruchome i opuszczone, otoczone były woalem ciszy, jakiej Reilly dawno nie słyszał.

– Jest tu jakieś miasteczko, w którym moglibyśmy się zatrzymać?

– Niczego w pobliżu nie ma – odparła Tessa, sprawdzając na mapie. – Ostatnie minęliśmy jakieś dwadzieścia minut temu.

Reilly sprawdził teren, szukając miejsca na biwak; postanowił, że tu się zatrzymają. Na pewno nie jest to gorsze miejsce niż wszystkie inne. Ruszył w kierunku tylnych drzwi dżipa.

– Zobaczmy, co nam przygotował nasz człowiek w Stambule.

Gdy Reilly zajmował się stawianiem namiotu, Tessie udało się rozpaść małe ognisko. Już wkrótce przekopywali się przez skrzynkę z zapasami, które przygotował dla nich Ertugrul, wodą mineralną popijając słony placek z serem kasseri i chleb z bastermą – plastrami naturalnie dojrzewającej wołowiny.

Reilly zobaczył, że Tessie zaświeciły się oczy, kiedy otwierała maleńkie kartonowe pudełeczko, z którego wyciągała kawałek słodkiego miodowego ciasta, a potem wkładała je do ust, oblizując syrop z palców.

– Niebiosa nam zesłały tego twojego Turka – powiedziała, a potem sięgnęła po następny kawałek. – Spróbuj, to jest fantastyczne. Ostatni raz, jak tu byłam, nie mogłam się nimi najeść do syta. Prawda, że zapewne wiązało się to z moją ciążą.

– A skąd się tu wziął Vance? – spytał, gdy skosztował kawałek słodkiego ciasta.

– Mój ojciec prowadził prace wykopaliskowe niedaleko góry Ararat. Vance bardzo chciał to obejrzeć i ojciec go zaprosił. – Tessa opowiedziała mu, jak w 1959 roku samolot szpiegowski U-2, wracający z rozpoznania nad terenem byłego Związku Radzieckiego, sfotografował nad Turcją

coś, co przez całe lata intrygowało analityków CIA. W końcu wiadomości przedostały się z zamkniętego kręgu pracowników wywiadu i pod koniec lat dziewięćdziesiątych zdjęcia pokazano archeologom. Wzbudziły prawdziwą sensację. W sercu gór Armenii, niedaleko Araratu, znajdowało się coś, co wyglądało jak statek. Na zbliżeniach można było zobaczyć trzy potężne, zakrzywione drewniane belki przypominające kadłub jednostki pływającej.

– Arka Noego – powiedział Reilly, przypominając sobie nagłówki w gazetach.

– To znalezisko zafascynowało wielu ludzi, między innymi mojego ojca. Kłopot polegał na tym, że nawet kiedy zimna wojna zaczęła odchodzić w przeszłość, te obszary wciąż traktowano w specyficzny sposób. Góry znajdowały się zaledwie dwadzieścia kilometrów od granicy rosyjskiej i mniej niż trzydzieści kilometrów od granicy z Iranem. Mało kto uzyskał pozwolenie na wspinaczkę, choć wielu próbowało się tam dostać i zobaczyć, co to naprawdę jest. Jednym z nich był James Irvin. Ten astronauta. Chodził po Księżycu, a potem pasjonował się historią chrześcijaństwa. Próbował się tam wspiąć, żeby się przyjrzeć z bliska temu znalezisku. – Zamilkła na chwilę. – Podczas drugiej próby odpadł od ściany i zginął.

– Czy myślisz – Reilly zmarszczył brwi – że to była naprawdę Arka Noego?

– Okrzyknięto zgodnie, że nie. Że to tylko dziwaczna formacja skalna.

– A ty jak uważasz?

– Nie wiem. Nikt tak naprawdę tam nigdy nie dotarł ani tego nie dotknął. Wiemy jedynie, że opowieść o powodzi i o człowieku, który zbudował łódź i zabrał na nią zwierzęta, występuje już w legendach Mezopotamii, o tysiące lat starszych od Biblii. A to mnie skłania do przypuszczenia, że coś takiego rzeczywiście się wydarzyło. Być może woda nie zalała całego świata, tylko jakiś naprawdę ogromny obszar, może właśnie w tej części świata. Ktoś przeżył i jego opowieść obrosła w legendę.

Powiedziała to bardzo zdecydowanym tonem. Nie mógł powiedzieć, by on od początku do końca wierzył w opowieść o arce Noego, ale...

– To zabawne – powiedział.

– Co?

– Sądziłem, że spośród wszystkich ludzi właśnie archeologów pociągają tajemnice przeszłości, że są na nie bardziej otwarci niż inni, zastanawiają się nad cudami, które ponoć się wydarzyły w odległych czasach, tak odmiennych od dzisiejszych... A jednak twoje podejście jest racjonalne i analityczne. Czy postępując w ten sposób, nie pozbawiasz przeszłości magii, tego



pierwiastka tajemnicy?

– Jestem naukowcem, Sean – Tessa nie widziała w tym żadnego paradoksu. – Jestem taka jak ty. Obracam się przede wszystkim w sferze faktów. Kiedy jadę na wykopaliska, szukam dowodów życia, które wiedli ludzie w przeszłości, jak umierali, prowadzili wojny i wznosili miasta... Mity i legendy zostawiam antropologom.

– Więc jeśli nie da się tego naukowo wyjaśnić...

– ...to prawdopodobnie w ogóle się nie wydarzyło. – Odłożyła pudełeczko z ciastkami i wytarła usta serwetką, a potem przeciągnęła się leniwie i powiedziała:

– Muszę cię o coś zapytać.

– Strzelaj.

– Tam, na lotnisku...

– Tak?

– Jak to się stało, że nie kazałeś mi wysiąść z samolotu? Przecież mogłeś mnie aresztować.

Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Po szelmowskim uśmiechu i błysku w oczach zorientował się, do czego zmierza. Przejmowała inicjatywę, ale co tam, przecież on sam nie był pewien, czy może sobie na to pozwolić. Na razie postanowił uchylić się od odpowiedzi, rzucając coś niezbyt zobowiązującego. W końcu powiedział:

– Wiem, że strasznie byś się rozdarła, gdybym próbował cię stamtąd wyciągnąć.

– A żebyś wiedział – przysunęła się do niego bliżej.

Poczuł, że serce mu troszkę szybciej bije, kiedy przyklęknął i pochylił się, żeby spojrzeć jej prosto w twarz:

– A oprócz tego powiedziałem sobie: a co tam, przekonam się, czy ta dziewczyna rzeczywiście jest tak bystra, jak sama sądzi.

Ona jeszcze bardziej przysunęła się w jego kierunku. Ich twarze dzieliło teraz zaledwie kilka centymetrów; z bliska badała jego rysy. Półuśmieszek zamienił się w pełny uśmiech.

– Jaki wspaniałomyślny.

To niebo, las i ogień... Trudno wyobrazić sobie bardziej sprzyjające okoliczności. Czuł, jak jej wargi emitują ciepło przyciągające jego usta i przez krótką chwilę wszystko inne przestało być ważne. Cały świat oprócz tego małego rozpalonego kręgu po prostu się nie liczył.

– Mogę ci tylko powiedzieć, że jestem naprawdę wielkodusznym facetem. Zwłaszcza dla

tych, którzy samotnie... pielgrzymują. Utrzymywała małą przerwę oddzielającą ich usta.

– Jeżeli rzeczywiście przybyłeś tu, żeby chronić mnie podczas pielgrzymki – szepnęła – to może jesteś moim własnym templariuszem?

– Chyba tak.

– Wiesz – mówiła, przyglądając mu się rozbawiona – że zgodnie z oficjalnym regulaminem templariusz musi całą noc stać na warcie i czuwać, by pielgrzym spał spokojnie?

– Jesteś pewna?

– Rozdział szósty, dział czwarty. Sprawdź sobie.

Wydawało mu się, że śni.

– Myślisz, że dasz radę? – spytała.

– Nie ma problemu. My, templariusze, robimy to rutynowo.

Uśmiechnęła się. A on wykorzystał okazję, by ją pocałować. Przysunął się bliżej i ich pocałunek stał się bardziej namiętny. Wtopili się w siebie pogrążeni w tym, co tu i teraz; ich umysły i serca uwolniły się od natrętnych pytań, owładnięte delikatnym uczuciem, zapachem i smakiem. I nagle znów przypomniał sobie tak dobrze znane uczucie, które nie dawało mu spokoju, które spychało go w ciemne czeluście, przywoływało widok zrozpaczonej matki i siedzącego w fotelu mężczyzny, którego ramiona zwisały bezwładnie, pistolet leżący jakby nigdy nic na dywanie i ścianę z tyłu zachlapaną krwią. Reilly się wycofywał.

– Co się stało? – spytała rozanielona Tessa. Wyprostował się i zmarszczył brwi. Oczy, przed którymi stało to odległe wspomnienie, zrobiły się szkliste.

– To... To nie jest dobry pomysł.

– Błagam cię, zmień zdanie – podniosła się i ona; przeczesła mu palcami włosy, potem przyciągnęła jego usta do swoich. – Uważam, że to jest fantastyczny pomysł.

Chciała pocałować go jeszcze raz, ale w momencie, gdy dotykała ustami jego ust, on znowu się odsunął.

– Mówię poważnie.

Tessa oparła się na łokciu, przez chwilę nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Reilly patrzył na nią przygaszony i zdeprymowany.

– Mój Boże, ty mówisz poważnie. – Spojrzała na niego z ukosa i uśmiechnęła się filuternie. – Czy to z powodu Wielkiego Postu chcesz zachować wstrzemięźliwość?

– Absolutnie nie.

– W takim razie o co chodzi? Nie jesteś żonaty. Jestem pewna, to znaczy prawie pewna – wykonała gest oznaczający „kto to może wiedzieć” – że nie jesteś gejem... Ostatni raz, gdy widziałam się w lusterku, wyglądałam dość nieźle. Więc o co chodzi?

– Trudno to wyjaśnić – chciał to jakoś ubrać w słowa. Nie pierwszy raz dopadały go te uczucia, ale uznał, że czas z tym skończyć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak mu się podobała kobieta.

– Spróbuj.

– Wiem, że ledwo się znamy i może trochę wychodzę przed szereg, ale naprawdę mi się podobasz, lubię cię i... Jest coś, co powinnaś wiedzieć, nawet... – Nie dokończył tego zdania, ale domyśliła się reszty: nawet jeżeli cię przez to stracę. – Chodzi o mojego tatę.

Była kompletnie zaskoczona.

– A co on ma wspólnego z nami? Powiedziałeś, że zginął, gdy byłeś chłopcem, i że był to dla ciebie straszliwy cios. – Reilly zamrugnął powiekami. Od momentu, kiedy wspomniął jej o tym, wiedziała, że porusza się po niepewnym gruncie, ale musiała to wiedzieć. – Co się właściwie stało?

– Zastrzelił się. Bez żadnego powodu.

Gdzieś w głębi Tessa poczuła skurcz. Wyobraziła sobie, jakie to było uczucie.

– Dlaczego mówisz, że bez powodu? Musiał być jakiś powód.

– O to właśnie chodzi – Reilly pokręcił głową i spochmurniał. – Po prostu nie było powodu. To znaczy, to nie miało sensu. Nigdy nie był ponury ani w złym nastroju. Potem się dowiedzieliśmy, że cierpiał na depresję, ale zrobił to bez żadnej konkretnej przyczyny. Miał pracę, którą lubił, i kochającą żonę, żyliśmy bez stresów. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, że powinien być szczęśliwy. Ale to mu nie przeszkodziło palnąć sobie w łeb.

– Depresja to choroba – nachyliła się ku niemu Tessa. – Choroba zaklasyfikowana przez medycynę. To brak równowagi chemicznej w organizmie czy coś w tym rodzaju. Sam powiedziałeś, że był chory.

– Wiem. Chodzi jednak o to, że ludzie przejawiają skłonności dziedziczne do takich schorzeń. Prawdopodobieństwo, że ja również zachoruję, wynosi aż dwadzieścia pięć procent.

– A siedemdziesiąt pięć procent przemawia za tym, że nie zachorujesz – uśmiechnęła się, próbując go wesprzeć. Wydawał się nieprzekonany. – Czy twój ojciec się leczył?

– Nie. Wtedy jeszcze nie wymyślili prozacu. Dzisiaj każdy zażywa pigułki szczęścia jak

aspirynę.

– A ty się badałeś? – spytała, wcześniej rozważywszy, czy wolno jej zadać to pytanie.

– Co rok przechodzimy badania psychologiczne.

– I?

– Niczego nie stwierdzono.

– No właśnie – pokiwała głową. – Ja też nic nie widzę.

– Jak to nic nie widzisz?

– W twoich oczach – mówiła teraz cicho. – Widzę jakiś dystans, jakbyś stał za szklaną ścianą, jakbyś zawsze się powstrzymywał przed postawieniem kolejnego kroku. Na początku myślałam, że może to wpływ pracy; w końcu jesteś agentem FBI, musisz być silny i małomówny. – Nagle powiedziała z przekonaniem: – Tobie się to wcale nie musi przytrafić.

– A jeśli się przytrafi? Przeszedłem przez to, widziałem, jak to wpłynęło na życie mojej matki. Nie chciałbym ani ciebie, ani kogokolwiek, na kim mi zależy, na to narażać.

– Więc odwrócisz się od świata i zostaniesz pustelnikiem? Sean, to tak, jakbyś mi powiedział, że nie powinniśmy być razem tylko dlatego, że twój ojciec zmarł, powiedzmy, na raka. Kto wie, co jest pisane każdemu z nas? Człowiek żyje i ma nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

– Ale nie każdy budzi się pewnego dnia z postanowieniem, że strzeli sobie w głowę ze służbowego pistoletu. Chodzi o to, że ja dostrzegam w sobie cechy ojca. Czasem patrzę w lustro i widzę jego: to samo spojrzenie i dumna postawa; dlatego jestem przerażony.

– Mówiłeś, że ksiądz pomógł ci przez to przebrnąć – kręciła głowę z niedowierzaniem; widać było, że nie potrafi sobie z tym poradzić.

– Mój ojciec nie był religijny – powiedział, jakby nieobecny. – Kwestionował podstawy wiary, a moja mama, no cóż... czasem chodziła do kościoła, ale szczególnie religijna też nie była. Po jego śmierci ja się obraziłem na cały świat. Nie rozumiałem, dlaczego to zrobił, dlaczego nic nie zauważaliśmy, dlaczego nic w tej sprawie nie zrobiliśmy. Moja mama była potem po prostu wrakiem człowieka. Coraz więcej czasu spędzała z naszym wikarym, który w końcu zaczął i ze mną rozmawiać. Pomógł mi zrozumieć, dlaczego żadne z nas nie powinno się o to obwiniać i pokazał mi inną stronę życia. Kościół stał się moim schronieniem i nigdy o tym nie zapomniałem.

– Wiesz co? – Tessa wyraźnie się otrząsnęła i teraz mówiła z mocą. – Doceniam twoją troskę

i twoje ostrzeżenia, bo zachowujesz się jak dżentelmen, ale przyznam ci, że ja się w ogóle nie boję. Chciałeś, żebym wiedziała, i teraz wiem, dobrze? Ale nie sądzę, że powinieneś tak daleko żyć. Nie możesz czemuś, co się zdarzyło dawno, pozwolić na zrujnowanie ci życia. Jesteś tylko człowiekiem; nie pozwól, żeby to wydarzenie przekształciło się w samospelniającą przepowiednię. Nie jesteś swoim ojcem, zrozum to. Musisz oderwać się od myśli o nim, musisz żyć własnym życiem. Jeżeli to nie zadziała, to może w twoim życiu jest coś od podstaw niewłaściwego. Jesteś sam, a to fałstart na samym początku. I Bóg jeden wie, dlaczego nie wybrałeś weselszej pracy.

– Ta robota to całe moje życie.

– Cóż, może jednak powinieneś robić coś innego. – Uśmiech pojawił się w najodpowiedniejszym momencie. – Na przykład zamknąć się wreszcie i porządnie mnie pocałować.

Reilly spojrział w jej oczy. Próbowła się w jego życiu doszukać sensu, napompować go optymizmem, chociaż ledwie się poznali. Tak. Dopiero przy niej czuł, że naprawdę żyje.

Przyciągnął ją mocno do siebie.

Kiedy dwie postacie na ekranie zbliżyły się do siebie, ich szarobłękitne odzwierciedlenia w paśmie promieniowania cieplnego złączyły się w jedną bezkształtną masę. Ich głosy też umilkły; zastąpiły je przytłumione odgłosy zrzucanych pospiesznie ubrań i ocierających się o siebie ciał.

De Angelis trzymał mocno kubek z gorącą kawą, patrząc na ekran bez podniecenia. Zaparkowali na grani powyżej miejsca, na którym Tessa i Reilly urządzili sobie biwak. Z otwartych tylnych drzwi beżowego landcruisera jaśniały w ciemnościach ekrany dwóch monitorów. Jeden w laptopie, od którego przewód prowadził do profesjonalnej kamery szpiegowskiej na podczerwień Raytheon Thermal-Eye, ustawionej na trójnogu i widocznie odcinającej się na tle nieba. Na drugim trójnogu spoczął mikrofon kierunkowy. Drugi ekran był częścią systemu naprowadzania. Połyskiwał na nim punkcik, który sytuował urządzenie sygnalizacyjne przyklejone chytrze pod spodem torby podróżnej Tessy.

Wielebny odwrócił się i spojrział w dół na ciemną dolinę. W głębi serca był zadowolony. Kontrolował przebieg wydarzeń, i o to mu właśnie chodziło. Byli blisko, a z odrobiną szczęścia dotrą tam przed Vance'em. Wciąż nie wiedział, dokąd ta dwójka się wybiera; wolałby mieć

nasłuch z ich samochodu, ale nie miał jak podzucić pluskwy. W zasadzie i tak było to bez znaczenia. Jeżeli coś znajdą, to siedząc im cały czas na karku, i tak zgarną łup.

Ta część była łatwa.

Pozostawało jednak trudniejsze pytanie: co zrobić z nimi, kiedy przestaną być potrzebni?

De Angelis przyjrzał się jeszcze raz scenie miłosnej na ekranie, a potem jednym ruchem dłoni wylał resztę kawy w zarośla.

Przecież jemu też należy się trochę snu.

## Rozdział 55

Kiedy Tessa się obudziła, pierwsze promienie słońca właśnie pojawiły się na niebie. Rozespana sięgnęła ręką, ale natrafiła na pustą przestrzeń. Była sama w spiętych śpiworach. Usiadła i przypomniała sobie, że jest naga; znalazła ubranie, które poprzedniego wieczoru niecierpliwie z siebie zrzuciła.

Słońce było wyżej, niż się spodziewała, a spojrzawszy na zegarek zrozumiała dlaczego. Była prawie dziewiąta, rozżarzona kula przebyła już pół drogi po oszłamiająco błękitnym niebie, czystym i bezchmurnym. Zmrużyła oczy, rozglądając się wokół, i zobaczyła Reilly'ego obok samochodu; był rozebrany do pasa. Golił się, grzejąc wodę grzałką włączoną do gniazdka zapalniczki samochodowej.

Kiedy do niego podeszła, odwrócił się i powiedział:

– Kawa gotowa.

– Uwielbiam tego twojego Ertugrula – powiedziała leniwie, otwierając dymiący termos. Aromat świeżo zaparzonej czarnej kawy pobudził jej zmysły. – Chłopcy, wy naprawdę macie klasę.

– A co, myślałaś, że marnotrawimy twoje podatki?

Stał krem do golenia z twarzy i pocałował ją, a ona po raz pierwszy w dziennym świetle zobaczyła dyskretny srebrny krzyżyk na jego szyi; zawieszony był na cienkim łańcuszku, który błysnął w ciemnościach poprzedniego wieczoru. Nie było to coś, z czym w dzisiejszych czasach ludzie się obnoszą, tak pomyślała. A na pewno nie w jej stronach. Był w tym jakiś staroświecki urok, i to ją rozczulało. Myślała, że nie wyda się jej to ani przez chwilę atrakcyjne, a jednak na jego szerokiej piersi krzyżyk prezentował się okazale. Miała wrażenie, że mu pasuje; był częścią jego samego.

Nie minęło wiele czasu, gdy ruszyli znów w drogę; samochód terenowy podskakiwał na wybojach i pokonywał dziury w nawierzchni. Jechali po zniszczonym asfalcie w głąb łądu. Minęli kilka opuszczonych domków i małe gospodarstwo, a potem skręcili z wąskiej drogi na jeszcze węższą drożynę leśną, prowadzącą niemal pionowo pod górę.

Kiedy przejeżdżali obok zagajnika drzew balsamowych, z których młody chłopak, z pewnością mieszkający w okolicy, ściągał aromatyczną żywicę, Tessa zobaczyła zarysowane

na horyzoncie szczyty górskie i poczuła ogarniające ją podniecenie.

– Tam! Widzisz? – czuła, jak szybko bije jej serce, kiedy wskazywała dłonią górę w pewnej odległości przed nimi. Szczyt był bardzo charakterystyczny, miał symetryczny profil. – To musi być tam! – krzyknęła. – Podwójny garb grani Kenjik – wlepiała wzrok w notatki i mapę, którą trzymała w dłoni, próbując je odnaleźć w krajobrazie. – Jesteśmy na miejscu. Wioska powinna być w dolinie, za tymi górami.

Leśna droga przecinała gęsty, sosnowy zagajnik; kiedy z niego wyjechali z powrotem na pełne słońce i minęli następne zagajniki, pajero musiał wykorzystać całą swoją moc, by wspiąć się pod ostre wzniesienie. Wreszcie dojechali na sam szczyt. Tego się nie spodziewała. To, co zobaczyła, uderzyło ją niczym obuchem w głowę.

Przed nimi, w dolinie między dwiema porośniętymi lasem sosnowym górami, rozciągało się olbrzymie jezioro.



## Rozdział 56

Tessa, patrząc w dół, poczuła, że cała sztywnieje; nie mogła uwierzyć własnym oczom, potem nacisnęła klamkę i wyskoczyła z samochodu, zanim się na dobre zatrzymał. Podeszła energicznym krokiem do grani i rozejrzała się, niczego nie pojmując. Przed nią rozciągało się ciemne, połyskujące w promieniach słońca jezioro, którego spokojne wody spinały połyskującą taflą zbocza po obu stronach doliny.

– Nie rozumiem – powiedziała. – To powinno być właśnie tutaj.

– Pewnie gdzieś źle skręciliśmy – Reilly stanął obok niej.

– To niemożliwe – Tessa była poruszona, myśli kłębiły się jej w głowie. Wracała do szczegółów podróży i do charakterystycznych punktów, które mijali, przypominając sobie jeden po drugim. – Wszystko pasowało idealnie. Podążaliśmy krok za krokiem jego śladem. To powinno być tutaj. To powinno być dokładnie tutaj. – Nie chcąc przyjąć do wiadomości błędu, który wydawał się ewidentny, przedzierała się między drzewami i szła naprzód, żeby wszystko sprawdzić. Reilly podążył za nią.

Jezioro rozciągało się aż do końca doliny po prawej stronie. Jego drugi koniec był skryty za ścianą lasu.

– Nie rozumiem – Tessa wpatrywała się w spokojną wodę, nie wierząc własnym oczom.

– Posłuchaj, nie możemy być daleko – Reilly rozglądał się wokół. – To musi gdzieś tu być. Pewnie pobłądziliśmy.

– Tak, ale w którym momencie? – pytała zirytowana. – Przemierzaliśmy punkt po punkcie trasę, którą on wytyczył, aż do symetrycznej grani. To powinno być tu, dokładnie przed nami. – Wpatrywała się intensywnie w mapę. – Nawet na mapie nie ma tu jeziora. – Spojrzała na niego i westchnęła ciężko.

– Posłuchaj, jesteśmy blisko – objął ją ramieniem. – Na pewno. Tyle godzin już jedziemy. Znajdziemy jakieś miasto i zjemy śniadanie. Rozłożymy twoje notatki i mapy i jeszcze raz się wszystkiemu dokładnie przyjrzymy.

Wioska była mała, a jedyną knajpę okupowali miejscowi. Zamówienie przyjął od nich stary człowiek z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą i małymi, czarnymi jak kamyczki oczami. Reilly i Tessa ograniczyli się do przytakiwania, kiedy mówił, co mogą dostać do zjedzenia. Po chwili na

stole znalazły się dwie butelki piwa Efeb oraz przekąski z nadziewanych liści winogron.

Tessa zagłębiła się w swoje notatki. Trochę się uspokoiła, ale wciąż nie mogła w to uwierzyć. Była przekonana, że jechali właściwą drogą.

– Zjedz coś – poradził. – Lepiej ci pójdzie narzekanie.

– Ja nie narzekam – burknęła pod nosem i popatrzyła na niego z irytacją.

– Może ja spojrzę.

– Na co? – Teraz jej pytanie było jeszcze bardziej opryskliwe.

– Na twoje notatki. Przejrzyjmy je razem, krok po kroku.

– Jesteśmy blisko – odepchnęła od siebie mapę i usiadła wygodniej na krześle, zaciskając dłonie w pięści. – Czuję to. Wiem to na pewno.

Stary człowiek wrócił z dwoma talerzami gołąbków i szaszłyków jagnięcych. Reilly się przyglądał, jak kładzie talerze na stole, a potem podziękował skinieniem głowy i spojrzał znacząco na Tessę:

– Może jego powinniśmy spytać?

– Beer el Sifsaaf nie ma na mapie od setek lat – powiedziała niechętnie. – Zrozum, Sean, ten gość jest wprawdzie stary, ale bez przesady.

Reilly jej nie słuchał. Przyglądał się staremu człowiekowi, który pokazał w uśmiechu bezzębne usta i kiwał głową. Reilly poczuł adrenalinę we krwi.

– Beer el Sifsaaf – powtórzył, a potem dodał powoli: – Wie pan, gdzie to jest?

Stary człowiek uśmiechnął się i kilkakrotnie kiwnął głową.

– Beer el Sifsaaf – powiedział. – Evet.

Tessie zaświeciły się oczy i wyprostowała się jak struna.

– Co? – Mężczyzna raz jeszcze kiwnął głową. – Gdzie? – spytała podekscytowana. – Gdzie to jest? – Stary człowiek wciąż kiwał głową, ale teraz wydawał się trochę zmieszany. Tessa zmarszczyła brwi, a potem zaczęła od początku.

– Nerede?

Starzec wskazał ręką wzgórze, z którego właśnie zjechali. Tessa podniosła wzrok i podążyła za jego wyciągniętą dłonią. Wskazywał kierunek północny i Tessa natychmiast ruszyła do samochodu.

Kilka minut później pajero z rykiem silnika wspinał się pod górę. Stary człowiek na fotelu pasażera trzymał się oburącz uchwyty nad oknem i spocony ze strachu patrzył, jak zbocze

przemyka obok niego w zawrotnym tempie, a wiatr wdziera się przez otwarte okna. Jego okrzyki: „Yavas, yavas” tylko wzmagały zapamiętanie Reilly’ego, kiedy jechali w górę. Tessa siedząca z tyłu pochylała się ku nim i nie spuszczała oczu z okolicy, przez którą przejeżdżali, starając się odnaleźć charakterystyczne punkty.

Tuż przed linią grani, z której zobaczyli jezioro, stary mężczyzna wskazał coś ręką i powiedział: „Gol, gol”. Reilly skręcił, wjeżdżając na jeszcze węższą ścieżkę, którą wcześniej przeoczyli. Gałęzie drzew były w błotniki samochodu, ale terenowe auto parło naprzód niczym czołg. Po mniej więcej kilometrze drzewa się przerzedziły, a oni wjechali na kolejną grań.

Stary człowiek uśmiechał się od ucha do ucha podekscytowany, wskazując dłonią dolinę:

– Orada, orada! Shte!

Znów pojawiła się przed nimi dolina i własnym oczom ukazało się jezioro. To samo jezioro.

Rzuciła na nie okiem, niechętna i rozczarowana. Reilly jednak ze zgrzytem hamulców zatrzymał samochód i wszyscy wysiedli. Podeszli do skraju niewielkiej łąki, a stary człowiek wciąż kiwał głową, niezmiernie z siebie rad. Tessa przyglądała mu się z niedowierzaniem, a potem zwróciła się do Reilly’ego:

– Oczywiście, trafiliśmy na jakiegoś zidiociałego wieśniaka. – Spojrzała na starca jeszcze raz i spytała błagalnie: – Beer el Sifsaa? Nefede?

– Orada – stary człowiek zmarszczył brwi, wyraźnie nie rozumiejąc. Upierał się, wskazując w dół na jezioro.

Reilly podszedł kilka kroków do przodu i spojrzał raz jeszcze. Z punktu, w którym stali, widzieli całe jezioro, łącznie z jego zachodnim brzegiem; nie było tego widać z miejsca w lesie, w którym zatrzymali się wcześniej.

Odwrócił się do Tessy, a na jego twarzy zobaczyła figlarny uśmiezek.

– O wy, ludzie małej wiary! – wyrecytował.

– Co masz na myśli? – spytała.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Spojrzał na starego człowieka, który energicznie kiwał głową, potwierdzając jego przypuszczenia, a Tessa, kompletnie zdezorientowana, wspięła się ku Reilly’emu. I wtedy zobaczyła.

Stąd widać było nitkę betonowej drogi przecinającej jezioro na pół, oddaloną o jakieś półtora kilometra. Szczyt betonowej zapory.

– O, mój Boże! – wykrzyknęła Tessa.

Reilly już wyciągał z kieszeni notes i szkicował przekrój gór połączonych drogą i powierzchnię jeziora. Potem narysował jakieś domy na dnie jeziora i pokazał szkic staremu człowiekowi, który wziął od niego długopis i namalował duży znak X na samym dnie jeziora, mówiąc:

– Koy suyun altında. Beer el Sifsaaf.

Tessa popatrzyła na niego, a on pokazał jej swój niezręczny rysunek.

– Jest tam – powiedział. – Pod wodą. Wieś została zalana razem z całą doliną. Spoczywa na dnie tego jeziora.

## Rozdział 57

Stary człowiek siedział teraz trochę wygodniej, a Reilly ostrożnie prowadził pajero w dół nierówną górską drogą; wreszcie dotarli do brzegu jeziora.

Było olbrzymie, a powierzchnia wody gładka i jedwabista. Po drugiej stronie widzieli linię energetyczną i telefoniczną, tak przynajmniej zgadywał; prawdopodobnie prowadziła tamtędy droga. Jeżeli chodzi o tamę, widział słupy wysokiego napięcia ciągnące się na północ wzgórzami, w kierunku cywilizacji. Oprócz tamy, i sztucznego jeziora cywilizacja nie miała tu dostępu. Okoliczne lasy i wyższe, bardziej ponure szczyty gór czyniły teren niezbyt gościnnym; podobnie musiało tu wyglądać, gdy siedemset lat temu zawitali templariusze.

Dotarli do tamy i Reilly był zadowolony, że może wreszcie zjechać z dość niebezpiecznej górskiej drogi; zadowolona była także Tessa, która dotarła wreszcie do punktu przeznaczenia. Reilly pruł jezdnią na szczycie olbrzymiej konstrukcji. Przepaść po lewej miała co najmniej sześćdziesiąt metrów. Na samym końcu zobaczyli urządzenia i pomieszczenia techniczne – tam właśnie prowadził ich stary człowiek.

Jadąc, Reilly przyglądał się bacznie brzegowi jeziora i rozciągającym się powyżej wzgórzom. Nie zauważył żadnych oznak życia, chociaż nie był pewien; drzewa rosły gęsto, a w ich cieniu mógł się ukryć każdy, kto nie chciał być zauważony. Bardzo bacznie od samego początku podróży rozglądał się wokół, czy nie zauważy gdzieś śladów pozostawionych przez Vance'a – to był już ostatni etap ich wyprawy, ale nic w okolicy nie sugerowało obecności żadnego gościa z zewnątrz. Sytuacja prawdopodobnie byłaby zupełnie inna w szczycie turystycznym, ale teraz wydawało się, że są sami.

Wcale go to nie uspokoiło. Vance już dowiedział, że potrafi wyprzedzać o krok; wykazywał ogromną determinację i upór w drodze do celu.

Gdzieś tam był. Niedaleko.

Reilly wykorzystał czas jazdy, by zagadnąć starego człowieka, czy ostatnio ktoś jeszcze pytał o wioskę. Po kilku karkołomnych akrobacjach lingwistycznych z tego, co mówił stary człowiek, zrozumiał, że przynajmniej jego nikt nie pytał. Może dotarliśmy tu przed nim, pomyślał Reilly, przemierzając wzrokiem teren wokół zapory i usiłując się zorientować, czy wszystko jest na swoim miejscu. W końcu zatrzymał terenowy pojazd przy niewielkim budynku, w którym

musiały się znajdować pomieszczenia techniczno-biurowe.

Na zewnątrz ktoś zaparkował przerdzewiałego białego fiata. Stąd było widać z drugiej strony coś, co wyglądało na drogę. Robiła wrażenie porządnej, musiała być zbudowana całkiem niedawno.

– Jeżeli się nie mylę – powiedział Reilly – mogliśmy tu przyjechać dwa razy szybciej i dwa razy bardziej komfortowo.

– Cóż, ważne, że jesteśmy – zaśmiała się Tessa. – Może za to wyjedziemy szybko i gładko. – Była w znakomitym nastroju. Uśmiechnęła się do niego radośnie, wyskoczyła z samochodu i poszła za starym człowiekiem, który teraz witał się z kimś znacznie od siebie młodszym. Ów człowiek wyłonił się z niewielkiego budyneczku.

Reilly odczekał chwilę, przyglądając się długonogiej, pięknej kobiecie, która energicznie stawiała kroki, dochodząc do dwóch tubylców. Tessa była niepoprawna. W co ja się wdaję, pomyślał, w co ja się pakuję? Próbował jej zasugerować, żeby ogłosili odkrycie i poczekali na przybycie grupy specjalistów, którzy się wszystkim zajmą. Zapewniał Tessę, że zrobi wszystko, żeby cała zasługa przypadła jej w udziale. Nawet nie mrugnawszy okiem, zignorowała tę sugestię i prosiła, a nawet błagała, żeby się jeszcze wstrzymał. Chociaż rozsądek podpowiadał mu co innego, ustąpił pod naporem jej energii i entuzjazmu. Chciała pójść dalej, nalegała nawet, żeby nie włączał telefonu satelitarnego, przynajmniej dopóki nie zobaczą sami, co znaleźli.

Tessa już brylowała w ożywionej rozmowie z młodym człowiekiem, technikiem Okanem. Był niewysoki, szczupły, z szopą gęstych czarnych włosów i olbrzymim wąsem pod nosem, a z jego twarzy Reilly wywnioskował, że Okan zrobi wszystko, co w jego mocy, by tylko ta czarująca pani była zadowolona; na pewno im pomoże. Mówił trochę po angielsku, co nie było bez znaczenia. Reilly przyglądał się z zainteresowaniem, jak Tessa mu opowiada, że są archeologami, których interesują kościoły, a zwłaszcza ten kościół pod powierzchnią jeziora. Okan wyjaśnił, że dolinę zalano w 1973 roku – dwa lata po tym, jak powstała mapa, którą przywiozła Tessa. Spiętrzone wody generowały teraz energię elektryczną dla szybko rozwijającego się regionu turystycznego na południu.

Następnie zadała Okanowi pytanie, które sprawiło, że Reilly niemal wrósł w ziemię.

– Na pewno macie tu sprzęt do nurkowania, prawda? Musicie sprawdzać stan tamy.

– Tak, mamy – wybąkał Okan. Wydawał się równie zdziwiony jak Reilly.

– A dlaczego?

– Chcielibyśmy go wypożyczyć – Tessa rozwiąła wszelkie jego wątpliwości.

– Chcecie nurkować i pod wodą oglądać kościół? – spytał, a jego twarz była jednym wielkim znakiem zapytania.

– Tak – odparła Tessa z entuzjazmem, unosząc w górę ramiona. – Dzisiaj jest cudowna pogoda do nurkowania, prawda?

Technik patrzył na Reilly’ego i na starego człowieka, nie wiedząc, co ma począć.

– Oczywiście, mamy sprzęt, ale używamy go najwyżej dwa razy do roku – powiedział z wahaniem. – Trzeba będzie go sprawdzić, a ja nie wiem, czy – Mój współpracownik i ja sami go sprawdzimy. – Tessa weszła mu w słowo. – Robimy to ciągle. To dokąd teraz?

Reilly spojrział na nią niepewnie, ale posłała mu uśmiech pełen niezachwianej wiary w siebie. Zastanawiał się, skąd przyszło jej do głowy twierdzić, że oboje są wytrawnymi nurkami. Nie wiedział nic o jej kwalifikacjach, ale on sam przeszedł zaledwie podstawowe szkolenie pod wodą. W każdym razie postanowił nie rzucać jej kłód pod nogi, a już na pewno nie dyskutować z nią w obecności tych dwóch obcych mężczyzn. Był ciekawy, do czego jeszcze jest zdolna.

– Nie jestem pewien, ja... – Okan czuł się zdecydowanie niezręcznie. – Musiałbym zdobyć pozwolenie przełożonych na wypożyczenie sprzętu.

– Jestem przekonana, że wyraziliby zgodę – posłała mu ten swój figlarny uśmiech. – Oczywiście, podpiszemy, że ponosimy całkowitą odpowiedzialność za sprzęt – zapewniła go. – Będziemy bardzo ostrożni. I oczywiście z chęcią zapłacimy... firmie za wypożyczenie sprzętu. – Przed słowem „firmie” zawiesiła głos w sposób dokładnie przemyślany. Gdyby przerwa była odrobinę krótsza, Okan i stary człowiek mogliby jej nie zauważyć, dłuższą mogliby odebrać jako afront, bo byłaby to bezczelna propozycja łapówki.

Niewysoki mężczyzna przyglądał jej się przez chwilę, potem potarł wąsy i wzruszył ramionami.

– No, dobrze. Chodźcie za mną. Pokażę wam, co mamy.

Wąskie schody z pomieszczenia biurowego prowadziły do zakurzonego magazynku, w którym byle jak rzucone leżało różnego rodzaju wyposażenie. Teraz oświetlało je przytłumione światło jarzeniówki, która zapalała się i gasła, wydając przy tym denerwujący dźwięk. W błękitnej poświacie Reilly zobaczył zestaw elektryczny do spawania, butle z butanem, palnik acetylenowo-tlenowy, a w najdalszym kącie rzucony na kupę sprzęt do nurkowania.

Pozostawił Tessie skompletowanie sprzętu, a ona, podnosząc poszczególne elementy,

sprawiała wrażenie osoby, która wie, do czego to wszystko służy.

– No, może nie jest to najbardziej nowoczesne wyposażenie, ale nam wystarczy – wzruszyła ramionami.

Sprzęt nie miał zabezpieczeń elektronicznych nowszej generacji. Będą musieli się bez tego obejść. Zobaczyła na ścianie mapę zalewu i spytała Okana, jak głęboko muszą zejść pod wodę. Powiedział, że na jakieś trzydzieści do trzydziestu pięciu metrów. Spojrzała na mapę dna i zmarszczyła czoło.

– Nie będziemy mieli za dużo czasu pod wodą. Musimy nurkować nad samą wioską.

Raz jeszcze zwróciła się do Okana i spytała go, czy może im dokładnie wskazać położenie wioski.

Niewysoki mężczyzna zmarszczył brwi, zastanawiając się chwilę nad jej pytaniem.

– Musicie porozmawiać z Rüstemem – powiedział w końcu. – Mieszkał w tej wiosce, zanim ją zalano, i nigdy stąd nie wyjeżdżał. Jeżeli ktoś wie, gdzie jest ten kościół, to na pewno on.

– To szaleństwo. Powinniśmy sprowadzić zawodowych nurków – zwrócił się Reilly do Tessy, gdy tylko Okan wyszedł z magazynu.

– O czymś zapominasz. Ja nurkuję – dowodziła. – Robiłam to setki razy.

– Tak, ale nie w ten sposób. Oprócz tego nie podoba mi się to, że będziemy oboje w wodzie i nikt na górze nie będzie obserwował tego, co się dzieje dookoła.

– Musimy spróbować. Przecież sam tak powiedziałaś. Nikogo tu nie ma. Wyprzedziliśmy Vance'a. – Pochyliła się nad nim, a jej twarz rozświetlała teraz radość oczekiwania. – Teraz nie możemy się zatrzymać. Przecież jesteśmy tak blisko.

– Zejdziemy pod wodę tylko raz – ustąpił. – Potem dzwonimy.

– Zgoda. Jeden raz i koniec. – Już szła w kierunku drzwi.

Wynieśli sprzęt po schodach i wrzucili wszystko do bagażnika pajero. Okan zaprosił Tessę do swojego przerdzewiałego białego fiata i kazał Reilly'emu jechać za sobą. Stary Turek usiadł koło niego na przednim siedzeniu. Reilly spojrzał na Tessę, która puściła do niego oko, a potem zanurkowała do małego samochodziku Okana, sprawiając mu tym wiele radości.

Jechał za Okanem po asfaltowej drodze przez jakiś kilometr, zatrzymali się obok ogrodzenia, za którym trzymano pustaki betonowe, plastikowe rury i dziesiątki stalowych beczek po ropie; typowy bałagan, który zostaje po każdej budowie. Wewnątrz kręcił się stary człowiek w tradycyjnym nakryciu głowy i długiej dżela-biji. Reilly zgadywał, że to jakieś prywatne



przedsiębiorstwo i nie był zdziwiony, kiedy Okan przedstawił im Rüstema, zarządzającego tymi materiałami budowlanymi, jako swojego wuja.

Rüstem powitał ich bezzębnym uśmiechem, a potem słuchał uważnie, jak siostrzeniec zadaje mu pytania z szybkością karabinu maszynowego. On odpowiadał, żywo gestykulując, i pomagał sobie entuzjastycznym kiwaniem głową.

– Wuj pamięta bardzo dobrze to, co zostało z wioski – zwrócił się Okan do Tessy i Reilly’ego. – Przez wiele lat pasał tam kozy. Powiada, że zostały tylko fragmenty kościoła. – Wzruszył ramionami, a potem dodał własny komentarz. – Tak przynajmniej było, zanim zalano dolinę. Tuż przy kościele była studnia i on pamięta... – Okan zmarszczył brwi szukając właściwych słów. – Martwy korzeń bardzo dużego drzewa.

– Pień drzewa.

– Tak, właśnie. Martwy pień wierzby. Tessa odwróciła się do Reilly’ego, a w jej oczach płonął entuzjazm i oczekiwanie.

– No, jak myślisz? Warto to obejrzeć? – spytała.

– Jeżeli nalegasz – uśmiechnął się szeroko.

Podziękowali Okanowi i staremu Turkowi; obaj mężczyźni odjechali, a technik rzucił ostatnie zachwycone spojrzenie na Tessę. Po chwili ona i Reilly wkładali pianki i przenosili sprzęt na skraj wody, gdzie uwiązane były dwie małe łódki z wiosłami. Wsiedli do jednej z nich, a Rüstem wypchnął ich i sam przelazł przez burtę. Chwycił w dłonie wiosła i wykonywał płynne ruchy, jak człowiek, który robi to przez całe życie.

Tessa przypomniała Reilly’emu w drodze podstawowe procedury, które on dość mętnie pamiętał po kilku nurkowaniach podczas krótkiego pobytu na Kajmanach przed czterema laty. Rüstem puścił wiosła, kiedy byli mniej więcej w połowie drogi między wschodnim a zachodnim brzegiem i kilometr od zapory. Mruczał coś pod nosem i zmrużywszy oczy, spojrzął na pobliskie wzgórze, potem na jeszcze jedno i jeszcze jedno, za pomocą wiosła ustawił łódź we właściwym położeniu na powierzchni wody. Kiedy skończył, Reilly wsadził rękę za burtę i przepłukał maski w wodzie.

– Jak sądzisz, co tam jest? – spytał.

– Nie wiem. – Tessa popatrzyła na wodę. – Mam naprawdę nadzieję, że rzeczywiście coś znajdziemy.

Patrzyli na siebie w milczeniu, potem uświadomili sobie, że stary mężczyzna przestał już

wiosłować i triumfalnie uśmiecha się bezzębnymi ustami. Wskazał dłonią w dół.

– Kilise suyan altinda – powiedział. Jego słowa brzmiały podobnie do tych, które usłyszeli od zasuszonego staruszka w restauracji.

– Ekran – powiedziała Tessa.

– Co on powiedział?

– A niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem – odparła, wspinając się na burtę łodzi, a potem dodała: – ale jestem prawie pewna, że słowo kilise oznacza kościół, więc sądzę, że to musi być to. – Przechyliła głowę w bok, pytając: – To co, schodzisz czy nie?

I zanim zdążył odpowiedzieć, założyła maskę, przetoczyła się na plecy i niemal bezgłośnie zanurzyła w wodach jeziora. Spoglądając na Rustema, który podniósł w górę kciuk w zdecydowanie współczesnym geście, Reilly znacznie mniej zwinnie poszedł w jej ślady i z pluskiem wpadł prosto w ciemną otchłań wody.

## Rozdział 58

Kiedy zanurzali się coraz głębiej w chłodny i mroczny przestwór jeziora, Tessa poczuła znany przypływ energii, odczucie, za którym od dawna bardzo tęskniła. W świadomości, że może zobaczyć coś, czego ludzkie oko nie widziało przez wiele setek lat, było coś niemal mistycznego. Wtedy, podczas wykopalisk też czuła się odurzona, zbliżając się do pozostałości dawno zaginionej cywilizacji pogrzebanej przez wieki pod ziemią i piaskiem. Teraz to, czego szuka, jest głęboko pod wodą, a jej radość – znacznie większa.

To zejście pod taflę sztucznego jeziora było lepsze niż wszystko, czego doświadczyła. Wykopaliska i nurkowania, o ile zaczynały się przyrzeczeniem jakiegoś wielkiego odkrycia, przeważnie kończyły się rozczarowaniem. Teraz było inaczej. Szlak, który doprowadził ich na brzeg tego jeziora, zaszyfrowane wiadomości i to, do czego ludzie byli zdolni, by zachować to w tajemnicy, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi wskazywały, że są bliscy odkrycia archeologicznego o znaczeniu przewyższającym wszystkie dotychczasowe.

Byli teraz jakieś siedem metrów pod powierzchnią wody i powoli schodzili w dół. Otoczona przestworem chłodu, czuła radość odkrywcy każdym centymetrem skóry i każdym fragmentem ciała – wiedziała, że naprawdę żyje. Podniosła oczy w górę, tam gdzie światło słońca rysowało płaską taflę wody. Zobaczyła dno łódki staruszka stojącej nieruchomo tuż nad ich głowami i delikatne fale wokół łodzi. Woda była w miarę czysta, choć w zasadzie znajdowali się w rzece, na której postawiono tamę, ale z każdym metrem ciemność otaczała ich coraz dokładniej.

Wciąż nie było widać dna. Tessa włączyła lampę przyczepioną do przedramienia, a ta po kilku sekundach rozjarzyła się w pełni, oświetlając ponurą ciemność przed ich oczami. W wodzie tańczyły maleńkie szczątki roślin, powoli pchane przez prąd w stronę zapory. Maleńka ławica ciekawskich pstrągów podpłynęła do nich na chwilę, a potem zniknęła błyskawicznie w ciemnościach.

Tessa spojrzała na Reilly'ego, który trzymał się blisko niej. Zauważyła, że rękami wskazuje w dół i zobaczyła powoli wyłaniające się dno jeziora. Na początku widok był dosyć niesamowity – nawet przez lata nabudowywania się osadów i piasku od czasów postawienia tamy dno nie wyglądało jak morskie, a do takiego widoku przywykła. W rzeczywistości wyglądało tak, jak powinno wyglądać – zalana wodą dolina usiana kamieniami i nagimi pniami długich, martwych

drzew. Większość z nich pokrywały grubą warstwą ciemne algi.

Płynęli obok siebie, zataczali kręgi, przyglądając się uważnie dnu. Wyszkolone oczy Tessy zapewniały jej pierwszeństwo. Słowa starego człowieka sprawdziły się co do joty. Na dnie, ledwo widoczne w tym niesamowitym krajobrazie z innego świata, zobaczyli upiorne pozostałości miasta.

Na początku widzieli tylko fragmenty zniszczonych erozją kamiennych ścian, potem wszystko powoli zaczęło przyoblekać bardziej konkretne kształty. Poprowadziła Reilly'ego jeszcze dalej w dół i teraz zobaczyli zarysy ulic i domów. Posuwali się powoli naprzód, zawieszeni nad pozostałościami starej osady w egipskich ciemnościach niczym badacze kosmosu unoszący się w ładownikach nad obcą planetą. Widok był nie z tego świata; bezlistne gałęzie martwych drzew kołysały się popychane prądem wody, jakby czając się, by pochwycić w pułapkę zbłąkane dusze.

Kątem oka ujrzała jakieś poruszenie i spojrzała w lewo. Ławica małych rybek pożywiających się algami rozproszyła się gdzieś w mrokach mętnej wody. Tessa odwróciła się i zauważyła, że zabudowania się kończą, ustępując miejsca otwartej przestrzeni. Wskazała ręką coś na dole. Reilly zobaczył czarny pniak ściętego wielkiego drzewa, a to, co pozostało z jego przegniłych gałęzi, ledwo się ruszało w prądzie wody. Znaleźli wierzbę płaczącą. Tessa bezwiednie wypuściła z płuc maleńką chmurkę banieczek powietrza, które wydostały się z regulatora i poszybowały ku powierzchni. Gorączkowo wypatrywała teraz czegoś na dnie. Wiedziała, że to musi być blisko. Kiedy Reilly do niej podpłynął, miała to przed oczami – pokruszone szczątki czegoś, co kiedyś musiało być studnią, kilka metrów od pnia wierzby. Kilka razy machnęła energicznie płetwami, a światło jej latarki przecięło ścianę ciemności za studnią. Właśnie tam zobaczyli melancholijnie mury wspaniałego niegdyś kościoła.

Spojrzała na Reilly'ego, który był tuż przy niej; chłonał to wszystko, widać było, że jest równie przejęty jak ona. Ruszyła naprzód, a potem w dół w kierunku wypiętrzonych budowli. Do ścian przyłgnał osad, a dach był niebezpiecznie dziurawy. Kiedy oświetlała latarką ściany, nie miała wątpliwości, że kościół jest w bardzo złym stanie; bez wątpienia posunął się przez te siedemset lat od czasu, kiedy znaleźli go templariusze.

Reilly był tuż za nią. Tessa opadała w dół i jak ptak kołujący nad polem opłynęła portal kościoła; z zawiasów zwisały masywne drzwi. Była teraz wewnątrz, jakieś cztery metry nad posadzką. Posuwali się wzdłuż zatopionej galerii kolumn, niektóre były zwalone. Dzięki temu, że

kościół miał ściany, podłoga nie była pokryta tak grubą warstwą osadu, co dobrze rokowało poszukiwaniom płyty nagrobnej. Poruszali się naprzód ramię przy ramieniu, latarka wylaniała z mroków głębokie nisze pośród murów.

Tessa rozglądała się dookoła, chłonąc oczami upiorne kształty i jednocześnie próbując uspokoić serce, które biło jak opętane. Portal ze zwisającymi drzwiami pochłonęła już ciemność; Tessa dała Reilly'emu sygnał i zeszli na samo dno. Popłynął tuż za nią tam, gdzie leżała ogromna, rozbita kamienna płyta, która jak się Tessa domyślała, musiała kiedyś stanowić część ołtarza. Była pokryta algami, maleńkie raczki przyczepiły się do niej ze wszystkich stron.

Sprawdziła czas i pokazała Reilly'emu dziesięć palców. Będą musieli zacząć się wynurzać właśnie za tyle minut, nie mieli dość powietrza w butlach, żeby móc czekać na dekompresję.

Tessa wiedziała, że są blisko. Przesuwała się zaledwie kilka centymetrów nad podłogą kościoła, delikatnie odgarniając piach i osad, tak by nie wzburzyć zbyt wielkiej chmury delikatnego piasku. Nie było żadnych kamiennych płyt. Tylko jakieś okruchy skalne, muł i piach, przez który przeciskały się węgorze. Wtedy Reilly dźgnął ją palcem. Powiedział coś głosem metalicznym i przytłumionym, ale w bąbelkach wody uciekających z ustnika głos gdzieś się zagubił. Patrzyła, jak sięga w dół i odgarnia muł i piasek z maleńkiego wgłębienia. Na podłodze zobaczyli prawie nieczytelne rzeźbione litery. Była to płyta nagrobna. Tessa oddychała teraz bardzo szybko. Wodząc palcami za literami, odczytała nazwisko: Caio. Spojrzała na Reilly'ego rozgorączkowanymi oczami. Ostrożnie i z wielkim trudem usuwali piasek z kolejnych kamieni nagrobnych. Tessa słyszała teraz w uszach ogłuszający łomot serca – nazwiska pojawiały się litera po literze. I wreszcie z mułu i osadu wyłoniło się to, którego szukali.

Romiti.

List Aimarda był prawdziwy. Dekoder, który zbudowali fachowcy z FBI, był dokładny, a co ją najbardziej cieszyło, to również jej hipoteza okazała się w końcu słuszna.

Znaleźli to, czego szukali.

## Rozdział 59

Zabrali się teraz energicznie do oczyszczania płyty nagrobnej z porostów i piasku.

Reilly próbował wcisnąć palce w szczeliny i podważyć płytę, ale nie miał oparcia, a to, że szybował w wodzie w masce tlenowej, nie pomagało mu użyć odpowiedniej siły. Tessa spojrzała na zegarek – zostało im jeszcze pięć minut. Rozglądając się nerwowo za czymś, co mogłoby posłużyć za narzędzie, zauważyła poskręcane kawałki metalu wystające z jednej z kolumn. Podpłynęła do niej i pociągnęła za wystający pręt, który po chwili trzymała w rękach, a wokół niej wzbijała się chmura maleńkich cząstek kamiennego pyłu. Powróciła z powrotem na dół najszybciej, jak mogła. Gdy znalazła się nad podłogą, Reilly wyjął jej z ręki kawałek metalu i wsunął jego koniec do szczeliny między płytą nagrobną a podłogą. Razem naparli na drugi koniec.

Nagle usłyszeli dźwięk, jakby coś pękało. Nie pod nimi, ale wyżej, nad głowami. Tessa rzuciła spojrzenie w górę i zobaczyła, że z miejsca, z którego wyciągnęła kawał pręta, zaczynają wypadać małe kamyczki. Czy to tylko ruch wody, czy górna część kolumny ześlizguje się z podstawy? Spojrzała na Reilly'ego zaniepokojona. Dźgnął palcem w pręt, sygnalizując kolejne podejście do podważania płyty nagrobnej. Skinęła głową i chwyciła pręt rękami; raz jeszcze z całą siłą, na jaką ich było stać, nacisnęli na zaimprovizowany lewarek. Tym razem płyta się poruszyła. Tylko troszeczkę, jeszcze nie dało się włożyć dłoni. Znowu naparli na żelazny pręt. Płyta znów trochę drgnęła, potem przesunęła się na bok, wypuszczając wprost na nich chmurę bąbelków. Powietrze płynęło gwałtownie w górę, prześlizgując się po ich rękach i piankach, a potem zniknęło w dziurze przegniętego dachu kościoła.

Z góry po raz kolejny dobiegł odgłos pęknięcia.

Tessa zauważyła, że górny fragment pochylonej kolumny ześlizguje się z podstawy. Pręt, który tak pochopnie wyciągnęła, coś musiał podtrzymywać, bo kolumna przestała być stabilna; jej struktura się obluźowała. Gdzieś nad nią rozrywały się w wodzie drobiny piasku jak bezgłośnie eksplozje artyleryjskie. Zwróciła się z powrotem do Reilly'ego, który walczył z płytą nagrobną i pokazywał palcem coś w dole. Zobaczyła, że teraz otwór zrobił się wystarczająco duży, by wsadziła rękę. Skrzywiła się; przypomniała sobie jakiś stary film, w którym w rękę nurka wgrzyzł się olbrzymi złośliwy węgorz. Próbując wyrzucić ten obraz z pamięci, zdecydowanym ruchem

włożyła dłoń do wnętrza grobowca. Nerwowo macała, próbując nie myśleć o odbijających się echem dźwiękach pęknięcia i o kruchości wiekowych murów, które ją otaczają. Wreszcie wyczuła coś palcami. To coś było obłe. Spojrzała na Reilly'ego z niemym błaganiem, by jeszcze trochę uniósł płytę – nie mogła wyciągnąć na zewnątrz tego, co znalazła. Przesunął dłoń, zacisnął ją mocniej na żelaznym pręcie, a Tessa zobaczyła pęcherzyki powietrza, które wypuszcza wraz z oddechem. Natężając się ze wszystkich sił, próbował powiększyć otwór. Ciągnęła z całej siły, starając się nie zniszczyć tego przedmiotu.

Reilly po raz ostatni pociągnął i kamienna płyta podniosła się na tyle, że Tessie udało się wyłuskać znalezisko ze środka. Okazało się, że to pakunek okręcony długim skórzanym paskiem, wielkości mniej więcej małego plecaka, pękaty od czegoś twardego i dosyć ciężkiego. Kiedy Tessa wyciągnęła przedmiot przez szczelinę, żelazny pręt nagle nie wytrzymał, złamał się, a płyta nagrobna ześliznęła się w dół, przelatując dosłownie o centymetry od zawiniątka, i głośno opadła na pusty grobowiec, dudniąc i rezonując oraz wzbijając tumany piasku. Usłyszeli z góry kolejne pęknięcie, po czym tarcie kamienia o kamień – górna część kolumny zsuwała się milimetr po milimetrze z podstawy, a dach kościoła zapadał się do środka. Tessa i Reilly spojrzeli po sobie niespokojnie i ruszyli w kierunku wyjścia. Coś zatrzymało Tessę. Pasek zawiniątka przytrzasnęła opadająca płyta nagrobna.

Tessa ciągnęła jak szalona za skórzany pasek, a Reilly nerwowo przeszukiwał wzrokiem dno, by znaleźć znów coś do podważenia płyty, ale niczego takiego nie było. Teraz spadały na nich drobne kamyki, a we wnętrzu kościoła unosiła się gęstniejąca z każdą chwilą chmura mułu. Tessa znów pociągnęła za pasek. Napotkała zaniepokojony wzrok Reilly'ego i pokręciła głową. Wszystko na nic. Kościół zaraz się na nich zawali, a jeśli mają się stąd wydostać, to będą musieli zostawić zawiniątko na dnie. Jej palce wciąż zaciskały się na zniszczonej przez lata i wodę skórze. Nie chciała tego wypuścić.

Reilly energicznie zszedł niżej, z powrotem w kierunku podłogi kościoła, i przesunął palcami wzdłuż krawędzi płyty, potem stanął nogami po jej obu stronach i pociągnął, podejmując ostatnią próbę uwolnienia paska. Olbrzymia belka przyszybowoła przez wodę i wylądowała kilka centymetrów obok jego nogi; oglądał to jak film w zwolnionym tempie. Z całych sił pociągnął raz jeszcze i płyta przesunęła się niemal niedostrzegalnie, ale puściła skórzany pasek. Rzucił ją, wskazał dłonią kierunek do wyjścia i oboje popłynęli, uderzając jak najmocniej płetwami. Fragmenty dachu spadały w wodzie wokół nich na podłogę kościoła. Szalonym slalomem między

filarami a gradem kamiennych odłamków w końcu dopłynęli do wrót i opuścili świątynię, wchodząc w obszar w miarę czystej wody.

Na chwilę przystanęli, unosząc się kilka metrów nad dnem i przyglądając się, jak mury kościoła i dach wałęsały się do jego środka. Ogromne kawałki kamienia i zaprawy spadały w dół, wykonując piruety w mętnej wodzie; bąbelki powietrza sprawiały, że wyglądała na gotującą się. Tessa czuła, jak serce wciąż jej wali. Skupiła się na wyrównaniu oddechu, świadoma, że mają mało powietrza, a przed sobą długie wynurzenie. Rzuciła okiem na zawiniątko, zastanawiając się, co zawiera. Była ciekawa, czy po tylu latach jest wciąż nienaruszone i czy nie uległo korozji. Kiedy rzucała ostatnie spojrzenie na studnie, pomyślała przez chwilę o Aimardzie i o tej szczególnej nocy. W najśmielszych snach nie mógł przewidzieć, że siedemset lat później powstanie olbrzymia tama i że miejsce, w którym schował swój skarb, zaleją tysiące metrów sześciennych wody.

Reilly spojrzał na nią. Nawet przez zniekształcenia podwójnego szkła maski widział, że Tessa jest wniebowzięta. Spojrzała na zegarek. Niedługo skończy im się powietrze. Uniosła palec do góry. Reilly skinął głową i zaczęli się powoli wynurzać, nie płynąc szybciej niż najmniejsze bąbelki, które wydobywają się z regulatorów powietrza.

Woda wokół nich robiła się coraz bardziej klarowna, wirujące chmury drobnego piasku i mułu pozostały daleko w dole. Wydawało im się, że wynurzenie nigdy się nie skończy; wreszcie od góry zaczęło się przesączać światło. Podnosząc wzrok tam, gdzie promienie światła przebijały się przez wodę, Tessa poczuła nagły niepokój: coś było nie tak. Wolną ręką chwyciła Reilly'ego za ramię, ale z napięcia jego mięśni wywnioskowała, że on już też to zauważył.

Nad sobą zamiast cienia jednej łódki widzieli teraz dwa. Ktoś jeszcze tam był, ale nie mogli zrobić absolutnie nic, bo kończyło się im powietrze. Musieli się wynurzyć. Tessa spoważniała. Wiedziała, kim jest intruz. Kiedy wypłynęli na powierzchnię, okazało się, że ma rację.

Rüstem siedział w swojej łódce, tak jak go zostawili, ale twarz miał wykrzywioną strachem, a w oczach wyraz błagania. W drugiej łodzi, obrzucając ich radosnym wzrokiem – niemal jak profesor cieszący się z sukcesów swoich najlepszych uczniów, pomyślała Tessa – siedział William Vance.

W rękach trzymał strzelbę.



## Rozdział 60

Kiedy Reilly pomagał Tessie wdrapać się na łódź Rüstema, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku brzegu. Tuż obok ich pajero stała teraz brązowa toyota pickup. Na brzegu jeziora tkwiło dwóch mężczyzn, ale żaden z nich nie przypominał Okana, opiekuna tamy. Pierwszy był znacznie wyższy i mocniej zbudowany niż drobny technik, a drugi, chociaż żyłasty i nie wyższy niż Okan, nie miał na głowie burzy czarnych włosów. Reilly zobaczył coś jeszcze – obaj mężczyźni trzymali broń. Z daleka wyglądało to na strzelby myśliwskie, ale Reilly nie był do końca pewien. Pomyślał, że Vance kupił sobie jakichś lokalnych gangsterów do pomocy. Zastanawiał się, czy któremuś z nich przyszło do głowy przeszukać pajero; jeśli tak, to czy znaleźli browninga, którego wetknął pod skrzynkę z narzędziami pod siedzeniem.

Reilly przyglądał się bacznie Vance'owi, widział go na własne oczy po raz pierwszy. A więc to jest człowiek odpowiedzialny za ten cały burdel! Przypomniawszy sobie jeźdźców zamordowanych w Nowym Jorku i próbował sobie wyobrazić, jak zabija ich mężczyzna, który siedział teraz przed nim. Stanęły mu przed oczami wydarzenia, które zawiodły ich na to odludzie. Próbował zgadnąć, w jakim nastroju jest profesor i do czego zmierza. Groźba zawarta w słowach Reilly'ego, który powiedział, że jest agentem FBI, nie zrobiła na nim wrażenia. Przyglądając się temu spokojnemu, opanowanemu człowiekowi, Reilly zastanawiał się, jak to możliwe, że kulturalny, wykształcony, szanowany profesor uniwersytetu, który siedzi teraz na wprost niego ze strzelbą na kolanach, zmienił się w ścigane zwierzę. Jak komuś z jego przeszłości udało się zebrać grupę bandziorów? A tym bardziej jak mu się udało powybić co do nogi wszystkich wynajętych do napadu łotrów, jednego po drugim, z taką bezzwzględnością i tak skutecznie?

Coś tu nie pasowało.

Zauważył, że Vance nie może oderwać wzroku od zawiniątka w dłoniach Tessy.

– Ostrożnie – poinstruował ją profesor, kiedy sadowiła się w łodzi. – Nie chcemy, żebyś to zniszczyła. Nie po tym wszystkim. Podaj mi to, proszę – powiedział tonem dziwnie spokojnym, jakby nie z tego świata, kiedy wyciągał rękę w stronę Tessy.

Spojrzała na Reilly'ego, nie wiedząc, co robić. Reilly odwrócił się do Vance'a, który drugą ręką tak przesunął strzelbę, że była teraz wycelowana w nich oboje. Profesor miał zachwyconą twarz, ale oczy nieruchome. Tessa wstała, wyciągnęła rękę i podała mu zawiniątko.

Vance tylko położył je u swoich stóp, a potem zrobił ruch strzelbą w kierunku brzegu.

– Płyniemy na ląd, dobrze?

Kiedy zeszli z łodzi na brzeg, Reilly zobaczył, że ludzie Vance'a rzeczywiście mają w dłoniach strzelby myśliwskie. Wyższy z nich, mężczyzna o dość surowej powierzchowności, stalowym spojrzeniu i karku jak pień drzewa, skierował strzelbę w ich stronę, ruchem lufy każąc im odejść od łodzi. Strzelba nie wyglądała na nową, ale była imponująca. Dziwna broń u wynajętego bandziora. Reilly'emu przyszło do głowy, że Vance z pewnością brał, co było pod ręką. A to mogło im wyjść na dobre, jeżeli browning jest nadal w ich samochodzie terenowym. Teraz jednak byli na widelcu; stali na brzegu w piankach do nurkowania, ociekając wodą.

Vance zauważył stary kulawy stół na podwórku Rustema i oparł o niego swoją strzelbę. Spojrzał na Tessę, twarz mu trochę pojaśniała.

– Widzę, że nie tylko ja jestem fanem Al-Idrissiego. Naprawdę chciałem być pierwszy, jak pewnie się domyślasz, ale... – przerwał w pół zdania, kładąc pękate zawiniątko na stole. Patrzył na nie z uwielbieniem i czcią; wydawało się, że przez chwilę gdzieś błędził myślami. – A jednak – dodał – cieszę się, że przyjechałaś. Nie jestem pewien, czy z pomocą miejscowych talentów wyciągnąłbym to z wody tak sprawnie i szybko jak ty.

Wyprostował ręce i położył dłonie na pękatym przedmiocie w skórzanym zawiniątku, macał go delikatnie, próbując odgadnąć, co to jest. Zaczął odwijać skórę, po chwili jednak zmienił zdanie, przekrzywił głowę na bok, jakby coś mu się nagle przypomniało.

– Powinnaś być tu przy mnie – zwrócił się do Tessy. – W końcu to jest nasze wspólne odkrycie.

Tessa spojrzała na Reilly'ego; wiedział, że toczy z sobą walkę. Skinął głową, pozwalając jej podejść. Postąpiła krok naprzód, ale żyłasty łysiejący mężczyzna natychmiast uniósł strzelbę. Vance powiedział do niego coś szybko po turecku i mężczyzna odstąpił na bok, by ją przepuścić. Tessa stanęła obok Vance'a przy stole.

– Miejmy nadzieję, że to wszystko było tego warte – powiedział, sięgając do zawiniątka.

Uniósł skórę i powoli obiema rękami wyciągnął coś ze środka. Przedmiot był mały, owinięty w natłuszczoną skórę. Vance postawił go na stole. Zmarszczył brwi, niepewny, co ma przed sobą; przyglądał się owiniętemu w skórę kształtowi. Drżącymi dłońmi rozwinął ją i oczom wszystkich ukazał się bogato zdobiony, mosiężny pierścień o średnicy około dwudziestu pięciu centymetrów.

Pierścień był podzielony wykonanymi w regularnych odstępach drobnymi nacięciami; w środku miał obrotowe ramię z dwiema ostrymi końcówkami, a u dołu kilka niniejszych wskazówek.

Wzrok Reilly'ego przesunął się z tego przedmiotu na wielkiego Turka, który również popatrywał to na Reilly'ego i Rustema, to znów na stół, nie mogąc poskromić ciekawości. Reilly napiął mięśnie, bo dostrzegł szansę, ale wielkolud widać wyczuł jego zamiary, gdyż zrobił krok do tyłu, podnosząc groźnie lufę strzelby do góry.

Reilly zrezygnował; zauważył, że Rustem też wyczuł jego ruch – po czole starego człowieka spływały strużki potu.

Tessa tkwiła przy stole ze wzrokiem wlepionym w urządzenie.

– Co to jest?

– To astrolabium żeglarskie – powiedział Vance, przyglądając się temu uważnie i z niejakim zdziwieniem. Popatrzył na nią przez chwilę i zorientował się, że Tessa nic nie rozumie. – To instrument służący do nawigacji, coś w rodzaju prymitywnego sekstantu – wyjaśnił. – Wtedy, oczywiście, nie wiedziano niczego o długościach geograficznych, ale...

Astrolabium, znane jako „obrotowa linijka do mierzenia niebios”, najwcześniejszy ze wszystkich instrumentów naukowych, było w użyciu mniej więcej od roku 150 przed Chrystusem. Pierwsi opracowali je greccy uczeni w Aleksandrii, a upowszechnił się w Europie po podboju Hiszpanii przez muzułmanów. Było szeroko używany przez arabskich astronomów do pomiarów czasu za pomocą określania wysokości słońca na nieboskłonie. W XV wieku urządzenia te okazały się bardzo cennymi narzędziami nawigacyjnymi. Dzięki nim portugalscy żeglarze określali szerokość geograficzną. Astrolabium przyczyniło się ogromnie do rozwoju nawigacji i jemu książę Henryk Żeglarz, syn króla Joao z Portugalii, zawdzięczał swój przydomek. Przez wiele lat w jego flocie używanie astrolabium otaczano ścisłą tajemnicą, a była to jedyna flota, która bez lęku wypuszczała się na morze. Urządzenie okazało się niezastąpione w erze odkryć portugalskich, których kulminacją było odkrycie Nowego Świata przez Krzysztofa Kolumba w 1492 roku.

Nie przypadkiem książę Henryk był gubernatorem Zakonu Chrystusowego od roku 1420 aż do śmierci w 1460 roku. Był to portugalski zakon wojskowy, który wyrósł z tradycji templariuszy.

Vance badał urządzenie, obracając je ostrożnie w dłoniach, przyglądał się nacięciom na

zewnątrznym pierścieniu.

– To niewiarygodne. Jeżeli to jest rzeczywiście urządzenie templariuszy, wyprzedza technologicznie o jakieś sto lat te astrolabia, które znamy. – Mówił cicho. Dłonie wymacały jeszcze coś we wnętrzu skórzanego zawiniątka – coś podłużnego w prostokątnym kawałku skóry.

Rozwinął je i znalazł mały zwój pergaminu.

Reilly natychmiast rozpoznał liternictwo – z pozoru było identyczne jak na zaszyfrowanym manuskrypcie, który ich tutaj doprowadził. Jednak między słowami widniały odstępy.

Ten list nie był kodowany.

Tessa również to dostrzegła.

– To od Aimarda – powiedziała ożywiona. Ale Vance nie słuchał. Odszedł kilka kroków, zagłębiony w tym, co trzymał w dłoniach. Mijały pełne napięcia sekundy, a on uważnie czytał tekst. Stał odwrócony do nich plecami. Kiedy w końcu wrócił, w jego oczach była rezygnacja.

– Wygląda na to – powiedział ponuro – że jeszcze długa droga przed nami.

Tessa poczuła, że coś ją ściska w gardle. Wiedziała, że odpowiedź jej się nie spodoba, ale w końcu wydusiła z siebie to pytanie:

– Co jest w tym liście?

## Rozdział 61

WSCHODNIE REJONY MORZA ŚRÓDZIEMNEGO, MAJ 1291 ROKU.

– Opuścić szalupę na wodę!

Mimo szalejącego sztormu wołanie kapitana odbijało się złowieszczym echem i huczało w głowie Aimarda. Kolejna ściana wody uderzyła w ledwo co trzymającą się kupy galerę, a jego myśli skupiały się na relikwiarzu, kiedy pospiesznie szedł w kierunku dziobu statku, a w głowie kołatała mu tylko jedna myśl: Muszę to uratować.

Przypomniała mu się pierwsza noc podróży, kiedy upewniwszy się, że reszta załogi i pozostali bracia już śpią, on i Hugh pospiesznie przeszli do części dziobowej. Aimard trzymał w ramionach skrzynię, którą powierzył mu William de Beaujeu. Templariusze mieli wszędzie wrogów, a po klęsce pod Akką byli narażeni na ciosy z każdej strony. Skrzynię należało ukryć przed ludzkim wzrokiem, zabezpieczyć przed tymi, którzy będą jej szukać. Aimard podzielił się swoim niepokojem z Hugh tuż po opuszczeniu Akki; zarówno on, jak i Beaujeu ufali kapitanowi bezgranicznie. Nie spodziewał się, że żeglarz zaproponuje im tak doskonałe rozwiązanie.

Przypomniał sobie moment, kiedy dotarli do części dziobowej statku; Hugh uniósł w górę płonącą pochodnię i pokazał mu głęboką pustą przestrzeń nieco większą niż skrzynia. Wyrzeźbiono ją dłutem w drewnie wewnątrz głowy sokoła. Hugh wspiął się na górę i usiadł okrakiem na galionie. Aimard po raz ostatni spojrział na bogato zdobioną skrzynię, potem podniósł ją w górę i podał kapitanowi, który ostrożnie włożył ją do skrytki. Tuż obok płonął ogień pod kociołkiem z roztopioną żywicą, której powierzchnia kołysała się delikatnie wraz z ruchami statku, żeglującego na coraz większej fali. Kiedy skrzynia umieszczona została w skrytce, Aimard niewielką chochlą na długiej drewnianej rączce nabierał gorącą żywicę z kociołka i podawał ją Hugh, który wypełniał pustą przestrzeń między skrzynią a ścianami kryjówki. Po chwili na gorącą żywicę wylali wiadro wody, z której uniósł się w górę syczący obłok pary, i Hugh skinął na Aimarda, a ten podał mu ostatni element tego relikwiarza. Gruby kawałek drewna idealnie pasował do otworu w galionie i Hugh wcisnął go na miejsce. Potem umocował panel drewnianymi kołkami grubszymi niż kciuk dorosłego mężczyzny i na zakończenie to wszystko także zabezpieczył stopioną żywicą, pospiesznie utwardzając wodą.

Kiedy skończyli pracę, Aimard przyglądał się temu jeszcze przez chwilę; wreszcie Hugh zszedł z galionu i stanął na pokładzie.

Aimard rozejrzał się dookoła, by się upewnić, czy nikt nie widział tego, co robili. Pomyślał o Martinie de Carmaux, który spał pod pokładem. Nie było na razie potrzeby mówić mu o tym. Gdy dotrą do portu, może trzeba będzie się z nim podzielić tą wiedzą, ale do tego czasu miejsce relikwiarza będą znali tylko on i Hugh. A co do zawartości skrzyni – na to młody Martin nie był jeszcze przygotowany.

Teraz błyskawica, która przecięła niebo, przywróciła Aimarda z powrotem do okrutnej rzeczywistości. Przedzierał się przez ścianę deszczu i był już niemal przy mostku kapitańskim, kiedy inna potężna jak góra fala uderzyła prosto w burtę „Świątyni Sokoła”; jej potężna siła go uniosła, tak że stracił kontakt z pokładem, i rzuciła o stół do czytania map, którego narożnik wbił mu się w bok. Już po chwili Martin był przy nim, pomógł mu wstać i przeniósł go do spuszczonej szalupy.

Aimard usiadł na jej dnie; nie zważając na rozdzierający ból w boku, wyprostował się na czas, by zobaczyć Hugh, który gramolił się przez burtę statku, by dołączyć do kompanii. Kapitan trzymał w dłoniach dziwaczne, okrągłe urządzenie, instrument do nawigacji, który Aimard widział już podczas rejsu; był zajęty ustawianiem go w odpowiednim położeniu. Rycerz ze złością uderzył zaciśniętą pięścią w burtę łodzi, patrząc bezradnie na statek i figurę sokoła na dziobie. Dzielny statek utrzymywał się jeszcze przez chwilę dumnie na falach, opierając się uderzeniom rozwścieczonego morza, a potem pękł na pół jak sucha gałąź i zniknął pod powierzchnią kotłującej się białej piany.

## Rozdział 62

Tessa westchnęła ciężko, uszło z niej nagle powietrze. Nie mogła uwierzyć. Więc to tak? Po tym wszystkim, czego dokonali, okazuje się, że to coś leży sobie gdzieś na dnie morza?

Poczuła gniew. To niemożliwe. W głowie jej się kotłowało.

– To po co była cała ta tajemnica? – powiedziała z ponurą miną. – Po co zaszyfrowany list? Dlaczego po prostu nie zawiadomił templariuszy w Paryżu, że stracili to na zawsze?

– Żeby nie wypaść z gry – zaryzykował odpowiedź Vance. – Dopóki przynajmniej wydawało się, że to mają, sprawa była żywa. A oni bezpieczni.

– A potem ktoś kazał im wyłożyć karty na stół?

– Właśnie tak – skinął głową profesor. – Pamiętaj, że ta rzecz, cokolwiek to było, miała dla templariuszy niebywałe znaczenie. Aimard nie mógłby nie zanotować nigdzie pozycji statku w chwili zatonięcia, niezależnie od tego, czy zdołaliby jeszcze za swojego życia odzyskać to, co się na nim znajdowało.

Tessa raz jeszcze głęboko westchnęła, zastanawiając się nad tym, co powiedział, i opadła bez sił na drewniane krzesło stojące przy stole. Przetarła powieki, by pozbyć się widoku, który podsuwała jej wyobraźnia: pełnej trudu i poświęceń kilkusetletniej podróży mężczyzn, którzy dotarli w końcu do płonących stosów. Otworzyła oczy i raz jeszcze spojrzała na astrolabium. Cała ta nasza droga, ryzyko, które podjęliśmy, pomyślała, jedynie dla czegoś takiego?

– Byli tak blisko – Vance pogrążył się znów we własnych myślach, przyglądając się uważnie instrumentowi nawigacyjnemu. – Gdyby „Świątynia Sokoła” wytrzymała jeszcze parę godzin, dotarliby do brzegu, trzymali się linii brzegowej i na wiosłach dopłynęliby do greckich wysp; tam znaleźliby się wśród przyjaciół. Tam mogliby naprawić maszt i nie obawiając się ataku, pożeglować dalej na Cypr albo, co bardziej prawdopodobne, z powrotem do Francji. – Zamilkł, a potem dodał jakby do siebie: – A my prawdopodobnie żylibyśmy w zupełnie innym świecie...

Reilly siedzący na stosie betonowych pustaków ledwo wytrzymawał. Wszystkich ogarnęła frustracja. Czuł, że ma szansę spacyfikować Turków i Vance'a, jeśli ruszy błyskawicznie do ataku, ale nie chciał narażać Tessy i Rustema. Chodziło jednak o coś więcej niż tylko o nadwerżone ego. Gdzieś tam, na granicach myśli i wyobraźni, coś innego dopraszało się odrobiny jego uwagi. Nie wiadomo, jak to wszystko się rozwinęło: zaczęło się od zwykłej pogoni

za przestępcą, a teraz zmieniło się w coś głębszego i wszechogarniającego; czuł się osobiście zagrożony, ale nie było to niebezpieczeństwo fizyczne. Nie potrafił tego jeszcze nazwać. Od czasu, kiedy odczytali rękopis, dręczyło go poważniejsze, bardziej podstawowe pytanie. Nagle poczuł się bezbronny i nie wiedział, u kogo szukać ratunku.

– W innym świecie – prychnął. – I to wszystko dzięki temu, że znalazłbyśmy magiczny wzór alchemików i potrafili przemieniać ołów w złoto?

– Bardzo pana proszę, agencie Reilly – Vance zaśmiał się z wyższością. – Niech pan nie próbuje brukać dziedzictwa templariuszy, mieszając je z opowiastkami o alchemii. Fakt, że zyskali bogactwo dzięki dotacjom szlachty z całej Europy i z pełnym błogosławieństwem Watykanu, jest dobrze udokumentowany. Dawano im ziemię i złoto, ponieważ byli nieustraszonymi obrońcami pielgrzymów... Ale w tym jest coś więcej. Widzi pan, uważano, że ich misja jest święta. Ich poplecznicy wierzyli, że templariusze dążą do czegoś, co przyniesie ludzkości niewiarygodną korzyść. – Mówił poważnie, ale przez jego twarz przeniknął uśmiech. – Nie zdawano sobie jednak sprawy, że gdyby templariuszom się udało, zyskałaby na tym cała ludzkość, nie tylko „wybrańcy”, jak arogancko określali siebie europejscy chrześcijanie.

– O czym pan mówi? – rzucił niechętnie Reilly.

– Pośród oskarżeń, które doprowadziły do upadku templariuszy, były i takie, że za bardzo upodobnili się duchowo do innych mieszkańców Ziemi Świętej, czyli do muzułmanów i żydów. Naszych drogich rycerzy podobno pociągały kontakty z nimi, dzielili z nimi przeżycia czysto mistyczne. Z tego punktu widzenia oskarżenia były słuszne, chociaż szybko je odsunięto na bok, skupiając się na rzeczach bardziej spektakularnych. Jestem pewien, że wiecie, o co mi chodzi. Papieżowi, a także królowi, który był w końcu pomazańcem Bożym i bardzo chciał udowodnić światu, że jest najbardziej chrześcijańskim z władców, zależało w równym stopniu, co zrozumiałe, na zaprzepaszczeniu idei, jak na kasacji zakonu i wybiceniu templariuszy co do nogi. Sama myśl, że bohaterowie Europy i obrońcy pielgrzymów bratają się z niewiernymi, stanowiła doskonałą broń w rękach tych dwóch panów, pozwalała ostatecznie pogrążyć rycerzy. Nie chodziło tu jednak tylko o to, że rozmawiali o mistyce z wyznawcami innych religii. Chodziło o coś znacznie bardziej pragmatycznego. Planowali rzecz niezwykle odważną, dalekosiężną. Może był to plan szalony, ale wykazali się niewiarygodną odwagą i przenikliwym spojrzeniem w przyszłość. – Vance przerwał; widać było, że jest głęboko poruszony. Potem zwrócił się do Reilly’ego z uroczystą miną. – Rozpoczęli działania, które miały doprowadzić do zjednoczenia



trzech wielkich religii. – Podniósł wzrok na łańcuch górski i zrobił szeroki gest ramieniem. – Zjednoczenie trzech wyznań! – zaśmiał się. – Wyobraźcie to sobie! Chrześcijanie, żydzi i muzułmanie, wszyscy połączeni we wspólnej modlitwie. A dlaczegóż by nie? Przecież w końcu czcimy i wyznajemy tego samego Boga. Jesteśmy wszyscy dziećmi Abrahama, prawda? – ironizował. Nagle spoważniał. – Tylko pomyślcie, wyobraźcie sobie ten świat, w którym byśmy żyli, gdyby do tego rzeczywiście doprowadzili.

Świat nieskończenie lepszy... Pomyślcie tylko o bólu, cierpieniu i rozlewie krwi, którego byśmy zdołali uniknąć przez wszystkie wieki. A dziś bardziej niż kiedykolwiek. Miliony ludzi, z których nikt nie musiałby umierać bez sensu. Nie byłoby inkwizycji, nie byłoby holokaustu, wojen na Bałkanach i na Bliskim Wschodzie, nie byłoby samolotów wbijających się w wieżowce... – Przez twarz przemknął mu złośliwy uśmiezek. – Prawdopodobnie byłby pan bez pracy, agencie Reilly.

Reilly, nieco zdezorientowany, próbował jakoś ułożyć sobie w głowie to, co usłyszał. Czy to rzeczywiście mogłoby się spełnić? Przypomniawszy sobie swoją rozmowę z Tessą o tym, jak templariusze spędzili dziewięć lat w świątyni, o tym, jak gwałtownie wzrosło ich znaczenie, jak nagle stali się bardzo bogaci i o łacińskiej sentencji, o której dowiedział się od niej.

Veritas vos liberabit. Prawda was wyzwoli.

– Uważa pan, że trzymali w szachu Kościół? – spojrzał na Vance'a pytająco. – Myśli pan, że Watykan pozwoliłby templariuszom urosnąć w siłę na zgubę Kościoła?

– Watykan był śmiertelnie przerażony. Nie miał wyboru.

– Ale... czym?

Vance zrobił krok naprzód, wyciągnął rękę i chwycił palcami krzyżyk wiszący między dwoma częściami rozpiętego zamka piankowego stroju Reilly'ego, a potem nagle zerwał mu go z szyi. Trzymał go teraz w palcach, łańcuszek zwisał z jego dłoni; spojrzał na błyszczący kawałek złota wzrokiem chłodnym jak lód.

– Prawdą o tej bajeczce.

## Rozdział 63

Słowa Vance'a zawisły nad nimi jak ostrze gilotyny. Oczy profesora błyszczały, gdy wpatrywał się w niewielki błyszczący przedmiot w swojej dłoni. Potem spochmurniał.

– To zadziwiające, prawda? Oto jesteśmy tu dwa tysiące lat później ze wszystkim, co osiągnęliśmy, wszystkim, co wiemy, a jednak ten mały talizman wciąż rządzi życiem miliardów ludzi. Rządzi ich życiem i śmiercią.

Reilly, siadając w mokrej pianie na betonowym bloczku, poczuł się nagle nieswojo. Spojrzał kątem oka na Tessę. Patrzyła na Vance'a z dziwnym wyrazem twarzy, którego Reilly nie znał.

– Skąd to wiesz? – spytała z wahaniem w głosie.

– Hughes de Payens. Założyciel templariuszy. – Vance przeniósł na nią wzrok, dotąd utkwiony w krzyżyku Reilly'ego. – Kiedy byłem na południu Francji, odkryłem w związku z nim coś, co niezwykle mnie zaskoczyło.

– Że pochodził z Langwedocji i że był katarem? – Tessa przypomniała sobie nagle zjadliwe uwagi francuskiego historyka.

– Porządnie odrobiłaś zadanie domowe. – Vance uniósł brwi i przechylił głowę na bok. Zaimponowała mu.

– Ale to nie ma sensu – zaoponowała. – Przecież templariusze na początku udali się do Ziemi Świętej, żeby eskortować chrześcijańskich pielgrzymów.

– Wyruszyli z misją, by odzyskać coś, co przez tysiąc lat było stracone dla ludzkości, coś, co ukryli kapłani z legionów Tytusa. – Uśmiech nie schodził z twarzy Vance'a, ale teraz w jego głosie słychać też było zawziętość. – A jakąż lepszą wynaleźliby przykrywkę, jaki lepszy sposób, by uzyskać dostęp do miejsca, które ich najbardziej interesowało, niż to, że są oddani papieżowi i popierają z całego serca jego nieprzemyślaną krucjatę? Zrozum, oni nie mieli zamiaru walczyć z Kościołem na oślep; nie mieli nawet zamiaru zaczynać, dopóki nie zgromadzą dostatecznej władzy i bogactwa, by przetrwać takie nieprawdopodobne wyzwanie. Historia tłumienia podobnych poglądów i likwidowania tych, którzy je głoszą, w imię wiary proponowanej przez Watykan jako jedynej i niepodważalnej, jest długa. Całe wioski, kobiety i dzieci masakrowane przez armię papieską tylko za to, że wierzyły w to, w co chciały wierzyć. A zatem opracowywali plan. Ale by zburzyć Kościół, musieli mieć broń, musieli mieć wpływy. I prawie im się udało.

Znaleźli to, czego szukali. Jako templariusze stali się potęgą wojskową, politycznie też mieli ogromne wpływy. Byli bardzo blisko dekonspiracji. Czegoś jednak nie przewidzieli: a mianowicie tego, że nie tylko templariusze, ale wszystkie armie chrześcijańskie zostaną wyrzucone z Ziemi Świętej, zanim oni znajdą okazję, by przypuścić atak na Kościół. Kiedy do tego doszło, a było to w Akce w 1291 roku, nie tylko stracili całą bazę – swoje zamki, armię, dominującą pozycję w Outremer – ale również swoją najcenniejszą zdobycz, tę broń, dzięki której trzymali w szachu Watykan przez dwieście lat; ta relikwia, która miała im dać siłę i moc, by wypełnili swoją misję, zatonała razem ze „Świątynią Sokoła”. A od tego momentu ich upadek był już tylko kwestią czasu. – Wzruszył nieznacznie ramionami, a potem obrzucił ich rozgorączkowanym spojrzeniem. – A teraz przy odrobinie szczęścia my będziemy mogli dokończyć ich dzieło.

Nagle ciszę rozerwał głośny, przerażający odgłos i głowa jednego z ludzi Vance’a eksplodowała. Jego ciało na moment się wyprostowało, a zaraz potem na ziemię spadły krwawe strzępy.

## Rozdział 64

Reilly instynktownie rzucił się ku Tessie, ale Vance był szybszy. Objął ją wpół i pociągnął za samochód; tam była bezpieczna. Grad kul posypał się na Reilly'ego, pociski świszczwały i eksplodowały, kiedy rzucił się za pajero, instynktownie próbując wyizolować z echa wystrzał i zlokalizować strzelca. Trzy kule trafiły w ich auto, rozdarły składany dach, rozwalily blok silnika i rozerwały na strzępy prawą przednią oponę. Railey mniej więcej się orientował, gdzie jest snajper – na północy, za linią drzew. Beznadziejnie daleko i poza zasięgiem pistoletu.

Las pulsował nerwową ciszą. Po chwili pełnego napięcia odpoczynku od strzałów Reilly wychylił się, żeby ocenić skalę zniszczeń. Pajero już nigdzie nie pojedzie. Spojrzał w kierunku przewróconego stołu, przy którym przed chwilą wszyscy siedzieli. Żyłasty łysiejący Turek skulił się za blatem z przerażoną miną. Reilly zauważył jakiś ruch z boku przy szopce, zobaczył przebłysk czegoś niebieskiego – to Rüstem wyłonił się ze strzelbą. Znow broń małego kalibru, dobra na króliki. Stary człowiek stał nieruchomo, przeczesując wzrokiem odległe drzewa. Zaskoczony i zdumiony wypatrywał, gdzie mierzyć. Reilly pomachał do niego i krzyknął ostrzegawczo, ale zanim stary człowiek zareagował, snajper strzelił do niego dwa razy. Jedna kula odbiła się rykoszetem od betonowych kręgów leżących na ziemi, a druga trafiła prosto w pierś staruszka, rzucając go na ścianę szopki jak szmacianą lalkę.

Stojąc za otwartymi tylnymi drzwiami pajero, Reilly zauważył, jak Vance sięgnął dłonią do drzwi pickupa, szarpnął je, a następnie wepchnął Tessę i sam wgramolił się do auta. Już włączył silnik i wrzucił bieg. Ledwie żyłasty Turek zdążył się wdrapać na platformę toyoty, auto z piskiem opon zakręciło i ruszyło w kierunku bramy.

Reilly nie miał wyboru. Nie miał nawet czasu sięgnąć po browninga, który leżał pod siedzeniem. Rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku wzgórz i postanowił zaryzykować. Wyłonił się z terenowego samochodu i ruszył biegiem za znikającym pickupem.

Jeszcze dwa strzały wdarły się w bok toyoty, kiedy Reilly dogonił ją przy bramie i chwycił się tylnej burty. Pickup uderzył w boczny wspornik bramki, a potem potoczył się w dół dziurawą leśną drogą. Reilly trzymał się jak desperat, choć potwornie bolały go palce; nogami ciągnął po nierównym gruncie, lewą uderzył w wystający kamień i poczuł ból promieniujący w kierunku kręgosłupa, jakby ktoś go oblał gorącym ołowiem. Każdy mięsień był rozpalony i czuł, że za

chwile będzie musiał wypuścić z rąk burtę samochodu.

Ale nie mógł.

W półciężarówce była Tessa. Nie mógł jej zgubić. Nie teraz i nie tutaj.

Spojrzał w górę i zobaczył uchwyt na wewnętrznej ścianie bocznej burty. Zebrał w sobie całą energię, na jaką go było stać, i odbił się stopami od ziemi, próbując dosięgnąć uchwytu lewą ręką. Trzymał burtę jedną dłonią i jakoś udało mu się złapać uchwyt, podciągnął się na nim w górę i opadł na podłogę. Turek chował się przed strzałami, przytulony do bocznej burty. Ścisnął w dłoniach strzelbę, nerwowo wyglądając na zewnątrz. Gdy zobaczył, że Reilly jest w półciężarówce, przestraszony i poirytowany wymierzył w niego strzelbę, ale Reilly chwycił oburącz lufę i pchnął ją w górę. Słyszał, jak igła uderza o spłonkę i poczuł odrzut, gdy mężczyzna naciskał spust. Szerokim kopnięciem umieścił but w kroczu Turka, a potem zwałił się na niego. Kątem oka Reilly zobaczył coś ponad kabiną pickupa. Nie dalej niż sto metrów przed nimi stał beżowy landcruiser; zaparkowany w poprzek drogi blokował przejazd. Turek też go dostrzegł, ale nie usłyszeli zmiany obrotów ani nie poczuli hamowania. Vance nie dawał za wygraną. Reilly zerknął przez tylne okno do kabiny i zobaczył, że Tessa przerażona wyciąga ręce przed siebie i zapiera się o tablicę rozdzielczą.

Reilly trzymał się dachu kabiny, przyciskając do niej Turka, a pickup przechylił się, zjechał na pobocze dziurawej drogi, podskakując na nierównościach i kamieniach. Przepięty cudem między zboczem wzgórza a blokującym drogę landcruiserem, uderzając jak taran w przód dużego terenowego auta. Przedarł się przez nie jak pług przez skibę; słychać było eksplozję pękającego szkła i plastiku.

Reilly obejrzał za siebie. Landcruiser został skasowany – snajper dalej nim nie pojedzie. Turek skorzystał z okazji i znowu sięgnął po strzelbę, próbując się uwolnić. Kiedy walczyli, biały pickup dotarł do tamy i wjechał na nią, przeskakując przez próg, ale ani trochę nie zwalniając.

Samochód pędził wzdłuż betonowej drogi na szczycie tamy, starając się jak najszybciej dotrzeć do drugiego końca. Reilly, stojąc, zadawał teraz Turkowi cios za ciosem, aż w końcu udało mu się wyrwać strzelbę. Mężczyzna chwycił go mocno i zaczął dusić. Reilly był zbyt blisko, żeby go kopnąć kolanem, uderzył więc stopą wprost w wewnętrzną stronę prawej kostki. Przeciwnik rozluźnił uchwyt i Reilly'emu udało się go odepchnąć. Obaj, ciężko dysząc, oparli się o kabinę. Reilly zobaczył kątem oka, że Tessa walczy z Vance'em, usiłując go zmusić, żeby się zatrzymał. Chwyciła dłońmi kierownicę i pickup gwałtownie skręcił, uderzając w ścianę zapory.

Reilly'emu strzelba wypadła z rąk i ześliznęła się z platformy na betonową drogę. Reilly dojrzał przerażenie w oczach Turka, który z niedowierzaniem patrzył, jak jego broń znika w oddali. Ogarnięty paniką mężczyzna rzucił się na niego i zaatakował na oślep. Reilly instynktownie chwycił Turka za koszulę i kładąc się nagle na plecach, wypchnął go stopą i przerzucił nad sobą tak, że przeleciał ponad burtą pędzącego pickupa, wypadł i znalazł się po suchej stronie zapory. Auto znów uderzyło w betonową ścianę, aż rozległo się echo. Przerażliwy wrzask Turka zagłuszył ryk silnika.

Dotarli do końca tamy i Vance szarpnął kierownicą, żeby skierować auto w dół na leśną ścieżkę, którą Reilly i Tessa przyjechali dziś rano. Samochód podskakiwał na wybojach i dziurach, ale Reilly wiedział, że są teraz osłonięci ścianą lasu i nikt ich nie zobaczy ze szczytu wzgórza, na którym według niego usytuował się snajper. Vance musiał zwolnić z uwagi na stan drogi, ale Reilly uważał, że jeszcze jest za wcześnie, żeby się zatrzymali.

Pozwolił mu przejechać jeszcze kilka kilometrów, a potem postukał w dach kabiny. Profesor skinął głową i chwilę później pickup zaczął hamować.

## Rozdział 65

Reilly sięgnął ręką do środka i wyrwał kluczyki ze stacyjki, potem obszedł półciężarówkę i ocenił uszkodzenia. Właściwie uszło im to płazem. Cała trójka wyszła z tego bez większego szwanku, jeśli nie liczyć drobnych przecięć skóry i otarć oraz pulsującego bólu w lewej nodze Reilly'ego. A toyota, choć powgniatana i podziurawiona kulami, spisała się nad wyraz dobrze – Reilly nie mógł się nadziwić.

Drzwi od strony Vance'a otworzyły się ze skrzypnięciem i z półciężarówki wyłonili się profesor i Tessa. Reilly zauważył, że oboje są przerażeni. Rozumiał Tessę, wiedział, że nie dojdzie do siebie szybko, ale Vance? Czyżby go niewłaściwie oceniał? Przyglądał się teraz uważnie oczom profesora i zobaczył w nich jak w lustrze to samo pytanie, które i jemu świdrowało w mózgu.

Jest tak samo zaskoczony jak ja. Nie spodziewał się tego. Przypomniawszy sobie to dziwne wrażenie, które ogarnęło go na środku jeziora, gdy zobaczył profesora po raz pierwszy. Strzał, który skosił wielkiego tureckiego bandziora, włączył jednocześnie sygnał alarmowy w umyśle Reilly'ego.

To nie Vance zabił trzech jeźdźców. Jeszcze ktoś szuka tego, co oni.

Ta myśl go zaniepokoiła. Była to komplikacja, której wcale nie brakowało mu do szczęścia. Chociaż możliwość istnienia „nadzorczy” rozważali w FBI, gdy jeden po drugim ginęli jeźdźcy, to dawno już zarzucili tę koncepcję. Wszystko wskazywało na to, że to Vance likwiduje współników; wydawało się, że to on reżyseruje ten spektakl. A jednak strzały na brzegu jeziora obaliły tę hipotezę. Kto jeszcze macza w tym palce? Kto jeszcze wiedział, czego szuka Vance, i skłonny był zamordować niewinnych ludzi, byle tylko położyć na tym łapę?

– Astrolabium? – Vance zwrócił się po chwili do Tessy.

– Jest bezpieczne – zapewniła go, otrząsając się z odrętwienia. Sięgnęła do kabiny i wyjęła instrument. Vance pokiwał z aprobatą głową, potem podniósł wzrok na szczyt wzgórze, z którego właśnie uciekli. Reilly widział, jak w milczeniu kontemplanuje rozciągający się wokół nich dziki krajobraz. Wydawało mu się przez chwilę, że profesor jest zrezygnowany, ale już po chwili ujrzał w jego oczach pogardę i niezachwianą pewność siebie.

– Co to było? – Tessa podeszła do Reilly'ego.

– Wszystko w porządku? – spytał, odwracając spojrzenie od profesora. Na czole miała niewielkie otarcie.

– Tak, nic mi nie jest – zamruwała oczami i podniosła wzrok na linię drzew otaczających ich jak olbrzymi mur. W górach panowała niepokojąca cisza, dźwięcząca w uszach po serii wystrzałów, które nie tak dawno rozrywały powietrze. – O co tu, do cholery, chodzi? Jak myślisz, kto to może być?

– Nie wiem. – Reilly obserwował drzewa. Nie widział najmniejszych oznak ruchu.

– A mnie się wydaje, że wielu ludziom nie byłoby na rękę, żeby ta cała sprawa wyszła na jaw – zaopiniował Vance. Wydawał się z tego bardzo zadowolony. – Robią się nerwowi. A to znaczy, że się nas boją.

– Byłbym spokojniejszy, gdybyśmy odjechali od nich jeszcze kilka kilometrów – powiedział Reilly. Zrobił gest w kierunku pickupa. – Wsiadajcie – otworzył Vance’owi i Tessie drzwi do półciężarówki.

Tessa usiadła między panami. Reilly wrzucił bieg i zmaltretowana toyota powolutku ruszyła pod górę. Jej pasażerowie zastanawiali się, każdy na własną rękę, co ich jeszcze czeka.

W tej samej sekundzie, w której De Angelis zobaczył, jak pickup przejeżdża przez bramę, a potem pędzi polną drogą, zaczął żałować, że zostawił landcruisera ustawionego w poprzek przejazdu, by zapobiec ich ewentualnej ucieczce. Widok półciężarówki taranującej samochód nie wróżył niczego dobrego, a z bliska obraz zmiążdżonego prawego nadkola i rozwalona chłodnica wielkiego terenowego auta potwierdziły jego najgorsze obawy. Plunkett nie musiał mu mówić, że ten samochód dalej nie pojedzie. Energicznym szarpnięciem otworzył tylne drzwi auta i wyciągnął monitor GPS. Włączył go ze złością. Cursor migał, ale nie pokazywał żadnego ruchu. Pluskwa była nieruchoma. De Angelis spojrział z nienawiścią na mały ekran i zrozumiał, że współrzędne wskazują na domek Rüstema. Pluskwa nadal tkwi w torbie w porzuconym pajero Reilly’ego i Tessy. Musi znaleźć inny sposób, żeby ich zlokalizować, a to nie będzie łatwe w tym górzystym i zalesionym terenie.

Duchowny przeniósł wzrok z monitora na jezioro, gotując się z wściekłości – nie przewidział takiego obrotu sprawy. Wiedział, że nie ma prawa obwiniać za to Plunketta. Był zły na samego siebie.

Zgubiła go arogancja.



Był zbyt pewny siebie.

Grzech pychy. Kolejna rzecz, z której musi się wyświadczyć.

– Ich auto terenowe wciąż stoi obok budynku. Może uda nam się jakoś je odpalić – powiedział Plunkett. Nadal trzymał w ramionach długą strzelbę, odchodząc kilka kroków od landcruisera. Widać było, że bardzo chce stąd odjechać.

De Angelis nie ruszał się z miejsca. Stał, przyglądając się szklanej tafli jeziora.

– Trzeba zacząć od tego, co najważniejsze. Podaj mi radio.

## Rozdział 66

Reilly patrzył we wsteczne lusterko na dziurawą drogę, którą zostawiali za sobą, i wsłuchiwał się w dobiegające z tamtej strony dźwięki. Słyszał tylko świergotanie ptaków, zupełnie nieprzystające do całej tej sytuacji. Przejechali dziesięć, może dwanaście kilometrów, gdy ciemność zmusiła ich do myśli o noclegu. Reilly zboczył z drogi i wąską ścieżką wjechał w las aż do niewielkiej polany nad strumieniem. Będą musieli jakoś przeczekać do świtu, a potem ruszą co koń wyskoczy w kierunku wybrzeża.

Reilly był prawie pewien, że ogromny landcruiser został skasowany; Vance staranował go swoim autem. Gdyby ci, którzy ich zaatakowali, byli zdani na własne nogi, oni mieliby kilka godzin przewagi; gdyby z kolei tamci mieli samochód, słyszeliby przynajmniej, że nadjeżdżają.

Przyglądając się ostatnim przebłyskom słońca tonącego za górami, Reilly miał nadzieję, że ciemność da im jako takie schronienie. Dzisiaj wieczorem obejdą się bez ogniska.

Związał Vance'owi ręce za plecami i mocno przytroczył linkę do pickupa. Po szybkim przeszukaniu auta okazało się, że wprawdzie nie ma w nim broni, ale przynajmniej zjedzą kolację – znalazł w środku małą kuchenkę gazową i kilka puszek z jedzeniem. Nie znalazł żadnych ubrań. On i Tessa będą musieli jeszcze przez jakiś czas chodzić w piankach.

Reilly podszedł do Tessy nad brzeg potoku, ukląkł i napił się wody, której im tak bardzo brakowało przez cały dzień, a potem usiadł obok niej na dużym kamieniu. W głowie kotłowało mu się od myśli; wszystkie lęki i niepokoje wymagały natychmiastowej reakcji. Już wiele osiągnął – jego zadaniem było schwytanie Vance'a. Ale musiał go przecież jakoś przewieźć do kraju i postawić w stan oskarżenia. Szansa, że więźnia da się szybko wywieźć z Turcji, była niewielka. Tu też popełniono wiele przestępstw, zginęli ludzie. Reilly się denerwował. Przewidywał komplikacje i irytowała go perspektywa długiego procesu ekstradycyjnego. A co ważniejsze, przede wszystkim musiał ich trójkę bezpiecznie sprowadzić z tych gór na wybrzeże. Ten, kto do nich strzelał, należał bez wątpienia do kategorii osób, które najpierw naciskają na spust, a potem zadają pytania. Oni zaś byli bezbronni, bez radia i poza zasięgiem sieci telefonów komórkowych.

Musiał się nad tym wszystkim poważnie zastanowić, ale była jeszcze jedna sprawa, która nie dawała mu spokoju. Wystarczyło jedno spojrzenie na Tessę i Reilly wywnioskował, że ona też

jest czymś zaabsorbowana.

– Zawsze się zastanawiałam, jak się czuł Howard Carter, kiedy odnalazł grobowiec króla Tutenchamona – powiedziała w końcu ponuro.

– Pewnie miał więcej frajdy niż my.

– Nie byłabym tego pewna. Musiał się przecież liczyć z klątwą, pamiętasz? – Przez jej twarz przemknął blady uśmiezek i na chwilę się rozpromieniła, a wobec tego i jemu powrócił humor. Ale problemu nie rozwiązał. Ten ucisk w żołądku sam nie przejdzie, a on zbyt długo nie może go ignorować. Musi się dowiedzieć, w co się tak naprawdę oboje wpakowali.

Wziął się w garść, wstał i podszedł do Vance'a, a Tessa ruszyła za nim. Ukłękł przy związanym więźniu, sprawdził liny i węzły na przegubach dłoni. Vance poddawał się tym zabiegom bez słowa. Sprawiał wrażenie pogodzonego z losem. Reilly miał ochotę zapytać go o to wprost; w końcu uznał, że tak właśnie będzie najlepiej...

– Muszę coś wiedzieć – zdobył się na odwagę. – Wspomniał pan o prawdzie na temat legendy... co pan miał na myśli? Jak pan uważa, co kryje się we wraku „Świątyni Sokoła”?

– Nie jestem pewien – Vance podniósł głowę i w jego szarych oczach rozbłysły ogniki – a nawet nie wydaje mi się, czy, cokolwiek to jest, zdoła się pan z tym pogodzić.

– To moje zmartwienie – odparował Reilly.

Vance zastanawiał się chwilę, jak odpowiedzieć na jego pytanie.

– Pański problem polega na tym, że tak jak większość wierzących nigdy nawet nie myślał pan o rozdziwieniu między wiarą a faktami, o różnicy między Jezusem Chrystusem w aspekcie wiary a Jezusem Chrystusem w aspekcie historii, między prawdą... a fikcją.

– Chyba nigdy nie miałem potrzeby o tym myśleć – Reilly starał się nie zauważać szyderstwa w głosie Vance'a, musiał to wiedzieć.

– Jest pan szczęśliwy, wierząc w to, co zostało zapisane w Biblii. Bo wierzy pan w to, prawda? W te wszystkie cuda, w Jego chodzenie po wodzie suchą stopą, w to, że przywrócił wzrok ociemniałemu... że powstał z martwych.

– Oczywiście, że wierzę.

– No dobrze – przez twarz Vance'a przemknął uśmiech. – W takim razie zapytam pana o jeszcze jedno. Co pan wie o pochodzeniu tego, co pan czyta? Czy wie pan, kto naprawdę napisał Biblię, tę, którą pan zna, czyli Nowy Testament?

– Mówi pan o ewangeliach świętych, Mateusza, Marka, Łukasza i Jana? – Reilly zaczynał

być poirytowany.

– Tak. Skąd one się wzięły? Zaczniemy inaczej, kiedy pana zdaniem zostały napisane?

– Nie wiem... – Reilly czuł się tak, jakby włożono mu na barki niewidzialne koło młyńskie. – Przecież byli Jego uczniami, więc podejrzewam, że krótko po Jego śmierci.

Vance spojrział na Tessę z nieskrywaną satysfakcją. I z powrotem przeniósł oczy na wytrąconego z równowagi Reilly'ego.

– Właściwie mnie to nie dziwi, ale przyzna pan, to zabawne. Przeszło miliard ludzi z czcią czytuje Pismo Święte, przyjmują każde słowo jako Boże, gotowi są zabijać z powodu poszczególnych wersetów, a wszystko to nie mając zielonego pojęcia o pochodzeniu ewangelii.

Reilly poczuł rosnący gniew. Wyniosły ton Vance'a doprowadzał go do wściekłości:

– To Biblia. Po prostu jest i zawsze była.

– Sądzi pan, że dlatego jest to prawda? – Vance wyduł usta i delikatnie pokręcił głową. Skierował wzrok gdzieś za horyzont. – Kiedyś też myślałem tak jak pan. Niczego nie kwestionowałem. Wszystko brałem... na wiarę. Powiem panu jednak, że... gdy człowiek zacznie kopać głębiej... – twarz znów mu się zachmurzyła – to, co zobaczy, przestaje mu się podobać.

## Rozdział 67

– Proszę pamiętać – mówił Vance – że początki chrześcijaństwa, jeśli chodzi o udokumentowane historycznie, spisane fakty, to jedna wielka czarna dziura. Jeśli jednak nie da się zbyt wiele powiedzieć o tym, co się zdarzyło w Ziemi Świętej prawie dwa tysiące lat temu, jedno wiemy na pewno – żadna z czterech ewangelii, które składają się na Nowy Testament, nie została napisana przez współczesnych Jezusowi. Na to są dowody – wyjaśnił Reilly’emu, który szykował się, by zaprotestować – choć nigdy nie przestanie to bulwersować wiernych, ludzi takich jak pan.

– Najstarsza z czterech ewangelii – ciągnął dalej – to ewangelia świętego Marka albo raczej ta, którą nazywamy ewangelią świętego Marka, ponieważ nie wiemy do końca, kto ją napisał. W tamtych czasach przypisywano twórczość pisarską ludziom powszechnie znanym, a ta, jak uważa większość badaczy, została napisana przynajmniej czterdzieści lat po śmierci Jezusa. Mówimy, niech pan pamięta, o czterdziestu latach bez telewizji satelitarnej, zachowanych wywiadów, bez wyszukiwarek internetowych, wypływających z siebie dziesiątki relacji różnych ludzi, którzy naprawdę Go znali. A zatem mówimy tu tak naprawdę o opowieściach przekazywanych z ust do ust przez czterdzieści lat, zanim zostały spisane. Niech mi pan powie, agencie Reilly, czy gdyby przyszło panu na takiej podstawie prowadzić śledztwo w sprawie kryminalnej, uznałby pan rzeczywiście ten dowód za wiarygodny? Po czterdziestu latach przechodzenia z ust do ust ludzi prymitywnych, niewykształconych, przesądnych, na przykład pasterzy siedzących wokół górskich ognisk?

Reilly otworzył usta, ale Vance mówił, nie czekając na odpowiedź:

– Bardziej według mnie niepokojące jest pytanie, dlaczego akurat te cztery ewangelie zostały włączone do Nowego Testamentu. Wiemy na pewno, że w okresie dwustu lat po napisaniu ewangelii według świętego Marka powstało wiele innych ewangelii, w których opowiada się o życiu Jezusa. W miarę jak ten wczesny ruch religijny stawał się coraz bardziej popularny i rozprzestrzeniał się między kolejnymi społecznościami, opowieści nabierały lokalnego kolorytu, dzięki czemu silniej przemawiały do ludzi, uwzględniały okoliczności, w których ci żyli. Krążyły dziesiątki różnych ewangelii, często wzajemnie sobie przeczących. Wiemy to na pewno, bo w grudniu 1945 roku, szukając złóż naturalnych nawozów niedaleko miasta Nag

Hammadi, jacyś arabscy wieśniacy wykopali w górach Jabal al-Tarif w Górnym Egipcie kamienny dzban, metr osiemdziesiąt wysokości. Na początku się wahali, czy go rozbić, czy nie, bo bali się, że uwolnią dzina – złego ducha, którego być może uwięziono wewnątrz. Ale w końcu go rozbili, mając nadzieję, że znajdą w środku złoto. To dało początek jednemu z najbardziej zadziwiających odkryć archeologicznych wszech czasów – w dzbanie znajdowało się trzynaście ksiąg spisanych na papirusie, oprawnych w skórę gazeli. Wieśniacy, niestety, nie zdawali sobie sprawy z wartości znaleziska i część tych ksiąg oraz luźne papirusy poszły z dymem w ich ogniskach. Z innych poginęły stronice, a niektóre dokumenty trafiły do Muzeum Sztuki Koptojskiej w Kairze. Uratowano pięćdziesiąt dwa teksty, które do dziś wzbudzają ogromne kontrowersje wśród badaczy Biblii. Są to dokumenty zwane powszechnie ewangeliami gnostycznymi, bo odnoszą się do stwierdzeń i przekonań na temat Jezusa, które pozostają w sprzeczności z tym, co głosi się w Nowym Testamencie.

– Gnostyczne? – spytał Reilly. – Tak jak u katarów?

– Dokładnie – Vance uśmiechnął się i skinął głową. – Pośród tekstów znalezionych w Nag Hammadi była ewangelia według świętego Tomasza, którą określa się jako ewangelię tajemnicy. Zaczyna się ona następująco: „Oto sekretne słowa, które wymówił żywy Jezus, a które spisał jego brat bliźniak Judasz Tomasz”. A jest takich ciekawostek znacznie więcej. W tym samym woluminie oprawiono ewangelię według Filipa, która opisuje związek między Jezusem a Marią Magdaleną jako zażyły; Maria Magdalena była wyznawczynią i uczennicą Jezusa, przewodziła grupie chrześcijan. Jest i ewangelia według Piotra, ewangelia Egipcjan, sekretna Księga Jana. Jest ewangelia prawdy, która ma zdecydowanie buddyjski charakter... Ta lista jest bardzo długa.

– Wspólnym zagrożeniem, które tkwi we wszystkich tych ewangeliach – mówił Vance – oprócz tego, że przypisuje się Jezusowi czyny i słowa, które są odmiennie przedstawione w Nowym Testamencie, polega na tym, że uważają dogmaty chrześcijańskie, takie jak ten, że Maryja była dziewicą albo że Jezus powstał z martwych, za naiwne wierzenia. A co gorsza, teksty te były bez wątpienia gnostyczne, bo choć dotyczą Jezusa i jego uczniów, to wynikało z nich, że samoświadomość na najgłębszym poziomie jest równoznaczna z poznaniem Boga – to w nas samych musimy szukać źródła radości, smutku, miłości i nienawiści, a wtedy odnajdziemy Boga.

Vance wyjaśnił, że wczesne ruchy chrześcijańskie były nielegalne; musiały zostać ubrane w jakąś strukturę teologiczną, by przetrwać i wzrosnąć w siłę.

– Nadmiar przeczących sobie ewangelii oznaczał ryzyko fatalnej w skutkach fragmentacji religii. Potrzebne było silne przywództwo, a nie wydawało się to możliwe w sytuacji, gdy każda społeczność chrześcijańska będzie miała własne wierzenia i własną ewangelię. Zrąb władzy zaczął się tworzyć pod koniec drugiego wieku. W wielu społecznościach wyłoniły się trzy stopnie w hierarchicznej strukturze: biskupi, kapłani i diakoni; wszyscy oni twierdzili, że mówią w imieniu większości, i uważali się za strażników jedynej wiary. Nie twierdzą, że ci ludzie to wyłącznie polityczne wilkołaki – stwierdził Vance. – W działaniach, które podejmowali, byli naprawdę bardzo odważni i prawdopodobnie autentycznie się martwili, że jeśli nie przyjmą sztywnych dogmatów i kanonów, cały ruch szczerze.

Vance mówił dalej, że w czasach, kiedy samo bycie chrześcijaninem wiązało się z prześladowaniami, a nawet oznaczało śmierć, Kościół, chcąc przetrwać, musiał ustanowić jakiś porządek. Jego struktura pęczniała, aż w 180 roku, pod przywództwem biskupa Lyonu Irenaeusa, narzucono wszystkim zunifikowaną wizję religii. Mógł być tylko jeden Kościół i jeden zestaw rytuałów i wierzeń. Wszystkie inne zostały odrzucone jako herezja. Doktryna była dosyć jasna – tylko w Kościele prawdziwym można dostąpić zbawienia, członkowie Kościoła muszą być ortodoksyjni, co oznacza „myślący poprawnie”, a Kościół powinien być katolicki, co oznacza „powszechny”. A to z kolei oznaczało, że pokątne mnożenie się ewangelii trzeba było powstrzymać. Irenaeus postanowił, że należy wybrać cztery jedynie słuszne ewangelie, posługując się dziwnym argumentem, że tak jak istnieją cztery strony kosmosu i cztery główne wiatry, tak też powinny być i cztery ewangelie. Napisał pięć tomów zatytułowanych: Zniszczenie i obalenie fałszu tak zwanej wiedzy, w których ogłaszał wszelkie inne przekazy obrazoburstwem, a cztery znane do dzisiaj ewangelie uznał za ostateczny i niepodważalny kanon słowa Bożego, nieomylny, a ponadto zaspokajający wszystkie potrzeby wyznawców.

– Żadna z ewangelii gnostycznych nie zawierała opowieści pasyjnej – stwierdził Vance – ale w czterech, które wybrał Irenaeus, pojawia się motyw pasji. Wybrane ewangelie mówiły o śmierci Jezusa na krzyżu i o jego zmartwychwstaniu, łączyły opowieść w jedną, spinając ją kłamrą fundamentalnego rytuału eucharystii – ostatniej wieczerzy. Ale prawdę mówiąc, oryginalne ewangelie nawet się inaczej zaczynały – prychnął. – W swojej najwcześniejszej wersji pierwsza, która miała wejść do Pisma Świętego, czyli ewangelia według świętego Marka, nie wspomina ani słowem o dziewictwie Maryi, nie ma w niej nic na temat zmartwychwstania. Kończy się po prostu opisem pustego grobu Jezusa, przy którym tajemniczy młody człowiek,

a może jakiś transcendentny byt, na przykład anioł, mówi grupie kobiet stojących nad grobem, że Jezus czeka na nie w Galilei. A to tak przeraża owe kobiety, że uciekają i nikomu nic nie mówią... I zaczynamy się zastanawiać, jak Marek – czy ktokolwiek, kto napisał tę ewangelię – w ogóle mógł usłyszeć tę historię. Ale tak właśnie Marek skończył ewangelię w jej pierwotnej wersji. Dopiero u Mateusza piętnaście lat później i u Łukasza po kolejnych dziesięciu latach do oryginalnego zakończenia Marka, które wtedy zostało napisane ponownie, dopisano w zakończeniu, co się stało po zmartwychwstaniu.

– Po kolejnych dwustu latach, a właściwie w 367 roku, powstał spis dwudziestu siedmiu tekstów, które składają się na Nowy Testament. Ten, który znamy do dzisiaj, w końcu został uzgodniony. Pod koniec czwartego wieku chrześcijaństwo jest już uznawaną oficjalnie religią i propagowanie tekstów, które uważano za heretyckie, stało się przestępstwem. Wszystkie znane egzemplarze alternatywnych ewangelii palono i niszczone. To znaczy wszystkie oprócz tych, które udało się ukryć w jaskiniach Nag Hammadi, a które nie przedstawiają Jezusa jako osoby boskiej – mówił dalej Vance, nie spuszczać oczu z Reilly’ego. – Teksty te zostały wpisane na indeks, ponieważ Jezus w nich ukazany jest po prostu wędrowcem, który głosi życie w ubóstwie i miłość bliźniego. Nie przybywa na ziemię, żeby zbawić nas od grzechu i wiecznego potępienia. Jest tutaj po to, żeby nas poprowadzić ku duchowemu spełnieniu. A kiedy jego uczeń osiągnie oświecenie – ten właśnie fragment musiał przysporzyć Irenaeusowi i jego kompanom wielu bezsennych nocy – wtedy mistrz nie jest już do niczego potrzebny. Uczeń i nauczyciel stają się równi. Te cztery ewangelie, które są dziś kanonem, bo znalazły się w Nowym Testamencie, przedstawiają Jezusa jako naszego Zbawcę, Mesjasza i Syna Bożego. Integryści chrześcijańscy i ortodoksyjni żydzi, skoro już o tym mowa, upierają się, że między człowiekiem a Stwórcą istnieje nieprzekraczalna bariera. Ewangelie znalezione w Nag Hammadi temu przeczą; dla nich samowiedza jest poznaniem Boga, dusza ludzka i świadomość oraz to, co święte, to jedno i to samo. A co gorsza, te ewangelie opisują Jezusa jako nauczyciela i oświeconego męża – piszą o Nim jak o człowieku, o kimś, kogo ja czy pan moglibyśmy naśladować, a to Irenaeusowi i jego poplecznikom się nie podobało. Jezus nie mógł być tylko człowiekiem, musiał być kimś znacznie więcej. Musiał być Synem Bożym. Musiał być wyjątkowy, ponieważ dzięki Jego wyjątkowości i Kościół staje się wyjątkowy, staje się jedyną drogą do zbawienia. Odmalowując go w ten sposób, wczesny Kościół mógł twierdzić, że jeżeli ktoś nie jest z Kościołem, jeśli nie przestrzega reguł kościelnych, żyje, jak chce, to jest skazany na potępienie.



Vance przerwał i wpatrywał się przez chwilę w twarz Reilly'ego, a potem pochylił się i scenicznym szeptem jak ostrzem noża przeciął powietrze:

– Chcę panu powiedzieć, agencie Reilly, że to, w co zasadniczo wszyscy chrześcijanie wierzą do dzisiaj, w co wierzyli od czwartego wieku, wszystkie te rytuały, dni święte – w żadną z tych rzeczy nie wierzyli uczniowie Jezusa. To wszystko zostało wymyślone, dodane o wiele później – rytuały i mistyczne wierzenia, które w wielu przypadkach zostały przeniesione z innych religii, począwszy od Zmartwychwstania aż do Bożego Narodzenia. Niemniej ojcowie Kościoła wykonali ogromną pracę. Nowy Testament od dwóch tysięcy lat jest absolutnym bestsellerem, ale cóż... uważam, że templariusze mieli rację. Już w ich czasach sprawy wymykały się Kościołowi spod kontroli, ale wątpliwych zabijano bezlitośnie, jeśli postanawiali wierzyć w coś innego. Patrząc na stan, w jakimś świat znalazł się dzisiaj – oznajmił – sędzę, że to dzieło, które nazywamy Nowym Testamentem, już dawno stało się przeterminowane.

## Rozdział 68

– Uważa pan, że właśnie takie rewelacje wieźli na pokładzie „Świątyni Sokoła”? – zapytał wprost Reilly. – Dowód, że ewangelia jest, jak pan to ujął, niczym więcej, tylko fikcją literacką? Dowód na to, że Jezus nie był bytem boskim? Nawet gdyby tak było w istocie – argumentował – rozumiem, że takie stanowisko mogłoby podważyć ideę chrześcijaństwa, ale w jaki sposób miałyby pomóc templariuszom w zjednoczeniu trzech religii, skoro, jak pan twierdzi, to właśnie planowali?

– Bliższa koszula ciała. Zaczynali od tego, co dobrze znali – mówił Vance z niezachwianą pewnością w głosie. – Od religii, która była im najbliższa, tej, której krwawych dokonań byli uczestnikami. Gdyby tę udałoby się im... obalić, cóż, przypuszczam, że z czasem dogadaliby się z duchownymi wspólnot muzułmańskich i żydowskich, ponieważ szukali wcześniej partnerów stawiających takie same pytania wobec własnych religii i one miały wybrukować ścieżkę do nowego zjednoczonego świata.

– Podgrzewając nastroje rozczarowania wśród wiernych? – raczej stwierdził, niż spytał Reilly.

– W dłuższej perspektywie – Vance ani mrugnął – uważam, że taki świat byłby znacznie lepszy. A panu jak się wydaje?

– Bardzo w to wątpię – odparował Reilly. – Ale nie spodziewałbym się też, że pan, który tak nisko ceni ludzkie życie, mógłby mnie zrozumieć.

– Niech pan mi oszczędzi tych szlachetnych wzlotów i wreszcie dorośnie, zgoda? To jest po prostu śmieszne – upierał się Vance. – Jesteśmy wciąż w obszarach fantazji i bajek, dzisiaj, w dwudziestym pierwszym wieku. Tak naprawdę nie posunęliśmy się do przodu ani o centymetr, nawet w porównaniu z tymi biedakami z Troi. Cała planeta uległa masowej halucynacji i omamom. Chrześcijaństwo, judaizm, islam... Ludzie są gotowi walczyć na śmierć i życie, broniąc każdego słowa z ksiąg, które uważają za święte, ale na czym się one tak naprawdę opierają? Na legendach i mitach, które mają tysiące lat! Abraham, człowiek, który jeśli wierzyć Staremu Testamentowi, był ojcem w wieku stu lat i żył do stu siedemdziesięciu pięciu! Czy to rzeczywiście ma sens, żeby ludzkim życiem dzisiaj rządził zbiór takich śmiesznych opowieści?

Badania niezbitnie wskazują, że większość chrześcijan, żydów i muzułmanów do dziś nie ma

pojęcia o swoich wspólnych korzeniach, nie wie, że Abraham, patriarcha wszystkich trzech religii i budowniczy fundamentów monoteizmu, jest ich wspólnym duchowym przodkiem – wyjaśniał Vance. – A co jeszcze bardziej zakrawa na ironię, to fakt, że zgodnie z tym, co czytamy w Księdze Rodzaju, Bóg wysłał Abrahama z misją zlikwidowania różnic między ludźmi. Jego przekaz brzmiał tak, że niezależnie od różnych języków i kultur cała ludzkość jest jedną wielką rodziną przed Bogiem, panem wszelkiego stworzenia. A ten górnolotny frazes został nie wiadomo kiedy przekreślony – powiedział Vance szyderczo – i teraz wszystko wygląda jak nieudany odcinek opery mydlanej. Żona Abrahama, Sara, nie mogła mieć dzieci, więc wziął sobie drugą żonę, swoją arabską służącą, Hagar; ta urodziła mu syna i nazwali go Ismael. Trzydzieści lat później Sarze udaje się urodzić syna, przychodzi na świat Izaak. Abraham umiera, Sara postanawia wygnać Hagar i Ismaela, a rasa semicka rozpada się na Arabów i Żydów.

Najlepsze jest to – Vance potrząsnął głową i aż się zaśmiał – że wyznawcom wszystkich trzech religii każe się wierzyć w tego samego Boga, Boga Abrahama. Wszystko się pochrzańiło, kiedy ludzie zaczęli przepychanki, czyje słowa są najprawdziwszym odzwierciedleniem tradycji religijnej. Wierzenia w religii żydowskiej pochodzą od jej proroka, Mojżesza, wśród którego przodków Żydzi mają Izaaka i Abrahama. Kilkaset lat później Jezus, prorok żydowski, przynosi nowy zestaw wierzeń, podaje własną wersję religii Abrahama. Kilkaset lat później kolejny człowiek, Mahomet, ogłasza się prorokiem, twierdząc, że to właśnie on jest wysłannikiem Boga, a ci dwaj pierwsi – szarlatanami, i przyrzeka przywrócić objawienie Abrahama, tym razem za pośrednictwem Ismaela – rodzi się islam. Nic dziwnego, że przywódcy chrześcijaństwa w owych czasach uważali islam za herezję chrześcijańską, a nie nową religię. Kiedy Mahomet umiera, islam sam rozdziela się na dwa główne odłamy – na szytów i sunnitów – a to z powodu walki o to, kto zostanie jego następcą. I tak to się plecie bez końca.

Mamy zatem chrześcijan, którzy pogardzają żydami – stwierdził – uważając ich za wyznawców wcześniejszego, niekompletnego objawienia życzeń i żądań Boga; muzułmanie w podobny sposób odnoszą się do wiary chrześcijan, chociaż oni również czczą Jezusa – ale tylko jako posłańca Boga, a nie Jego Syna. Naprawdę uważam to za piramidalnie śmieszne. Wie pan, że bogobojni muzułmanie błogosławią Abrahama siedemnaście razy dziennie? Pielgrzymka do Mekki, zwana hadżem, jest obowiązkiem każdego muzułmanina – miliony ludzi stoją w upalnym słońcu, zagrożeni są w każdej chwili stratowaniem na śmierć – wie pan, o co w tym wszystkim chodzi? Pielgrzymkę odbywają ku czci Ismaela, syna Abrahama, któremu Bóg

darował życie. Wystarczy pojechać do Hebronu, żeby się przekonać, jakie to wszystko jest absurdalne. Arabowie i Żydzi wciąż się zarzynają o najświętszy skrawek nieruchomości na tej planecie, a to z powodu domniemania, że tam, w małej jaskini, został pochowany Abraham. Są w niej oddzielne, wyizolowane obszary zwiedzania dla każdej z grup religijnych. Abraham – jeżeli kiedykolwiek naprawdę istniał – musi się teraz przewracać w grobie na myśl o swych wiecznie skłóconych potomkach i wyznawcach, ludziach małego serca. A my się przejmujemy rodzinami dysfunkcyjnymi.

Wiem, że oskarża się i obarcza winą za konflikty światowe polityków i ludzką chciwość – ciężko westchnął Vance. – Oczywiście, to również odgrywa pewną rolę... Ale pod tym wszystkim zawsze znajdujemy religię, paliwo płonące w piecach nietolerancji i nienawiści. To wszystko powstrzymuje nas przed kontaktem z czymś lepszym, ale przede wszystkim nie pozwala uświadomić sobie prawdy o tym, kim się staliśmy; nie pozwala nam do końca korzystać z wszystkiego, co nam oferuje współczesna nauka; nie pozwala nam przejąć pełnej odpowiedzialności za nasze czyny. Tysiące lat temu prymitywni członkowie pustynnych klanów byli przerażeni, potrzebowali religii, żeby zrozumieć wszystkie tajemnice świata i śmierci, by pogodzić się z tym, że choroba i śmierć odbiera im bliskich, że nagłe zmiany pogody są nieprzewidywalne, że nie można liczyć zawsze na obfite plony i że siły natury są niewyobrażalnie wszechwładne. Tego nam już nie potrzeba. Bierzymy do ręki telefon komórkowy i możemy porozmawiać ze znajomym na przeciwległym krańcu planety. Wysyłamy pojazdy kosmiczne na Marsa. Potrafimy zainicjować życie w probówce laboratoryjnej. I możemy dokonać znacznie więcej. Już czas porzucić przesady pochodzące z dawnych czasów i stanąć twarzą w twarz z prawdą o tym, kim w rzeczywistości jesteśmy, zaakceptować fakt, że staliśmy się kimś, kogo setki lat temu nazwano by Bogiem. Czas przyznać się do tego, do czego jesteśmy zdolni, a nie opierać się na jakiejś nie do końca zdefiniowanej potędze, która spłynie z niebios i naprawi wszystkie wyrządzone nam i przez nas krzywdy.

– To dość powierzchowne podejście – zaprotestował rozgniewany Reilly. – A całe dobro, które płynie z religii? Zasady etyczne, zasady moralne, które religia ustala? Pocieszenie, które przynosi wiara, nie wspomnę już o działalności charytatywnej, dzieleniu się z biednymi i opiece nad tymi, którym się gorzej od nas powodzi? Dla wielu ludzi wiara w Chrystusa pozostaje jedyną opoką, a miliony desperacko szukają religii, bo pomaga im przeżyć. Ale tego pan nie dostrzega, prawda? Ważne jest jedno tragiczne wydarzenie, wydarzenie, które zrujnowało pańskie życie,

wydarzenie, które wypaczyło pański pogląd na świat i zatrulo wszystko, co na tym świecie dobre i szlachetne.

– Widzę tylko niepotrzebny ból i cierpienie, które zadano nie tylko mnie, ale zadawano milionom ludzi przez wszystkie wieki. – Vance skierował teraz spojrzenie w dal, jak człowiek zapędzony w kozi róg. Po chwili skierował wzrok na Reilly’ego i powiedział bardzo poważnie. – Chrześcijaństwo wspaniale spełniało swoje zadanie, kiedy się zrodziło. Dawało ludziom nadzieję, stanowiło wsparcie, pomagało obalać tyranów. Służyło społeczności. A czemu dzisiaj służy? Oprócz tego, że powstrzymuje badania naukowe w medycynie i usprawiedliwia wojny i morderstwa? Śmiesz nas przedziwne bożki, które czcili Inkowie i Egipcjanie. Ale czy my jesteśmy lepsi? Co pomyślą o nas ludzie, kiedy będą nas oceniać po upływie tysiąca lat? Czy zostaniemy wyszydzeni i wyśmiani? Wciąż tańczymy do muzyki, którą przed tysiącami lat skomponował człowiek przekonany, że burza jest oznaką gniewu Bożego. Ale to – dodał przewrotnie – wymaga zmiany.

– A ty? Co o tym sądzisz? – zwrócił się Reilly do Tessy. Nie powiedziała ani słowa, słuchając wyводу Vance’a. – Zgadzasz się z tym wszystkim?

– Skupmy się na faktach historycznych – powiedziała Tessa z ponurą miną. Unikała jego spojrzenia i widać było, że stara się go nie urazić. – Mówimy o rzeczach, które są udokumentowane i powszechnie przyjęte. – Zawahała się, zanim zaczęła mówić dalej: – Wierzę istotnie, że ewangelie początkowo napisano po to, żeby przekazywać z pokolenia na pokolenie wiedzę duchową, ale z upływem czasu stały się czymś więcej. Spoczywa na nich większa odpowiedzialność, stały się narzędziem walki politycznej. Jezus żył w strasznych czasach, w kraju okupowanym. Imperium rzymskie generowało nierówności. Masy żyły w ubóstwie, kilkoro wybrańców zaś – w niesamowitym przepychu. To były czasy głodu, chorób i śmierci. Łatwo zrozumieć, że w takim niesprawiedliwym i pełnym przemocy świecie przekaz, który niosło chrześcijaństwo, się przyjął. U jego podstaw Bóg pełen łaskawości prosi ludzi, by byli dla siebie dobrzy i mieli litość dla tych, którzy nie są ich rodziną, a nawet nie należą do społeczności. Ten pogląd był rzeczywiście rewolucyjny jak na owe czasy. Proponował nawróconym, niezależnie od pochodzenia, spójną kulturę, poczucie równości i przynależności do grupy, nie każąc im jednocześnie rezygnować ze związków etnicznych. Chrześcijaństwo dało ludziom poczucie godności i równości z innymi, niezależnie od statusu. Głodni wiedzieli, że zostaną nakarmieni, chorzy i starzy wiedzieli, że młodzi o nich zadbają. Chrześcijaństwo obiecywało

wszystkim nieśmiertelność, przyszłość wolną od ubóstwa, chorób i osamotnienia. Była to nowa perspektywa ludzkości, dobra nowina o miłości, współczuciu i empatii ze światem pełnym okrucieństwa, owładniętym kulturą śmierci.

Nie jestem ekspertem tak jak on – mówiła Tessa, wskazując głową Vance’a – ale uważam, że ma rację. Zawsze miałam problemy z tym nadprzyrodzonym elementem, ze świętością Jezusa, z poglądem, że jest Synem Boga urodzonym z Dziewicy Maryi. Najbardziej przykre jest to, że wszystko zaczęło się nie kilkadziesiąt, a kilkaset lat po ukrzyżowaniu, stało się oficjalną polityką i poglądem Kościoła po soborze nicejskim w roku 325 naszej ery. To było jak... – zawahała się – jakby potrzebowali czegoś specjalnego, jakiegoś wielkiego magnesu. A w czasach, kiedy zjawiska nadprzyrodzone akceptowała większość ludzi, lepiej było głosić, że religia, którą się upowszechnia, a przede wszystkim jej nazwa, nie wywodzi się z rodziny ubogiego cieśli, ale pochodzi od istoty Boskiej, która przyrzekała nieśmiertelność i życie wieczne.

– Przedstawiasz to wszystko, Tesso – powiedział Reilly z wyrzutem – jak jakąś cyniczną kampanię propagandową. Naprawdę wierzysz w to, że ta idea przetrwałaby aż do dziś, gdyby była oparta tylko i wyłącznie na manipulacji? Ze wszystkich kaznodziejów i ludzi światłych, którzy w tym czasie wędrowali po ziemi, On jeden tak bardzo poruszył ludzi, że byli skłonni oddać życie za Jego naukę. On najsilniej inspirował swoich współczesnych. On jak nikt inny wpłynął na ludzi, którzy potem opowiadali i pisali o tym, czego byli świadkami.

– Ależ ja właśnie o tym mówiłem – wtrącił Vance. – Nie istnieje żaden opis z pierwszej ręki. Nie istnieje nic, co byłoby niezbitym dowodem.

– Ani zaprzeczeniem – odparował Reilly. – Ale oczywiście pan dostrzega tylko jedną stronę równania?

– Cóż, skoro Watykan tak się obawiał, że wyjdzie na jaw tajemnica templariuszy – replikował Vance – to mogę sobie wyobrazić, że też w taki sposób myśleli. A gdybyśmy my mogli skończyć to, co rozpoczęli templariusze – zwrócił się do Tessy rozgorączkowany i podekscytowany, a jego ekscytacja niepokojąco się jej udzielała – byłby to ostateczny krok w kierunku czegoś, co kipi pod pokrywą do oświecenia. Przecież jeszcze nie tak dawno ludzie wierzyli, że Ziemia jest w centrum wszechświata, a Słońce kręci się dookoła niej. Kiedy Galileusz udowodnił, że jest inaczej, Kościół o mało nie spalił go na stosie. Tak samo było z Darwinem. Pomyślcie, czyje słowa dziś należałoby uznać za prawdziwą „ewangelię”?

Reilly zamilkł, rozważając jego słowa. Najbardziej niepokoiło go to, że wszystko, co

usłyszał, choć starał się z całej mocy te argumenty odrzucić, wydawało mu się nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne. W końcu istnieje wiele religii, które zdobywają wyznawców na całym świecie, przekonując, że są tą jedyną i wyłączną... A przecież wszystkie nie mogą mieć racji. Musiał przyznać, że i on sam jest gotów odepchnąć i odrzucić inne religie jako prymitywne omamy... To dlaczego niby tę, którą sam wyznaje, uważa za inną?

– Jedno po drugim – oznajmił Vance, nie spuszczać oczu z Tessy – te fałszerstwa, te wymysły założycieli Kościoła kruszą się i łamią. Ten upadnie ostatni, tylko tyle i nic więcej.

## Rozdział 69

Reilly siedział sam na kamiennym zboczu na wprost przecinki, na której zaparkowany był samochód, i przyglądał się stopniowo ciemniejącemu niebu. Migotały miliony gwiazd, a księżyc wydawał się większy i jaśniejszy niż zwykle. Taki widok zrobiłby wrażenie nawet na najbardziej cynicznym obserwatorze, ale Reilly nie był akurat w poetyckim nastroju.

Echo stów Vance'a wciąż odbijało się w jego głowie. Ponadnaturalne elementy opowieści, która leży u podstaw jego wiary, stały zawsze w niewygodnej sprzeczności z konstrukcją jego racjonalnego, analitycznego umysłu, ale nigdy nie czuł rzeczywistej potrzeby, by im się bliżej przyjrzeć. Argumenty Vance'a, niepokojące i – do czego nie chciał się sam przed sobą przyznać – przekonujące, otworzyły puszkę Pandory, którą trudno będzie teraz zamknąć.

Półciężarówkę ledwo było widać, a Vance tkwił tam, gdzie go zostawił przywiązanego do auta. Reilly nie mógł przestać myśleć o jego wywodach; wciąż brzmiały mu w uszach te tyrady. Szukał szczeliny, najmniejszego pęknięcia, dzięki któremu udałoby się przewrócić cały ten karykaturalny pomnik, tak by się rozpadł na kawałki, ale nie mógł niczego znaleźć. Nie było w tej argumentacji nic, co byłoby sprzeczne z logiką. Wręcz przeciwnie, wszystkie argumenty miały sens.

Usłyszał za sobą dźwięk uderzających o ziemię kamyków i otrząsnął się z zamyślenia. Zobaczył, że Tessa wspina się na grań.

– Hej tam – krzyknęła. Jej przepiękny uśmiech, który go tak pociągał, teraz nie rozproszył chmur na jego twarzy.

– Hej – skinął jej głową.

Stała na krawędzi grani, chłonąc przez kilka chwil ciszę, a potem usiadła na kamieniu tuż obok Reilly'ego:

– Posłuchaj... Bardzo mi przykro. Wiem, że ta dyskusja nie była dla ciebie przyjemna.

– Przede wszystkim czuję się rozczarowany – Reilly wzruszył ramionami. Spojrzała na niego nie bardzo rozumiejąc. – Spróbuję ci to wytłumaczyć – mówił dalej. – Uważasz coś za wyjątkowe, wręcz niepowtarzalne, i nagle ktoś to przewraca do góry nogami, sprowadza do karykatury.

– Chcesz mnie namówić, żebym nie zważała na dowody?



– Nie, ale patrząc na nie w ten sposób, zastanawiając się nad każdym szczegółem, w ogóle gubi się idee. Umyka z pola widzenia, że nie chodzi wcale o dowody naukowe. Nie powinno chodzić. Nie chodzi o fakty ani o racjonalną analizę. Tu chodzi o uczucia. To inspiruje do życia, przynosi natchnienie, poczucie więzi... z tym wszystkim – zatoczył ramionami wokół siebie. Patrzył na nią przez chwilę intensywnie, a potem zapytał: – Czy ty w ogóle w nic nie wierzysz?

– To, w co ja wierzę, nie ma znaczenia.

– Ma znaczenie dla mnie – nalegał. – Naprawdę chciałbym wiedzieć, czy w ogóle w coś wierzysz.

Spojrzała na niego i mimo panujących ciemności wydawało jej się, że wpatruje się w nią z napięciem.

– Gdybym miała udzielić łatwej odpowiedzi, powiem ci, że jestem w obozie Jeffersona.

– Jeffersona?

– Thomas Jefferson również miał problemy z uwierzeniem w to, co głosi Biblia – wyjaśniła Tessa. – Chociaż uważał system etyczny Jezusa za najdoskonalszy, jaki kiedykolwiek istniał, był przekonany, że podczas prób uatrakcyjnienia jego nauki poganom manipulowano Jego słowami i historią Jego życia. Postanowił więc przyjrzeć się bliżej Biblii i odrzucić z tekstu wszystko, co uważał za niewiarygodne; próbował wyłowić rzeczywiste słowa Jezusa, wyrzucając, jak powiedział, „śmieci”. Napisał książkę Życie i moralność Jezusa z Nazaretu. Chrystus nie przypomina w niej uświęconego bytu z Nowego Testamentu; u Jeffersona nie narodził się z Dziewicy Maryi, nie było cudów ani zmartwychwstania. Był człowiek.

Patrzyła Reilly’emu głęboko w oczy, usiłując znaleźć w tej argumentacji jakiś wspólny mianownik dla nich obojga.

– Nie zrozum mnie źle, Sean. Wierzę, że Jezus był wielkim człowiekiem, jednym z najważniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po Ziemi. Był człowiekiem, który inspirował innych i który powiedział mnóstwo wspaniałych rzeczy. Uważam, że Jego wizja społeczeństwa wyzutego z egoizmu, w którym wszyscy nawzajem sobie pomagają i ufają, jest fantastyczna. Z Jego inspiracji zrodziło się wiele dobra. I wciąż tak się dzieje. Nawet Gandhi, który nie był chrześcijaninem, zawsze powtarzał, że działa w duchu Jezusa Chrystusa. Jestem całkowicie przekonana, że Jezus był człowiekiem wyjątkowym, ale wyjątkowi byli również Sokrates i Konfucjusz. I zgadzam się z tobą, że Jego nauka o miłości i braterstwie powinna być podstawą wszelkich relacji międzyludzkich – wtedy naprawdę bylibyśmy szczęśliwi. Ale czy był postacią

świętą? Może dałoby się powiedzieć, że miał wizję świętości czy proroczą iluminację... Ale opowieści o Jego cudach nie kupuję, a już na pewno nie mam tolerancji dla duchownych opętanych potrzebą kontrolowania wiernych. Oni udają, że są wyjątkowymi i jedynymi przedstawicielami Boga na Ziemi. Jestem całkowicie pewna, że Jezus nie chciał, by Jego rewolucyjna idea przekształciła się w to, czym jest dzisiaj, i nie wyobrażał sobie, że Jego nauki staną się dogmatami wiary. I że ta wiara będzie zaciskała się na szyi wyznawców jak sznur, w dodatku w Jego imieniu. Przecież walczył o wolność i nienawidził władzy. Czy to nie ironia?

– Świat jest ogromny – odparł Reilly. – Kościół dzisiaj jest tym, czym ludzie go uczynili, rósł przez wieki. Jest organizacją, ponieważ w innej formie nie mógłby funkcjonować. Organizacje potrzebują struktur władzy. Inaczej Jego przekaz nie przetrwałby i nie został upowszechniony.

– Ale popatrz, to wszystko rzeczywiście zrobiło się śmieszne – zaproponowała. – Oglądałeś kiedyś telewizyjnych ewangelistów?

To jak numer ze sceny w Las Vegas. Parada kpiarzy, którzy piorą ci mózg. Wszyscy gwarantują ci miejsce w niebie, jeżeli wypiszesz im czek. Czy to nie jest smutne? Coraz mniej ludzi chodzi do kościoła, szukają dla siebie innych rozwiązań, od jogi do kabały i po wszystkie książki New Age, szukają jakiegoś nowego duchowego wsparcia... A to dlatego, że Kościół tak mocno pozostał w tyle za współczesnością i nie rozumie, czego ludziom dzisiaj naprawdę trzeba...

– Oczywiście – rzekł Reilly, wstając. – Ale to świat idzie tak szybko naprzód. Nauka Kościoła miała sens przez prawie dwa tysiące lat. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach wszystko się zmieniło; ludzkość i nauka rozwijają się w oszałamiającym tempie. Oczywiście, zgadzam się, że Kościół nie dotrzymuje kroku dzisiejszemu światu. Nie znaczy to jednak, że wszystko, czego naucza, należy wyrzucić na śmietnik i ruszyć... właśnie, dokąd?

– Nie wiem – pokręciła głową Tessa. – Ale chyba nie potrzebujemy łapówki w postaci raj, żeby się zachowywać przyzwoicie, ani nie robimy tego ze strachu przed piekłem i potępieniem. Może byłoby zdrowiej, gdyby ludzie zaczęli po prostu wierzyć w siebie?

– Naprawdę tak myślisz?

Spojrzała mu w oczy. Biła z nich uczciwość i spokój.

– Tak. Wiem również, że wolałabym oszczędzić córce dorastania w świecie, w którym ludzi oszukuje się historycznym fałszerstwem. Chciałabym, by w tym świecie ludzie mieli swobodę wyboru i mogli wierzyć w to, w co sami chcą wierzyć. Niezależnie od tego, czy ich wiara opiera

się na faktach, czy na mitach. – Wzruszyła ramionami. – To i tak jest bez znaczenia. Dowiemy się wszystkiego dopiero, jak znajdziemy wrak statku i zobaczymy, co jest w tej skrzynce.

– Czy naprawdę musimy się w to wtrącać?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odezwała się dopiero po chwili, a w jej głosie usłyszał niedowierzenie.

– Ja tu przyjechałem, żeby znaleźć Vance’a i zawieźć go do kraju. To, co jest tam... nie obchodzi mnie. – Czuł, mówiąc to, że nie jest ani wobec niej, ani wobec siebie uczciwy. Ale odsunął od siebie tę myśl.

– Więc chcesz to tak zostawić? – powiedziała z niedowierzaniem. Wzbierał w niej gniew.

– Posłuchaj, Tesso, czy nie za wiele ode mnie oczekujesz? Mam odwiesić Nowy Jork na haczyk i przez kilka tygodni nurkować z tobą w poszukiwaniu skarbu?

– Nie wierzę własnym uszom. – Jej zielone oczy wpiły się w niego z niekłamaną pogardą. – Do cholery, Sean. Wiesz, co zrobią, jak się dowiedzą, gdzie to jest?

– Kto?

– Watykan – wypaliła bez wahania. – Jeżeli Watykan położy łapę na astrolabium i znajdzie wrak statku, to świat już nigdy o tym nie usłyszy. To wszystko przepadnie na wieki. Na zawsze.

– To ich sprawa – powiedział chłodno. – Czasem lepiej zostawić rzeczy własnemu biegowi.

– Nie możesz tego zrobić – upierała się.

– A czego się po mnie spodziewasz? – odpalił. – Że pomogę ci wygrzebać coś z dna oceanu i pokazać to z dumą światu, żeby wszystkich archeologów w Ameryce i nie tylko szlag trafił z zawiści? On – powiedział rozgniewany, wskazując palcem Vance’a – nie kryje, o co mu naprawdę chodzi. On chce zniszczyć Kościół. Naprawdę oczekujesz ode mnie, że wam w tym pomogę?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale miliard ludzi na świecie nie może żyć dłużej w zakłamaniu. Czy to cię nie przekonuje? Czy nie uważasz, że należy im się prawda?

– Może najpierw ich powinniśmy zapytać, czy chcą ją poznać – odparł. Spodziewał się, że Tessa będzie dalej naciskać, ale tylko pokręciła głową.

– Ty nie chcesz się dowiedzieć – stwierdziła bardziej, niż spytała. Nie potrafiła ukryć rozczarowania.

Reilly wytrzymał jej spojrzenie przez długą ciężką chwilę, a potem bez słowa odwrócił głowę. Potrzebował czasu, żeby samemu sobie na to odpowiedzieć.

Tessa spojrzała w kierunku przecinki, na której zostawili Vance'a. Po chwili przerwała milczenie:

– Muszę... Muszę się czegoś napić.

Ruszyła w dół z boczem w kierunku połyskującego w świetle księżyca strumienia.

Reilly patrzył, jak Tessa Chaykin znika w półmroku.

Potykając się o drobne kamienie, schodziła w dół, nie mogąc opanować wzburzenia.

Uklękła przy strumieniu i złożyła dłonie, żeby nabrać w nie chłodnej wody. Zobaczyła, że drżą. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech; rześkie górskie powietrze wypełniło jej płuca. Próbowała za wszelką cenę się uspokoić, ale serce dudniło jej w piersiach. Nic nie pomagało. „Czy naprawdę musimy się w to wtrącać?” – przypomniała sobie jego słowa i aż nią zatrzęsło.

Nie mogła przejść nad tym do porządku.

Spojrzała w górę na postrzępioną skałę i zobaczyła sylwetkę Reilly'ego na tle nocnego nieba. Raz jeszcze zrobiła w myślach przegląd argumentów, które za nim przemawiały. Oboje znaleźli się w tej patowej sytuacji. Zważywszy, co się stało, ilu ludzi zginęło i ile pytań pozostaje bez odpowiedzi, decyzja Reilly'ego, by zawieźć Vance'a do Nowego Jorku, była naprawdę sensowna.

Ale to z kolei nie była jej sprawa. Nie wracając, na pewno miała więcej do wygrania.

Spojrzała na Vance'a. Siedział ze skrępowanymi dłońmi tam, gdzie go zostawili, oparty plecami o półciężarówkę. Przez cały czas czuła na sobie jego oczy.

I wtedy przysła jej do głowy myśl, niebezpieczna i szalona, która jednak w ułamku sekundy uporządkowała cały bałagan w jej głowie. Przecięła mieczem węzeł gordyjski.

Próbowała ją od siebie odpędzić, ale myśl uparcie powracała.

Reilly przyznawał jej w duchu rację. Powróciły wątpliwości na temat Vance'a, które nadal nie dawały mu spokoju. Oczywiście, chciał się dowiedzieć. Co więcej, czuł, że musi się dowiedzieć.

Niezależnie jednak od własnych ambiwalentnych uczuć musiał postępować zgodnie z pewnymi normami. Tak było zawsze, właściwie nigdy nie miał wyboru. Nie chodziło mu nawet o to, że przecież nie zdołają sami odszukać wraku. Jak miałoby to niby zrobić? Był agentem FBI, a nie nurkiem. I jego zadaniem było odstawienie Vance'a i astrolabium do Nowego Jorku.

Ale dobrze wiedział, że wtedy wszystko będzie skończone.

W ciemności raz jeszcze ujrzał twarz Tessy, przypomniał sobie jej rozczarowanie. Bolało go

to, ale równie mocno czuł się rozczarowany. Nie miał pojęcia, jak mogliby się porozumieć, nawet gdyby mieli więcej czasu. Ale teraz ten związek, który mógłby odmienić życie ich obojga, balansował na krawędzi jego wiary.

I wtedy usłyszał warkot silnika.

Nie z oddali.

Z bliska.

Spojrzał w dół i zobaczył odjeżdżającego pickupa.

Instynktownie sięgnął ręką do kieszeni, ale przypomniał sobie, że nie ma kieszeni. Nadal był w pianie do nurkowania. Przypomniał sobie też, że wsunął kluczyki od półciężarówki pod fotel pasażera, a Tessa siedziała wtedy obok niego.

– Tessa! – wrzeszczał, lecąc w dół zbocza, roztrącając małe kamyczki i potykając się w ciemności. Kiedy dobiegł do przecinki, po półciężarówce na leśnej drodze pozostał tylko tuman kurzu.

Tessa i Vance uciekli.

Wściekły na samego siebie za to, że do tego dopuścił, rozglądał się dookoła. Jak desperat szukał czegoś, co zapobiegłoby nieszczęściu.

Po chwili ujrzał kawałek papieru, wystający spod zapasów jedzenia i sprzętu biwakowego, który mu zostawili w miejscu, gdzie zaparkował półciężarówkę.

Podniósł kartkę i rozpoznał pismo Tessy:

Sean, ludziom należy się prawda. Mam nadzieję, że to zrozumiesz i że mi wybaczysz.

Wezwę cię na pomoc, jeśli będę potrzebowała.

## Rozdział 70

Reilly obudził się otumaniony. Nie mógł racjonalnie myśleć, opanowany przez emocje. Nie mógł uwierzyć, że Tessa wyjechała z Vance'em. Nieważne, jak próbował sobie to wytłumaczyć, nie wierzył w to, co się stało; trawiła go gorączka. Był wściekły, czuł się oszukany, wystawiony do wiatru i porzucony na pastwę losu. Był oszołomiony jej decyzją. Jeszcze raz go zignorowała, i w dodatku znowu z powodu Vance'a. Zaskoczony jej tupetem, jednocześnie niepokoił się o nią, bo po raz kolejny narażała się na niebezpieczeństwo. W dodatku, chociaż bardzo się starał o tym nie myśleć, jego męska duma także porządnie oberwała.

Prostując się, usłyszał świergot ptaków i poczuł gorące promienie porannego słońca. Długo w noc się kręcił, obracał w śpiworze, który mu zostawili, aż w końcu wyczerpanie wzięło górę nad emocjami; zasnął. Teraz, mrużąc oczy, spojrzął na zegarek – spał zaledwie cztery godziny.

To nie miało znaczenia. Musiał ruszać.

Napił się ze strumienia, natychmiast odczuwając zbawienne działanie chłodnej, górskiej wody. Skurcz w żołądku przypomniał mu, że nie jadł nic od prawie dwudziestu czterech godzin, szybko więc przełknął trochę chleba i pomarańczę. Poczul, że ciało powoli powraca do życia, że zaczyna klarować mu się także w głowie, ale natychmiast dołączył do tego gniew.

Rozejrzał się dookoła. Nie było wiatru i nawet śpiew ptaków teraz przycichł; wszystko wydawało się martwe. Postanowił, że wróci leśną drogą do baraku Okana, stamtąd prawdopodobnie będzie mógł się skontaktować ze swoim biurem w Nowym Jorku – nie bardzo sobie wyobrażał tę rozmowę.

Ledwo wyruszył w długą podróż powrotną, gdy w pewnej odległości rozległ się dźwięk silnika. Serce zabiło mu mocniej; pomyślał, że wracają, ale szybko się zorientował, że to nie jest odgłos silnika samochodu. Gardłowo i rytmicznie miał powietrze helikopter – śmigła powodowały hałas, który odbijał się echem od gór i z każdą sekundą był coraz wyraźniej sły.

I wtedy go zobaczył, rozpoznał znajomą sylwetkę maszyny, która przecinała dolinę. Był to Bell UH-1Y, najnowsza generacja ikony niezliczonych amerykańskich wojen. Maszyna leciała tuż nad czubkami drzew rosnących na pobliskim zboczu. Wszystkie mięśnie miał napięte, kiedy pospiesznie analizował możliwości i starał się zgadnąć, kto jest na pokładzie: albo Tessa zrobiła to, czego się spodziewał, czyli powiadomiła władze o miejscu jego pobytu, albo ci, którzy

strzelali do nich nad jeziorem, chcą dokończyć porachunki. Bardziej prawdopodobna wydała mu się ta druga możliwość. Rozejrzał się po okolicy, chłodnym okiem szukając ukrycia, ale zrezygnował. Oni byli uzbrojeni, a on nie, a ponadto nie miał tego, czego szukają. Był zmęczony i wściekły. Nie chciało mu się biegać.

Patrzył, jak helikopter krąży nad jego głową, i zauważył na ogonie oznaczenia – symbol składający się z czerwonego pierścienia i białego punktu pośrodku. Trochę się uspokoił, rozpoznał bowiem helikopter tureckich sił powietrznych. Maszyna siadła na łące, wzniesając chmurę piasku zmieszanego z poranną rosą. Reilly przesłonił ręką oczy i ruszył niepewnie w stronę śmigłowca. Drzwi otworzyły się i w tumanie pyłu zobaczył niewysokiego mężczyznę, który szedł w jego kierunku pewnym krokiem mimo nierównej nawierzchni. Kiedy się przybliżył, Reilly zobaczył szerokie spodnie wojskowe w kolorze khaki i ciemną kurtkę, a na nosie okulary słoneczne. Poznał go dopiero, kiedy tamten podszedł bardzo blisko. To był ojciec De Angelis.

– Co ojciec tu robi? – Reilly rzucał spojrzenia na lewo i na prawo, kompletnie zdezorientowany. Skąd ten helikopter i skąd ten strój? Ostatni powiew zwalniającego rotora helikoptera odsunął połę rozpiętej kurtki De Angelisa i Reilly zobaczył pod jego ramieniem gocka w kaburze. Był oszołomiony. Zerknął do kabiny i zobaczył karabin snajperski u stóp mężczyzny skulonego na siedzeniu i usiłującego przypalić papierosa; wyglądał na znużonego przewodnika wycieczek. W głębi siedziało dwóch żołnierzy w tureckich polowych mundurach. Przez jego głowę przelatywały sprzeczne myśli; przyglądał się uważnie duchownemu. Wskazał ręką śmigłowiec:

– Co to jest? Co to, do diabła, znaczy?

De Angelis stał bez ruchu. Kiedy zdjął okulary, Reilly zauważył, że jego oczy wyglądają jakoś inaczej. Nie były życzliwe i pełne dobroci, jak w Nowym Jorku. Pobrudzone palcami okulary, które zawsze nosił, ukrywały pogardę dla świata, teraz widoczną jak na dłoni.

– Niech się pan uspokoi.

– Proszę mi nie mówić, co mam robić – wybuchnął Reilly. – Co to w ogóle znaczy? O mały włos nie wytlukliście nas wszystkich! Kim, do cholery, jesteście? I dlaczego strzelacie do ludzi jak do kaczek? Tamci nie żyją i...

– Nic mnie to nie obchodzi – przerwał mu De Angelis. – Vance’a trzeba zatrzymać. I to za każdą cenę. Jego ludzie byli uzbrojeni, a więc postanowiłem ich zlikwidować.

Reilly nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– I co ksiądz zaplanował? – warknął. – Spalić go na stosie? Zapomniał ojciec, w jakich żyjemy czasach, czy co? Inkwizycja chyba już należy do przeszłości. Oczywiście, moje pytania mają sens, jeśli ojciec rzeczywiście jest księdzem. – Wskazał dłonią na karabinek snajperski leżący u stóp Plunketta. – Czy to jest ostatni model watykański?

– Nie działał z polecenia Watykanu – De Angelis patrzył na niego z całkowitym spokojem.

Reilly ogarnął wzrokiem wojskowy helikopter, żołnierzy i cywila, który siedział w maszynie z karabinkiem snajperskim u stóp.

Widział już przedtem ten chłodny, niewzruszony wzrok. Gdy teraz pomyślał o napadzie z bronią w ręku na Metropolitan, nagle wszystkie elementy układanki poskładały mu się w całość.

– Langley – zgadywał, kręcąc głową oszołomiony. – Jesteś jakimś cholernym szpiegiem, tak? Cała ta historia... – Głos mu uwiązł w gardle, a potem powrócił z większą siłą. – Waldron, Petrovic... Ci jeźdźcy w Nowym Jorku. To nie był Vance. To cały czas była twoja robota, prawda? – Nagle skoczył na De Angelisa i pchnął go z całej siły do tyłu. Zrobił jeszcze krok i sięgnął rękami do gardła wielebnego. – Byłeś...

Nie zdążył dokończyć zdania. De Angelis wykazał niezwykle refleks, zbijając dłonie Reilly'ego i jednocześnie chwytając go za ramię; potem wykręcił mu rękę do tyłu – wszystko to jednym płynnym i skutecznym do bólu ruchem – i rzucił go na kolana.

– Nie mam czasu na głupoty – mówił przez zaciśnięte zęby, przez chwilę trzymając Reilly'ego w żelaznym uścisku; potem rzucił nim o ziemię. Reilly wypluł piasek z ust, czując, że ramię pulsuje mu z bólu. Wielebny zrobił kilka kroków, okrążając leżącego na ziemi agenta. – Gdzie oni są? Co się stało?

Reilly powoli podciągnął się na rękach i wstał. Kątem oka zauważył, że mężczyzna siedzący w helikopterze ogląda to przedstawienie z szyderstwem. Czuł, że gdzieś w środku, w jego duszy, wzbiera furia. Jeżeli zastanawiał się chwilę wcześniej nad tym, do jakiego stopnia wielebny jest osobiście zamieszany w morderstwa w Nowym Jorku, ta drobna demonstracja siły i sprawności fizycznej szybko rozproszyła jego wątpliwości. Widywał już takich ludzi – mieli ręce stworzone do zabijania.

Otrzeptał się z pyłu, a potem spojrzał na De Angelisa.

– Więc kim tak naprawdę jesteś? – spytał z goryczą. – Sługą Bożym z bronią czy



bandziorem, który zwrócił się w stronę Boga?

– Nie podejrzewałem cię o cynizm – powiedział De Angelis.

– A ja nie sądziłem, że jesteś mordercą. De Angelis zagwizdał, zanim zdecydował się na odpowiedź. W końcu odezwał się obojętnie:

– Musisz się uspokoić. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Więc tam, nad jeziorem, to co było? Przyjacielska wymiana ognia?

– To bitwa – powiedział po prostu De Angelis. Przyglądał mu się chłodno i z wyższością. – I każdy może być ofiarą. – Przerwał i czekał chyba, by do Reilly’ego na pewno dotarło to, co powiedział. A potem kontynuował: – Musisz coś zrozumieć. My ciągle walczymy. Prowadzimy wojnę od przeszło tysiąca lat. To tak zwane zderzenie cywilizacji... to nie tylko jakaś intelektualna teoryjka, którą wymyślono na bostońskich salonach. To jest rzeczywistość. Toczy się cały czas, tu i teraz, nawet kiedy rozmawiamy; rośnie, staje się coraz groźniejsza, wnika coraz głębiej, z dnia na dzień jest bardziej niebezpieczna i z własnej woli nie pójdzie do kąta. A u jej podstaw leży religia, bo czy się to komu podoba, czy nie, religia jest fenomenalną bronią, nawet dzisiaj. Trafia do ludzkich serc i sprawia, że stać ich na rzeczy niewyobrażalne.

– Na przykład mordując aresztantów w łóżkach szpitalnych?

– Dwadzieścia lat temu komunizm rozszerzał się jak nowotwór. – De Angelis milczeniem pominął jego uwagę. – W jaki sposób wygraliśmy zimną wojnę, jak sądzisz? Kto twoim zdaniem zniszczył tego kolosa? Uważasz, że to kontrwywiad, a może Gwiezdne wojny Ronalda Reagana? Obezwładniająca niekompetencja rządu radzieckiego? Częściowo. Ale wiesz, dlaczego tak naprawdę do tego doszło? Papież. Polski papież, który wyciągnął rękę, połączył się duchowo ze swoimi wiernymi, i sprawił, że te mury obalono gołymi rękami. To samo zrobił Chomeini: wygłaszając przemówienie z Paryża, z wygnania, rozpalił słowami ducha w wygłodniałych masach tysiące kilometrów od Francji, zainspirował ludzi i ośmielił do usunięcia szacha. Cóż, popełniliśmy błąd, pozwalając na to... A spójrz na dzisiejszą sytuację. Teraz jest Bin Laden. Używa tej samej broni... – przerwał. Widać było, że się nad czymś głęboko zastanawia, potem spojrzał na Reilly’ego twardo: – Właściwe słowa potrafią przenosić góry. Albo je wysadzać. A religia, bardziej niż cokolwiek w dzisiejszym arsenale, jest bardzo skuteczną bronią, i nie możemy pozwolić sobie na to, żeby ktoś nas rozbroił. Nasz sposób życia, wszystko, o co walczyłeś od dnia, kiedy wstąpiłeś w szeregi FBI, od tego zależy... Wszystko. Zadam ci więc bardzo proste pytanie: jak to kiedyś jasno powiedział nasz prezydent, jesteś z nami... czy

przeciwko nam?

Reilly poczuł ucisk w piersi i krew uderzyła mu do twarzy. Naprędce wzniesiony mur, którym starał się odgrodzić od własnych wątpliwości, zburzyło uczestnictwo wielebnego w tej sprawie. To była nieoczekiwana puenta wszystkiego, co powiedział mu wcześniej Vance.

– Więc to wszystko prawda? – spytał, jakby wychodząc z gęstej mgły.

– Czy to ważne? – szybko, zwięźle i sucho spytał duchowny, zamiast odpowiedzieć.

Reilly skinął głową, jakby był nieobecny. Niczego już nie był pewien.

De Angelis rozejrzał się wokół siebie, badając gołą ziemię wzrokiem:

– Rozumiem, że już go nie masz?

– Czego?

– Astrolabium.

Reilly'ego zdumiało to pytanie.

– Skąd wiesz...? – spytał, ale natychmiast zrozumiał. To oczywiste, on i Tessa byli przez cały czas podsłuchiwani. Ucichł i poczuł się zrezygnowany; potem pokręcił głową i powiedział cicho:

– Zabrali je ze sobą.

– A gdzie oni są? – spytał De Angelis. Reilly niechętnie opowiedział mu przebieg poprzedniego wieczora.

Duchowny siedział teraz z zatroskaną miną.

– Tak dużej przewagi nad nami nie mają, a wiemy mniej więcej, dokąd jadą. Znajdziemy ich.

– Odwrócił się, podniósł rękę do góry i okręcił parę razy dłonią, dając znak pilotowi, żeby odpalał. Spojrzał na Reilly'ego: – Jedziemy.

Reilly nie poruszył się i przecząco pokręcił głową:

– Nie. I wiesz co? Jeżeli wszystko jest jednym wielkim kłamstwem... to mam nadzieję, że wszystkich was pochłonie morze.

De Angelis patrzył na niego, nie rozumiejąc. Reilly wytrzymał przez chwilę jego spojrzenie.

– Możesz iść nawet do diabła – powiedział bez emocji. – Ty i cała reszta twoich kumpli z CIA. Ja w to nie wchodzę. – Po tych słowach odwrócił się i ruszył w drogę.

– Jesteś nam potrzebny! – krzyknął za nim duchowny. – Pomożesz nam ich znaleźć.

– Sami ich znajdźcie. Ja pasuję. – Reilly'emu nie chciało się nawet obejrzeć. Szedł prosto przed siebie.

– A co z Tessą? – usłyszał za sobą głos księdza, który ledwo się przebijał przez potężniejące

wycie silników. – Zostawisz ją z nim? Może się jeszcze przydać. Jeżeli ktoś potrafi do niej dotrzeć, to tylko ty.

Reilly odwrócił się i bez zastanowienia zrobił kilka kroków z powrotem. Wszechwiedzące spojrzenie De Angelisa nie pozostawiało wątpliwości, że duchowny wie, co zaszło między Reillym a Tessą. Wzruszył ramionami i okręcił się na pięcie.

– Już nie.

– Co masz zamiar robić? Pójść piechotą do Nowego Jorku? – De Angelis szukał argumentów.

Reilly szedł dalej. Nie odpowiedział na pytanie.

– Reilly! – zawołał duchowny jeszcze raz. Był wściekły na niego i trochę sfrustrowany.

Reilly przystanął na moment bezradnie, a potem postanowił się odwrócić.

De Angelis zrobił kilka kroków naprzód i zrównał się z nim. Jego usta wygięły się w uśmiech, ale oczy były zimne i puste.

– Jeżeli ja nie zdołam cię przekonać, żebyś z nami współpracował... to może znajdziemy kogoś, komu to się uda.

## Rozdział 71

Watykan czy CIA, nieważne, kto organizował tę podróż, ale robota była wykonana precyzyjnie. Helikopter poleciał do bazy wojskowej niedaleko Karacasu, nieco na północ od miejsca, w którym znaleziono Reilly'ego. Kiedy już tam dotarli, on i De Angelis weszli na pokład czekającego na pasie startowym G-IV, który przyleciał po nich z Dalamanu. Po krótkiej podróży na zachód byli we Włoszech. W Rzymie ominęli kontrolerów granicznych i celnych i w niecałe trzy godziny od momentu, kiedy duchowny wyłonił się z tumanu kurzu w górach Turcji pędzili przez Wieczne Miasto, wygodnie siedząc w klimatyzowanym lexusie z przyciemnianymi szybami.

De Angelis bardzo się spieszył. Reilly marzył o kąpielu i chciał się wreszcie jakoś przebrać, ale musiał się zadowolić myciem na pokładzie odrzutowca, a piankę do nurkowania zamienił na spodnie moro i szary podkoszulek wydane mu pospiesznie w centrum kwatermistrzowskim tureckiej bazy wojskowej. Nie narzekał. Po piance mundur połowy przyniósł mu prawdziwą ulgę, a oprócz tego jemu też zależało na czasie. Niepokoił się o Tessę. Chciał ją odnaleźć, chociaż nie zagłębiał się na razie w swoje motywy. Zastanawiał się również, czy dobrze zrobił, przyjmując propozycję De Angelisa; nie był pewien, co go czeka tam, gdzie dotrą. Ponadto im szybciej się stąd wydostaną, tym szybciej wrócą do Turcji. Teraz jednak było już za późno, żeby się wycofać. De Angelis dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że to nie była jaka wizyta.

Już z pokładu samolotu widział bazylikę świętego Piotra, a teraz, kiedy lexus przeciskał się między samochodami po zatłoczonych ulicach Rzymu, ukazała mu się w całej okazałości. Potężniała z każdą minutą, jej kolosalna kopuła wznosiła się majestatycznie ku niebu, górując nad zatłoczonym miastem. Chociaż widok tej przeświecanej budowli sakralnej wzbudza respekt nawet w najbardziej zatwardziałyach antyklerykałach, Reilly, uważając, że został zdradzony, czuł jedynie gniew i rozżalenie. Nie wiedział zbyt wiele o największym kościele świata: mieściła się tam Kaplica Sykstyńska, bazylika została wzniesiona w miejscu, w którym spoczęły doczesne szczątki świętego Piotra, założyciela Kościoła, ukrzyżowanego głową w dół za wiarę. Patrzył na budowlę i myślał o tych wszystkich wyrafinowanych dziełach sztuki i architektury, których inspiracją była wiara – obrazach, posągach i miejscach kultu, tworzonych na całym świecie przez wyznawców Chrystusa. Myślał o niezliczonej rzeszy dzieci, które co wieczór odmawiają pacierz;

o milionach wiernych, którzy co niedzielę uczestniczą w mszy; o chorych, którzy proszą o wyzdrowienie, i o pogrążonych w żałobie, którzy modlą się za dusze bliskich. Czy ich wszystkich również oszukano? Czy to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem? A co najgorsze, czy Watykan od początku znał prawdę?

Lexus dojechał Via de Porta Angelica do bramy świętej Anny; wrota z kutego żelaza otworzyli im natychmiast żołnierze Gwardii Szwajcarskiej w barwnych mundurach. Wystarczyło przelotne skinienie głowy wielebnego, by strażnik płynnym ruchem dłoni przepuścił lexusa przez bramę. Auto wjechało do najmniejszego państwa w Europie. Reilly, który właśnie zaczął wątpić, miał uczestniczyć w najważniejszych sprawach duchowych świata.

Samochód zatrzymał się przed portykiem kamiennego budynku i De Angelis szybko wysiadł. Reilly ruszył za nim po niskich schodach i już po chwili znaleźli się w ogromnym westybulu, w którym panowała pełna dostojeństwa cisza. Szli szybko kamiennymi korytarzami, przechodzili przez pogrążone w mroku wysokie sale, a potem w górę szeroką marmurową klatkę schodową. W końcu zatrzymali się przed bogato rzeźbionymi drewnianymi drzwiami. Wielebny zdjął modne przeciwsłoneczne okulary i założył na nos swoje stare oprawki z zabrudzonymi szklami. Reilly obserwował, jak ze swadą doświadczonego aktora, który za chwilę ma wejść na scenę, zmienia twarz: z bezwzględnego, siejącego śmierć tajnego agenta przedzierzgnął się w łagodnego i pełnego pokory księdza, tego, który pojawił się pewnego dnia w siedzibie FBI w Nowym Jorku. Ku zdziwieniu Reilly'ego duchowny nabrał powietrza w płuca, zanim energicznie zastukał do drzwi. Niemal natychmiast usłyszeli cichy głos:

– Avanti.

De Angelis otworzył drzwi i weszli razem do środka. Na ścianach przestronnej sali od podłogi do sufitu wisiały półki, z których dosłownie wylewały się książki. Na ułożonym w jodełkę dębowym parkiecie nie było dywanu. W narożniku, tuż przy kamiennym kominku, stała imponująca skórzana sofa, a po obu jej stronach dwa wysokie fotele. Na wprost potężnych starych drzwi balkonowych stało biurko, a za nim wyłożony miękką tapicerką fotel; przed biurkiem stały trzy inne wysokie fotele.

Właściciel tego gabinetu, krzepki i władczy mężczyzna o zmierzwionych siwych włosach, wstał zza biurka, by przywitać De Angelisa i jego towarzysza. Twarz miał śmiertelnie poważną.

De Angelis przedstawił Reilly'ego kardynałowi Brugnone i mężczyźni podali sobie dłonie. Uścisk kardynała był zaskakująco silny. Reilly czuł, że stary człowiek przygląda mu się

badawczo. Dosłownie taksował go spojrzeniem od stóp do głów. Po chwili, nie spuszczać oczu z gościa, Brugnone wymienił z wielebnym kilka słów po włosku. Reilly, oczywiście, nie zrozumiał.

– Proszę usiąść, agencie Reilly – zwrócił się do niego gospodarz, wskazując gestem sofę. – Mam nadzieję, że przyjmie pan moje podziękowania za to wszystko, co pan dotychczas zrobił i co pan jeszcze zrobi w tej nieszczęsnej sprawie. Również za to, że zgodził się pan tu dzisiaj przyjechać.

Reilly usiadł, a De Angelis usadowił się w fotelu obok. Brugnone widać chciał dać im obu do zrozumienia, że nie jest w nastroju do towarzyskiej pogawędki, bo szybko przeszedł do rzeczy.

– Zebrałem nieco informacji na pański temat – Reilly spojrzał na De Angelisa, który nie odwrócił wzroku. – Powiedziano mi, że jest pan uczciwym człowiekiem, któremu można zaufać – potężny mężczyzna przerwał, a intensywne spojrzenie jego brązowych oczu nie schodziło z twarzy Reilly’ego.

– Chcę tylko usłyszeć prawdę – Reilly był bardzo zadowolony, że ominęła go wymiana uprzejmości.

Brugnone nachylił się w jego kierunku, olbrzymie kwadratowe dłonie miał przyciśnięte do tułowia.

– Z przykrością odpowiadam, że prawda jest dokładnie taka, jakiej się pan obawia. – Po krótkiej chwili oparł dłonie na poręczach fotela i wstał, po czym przeszedł ciężkimi krokami do wysokich balkonowych drzwi. Wyjrzał na zewnątrz, mrużąc oczy w promieniach ostrego słońca. – Dziewięciu ludzi... dziewięć diabłów. Gdy przyjechali do Jerozolimy i Baldwin dał im wszystko, czego chcieli, sądził, że są po jego stronie. Myślał, że przyjechali do Ziemi Świętej, by szerzyć słowo Boże – zaśmiał się. W innych okolicznościach można by to uznać za przejaw radości, lecz Reilly wiedział, że to śmiech sarkastyczny. Zniżył głos i powiedział niemal niedosłyszalnie: – Był głupi, że im uwierzył.

– Co znaleźli?

Brugnone nabrał powietrza w płuca z głębokim westchnieniem i obrócił się w stronę Reilly’ego:

– Dziennik. Bardzo szczegółowy, osobisty dziennik, coś w rodzaju ewangelii. Spisany przez cieśnię z Nazaretu imieniem Jezua. – Przerwał i wlepił w Reilly’ego przenikliwe spojrzenie, a potem dokończył: – Zapiski... człowieka.

– Tylko człowieka? – Reilly czuł, że brakuje mu tchu. Brugnone pokiwał ponuro głową, jego potężne ramiona nagle opadły, jakby nie mogły dłużej dźwigać ciężaru, który na nich spoczywał.

– Zgodnie ze spisana przez siebie własną ewangelią Jezua z Nazaretu, Jezus nie był synem Bożym.

Te słowa jak pociski odbijały się od wnętrza czaszki Reilly’ego, a potem przez chwilę, która wydawała mu się wiecznością, spadały jak ołowiane kule na samo dno jego duszy. Podniósł rękę, szybkim gestem ogarniając to, co ich otaczało:

– A to wszystko...?

– To wszystko – wykrzyknął Brugnone – to najlepsze, czego dokonał człowiek, zwykły, śmiertelny człowiek. Stworzono to z najbardziej szlachetnych pobudek. W to musi pan uwierzyć. Co by pan zrobił w tej sytuacji? Czego spodziewałby się pan teraz po nas? Przez niemal dwa tysiące lat kultywujemy te przekonania, tak ważne przecież dla ojców Kościoła; te kanony, w które my nieugięcie wierzymy. Wszystko, co mogło tej wierze zaszkodzić, było tłamszone. Nie było innego wyjścia, bo przecież nie mogliśmy opuścić wiernych ani w przeszłości, ani z pewnością nie możemy ich opuścić teraz. Dzisiaj ujawnienie prawdy byłoby jeszcze bardziej katastrofalne... – próbował znaleźć słowa, ale nie dokończył.

– Otumanianie na masową skalę? – podsumował Reilly.

– Ale czy tak jest rzeczywiście? Czymże jest w końcu wiara, jeśli nie zawierzeniem czemuś, czego nie trzeba udowadniać, krokiem w kierunku ideału? A dla wielu ideał ten był wart, by w niego wierzyć. Musimy w coś wierzyć. Wszyscy potrzebujemy wiary.

Wiara.

Reilly za wszelką cenę próbował ogarnąć myślą konsekwencje tego, co mówi kardynał Brugnone. Jemu samemu właśnie wiara, kiedy był jeszcze bardzo młody, pomogła pogodzić się z potworną stratą, śmiercią ojca. Wiara prowadziła go przez całe dorosłe życie. A teraz w samym sercu Kościoła katolickiego dowiaduje się, że to jedno wielkie oszustwo.

– Potrzeba nam również uczciwości – zaoponował gniewnie. – Potrzeba nam prawdy.

– Przede wszystkim jednak wiary potrzebuje człowiek, a teraz bardziej niż kiedykolwiek – upierał się Brugnone. – A to, co mamy, jest znacznie lepsze, niż życie bez wiary w ogóle.

– Wiara w zmartwychwstanie, które się nigdy nie dokonało? – odparował Reilly. – Wiara w niebo, które nie istnieje?

– Niech pan posłucha, agencie Reilly, wielu uczciwych i porządnym ludzi zmagano się z tym

pytaniem przez wieki i wszyscy doszli do tego samego wniosku: wiarę trzeba zachować. Alternatywa jest straszna, zbyt straszna, żeby ją w ogóle rozważać.

– Ale nie mówimy przecież o Jego słowach i Jego nauczaniu. Rozmawiamy tylko o Jego cudach i zmartwychwstaniu.

– Chrześcijaństwa nie zbudowano na podstawie kazań mądrego człowieka – Brugnone zmienił ton. – Zbudowano je na czymś o wiele potężniejszym: na słowach Syna Bożego. Zmartwychwstanie nie jest tylko cudem, lecz fundamentem Kościoła. Jeżeli je wiernym odbierzemy, Kościół runie. Niech pan sobie przypomni słowa świętego Pawła z Pierwszego Listu do Koryntian: „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara”.

– Ojcowie Kościoła przecież sami wybrali te słowa – w Reillym aż się gotowało. – W religii chodzi chyba o to, żeby wiara pomagała nam zrozumieć to, co robimy tu, na tym świecie, prawda? A jak możemy w ogóle przymierzać się do zrozumienia, jeżeli zaczynamy od fałszywych przesłanek? To kłamstwo ogarnia wszystkie aspekty naszego życia.

– Być może – Brugnone jeszcze raz ciężko westchnął i pokiwał głową – być może, gdyby to wszystko zaczęło się teraz, a nie dwa tysiące lat temu, sprawę dałoby się poprowadzić inaczej. Ale nie zaczyna się teraz, tylko już istnieje; to wszystko przekazali nam w spadku przodkowie i musimy chronić nasze dziedzictwo; jeśli postąpimy inaczej, będziemy zniszczeni. Obawiam się, że byłby to cios za ciężki dla tego kruchego świata. – Nie patrzył teraz na Reilly’ego, ale gdzieś w dal, bardzo daleko, na coś, co sprawiało mu niemal fizyczny ból. – Byliśmy na pozycjach obronnych od momentu, kiedy to wszystko się zaczęło. Ale obrona staje się coraz trudniejsza. Współczesna nauka i filozofia nie zachęcają nikogo do wiary. A to częściowo także nasza wina. Od czasów, kiedy na początku istnienia Kościoła Konstantyn i jego polityczne eszelony zawłaszczyli ideę, było zdecydowanie za dużo schizm i dysput religijnych. Zbyt dużo doktrynalnych rozważań, zbyt wielu degeneratów i oszustów, zbyt wiele chciwości. Pierwotne przesłanie Jezusa zostało przeinaczone przez egoistów i bigotów, jego korzenie podcięły miałkie wewnętrzne spory, podchody i rywalizacje, działania zatwardziały integrystów. Wszyscy wciąż popełniamy błędy, a to nie pomaga sprawie. Unikamy prawdziwych problemów, z którymi borykają się ludzie tu i teraz. Tolerujemy pożałowania godne nadużycia, straszliwe akty przemocy skierowane przeciwko niewinnym, a nawet sami konspirujemy, by dalej milczeć. Powoli godzimy się z rzeczywistością, która nas otacza, a teraz, kiedy jesteśmy szczególnie



narażeni na ciosy, znów nam się zagraża, tak jak dziewięćset lat temu. Tylko teraz pomnik, który wzniesliśmy, jest większy, niż ktokolwiek mógł marzyć w przeszłości, i gdyby upadł, oznaczałoby to po prostu katastrofę.

– Kto wie, gdybyśmy dzisiaj zakładali Kościół, mając w ręce prawdziwą historię Jezui z Nazaretu – mówił Brugnone – może naprawdę udałoby się zrobić to inaczej. Może uniknęlibyśmy tych dogmatów wiary i zrobili to zwyczajnie, po ludzku i prosto. Niech pan spojrzy na islam. Im się to udało, niespełna siedemset lat po ukrzyżowaniu. Zjawił się człowiek i powiedział: „Nie ma Boga oprócz Boga, a ja jestem jego prorokiem.” Nie mesjaszem, nie synem Boga, nie Ojcem ani Duchem świętym, nie Trójcą Świętą, którą tak trudno pojąć, tylko wysłannikiem Boga. I to było to. To wystarczyło. Prostota tego przekazu jest porażająca. Jego zwolennicy zagarnęli ludzkie dusze w niespełna sto lat. I ubolewam nad tym, że teraz, w dzisiejszych czasach, jest to najszybciej rozprzestrzeniająca się religia na świecie... Choć z kolei wolniej niż nasza adaptuje się do rzeczywistości i potrzeb współczesnych ludzi, co z pewnością w przyszłości będzie źródłem nie lada problemów. My sami jednak działaliśmy bardzo wolno, byliśmy ślamazarni i arogancy... A teraz za to płacimy, teraz, kiedy wierni najbardziej nas potrzebują.

Bo nas potrzebują – kontynuował. – Potrzebują nas. Potrzebują czegoś. Niech pan się tylko rozejrzy wokół siebie, a zobaczy pan lęk, gniew, chciwość, korupcję, która zaraża; świat psuje się od głowy, jak ryba. Niech pan się przyjrzy moralnej próżni, głodowi duchowości i brakowi wartości. Świat jest z dnia na dzień bardziej zdesperowany, cyniczny i niesie coraz więcej rozczarowania. Ludzie popadają w apatię, nie dbają o innych, są zajęci wyłącznie sobą. Kradniemy i zabijamy na niewyobrażalną skalę. Skandale w wielkich międzynarodowych korporacjach topią w czarnych dziurach miliardy dolarów. Bez powodu wypowiedzi wojny, miliony ludzi giną w aktach ludobójstwa. Dzięki nauce ludzie wprawdzie przestali umierać na choroby zakaźne, ale ta sama nauka zdewastowała naszą planetę i przemieniła nas w stworzenia niecierpliwe, agresywne i samotne. Ci, którym szczęście dopisze, żyją może dłużej, ale czy to życie będzie pełne spokoju i spełnione?

Setki lat temu nie mieliśmy o niczym pojęcia. Ludzie nie potrafili czytać ani pisać. Dzisiaj, w tak zwanym wieku współczesnego oświecenia, jakież jest usprawiedliwienie dla tak potwornego i karygodnego zachowania? Intelktualnie i umysłowo być może poszliśmy naprzód, ale boję się, że dusza człowieka została gdzieś z tyłu, powiedziałbym nawet śmielej, że jest

opóźniona w rozwoju. Człowiek raz po raz daje dowody na to, że w sercu jest niczym więcej, tylko bestią, a kiedy Kościół powiada, że będziemy wszyscy odpowiadać przed Bogiem za to, co zrobiliśmy, ignorujemy to i postępujemy z okrucieństwem. Niech pan sobie tylko wyobrazi, jak wyglądałby świat bez Kościoła. Oczywiście jest jednak i to, że przestajemy inspirować wiernych. Już nie służymy ludziom, Kościół nie jest już sługą. Co gorsza, staje się pretekstem do prowadzenia wojen i do rozlewu krwi. Idziemy drogą prosto w kierunku strasznego kryzysu duchowego, agencie Reilly. To odkrycie nie mogło nadejść w gorszych czasach.

Brugnone zamilkł i spojrzał przez stół na Reilly'ego.

– Może w takim razie jest to nieuniknione – powiedział Reilly zrezygnowanym głosem. – A może ta historia po prostu już się opowiedziała do końca.

– Być może Kościół umiera powolną śmiercią – zgodził się Brugnone. – W końcu wszystkie religie w pewnym momencie marnieją, więdną i wreszcie umierają, nasza i tak przetrwała dłużej niż inne. Gdyby jednak nagle ogłosić światu coś takiego... Mimo swoich niedoskonałości Kościół wciąż odgrywa w życiu wielu ludzi bardzo istotną rolę. Miliony wiernych opierają się w życiu na tym, w co wierzą, i dzięki temu jakoś udaje im się przeżyć kolejny dzień. Nawet tym, którzy nie są żarliwymi wyznawcami, religia przynosi pocieszenie, gdy spotyka ich coś złego. A w końcu wiara daje nam wszystkim coś, co jest podstawą egzystencji: pomaga przewyciężyć pierwotny lęk przed śmiercią i strach przed tym, co się stanie po śmierci. Bez wiary w zmartwychwstanie Chrystusa miliony dusz po prostu odpływałyby gdzieś w przestworza. Niech pan się nad tym dobrze zastanowi, agencie Reilly, bo jeśli dopuścimy do tego, by ta wiadomość się rozpowszechniła, świat się załamie i nie pozostanie na nim nic oprócz nieszczęścia i rozczarowania, jakiego nigdy dotąd nie odnotowano w historii.

W ogromnej sali zapanowało ciężkie milczenie. Reilly niemal fizycznie czuł jego ciężar na piersiach. Nie było dokąd uciec przed niespokojnymi myślami. Przypomniawszy sobie, jak dla niego zaczęła się cała ta podróż. Przypomniawszy sobie ten dzień, w którym stał na schodach Metropolitan Museum razem z Aparo, a czterech konnych dokonało wcześniej potwornej masakry. A teraz zastanawiał się, jak to możliwe, że cała historia kończy się tutaj, w samym centrum chrześcijaństwa, bulwersującą rozmową o religii, której wolałby uniknąć.

– Czy od dawna eminencja wie o tym wszystkim? – zapytał w końcu kardynała.

– Ja sam?

– Tak.

– Od czasu, kiedy objąłem obecne stanowisko. Czyli od trzydziestu lat.

Reilly pokiwał głową, jakby utwierdzając się w jakimś przypuszczeniu. Okres trzydziestu lat wydawał mu się strasznie długi; jak można było pracować z takim bagażem wątpliwości, które teraz obciążały i jego barki?

– Ale udało się jego eminencji jakoś dojść z tym do ładu?

– Dojść do ładu?

– Zaakceptować to – wyjaśnił Reilly.

Brugnone przez chwilę zastanowił się nad tym głęboko; zasmucił się..

– Nigdy tego nie zaakceptuję w takim sensie, o jakim, jak sądzę, pan mówi. Ale nauczyłem się z tym żyć. To jedyne, co potrafię.

– Kto jeszcze wie? – Reilly usłyszał w swoim głosie pogardę; wiedział, że Brugnone również ją usłyszał.

– Tylko garstka.

Reilly zastanawiał się, co to ma znaczyć. A papież? Czy i on wie? Czuł, że naprawdę chce poznać odpowiedź. Nie wyobrażał sobie, żeby papież mógł nie wiedzieć. Opamiętał się jednak i nie zadał tego pytania. Wystarczyło mu ciosów na dzisiaj. Inne pytanie za to domagało się odpowiedzi. Przychodził mu w sukurs instynkt detektywa, wyprowadzając jego umysł z oblężenia.

– Skąd wiadomo, że dowody są prawdziwe?

Twarzy Brugnone nagle pojaśniała, a przez jego usta przemknął delikatny uśmiezek. Wydawało się, że pełna nadziei obrona Reilly’ego dodaje mu sił. Ale odezwał się tonem, który szybko zniweczył wszelką nadzieję:

– Papież wysłał swoich najznamienitszych ekspertów do Jerozolimy, kiedy templariusze dokonali odkrycia. To oni potwierdzili, że zapiski są autentyczne.

– Ale to było przecież prawie tysiąc lat temu – Reilly nie dawał za wygraną. – Przecież ktoś mógł ich oszukać. A jeżeli to wszystko zostało sfalszowane? Z tego, co słyszałem, templariusze byli sprytni, mogli spreparować takie dokumenty. Dlaczego więc eminencja jest gotów przyjąć to za pewnik, nie widząc tych zapisków na oczy? – Gdy to powiedział, uświadomił sobie implikacje wynikające z takiego stanowiska i słowa same wyleciały mu z ust: – Czy to oznacza, że eminencja zawsze wątpił w opowieści ewangeliczne?

Brugnone postanowił uśmiechem podtrzymać na duchu skonsternowanego Reilly’ego.

– Niektórzy wierzą, że opowieści ewangeliczne trzeba rozumieć wyłącznie metaforycznie, że po to, by naprawdę zrozumieć ideę chrześcijaństwa, należy wyciągać z nich samą esencję nowiny, jej fundament. Ale większość wiernych, chcąc mieć pewność i gdzieś się duchowo zakotwiczyć, traktuje każde słowo zawarte w Piśmie świętym jak prawdę ewangeliczną. Ja chyba jestem gdzieś pośrodku. Może przekraczamy cienką niewidoczną granicę: gdzieś między puszczaniem wodzy wyobraźni i otwarciem na cuda obecne w tych historiach a racjonalizacją, która każe powątpiewać w ich prawdziwość. Jeżeli to, co znaleźli templariusze, rzeczywiście zostało sfalszowane, to z pewnością moglibyśmy poświęcać więcej czasu działaniom, które inspirują duchowo, ale dopóki nie znajdziemy tego, co wieźli na tym statku... – Spojrzał na Reilly'ego twardo: – Pomoże nam pan?

Reilly przez chwilę milczał. Przyglądał się bacznie pobrużdżonej twarzy siedzącego przed nim mężczyzny. Czuł, że kardynał mówi uczciwie, ale co do motywów De Angelisa nie miał żadnych złudzeń: wiedział, że pomoc Kościołowi będzie z pewnością oznaczała współpracę z wielebny, i ta perspektywa wcale mu się nie podobała. Spojrzał na De Angelisa. Nic, co usłyszał, nie odbudowało jego nadwątlonego zaufania ani nie zmniejszyło pogardy dla jego metod. Wiedział, że będzie musiał prędzej czy później coś z tym zrobić i spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Były jednak inne, pilniejsze sprawy. Gdzieś tam sama z Vance'em była Tessa, a groźba odkrycia, które mogło zniszczyć istniejący porządek rzeczy, czaiła się nad głowami milionów niczego niepodważających ludzi.

– Tak, pomogę – powiedział po prostu, patrząc w oczy kardynałowi Brugnone.

## Rozdział 72

Lekki, południowo-wschodni wiatr muskał powierzchnię wody wokół „Savarony”, unosząc w powietrze delikatną, słoną mgiełkę. Tessa czuła ją na policzkach i na wargach, stojąc na rufie przerobionego trawlera. Uwielbiała rześkie poranki na morzu oraz szczęście i spokój, które odczuwała, oglądając zachód słońca. Najtrudniej było przetrwać godziny między jednym a drugim.

Mieli szczęście – dość szybko udało im się wypożyczyć „Savaronę”. Od Wysp Karaibskich do wybrzeży Chin popyt na jednostki pływające przystosowane do eksploracji dna morza w ostatnich latach mocno się zwiększył, ograniczając dostępność jednostek. Wzrosły w związku z tym ceny za wynajem. Oprócz biologów, marynistów, oceanografów, przedsiębiorców poszukujących ropy naftowej i filmowców kręcących dokumenty, którzy zawsze bywali klientami takich jednostek, ceny podbiły teraz dwie nowe grupy użytkowników: nurkowie szukający przygody, wciąż rosące zastępy ludzi, którzy skłonni byli płacić dziesiątki tysięcy dolarów za szansę bliskiego spotkania z „Titanikiem” albo z hydrotermalnymi uskokami dwa tysiące metrów pod powierzchnią oceanu u wybrzeży Azorów, oraz łowcy skarbów lub też – jak woleli się nazywać – „archeolodzy komercyjni”.

Główną rolę w namierzeniu statku badawczego odegrał Internet. Kilka telefonów, jeden przelot samolotem i Vance z Tessą byli w drodze do Pireusu, portu ateńskiego, w którym „Savarona” była zacumowana. Kapitan George Rassoulis, wysoki i przystojny grecki łowca przygód, którego opalenizna wydawała się sięgać aż do kości, początkowo nie chciał przystać na propozycję Vance’a, ponieważ nie pasowała mu do grafiku. Już rozpoczął przygotowania do wzięcia na pokład niewielkiej grupy historyków i filmowców, którzy mieli podpłynąć na północne wody Morza Egejskiego w poszukiwaniu zaginionej floty perskich galer z trzema rzędami wiosel po każdej stronie. Do zaplanowanej wcześniej wyprawy pozostały mu zaledwie trzy tygodnie i uznał to za czas zbyt krótki, by mógł przyjąć zlecenie Vance’a. Z historykami i filmowcami wybierał się w rejs na dwa miesiące, uważając ten okres i tak za niewystarczający, gdyż lokalizowanie starożytnych wraków było według niego porównywalne do prób znalezienia igły w stogu siana. Jednakże większości ekspedycji brakowało astrolabium, które miał Vance, licząc, że ograniczy poszukiwania wraku do obszaru dziesięciu mil morskich.

Vance opowiedział Rassoulisowi, że szukają statku krzyżowców, robiąc aluzję, że być może znajdą złoto i inne cenne przedmioty, które wywieziono z Ziemi Świętej po upadku Akki. Zarażony jego entuzjazmem i zaintrygowany kapitan zgodził się ich zabrać, dając wiarę zapewnieniom profesora, że starożytny instrument pozwoli im bardzo szybko ustalić położenie „Świątyni Sokoła”; zapewne ewentualne znalezienie wspomnianych przez Vance’a skarbów też wpłynęło na jego decyzję. Kapitan bez zastrzeżeń przystał na prośbę Vance’a o całkowitą dyskrecję. Był to zwykły wymóg łowców skarbów, owych archeologów komercyjnych, którzy niemal obsesyjnie unikali rozgłosu. Zważywszy, że wynegocjował sobie udział w podziale znalezionego skarbu, również w jego interesie leżało, żeby nikt nieproszony nie przyłączył się do wyprawy. Wyjaśnił Vance’owi, że będą w tym celu trałować w ustalonym obszarze poszukiwań, počawszy od jego zewnętrznych granic, nie dłużej niż kilka godzin, a potem odpłyną w inne miejsce, by markując poszukiwania gdzie indziej, odwrócić uwagę od miejsca, które ich interesuje. Vance stwierdził, że ta taktyka bardzo mu odpowiada.

Tessa odkrywała wszystko na nowo – przypomniała sobie, jak u wybrzeży Aleksandrii w Egipcie Clive Edmondson niezdarnie się do niej zalecał oraz że proces trałowania wymaga bardzo dużo cierpliwości; tego teraz nie miała w nadmiarze. Nie mogła się doczekać, kiedy odkryją tajemnicę spoczywającą pod tą łagodnie pofałdowaną powierzchnią wody, której delikatne kołysanie odczuwała, stąpając po pokładzie; intuicja jej podpowiadała, że są bardzo blisko. Dlatego długie chwile spędzane przy relingu wydawały jej się jeszcze bardziej nieznośne.

Godziny mijały, a ona pogrążona w myślach bezwiednie wlepiła oczy w dwie liny, które ciągnęły się za wysłużonym statkiem i znikwały pod spienionym kilwaterem. Na końcu jednej przymocowano sonar o niskiej częstotliwości, który mapował wszystko, co wystawało ponad płaszczyznę dna morskiego; druga ciągnęła magnetometr, działający na zasadzie rezonansu magnetycznego – ten wykrywał żelazo w ewentualnym wraku. W ciągu ostatnich kilku dni mieli sporo emocji. Ilekroć sonar coś wykrywał, posyłali na dno morza sterowanego z pokładu bezzałogowego robota o wdzięcznym imieniu Dori – na pamiątkę ryby z filmu Gdzie jest Nemo. Za każdym razem Tessa i Vance biegli do sterówki „Savarony” i przez kilka minut szybciej były im serca. Siedzieli ze wzrokiem utkwionym w monitorach, przyglądając się mglistym obrazom z kamery Dori; wrzucali piąty bieg wyobraźni tylko po to, by po jakimś czasie stwierdzić, że to, co odnalazł sonar, nie było tym, czego szukają – najpierw trafili na podwodną skałę wielkości wraku, a za drugim razem na zatopioną łódź rybacką z XX wieku.

Resztę czasu spędzali przy relingu, czekając. W miarę upływu dni myśli Tessy kierowały się ku ostatnim wydarzeniom w jej życiu. Łapała się na tym, że bez przerwy przeżywa raz jeszcze wszystko to, co ją przywiodło tu, sześćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Turcji na pokład statku poszukującego skarbów, z organizatorem zbrojnego napadu na muzeum, podczas którego zginęli ludzie. Przez pierwsze kilka dni chodziła jak struta z powodu nielojalności wobec Reilly'ego, którą było przyłączenie się do Vance'a. Czuła wyrzuty sumienia. Chwilami wpadała w panikę i musiała ciężko z sobą walczyć, by nie poddać się przemożnej chęci ucieczki jak najdalej od tego statku. Niepokój mijał w miarę upływu czasu. Gdy zastanawiała się nad swoją decyzją, starała się ją racjonalnie wytłumaczyć i przekonywała się, że postąpiła słusznie, a niepokojące myśli i wątpliwości wmiatała pod dywan. To było ważne nie tylko dla niej, chociaż jak powiedziała Reilly'emu, odkrycie tej miary z pewnością nie tylko pomoże jej w karierze zawodowej, ale zapewni bezpieczeństwo finansowe jej i Kim. Wierzyła gorąco, że to odkrycie zmieni także życie milionów innych ludzi w świecie, w którym Kim będzie musiała dorastać. Czy na lepsze? Wiedziała jednak, że w ostatecznym rozrachunku próba odpowiedzi byłaby bezsensowna. A gdy dokonają odkrycia, niczego nie trzeba będzie udowadniać. Nie potrafiła sobie tego racjonalnie wytłumaczyć, ale czuła, że musi postąpić właśnie w ten sposób.

Z czasem jakoś ułożyła się sama z sobą. Miewała jednak ciągle nawroty wyrzutów sumienia wobec Reilly'ego i nie potrafiła w żaden sposób z nimi się uporać. Dużo o nim myślała. Zastanawiała się, gdzie jest. Myślała o tym, że go zostawiła i wymknęła się chyłkiem, jak złodziej. Trudno było to racjonalnie wytłumaczyć. To, co zrobiła, było złe, bardzo złe; doskonale o tym wiedziała. Naraziła go na niebezpieczeństwo. Zostawiła go tam, na tym pustkowiu, wiedząc, że gdzieś w górach czai się snajper. Jak mogła postąpić tak nieodpowiedzialnie? Chciałaby wiedzieć, czy nic mu się nie stało, chciała się wytłumaczyć i przeprosić, spróbować mu wyjaśnić, dlaczego to zrobiła. I cierpła na myśl, że tego ciosu nie zdoła mu nigdy wynagrodzić. Wiedziała jednak również, że Vance miał rację. Reilly przekazałby ich zdobycz ludziom, którzy na zawsze ją pogrzebią, a na to nie mogła się zgodzić. Tak czy owak, zdawała sobie sprawę, że z ich związku już nic nie będzie. Jak na ironię – rozdzieliła ich sprawa, która ich ze sobą złączyła.

„Savarona” zrobiła zwrot i ruszyła na kolejny odcinek zaznaczonej na mapie siatki. Wzrok Tessy powędrował od lin za rufą w stronę horyzontu – na czystym niebie pojawiły się strzępki ciemnych chmur. Czuła, że coś ją ścisną w piersi. Jeszcze jedna rzecz nie dawała jej spokoju od

tej nocy, kiedy uciekła razem z Vance'em. To uczucie jej nie opuszczało, zjadało ją od środka i nie potrafiła się uwolnić z jego szponów. Z każdym zwrotem „Savarony” trałującej dno trudniej jej było ignorować – czy rzeczywiście postępowała słusznie? Czy wszystko dobrze przemyślała? Czy nie lepiej byłoby, gdyby pewne tajemnice nigdy nie ujrzały światła dziennego? Czy szlachetną rzeczą jest kruczata, którą sobie wymyśliła, czy też robiąc to, co robi, pomaga otworzyć puszkę Pandory i zaskoczyć świat, który niczego się nie spodziewa? Jej wątpliwości przerwało pojawienie się Vance'a. Wysoki, lekko przygarbiony wyszedł ze sterówki i stanął przy relingu. Wydawał się czymś zaniepokojony.

– Jeszcze nic? – spytała. Pokręcił głową.

– Po tym zwrocie będziemy musieli się stąd wynieść i na dzisiaj będzie koniec – powiedział. Wyrzał za reling, biorąc w płuca haust morskiego powietrza. – Ale ja się nie martwię. Jeszcze trzy dni i przeszukamy cały obszar. – Odwrócił się do niej i uśmiechnął. – Znajdziemy go. Gdzieś tu jest, niedaleko. Tylko nie daje się tak łatwo odkryć, to wszystko.

Odwrócili się nagle oboje, bo gdzieś daleko na horyzoncie usłyszeli warkot. Vance zmrużył oczy, omiatając wzrokiem morze i niebo. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył źródło dźwięku. Tessa podążyła za jego wzrokiem i ujrzała maleńką plamkę helikoptera omiatającego powierzchnię morza kilkanaście kilometrów dalej. Wyglądało na to, że trzyma kurs równoległy do ich statku. Nie spuszczała z niego wzroku; śmigłowiec po chwili zawrócił. Parę sekund później nie było po nim śladu.

– Szukają nas, prawda? – spytała niespokojnie Tessa.

– Tu za wiele nie mogą nam zrobić – Vance wzruszył ramionami. – Jesteśmy na wodach międzynarodowych. A oni – spojrzał na mostek, na którym mechanik wchodził do nawigacyjnej – też niespecjalnie liczą się z prawem, prawda? Wiesz, co w tym wszystkim jest śmieszne?

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedziała oschle.

– Załoga. Jest ich siedmiu, nas dwoje, to razem dziewiątka. – Zastanawiał się głośno. – Dziewiątka. Dokładnie tylu przyszło ich do Baldwina. Hughes de Payens i jego rycerze. To brzmi romantycznie, prawda?

Tessa spuściła wzrok, nie znajdując nic w najmniejszym nawet stopniu romantycznego w tym zbiegu okoliczności.

– Zastanawiam się, czy oni ani przez chwilę nie mieli wątpliwości – powiedziała.

Vance uniósł w górę brwi, przechylił głowę i przyjrzał jej się uważnie:



– Chyba nie masz zamiaru zrejterować?

– A ty? – Była świadoma drżenia we własnym głosie i wiedziała, że Vance zaczyna grać na tę nutę. – To, co tu robimy, to, co możemy znaleźć... Czy to cię w ogóle nie niepokoi?

– Niepokoi?

– Wiesz, co mam na myśli. Nigdy nie myślałeś o szoku i chaosie, które to odkrycie może spowodować?

– Człowiek to pożałowania godne stworzenie, Tesso. – Vance ze wzdrgnięciem wzruszył ramionami. – Zawsze walczy, żeby w coś lub w kogoś wierzyć. Nie sam, o nie, wszyscy muszą w to wierzyć, wszędzie, za każdą cenę. Tak ludzie żyli od niepamiętnych czasów... Czy się martwię? Cieszy mnie to. Cieszę się na myśl, że będę mógł uwolnić miliony ludzi z opresji. To, co robimy, to krok naprzód w ewolucji duchowej człowieka. To będzie początek nowej ery.

– Mówisz tak, jakby cię czekały transparenty, parady i sztuczne ognie, ale tak naprawdę jest zupełnie inaczej. I dobrze o tym wiesz. Ludzkość już to przećwiczyła. Od Sassanidów po Inków historia obfituje w cywilizacje, które po prostu się załamały, gdy zdyskredytowano ich bogów.

– To były cywilizacje zbudowane na kłamstwach – Vance obstawał przy swoim – ich fundamenty postawiono na ruchomych piaskach. Podobnie jest z naszą cywilizacją. Ale ty za bardzo się przejmujesz. Czasy się zmieniły. Dzisiejszy świat jest trochę bardziej skomplikowany niż wtedy.

– Pamiętaj, że upadały zawsze cywilizacje kulturowo najbardziej zaawansowane.

– Zostaw tym biednym duszyczkom trochę godności, Tesso. Nie twierdzą, że to nie będzie bolesne, ale... Jakoś sobie z tym poradzą.

– A jeżeli nie?

– No cóż, może i tak będzie – rozłożył ręce w udawanym geście bezsilności. Wiedziała doskonale, że nic i nikt nie zdoła go powstrzymać – był zdecydowany na wszystko.

Przez chwilę wytrzymała jego wzrok, a potem spuściła oczy. Spojrzała na horyzont. Jakby znikąd napływały strzępy czarnych chmur; w oddali widziała białą pianę kłębiącą się na ciemnej powierzchni morza.

– Dużo o tym rozmyślałem, Tesso – Vance oparł się o reling – i nie mam żadnych wątpliwości, że postępujemy słusznie. W głębi serca i ty przyznajesz mi rację.

Nie wątpiła, że dużo o tym rozmyślał. Wiedziała, że poświęcił temu zarówno życie zawodowe, jak i prywatne. Ale ostatnio rozważał tę kwestię z przedziwnego punktu widzenia, bo

przez pryzmat osobistej tragedii i śmierci najbliższych osób. Pozostawił bez odpowiedzi pytanie, czy myślał o tym, jak to odkrycie wpłynie dosłownie na każdego mieszkańca Ziemi. Czy on zdaje sobie sprawę, że zakwestionuje nie tylko wiarę w Chrystusa, ale w ogóle wszelką wiarę? Jak zareagują wrogowie Kościoła, jaki rozdźwięk powstanie między różnymi grupami ludzi? I co będzie, gdy miliony wierzących stracą fundament duchowy, na którym opierali całe swoje życie?

– Będą walczyć, wiesz o tym – powiedziała stanowczo, sama zdziwiona nadzieją, którą usłyszała w swoim głosie. – Wyciągną, Bóg wie skąd, ekspertów, żeby to zdyskredytować; użyją wszelkich metod, żeby udowodnić, że to szarlataneria, a wykorzystają do tego twoje życie osobiste i historię zawodową... – Nagle poczuła się trochę niezręcznie, że poruszyła ten temat.

– Wiem – zgodził się z całkowitym spokojem. – Dlatego bardzo bym chciał, żebyś ty zaprezentowała to światu.

– Ja...? – Tessa poczuła, jak krew odpływa jej z policzków. Wpatrywała się w niego, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

– Oczywiście. Przecież to w równej mierze twoje odkrycie, jak i moje, a powiedziałaś, że wezmą pod lupę moje całe życie, które ostatnio nie było... – przerwał, szukając najlepszego słowa – godne szacunku...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała, że potężne silniki statku zwalniają i jednostka robi zwrot pod wiatr. Zobaczyła jak przez mgłę, czując pod czaszką gonitwę myśli, że Rassoulis coś do nich krzyczy z mostka kapitańskiego. Vance jeszcze przez chwilę patrzył na nią badawczo, a potem odwrócił się w kierunku kapitana, który przyzywał ich, gestykułując gwałtownie, i mówił coś, co brzmiało chyba jak: „Znaleźliśmy”.

## Rozdział 73

Stojąc w milczeniu na mostku, Reilly przyglądał się De Angelisowi i kapitanowi „Karadeniz”, wysokiemu, barczystemu, potężnie zbudowanemu mężczyźnie. Karakas miał gęste czarne włosy i bujne wąsy. Pochylał się teraz nad ekranem radaru łodzi patrolowej i wybierał kolejny cel.

Celów było niemało. Ciemny ekran rozświetlały dziesiątki zielonych rozbłysków. Niektóre z nich miały przypisane alfanumeryczne kody oznaczające statki z nowoczesnymi transponderami. Te było łatwo zidentyfikować i odrzucić, posługując się bazą danych tureckiej straży przybrzeżnej, ale nie było ich za wiele. Znaczna większość rozbłysków na ekranie to anonimowe zielone punkciki oznaczające setki łodzi rybackich i żaglówek, których akurat tutaj, wzdłuż wybrzeża obleganego przez turystów, było ogromnie dużo. Nie będzie łatwo stwierdzić, która z jednostek wiezie na pokładzie Vance’a i Tessę, co do tego Reilly nie miał żadnych wątpliwości. Był to ich szósty dzień na morzu; zdaniem Reilly’ego trwało to stanowczo za długo. Szybko się zorientował, że nie jest człowiekiem morza, choć od dnia, kiedy wyruszyli, wody były spokojne, a nocą przybijali do brzegu. Codziennie o świcie wyruszali z Marmaris i płynęli wzdłuż wybrzeża, od zatoki Hisaronu do obszaru na południe od Dwunastu Wysp. „Karadeniz”, łódź patrolowa klasy SAR-33, lśniąca bielą, miała namalowane ukośne czerwone pasy na dziobie, tuż obok słów Sahil Guvenlik oznaczających straż przybrzeżną, wypisanych grubymi literami. Była szybka jak błyskawica i stosunkowo wygodna. W ciągu jednego dnia przemierzała spory akwen. Inne łodzie miały bazy w Fethye i w Antalyi i sprawdzały obszary leżące dalej na wschód; do poszukiwań włączono również helikoptery Augusta H-109, które latając na małej wysokości, dokonywały oględzin powierzchni morza i wskazywały łodziom patrolowym obiecujące cele.

Koordinacja między tymi lądowymi, morskimi i powietrznymi poszukiwaniami była właściwie bez zarzutu – turecka straż przybrzeżna miała spore doświadczenie w patrolowaniu tych wód. Stosunki między Grecją a Turcją były zawsze mniej niż serdeczne, a o greckie wyspy Dodekanezu od dawna się spierano, bo przyciągały zarówno turystów, jak i rybaków. Oprócz tego wąski pasek morza oddzielający oba kraje upatrzyli sobie handlarze ludźmi, przewożący zdesperowanych imigrantów do Grecji, a potem dalej do Europy, Turcja bowiem wciąż jeszcze

nie należała do Unii Europejskiej. Musieli przejrzeć dość spory obszar, a większość jednostek pływających, które się tam znajdowały, stanowiły łodzie żaglowe, jachty i prywatne motorówki. Nikt na nich nie siedział przy radiu ani przy radarze; przesiewanie tych obiektów okazało się zajęciem żmudnym i niewdzięcznym.

Kiedy operator radaru pochylał się nad mapami morskimi, leżącymi obok ekranu, a operator radiostacji porównywał dane z tym, co otrzymał od załóg helikopterów, Reilly odszedł od ekranu i wyjrzał przez okno. Zaskoczył go widok chmur burzowych na południu. Ich czarną ścianę oddzielało od horyzontu cienkie pasmo jasnożółtego światła. Widok był naprawdę niesamowity.

Mógłby przysiąc, że niemal fizycznie wyczuwa bliskość Tessy. Gdzieś tam na morzu, irytująco blisko, wręcz w zasięgu ręki, ale nie można jej znaleźć. To nie dawało mu spokoju. Zastanawiał się, co teraz robi. Czy już znaleźli „Świątynię Sokoła”? Czy są w drodze do... Dokąd? Co zrobią z „tym”, kiedy już to znajdą? Jak obwieszczą światu o dokonanym odkryciu? Dużo myślał o tym, co jej powie, kiedy w końcu gdzieś ich dogonią na wodzie. Zdziwiający, ale gniew, który odczuwał, gdy go zostawiła, ulotnił się bez śladu. Tessa naprawdę miała swoje powody. Nie zgadzał się z nimi, ale ambicja była nieodłączną cechą jej osobowości i pozbawiona jej, nie byłaby tą samą Tessą.

Wyjrzał przez okno sterówki i to, co zobaczył za drugą burtą, bardzo go zaniepokoiło. Daleko na północy niebo również złowieszczo ciemniało. Morze poszarzało, a jego powierzchnia upodobniła się do marmuru. W oddali zobaczył białą bryzę na szczytach fal. Zauważył, że sternik i jego kolega stojący na mostku wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Reilly zgadywał, że to pierwszy oficer i że wskazuje ruchem głowy to, co widzi. Wyglądało na to, że łódź patrolowa znalazła się w potrzasku – między dwoma frontami burzowymi. Te fronty zbliżały się do nich w jednakowym tempie z obu stron. Raz jeszcze Reilly spojrzął na zaniepokojonego sternika. Pierwszy oficer podszedł do Karakasa i widać było, że omawia z nim sytuację.

Kapitan rzucił spojrzenie na radar pogodowy i barometr, potem powiedział coś do oficera. De Angelis przysłuchiwał się temu, co mówią, i tłumaczył Reilly’emu:

– Chyba będziemy musieli się dzisiaj związać prędzej, niż planowaliśmy. Mamy nie jeden, ale dwa paskudne fronty burzowe; oba szybko zbliżają się w naszym kierunku. – Wielebny spojrzął niepewnie na Reilly’ego, a potem próbował się uśmiechnąć. – Skąd my to znamy?

Reilly pomyślał to samo, jeszcze zanim De Angelis o tym wspomniał. Sytuacja była rzeczywiście bardzo podobna do tej, którą opisywał Aimard w swoim liście. Zauważył, że

Plunkett, który wyszedł na pokład na papierosa, z niepokojem przygląda się nadchodzącemu sztormowi. Odwrócił się w kierunku sterówki i zobaczył, że dwóch oficerów, których wcześniej obserwował, wpatruje się w skupieniu w przyrządy i monitory. Ten widok i ich częste spojrzenia w kierunku nadchodzącej ściany czerni na niebie przekonały Reilly'ego, że niepokoją się tym nagłym załamaniem pogody. Wtedy właśnie operator radaru zawołał coś do kapitana i powiedział parę słów po turecku. Karakas podszedł do konsoli, a za nim podążył De Angelis. Reilly oderwał wzrok od sztormu i również dołączył do grupy.

Zgodnie z tym, co pobieżnie tłumaczył kapitan, operator radaru pokazuje im na mapie obszary, na których już byli. Na tej samej mapie zaznaczył ruchy kilku jednostek, które śledzą. Szczególnie interesujący wydał mu się jeden ze statków, który bardzo dziwacznie nawigował. Spędzał sporo czasu, pływając tam i z powrotem po bardzo wąskim korytarzu morskim. Samo w sobie nie było to nic nadzwyczajnego. To przecież mogła być łódź rybacka traflująca ulubiony przez szypra sektor morza. Szereg innych rozbłysków zachowywało się dokładnie w ten sam sposób. Operator radaru zauważył jednak, że ten statek, choć dotychczas spędzał kilka godzin, żeglując tam i z powrotem po pewnym sektorze, a następnie odpływał gdzie indziej, od dwóch godzin nie rusza się z miejsca. Ponadto z czterech statków znajdujących się w tym sektorze trzy się wycofywały, najprawdopodobniej z powodu nadchodzącego sztormu. Ten czwarty, o którym mówił, ani myśli wracać.

Reilly pochylił się, żeby lepiej widzieć. Zobaczył, że trzy inne jednostki na ekranie rzeczywiście zmieniły kurs. Dwie z nich płynęły w kierunku wybrzeża Turcji, a trzecia w kierunku greckiej wyspy Rodos.

– To oni – z chłodną pewnością powiedział De Angelis, kiedy przekazywano mu tę informację, i zmarszczył czoło. Plunkett wszedł właśnie do środka. – Jeżeli nie ruszają się z miejsca, może to oznaczać, że znaleźli, czego szukali. – Zwrócił się do Karakasa z kamiennym wyrazem twarzy. – Jak daleko od nich jesteśmy?

– Około czterdziestu mil morskich – Karakasowi, jak przystało na zawodowego marynarza, wystarczył rzut oka na ekran. – Przy tym stanie morza to około dwóch do dwóch i pół godziny żeglowania. Ale pogoda z każdą chwilą się pogarsza. Być może będziemy zmuszeni zawrócić, zanim do nich dopłyniemy. Barometr szybko spada; na tych wodach jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

– Nic mnie to nie obchodzi – De Angelis nie miał czasu na dyskusje. – Niech pan wyśle

helikopter, żeby się lepiej przyjrżeli temu statkowi, i pływamy tam najszybciej, jak się da.

## Rozdział 74

Kamera szybowała w nieprzyjaznych, ciemnych wodach, mijała rozświetlone plejady planktonu, które błyskały na ekranie, a potem pośpiesznie odpływały ze snopów reflektorów.

Obrazy z bezzałogowej łodzi podwodnej otwierały się przed obserwującymi, którzy wstrzymywali oddech, stojąc w ciasnej przestrzeni sterówki „Savarony” z tyłu za mostkiem kapitańskim. Vance i Tessa stali za plecami Rassoulisa i dwóch techników siedzących przed kilkoma małymi monitorami. Po lewej stronie monitora widać było obrazy z Dori, mniejszy ekran GPS pokazywał aktualne położenie statku, próbującego ustać w miejscu w bardzo silnym prądzie morskim. Na mniejszym ekranie po prawej stronie widać było obraz komputerowy tego, co zeskanował sonar: wielkie koło z koncentrycznymi pasami błękitu, zieleni i żółci. Upstrzony kropkami kompas wskazywał ich położenie, dziób mieli ustawiony niemal wprost na południe. Tym monitorom jednak poświęcano zaledwie przelotne spojrzenia. Wszyscy mieli oczy utkwione w środkowym monitorze, tym, na którym widać było obraz z kamery podwodnego robota. Przyglądali się w absolutnej ciszy krajobrazowi dna morskiego, które nagle się zbliżyło na ekranie; odczyt głębokości w narożniku szybko zbliżał się do stu siedemdziesięciu trzech metrów, którą wskazywał główny głębokościomierz statku.

Na stu sześćdziesięciu ośmiu metrach świetliste cekiny na ekranie zrobiły się grubsze. Przy sto siedemdziesiątym pierwszym kilka krabów uciekło pośpiesznie ze światła reflektorów, a chwilę potem, przy stu siedemdziesięciu trzech metrach, na ekranie pojawiło się nagle żółte światło. Robot wylądował.

Pierre Attal, korsykański inżynier odpowiedzialny za stan techniczny Dori, był całkowicie skoncentrowany na joysticku i miniaturowej klawiaturze, za pomocą których manipulował podwodnym urządzeniem. Sięgnął dłonią do małej kulki na krawędzi klawiatury, a kamera, posłuszna rozkazom pochodzącym z jego palców, obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, omiatając obiektywem dno morskie. Podobnie jak obrazy z sondy marsjańskiej i ten również pokazywał dziwaczny, nieznaną świat. Wokół robota rozciągała się olbrzymia łąka piasku, której obrzeże tonęło w egipskich ciemnościach.

Tessa czuła gęsią skórę na całym ciele. Nie mogła się doczekać. Była podekscytowana. To uczucie jej nie opuszczało, chociaż liczyła się z tym, że mogło to nie być miejsce, którego

szukają. Na razie nie byli stuprocentowo pewni. Sonar niskiej częstotliwości skanujący tylko widok z boku wskazywał bardzo przybliżoną pozycję celu; trzeba było wypuścić robota, który miał sonar wysokiej częstotliwości. On pozwoli ostatecznie określić położenie obiektu i zbadać go na dnie. Wiedziała, że dno morza pod „Savaroną” opada miejscami aż do głębokości dwustu pięćdziesięciu metrów i że jest pokryte rafami koralowymi, a wiele z nich jest tak wielkich, że łatwo je pomylić ze „Świątynią Sokoła”. Skanowanie sonarem nie wystarczy, by odróżnić wrak od tych naturalnych wybrzuszeń na dnie; do akcji trzeba włączyć magnetometry. Ich odczyty pomogą ustalić, czy w badanym obiekcie znajduje się żelazo. Chociaż urządzenie było doskonale wykalibrowane, Rassoulis i jego załoga obliczyli, że po siedmiuset latach pod wpływem korozji we wraku mogło zostać najwyżej pięćset kilogramów żelaza – to oznaczało wciąż duże ryzyko fałszywego alarmu, spowodowanego obecnością naturalnych kieszeni geomagnetycznych lub też, co prawdopodobniejsze, młodszych wraków.

Przyglądała się uważnie procedurze, której świadkiem była już dwukrotnie w ciągu ostatnich kilku dni. Minimalnymi ruchami joysticka Attal prowadził pewnie robota po dnie morskim. Osadzał go co minutę lub dwie, a wtedy wznosiły się tumany piasku. Naciskał wtedy przełącznik, który wysyłał sygnał do kamery, a ta obracała się o trzysta sześćdziesiąt stopni i omiatała obiektywem najbliższe otoczenie. Cały zespół przyglądał się uważnie, co wychwytuje kamera. Attal raz jeszcze dotykał urządzeń kontrolnych, dając impuls silniczkom robota i popychając go naprzód szlakiem podmorskiej kruczaty.

Attal kilka razy powtórzył te same ruchy, kiedy w narożniku ekranu pojawiła się nieregularna plama. Doprowadził robota w to miejsce i znów włączył skanowanie. Wyniki pokazały się na ekranie po paru sekundach i wtedy Tessa zobaczyła, że nieregularny kształt układa się w podłużną, różową formę, wyróżniającą się na tle błękitnego otoczenia.

Spojrzała na Vance’a; był spokojny i opanowany, pewny swego.

– Przyjrzyjmy się temu bliżej – powiedział Rassoulis do Attala, nie odrywając wzroku od monitora.

Robot znowu ruszył, omiatając dno morza jak podwodny poduszkowiec, a Attal pewnymi ruchami palców kierował go do celu. Kolejny obraz przybliżył i powiększył różowawy kształt, a jego linie się wyostrzyły.

– Co pan o tym myśli? – spytał Vance.

– Odczyt magnetometru jest trochę za wysoki, ale... – Rassoulis spojrzał na Vance’a i Tessę.



Wskazał palcem obraz na ekranie. – Widzicie, jaki jest z tej strony kwadratowy? A wyostrzony na drugim końcu? – Pełen nadziei uniósł brwi. – Na moje oko to nie jest skała.

W niewielkim pomieszczeniu sterówki zapanowała cisza – robot ruszył. Tessa nie odrywała oczu od ekranu. Kamera poszybowała nad kłębem wodorostów delikatnie unoszących się w tych opuszczonych rejonach. Kiedy robot osiadł na dnie i stanął pewnie na piasku, Tessa poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz szybciej. Na skraju światła z reflektora robota coś się wyłaniało. Brzegi obiektu były zbyt kanciaste, a łuki zbyt regularne jak na rafę koralową. Wyglądało to na wytwór ludzkich rąk.

Parę sekund później zobaczyli wyraźnie resztki zatopionego statku. Robot skręcił w tamtą stronę, ujawniając szkielet statku, drewniane żebra kadłuba podziurawione przez niewielkie małże, świdraki okrętowce.

Tessie się wydało, że coś widzi. Wskazała palcem narożnik ekranu.

– Co to jest? Czy można to przybliżyć?

Attal skierował robota w tamtą stronę. Tessa pochyliła się, żeby lepiej widzieć. W jaskrawym świetle reflektorów udało im się rozróżnić coś, co miało okrągły beczkowaty kształt. Wyglądało to jak skorodowany metal. Trudno było określić względną skalę wielkości przedmiotów na ekranie, przez chwilę więc się zastanawiała, czy to czasami nie pocisk armatni.

Ta myśl wzbudziła jej niepokój – wiedziała, że statek nawet z końca epoki wypraw krzyżowych nie miał na pokładzie armat. Kiedy jednak robot przybliżył się do przedmiotu, zakrzywiona metaliczna forma przybrała inny wygląd. Była bardziej płaska i szersza. Kątem oka Tessa zobaczyła, że Rassoulis nie może ukryć rozczarowania.

– To blacha stalowa – wzruszył ramionami. Wiedziała, co o tym myśli, zanim to powiedział. To nie jest „Świątynia Sokoła”.

Robot wykręcił w bok i pokazał płytę z drugiej strony. Attal skinął głową i powiedział ponurym głosem:

– Patrzcie tam. To farba – spojrzał w górę na Tessę i pokręcił głową zniechęcony. Kiedy robot zaczął grzebać wokół dziobu zatopionej jednostki, dla wszystkich stało się oczywiste, że znaleźli resztki znacznie młodszego statku.

– Połowa dziewiętnastego wieku – stwierdził Rassoulis. – Przykro mi. – Wyrżał za okno. Morze robiło się coraz bardziej niespokojne, a czarne ciężkie chmury sunęły z dwóch frontów burzowych z zatrważającą prędkością. – Lepiej przyskajmy stąd do portu. To nie wygląda dobrze.

– Zwrócił się do Attala. – Sprowadź Dori na pokład. Tu już skończyliśmy.

Tessa ciężko westchnęła. Już miała się odwrócić i wyjść ze sterówki, kiedy coś przykuło jej wzrok na samym skraju ekranu.

Poczuła nagły dreszcz, patrząc na to szeroko otwartymi oczami, a potem stuknęła palcem w lewą stronę monitora.

– Co to jest? O, tam, widzicie?

Rassoulis wyciągnął szyję, wpatrując się w skupieniu w ekran, podczas gdy Attal manewrował robotem w kierunku miejsca, które wskazała Tessa. Ściśnięta między dwoma mężczyznami przyglądała się bacznie ekranowi. Tuż na skraju obszaru, który robot oświetlał reflektorem, pojawiało się coraz wyraźniej jakieś wybrzuszenie. Wyglądało jak pochylony pień drzewa na niewielkim wzgórku. W miarę jak robot podchodził bliżej, widać było, że pień składał się z czegoś, co wyglądało na pierwszy rzut oka na reje; za niektórymi ciągnęły się sznury wodorostów, ale Tessa wyobrażała sobie, że to elementy takielunku. Niektóre były wygięte w łuk, niczym zebra jakiegoś antycznego stwora. Upiorne szczątki porośnięte namnażającymi się przez setki lat żyjątkami morskimi.

Serce jej biło jak szalone. To musiał być statek. Jeszcze jeden, znacznie starszy. Częściowo przykryty i zasłonięty młodszym wrakiem, który leżał tuż nad nim.

Robot podpływał bliżej, szybując nad wrakiem porośniętym koralowcem; jego światła omiały białym promieniem wystające części konstrukcji.

Tessa poczuła nagle, że w pomieszczeniu brakuje jej powietrza.

W niezwykłym świetle reflektora, ponad piaszczystą łachą dna, całkowicie niepomna upływu lat widniała drewniana głowa sokoła.

## Rozdział 75

Stojąc w rozkołysanej sterówce, Rassoulis, Vance i Tessa przez okno patrzyli z rosnącym niepokojem na zbliżające się fronty burzowe. Prędkość wiatru wzrosła do trzydziestu węzłów, a fale wokół „Savarony” zaczęły się pienić; wirująca woda upodobniła się do groźnie kłębiących się chmur.

Tuż przed mostkiem niewielki żurawik osadzał robota na głównym pokładzie. Stał tam Attal i dwóch członków załogi. Nie zważając na wiatr i fale, czekali, aż będą mogli go umocować.

Tessa odgarnęła z twarzy włosy potargane przez wiatr.

– Czy nie powinniśmy już wracać? – spytała Rassoulisa.

– To nonsens – wtrącił się Vance; powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Nie jest tak źle. Jestem pewien, że będziemy mogli posłać robota na dół, żeby się temu jeszcze raz przyjrzał. – Uśmiechnął się uspokajająco do Rassoulisa. – Prawda, panie kapitanie?

Tessa spojrzała na Greka, który przypatrywał się gniewnym, nierównym chmurom. Sunęły na nich ze wszystkich stron. Gdzieś na południu niebo przecięła błyskawica; nawet z tej odległości widzieli ścianę deszczu uderzającą w morze.

– Nie podoba mi się to. Z jednym frontem może byśmy sobie poradzili, ale dwie burze... Jeżeli zaraz wyruszymy, to się wymkniemy – odpowiedział na pytanie Vance’a. – Niech pan się nie martwi. Tutaj burze nie trwają długo, a nasze urządzenie lokalizacyjne GPS zapamięta położenie przedmiotu co do metra. Wrócimy, jak tylko się uspokoi, pewnie już jutro rano.

– Naprawdę wolałbym nie odpływać bez niczego – Vance’owi najwyraźniej się to nie spodobało, ale mówił spokojnie. – Na przykład ta głowa sokoła. Na pewno zdążymy ją podnieść, zanim stąd odpłyniemy, prawda? – Z wyrazu twarzy Rassoulisa wynikało jasno, że nie jest zachwycony jego propozycją. – Boję się po prostu, że sztorm potrwa dłużej, niż się pan spodziewa – naciskał Vance. – A wtedy, zważywszy na pańskie zobowiązania czarterowe, mogą minąć całe miesiące, zanim tu wrócimy. I jeden Bóg wie, co się w tym czasie wydarzy.

Rassoulis niechętnie popatrzył na zbliżające się dwa fronty burzowe i widać było, że kalkuluje, czy „Savarona” może w miarę bezpiecznie jeszcze jakiś czas zostać nad wrakiem.

– Wynagrodzę to panu – nie ustępował Vance. – Niech pan wyciągnie głowę sokoła. Mnie nic więcej nie interesuje. Może pan potem wziąć wszystko, co tam znajdzie.

Rassoulis uniósł w górę brwi i spytał ze zdziwieniem:

– To wszystko, czego pan chce? Tego sokoła? – Przyglądał się Vance’owi, czekając na odpowiedź. Tessa nie spuszczała z niego oczu i miała wrażenie, że uczestniczy w rozgrywce pokerowej.

– Dlaczego?

– To sprawa osobista, powiedzmy, że chodzi o pewne... dopełnienie – Vance wzruszył ramionami i popatrzył w dal. Wzrok mu spoważniał i spoczął na Rassoulisie. – Tracimy czas. Jestem przekonany, że nam się uda, jeżeli od razu zabierzemy się do roboty. Potem wrak jest pański.

Wydawało się, że kapitan przez chwilę rozważa ten układ, wreszcie skinął głową i wyszedł ze sterówki, wydając podniesionym głosem rozkazy Attalowi i pozostałym członkom załogi.

Vance spojrział na Tessę i teraz dopiero pozwolił sobie na okazanie emocji, Widziała, że jest zdenerwowany.

– Już prawie osiągnęliśmy cel – powiedział łamiącym się głosem. – Już prawie mamy.

– Daleko jeszcze? – wrzasnął De Angelis do kapitana.

Reilly czuł, że mostek „Karadeniz” drży znacznie mocniej niż przedtem. Przez ponad godzinę przecinał na ukos fale, które waliły w prawą burtę, a teraz z jeszcze większą siłą i zaciekłością uderzały w dziób statku. Wiatr wył coraz głośniejszy, a silniki walczyły o lepsze z grzywaczami; teraz musieli krzyżeć, żeby w ogóle siebie słyszeć.

– Niecałe dwadzieścia mil morskich – odparł Karakas.

– A co z helikopterem?

Kapitan zapytał o coś operatora radaru, a potem krzyknął:

– Przewidywany kontakt za niecałe pięć minut.

De Angelis westchnął ciężko, zżerała go niecierpliwość.

– Nie można zrobić czegoś, żeby ta łajba płynęła trochę szybciej?

– Nie przy takiej pogodzie – odparł chłodno Karakas. Reilly podszedł do kapitana.

– Czy będzie znacznie gorzej, kiedy do nich dopłyniemy? Karakas pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy. Tym razem nie wykrzyczał odpowiedzi, ale Reilly i tak go usłyszał.

– Bóg raczy wiedzieć – wzruszył ramionami.

Tessa wpatrywała się niecierpliwie w palce Attala, który manewrował ramieniem Dori i zakładał ostatni fragment upręży na rzeźbioną głowę sokoła. Mimo ciężkich warunków załoga

pracowała szybko i z wojskową precyzją, wyposażając robota w sprzęt do wydobywania przedmiotów z dna morza, a potem wysyłając go z powrotem w wirujące, gotujące się odmęty. Attal jak czarodziej manewrował joystickiem, opuszczając robota na dno i umieszczając we właściwym położeniu sieć, która wyniesie głowę sokoła na powierzchnię morza. Wystarczyło potem tylko podciągnąć sieć w górę. Za pomocą zdalnie sterowanego urządzenia należało jednocześnie napompować trzy balony, które uniosą rzeźbę głowy sokoła w górę, a potem czekać, aż pojawi się na falach.

Attal skinął głową, dając znak, że jest gotowy.

– Możemy ją sprowadzić na górę, ale... – wykonał gest południowca, rozkładając ramiona, potem omiół wzrokiem pokład za oknami sterówki atakowany przez wodę i wiatr.

– Wiem. – Rassoulis zmarszczył brwi, patrząc na szalejący wokół sztorm. Zwrócił się do Vance'a z ponurym wyrazem twarzy: – Wciągnięcie jej na pokład nie będzie łatwe. Przy tej pogodzie nie możemy spuścić motorówki na wodę, a nie będę ryzykował posyłania nurków. Ciężko będzie także ściągnąć z powrotem robota, ale on przynajmniej jest mobilny i można nim manewrować. – Przerwał, oceniając szybko pogarszające się warunki pogodowe, i wreszcie podjął decyzję. – Nie będziemy mogli jej dzisiaj wciągnąć na pokład. Zostawimy balony na dole, a po głowę sokoła wrócimy, kiedy minie sztorm.

Vance przyglądał się mu uważnie, jakby sądził, że się przesłyszał.

– Musimy ją wyciągnąć teraz – upierał się. – Możemy nie mieć kolejnej szansy.

– O czym pan mówi? – odparował Rassoulis. – Nikt tutaj nie przyplynie podczas takiej pogody, żeby nam ją ukraść. Wrócimy, jak tylko morze się uspokoi.

– Nie! – krzyknął gniewnie Vance. – Musimy to zrobić teraz! Rassoulis odchylił głowę do tyłu zdziwiony tym wybuchem.

– Drogi panie, nie będę ryzykował życia dla takiego drobiazgu. Wracamy i nie ma o czym dyskutować. – Spojrzał na Vance'a ostro, a potem zwrócił się do Attala. – Sprowadź Dori najszybciej, jak potrafisz – rzucił. Ale zanim wydał następny rozkaz, coś odwróciło jego uwagę. Był to dudniący odgłos młócących powietrze wirników helikoptera. Tessa też usłyszała, a z wyrazu twarzy Vance'a wnosila, że on także.

Włożyli sztormiaki i wyszli na wąski pokład przed sterówką. Wiatr zamienił się teraz w wichurę, niósł ze sobą zacinające strugi deszczu. Tessa osłoniła oczy dłonią, wpatrując się w wirujące niebo, i po chwili go zobaczyła.

– Tam – krzyknęła, wskazując ręką. Helikopter leciał tuż nad wodą wprost na nich. Kilka sekund później zawisł nad pokładem, biały, z szerokim pasem czerwieni na ogonie. Wisiał tak przez chwilę nad ich głowami, a potem odbił w górę, by za chwilę wykręcić i raz jeszcze przelecieć nad statkiem. Zwolnił, kiedy przybliżył się do „Savarony”, a potem zawisł w powietrzu z prawej burty, walcząc z wiatrem. Powietrze, które miał rotor, rozdmuchiwało pianę na szczytach fal. Tessa widziała oznaczenia tureckiej straży przybrzeżnej na burtach helikoptera i pilota, który z mikrofonem w rękach wodził spojrzeniem po statku.

Palcem wskazał na słuchawki, nakazując im włączenie radia.

Stojąc na mostku „Karadeniz” Reilly zobaczył, że twarz De Angelisa nagle się rozjaśnia. Meldunek pilota helikoptera potwierdził, że punkt, o który chodziło, to statek z nurkami na pokładzie. Mimo gwałtownie pogarszającej się pogody jednostka nie zmieniła położenia. Pilot widział jakieś ruchy wokół żurawika i wszystko wskazywało na to, że za chwilę coś będzie wyciągane na powierzchnię. Zauważył również na pokładzie dwie osoby, których rysopisy zgadzały się z osobami poszukiwanymi; wielebny był pewien, że chodzi o uciekinierów.

– Kazałem pilotowi nawiązać z nimi kontakt radiowy – powiedział Karakas, do De Angelisa.

– Co pan chce im przekazać! De Angelis nie wahał się ani przez moment.

– Powiedźcie im, że zaraz uderzy na nich sztorm o biblijnych rozmiarach – odpowiedział. – Powiedźcie im, że powinni się stamtąd natychmiast ewakuować, jeżeli chcą przeżyć. – Reilly przyglądał się jego twarzy i nie miał najmniejszych wątpliwości, że była to jednoznaczna groźba, choć ukryta między wierszami. De Angelis za żadną cenę i w żadnym przypadku nie da im uciec z tym, po co tu oni wszyscy przyплыnęli. Już wcześniej dowiedział, że życie ludzkie nic dla niego nie znaczy, gdy chodzi o ochronę Kościoła. W Turcji powiedział mu bez mrugnięcia okiem, że można poświęcić każdego.

Reilly czuł, że musi wkroczyć.

– Przede wszystkim musimy pomyśleć o ich bezpieczeństwie – zaproponował. – Mają tam cały zespół nurków.

– Istotnie – odparł spokojnie De Angelis.

– Nie mają wyjścia – stwierdził Karakas. Przyglądał się ekranowi radaru, na którym było coraz mniej rozbłysków. – Sztormy zamknęły ich od północy i od południa. Mogą ruszyć albo na wschód – tam mamy dwie łodzie patrolowe, które ich natychmiast zgarną, albo na zachód w naszym kierunku. Tak czy inaczej, mamy ich. Wątpię, żeby mieli tyle szczęścia, by nas

prześcignąć. – Uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech serdeczny. Reilly’emu przyszło do głowy, że Karakas marzył o tym, by się pościgać, co w powiązaniu z krwawymi zamiarami De Angelisa nie wróżyło nic dobrego.

Rzucił spojrzenie na pokład dziobowy i zobaczył dwudziestotrzymilimetrowe działko. Poczł niepokój. Musiał zaalarmować Tessę i tych, którzy z nią są; musi ich ostrzec, czym to grozi.

– Ja z nimi porozmawiam – zaproponował Reilly. De Angelis spojrzł na niego wyniośle.

– Chciałeś, żebym pomógł – naciskał Reilly. – Nie wiedzą, że tu jesteśmy. Mogą również nie być świadomi rozmiarów sztormu. Porozmawiam z nimi i przekonam, żeby popłynęli za nami do brzegu.

Karakas się nie wtrącał. Patrzył na De Angelisa i czekał na jego decyzję.

Wielebny wytrzymał spojrzenie Reilly’ego; z jego zimnych oczu nic nie dało się wyczytać. Coś tam przekalkulował, a potem skinął głową przyzwalająco.

– Dajcie mu mikrofon – rozkazał.

Tessie serce skoczyło do gardła, kiedy usłyszała głos Reilly’ego. Wyrwała mikrofon Rassoulisowi.

– Sean, to ja, Tessa. – Nie mogła złapać tchu, serce waliło jak młotem, czuła pulsowanie w skroniach. – Gdzie jesteś?

Helikopter już dawno zawrócił i odleciał z powrotem, znikając w ciemnej ścianie deszczu.

– Jesteśmy niedaleko – głos Reilly’ego rozbrzmiewał na tle zakłóceń i szumów radiowych. – Jestem na łodzi patrolowej jakieś piętnaście mil morskich od was. Mamy też dwie łodzie na wschód od waszej pozycji. Posłuchaj, Tesso. Musicie zniknąć stamtąd jak najszybciej. Oba fronty burzowe zderzą się niedługo nad waszymi głowami. Musicie skierować się teraz na zachód, wziąć kurs – przerwał, chyba czekając na informację, potem znów się odezwał: – Dwa siedem zero. Powtarzam: dwa siedem zero. Dojdziemy do was i odprowadzimy was do Marmaris.

Tessa zauważyła, że Rassoulis patrzy niepewnie na Vance’a, który aż się gotował z wściekłości. Zanim odpowiedziała Reilly’emu, Rassoulis odebrał jej mikrofon.

– Mówi Georgios Rassoulis, kapitan „Savarony”. Z kim rozmawiam?

Nastąpiła chwila ciszy, pełnej szumów radiowych, a potem odezwał się znów głos Reilly’ego:

– Nazywam się Sean Reilly. Jestem agentem FBI.

Tessa zobaczyła, że twarz Rassoulisa robi się chmurna; kapitan patrzył pytająco na profesora. Vance stał bez ruchu, potem odwrócił się i zrobił kilka kroków w kierunku mostka.

Nie spuszczać Vance'a z oczu, kapitan spytał:

– Co FBI ma do greckiego statku z ekipą nurków na samym środku Morza Śródziemnego?

Vance odpowiedział za Reilly'ego, wciąż odwrócony plecami:

– Szukają mnie – powiedział obojętnie, jak rzecz najzwyczajniejszą pod słońcem. Kiedy się odwrócił, Tessa zobaczyła, że trzyma w dłoni pistolet i mierzy z niego w Rassoulisa. – Sądzę, że już dość się nasłuchaliśmy naszych przyjaciół z FBI. – Mówiąc to, oddał dwa strzały w radiostację. Tessa krzyknęła głośno, z radia łukiem wylatywały iskry i jakieś drobne części. Szumy radiowe, które jeszcze chwilę temu słyszeli w głośniku, nagle ucichły. – A teraz – syknął Vance, nawet nie starając się ukryć wściekłości – wracajmy do tego, co przerwaliśmy, zgoda?



## Rozdział 76

Tessa zupełnie zeszywniała. Miała wrażenie, że stopy ma przyśrubowane do drewnianej podłogi sterówki. Stała bez ruchu w narożniku i widziała, jak Vance podchodzi do Rassoulisa i każe mu natychmiast przystąpić do wydobywania głowy sokoła.

– To bez sensu – perswadował kapitan. – Mówiłem panu, że nie damy rady wyciągnąć tego na pokład w tych warunkach.

– Niech pan naciśnie ten cholerny guzik albo zrobię to za pana – Vance spojrzał na Attala, który wciąż siedział przy konsoli sterowania robotem, nieruchome palce trzymając na joysticku.

Inżynier spojrzał teraz na kapitana i Rassoulis lekko skinął głową. Attal wcisnął przycisk kontrolny. Obraz z kamery malał na monitorze, w miarę jak Dori się wycofywał; potem jeden za drugim pomarańczowe balony zaczęły się powiększać i w ciągu paru sekund osiągnęły maksymalne rozmiary. Na początku wydawało się, że sokół ani drgnie, uparcie opierał się porywającym go do góry wielkim balonom. Potem nagle eksplodowała chmura piasku; głowa ptaka podniosła się jak wyrwane korzenie wielkiego drzewa, pociągając ze sobą wirujący muł i osady, które narosły wokół niej przez setki lat. Attal prowadził robota w górę, równoległe do balonów, utrzymując zamglony obraz nie z tego świata – unosząca się głowa sokoła zajmowała pół ekranu.

Tessa usłyszała, że drzwi wejściowe do sterówki trzasnęły; zobaczyła członka załogi, który schodził z pokładu. Zauważyła również, że Vance na chwilę odrywa zahipnotyzowane oczy od ekranu, by spojrzeć, skąd to poruszenie. W tym momencie Rassoulis rzucił się na niego, chcąc mu wyrwać broń. Tessa zrobiła krok do tyłu, krzycząc:

– Nie!

Attal i mechanik podnieśli się i ruszyli na pomoc kapitanowi. W tym momencie padł ogłuszający wystrzał, odbijając się echem w ciasnej przestrzeni sterówki.

Przez chwilę Vance i Rassoulis stali szczeni uściskiem, obaj nieruchomi; potem Vance odstąpił o krok, a kapitan osunął się na podłogę. Krew wypłynęła mu spomiędzy warg, spojrzał do góry, a za chwilę widać już było tylko białka jego oczu.

Przerażona Tessa patrzyła na ciało, którym kilka razy wstrząsnęły drgawki, zanim znieruchomiało. Skierowała pełen nienawiści wzrok na Vance'a.

– Co ty zrobiłeś? – wrzasnęła, klękając przy Rassoulisie. Nie miała pojęcia, co ma robić; przyłożyła głowę do jego piersi i słuchała, czy oddycha.

Serce przestało bić.

– On nie żyje – krzyknęła. – Zabiłeś go.

Attal i pozostali członkowie załogi, sztywni ze strachu, nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Sternik wściekle rzucił się na Vance'a, sięgając dłonią po broń. Z zadziwiającą szybkością Vance wymierzył mu silny cios kolbą pistoletu w twarz i mężczyzna upadł na deski. Przez chwilę wydawało się, że Vance rusza się jak w malignie, ale zebrał się w sobie, otrząsnął, a twarz mu stężała.

– Dajcie mi głowę sokoła i wszyscy możemy wracać do domu – rozkazał. – Ale już!

Z pewnym wahaniem bosman i Attal przystąpili do przygotowań, rzucając rozkazy pozostałym członkom załogi. Ich słowa przelatywały obok Tessy jak bezładne strzępy mgły. Nie mogła oderwać oczu od Vance'a, który nie przypominał w niczym ani profesora erudyty, poznanego dawno temu podczas wykopalisk, ani pochłoniętego pasją załamanego człowieka odkrytego na nowo po latach na samym początku tej nieszczęsnej podróży do zamierzchłej przeszłości. W jego spojrzeniu była chłodna obojętność. Widziała ją już kiedyś – w Metropolitan Museum podczas napadu. Wtedy ją to przestraszyło, a teraz, gdy zabity przezeń człowiek leżał tuż u jej stóp, wręcz sparaliżowało.

Patrzyła na ciało Rassoulisa i nagle dotarło do niej, że jest całkiem niewykłuczone, że ona też tu zginie. W tej samej sekundzie pomyślała o córce i zastanowiła się, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy.

Reilly cofnął się o krok w tył, kiedy głos Rassoulisa zamilkł w radiostacji i zastąpił go głośniejszym szum zakłóceń. Reilly poczuł niepokój. Wydawało mu się, że słyszał przez radio odgłos wystrzału, ale nie był do końca pewien.

– Kapitanie? Tessa? Odezwijcie się!

Nie było odpowiedzi. Zwrócił się do operatora radiostacji, który manipulował gałkami na konsoli; pokręcił głową i tłumaczył coś kapitanowi po turecku.

– Sygnał zaniknął – potwierdził Karakas. – Wygląda na to, że usłyszeliśmy wszystko, co mieliśmy usłyszeć.

Reilly wpatrywał się z gniewem w szyby sterówki i w latające tam i z powrotem

wycieraczki, które ani na jotę nie poprawiały widoczności. „Karadeniz” walczyła, zmagając się coraz zacieklej z falami. Wszystkie rozmowy na mostku toczyły się po turecku, ale Reilly się domyślał, że załoga okrętu patrolowego jest skupiona raczej na rozszalałym morzu niż na drugiej łodzi, która, jak wynikało z obrazu na ekranie radaru, w ogóle nie ruszała się z miejsca. Chociaż „Savarona” była teraz teoretycznie w zasięgu wzroku, zacinający deszcz i wysoka fala pozwoliłyby ją zobaczyć gołym okiem, gdyby oba statki jednocześnie zostały wyniesione do góry. Reilly’emu się wydawało, że coś dojrzał, ale rozróżnił tylko niejasny, zamglony kształt. Miał ściśnięte gardło na samą myśl, że Tessa jest na tej krypie.

Zobaczył, jak Karakas i pierwszy oficer wymieniają między sobą jakieś uwagi, po czym kapitan zwrócił się De Angelisa, marszcząc opalone czoło.

– Sytuacja wymyka się nam z rąk. Wiatr wieje z prędkością prawie pięćdziesięciu węzłów i w tych warunkach nie możemy w zasadzie ich zmusić, żeby popłynęli za nami.

De Angelis był niewzruszony.

– Musimy dalej płynąć do nich, dopóki się stamtąd nie ruszą. Kapitan westchnął ciężko. Zwrócił wzrok na Reilly’ego, szukając u niego więcej zrozumienia, ale nic nie wskórał.

– Chyba nie powinniśmy tutaj dłużej zostawać – powiedział więc wprost. – To naprawdę przestało być bezpieczne. De Angelis spojrzał mu prosto w twarz:

– O co chodzi? – powiedział beczelnie. – Nie potrafi pan sobie poradzić z kilkoma falami? – Gniewnie wskazał palcem „Savaronę”. – Nie wydaje się, żeby oni podwijali ogon i zmykali. To znaczy, że nie boją się tutaj żeglować – powiedział to z przekąsem. – A pan?

Reilly patrzył na Karakasa, który stał jak wrośnięty w podłogę; żyłka na czole pulsowała mu coraz szybciej. Kapitan niezbyt życzliwie spojrzał na wielebnego, a potem wydał kilka rozkazów zdenerwowanemu pierwszemu oficerowi. De Angelis skinął głową, spojrzał przelotnie na Plunketta i znów skierował wzrok przed siebie. Widząc tylko jego profil, Reilly stwierdził, że to zdarzenie przyniosło mu perwersyjną przyjemność.

Tessa stała obok Vance’a i patrzyła na morze. Woda oblewała szyby sterówki, jak gdyby ktoś chlapał na nie wiadrem. Szkwiał i deszcz napierały na statek ze wszystkich stron. Olbrzymie plamy białej piany wiatr wynosił w górę, a one gęstymi warkoczami oplatały „Savaronę”; przez pokład przetaczały się fale.

I właśnie wtedy się pojawiły.

Trzy pomarańczowe balony wyłoniły się po prawej burcie wypchnięte przez wodę –

wyglądały jak trzy wieloryby wynurzające się, żeby odetchnąć.

Tessa wytężyła oczy, próbując się przedrzeć wzrokiem przez ścianę deszczu, i wreszcie zobaczyła olbrzymi, kulisty kształt, zaokrąglony kawałek drewna podskakujący między pływakami. Mimo upływu wieków nie było wątpliwości, że rzeźba ma kształt głowy ptaka; mistrz, który ją niegdyś rzeźbił, miał pewną rękę, jego dzieło bez wątpienia dodawało okrętowi splendoru.

Spojrzała na Vance'a; jego twarz się rozjaśniła. Przez ułamek sekundy poczuła dreszcz podniecenia, który kazał i jej zapomnieć o przerażeniu.

A potem wszystko wróciło potężną falą.

– Wyślijcie nurków – wrzasnął Vance do bosmana, który opatrywał zakrwawiony policzek sternika. Nie widząc reakcji, Vance wyciągnął przed siebie ramię i przyłożył lufę pistoletu do twarzy przerażonego mężczyzny. – Ruszaj się. Bez tego nie odpływamy.

Wtedy właśnie olbrzymia fala uderzyła w burtę statku. Kiedy „Savarona” zaczęła się ciężko przetaczać z boku na bok, sternik z wysiłkiem się podniósł i przejął ster od zdezorientowanego marynarza. On też musiał walczyć, by statek nie kołysał się tak wariacko na falach. Udało mu się jakoś ustabilizować rozchybotaną jednostkę i przybliżył ją do unoszących się na powierzchni wody pomarańczowych pływaków. Pewną ręką, pokonując grzywacze, utrzymywał pozycję statku, podczas gdy dwaj członkowie załogi zakładali sprzęt i niechętnie skakali do wody, ściskając w rękach ciężkie liny holownicze.

Zdenerwowana Tessa patrzyła na nurków, którzy zmagali się z falami, płynąc w kierunku sieci i głowy sokoła. Kilka pełnych napięcia minut ciągnęło się niemiłosiernie. W końcu zobaczyła wyciągnięte w górę kciuki sygnalizujące sukces. Bosman podeszedł do włącznika i wychylony za burtę żurawik ożył. Zgrzytając z wysiłku, wygrał po chwili z kołysaniem statku i uderzeniami fal. Głowa ptaka, wciąż utrzymywana przez pływaki, wychynęła z gotującej się wody, przechyliła w ich kierunku i zmierzała powoli na pokład.

Vance nagle zmarszczył brwi; jego uwagę przykuło coś innego, co zobaczył ponad podwieszonym ładunkiem. Wzrok Attala pojaśniał, mężczyzna chwycił Tessę za ramię i wskazał głową ten sam kierunek, w którym patrzył Vance – zachód. Spojrzała przez dziób i zobaczyła w pewnej odległości łódź, która pojawiła się niczym upiór. Była to „Karadeniz”, walcząca z napierającymi na dziób falami.

Vance odwrócił się na pięcie:

– Odpływamy – rozkazał wściekle sternikowi, machając mu przed nosem pistoletem.

Strużki potu zmieszane z krwią spływały po twarzy sternika, który próbował ustawić łódź dziobem do fali.

– Musimy wyciągnąć nurków – zaprotestował.

– Zostaw ich – ryknął Vance. – Łódź patrolowa ich wyłowi. A my zyskamy na czasie.

Sternik rzucał nerwowe spojrzenia w lewo i w prawo, odczytywał wskazania wiatromierzy na radarze pogodowym. Wskazał na „Karadeniz”.

– Możemy uciec przed sztormem, płynąc prosto na nich.

– Nie. Tam nie popłyniemy – wrzasnął Vance.

Tessa patrzyła, jak „Karadeniz” zbliża się do nich metr po metrze i zwróciła się do Vance’a.

– Proszę cię, Bili. To już koniec. Otoczyli nas. A jeżeli teraz się stąd nie wydostaniemy, to wszystkich nas pochłonie sztorm.

Vance wzrokiem nakazał jej milczenie i zaambarasowany patrzył na mokre od deszczu okno i radar pogodowy. Jego oczy zrobiły się zimne.

– Płyniemy na południe – warknął do sternika. – Zwrot na południe.

Zdziwiony sternik wybałuszył oczy.

– Na południe? To prosto w najgorszy sztorm – odparł. – Jest pan szalony.

Vance przystawił pistolet do twarzy mężczyzny, widząc, że się ociąga, i bez ostrzeżenia nacisnął spust, przesuwając lekko rękę w bok w momencie wystrzału. Kula przeleciała koło sternika o milimetry i wbiła się w drewnianą obudowę sterówki tuż obok jego głowy. Vance rzucił szybkie, groźne spojrzenie na pozostałych na mostku, a potem znów wycelował w głowę jeszcze oszołomionego po wystrzale mężczyzny. – Możesz spróbować swoich szans na falach... albo z dziurą w mózgu. Wybieraj.

Sternik przez moment patrzył na niego, potem rzucił okiem na instrumenty, zawrócił kołem sterowym i ruszył w nakazanym kierunku. Płynęli przed siebie prosto w szalejący sztorm, zostawiając nurków za rufą.

Dopiero wtedy Vance oderwał wzrok od sternika i zauważył, że Tessy nie ma w sterówce.

## Rozdział 77

Na mostku „Karadeniz” stał De Angelis i wpatrywał się w lornetkę z wściekłością i niedowierzaniem.

– Mają to – powiedział przez ściśnięte zęby. – Nie wierzę własnym oczom. Udało im się to wydostać.

Reilly również to zobaczył i dreszcz przebiegł mu po plecach. Więc jednak to była prawda. Widział przed sobą głowę sokoła, wyciągniętą z otchłani po setkach lat, dzięki uporowi jednego człowieka.

Tesso. Co ty zrobiłaś?! – krzyczał bezgłośnie z rosnącym przerażeniem.

Teraz już De Angelis nie cofnie się przed niczym.

Stojący tuż przy nich pierwszy oficer miał również wzrok wlepiony w grecką łódź, ale martwiło go coś innego.

– Ruszyli na południe. Zostawiają nurków w wodzie.

Kiedy Karakas to usłyszał, natychmiast wydawał polecenia, momentalnie zawyła syrena, po czym w tempie karabinu maszynowego przez głośniki kanonierki usłyszeli rozkazy. Nurkowie zaczęli zakładać sprzęt, a na pokładzie członkowie załogi pospiesznie przygotowywali ponton ratunkowy.

De Angelis przyglądał się przez chwilę zamieszaniu na pokładzie z niedowierzaniem.

– Niech pan zostawi tych cholernych nurków – warknął i wskazał nerwowo „Savarone”. – Uciekają. Musimy ich zatrzymać.

– Nie możemy zostawić ludzi w wodzie – odparował Karakas z ledwo skrywaną złością. – Ich statek i tak nie przedrze się przez ten sztorm. Fale są za duże. Musimy zawracać, jak tylko wyłowimy nurków.

– Nie – powiedział stanowczo wielebny. – Nawet jeżeli jest tylko jedna szansa na milion, że uda im się wyjść z tego cało, nie możemy im na to pozwolić. – Wyjrzał przez okno sterówki, a potem odwrócił się i stanął na wprost masywnego kapitana. Jego spojrzenie było bezwzględne. – Zatopić ich.

Reilly nie mógł tego dłużej wytrzymać. Rzucił się w stronę De Angelisa, chwycił go za ramiona i okręcił go, by stanąć z nim oko w oko.

– Nie możesz tego zrobić, nie ma przecież... Przerwał w pół zdania.

Wielebny wyciągnął duży pistolet automatyczny i celował prosto w twarz Reilly'ego.

– Trzymaj się od tego z daleka – krzyknął, popychając agenta z powrotem na tył sterówki.

Reilly spojrzął ponad chłodną stalą lufy, którą miał o milimetry od twarzy, w oczy De Angelisa. Płonęła w nich mordercza furia.

– Nie ty wydajesz tu rozkazy – mówił wielebny przez ściśnięte gardło. – Rozumiemy się?

Z wyrazu twarzy De Angelisa Reilly wywnioskował, że nie zawaha się przed naciśnięciem na spust. Jeżeli się ruszy, będzie po nim, a przecież musiałby go jeszcze dosięgnąć.

Skinął głową i powoli oparł się dłonią o ścianę, by zrównoważyć kołysanie pokładu.

– Spokojnie – powiedział cicho. – Spokojnie.

De Angelis, nie spuszczać oczu z Reilly'ego, polecił kapitanowi:

– Niech pan każe strzelać z działka – rozkazał – zanim się znajdą poza zasięgiem.

– Jesteśmy na wodach międzynarodowych – zaproponował Karakas. Reilly wiedział, że już dawno przestało mu się podobać to, co się dzieje na jego statku. – Jeżeli pan nie rozumie, to przypominam, że mamy do czynienia z greckim statkiem. I tak mamy dosyć kłopotów z...

– Nic mnie to nie obchodzi – przerwał mu De Angelis. Ogarnięty szaleństwem zwrócił się twarzą do Karakasa, wymachując pistoletem. – Pański statek jest własnością NATO i jako oficer dowodzący rozkazuję panu, kapitanie...

– Nie – powiedział po prostu Karakas. Tym razem on przerwał, patrząc z góry na De Angelisa. – Nie. Nawet gdybym miał odpowiadać przed sądem wojskowym.

Stali naprzeciw siebie bez ruchu przez pełną napięcia chwilę. Prawa ręka wielebnego mierzyła teraz prosto w twarz kapitana. Karakas, ani drgnął. Nie miał najmniejszego zamiaru ustąpić. De Angelis odsunął go na bok i kazał Plunkettowi pilnować, a sam ruszył w kierunku drzwi prowadzących na pokład.

– Do diabła z nim – syknął. – Sam to zrobię.

Plunkett wyciągnął z kabury pistolet i trzymał kapitana na muszce, kiedy duchowny otwierał przesuwane drzwi. Wiatr wdarł się do kabiny z ogromną siłą. De Angelis uchwycił się drzwi, zebrał w sobie i wyszedł prosto w szalejący sztorm.

Reilly rzucił pełne niedowierzania spojrzenie na Karakasa i właśnie wtedy ogromna fala uderzyła w burtę kutra, zmuszając wszystkich do tego, żeby się czegoś chwycili. Reilly natychmiast skorzystał z okazji. Rzucił się na Plunketta i dopadł go w momencie, kiedy agent

CIA wyciągał rękę do konsoli, żeby się przytrzymać. Chwytał go za rękę, w której trzymał broń, jednocześnie zadając potężny cios od dołu w szczękę; Plunkett musiał nieco poluzować uchwyt na pistolecie, bo Reilly'emu udało się go wyrwać. Plunkett odparował z wściekłością zamaszystym ciosem, ale Reilly go bez trudu zablokował; zamachnął się pistoletem, trafiając kolbą w czoło Plunketta, który nieprzytomny upadł na ziemię.

Reilly wsunął pistolet za pasek spodni, minął kapitana, nałożył pospiesznie kamizelkę ratunkową, a potem ruszył na pokład w ślad za De Angelisem.

Wiatr najpierw omal go nie powalił, a potem targał niczym, szmacianą lalką. Reilly'emu udało się odzyskać równowagę i podciągał się dłońmi wzdłuż relingu. Wreszcie zobaczył smaganą deszczem sylwetkę wielebnego, który centymetr po centymetrze pokonywał wąskie przejście między nadbudówką a burtą i kierował się wytrwale na pokład dziobowy, na którym było zamontowane automatyczne działko.

Oślaniając oczy przed deszczem spojrzął na morze. „Savarona” sunęła ciężko do przodu, zaledwie dwieście metrów od nich. Od łodzi patrolowej oddzielały ją olbrzymie góry wody.

Reilly nagle zamarł. Na pokładzie poniżej sterówki greckiego statku zobaczył jakąś postać. Uderzana wodospadami deszczu i fal trzymała się desperacko, czego się tylko dało, i parła naprzód.. Przestał na chwilę oddychać.

Był pewien, że to Tessa.

Tessa schodziła pospiesznie po wewnętrznych metalowych schodkach. Miała pustkę w głowie, docierały do niej tylko głośnie uderzenia własnego serca. Omiatała wzrokiem ściany, próbując sobie przypomnieć, gdzie widziała siekiere.

W końcu ją znalazła – była umocowana na ścianie tuż przed wejściem do mesy. Kilka sekund później znalazła też kamizelkę ratunkową. Biorąc głęboki oddech i zbierając siły na to, co za chwilę zamierzała zrobić, jednym szarpnięciem otworzyła wodoszczelne drzwi i rzuciła się w burzę szalejącą na pokładzie.

Tessa wiedziała, że Vance nie zdecyduje się wyjść ze sterówki. Ściskając w jednej ręce siekiere, a drugą chwytając się, czego się dało, posuwała się powoli przez główny pokład. Wyrzucała za reling napotkane po drodze kamizelki ratunkowe z nadzieją, że do czegoś się przydadzą nurkom pozostawionym w wodzie.

Zobaczyła, jak olbrzymia fala przelewa się nad dziobem. Objęła ramionami reling i stanęła mocno na nogach. Gdy ściana wody uderzyła prosto w nią i rozplywała się po pokładzie, ten



umknął jej spod nóg. „Savarona” ześliznęła się ze szczytu fali i leciała w dół jak w przepaść, kolejny raz uderzając dziobem o powierzchnię wody.

Tessa podciągnęła się w górę i przez mokre, splątane włosy, które oblepiały jej twarz jak wodorosty, zobaczyła sokoła kołyszącego się w powietrzu jakiś metr nad pokładem. Z trudem dotarła do podstawy żurawika i stalowej liny wychodzącej z bębna.

Kiedy znalazła się przy żurawiku, spojrzała w górę, na okno sterówki. Przez ścianę deszczu zobaczyła zaniepokojoną twarz Vance’a. Zebrała wszystkie siły, uniosła siekiere i zamachnęła się. Omal nie wypadła jej z ręki, gdy ostrze odbiło się od napiętej liny. Spojrzała jeszcze raz w górę i zobaczyła, że Vance wybiega ze sterówki i walczy z wiatrem. Wykonywał gwałtowne gesty i wrzeszczał jak oszalały. Wydawało się jej, że krzyczał: „Nie!” ale okrzyki tonęły w wyciu wichury. Tessa, nie zważając na niego stanęła mocniej na nogach i znów zamachnęła się siekiere. Pękł jeden splot, potem następny, a ona waliła raz po raz ostrzem siekiery w stalową linę.

Nie może pozwolić, żeby Vance to zdobył. Nie takim kosztem. Była głupia, że w ogóle miała wątpliwości, że mu zaufała, ale miała jeszcze czas, żeby to naprawić.

Ostatni splot w końcu pękł i kiedy „Savarona” przechyliła się na lewą burtę, głowa sokoła wpadła ciężko we wzburzone odmęty. Tessa trzymała się wszystkiego, czego się dało, na rozkołysanym pokładzie, byle jak najdalej od sterówki, chowała się, instynktownie unikając wzroku Vance’a. Spojrzała szybko przez ramię i zobaczyła, że pomarańczowe balony wylaniają się ze spienionej wody. Serce przestało jej na chwilę bić; nie była pewna, czy pływaki utrzymają głowę sokoła. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła zaokrąglony brązowy kształt wśród wypełnionych powietrzem balonów.

Nie cieszyła się zbyt długo z sukcesu, bo w tym samym momencie „Savarona” przechyliła się po serii głośniejących wybuchów. Kryjąc się, Tessa rzuciła okiem na ścigającą ich łódź patrolową i z niepomiernym zdziwieniem stwierdziła, że działo na dziobie pluje w nich śmiercionośnym ogniem.

Uderzany strugami wody i dzikimi podmuchami wiatru Reilly doganiał De Angelisa.

„Karadeniz” z trudem utrzymywała pozycję, nurkowie wciągali jednego z pozostawionych w wodzie greckich nurków na ponton ze sztywnym dnem, a tymczasem drugi uczepił się desperacko koła ratunkowego, czekając na swoją kolej.

Wielebny w końcu dotarł na pokład dziobowy. Parę sekund później stał już za półkolistą osłoną działka. Odbezpieczył straszliwą broń i ze znanstwem świadczącym o tym, że robił to już

nieraz, przesunął lufę, szybko znalazł na celowniku uciekający statek grecki i puścił serię dwudziestotrzymilimetrowych pocisków zapalających.

– Nie! – wrzasnął Reilly, przechodząc przez niski reling na pokład dziobowy. Nawet w burzy, w wyjąłym wietrze, odgłos wystrzałów był ogłuszający.

Rzucił się na De Angelisa, pchnął lufę w drugą stronę i posłał ogień daleko od „Savarony”. Pociski zatonęły w morzu, nie robiąc nikomu krzywdy. Wielebny wysunął ramię spoza osłony działka i chwycił Reilly’ego za rękę, wykręcając mu palce do tyłu pod nienaturalnym kątem, a potem wymierzył mu potężny cios w szczękę i posłał na pochylony, zlewany przez wodę pokład.

Reilly próbował wstać, ale płynął razem z wodą po pokładzie. I znów był daleko od De Angelisa. Chciał się za wszelką cenę czegoś uchwycić, opanować poślizg na mokrych deskach. Natrafił dłonią na jakąś linę i przestał spadać. Podniósł się, ale musiał się nadal trzymać, bo łódź patrolowa podnosiła się właśnie na potężnej górze wody. Zanim doszedł do szczytu, De Angelis ustawił znowu działko we właściwym położeniu – wycelowane w grecki statek. Duchowny wypuścił kolejną serię ognia. Przerażony Reilly patrzył bezradnie, jak dziesiątki naboju znaczą świetlisty, śmiertelny szlak w ciemnościach. Prowadził prosto na statek. W powietrzu pokazały się płomienie i obłoki dymu; większość pocisków utkwiała w nieosłoniętej rufie „Savarony”.

Nisko przykucnięta za stalową obudowę Tessa czuła, że serce bije jej tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. „Savarona” zatrzęsła się pod uderzeniami pocisków. Z częstotliwością tysiąca pocisków na minutę nawet krótka seria mogła oznaczać koniec.

Pociski spadały na pokład i nagle całym statkiem zatrzęsła eksplozja dobiegająca gdzieś z wnętrza. Tessa krzyknęła przerażona. Niemal natychmiast z rufy uniosła się chmura czarnego dymu, zobaczyła też dym w wentylatorach na pokładzie rufowym. Cały statek wszedł w boczny poślizg, jakby ktoś gwałtownie nacisnął hamulce. Tessa wiedziała, że oberwał silnik. Zgadywała – miała nadzieję – że pociski oszczędziły zbiornik paliwa, bo statek nie płonął jeszcze pod jej stopami. Odliczała po kolei sekundy, czekając na eksplozję, ale nie nastąpiła.

W zasadzie chyba było to bez znaczenia.

Bez napędu uszkodzony statek nie miał szans stawić czoła rozszalałemu morzu. Fale waliły w burty, obracając nim, jakby był małym elektrycznym samochodzikiem w wesołym miasteczku.

Tessa patrzyła przerażona na ogromną masę wody, która potężniała z tyłu za „Savaroną” i dochodziła do rufy. Ledwo jej się udało przypiąć karabinek uprząży do relingu; objęła go

mocno ramionami, gdy lawina wody zwała się na statek, zalewając pokład i wybijając z impetem półcalowe szyby w oknach sterówki.

Odsunęła mokre włosy z czoła i spojrzała na zniszczoną sterówkę. Nie widziała ani Vance'a, ani innych członków załogi. Poczwała, że łzy napływają jej do oczu. Zwinęła się w kłębek, przywarła z całej siły do relingu, trzymając się tej ostatniej deski ratunku. Spojrzała na morze; jeszcze niedawno widziała łódź patrolową i spodziewała się, że teraz będzie bliżej. Ale jej również nie było w zasięgu wzroku.

I wtedy zobaczyła wielką, dwudziestometrową falę. Ściana wody wznosiła się niemal pionowo, a uskok przed wznoszącą się wodą zdawał się wciągać „Savarone” jak wir. Szła na uszkodzony statek z lewej burty.

Tessa zamknęła oczy. Bez silników nie było sposobu, by odwrócić statek dziobem do fali ani od niej uciec, a oprócz tego przecież nikt nie stał za sterem. Manewr spowodowałby, że statek, najpierw potężnie oberwawszy, zanurzyłby się pod powierzchnię, lecz po chwili znalazłby się na wodzie. A ten potwór uderzy zaraz od strony burty.

I nagle fala bez trudu przetoczyła stutrzydziestotonowy statek po wodzie jak dziecięcą zabawkę.

Reilly patrzył, jak pociski wybuchają na rufie greckiego statku; widział czarny dym. Krzyknął do De Angelisa najgłośniej jak potrafił, ale wiedział, że ten i tak go nie usłyszy, bo każdy dźwięk tonął w piekielnym wyciu wiatru i potężnym terkocie broni maszynowej.

Poczuł się zrezygnowany i na chwilę opuściły go siły; i w tym momencie zrozumiał, co musi zrobić.

Opierając się mocno o reling, wyjął pistolet automatyczny, wyrównał lufę w podmuchach wiatru i kilkakrotnie pociągnął za języczek spustowy. Na plecach wielebnego pojawiły się czerwone bańki. Mężczyzna wygiął się do tyłu, a potem opadł bezładnie na działko, którego lufa skierowała się teraz w rozgniewane niebo.

Reilly odrzucił glocka i wyjrzał za reling. Wytężał wzrok w szalejącym wietrze, szukając „Savarony”, ale widział tylko ścianę deszczu i gotującą się, spienioną wodę.

Nurkom udało się jakoś wrócić na pokład razem z ludźmi, których wyciągnęli z morza, i Reilly poczuł, że łódź patrolowa zawraca z poprzedniego kursu. Słyszał, że silniki wyją z wysiłku, by przyspieszyć zwrot i ograniczyć czas, w jakim łódź ustawiona równolegle do fal będzie narażona na dzikie ataki morza. Poczwał panikę, kiedy zrozumiał, że zawracają i uciekają

od sztormu.

Właśnie wtedy fale uspokoiły się na kilka sekund, a on szeroko otwartymi oczami patrzył na wywrócony do góry dnem grecki statek; widział jego brudną stępkę pochłanianą przez fale, które zbliżały się do niej z obu stron.

Nie widział rozbitków.

Zobaczył, że kapitan z mostku nerwowymi gestami każe mu wracać do środka. Reilly osłonił twarz i wskazał gestem ramienia miejsce, gdzie przed chwilą widział „Savaronę”, ale Karakas machnął tylko ręką i wymownie wskazując za siebie, dawał mu do zrozumienia, że powinni się stąd zmywać jak najszybciej.

Reilly chwycił się mocno relingu, aż zbieleły mu kostki; gorączkowo analizował możliwości, ale tak naprawdę pozostało mu do zrobienia tylko jedno.

Dotarł w szalejącej ulewie do motorówki, którą nurkowie przycumowali z prawej burty. Usiłując wygrzebać z pamięci wiadomości zdobyte podczas kursu szkoleniowego dla agentów FBI w bazie straży przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych, wskoczył do łodzi motorowej, pchnął lekko manetkę gazu, potem zwolnił cumy i trzymając się z całych sił uchwytów, wstrzymał oddech, kiedy łódź odbiła się z poślizgiem od kanonierki wprost w rozszalałe morze.

## Rozdział 78

Reilly słyszał za sobą silnik motorówki. Wlepiając wzrok w nieprzeniknioną ścianę deszczu i mgiełki powstającej z powierzchni morza, płynął w kierunku miejsca, w którym – jak mu się wydawało – ostatni raz widział odwróconą do góry dnem „Savaronę”. Prowadził motorówkę, jak potrafił, manewrował wśród nadchodzących ze wszystkich stron fal, kierując się instynktem. I nadzieją, bo jedynie ona pozostała mu w tym chaosie – nie wiadomo było, gdzie jest tył, gdzie przód, gdzie lewo i gdzie prawo. Woda była tak spieniona, a powietrze tak wilgotne, że trudno było odróżnić te dwa żywioły. Fale morskie podnosiły się niemal pionowo i opadały, jedna załamywała się nad nim i zalewała małą łódeczkę, a kolejna, obracając go przez burtę w górę, wylewała z niej wodę. Trzymał się kurczowo motorówki, wspinającej się na grzbiety fal. Silnik wył dziko, kiedy fale wyrzucały motorówkę nad wodę i śruba kręciła się w powietrzu.

Po kilku minutach, które wydawały mu się wiecznością, wreszcie zobaczył ciemnobrązowy, kanciasty kształt wyłaniający się z czegoś, co wyglądało jak dziura w morzu. Napiął mięśnie, pchnął ster i skierował dziób maleńkiej motorówki w tamtym kierunku, ale z kursu spychały go fale. Wciąż musiał korygować kurs, nie spuszczać oka z wywróconego do góry dnem trawlera między górami wody.

Nadal jednak nie widział Tessy. Im bardziej się przybliżał, tym straszniejszy widok przedstawiał wywrócony trawler. Jego szczątki, drzazgi i odłamki kołysały się wzdłuż stępki w upiornym tańcu śmierci. Część rufowa była całkiem pod wodą, a i dziób, wystający z morza jak kanciasta góra lodowa, powoli wślizgiwał się pod obmywające go fale.

Desperacko poszukiwał rozbitków, wypatrując Tessy. Z minuty na minutę tracił jednak nadzieję. I wtedy zobaczył ją, w pomarańczowej kamizelce ratunkowej, jak próbuje utrzymać się na powierzchni, rozpaczliwie machając rękami.

Manewrował wokół masywnego pokrytego żyłkami morskimi kadłuba; był coraz bliżej Tessy, rozglądając się na boki i schodząc z drogi zdradliwym falom, które były bezlitośnie w łódkę. Wreszcie zbliżył się tak, że spróbował uchwycić jej wyciągnięte ramię, ale mu się nie udało; znów wyciągnął rękę – tym razem silniej zacisnął palce i udało mu się ją przytrzymać.

Wciągając ją na pokład motorówki, poczuł, że mimo wszystko może się jeszcze uśmiechać. Ona też miała rozradowaną twarz, przez chwilę poczuła ulgę. I nagle na jej twarz powróciło

przerażenie. Patrzyła gdzieś ponad jego głowę. Odwrócił się i w ostatniej chwili zobaczył, że fala unosi coś wielkiego, jakiś potężny kawał drewna, wprost na niego.

Pociemniało mu w oczach.

Tessa nie bardzo mogła w to uwierzyć, ale była niemal pewna, że zginie po zatopieniu statku. I wtedy zobaczyła Reilly'ego zmierzającego w jej kierunku w nadmuchiwanej motorówce.

Zbierając siły, które jeszcze się w niej tliły, udało jej się uchwycić jego wyciągniętą rękę i uradowana podciągnęła się do połowy przez burtę, kiedy zobaczyła drewniany fragment pokładu na szczycie fali, spadającej wprost na niego. Decha uderzyła go w głowę i Reilly wpadł w kłopot.

Tessa weszła z powrotem do wody i przytrzymała go jedną ręką; drugą ścisnęła kurczowo uchwyt na gumowej burcie motorówki. Zalewały ich fale. W strugach wody Tessa zobaczyła, że Reilly ma zamknięte oczy, a jego głowa obija się o sztywny kołnierz kamizelki ratunkowej. Krew sączyła się z głębokiego przecięcia na czole; morską wodą obmywała ranę i zaraz potem krew znów się pojawiała.

Próbowała go wepchnąć na łódź, ale szybko zdała sobie sprawę, że to zadanie ponad jej siły. Co gorsza, te próby ostatecznie ją wyczerpały. Motorówka była teraz raczej zbędnym balastem niż ostatnią deską ratunku. Napelniona wodą w każdej chwili mogła w nich uderzyć popchnięta przez falę. Z ciężkim sercem puściła uchwyt, którego się tak kurczowo trzymała, i objęła mocno Reilly'ego.

Patrzyła, jak motorówka odpływa zagarnięta przez kolejną falę. Ze wszystkich sił starała się utrzymać głowę Reilly'ego nad powierzchnią wody. Wydawało jej się, że to trwa wieki; powieki zaczęły jej opadać. Sztorm nie ustawał i Tessa wiedziała, że nie wolno jej zasnąć. Nie miała jednak sił, by wygrać tę bitwę – z minuty na minutę była coraz słabsza.

Spod półprzymkniętych powiek dostrzegła nadpływający spory kawałek drewna w odległości kilku metrów; przypuszczała, że to jakaś kłapa od włazu. Desperackim gestem wyciągnęła w tę stronę rękę, cały czas przyciskając do siebie Reilly'ego ramieniem. Udało jej się dosięgnąć i uchwycić jakąś linę, którą kłapa za sobą ciągnęła. Z trudem walcząc z sennością i z bólem, wciągnęła się sama, a potem Reilly'ego na płaski kawałek drewna, potem przywiązała ich oboje do deski liną tak mocno, jak potrafiła. Spięła pasy swojej kamizelki ratunkowej z kamizelką Reilly'ego. Cokolwiek się miało zdarzyć, już nic ich nie rozdzieli. W jakiś przedziwny sposób ta myśl dodała jej otuchy.

Sztorm szalał, ryczał wokół niej. Tessa z zamkniętymi oczami wciągała powietrze przez półotwarte usta, próbując się uspokoić. Przede wszystkim nie mogła wpaść w panikę. Musi zebrać siły, by nie zsunąć się z tego kawałka drewna i utrzymać na nim Reilly'ego. Oprócz tego nie mogła zrobić nic, była bezradna. Mogła się tylko położyć i pozwolić, by morze i wiatr gnały ich tam, dokąd zechcą ich pognać.

Miała wrażenie, że ich prowizoryczna tratwa na chwilę się zatrzymała; otworzyła oczy, zastanawiając się, czy jest to znak, że burza się uspokaja. Nie mogła być dalsza od prawdy. Tuż nad nimi wyrastała potężna fala – ta, która zatopiła „Savaronę”, była w porównaniu z nią dziecinną igraszką. Tessa miała wrażenie, że fala zastygła w bezruchu – jakby się droczyła.

Trzymała kurczowo Reilly'ego, zamknęła oczy i czekała na uderzenie, które w końcu przyszło. Masa wody runęła na nich niczym skała połykając ich tak gładko, jak wieloryb połyka plankton.

## Rozdział 79

TOSKANIA, STYCZEŃ 1293 ROKU.

Odwrócony plecami do nieustępliwego, przenikającego do szpiku kości północnego wiatru, Martin de Carmaux siedział skulony przy małym ognisku. Do wycia wiatru dołączał się ryk wodospadu, który na łeb, na szyję zlatywał w cieniłą głębię wąskiego jaru. Obok Martina okutany w wystrzępione pozostałości szaty, którą zabrał wiele miesięcy temu jednemu z mameluków zabitych w Beer al Sifsaaf, leżał Hugh. Jęczał nękany koszmarnym snem.

Podczas długiej podróży, którą zaczęli nazajutrz po tym, gdy zostali wyrzuceni na brzeg po zatonięciu „Świątyni Sokoła”, Martin bardzo polubił starego żeglarza. Oprócz Aimarda de Yilliers nigdy nie spotkał nikogo bardziej oddanego i zdeterminowanego, zachowującego przy tym niewzruszony stoicyzm wobec wszystkiego, co ich spotykało. Mieli za sobą długą i uciążliwą podróż. Żeglarz odnosił w potyczkach rany i mniej poważne obrażenia, których nie sposób było uniknąć podczas wędrówki, ale przemierzał kilometr za kilometrem bez słowa skargi.

Przynajmniej do dziś. Kilka dni temu świat skuła mrozem zima i nie wypuszczała go ze śmiertelnych objęć. Lodowate podmuchy wiatru z łańcucha górskiego, który oddzielał ich od Francji, sprawiły, że żeglarz powoli opadał z sił.

Przez pierwszych kilka tygodni po wyjeździe z Beer al Sifsaaf Martin nie rozpuszczał oddziału rozbitków, wiedząc, że dopóki są na terenach należących do muzułmanów, potrzebują siły, którą daje grupa. Gdy tylko opuścili ich terytorium, uznał, że nadszedł czas, by zrealizować plan Aimarda i rozdzielić się na dwie pary. Mieli przed sobą jeszcze wiele trudów i niebezpieczeństw, szczególnie groźne były bandy zbójców u podnóża Starej Planiny; do przebrnięcia pozostały im setki kilometrów, zanim dojdą do terytorium Wenecji, a niebezpieczeństwa były bardzo realne.

Postanowił, że najlepszy będzie prosty plan. Po rozdzieleniu się na dwie pary podążą tą samą trasą, oddaleni o pół dnia wędrówki od siebie. W ten sposób ci z przodu będą mogli ostrzec idących za nimi o niebezpieczeństwie, a dwaj zamykający pochód zdołają pomóc prowadzącym, gdyby ich spotkało jakieś nieszczęście.



– W żadnym razie – napominał ich – nie wolno oddawać nikomu listów. One są najważniejsze. Nawet jeżeli będzie to oznaczało pozostawienie któregoś z nas na pastwę losu.

Żaden z nich nie oponował.

Nie przypuszczał, że teren, którym przyjdzie im wędrować, będzie tak dziki. Na ich drodze wyrastały góry i głębokie uskoki, wartkie rzeki i gęste lasy. Wielokrotnie byli zmuszeni do zboczenia z trasy i wybrania drogi okrężnej. Odkąd się rozdzielili – on i Hugh maszerowali przodem – raz tylko widzieli swoich współtowarzyszy, wiele miesięcy temu.

Podczas marszu stracili konie, które albo zdechły, albo kupili za nie żywność; od wielu tygodni szli piechotą. Niejedną noc Martin przeleżał wyczerpany przy ognisku, nie mogąc zasnąć, i zastanawiał się, czy pozostali mieli więcej szczęścia. Może znaleźli łatwiejszą, bezpieczniejszą trasę i dotarli już do Paryża?

On planów nie zmieniał. Nie podda się i nie ustąpi. Musi iść dalej.

Kiedy patrzył teraz na śpiącego Hugh, przemknęła mu przez głowę nieprzyjemna myśl. Pomyślał, że jest mało prawdopodobne, by stary żeglarz dotarł z nim aż do Paryża. Zima robi się coraz ostrzejsza, teren jest coraz trudniejszy do pokonania, a suchy kaszel jego współtowarzysza – coraz gorszy. Tego wieczoru chwyciła go straszna gorączka i kaszłac, po raz pierwszy wypluwał krew. Choć przyznawał to przed sobą niechętnie, Martin wiedział, że wielkimi krokami zbliża się dzień, w którym będzie musiał zostawić Hugh i wyruszyć sam w dalszą drogę. Nie mógł jednak zostawić go bezbronnego u stóp tych gór. Stary żeglarz na pewno zamarzyłby na śmierć. Musiał znaleźć mu jakieś schronienie, jakieś miejsce, w którym będzie mógł zostawić przyjaciela, a potem iść dalej.

Dzień wcześniej widzieli w oddali małe miasteczko za pobliskimi górami. Leżało w pobliżu kamieniołomu, obok którego przechodzili; widzieli maleńkie sylwetki ludzi pracujących w pocie czoła pośród tumanów pyłu unoszącego się z olbrzymich bloków marmuru. Może tam znajdzie kogoś, komu będzie mógł powierzyć opiekę nad kapitanem.

Kiedy Hugh obudził się z niespokojnego snu, Martin podzielił się z nim swoimi przemyśleniami. Kapitan pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie – zaprotestował. – Musisz iść dalej, do Francji. Ja podążę za tobą, dopóki mi zdrowie pozwoli. Nie możemy polegać na obcych.

Rzeczywiście, miał rację. Mieszkańcy tych okolic słynęli z oszustw; nikt im nie dowierzał, a na północy krążyły bandy rozbójników i handlarzy ludźmi.

Nie zważając na protesty współtowarzysza, Martin zszedł w dół po skałach, które wyznaczały brzeg wodospadu. W nocy lekki śnieg otoczył wierzchołek góry upiorną białą płachtą. Martin szedł przez wąski przesmyk między skałami. Gdy się zatrzymał, by chwilę odetchnąć, zauważył, że na jednej ze ścian skalnych widnieje pęknięcie przypominające krzyż o szerokich ramionach, z którego templariusze uczynili swój symbol. Przystanął i rozmyślał chwilę o tych pęknięciach, traktując je jak dobry omen. Może Hugh w tej opuszczonej dolinie znajdzie spokój i zakończy szczęśliwie swoje dni.

W miasteczku Martina skierowano do domu tutejszego medyka, postawnego mężczyzny, któremu oczy łzawiły na mrozie. Rycerz opowiedział historię, którą wymyślił schodząc na dół – on i jego współtowarzysz są podróżnymi udającymi się do Ziemi Świętej.

– Mój towarzysz jest chory i potrzebuje pańskiej pomocy – błagał. Starszy mężczyzna spojrział na niego podejrzliwie. Stwierdził, że Martin wygląda jak wagabunda bez grosza przy duszy.

– Masz czym zapłacić? – spytał niechętnie.

– Mamy trochę pieniędzy – skinął głową. – Powinno wystarczyć na jedzenie i schronienie przez parę dni.

– A więc dobrze – wzrok mężczyzny złagodniał. – Sam wyglądasz, jakbyś miał za chwilę paść trupem. Wejdz i zjedz coś; powiesz mi, gdzie zostawiłeś przyjaciela. Wyślę ludzi, którzy pomogą mu zejść z gór.

Pełen nadziei Martin, widząc nagłą zmianę w postępowaniu i zachowaniu mężczyzny, wszedł do pomieszczenia z nisko sklepionym sufitem i z przyjemnością zasiadł do posiłku złożonego z chleba i sera. Faktycznie czuł się bliski omdlenia, a posiłek i picie było najlepszym lekarstwem dla jego znękanego ciała. Pochłaniając wielkimi kęsami chleb, wskazywał grań, na której zostawił Hugh; potężnie zbudowany mężczyzna po chwili wyszedł.

Kiedy Martin opróżnił talerz, poczuł dziwny niepokój, który wyłaniał się z wilgotnej mgły. Podeszedł do okna i wyjrzał ostrożnie na dwór. Na ulicy, którą pokrywało błoto i kałuże, medyk rozmawiał z dwoma mężczyznami, wskazując na dom. Martin odsunął się od okna. Kiedy spojrział ponownie, cyrulika nie było, a dwaj mężczyźni zmierzali w kierunku domu.

Czuł, jak napinają mu się mięśnie. Wiedział, że powodów może być wiele, ale obawiał się najgorszego. Potem zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie przez okno i zobaczył, jak jeden z mężczyzn wyciąga zza pasa olbrzymi sztylet.

Przeszukał pospiesznie wnętrze, rozglądając się za jakąś bronią; usłyszał pomruki i szepty za drzwiami prowadzącymi na tyły domu. Bezszelestnie przemknął na drugą stronę pomieszczenia, przycisnął ucho do drzwi i czekał. Widział, jak podnosi się żelazna zasuwka. Przywarł do ściany, kiedy otwierały się powoli.

Gdy pierwszy z mężczyzn ostrożnie wchodził do środka, Martin chwycił go za poły kaftana, wytrącając mu z ręki sztylet i rzucając prosto na kamienną ścianę. Skrzydłem drzwi uderzył prosto w twarz drugiego intruza – ten upadł na ziemię. Chwytając natychmiast sztylet, Martin skoczył na oszołomionego napastnika, chwycił go za szyję i wbił mu nóż między żebra.

Wyjął ostrze i puścił ciało mężczyzny, które opadło na podłogę; potem szybko się odwrócił i zobaczył, że pierwszy z mężczyzn wstaje. Martin zrobił kilka kroków przez pomieszczenie i kopniakiem powalił go z powrotem na ziemię, a następnie zatopił sztylet w jego plecach.

Teraz pospiesznie zebrał ze stołu wszystko, co było na nim do jedzenia i zrobił z tego zawiniątko. To będzie dla Hugh najlepsza pomoc. Wymknął się przez tylne drzwi i rozglądając wokół, okrążył miasto, aż dotarł do ścieżki prowadzącej w góry.

Nie trwało długo, zanim ruszyli jego śladem. Czterech, może pięciu mężczyzn; ich gniewne okrzyki odbijały się echem od ściany lasu.

Płatki śniegu, kręcąc się powoli, opadały z granatowego nieba, gdy Martin doszedł do skały, przy której wcześniej odpoczywał. Jego wzrok spoczął na naturalnym pęknięciu w kształcie krzyża. Rycerz się zatrzymał, przypominając sobie polecenie, które sam wydał swoim towarzyszom. Musiało to być wieki temu. Nie wolno wystawiać listu Aimarda na ryzyko. Czuł gonitwę myśli pod czaszką i nie spuszczał oczu z pęknięć w kształcie szerokiego krzyża na skalnej ścianie.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tego miejsca.

Zaczął sztyletem grzebać u podnóża skały, wykopał kilka kamieni wielkości pięści, potem wepchnął w zagłębienie list owinięty w skórę. Umieścił kamienie z powrotem na miejscu i dobił je obcasem podkutego buta. Wszedł dalej, nawet nie próbując zacierać za sobą śladów.

Wkrótce okrzyki ścigających go ludzi utonęły w dudniącym huku wodospadu. Kiedy jednak Martin dotarł do ich obozowiska, nie zastał Hugh tam, gdzie go zostawił. Obejrzał się za siebie i ujrzał ludzi, którzy na niego polowali. Było ich pięciu. Z tyłu za nimi chował się cyrulik, który go zdradził.

Martin chwycił w dłonie swój obosieczny miecz i wspinał się dalej w kierunku grani, nad

którą przetaczały się masy wody. Postanowił, że tam poczeka na przeciwników.

Pierwszy z nich, młodszy i silniejszy niż inni, wysforował się przed grupę i skoczył do niego, trzymając w dłoniach długie, ostre widły do siana. Martin odchylił się do tyłu i machnął mieczem, przecinając stylisko trójzębu niczym suchą gałązkę. Mężczyzna stracił równowagę i poleciał do przodu. Martin przystanął, łokciem uderzył napastnika w splot słoneczny, podniósł go i rzucił w przepaść za wodospadem.

Wrzask pierwszego napastnika wciąż brzmiał mu w uszach, kiedy dotarli do niego dwaj następni. Chociaż jako starsi z trudem łapali oddech, byli lepiej uzbrojeni. Pierwszy miał krótki miecz, który ósemkami przecinał teraz powietrze przed piersią Martina. Dla wyszkolonego rycerza, a takim był Martin, potyczka z nim była jak walka z małym dzieckiem. Raz odparował, a potem uderzył mieczem od dołu i broń mężczyzny zniknęła w odmętach wodospadu. Opuszczając miecz, Martin ugodził w ramię mężczyzny, niemal odcinając je od tułowia. Potem ustąpił w bok, robiąc unik przed trzecim mężczyzną. Ten nadbiegał w jego kierunku; Martin podstawił mu nogę i mężczyzna się wywrócił. Upadł na kolana. Rękojeścią miecza Martin zdzielił go w głowę i ostatecznie powalił. Potem odwrócił bieg miecza i jednym uderzeniem rozciął kręgosłup mężczyzny tuż przy karku.

Popatrzył w dół i ujrzał doktora, który potykając się o kamienie, zmykał, gdzie pieprz rośnie. Nagle poczuł potworny ból w plecach. Odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna, którego rozbroił, zdołał się podnieść i trzymał teraz w dłoni resztki trójzębu pierwszego napastnika. Z ostro zakończonych końców narzędzia kapała krew. Martin potknął się i upadł na kolana, a palący ból w plecach sprawił, że bezwiednie jęknął. Wstał, resztkami sił zamachnął się mieczem i rozplątał gardło napastnika.

Przez chwilę stał bez ruchu, czując, jak zmęczenie krępuje jego ciało niczym sieć. Poprzez huk wodospadu usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się na pięcie, jęcząc z bólu. Ostatni z pościgu pędził w jego kierunku ze starym przerdzewiałym mieczem w dłoni. Martin zbyt wolno reagował, ale zanim mężczyzna zdążył dotrzeć do niego ostrzem, z zarośli niepewnym krokiem wyszedł Hugh. Mężczyzna go zobaczył, odwrócił się i wbił ostrze miecza prosto w pierś starego żeglarza.

Spomiędzy warg Hugh wypłynęła krew; udało mu się jednak nie tylko ustać na nogach, ale ruszył do przodu, wpychając miecz głębiej w pierś, a jednocześnie zaciskając mocno dłonie na szyi ogłupiałego przeciwnika. Powoli i w wielkim bólu Hugh parł do przodu, popychając

napastnika i ani na sekundę nie wypuszczając go z żelaznego uścisku. Nie pomogły desperackie wysiłki wroga, który za wszelką cenę starał się uwolnić; wreszcie aż dotarli do krawędzi przepaści pod wodospadem. Mężczyzna, widząc, co się święci, krzyknął wniebogłosy, wciąż walcząc w żelaznym uścisku starego żeglarza.

Na chwilę zapominając o własnym bólu, Martin spojrział na Hugh wyprostowanego na skraju wodospadu i trzymającego mocno za szyję przeciwnika. Ten miotał się bezradnie. Martin pochwycił wzrok Hugh i zobaczył coś w rodzaju uśmiechu przemykającego po wargach jego kompana, potem ostatecznie braterskie skinienie głowy. Kapitan zatopionej „Świątyni Sokoła” postąpił krok w stronę przepaści, pociągając ze sobą przeciwnika w otchłań wieczności.

Gwałtowne uderzenie w tył głowy oszołomiło Martina i poczuł falę mdłości podchodzącą do samego gardła. Walcząc z bólem, okręcił się dookoła i półprzytomny ujrzał majaczącą nad nim postać cyrulika z wielkim głazem w dłoniach.

– Za mężczyznę z taką siłą uzyskam bardzo dobrą cenę w kamieniołomach, a dzięki tobie nie będę się musiał z nikim dzielić pieniędzmi – śmiał się cyrulik. – Trzeba ci wiedzieć, że kilku z tych, których dzisiaj zabiłeś, to krewniacy nadzorców z kamieniołomów.

Podniósł głaz wysoko nad głowę. Martin wiedział, że już nic nie odwróci jego losu; nie zdoła zapobiec zakuciu w łańcuchy, nie odzyska listu i nie podejmie podróży do Paryża. Leżał w świeżo spadłym śniegu, a przez jego głowę przemykały obrazy z przeszłości, sylwetki Aimarda de Yilliers i Williama de Beaujeu; kiedy kamień runął, ich twarze ustąpiły miejsca ciemności.

## Rozdział 80

Nad głową Tessy rozległ się grzmot, wyrrywając ją ze snu. Poruszyła się, powoli odzyskując na chwilę świadomość, i znów zapadła w sen; nie bardzo wiedziała, gdzie jest. Czuła, jak krople deszczu spadają jej na tył głowy. Każdy centymetr ciała bolał, jakby przeszło po niej stado słońi. W miarę jak zmysły powoli wracały do życia, z rosnącym przerażeniem słuchała świstu wiatru i odgłosu rozbijających się fal. Ostatnią zapamiętaną rzeczą była ściana wody, która miała ją pochłonąć. Owładnął nią nagły lęk i zastanawiała się, czy wciąż jest na morzu, zagubiona pośrodku sztormu, atakowana ze wszystkich stron przez grzywacze, a jednak... Coś było nie tak. Nie czuła się tak jak na morzu. I wtedy zrozumiała, co się zmieniło.

Już nie kołysała się na falach. Była na lądzie.

Strach ustąpił miejsca uldze. Próbowwała otworzyć oczy, ale powieki były mocno zaklejone. Postanowiła podejść do tego zadania powoli. Obraz świata był zamglony i niejasny. Wpadła w panikę, zanim zrozumiała, co zasłania jej widok. Uniosła w górę trzęsącą się dłoń i odsunęła z oczu mokre kosmyki włosów, które zakrywały jej twarz, a potem delikatnie dotknęła powiek. Były obrzmiałe, usta również. Próbowwała przełknąć ślinę, lecz nie mogła. Wydawało się jej, że w gardle ma gałązkę cierniową. Potrzebowała wody, ale nie tej słonej.

Powoli z rzeczywistości o rozmytych konturach zaczęły się wyłaniać wyraźniejsze obrazy. Niebo wciąż było zachmurzone i szare, ale czuła, że gdzieś tam z tyłu wschodzi słońce, a z huku fal rozbijających się o brzeg wywnioskowała, że z tamtej strony było również morze. Próbowwała usiąść, ale drugie ramię miała czymś przyciśnięte i nie mogła się poruszyć. Pociągnęła i poczuła falę przeszywającego bólu. Sięgając wolną ręką zorientowała się, że do ramienia ma przywiązaną linę, która wżyna się jej głęboko w skórę. Położyła się i przypomniała sobie, jak przywiązywała siebie i Reilly'ego do drewnianej klapy wjazdu.

Reilly. Boże, gdzie on jest?

Zdała sobie sprawę, że powinien być przy niej na drewnianej platformie, i nagle wrócił strach. Usiadła, próbowała wyswobodzić ramię; w końcu udało jej się wyrwać. Podciągnęła się na kolana i powoli wstała, rozglądając się dookoła. Zobaczyła długą, piaszczystą plażę ciągnącą się w kierunku skał, które z obu stron zamykały zatokę. Zrobiła kilka niepewnych kroków, rozglądając się po opuszczonej plaży i wyteżając oczy. Musiała siłą unosić półprzymknięte

powieki, ale niczego nie zobaczyła. Chciała wykrzyknąć jego imię, ale z rozpalonego gardła nie wydobyła żadnego dźwięku. Potem poczuła falę mdłości, zrobiło jej się słabo, zachwiała się i znów upadła na kolana. Opadła z sił; chciało jej się płakać, ale nawet do tego nie była zdolna.

Przewaliła się prosto w piasek, zupełnie pozbawiona sił i nadziei.

Kiedy się obudziła, wszystko było inaczej. Po pierwsze, wokół panowała cisza. Żadnego wycia wiatru, żadnych uderzeń fal o brzeg. Chociaż słyszała gdzieś w tle krople deszczu, wokół panowała niebiańska cisza. I jeszcze łóżko. Nie żadna deska, ani poduszka z piasku. To było prawdziwe, najprawdziwsze łóżko.

Przełknęła ślinę i natychmiast poczuła w gardle poprawę, a kiedy się rozejrzała wokół, wszystko zrozumiała. Nad nią wisiał na małym chromowanym wisiorniku pojemnik z kroplówką, a plastikowa rurka kończyła się gdzieś w jej ramieniu. Rozejrzała się pospiesznie dookoła. Była w małym, bardzo prosto i zwyczajnie umeblowanym pokoju. Obok jej posłania stało krzesło z giętego drewna i stolik nocny. Na stoliku karafka i szklanka na białej haftowanej serwetce z nieco postrzępionymi brzegami. Ściany były pomalowane na biało i nagie, tylko mały drewniany krzyż wisiał nad jej głową.

Próbowała wstać, ale czuła, że odplywa. Łóżko trzeszczało, gdy się poruszała, i ten dźwięk odbijał się echem od ścian pokoju. Usłyszała kroki i kilka niewyraźnych słów; jakaś kobieta mówiła zaniepokojonym głosem, a za chwilę Tessa ją zobaczyła, uśmiechniętą, spoglądającą na nią z troską. Była masywnie zbudowana, dobrze po czterdziestce, miała oliwkową skórę i brązowe loki związane apaszką. Promieniała życzliwością i współczuciem.

– Doxa to Theo. Pos esthanese?

Zanim Tessa zdążyła odpowiedzieć, do pokoju szybkim krokiem wpadł mężczyzna; był zachwycony, że się obudziła. Miał okulary w drucianych oprawkach, skórę w kolorze miedzi, a gęste ciemne włosy zaczesane do tyłu błyszcząły jak czarna emalia. Wypowiedział kilka słów do kobiety w tym samym obcym języku, a potem uśmiechnął się do Tessy i spytał o coś, ale ona czuła się jak na tureckim kazaniu.

– Przepraszam – wymamrotała łamiącym się głosem. Odchrząknęła. – Nie rozumiem...

Mężczyzna wyglądał na zdumionego, wymienili z kobietą pytające spojrzenia, a potem zwrócił się jeszcze raz do Tessy.

– Niech pani wybaczy, myślałem, że pani jest... Czy pani jest Amerykanką? – spytał angielszczyzną zabarwioną ciężkim, obcym akcentem, sięgając do stolika i podając jej szklankę

wody.

– Tak. – Tessa upiła łyk, zanim przytaknęła.

– Co się z panią stało?

– Byłam na statku, potem trafiliśmy na potężny sztorm i... – szukała słów. Głos jej przycichł. Próbowała w zamglonych obrazach odnaleźć jakąś prostą ścieżkę, sformułować jakieś pytania. – Gdzie ja jestem? Jak się tu dostałam?

Mężczyzna pochylił się nad nią i przyłożył jej dłoń do czoła, jednocześnie odpowiadając:

– Nazywam się Costa Mavromaras. Jestem lekarzem, a to moja żona, Eleni. Znaleźli panią na plaży w Marathounda rybacy i tu do nas przywieźli.

– Gdzie jest to tu? – Nazwiska i akcent były zupełnie nie do wiary.

– W naszym domu. W Yialos – uśmiechnął się Mavromaras. Jej twarz wciąż musiała wyrażać zdumienie, bo lekarz zmarszczył brwi, robiąc podobną minę.

– W Yialos. Na wyspie Symi. – Wyjaśnił, a potem przerwał, przyglądając się jej badawczo. – A pani sądziła, że gdzie?

Tessa miała mętlik w głowie. Na Symi? Co ona robi na jakiejś greckiej wyspie? Przez głowę przelatowała jej lawina pytań. Wiedziała, że wyspa Symi leży w archipelagu Dodekanezu, gdzieś niedaleko wybrzeży Turcji, ale chciała wiedzieć dokładnie, gdzie to jest i jak się tu dostała. Chciała wiedzieć, jaki jest dzień, kiedy się tu znalazła i ile czasu upłynęło, odkąd sztorm zatopił „Savarone”, jak długo dryfowała po morzu... Ale to wszystko musiało poczekać. Było coś, co interesowało ją najbardziej.

– Był ze mną mężczyzna – zaczęła drżącym głosem. – Czy rybacy znaleźli jeszcze kogoś? – zapytała. Przeraziła się, bo słysząc jej pytanie, lekarz uśmiechnął się niepewnie. Patrzyła w napięciu, jak starszy pan i jego żona wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Odwrócił się do Tessy i skinął głową, ale dość melancholijnie. Spodziewała się, że usłyszy to, co najgorsze – Tak, znaleźli kogoś na tej samej plaży, ale obawiam się, że jego stan jest znacznie poważniejszy niż pani. Tessa już miała nogi na dywanie.

– Muszę go zobaczyć – powiedziała zdecydowanie. – Proszę.

Nogi się pod nią ugięły, choć i tak ledwo ją niosły przez te kilka metrów korytarzykiem do sąsiedniego pokoju, gdy zobaczyła Reilly’ego. Czaszkę miał obwiązaną szerokim, czystym bandażem; nie widziała krwi. Pod lewym okiem i na policzku zobaczyła ogromny żółty siniec, obie powieki były napuchnięte i zacisnięte, a usta posiniaczone i spękane. Z jego ramienia, tak



jak z jej, wystawała rurka prowadząca do worka z kroplówką, ale on miał jeszcze na twarzy maskę tlenową, a stojąca obok maszyna pompowała głośno powietrze. Najgorszy był jednak kolor jego skóry. Był sinawy, jakby z Reilly'ego uszła cała krew.

Tessa czuła, że coś w niej pęka, kiedy Mavromaras pomagał jej usadowić się w fotelu przy łóżku Reilly'ego. Deszcz za oknem nie ustawał. Lekarz opowiadał, jak rybacy ich znaleźli, gdy sprawdzali stan łodzi na plaży na wschodnim brzegu wyspy. Przywieźli ich, pędząc co sił w strugach deszczu, przecinając rozmyte wodą drogi wyspy, by dotrzeć do miasta i do jego małej kliniki. Było to dwa dni temu.

Jej stan w zasadzie doktora nie martwił. Serce szybko zareagowało na podawaną kroplówkę. I chociaż tego nie pamiętała, co chwilę budziła się i znowu traciła przytomność. Natomiast stan Reilly'ego był znacznie poważniejszy. Stracił dużo krwi. Płuca miał słabe, choć wydolne. Najpoważniejsze było uderzenie w głowę. Mavromaras sądził, że czaszka nie jest uszkodzona, chociaż nie był tego pewien. Na wyspie nie mieli aparatury i nie mógł mu zrobić prześwietlenia. Tak czy inaczej, Reilly doznał poważnego urazu głowy. Od kiedy znaleziono go na plaży na wpół przytopionego, ani razu nie odzyskał przytomności.

Tessa poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy.

– Jak pan sądzi, doktorze?

– Oznaki życia są w normie, podnosi się ciśnienie krwi, ale oddycha bardzo słabo, chociaż sam, bez pomocy. Respirator założyłem po to, żeby go przewentylować, by dostateczna ilość tlenu docierała do mózgu, kiedy jest nieprzytomny. A oprócz tego...

– Myśli pan, że zapadł w śpiączkę? – poczuła, jak krew uderza jej do głowy, gdy odważyła się zadać lekarzowi to pytanie.

– Tak sądzę – Mavromaras spojrział na nią z poważnym wyrazem twarzy.

– Ma pan wszystko, czego mu trzeba? To znaczy, przepraszam, zastanawiam się, czy nie należałoby go zawieźć do szpitala?

– To mała wyspa i niestety, nie ma tu szpitala. Najbliższy jest na Rodos. Dzwoniłem do nich, ale trzy dni temu helikopter ratunkowy został uszkodzony podczas lądowania w czasie burzy, i na razie czekają, aż przyleci ktoś z Aten z częściami zamiennymi. I tak by nie wystartował, bo jeszcze szaleje sztorm. Ci z Rodos mi mówili, że pogoda powinna się poprawić już jutro... Mówiąc szczerze, nie wydaje mi się jednak, żeby przenoszenie go gdziekolwiek w tym stanie wyszło mu na dobre. Lepiej mu tam nie będzie; mogą zrobić dla niego naprawdę niewiele więcej

niż ja. Najwyżej go podłączą do jakichś bardziej zaawansowanych urządzeń monitorujących, których tutaj nie mamy.

Tessa poczuła, że mgła owijająca gęsto pokój jeszcze bardziej gęstnieje.

– Musi być coś, co można zrobić – wyjąkała.

– Obawiam się, że w śpiączce nie bardzo. Mogę kontrolować ciśnienie, zawartość tlenu we krwi, ale nie ma sposobu, żeby – przerwał, szukając właściwego słowa – kogoś ze śpiączki wybudzić. Po prostu musimy czekać.

– Jak długo? – Aż bała się zapytać. W końcu jednak to wydukała. Rozłożył bezradnie dłonie. Nie był pewien.

– Może godziny, dni, a nawet tygodnie... Tak naprawdę nikt tego nie wie... – głos mu ścichł, w oczach wyczytała resztę. Oczywiście było, że to nie jest tylko kwestia „kiedy”.

Tessa podziękowała mu skinieniem głowy za to, że nie wypowiedział głośno, co grozi Reilly’emu. Jej ta myśl nie odstępowała od chwili, gdy weszła do jego pokoju.

## Rozdział 81

Tessa przez resztę dnia przemykała między swoim pokojem a pokojem Reilly'ego. Patrzyła na niego zaniepokojona, choć za każdym razem spotykała przy jego łóżku Eleni. Pielęgniarka delikatnie zaganiała ją z powrotem do łóżka, zapewniając łamaną angielszczyzną, że Reilly niedługo wyzdrowieje.

Opowiedziała lekarzowi i jego żonie niezbyt prawdziwą wersję wydarzeń, które sprowadziły ją i Reilly'ego na tę wyspę, nie wspominając zupełnie o tym, po co wybrali się na morze, ani o tym, że otworzyła do nich ogień turecka kanonierka. Powiedziała, że na statku byli inni ludzie – na wypadek, gdyby ktoś został odnaleziony, żywy lub martwy. Ale Mavromaras poinformował ją z ponurą miną, że chociaż znaleziono jakieś szczątki wyrzucone na brzeg, kto wie, może nawet pochodzące z ich statku, nie słyszał nic o rozbitkach ani odnalezionych ciałach.

Zadzwoiła do Arizony, łącząc się bezpośrednio z domem ciotki. Kim i Eileen były zaniepokojone, bo nie miały od niej przez kilka dni żadnych wiadomości. Ich zdziwienie, kiedy usłyszały, że jest na małej greckiej wyspie, wyczuwała nawet wśród trzasków i dziwnych pogłosów połączenia. Pamiętała o tym, żeby nie wymówić nazwy wyspy; kiedy się później zastanawiała, dlaczego właściwie, zdała sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowa na pytania ze świata zewnętrznego. Odłożyła słuchawkę i pomyślała, że udało jej się na jakiś czas je uspokoić; już nie musiały się martwić o nią, była bezpieczna. Powiedziała im, że bada nadarżającą się całkiem przypadkiem sposobność rozpoczęcia nowych wykopalisk w tym obszarze i niedługo znów się odezwie.

Tuż przed zachodem słońca dwie kobiety z miasteczka pojawiły się w drzwiach domu doktora, po czym wprowadzono je do pokoju Tess. Chociaż znały tylko kilka słów po angielsku, w końcu zrozumiała, że są żonami rybaków, którzy znaleźli ją na plaży. Kobiety przyniosły jej jakieś ubranie: parę bawełnianych spodni, koszulę nocną, kilka białych bluzek i gruby sweter, w który natychmiast wskoczyła. Przyniosły ze sobą również ogromne gliniane naczynie pełne gorącego giouvetsi, a Eleni wyjaśniła jej, że to zapiekanka z jagnięciny i ryżu. Tessa z wdzięcznością zatopiła łyżkę w potrawie, zdumiona tym, jak szybko znika z talerza; nie posądzała się o taki apetyt.

Później cudów dokonała gorąca kąpiel, bo ostatecznie wypędziła z jej mięśni zmęczenie.

Mavromaras zmienił jej opatrunek na purpurowym siniaku od liny, który wyglądał, jak gdyby miał zostać tam na całe życie. Potem, mimo łagodnych prób zniechęcenia przez gospodarza, spędziła większość wieczoru u boku Reilly'ego. Okazało się, że nie potrafi z nim rozmawiać, tak jak niekiedy rozmawiają ludzie ze swoimi najbliższymi pogrążonymi w śpiączce. Wątpiła, czy to rzeczywiście by mu pomogło. Nie była pewna – z uwagi na to wszystko, co się stało – że właśnie jej głos chciałby najbardziej usłyszeć. Obwiniła się za wszystko, co oboje przeszli, i przynajmniej tyle chciała mu powiedzieć. Ale pragnęła z nim porozmawiać, usłyszeć, co jej na to odpowie. Nie chciała mu się narzucać w sytuacji, kiedy był w najlepszym razie unieruchomionym słuchaczem, a w najgorszym – w ogóle nie słyszał.

Przed północą w końcu padała ze zmęczenia. Wykończona także emocjonalnie wróciła do swojego pokoju. Zasnęła natychmiast z głową wsuniętą między dwie poduszki.

Następnego dnia rano Tessa poczuła się dość silna, żeby wyjść z domu i rozprostować mięśnie, spacerując. Wiatr wciąż dmuchał, chociaż deszcz powoli ustawał. Krótki spacer powinien dobrze jej zrobić.

Ubrała się pospiesznie i zajrzała do Reilly'ego. Siedziała przy nim jak zwykle Eleni, delikatnie masując mu stopy. Wkrótce zjawił się Mavromaras i zbadał pacjenta. Stan Reilly'ego był stabilny, jak stwierdził, ale nie uległ specjalnej poprawie. Wyjaśnił Tessie, że w takich przypadkach poprawa nie następuje stopniowo. Wszystko dzieje się w zasadzie od razu. Reilly będzie nieprzytomny, a chwilę potem może się wybudzić ze śpiączki bez żadnych wcześniejszych oznak.

Mavromaras musiał pojechać do innego pacjenta po drugiej stronie wyspy i obiecał, że wróci za kilka godzin. Tessa spytała, czy może go odprowadzić do samochodu.

– Dostałem dziś rano telefon z lotniczego pogotowia ratunkowego na Rodos – powiedział, kiedy wychodzili z domu. – Mogą przylecieć choćby jutro.

Chociaż Tessa przedtem bardzo chciała wysłać Seana do prawdziwego szpitala, teraz nie była przekonana.

– Myślałam o tym, co pan mówił, doktorze. Czy pan sądzi, że powinniśmy go tam przewieźć?

– Szczerze mówiąc, to zależy tylko od pani. – Twarz lekarza rozjaśnił łagodny uśmiech. – To bardzo dobry szpital i znam jego dyrektora, będą się pacjentem dobrze opiekować, zapewniam panią. – Dojrzał chyba rozterkę na jej twarzy, bo zaraz dodał: – Nie musi pani teraz podejmować

decyzji. Zobaczymy, jak będzie się czuł jutro rano, i wtedy coś postanowimy.

Przeszedł przez ulicę, omijając większe kałuże, i dotarł do lekko zardzewiałego peugeota. Uchylił drzwi, które jak zauważyła Tessa, nie były zamknięte na kluczyk.

Spojrzała w górę i w dół wąskiej uliczki. Nawet przy zachmurzonym niebie widok miasteczka zapierał dech w piersiach. Dom po domu, jedna obok drugiej wzdłuż ulicy stały neoklasycystyczne budowle pomalowane na ciepłe, pastelowe kolory. Ciągnęły się w górę stromego wzgórza, a potem spadały w dół aż do przystani. Wiele z nich miało nad portalami sztukaterie i czerwoną dachówkę – zachowano jednolity styl architektoniczny. Deszczówka pluskała w przepelnionych rynsztokach po obu stronach ulicy i płynęła po stromych schodach przecinających wzgórze. Ciemnoszare niebo wciąż wyglądało tak, jakby miało za chwilę wyrzucić strugi deszczu.

– To był porządny sztorm – rzuciła Tess. Mavromaras spojrzał na chmury i skinął głową.

– Najstarsi ludzie u nas takiego nie pamiętają. Zwłaszcza o tej porze roku.

Tessa przypomniała sobie sztorm, który zatopił „Świątynię Sokoła” setki lat temu, i mruknęła pod nosem:

– Dzieło Boga.

– Być może – lekarz uniósł w górę brwi, zdziwiony jej komentarzem. – Ale jeśli chce pani myśleć w tych kategoriach, powiedziałbym raczej, że to cud.

– Cud?

– Oczywiście. Cud, że pani i pani przyjaciel znaleźliście się na plaży na tej wyspie. To jest ogromne morze. Trochę bardziej na północ i wylądowałibyście w Turcji, w dodatku w miejscu, w którym wybrzeże jest skaliste i kompletnie wyludnione. Miasta znajdują się po drugiej stronie półwyspu. Nieco dalej na południe przepłynęlibyście obok wyspy, zagnałoby was na Morze Egejskie i wtedy... – uniósł w górę oczy i skinął głową Wszechwiedzącemu, nie kończąc myśli. Potem wzruszył ramionami i rzucił torbę lekarską na siedzenie pasażera. – Muszę jechać. Wracam po południu.

Tessa nie chciała, żeby już odjeżdżał. W jego obecności czuła się rażniej.

– Czy mogę mu jakoś pomóc?

– Pani przyjaciel jest w dobrych rękach. Moja żona to doskonała pielęgniarka, a chociaż to, co tu pani widzi, jest niepodobne do tego, co widywała pani zapewne w szpitalach w Ameryce, proszę mi wierzyć, że mamy sporo doświadczenia w leczeniu najróżniejszych obrażeń. Nawet na

takiej małej wyspie jak nasza ludzie miewają wypadki. – Przerwał, pomyślał o tym przez chwilę, przyjrzał jej się badawczo i dodał: – Czy pani z nim rozmawiała?

– Czy z nim rozmawiałam? – Tessa była zaskoczona tym pytaniem.

– Powinna pani to zrobić. Niech pani z nim jak najwięcej rozmawia. Pubudzi go to, doda mu sił. – Jego ton był niemal ojcowski, lekarz uśmiechnął się i lekko pokręcił głową. – Pewnie myśli pani sobie, że jestem jakimś znachorem z małego miasteczka. Niech mi pani wierzy, że to skuteczne. To potwierdzają liczne badania naukowe i artykuły znakomitości medycznych. Z tego, że jest w śpiączce, nie wynika, że nic nie słyszy. Oznacza to tylko, że nie potrafi odpowiedzieć... Na razie. – Przerwał, a jego oczy patrzyły z ufnością i współczuciem. – Niech pani z nim rozmawia... Niech pani się modli, żeby to się dobrze skończyło.

– W tym nie jestem za dobra – Tessa zaśmiała się i odwróciła wzrok zawstydzona.

– Na swój sposób, chociaż może nie zdaje pani sobie z tego sprawy, już to pani robi – Mavromaras nie dał się przekonać. – Modli się pani za niego, myśląc o nim, chcąc, żeby wrócił do zdrowia. Wielu ludzi się za niego modli. – Lekarz wskazał dłonią małą kaplicę po drugiej stronie drogi. Tessa zobaczyła Greków witających się przy bramie z tymi, którzy wychodzili, podczas gdy oni wchodzili do środka. – Wielu ludzi na tej wyspie żyje z morza. Tej nocy, kiedy uderzył sztorm, na wodzie były cztery łodzie. Rodziny rybaków modliły się żarliwie do Boga i do Michała Archanioła, patrona tych, co na morzu, żeby wrócili szczęśliwie. I ich modlitwy zostały wysłuchane. Wszyscy przyплыnęli do domu bez szwanku. Teraz znów modlą się w kaplicy, to modlitwy dziękczynne. I modlitwy za powrót do zdrowia pani przyjaciela.

– Modlą się za to, żeby wrócił do zdrowia?

– Wszyscy się za niego modlimy – doktor skinął głową.

– Ale nawet go nie znacie.

– To bez znaczenia. Morze wyrzuciło go tutaj, na naszą wyspę, i naszym obowiązkiem jest pielęgnować go tak długo, aż wróci do zdrowia i zacznie żyć tak, jak żył przedtem. – Lekarz wsiadł do samochodu. – Teraz naprawdę już muszę jechać. – I kiwnąwszy do niej dłonią na pożegnanie, odjechał przez kałuże błotnistej wody, a potem zniknął za wzgórzem.

Tessa patrzyła za nim przez chwilę. Odwróciła się, żeby wrócić do domu, a potem się zawahała. Rzadko zdarzało jej się bywać w kościele czy w ogóle w jakimś miejscu kultu religijnego.

Wyjątkiem była praca i oczywiście, krótki pobyt w wypalonym kościele na Manhattanie.

Manewrując między kałużami przez błotnistą drogę, dotarła do małego wyłożonego kamyczkami podwórca, pchnęła bramę i weszła do środka.

W kaplicy ludzie siedzieli na starych, wytartych przez lata użytkowania, ławkach pogrążeni w modlitwie. Stała z tyłu i rozglądała się dookoła. Kaplica była prosta, niewyszukana; na białych ścianach widniały osiemnastowieczne freski, oświetlały ją płomienie dziesiątek świec. Idąc wzdłuż ścian, zauważyła niszę, w której wisiały srebrne ikony świętego Gabriela i świętego Michała ozdobione drogimi kamieniami. Zauroczyło ją pełgające światło świec i przyciszone modlitwy. Poczula, że ogarnia ją dziwne uczucie. Miała ochotę uklęknąć i pomodlić się. Nie bardzo wiedziała, co zrobić z tą zachcianką, i odepchnęła ją od siebie, przekonana, że to z jej strony hipokryzja.

Już się odwracała, żeby wyjść, kiedy ujrzała dwie kobiety, te same, które przyniosły jej wczoraj jedzenie i ubrania. Było z nimi dwóch mężczyzn. Kobiety również ją dostrzegły i podeszły uradowane, że Tessa już tak dobrze się czuje. Kręciły się koło niej jak kwoki, powtarzając w kółko: Doxa to Theo, a chociaż nie rozumiała, co mówią, uśmiechała się i potakiwała, poruszona ich troską. Tessa domyśliła się, że ci mężczyźni to ich mężowie, czyli rybacy, którzy również wymknęli się ze śmiertelnych objęć sztormu. Pozdrowili ją ciepło. Jedna z kobiet pokazała ręką las świeczek w nawie za kaplicą i coś do niej powiedziała. Tessa na początku nie rozumiała, ale stopniowo do niej dotarło, że obie zapaliły świece w intencji Reilly'ego.

Tessa podziękowała im i spojrzała w kierunku nawy kaplicy na grupki mieszkańców miasta siedzących w ławkach, połączonych w modlitwie, oświetlonych światłem kąpiących woskiem świec. Stała chwilę, a potem odwróciła się i ruszyła w kierunku domu.

Resztę przedpołudnia Tessa spędziła przy łóżku Reilly'ego. Początkowo z oporami, w końcu jednak zaczęła do niego mówić. Unikała powracania do ostatnich wydarzeń, a wiedziała tak niewiele o jego życiu, że postanowiła trzymać się własnej przeszłości; opowiadała mu o przygodach podczas wykopalisk, o swoich sukcesach i porażkach, o Kim – wszystko, co tylko jej przyszło do głowy.

Około południa Eleni weszła do pokoju i zaprosiła Tessę na obiad. Nie mogła wybrać lepszego momentu. Tessie kończyły się tematy i nieuchronnie dochodziła do tego, co przeżyli razem. Nie czuła się jeszcze na siłach, żeby omawiać z nim to, tym bardziej że Reilly był wciąż nieprzytomny.

Mavromaras już wrócił i Tessa poinformowała go, że przemyślała sprawę i nie zamierza przewozić Reilly'ego na Rodos. Woli zatrzymać go tu, gdzie jest, jeżeli doktor i jego żona zechcą ich jeszcze jakiś czas u siebie gościć. Odniosła wrażenie, że jej decyzję przyjęli z zadowoleniem. Usłyszała z ulgą, że ona i Reilly mogą zostać dopóty, dopóki nie będzie konieczne podjęcie jakiejś radykalnej decyzji w sprawie jego zdrowia.

Tessa spędziła resztę dnia i większość następnego przedpołudnia przy łóżku Reilly'ego, ale po obiedzie poczuła, że musi się trochę przewietrzyć. Sztorm już się wycofał, i postanowiła wypuścić się trochę dalej.

Wiała lekka bryza, a deszcz w końcu zupełnie ustał. Mimo zasłony z ciężkich czarnych chmur nad wyspą, miasteczko naprawdę jej się podobało. Nieskażone nowoczesną architekturą zachowało urok i atmosferę przeszłości. Okazało się, że wąskie uliczki i kolorowe domy ją uspokajają, a uśmiechy przechodniów napawają otuchą. Mavromaras opowiadał jej, jak im było ciężko na Symi po drugiej wojnie światowej, bo większość mieszkańców spakowała manatki i wyjechała stąd, obawiając się bombardowań zarówno aliantów, jak i państw osi, którzy na przemian okupowali wyspę. W ostatnich latach wyspiarzom dopisywało szczęście. Wyspa ożyła, bo i Ateńczycy, i obcokrajowcy przyjeżdżali ją podziwiać, kupowali stare domy i restaurowali je z pieczołowitością, przywracając im dawny blask.

Wspięła się po kamiennych schodach, przeszła obok starego muzeum i dotarła do pozostałości zamku, który zbudowali rycerze od świętego Jana w początkach piętnastego wieku na fundamentach znacznie starszej fortyfikacji. Zamek wyleciał w powietrze przez przypadek; Niemcy trzymali tam podczas wojny amunicję. Tessa błądziła po starożytnych ruinach, zatrzymała się przy tablicy poświęconej Filibertowi de Niallac, francuskiemu wielkiemu mistrzowi zakonu rycerskiego. Znów rycerze, nawet na tej małej zagubionej wyspie, pomyślała, przypominając sobie templariuszy. Z podziwem oglądała spektakularne widoki na przystań i morze, na którym gdzieś widać było białą pianę fal. Patrzyła, jak jaskółki koszącym lotem wpadają w gałęzie drzew rosnących przy starych wiatrakach, a potem wypadają pomiędzy liści; zobaczyła samotny kuter, który miał odwagę wypuścić się na połów z sennego portu. Obrzucając spojrzeniem szeroki, błękitny przestwór morza otaczającego wyspę, poczuła w sercu niepokój. Próbując się go pozbyć, postanowiła iść na tę plażę, na której znaleziono ją i Reilly'ego.

Ruszyła w stronę głównego placu miasteczka i zaczepiła jakiegoś przechodnia, który



akurat zamierzał jechać do monasteru w Panormitis znajdującego się tuż za Marathoundą. Po krótkiej jeździe na wyboistej drodze kierowca wysadził ją na skraju miasteczka. Kiedy szła między małymi domkami, natknęła się na owych dwóch rybaków, którzy odnaleźli ją i Reilly'ego. Ucieszyli się ze spotkania i uparli, że musi z nimi iść na kawę do małej tawerny nieopodal... Tessa chętnie przyjęła zaproszenie.

Chociaż rozmowa kuląła z powodu bariery językowej, Tessa zrozumiała, że znaleziono więcej szczątków rozbitego statku. Zaprowadzili ją na małe wysypisko za tawerną i pokazali kawałki drewna i pleksiglasu, które zostały przyniesione z plaż po obu stronach zatoki. Tessa przypomniała sobie sztorm i zatonięcie statku, poczuła smutek na myśl, że na pokładzie „Savarony” stracili życie ludzie, których ciała nigdy nie zostaną odnalezione.

Podziękowała im i niebawem szła wzdłuż opuszczonej, wietrznej plaży. Bryza niesła świeży powiew morza. Tessa zobaczyła, że słońce nieśmiało przebija się przez chmury, robiąc miejsce dla błękitnego nieba po długiej nieobecności. Szła powoli brzegiem, kopiąc stopami w mokrym piasku, a jej wyobraźnię wypełniały zamglone obrazy tamtego poranka.

Dotarła do wypiętrzenia czarnych, bazaltowych skał na samym końcu plaży, którego nie było widać z miasteczka. Wspięła się na nie, znalazła płaski kawałek kamienia i usiadła; objęła ramionami kolana i spojrzała znów na morze. Trochę dalej z wody wystawała skała, o którą rozbijały się spienione grzywacze. Wyglądała bardzo groźnie; była to jedna z tych raf, których jej i Reilly'emu szczęśliwie udało się uniknąć. Usłyszała krzyki mew i zobaczyła w górze dwa ptaki spadające łukiem ku wodzie, by walczyć o martwą rybę.

Nagle zdała sobie sprawę, że po policzkach płyną jej łzy. Nie łkała, nawet nie płakała. Łzy po prostu płynęły, nagle się pojawiły znikąd. I tak samo nagle, jak się pojawiły, wyschły, a ona zdała sobie sprawę, że drży, ale nie z zimna. Było to coś bardziej pierwotnego, co wychodziło z głębi jej serca. Chciała otrząsnąć się z tego uczucia, wstała więc i ruszyła dalej, przedzierając się przez kamienie i skały do wąskiej ścieżki, która wiła się wzdłuż brzegu.

Ruszyła drożyną, pokonała trzy kolejne kamienne przeszkody, a potem dotarła do samotnej zatoki na południowym krańcu wyspy. Miała wrażenie, że nie dochodziły tu żadne drogi. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż linii wody rozciągał się półksiężyc dziewiczego piasku, który kończył się jeszcze jednym wypiętrzeniem czarnych kamieni, rosnących u góry w potężną pochyłą skałę.

Spojrzała na plażę, oświetloną teraz rozmytym światłem późnego popołudnia, i jej uwagę przyciągnął dziwny kształt. To coś leżało na drugim końcu zatoki pod skałami. Zmrużyła oczy,

skupiając wzrok na tym przedmiocie, i nagle zaczęła szybciej oddychać, a w ustach jej zaschło. Serce waliło znów jak oszalałe.

To niemożliwe, pomyślała. To niemożliwe.

A potem biegła po piasku, łapiąc z trudem powietrze, aż znalazła się o metr od tego, co zobaczyła ze skał. Zatrzymała się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Przed nią leżała opleciona linami rzeźbiona głowa sokoła, częściowo owinięta pomarańczowymi pływakami, z których niemal zupełnie uszło powietrze.

Wyglądała na nietkniętą.

## Rozdział 82

Tessa wyciągnęła niepewnie rękę i dotknęła rzeźby. Przebiegła po niej opuszkami palców. Oczy miała szeroko otwarte. Wyobraźnia pędziła ją przez przeszłość do epoki templariuszy, do Aimarda i jego ludzi, do ich ostatniej pechowej podróży morskiej na pokładzie „Świątyni Sokoła”.

Wyobrażała sobie tysiące różnych rzeczy, próbowała sobie przypomnieć słowa Aimarda. Co on dokładnie napisał? Szkatułkę umieszczono w pustej przestrzeni, którą wyrżnięto dłutem z tyłu głowy sokoła. Resztę skrytki wypełniono żywicą, a potem włożono na swoje miejsce i wpasowano kawałek drewna, który przybito drewnianymi kołkami. I ten kawałek drewna też zalano żywicą.

Przyjrzała się dokładnie tylnej części głowy sokoła. Udało jej się wypatrzyć miejsca, w które wlano żywicę, a badając drewno doświadczonymi palcami archeologa, znalazła krawędzie wieka, którym zamknięto skrytkę. Potem wyczuła pod palcami drewniane kołki. Wszystkie zabezpieczenia wyglądały na nienaruszone i miała nadzieję, że w przestrzeń uszczelnioną żywicą nie wdarła się woda. Istniało spore prawdopodobieństwo, że to, co ukryto wewnątrz, znajduje się tam wciąż nienaruszone.

Rozejrzała się dookoła i znalazła dwa kamienie, którymi posłużyła się jak młotkiem i dłutem, żeby dostać się do środka. Pierwsze kilka warstw drewna odłamało się łatwo, ale reszta nie chciała puścić. Rozejrzała się znów po plaży i znalazła jakiś zardzewiały stalowy pręt. Za pomocą ostrzejszego złamanego końca przedarła się przez warstwę żywicy. Pracując gorączkowo, całkowicie niepomna wszelkich zasad konserwacji, przy których jako archeolog upierałaby się jeszcze kilka tygodni temu, wdarła się niecierpliwie pod drewniane wieko do pustej przestrzeni. Widziała teraz przed sobą krawędź małej, bogato zdobionej skrzynki. W pocie czoła wydierała żywicę otaczającą szkatułkę; w końcu za pomocą stalowego pręta udało jej się ją naruszyć. Włożyła do środka palce i z wysiłkiem wyciągnęła ją ze środka.

Znów powróciła fala ekscytacji. Tessa próbowała się opanować, ale było to niemożliwe. Naprawdę to miała. Trzymała to w rękach. Szkatułkę ozdobiono wymyślnymi srebrnymi ornamentami i była zadziwiająco lekka. Tessa zaniósła ją na skraj skały, by się jej dokładnie przyjrzeć. Zobaczyła wymyślną żelazną zasuwkę; nie był to zamek, ale pierścień z kutego żelaza.

Uderzała kilka razy kamieniem i w końcu odpadł; uniosła wieko szkatułki i zajrzała do środka.

Ostrożnie wyciągnęła zawartość. Był to pakunek zawinięty w coś, co wyglądało na pierwszy rzut oka jak natłuszczona skóra zwierzęcia, bardzo podobna do tej, którą Aimard owinął astrolabium, spięta skórzanymi paskami. Bardzo powoli rozwinęła skórę. W środku była książka, oprawny w skórę kodeks.

Gdy go zobaczyła, wiedziała, co to jest. Wydał jej się dziwnie znajomy; jego prostota przeważała nad brzemioną w skutki zawartością. Drżącymi dłońmi uniosła lekko okładkę i spojrzała na linijkę tekstu pierwszego pergaminu. Litery były wyblakłe, ale czytelne, i jak się zdążyła zorientować, tekst kodeksu nie był zniszczony. Miała absolutną pewność, że jest pierwszą osobą, która ogląda mityczny skarb templariuszy od chwili, kiedy siedemset lat temu włożył go do szkatułki William de Beaujeu, powierzając los templariuszy Aimardowi de Yilliers.

Tyle że to nie był żaden mit.

To działo się naprawdę.

Ostrożnie, świadoma, że powinno się to robić w laboratorium albo przynajmniej pod dachem, nie mogąc jednak oprzeć się pokusie przyjrzenia się mu z bliska, Tessa otworzyła trochę dalej kodeks i podniosła do oczu kartkę pergaminu. Rozpoznała dobrze znany brązowy odcień atramentu, którego używano w tamtych czasach – mieszaniny sadzy, żywicy, wyciągów winnych i sepii. Pismo trudno było odczytać, ale rozpoznała kilka słów i zorientowała się, że tekst pisany jest w języku aramejskim. Już się wcześniej zetknęła z tym językiem i potrafiła go rozpoznać.

Nie mogła oderwać wzroku od tego manuskryptu.

W języku aramejskim.

W języku, którym posługiwał się Jezus.

Słyszała, jak głośno bije jej serce, czuła jego uderzenia w uszach. Przyglądała się pergaminowi, rozpoznając coraz więcej słów.

Bardzo powoli, niemal niechętnie, zaczynała sobie uświadamiać, co trzyma w rękach. I zdała sobie sprawę, kto pierwszy dotykał tych pergaminowych kartek, czyja ręka pisała te słowa.

Były to zapiski Jezui z Nazaretu.

Zapiski człowieka, którego cały świat znał jako Jezusa Chrystusa.

## Rozdział 83

Trzymając mocno pod pachą oprawny w skórę kodeks, Tessa wracała powoli plażą. Słońce już zachodziło; ostatnie promienie przebijały się przez szare chmury zwisające nad horyzontem.

Postanowiła, że lepiej będzie nie przynosić do domu skrzynki; ukryła ją za skałą, żeby niepotrzebnie nie przyciągała niczyjej uwagi. Wróci po nią później. W głowie tłoczyły się myśli na temat możliwych konsekwencji ujawnienia tego, co, jak wierzyła, trzyma w dłoniach. To nie był kawałek starego glinianego garnka, to nie była Troja ani grób Tutenchamona. To było coś, co może zmienić świat, coś, z czym trzeba się obchodzić, mówiąc oględnie, jak najdelikatniej.

Kiedy dochodziła do małego skupiska domków w Marathoundzie, zdjęła sweter i zrobiła z niego małe zawiniątko. Dwaj znajomi rybacy opuścili już tawernę, ale poprosiła jednego z mężczyzn, którego widziała wcześniej tego dnia, żeby ją podwiózł do domu doktora.

Mavromaras przywitał ją szerokim uśmiechem.

– Gdzie się pani podziewała? Szukaliśmy pani wszędzie. – Zanim zdołała wymyślić jakieś kłamstewko, pociągnął ją korytarzem w kierunku sypialni. – Chodźmy, szybko. Ktoś bardzo chce panią zobaczyć.

Reilly patrzył na nią; na twarzy nie miał już maski, na wysuszonych wargach błakał się niepewny uśmiech. Siedział w łóżku, podparty trzema wielkimi poduchami. Tessa poczuła, że coś jej drgnęło w sercu.

– Cześć – powiedział słabo Reilly.

– Witaj – odparła z olbrzymią ulgą. Czowała się niemal wyniesiona pod niebiosa, a było to nowe uczucie – nigdy przedtem go nie doświadczała. Odwróciła się i starając się nie przyciągać uwagi ani Eleni, ani doktora do tego, co trzyma pod pachą, od niechcienia położyła zawiniątko okręcone swetrem na komodzie na wprost łóżka. Potem podeszła do Reilly’ego i delikatnie pogładziła go po głowie. Omiotła wzrokiem jego posiniaczoną twarz; musiała zagryźć wargi, bo czuła, że do oczu napływają jej strumieniami łzy.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedziała cichutko.

– Od dzisiaj ja będę decydował, dokąd pojedziemy na wakacje, dobrze? – uśmiechnął się.

Tessa odwzajemniła uśmiech i poczuła, że dłużej nie powstrzyma łez pod powiekami.

– Załatwione – odwróciła się i z mokrymi oczami, ale radośnie uśmiechnięta, patrzyła na

doktora i jego żonę. – Dziękuję – wymamrotała. Oni też się uśmiechnęli i oboje skinęli głowami. – Ja... Oboje zawdzięczamy wam życie. Czy zdołamy wam się kiedykolwiek odwdziżyć?

– Nonsens – odparł Mavromaras. – Den hriazete euharisto, kathikon mou. To znaczy po grecku, że nie trzeba dziękować za coś, co jest obowiązkiem. – Spojrzał na Eleni i zrozumieli się bez słów. – Teraz was zostawimy – powiedział cicho. – Jestem pewien, że macie sobie wiele do powiedzenia.

Tessa chwilę patrzyła, jak odwracają się i wychodzą; nagle podbiegła do doktora, uściśnęła go serdecznie i ucałowała w oba policzki. Spłoniony pod opalenizną Mavromaras uśmiechnął się ze zrozumieniem i wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych.

Kiedy się odwróciła, żeby podejść do łóżka Reilly'ego, spojrzała na zawiniątko w swetrze leżące na komodzie. Jak niewypał sprzed wieków. Czuła się strasznie, że ich wszystkich oszukuje, to dobroduszne małżeństwo, które uratowało im życie, i Reilly'ego. Tak strasznie chciała mu o tym opowiedzieć, ale wiedziała, że nie czas teraz na to.

Niedługo mu powie.

Uśmiechnęła się z ciężkim sercem i usiadła przy nim na łóżku.

Reilly czuł się, jakby nie było go przez dobrych parę tygodni. Dziwne odrętwienie w mięśniach, jakieś klucie, w głowie mu bez przerwy huczało. Nie mógł do końca podnieść jednej powieki, a patrzenie jednym okiem nie ułatwiało powrotu do rzeczywistości.

Nie pamiętał wiele oprócz tego, że strzelał do De Angelisa i rzucił się do morza. Pytał już Mavromarasa, jak się tu dostał, a doktor powtórzył mu tylko w zarysach historię, którą usłyszał od Tessy. Ale kiedy się obudził i dowiedział, że ona tu jest, i to zdrowa, poczuł olbrzymią ulgę.

Próbował się ostrożnie wyprostować na łóżku, ale ból wykrzywił mu twarz. Opadł na poduszki.

– Więc skąd myśmy się tu wzięli? – spytał.

Słuchał, jak Tessa opowiada o tym, co sama pamiętała. Ona też miała w pamięci czarną dziurę: od momentu, kiedy zwała się na nich ogromna fala, aż do chwili, gdy obudziła się na plaży. Opowiedziała mu o tym, jak kawałek drewna uderzył go w głowę, jak połączyła ze sobą ich kamizelki ratunkowe, i wreszcie jak nadeszła ta fala. Mówiła o drewnianej pokrywie włazu i pokazała mu siniaka na ramieniu. Chciała wiedzieć, dlaczego strzelano do nich z kanonierki straży przybrzeżnej, Reilly opowiedział jej więc pokrótce przebieg swojej podróży od momentu, kiedy zobaczył De Angelisa w drzwiach śmigłowca w Turcji.

– Naprawdę, bardzo mi przykro – powiedziała z uczuciem, kiedy mówił o tym, jak doszło do spotkania z wielebnym. – Nie mam pojęcia, co mnie napadło. Nie wiem, to było po prostu... Chyba straciłam zmysły, że cię tak zostawiłam. Ta cała historia, ten bałagan, to po prostu... – Nie mogła znaleźć słów, by wyrazić, jak bardzo żałuje.

– W porządku – odparł, a przez jego spękane usta przemknął lekki uśmiech. – Teraz o tym nie mówmy. Obojgu nam się udało, a to najważniejsze, prawda?

Niepewnie kiwnęła głową; uśmiechem podziękowała mu za to, co powiedział. On opowiadał dalej o tym, że za wszystkim cały czas stał De Angelis, który zamordował jeźdźców w Nowym Jorku i sam strzelał z działka na pokładzie tureckiej kanonierki. Powiedział jej też, że zastrzelił De Angelisa.

A potem o rewelacjach kardynała Brugnone.

Tessa czuła się okropnie i miała wyrzuty sumienia, kiedy Reilly prowadził ją za rękę przez meandry historii, którą usłyszał w Watykanie. Monumentalna prawda o tym, co znalazła na plaży, potwierdzona przez tych ludzi, których miała najbardziej dotknąć i uderzyć, zelektryzowała każdy nerw pod jej skórą, ale Tessa nie dała tego po sobie poznać. Jak najlepiej potrafiła, zagrała kompletne zdumienie, zadawała kolejne pytania, nienawidząc siebie coraz bardziej za tę hipokryzję. Chciała natychmiast wyciągnąć kodeks ze swetra i pokazać mu go, tu i teraz. Ale nie mogła tego zrobić. W jego oczach widziała rozterkę. To, co Brugnone mu powiedział o kłamstwie tkwiącym u podstaw nauczania Kościoła, gdy okaże się prawdą, może go znów powalić. Teraz na pewno nie zada mu ciosu, nie pokaże dowodu, jeszcze jest za słaby. W ogóle nie była pewna, czy kiedykolwiek zdecyduje się to zrobić. Jemu potrzebny był czas. Ona również potrzebowała czasu, żeby wszystko przemyśleć.

– Teraz już wszystko będzie dobrze? – zapytała niepewnie. Wpatrywał się przez chwilę w przestrzeń; twarz mu spochmurniała, kiedy z wyraźnym trudem zamieniał myśli na słowa.

– Dziwaczna jest cała ta historia. Turcja, Watykan, sztorm... Jak zły sen. Może jestem za bardzo naszprycowany lekami, ale... Jestem przekonany, że prędzej czy później odbije się to w świecie głośnym echem. Czuję się bardzo zmęczony, nie mam sił, ale nie wiem, czy to zmęczenie fizyczne, czy może ma coś wspólnego z całą resztą.

Tessa przyglądała się jego twarzy. Nie, teraz na pewno nie był czas, żeby mu o tym mówić.

– Vance i De Angelis dostali to, na co zasłużyli – powiedziała, rozchmurzając się – a ty żyjesz. A to nawet dla ateisty powód, żeby uwierzyć, prawda?

– Może – odparł, uśmiechając się niepewnie.

Reilly patrzył na nią. Znów go morzył sen, ale myślał o przyszłości. Kiedyś się nad nią nie zastanawiał i sam się zdziwił, że go dopadła teraz, ledwo żywego w obcym kraju.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście chce być dalej agentem FBI. Zawsze lubił tę pracę, ale o tym, co się wydarzyło, nie da się szybko zapomnieć. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuł się zniechęcony życiem, które wybrał; zmęczony tym, że spędza całe dnie, myszkuje w zakamarkach umysłów szumowin; zmęczony ciągłym kontaktem z najgorszymi doświadczeniami, jakie życie na tej planecie ma do zaoferowania. Zastanawiał się chwilę nad zmianą kariery zawodowej i stylu życia, który pomógłby mu cieszyć się z tego, że żyje – może nawet odbudować jego wiarę w ludzi.

Czuł, że powieki mu opadają.

– Nie gniewaj się – wymamrotał – ale porozmawiamy o reszcie później.

Tessa patrzyła, jak Reilly zapada w sen, i sama poczuła się senna. Pomyślała o tym, co powiedział żartem na temat wakacji. Uśmiechnęła się bezwiednie i pokręciła głową. Właśnie myślała, że przydałyby się jej wakacje i nie musiała się długo zastanawiać, gdzie je spędzi. Nagle Arizona wydała się jej rajem. Postanowiła pojechać tam jak najprędzej. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że może powinna wpaść do instytutu. Przesiadła się natychmiast na lotnisku w Nowym Jorku i pojedzie do córeczki. A jeżeli Guiragossianowi albo komukolwiek się to nie spodoba, to do diabła z nimi.

Przyszło jej nagle do głowy, że w południowo-zachodnich Stanach archeolog mógłby znaleźć dla siebie mnóstwo interesujących zajęć. Przypomniała sobie, że w Phoenix jest światowej klasy muzeum. Potem spojrzała na Reilly'ego. Urodzony i wychowywany w Chicago, adoptowany nowojorczyk, bezsprzecznie uzależniony od bycia w samym centrum wydarzeń. Zastanawiała się, czy zdobędzie się na to, żeby to wszystko zostawić i wieść spokojne życie w pustynnym stanie. Jakoś nagle zrobiło się to dla niej bardzo ważne. Może ważniejsze niż wszystko.

Tessa wyszła na balkon i spojrzała na rozgwieżdżone niebo, przypominając sobie noc, którą spędzili z Reillym na biwaku w drodze do jeziora. Tu, na wyspie było cicho i spokojnie nawet w dzień, ale w nocy panował po prostu niebiański spokój. Tessa była do bólu świadoma tego spokoju i ciszy. Tak noce na pewno wyglądają też w Arizonie, ale nie w Nowym Jorku. Pomyślała o Reillym, zastanawiając się, co powie na to, że zamierza rzucić Instytut Manoukiana



i przenieść się do Arizony. Może kiedyś go o to zapyta.

Patrząc na przestwór połyskującego morza, zastanawiała się teraz, co zrobić z kodeksem. Stanowił bezsprzecznie jedno z najważniejszych znalezisk archeologicznych i religijnych wszech czasów. Jego znalezienie odbije się szerokim echem po świecie i zmieni życie milionów ludzi. Jeżeli zgłosi odkrycie, stanie się najbardziej znaną przedstawicielką swojego zawodu od czasu odkryć w wielkich piramidach egipskich niemal osiemdziesiąt lat temu. Ale co się stanie z resztą świata?

Chciała z kimś o tym porozmawiać.

Chciała porozmawiać o tym z Reillym.

Zmarszczyła czoło, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście powinna to zrobić, i to szybko. Teraz jednak jemu potrzebny był spokój i wypoczynek, ona też powinna się położyć. Pomyślała, że wróci do swojego łóżka, ale weszła do jego łóżka i przytuliła się do Reilly'ego. Zamknęła oczy i po chwili ona również odpłynęła w objęcia Morfeusza.

## Rozdział 84

Kilka następnych dni minęło jak we śnie. Tessa spędzała całe przedpołudnia z Reillym, potem chodziła na długie spacery i wracała na obiad. Późnym popołudniem znów się gdzieś wyprawiała, zazwyczaj do ruin zamku, skąd oglądała słońce znikające w połyskujących wodach Morza Egejskiego. Tę część dnia lubiła najbardziej. Siedziała w ruinach zamku, zastanawiając się nad wszystkim; ze zbocza dobiegał zapach rumianku i szałwi. Ta idylliczna scena dawała jej pewność siebie, pozwalała oderwać myśli od spoczywającego w jej pokoju niewielkiego zawiniątka, którego istnienie nie dawało jej spokoju.

Podczas spacerów spotykała wielu ludzi, zawsze znajdujących dla niej uśmiech i czas na chwilę pogawędki; już trzeciego dnia się okazało, że zna wszystkie uliczki i alejki miasteczka. Teraz zaczęła się wyprawiać dalej, w kierunku wzgórz, z których dochodziły owcze dzwonki i porykiwania osiołków. Śmiało zagłębiała się w najdalsze zakamarki wyspy. Poszła na długi spacer na maleńką wyspę San Emilianos i oglądała ikony w kościele o białych ścianach, a potem spacerowała po kamienistej plaży. Wypatrywała rozpaczliwie jeźwoców przyczepionych do skał poniżej linii wody. Była w olbrzymim klasztorze w Panormitis i ku swojemu zdziwieniu spotkała trzech czterdziestoletnich biznesmenów z Aten mieszkających po spartańsku w pokojach gościnnych. Wyjaśnili jej, że przyjechali na kilka dni wypoczynku i kontemplacji, jak się wyrazili, dla odnowy duchowej. Na wyspie w zasadzie nie można się było ani na chwilę oderwać od obecności Kościoła. Świątynie były centralnym punktem wszystkich wiosek i miasteczek, podobnie jak na innych wyspach greckich. Na Symi dziesiątki maleńkich kapliczek stały prawie na każdym szczycie i wzniesieniu. Nieważne, w którą się obróciła stronę, zawsze coś w zasięgu wzroku przypominało jej o istnieniu Kościoła; wcale to Tessy nie irytowało. Przeciwnie, religia była organiczną częścią życia tych ludzi, była głęboko zakorzeniona na wyspie, stanowiła magnes, który łączył z nią mieszkańców, przynosząc im pocieszenie i siłę.

Stan Reilly'ego poprawiał się z dnia na dzień. Już teraz całkiem swobodnie oddychał, zeszza opuchlizna z ust i spod oczu, a na policzki wróciły rumieńce, zastępując woskową błądź. Już chodził po domu i tego dnia rano powiedział, że nie mogą się tu na zawsze ukryć przed resztą świata. Teraz, kiedy wrócił do sił, postanowił zająć się ich powrotem. Wychodząc z domu, Tessa wiedziała, że wkrótce musi stanąć twarzą w twarz z tym, co najważniejsze, czyli opowiedzieć mu

o znalezisku.

Resztę przedpołudnia spędziła na plaży w Marathoundzie. Wróciła po skrzynię, w której znajdował się kodeks, i szła właśnie do domu doktora, kiedy wpadła przypadkiem na dwie kobiety, te, które przyniosły jej jedzenie i ubranie. Wychodziły z małego kościółka i bardzo się ucieszyły, że ją widzą. Słyszały, że Reilly wyzdrowiał; objęły ją serdecznie, gestykulowały i kiwały głowami, żeby wyrazić, jak wielką czują ulgę i radość. Byli z nimi mężowie. Mężczyźni podali jej ręce, w ich oczach też wyczytywała współczucie i ulgę, a potem cała czwórka ruszyła przed siebie, machając do niej z daleka i posyłając ostatnie radosne uśmiechy. Tessa pogrążona w myślach stała na środku chodnika, patrząc za nimi.

I wtedy to do niej dotarło. Myśl, która tłukła się w jej głowie od wielu dni, to niepokojące uczucie, które górowało nad instynktami, nad cynizmem, z jakim podchodziła do życia... ale wciąż nie dopuszczała tego do głosu. Aż do teraz.

Nie mogę im tego zrobić.

Nie im, nie milionom im podobnych. Ta myśl wykluwała się w jej mózgu od momentu, kiedy znalazła kodeks. Wszyscy, których w ciągu ostatnich paru dni poznała, wszyscy ci ludzie byli tylko i wyłącznie szczerzy i przyjaźni. Chodziło o nich. I o niezliczone rzesze innych na całym świecie.

To im może zrujnować życie.

Ta myśl spowodowała, że nagle poczuła mdłości. „Jeżeli Kościół jest w stanie zainspirować ludzi do takiego życia, do takiego altruizmu, zwłaszcza w naszych czasach – pomyślała – musi być w tym coś dobrego. To musi być warte zachowania. Czy rzeczywiście ma znaczenie, że wiara jest albo nie jest oparta na prawdziwej historii? Czy w ogóle można stworzyć coś o tak fenomenalnej inspirującej sile – zastanawiała się Tessa – bez wykraczania poza ramy i reguły świata realnego?”

Stała i patrzyła, jak te dwie kobiety z mężami znikają i wracają do swojego życia. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle zastanawiała się nad jakąś inną opcją.

Wiedziała, że nie może tego zrobić.

Wiedziała również, że nie sposób dłużej unikać rozmowy z Reillym.

Tego samego dnia wieczorem, szykując się do rozmowy przez większość popołudnia, zaprowadziła go do ruin zamku. Trzymała go za rękę dłonią spoconą ze zdenerwowania, pod pachą ściskając maleńkie zawiniątko okutane swetrem. Słońce już prawie całkiem zaszło, a niebo

rozjaśniła jasnorożowa mgła podtrzymująca ostatnie przeblyski światła.

Nie patrzyła mu w oczy. Czuła dziwną suchość w ustach. Położyła zawiniątko na zmurszałym kamieniu i zwróciła się do Reilly'ego.

– Ja... – Nagle przestała być czegokolwiek pewna. Może by tak to po prostu schować to, przestać o tym myśleć i ani słowem nie wspomnieć? Czy byłoby lepiej, gdyby nie wiedział, zwłaszcza po tym, co stało się z jego ojcem? Czy wyrządzi mu przysługę, nie wspominając w ogóle o tym, co znalazła, co widziała i czego dotykała własnymi rękami?...

Nie. Wprawdzie bardzo by tego pragnęła, ale wiedziała, że to byłby błąd. Nie chciała go więcej okłamywać. Dość już oszukiwania, wystarczy na całe życie. W głębi serca miała nadzieję, że mimo wszystko będą razem w przyszłości, i wiedziała, że trudno im będzie się zbliżyć, jeśli mu wszystkiego nie powie.

Zdała sobie nagle sprawę, że siedzą w kompletnej ciszy. Wróble, które wcześniej ćwierkały, teraz zamilkły, może wyczuwając powagę chwili. Wzięła się w garść i spróbowała jeszcze raz.

– Od paru dni chcę ci coś powiedzieć, naprawdę bardzo chcę, ale musiałam odczekać, aż się lepiej poczujesz.

– O co chodzi? – Reilly spojrzał na nią niepewnie. Widziała, że nie bardzo wie, co o tym myśleć.

– Muszę ci coś pokazać – powiedziała po prostu Tessa. Poczowała, że coś ją ściska w gardle. Odwróciła się i rozwinęła zawiniątko ze swetra, wyciągając z niego kodeks.

Twarz Reilly'ego najpierw wyrażała zdziwienie; po chwili podniósł na nią wzrok i przyglądał się badawczo. Tessie ta chwila wydawała się długa jak wieczność.

– Gdzie to znalazłaś? – spytał.

Wyrzucała słowa jak kule z karabinu maszynowego. Czuła ogromną ulgę, że może mu w końcu wszystko opowiedzieć.

– Głowę sokoła morze wyrzuciło na plażę kilka zatoczek od miejsca, w którym nas znalezione. Miała wciąż przyczepione żółte pływaki.

Popatrzyła na Reilly'ego, który najpierw przyjrzał się dokładnie skórzanej oprawie, a potem wziął ją w ręce i zerknął na jedną ze stron.

– Zadziwiające. To wygląda tak... prosto i nieskomplikowanie. – Odwrócił się do Tessy. – Ten język. Potrafisz to odczytać?

– Nie. Wiem tylko, że to aramejski.

– Zgaduję, że to język, w którym to powinno być napisane.

– Tak – skinęła głową.

On, zatopiony w myślach, patrzył na antyczną obwolotę, błędził oczami centymetr po centymetrze po powierzchni starożytnej skóry.

– Więc jak myślisz, to jest prawdziwe?

– Nie wiem. Wygląda tak, jak powinno, ale jeżeli nie pošlemy tego do laboratorium, nie da się ostatecznie nic ustalić. Wiele testów trzeba by przeprowadzić – datowanie węglem C14, analiza składu papieru i atramentu, sprawdzanie spójności kaligraficznej... – przerwała i nerwowo nabrała powietrza. – Chodzi mi jednak o coś innego, Sean. Uważam, że nie powinniśmy tego posyłać do laboratorium. Uważam, że nie powinniśmy nikomu pozwolić na przeprowadzenie tych testów.

– Co to ma znaczyć? – pochylił głowę na bok, zaskoczony.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jak zapomnimy o tym znalezisku – zaczęła, akcentując dobitnie słowa. – Powinniśmy to spalić w cholerę i po prostu...

– I po prostu co? – zaoponował. – Udawać, że to nigdy nie istniało? Tak nie możemy zrobić. Jeżeli to nie jest prawdziwe, jeżeli to jest jakieś fałszerstwo templariuszy albo inny przekręt, wtedy nie ma się czym przejmować. A jeżeli to jest prawdziwe, no cóż... – zmarszczył brwi i nagle nie potrafił znaleźć słów.

– Wtedy nikt nie powinien się o tym dowiedzieć – nalegała. – Boże, jaka byłam głupia, że ci o tym powiedziałam.

– Ja chyba czegoś nie rozumiem? – Reilly spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi, którzy „mają prawo wiedzieć”?

– Myliłam się. Jestem zdania, że to nie ma znaczenia – Tessa westchnęła ciężko. – Wiesz, odkąd pamiętam, widziałam w Kościele tylko to, co jest w nim złe. Krwawą historię, pazerność, archaiczne dogmaty, nietolerancję, skandale i nadużycia... Z tyłu rzeczy ludzie się naśmiewają. Wciąż uważam, że w Kościele jest wiele złego i że powinien się z tym rozprawić, co do tego nie mam wątpliwości. Ale przecież nic nie jest idealne, prawda? A jeżeli człowiek się przyjrzy temu, czego Kościół dokonał, jaki miał wpływ na ludzi, jeżeli pomyśleć o współczuciu, szlachetności, którą inspiruje... Tutaj trzeba szukać prawdziwego cudu.

Powolne, rytmiczne klaskanie w dłonie rozległo się nagle echem wśród opuszczonych ruin. Otoczyło Tessę, wytrąciło ją z równowagi i zaskoczyło.

Odwróciła się tam, skąd dochodziło, i zobaczyła Vance'a wyłaniającego się zza kamiennej ściany. Wciąż klaskał, każde klaśnięcie było inne niż poprzednie, nie spuszczał oczu z Tessy, a usta wykrzywił mu bardzo niesympatyczny uśmiech.

## Rozdział 85

– Więc się nawróciłaś. Jestem naprawdę wzruszony, Tesso. Nasz nieomylny Kościół zdobył kolejnego wyznawcę. – Vance mówił tonem szyderczym, z ukrytą groźbą. – Alleluja. Chwała Panu!

Reilly patrzył, jak się zbliża, i czuł, że napinają mu się wszystkie mięśnie. Vance wyglądał szczuplej i biedniej niż przedtem. Miał na sobie niewyszukany strój, niewątpliwie również dar jakiegoś mieszkańca wyspy, człowieka o dobrym sercu. Co ważniejsze, był bez broni, a to Reilly spostrzegł z ulgą. Nie uśmiechała mu się perspektywa rozbijania profesora, nie w tym stanie; czuł się jeszcze osłabiony. Bez broni, osłabiony dryfowaniem po morzu podobnie jak on i Tessa, profesor nie stanowił wielkiego zagrożenia.

Vance zbliżał się teraz do Tessy, lecz patrzył tylko na kodeks w dłoniach Reilly’ego.

– A co by było, gdyby się okazało, że to po prostu chciało zostać odnalezione? Gdybym był człowiekiem religijnym – rzucił ironicznie – kusiłaby mnie myśl, że odnalezienie tego było moim przeznaczeniem.

– Jak ty... – Tessa dopiero teraz zdołała wydusić z siebie coś na kształt pytania.

– Cóż, chyba podobnie jak ty – Vance wzruszył ramionami. – Zbudziłem się z twarzą w piasku, jakiś krab zaglądał mi w oczy, a potem udało mi się dobrnąć do klasztoru w Panormitis. Ojciec Spiros umieścił mnie w pomieszczeniu dla bezdomnych. Nie zadawał żadnych pytań, a ja nie odczuwałem potrzeby spowiedzi. I właśnie wtedy cię zobaczyłem. Bardzo się ucieszyłem, że tobie też się udało, bo szczerze mówiąc, nie miałem wielkiej nadziei, ale to... – Jego oczy spoczęły znów na kodeksie. I nie mógł ich od niego oderwać. – To prawdziwy dar niebios. Mogę? Reilly powstrzymał go dłonią.

– Nie. Z tej odległości wystarczy.

Vance się zatrzymał. Wydawał się rozbawiony.

– Posłuchaj. I popatrz na nas troje. Według wszelkich znaków na ziemi i na niebie powinniśmy już nie żyć. Czy to ci czegoś nie mówi?

– Mówi mi, że będziesz mógł stanąć przed sądem i spędzić resztę życia jako penitencjariusz amerykańskiego więzienia – powiedział nieporuszony Reilly.

Wydawało się, że Vance poczuł się rozczarowany, a nawet urażony. Jednym zdecydowanym

skokiem dopadł do Tessy, chwycił ją ramieniem za szyję. W drugiej ręce trzymał nóż, taki, jakich używają nurkowie, zaledwie kilka centymetrów od jej gardła.

– Przykro mi, Tesso – powiedział. – Ale nie zgadzam się w tym punkcie z agentem Reillym. Nie możemy pominąć tego, co los nam zesłał. Miałaś rację. Świat ma prawo wiedzieć. – W oczach miał dziki blask, spoglądał nerwowo w lewo i w prawo, nie spuszczał wzroku z Reilly’ego. – Daj mi to – rozkazał. – Szybko.

Reilly analizował pospiesznie sytuację, ale nóż przystawiony do gardła Tessy nie pozwalał mu zaatakować, tym bardziej że on sam był osłabiony. Bezpieczniej było oddać Vance’owi kodeks i rozprawić się z nim później, gdy Tessie nic nie będzie zagrażać. Zrobił uspokajający gest w kierunku Vance’a i powiedział:

– Tylko spokojnie, dobrze? Możesz sobie to wziąć, nie ma problemu – wyciągnął do niego rękę z manuskryptem. – Proszę, jest twoje.

– Nie – wtrąciła się rozgniewana Tessa. – Nie dawaj mu tego. Nie możemy pozwolić, żeby to opublikował. Teraz na nas spoczywa odpowiedzialność. Ja jestem odpowiedzialna.

– To nie jest warte twojego życia – pokręcił głową Reilly.

– Sean...

– To nie jest tego warte – mówił uparcie, rzucając jej twarde spojrzenie. Na twarzy Vance’a pojawił się uśmiezek.

– Połóż to na ziemi i wycofaj się. Powoli!

Reilly położył oprawny w skórę kodeks na surowym kamieniu i wycofał się o kilka kroków. Vance zbliżał się powoli, niezręcznie manewrując Tessą jak tarczą. Był coraz bliżej celu.

Stał nad kodeksem przez kilka sekund, jakby przerażony tym, że zaraz go dotknie. Potem wziął go w drżącą dłoń i ostrożnie otworzył. Przyglądał się tekstowi w pełnej napięcia ciszy, odwracał kartki i mruczał do siebie: Veritas vos liberabit. Teraz z całej jego postaci emanowało spokojne szczęście.

– Naprawdę chciałbym, żebyś w tym uczestniczyła, Tesso – powiedział jej cicho do ucha. – Zobaczysz. Będzie cudownie.

W tym właśnie momencie Tessa postanowiła zaatakować. Zdecydowanym ruchem strąciła z siebie jego ramię i uskokzyła na bok. Vance na chwilę stracił równowagę i wyciągnął rękę, żeby nie upaść; puścił nóż, który wypadł mu z dłoni, odbił się od niskiego murku i potoczył w dół, znikając w suchych zaroślach. Vance wyprostował się, zamknął kodeks i chwycił go



w obie ręce. Zobaczył, że Reilly ustawia się między nim a ścieżką prowadzącą z ruin zamku do miasteczka, blokując mu drogę. Tessa stała tuż przy jego boku.

– To koniec – powiedział Reilly bez emocji.

Vance zrobił wielkie oczy, jakby ktoś go uderzył w splot słoneczny. Rzucił wokół nerwowe spojrzenia, wahał się krótko, a potem przeskoczył przez niski murek i jak błyskawica ruszył labiryntem starego zamczyska.

Reilly zareagował natychmiast i popędził za nim. W ciągu paru sekund obaj zniknęli gdzieś za średniowiecznymi murami.

– Wracaj – wrzeszczała Tess. – Do diabła z nim, Sean. Jesteś jeszcze słaby. Przestań.

Chociaż słyszał jej krzyk, Reilly się nie zatrzymał. Biegł po mokrej ziemi, już się wspinał pod górę, ciężko oddychając, deptał Vance'owi po piętach.

## Rozdział 86

Vance szedł szybko wąską stromą ścieżką przecinającą na ukos zbocze góry. Rozsiane tu i ówdzie drzewa oliwne ustąpiły wkrótce bardziej surowemu skalistemu krajobrazowi z suchymi porostami i krzewami. Rzucił spojrzenie za siebie; zobaczył, że Reilly jest tuż za nim, i zaklął pod nosem. Rozglądał się po okolicy. Miasta nigdzie nie było widać. Teraz nawet ruiny zamku i stare młyny zniknęły z widnokregu. Po prawej stronie zbocze pięło się ostro w górę, a po lewej – łagodnym łukiem schodziło w kierunku morza. Nie było wyjścia. Albo musi stanąć z Reillym twarzą w twarz, albo ruszyć naprzód. Wybrał tę drugą opcję.

Gdzieś tam, za jego plecami, Reilly ciężko oddychał, próbując nie stracić z oczu Vance'a. Nogi miał jak z gumy, potwornie bolały go mięśnie ud, chociaż przeszedł zaledwie kawałek. Potknął się o wystającą skałę, ale udało mu się ustać na nogach – ledwo uniknął skręcenia kostki. Wyprostował się i nagle poczuł, że w głowie mu się kręci, wziął kilka głębokich oddechów, zamknął oczy i mocno się skupił, próbując przywołać rezerwy siły i energii. Spojrzał w kierunku Vance'a i zobaczył, że jego sylwetka znika mu z oczu. Podjął pościg, popędzał się, jak mógł, każąc nogom stawiać dłuższe kroki. Podążając dalej po śliskiej powierzchni skały, Vance w końcu znalazł się na szczycie wzniesienia i zdał sobie sprawę, że jest w pułapce. Skała, którą miał przed sobą, opadała pionowo w dół ku ostrym kamiennym piargom. Morze biło w nią rytmicznymi uderzeniami, napierając i cofając się z eksplozją białej piany.

Odwrócił się nerwowo i zobaczył Reilly'ego na skraju skały.

Reilly doszedł do upłazu i wspiął się na niewielki kamień. Był teraz na tym samym poziomie, co Vance, mniej niż dziesięć metrów od niego. Patrzyli na siebie w milczeniu.

Vance wdychał wielkimi haustami powietrze, próbując uspokoić oddech. Gniewnie rozglądał się dookoła, szukając wyjścia. Popatrzył na lewo i na prawo. Doszedł do wniosku, że pod nogami będzie bardziej twardo po prawej, i postanowił ruszyć w tamtą stronę.

Reilly pomknął za nim.

Vance biegł po spękanym występie skalnym, ale pokonał zaledwie dwadzieścia metrów i potknął się, bo stopa utkwiała mu w szczelinie. Odzyskał równowagę i popędził naprzód.

Reilly, który był tuż za nim, boleśnie świadom, że nogi już go dalej nie poniosą, dostrzegł szansę i rzucił się przed siebie tygrysim skokiem, chwytając Vance'a za kostkę. Zaledwie się

o niego otarł, ale to wystarczyło, by Vance znów stracił równowagę i upadł. Reilly, podparty na kolanach i dłoniach, znów rzucił się naprzód, żeby objąć Vance'a za nogi. Ale ramiona miał tak samo obolałe jak całe ciało. Vance przetoczył się na plecy i uciekał do tyłu jak rak, wciąż trzymając kodeks w dłoni. Wierzgął z furją i trafił Reilly'ego stopą prosto w twarz. Reilly potoczył się kilka metrów w dół zbocza, a Vance szybko podciągnął się na łokciach i wstał.

Reilly miał mętlik w głowie, nogi jak z betonu. Próbował otrząsnąć z siebie mgłę i wstać, gdy usłyszał głos Tessy, odbijający się echem z tyłu gdzieś za jego plecami.

– Sean – wołała. – Zostaw go. Zabijesz się tam.

Zobaczył pnącą się do góry Tessę, potem spojrzał na Vance'a, który z trudem posuwał się naprzód, ale był wciąż w zasięgu jego ręki. Odwrócił się do Tessy i wykrzyknął:

– Wracaj. Wracaj i wezwij pomoc.

Tessa jednak już po chwili była przy nim. Ona też była zadyszana. Chwyliła go za ramię.

– Proszę. Tu nie jest bezpiecznie. Sam to powiedziałaś. To niewarte ani mojego, ani twojego życia.

Reilly spojrzał na nią i uśmiechnął się. Wiedział już na pewno, że spędzi z tą kobietą resztę życia. W tej samej chwili usłyszał paniczny wrzask dochodzący z miejsca, w którym stał Vance. Odwrócił się i zobaczył, że Vance ześlizguje się w dół po gładkim stromym zboczu skalnym, przez które zamierzał przebrnąć. Rozpaczliwie próbował się czegoś chwycić, ale jego dłonie wyczuwały tylko gładką powierzchnię czarnych wulkanicznych skał.

Stopy Vance'a w końcu trafiły na małą pólkę w tym samym momencie, w którym Reilly ruszył do przodu, prosto na zbocze góry. Dotarł do zrębu i spojrzał w dół. Vance trzymał się kamiennej ściany drżącą dłonią, a drugą wciąż kurczowo ścisnął kodeks.

– Chwyć mnie za rękę – krzyknął Reilly, sięgając w dół i wyciągając ramię tak daleko, jak się tylko dało.

Vance spojrzał w górę, w jego oczach był zwierzęcy strach. Wyciągnął ramię z kodeksem kilka centymetrów w górę, ale wciąż jeszcze Reilly nie mógł go dosięgnąć.

– Nie dam rady – wyjąkał Vance.

Wtedy właśnie złamała się krucha pólka pod jego stopami i już nie miał na czym stanąć lewą nogą. Wyciągnął dłoń, żeby się utrzymać, i palce instynktownie puściły to, co ścisnęły. Kodeks wyleciał z jego wyciągniętej ręki, otworzył się, odbijając się i ześlizgując po kamieniach. Stronice dziennika wylatywały, wirowały w powietrzu, szybowały w słonej bryzie i zlatywały

spirałą w kierunku morza bijącego o skałę.

Reilly nie miał nawet czasu skończyć swojego: „Uważaj...”

– Nie! – krzyknął Vance głosem zduszonym i pełnym cierpienia, gdy chwycił pustą dłonią kawałki pergaminu. Potem już spadał, coraz szybciej, i wyciągniętymi ramionami machał w kierunku trzepoczących stronic, które wyglądały jak motyle. Stoczył się w przepaść i w końcu upadł na skały.

Tessa wyciągnęła rękę do Reilly’ego i przytrzymała ją. Ostrożnie wyjrzeli nad krawędź przepaści. Na dole leżało ciało Vance’a nienaturalnie poskręcane. Wokół niego biły fale, podnosiły go i opuszczały jak szmacianą lalkę. A nad jego skulonym ciałem szybowały karty starożytnego dokumentu i jedna po drugiej wpadały do morza. Przybój połykał atrament, zmywał go z pergaminu, połykał też krew sączącą się z otwartych ran Vance’a.

Reilly trzymał mocno rękę Tessy. Patrzył zamyślony w morze, kiedy fale wciągały ostatnią stronicę. Chyba się już nigdy nie dowiemy, pomyślał ponuro, zaciskając zęby.

I wtedy coś zobaczył.

Puścił Tessę, pospiesznie przeskoczył przez krawędź skały i zaczął schodzić po kamieniach.

– Co ty robisz? – zaprotestowała, wychylając się nad przepaścią, żeby zobaczyć, dokąd on idzie. W jej głosie był lęk.

Kiedy chwilę później pojawił się na grani, Tessa wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu się wspiąć, i zobaczyła, że Reilly ściska coś w zębach.

Był to kawałek pergaminu.

Jedna strona kodeksu.

Tessa patrzyła, nie wierząc własnym oczom, kiedy Reilly jej ją podał.

– Przynajmniej mamy coś, dowód, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliliśmy – powiedział, próbując złapać oddech po wspinaczce.

Tessa dłuższą chwilę przyglądała się pergaminowi, potem zwinęła go w kulkę i wyrzuciła daleko, daleko w morze. Odwróciła się do Reilly’ego i objęła go ramionami.

– Już mam wszystko, czego mi trzeba – powiedziała. Chwyciła go za rękę i powoli odprowadziła jak najdalej od krawędzi przepaści.

## EPILOG

PARYŻ, MARZEC 1314 ROKU.

Bogato zdobione drewniane trybuny ustawiono – na skraju Ile de la Cite. Kolorowe chorągwie powiewały na lekkim wietrze, blade promienie słońca igrały w błyszczących szatach królewskich dworzan i ożywiały czerwień katowskich strojów, którzy zajęli już stanowiska.

Z tyłu, ukryty wśród rozgadanej i podekscytowanej tłuszczy, stał Martin de Carmaux, przygarbiony i zmęczony. Miał na sobie skromny brązowy habit – podarunek od zakonnika, którego spotkał parę miesięcy wcześniej.

Chociaż Martin ledwie przekroczył czterdziestkę, bardzo się postarzał. Przez prawie dwa dziesięciolecia pracował w tokańskim kamieniołomie pod błękitnym niebem, z którego latem lał się żar; za każde przewinienie był bity przez nadzorców. Niemal porzucił nadzieję na ucieczkę, ale pewnego dnia osunęły się skały, czyniąc więcej spustoszenia niż kiedykolwiek w takim przypadku; zginęło dwunastu mężczyzn harujących w niewolniczych warunkach, zginęło również kilku nadzorców. Łut szczęścia pozwolił Martinowi i więźniowi, do którego był przykuty, wykorzystać zamieszanie i wiszące w powietrzu tumany kurzu. Wymknęli się niepostrzeżenie z terenu kamieniołomu i uciekli.

Przez długie lata, które spędził jako niewolnik, całkowicie odcięty od świata i od wieści spoza skalnych ścian tej przeklętej doliny, Martin miał w głowie tylko jedno. Ruszył teraz prosto ku wodospadowi i znalazł skałę z pęknięciem w kształcie krzyża templariuszy. Wyciągnął list Aimarda i rozpoczął długą podróż przez góry, a potem do Francji.

Podróż trwała kilka miesięcy, ale jego spóźniony powrót do ojczyzny nie przyniósł mu nic, oprócz straszliwego rozczarowania. Dowiadywał się po drodze o nieszczęściach, które spadły na templariuszy, a im bliżej był Paryża, tym silniejsze stawało się jego przekonanie, że jest już za późno, by zrobić coś, co odmieni los zakonu.

Wypytywał i szukał tak dyskretnie, jak tylko potrafił, ale nie znalazł nic. Wszystkich braci zmiotło z powierzchni ziemi – albo nie żyli, albo się ukrywali. Na maszcie wspaniałej Świątyni Paryskiej powiewała królewska flaga.

Został sam.

Teraz, stojąc wśród rozemocjonowanego tłumu, Martin ujrzał papieża Klemensa odzianego

w szarą szatę. Wspinał się po stopniach na trybunę i zajmował miejsce pośród dworzan w kolorowych strojach i pawich piórach.

Martin patrzył na papieża, który teraz skierował wzrok na środek pola, gdzie stały dwa stosy drewna otoczone chrustem. Kątem oka zobaczył jakiś ruch i na środek wyciągnięto dwie zniekształcone i poharatane postacie, które rozpoznał: wielkiego mistrza zakonu Jakuba de Molay i Geoffroia de Charnay, preceptora Normandii.

Żaden ze skazańców nie miał siły, żeby opierać się katom, szybko więc przywiązano ich do pali przy stosach. Mocno zbudowany mężczyzna wystąpił przed tłum z płonąca pochodnią i spojrzął na króla, czekając na sygnał.

Tłum nagle zamilkł, a Martin zobaczył, że król wyciąga niedbałym gestem rękę.

Chrust zapłonął.

Najpierw dym zaczął się snuć pod niebo, po chwili pokazały się płomienie, gałązki trzaskały i pękały, a ogień rósł i potężniał. Martin był bezradny, robiło mu się niedobrze na ten widok. Ale nie mógł nic zrobić. Chciał się odwrócić i odejść; czuł jednak, że powinien to zobaczyć, musi być świadkiem tego bezprawia. Niechętnie przedarł się do pierwszych rzędów tłumy. Wtedy właśnie ku swojemu zdumieniu zobaczył, że wielki mistrz podnosi głowę i patrzy wprost na króla i papieża.

Nawet z tej odległości Martin dostrzegł w oczach de Molaya ogień potężniejszy niż ten, który wkrótce miał go ogarnąć.

Mimo kruchego ciała i wycieńczenia głos wielkiego mistrza był silny i nieulekły:

– W imieniu Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusowych Świątyni Salomona – mówił – przeklinam cię, Filipie Piękny, i twojego błazna papieża. I przywołuję Boga Wszechmocnego, prosząc go, abyście, nim minie rok, zjawili się u stóp Jego tronu, wysłuchali jego wyroku i smażyli się bez końca w ogniu piekielnym...

Jeżeli de Molay coś jeszcze powiedział, Martin tego nie usłyszał, bowiem ogień z rykiem strzelił w górę, połykając okrzyki bólu umierających mężczyzn. Potem wiatr się odwrócił, a dym poszybował nad trybunę, unosząc z sobą mdlący smród płonącego mięsa. Kaszląc i parskając, król schodził niepewnie po stopniach; papież nie odstępował go na krok, oczy łzawiły mu od dymu.

Kiedy przechodzili obok miejsca, w którym stał Martin, templariusz przyjrzał się papieżowi. Poczul, jak gniew zaciska mu szczęki, i w tym samym momencie pojął, że jego misja jeszcze nie

jest zakończona.

Może nie za jego życia, ale pewnego dnia, kto wie, wszystko potoczy się inaczej.

Tamtej nocy opuścił mury Paryża i wyruszył na południe do miasta, w którym się urodził, do Carmaux. Osiądzie tam albo gdzieś indziej w Langwedocji, w krainie ojców, i tam dożyje swoich dni. Ale zanim wyda ostatnie tchnienie, musi się upewnić, że list nie zniknie na zawsze. Jeszcze nie wie jak, ale na pewno znajdzie sposób, żeby wiadomość przetrwała.

Musi przetrwać.

Los musi się wypełnić.

Był to winien tym, którzy zmarli, zarówno Hugh, jak i Williamowi de Beaujeu, a przede wszystkim swemu przyjacielowi Aimardowi de Yilliers. Dał im słowo, że ich poświęcenie nie pójdzie na marne.

Teraz od niego wszystko zależało. Przypomniawszy sobie to, co powiedział mu Aimard tej nocy, którą przesiadzieli pod wierzbą. O trudzie i wysiłku, jaki ich przeciwnicy włożyli w wymieszanie składników tego oszustwa. O ostrożnych planach, które wydały owoce prawie dwieście lat później. Byliśmy blisko, tak blisko. Cel był szlachetny. Wart był ciężkiej pracy, wszystkich poświęceń i bólu.

Wiedział, co musi zrobić.

Musiał dopilnować, żeby iluzja żyła. Iluzja, która wciąż gdzieś tam czaiła się w ukryciu.

Iluzja, która była bardziej niż realna.

We właściwym czasie, pewnie już nie za jego życia – być może, choć nie na pewno – ktoś posłuży się zaginionym świadectwem mistrzostwa templariuszy i dokona tego, czego oni zamierzali dokonać.

I wtedy na jego twarzy pojawił się słodko-gorzki uśmiech. Przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Myśl, że któregoś dnia to wszystko będzie już historią. Może ich plan nie będzie potrzebny. Może ludzie już nie będą tacy strasznie małostkowi, nauczą się nie zważać na to, co ich dzieli, i skończy się wreszcie ta mordercza walka o różnice w religiach.

Odsunął od siebie tę myśl, ganiąc się w duchu za naiwność, uśmiechnął się i poszedł dalej.